

**Humanistyka służebna.**

**Negocjowanie pola i budowanie autonomii  
w dobie kryzysu**

# 73 nowa humanistyka

Komitet redakcyjny:

Ewa Domańska (UAM)

Dorota Głowacka (Univ. of King's College)

Andrzej Leśniak (IBL PAN)

Adam Lipszyc (IFiS PAN)

Tomasz Majewski (UJ)

Jakub Momro (UJ)

Paweł Mościcki (IBL PAN)

Ryszard Nycz (UJ/IBL PAN, przewodniczący)

Ewa Płonowska-Ziarek (Buffalo Univ.)

Roma Sendyka (UJ)

Joanna Tokarska-Bakir (IS PAN)

Joanna Żylińska (Goldsmiths, Univ. of London)

Arkadiusz Żychliński (UAM)

Sekretarz

Justyna Tabaszewska (IBL PAN)

Seria zainicjowana dzięki środkom projektu badawczego pt. „W stronę nowej humanistyki: polska pamięć kulturowa”, finansowanego przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, a realizowanego w ramach programu Transdyscyplinarnej Szkoły Letniej, powołanej przez ogólnopolską Konferencję Kierowników Filologicznych Studiów Doktoranckich.

**Justyna Tabaszewska**

**Humanistyka służebna.  
Negocjowanie pola i budowanie  
autonomii w dobie kryzysu**



**Warszawa 2022**

<http://rcin.org.pl>

Recenzent prof. Adam Lipszyc  
Redaktor prowadząca Krystyna Kiszelewska-Kotyńska  
Redakcja i indeks Dorota Krawczyńska  
Korekta Paulina Matus  
Projekt serii i skład Robert Oleś

Badania powstały w czasie trwania Stypendium im. Józefa Tischnera dla młodych naukowców, finansowanego przez Institute for Human Sciences (Vienna) oraz polskie Ministerstwo Edukacji i Nauki



Institut für die Wissenschaften vom Menschen  
Institute for Human Sciences



Ministerstwo  
Edukacji i Nauki

Józef Tischner Junior Fellowship, sponsored by the Institute for Human Sciences, Vienna, and the Polish Ministry of Sciences and Higher Education

Dofinansowano w ramach programu „Doskonała Nauka” Ministerstwa Edukacji i Nauki

Copyright by Justyna Tabaszewska, 2022

Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2022

ISSN 2353-494X

ISBN 978-83-66898-73-8

Druk i oprawa BookPress.eu

Druk i oprawa BookPress, ul. Lubelska 37c, 10-408 Olsztyn

# Spis treści

## Część pierwsza

Rozdział 1	Przezroczyzna czy bezużyteczna? O problemach współczesnej humanistyki . . . . .	11
1.	Uwagi wstępne . . . . .	11
2.	Pętla usprawiedliwień . . . . .	15
3.	Problemy humanistyki a kwestia spekulacji . . . . .	19
4.	Punkty nawigacyjne . . . . .	25
Rozdział 2	Literaturoznawstwo służebne . . . . .	32
1.	Uwagi wstępne . . . . .	32
2.	Humanistyka w defensywie . . . . .	37
3.	Kłopoty humanistyki problemami literaturoznawstwa . . . . .	39
4.	Między teoriami . . . . .	42
5.	Humanistyka – zaangażowana czy autonomiczna? . . . . .	46
6.	Humanistyka służebna... . . . .	50
7.	...i jej praktyczne skutki . . . . .	55
Rozdział 3	Cena uczestnictwa. Kultury bliskiego zasięgu a literatura światowa . . . . .	58
1.	Uwagi wstępne . . . . .	58
2.	Negocjowanie systemu literatury światowej . . . . .	60
3.	Nieuchronny konflikt . . . . .	68
4.	Rzeczywistość i nieuniknione spotkanie . . . . .	72
5.	Cena . . . . .	77

## Część druga

Rozdział 4	Ekokrytyczna samoświadomość . . . . .	83
1.	Uwagi wstępne . . . . .	83
2.	Teoretyczne problemy z definiowaniem ekokrytyki . . . . .	88
3.	Płynne cele . . . . .	93
4.	Między krytyką akademicką i aktywizmem . . . . .	94
5.	W stronę narracji zwierzęcych . . . . .	96
Rozdział 5	Katastrofy afektywne. Kategoria katastrofy w dyskursie ekokrytycznym i afektywnym – wstępne rozpoznania . . . . .	104
1.	Uwagi wstępne . . . . .	104
2.	Katastrofa w dyskursie ekokrytycznym . . . . .	108
3.	Rola katastrof w polityce afektywnej . . . . .	112
4.	Katastrofy „teoretyczne” i afektywne . . . . .	115
Rozdział 6	Spór o naturę puszczy . . . . .	125
1.	Uwagi wstępne . . . . .	125
2.	Podmiotowość puszczy . . . . .	130
Rozdział 7	Zwierzęta w dyskursie ekokrytycznym . . . . .	137
1.	Wprowadzenie . . . . .	137
2.	Ekosprawiedliwość i etyka ekologiczna . . . . .	139
3.	Głęboka ekologia . . . . .	144
4.	Konstrukcyjny charakter ekokrytyki i jego konsekwencje . . . . .	145
5.	Jak zwierzęta mogą odzyskać głos? . . . . .	147
6.	Polska perspektywa w badaniach nad zwierzętami . . . . .	153
Rozdział 8	Empatyczny narrator. Upodmiotowienie zwierząt w prozie Olgi Tokarczuk . . . . .	162
1.	Uwagi wstępne . . . . .	162
2.	Wywrotowy kryminał . . . . .	165
3.	Afektywna granica . . . . .	173
4.	Przemoc jako narzędzie komunikacji . . . . .	179
5.	Ludzkimi oczami. Siła empatycznej narracji . . . . .	184
6.	Mosty między wyspami . . . . .	190

## Część trzecia

Rozdział 9	Konceptualizacje pamięci. Krótkie wprowadzenie . . . . .	197
1.	Uwagi wstępne . . . . .	197

2.	Interakcje pamięci. Konkurencja, konflikt czy dialog? . . . . .	208
3.	Literatura jako medium pamięci . . . . .	220
Rozdział 10 Powtórzenia i przynależności.		
	Poezja Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego	
	wobec pamięci . . . . .	224
1.	Uwagi wstępne . . . . .	224
2.	Elementarna narracja i „poetyka powtarzania” . . . . .	226
3.	Napomknięcia i dotknięcia . . . . .	228
4.	Zależności . . . . .	235
5.	Przynależności . . . . .	239
Rozdział 11 Powtórzenia i ponowienia. Tomasz Różycki a kwestia		
	oryginalności . . . . .	246
1.	Uwagi wstępne . . . . .	246
2.	Nie tylko tradycja . . . . .	248
3.	Kwestia oryginalności . . . . .	251
4.	„Kiedy zacząłem pisać...” . . . . .	255
5.	Aktywowanie pamięci . . . . .	263
Rozdział 12 Dotkliwe historie . . . . .		
		268
1.	Uwagi wstępne . . . . .	268
2.	Wydarzenie i świat po nim . . . . .	270
3.	Ramy reportażu, ramy pamięci . . . . .	273
4.	Doświadczenie niepamięci . . . . .	279
5.	Zbieranie pamięci . . . . .	283
6.	Dotkliwość doświadczenia, tkliwość pamięci . . . . .	286
Część czwarta		
Rozdział 13 Kryzys kategorii faktu a współczesna ekonomia		
	afektywna . . . . .	295
1.	Uwagi wstępne . . . . .	295
2.	Afektywne fakty a zmiana w postrzeganiu rzeczywistości . . . . .	299
3.	Reportaż jako forma reaktywna . . . . .	305
4.	Definiowanie faktów oraz wiedzy . . . . .	311
5.	Media jako nośnik faktów . . . . .	314
6.	Forma i fakt. Wyzwania współczesnego reportażu . . . . .	316
Rozdział 14 Na granicy faktu. Kategoria <i>faction</i> w badaniach nad		
	współczesnymi biografiami . . . . .	320
1.	Uwagi wstępne . . . . .	320

2.	<i>Faction</i> – ustanowienie kategorii . . . . .	323
3.	Ewolucja <i>faction</i> . . . . .	326
4.	Zacieranie granic. <i>Faction</i> i chwyt powieściowe w biografiach . . . . .	333
5.	<i>Faction</i> jako świadoma strategia literacka . . . . .	337
Rozdział 15 Prawdziwe przestępstwa. O afektywnej karierze pewnego formatu . . . . .		
		343
1.	Uwagi wstępne . . . . .	343
2.	Afektywne odbicie. Sprawa O. J. Simpsona dwadzieścia lat później . . . . .	348
3.	Przed szybą. Afektująca niewiedza . . . . .	353
4.	Afektywne rozczarowanie. <i>Jinx</i> jako naruszenie konwencji . . . . .	359
5.	W krzywym zwierciadle: konwencja afektywna i jej odbicie . . . . .	364
6.	Podsumowanie . . . . .	366
Rozdział 16 Interwencje afektywne . . . . .		
		368
1.	Afektywne przeniesienie . . . . .	368
2.	Mechanizm afektujący . . . . .	380
3.	Podsumowanie . . . . .	389
Podsumowanie . . . . .		
		393
1.	Punkty łączące . . . . .	393
2.	Punkty zapętlenia . . . . .	394
3.	Punkty przecięć . . . . .	398
4.	Służebność raz jeszcze . . . . .	403
Nota bibliograficzna . . . . .		
		409
Summary . . . . .		
		411
Indeks nazwisk . . . . .		
		413



## Część pierwsza



## Przezroczyta czy bezużyteczna? O problemach współczesnej humanistyki

### 1. Uwagi wstępne

Współczesna humanistyka, a zwłaszcza te jej dyscypliny, które nie zajmują się problemami dającymi się w prosty i łatwy sposób przełożyć na praktyczne, uchwytnie dla każdego, a jeszcze najlepiej przynoszące wymierny zysk badania, stoi obecnie przed piętrzącymi się trudnościami. Jedne z nich można uznać za zewnętrzne, związane z koniecznością ciągłego usprawiedliwiania się dyscypliny i tłumaczenia, jak (i jaka) humanistyka może być przydatna, albo – co stanowi wbrew pozorom inny wariant odpowiedzi na tę samą wątpliwość – dlaczego nie wszystkie dziedziny ludzkiej aktywności muszą być wprost przekładalne na język łatwo mierzalnych zysków czy prosto rozumianego postępu. Inne związane są z wewnętrznym kryzysem samej humanistyki, która najpierw w toku licznych zwrotów teoretycznych, zmian języków czy szukania nowych narzędzi interpretacyjnych zaczęła bardzo dynamicznie rozwijać się, a później – pod wpływem coraz szerszej zewnętrznej krytyki – pytać o własną tożsamość oraz sprawczość<sup>1</sup>.

Książka ta nie ma ambicji opisywania tego podwójnego kryzysu i nie jest o nim. Jest jednak próbą takiego uprawiania humanistyki, który – korzystając z wspomnianego doświadczenia i związanych z nim istotnych pytań o jej tożsamość i cele – stara się wypracować pewną ścieżkę mówienia i pisanania o określonych prądach, typach badań czy konkretnych tekstach kultury<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Za punkt przełomowy w myśleniu o humanistce można uznać obronę „słabych teorii” i „myśli słabej”, która nie dąży już do wytworzenia kompletnej, uniwersalnej metody badawczej. Por. J. Halberstam, *Słaba teoria*, przeł. M. Borowski, M. Sugiera, „Didaskalia” 2013 nr 115/116.

<sup>2</sup> Pod tym względem czerpię – nie bezpośrednio, ale wyraźnie – z wystąpień oraz artykułów powstałych wokół podwójnej konferencji „Nowa humanistyka:

Już na początku warto zauważyć, że choć doświadczenie zagrożenia humanistyki, a zwłaszcza tych jej dyscyplin, które zajmują się pracą z tekstem, nie jest wcale nowe i w dodatku jest dość powszechne w polskim, europejskim i amerykańskim kontekście, to w ostatnich latach zdecydowanie zyskało na sile. Interesującym głosem w tej sprawie jest, między innymi, raport o stanie amerykańskiego literaturoznawstwa i otwierające go zdanie:

Badania nad literaturą nie stoją już na krawędzi upadku. Są w jego trakcie.<sup>3</sup>

Powyższy cytat wybrzmiewa złowieszczo, podobnie jak tytuły zamieszczonych w raporcie artykułów, na przykład: *My University is Dying* (Sheila Liming), *Losing Faith in the Humanities* (Simon During), czy *Academe's Extinction Event* (Andrew Kay). Choć – jak przekonuje lektura wskazanych tekstów i dyskusja, którą wzbudziły w lokalnym kontekście – nie zawsze ich treść jest aż tak jednoznacznie dramatyczna<sup>4</sup>, to zebrane w publikacji wypowiedzi wskazują na co najmniej kilka aspektów kryzysu: finansowy (związany z cięciami na

---

zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii” (Kraków 27–29 czerwca 2016 i Poznań 3–4 października 2016). Por. również numer tematyczny „Tekstów Drugich” 2017 nr 1 oraz *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, red. P. Czaplinski, R. Nycz, D. Antonik i.in., Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2017.

<sup>3</sup> „The Chronicle Review”, [http://connect.chronicle.com/rs/931-EKA-218/images/ChronicleReview\\_Endgame.pdf](http://connect.chronicle.com/rs/931-EKA-218/images/ChronicleReview_Endgame.pdf) [dostęp: 10 czerwca 2020]. Dziękuję Andrzejowi Leśniakowi za zwrócenie uwagi na ten raport. O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie tłumaczenia są autorskie, a wtrącenia odautorskie lub oryginalne nazwy/terminy oznaczam nawiasami kwadratowymi.

<sup>4</sup> Por. m.in. polemikę z artykułem S. Liming, *My University is Dying* („The Chronicle ...”) podjętą przez Roba Porta w blogosferze (<https://www.sayanythingblog.com/entry/university-of-north-dakota-professor-says-campus-is-dying-due-to-legislatures-austerity/>), [dostęp 10 czerwca 2020] i odpowiedź autorki: „Tak naprawdę nie twierdziłam, że uniwersytet umiera (autorzy nie tworzą nagłówków, tworzą je redaktorzy). Niemniej, twierdziłam wiele innych rzeczy...”. Przebieg polemiki wskazuje nie tylko na szerokie dyskutowanie omawianych w raporcie problemów, ale i wyraźne dążenie redaktorów do uzyskania jednoznacznego obrazu obecnego kryzysu, obrazu, który symbolizuje umieranie uniwersytetów.

uczelniah i wprowadzoną polityką oszczędności)<sup>5</sup>, wizerunkowy (brak studentów lub brak możliwości zapewnienia najzdolniejszym absolwentom możliwości pozostania na uczelni, prowadzący do postrzegania humanistyki akademickiej jako martwej ścieżki kariery)<sup>6</sup> i sprawczy (związany z dostrzeganiem, że humanistyka nie jest już w stanie spełniać swoich funkcji, w tym – jak część autorów publikowanych w raporcie artykułów jasno wskazuje – podważać pełnej legitymizacji kapitalizmu jako systemu zarządzania, również w odniesieniu do czegoś, co można z pewnym naddatkiem semantycznym określić jako „świat wartości”)<sup>7</sup>.

Nie zamierzam w pełni rekonstruować zawartych w raporcie tez oraz argumentów, nie tylko dlatego, że dotyczą w głównej mierze inaczej niż polska nauka finansowanego i zarządzanego systemu uniwersyteckiego (a to polska perspektywa będzie mi w tej książce najbliższa), ale głównie dlatego, że pojawiające się w nim spostrzeżenia na pewnym ogólnym poziomie są możliwe do przewidzenia: dotyczą w większej mierze tego, jak humaniści odbierają obecną zmianę w zarządzaniu uniwersytetami, a szerzej – nauką, nakierowaną na szybko osiągalne i łatwo mierzalne korzyści. Chciałam jednak zwrócić uwagę na pewien specyficzny ton wypowiedzi, który moim zdaniem dobrze oddaje fragment artykułu Sheili Liming:

My, którzy przetrwaliśmy [*survivors*], straciliśmy przyjaciół, współpracowników i sąsiadów. Żaden z moich kolegów z wydziału, a to największy wydział na Uniwersytecie Północnej Dakoty [University of North Dakota] (...) nie starał się o habilitację [*tenure*] w zeszłym roku, bo nie było nikogo, kto spełniałby wymogi.

---

<sup>5</sup> Por. S. Liming, *My University...*; J. Kramnick, *The Way We Hire Know*, „The Chronicle...”; tenże, *How the Jobs Crisis Has Transformed Faculty Hiring*, „The Chronicle...”

<sup>6</sup> Por. E. Pettit, *Columbia Had Little Success Placing English PhDs*, „The Chronicle...”; A. Williams June, *Want to Know Where PhDs in English Programs Get Jobs?*, „The Chronicle...”

<sup>7</sup> S. Daring, *Losing Faith in the Humanities*, „The Chronicle...”; M. Clune, *The Humanities' Fear of Judgment*, „The Chronicle...”; tenże, *The Hypocrisy of Expert*, „The Chronicle...”

To są proste do odnotowania straty, takie, które mogą być policzone i o których można przeczytać w lokalnej gazecie albo w „The Chronicle”. Niemniej, to wiele trwałych, lecz ukrytych form utraty – celu, ducha czy wiary w siebie – wyrządza prawdziwe szkody.<sup>8</sup>

Liming konstruuje swoją wypowiedź z pozycji osoby, która przetrwała (*survivor*). Wybór akurat tej perspektywy, charakterystyczny dla większości artykułów z omawianego raportu, nie jest wcale neutralny. Choć – zwłaszcza współcześnie, częściowo w efekcie badań nad traumą – zwraca się uwagę na bardziej skomplikowane implikacje przyjęcia perspektywy osoby ocalonej/tej, która przetrwała, to jednak w cytowanym kontekście ma ona dość jednoznaczne konotacje: ci, którzy przetrwali, doświadczają utraty, destabilizacji, braku sprawczości czy nawet alienacji. Budowana narracja wskazuje – jak sugeruje podtytuł raportu (*endgame*) – na brak jakiegokolwiek stabilizacji, na poczucie, że wobec aktualnych problemów nie ma alternatywy, a utrata jest jedynym co pozostaje z kryzysu. To, co przetrwało, oceniane jest wyłącznie przez brak i redukcję, przez różnicę wobec tego co było. Naturalną reakcją w takiej sytuacji jest żal, a częściowo i nostalgia. Niemniej, nieco niepokojący jest fakt, że po pierwsze niewiele ze wzmiankowanych tu artykułów wychodzi poza tę perspektywę, a po drugie, że samo jej istnienie jest traktowane całkowicie neutralnie, jakby była to albo jedyna możliwa reakcja, albo reakcja, której nie trzeba poddawać analizie.

Zwracam uwagę na ten raport i dominujące próby uchwycenia kryzysu humanistyki, ponieważ przeważa w nich pewien zdecydowanie bierny odruch: opisywania kolejnych faz utraty lub – jeśli niektóre teksty podejmują polemikę z argumentami stojącymi albo za cięciami budżetowymi, albo za postrzeganiem humanistyki jako mało przydatnej dziedziny nauki – pozostawania ciągle w obrębie narzuconego z zewnątrz języka, kategorii, czy dyskursu. Jak wskazują między innymi ustalone przez redakcję tytuły tekstów, kryzys i upadek się stwierdza, a nie z nim dyskutuje. Zła sytuacja humanistyki traktowana jest – być może nieświadomie, albo dla wyostrenia sądów – jako fakt oraz jako przepowiednia, a więc jako opis rzeczywistości zastanej

---

<sup>8</sup> S. Liming, *My University...*, s. 5.

i zarazem jako przekonanie, że od teraz będzie już tylko gorzej: po latach stania na krawędzi nastąpi nieuchronny upadek.

Oczywiście, omawiany raport dotyczy innego niż polski kontekstu, ale – jak sądzę – zawarty w nim specyficzny ton, a wręcz niechęć do podjęcia prób aktywnej obrony, dobrze charakteryzuje również polski kryzys humanistyki. Można stwierdzić nieco przewrotnie, że zamiast aktywnie się przed kryzysem bronić, humaniści postanowili przeanalizować jego przyczyny i – zwłaszcza w niektórych środowiskach – zmierzyć się z częścią wysuwanych przeciwko tej dziedzinie zarzutów. Taka reakcja jest całkowicie zrozumiała, mniej zrozumiałe jest, dlaczego rzetelna analiza własnej sytuacji (i być może własnych niedociągnięć) nie stanowi wstępu do zmiany. Zamiast tego można odnieść wrażenie, że dyskusja nad kryzysem w obrębie humanistyki uwewnętrznia i racjonalizuje zarzuty pojawiające się z zewnątrz, czyni z nich – podważaną, ale jednak – podstawę legitymizacji obecnej utraty sprawczości dziedziny.

## 2. Pętla usprawiedliwień

Jednym z najpoważniejszych skutków uwewnętrznienia krytyki jest narastająca w ostatnich latach tendencja do tworzenia kolejnych, coraz dalej idących, odpowiedzi na zarzuty dotyczące „zbędności” poszczególnych dyscyplin. Im silniejsza jest presja zewnętrzna, tym częściej pojawiają się próby „usprawiedliwiania” istnienia poszczególnych dziedzin nauki. Pod tym względem sytuacja, w której znajduje się humanistyka, jest szczególnie skomplikowana – choć niektóre dyscypliny nauk ścisłych lub biologicznych również poddawane są krytyce, to jednak w ich przypadku nie występuje zjawisko powszechnego przekonania o posiadaniu kompetencji z ich zakresu. Tymczasem humanistyką – przynajmniej deklaratywnie – interesują się, zwłaszcza w przypadku dyskusowania jej niedociągnięć, wszyscy. Jak zwraca uwagę Ryszard Nycz:

Być może część odpowiedzialności za ten czarny PR spada na znany fakt, że humanistyka jako przykład powszechnego zainteresowania

i kompetencji prześcignęła piłkę nożną: nie tylko bowiem wszyscy się na niej znają, ale też wszyscy uznają się za jej reprezentantów.<sup>9</sup>

I podobnie jak w przypadku fanów piłki nożnej, wielu reprezentantów czegoś, co można by określić jako niezawodową lub nieakademicką humanistykę, podziela przekonanie, że lepiej od fachowców odnalazłoby się zarówno w symbolicznej roli piłkarzy, jak i trenerów oraz sędziów. Powszechność uznawania się za humanistę prowadzi zatem – paradoksalnie – nie do obrony dyscypliny i budowania wobec niej solidarności, lecz do braku zaufania: braku zaufania wobec kompetencji tych, którzy jej uprawianiem zajmują się zawodowo oraz podważania istnienia jakiegokolwiek różnicy między poszczególnymi grupami osób zaangażowanych w budowanie tej dziedziny ludzkiej aktywności.

Jest to o tyle kłopotliwe, że istnienie każdej z dyscyplin nauki, nawet tych, których przydatności nikt nie podważa (jak medycyna lub nauki techniczne), opiera się na połączeniu zaufania i obserwacji: ufamy, że prowadzenie konkretnych badań wpływa na przykład na postęp medyczny, a dokonujący się rzeczywiście progres upewnia nas, że zaufanie zostało dobrze zainwestowane.

Rzeczywistość nie jest jednak sprzymierzeńcem humanisty. Nie da się łatwo zmierzyć postępu dokonującego się pod wpływem szeroko rozumianych badań humanistycznych, nie sposób więc zbudować zaufania społecznego na podstawie prostej analizy zysków i strat. W dodatku, jeśliby uznać, że zadaniem humanistów jest dostarczanie narzędzi, pomagających w rozumieniu współczesnego świata i zmian, jakie się w nim dokonują, istnienie tej dziedziny nauki wskazuje pośrednio na niezrozumiałość otoczenia, na konieczność włożenia wysiłku w jego poznanie i na korzyści płynące z profesjonalnego budowania narzędzi interpretacyjnych<sup>10</sup>. By uznać więc, że humanistyka

---

<sup>9</sup> R. Nycz, *Kultura jako czasownik. Sondowanie nowej humanistyki*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2017, s. 15.

<sup>10</sup> Na istnienie tego problemu zwracało uwagę wielu badaczy, najdobitniej Ryszard Nycz w tekście *Humanistyka wczoraj i dziś (w wielkim skrócie i nie bez uproszczeń)* z którego pochodzi wyżej przytoczony cytat. Nycz wskazywał m.in. na niebezpieczeństwo wynikające ze spłaszczenia różnicy między byciem – nawet



jest nam (zarówno tym, którzy zajmują się nią zawodowo, jak i tym, którzy uczestniczą w niej na wiele innych sposobów) potrzebna, musimy mieć zaufanie do dyscyplin opierających swoje istnienie na potrzebie wyjaśniania rzeczywistości i zarazem musimy mieć chęci, by aktywnie brać udział w konkretnych procesach, inicjowanych przez poszczególne typy badań<sup>11</sup>.

I tu najczęściej pojawia się problem. Humanistom, zwłaszcza tym, którzy uprawiają jej naukę, a więc zawsze gorzej przysyłałną odmianę, ufa się zdecydowanie mniej, niż przedstawicielom innych nauk. Badacze nie mogą usprawiedliwiać swoich poszukiwań powoływaniem się na ogólnie rozumianą ideę postępu<sup>12</sup>, choćby społecznego, nie tylko dlatego, że trudno jest udowodnić związek między rozwojem konkretnych badań naukowych a pozytywnymi zmianami społecznymi, ale również dlatego, że idea postępu jest dla humanisty przedmiotem rozważań, a nie łatwym do zaakceptowania faktem.

Uczciwa odpowiedź na pytanie o „przydatność” będzie więc zawsze operowała zwielokrotnionym trybem warunkowym: można uznać, że zadaniem humanistyki jest dostarczanie narzędzi, które są pomocne w rozumieniu i interpretacji świata. Jednak samo konstruowanie narzędzi nie wystarcza: humanistyka jest użyteczna tylko wtedy, kiedy skłania do ich użycia. Czyli: humanistyka jest po to, by wytwarzać pewne koncepcje, które, jeśli zostaną odpowiednio użyte, mogą prowadzić do polepszenia rozumienia świata, a to z kolei może pozwalać na wprowadzanie zmian, z których część powinna przyczynić się do zauważalnego polepszenia rzeczywistości, i to zarówno społecznej, jak i fizycznej.

---

aktywnym – uczestnikiem kultury i humanistycznej wymiany myśli a osobami, które zajmują się nią zawodowo. R. Nycz, *Kultura jako czasownik...*, s. 15.

<sup>11</sup> Tamże, s. 58–96, por. także P. Czaplinski, *Sploty*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1. Na czynnościowy charakter humanistyki zwracał również wielokrotnie uwagę R. Nycz, także w książce *Poetyka doświadczenia. Teoria-nowoczesność-literatura*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2012.

<sup>12</sup> Na problematyczność przekształceń humanistyki zwracał uwagę m.in. M. Cieński, *Nowa Humanistyka i odpowiedzialność za ciągłość (dawnej) tradycji*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1.

Zwielokrotniony tryb warunkowy w powyższym zdaniu nie oznacza, że humanistyka nie działa lub że działa rzadko lub słabo. Przeciwnie: gdybyśmy spojrzeli na ostatnie dwieście lat historii powszechnej jako na przestrzeń społecznego oddziaływania humanistyki, to bez wielkiego wysiłku odkrylibyśmy, że za znaczącymi zmianami na lepsze stoją konkretne, humanistyczne pomysły: wolność i równość to idee zapisane obecnie w prawie, ale wywodzące się raczej z filozofii i etyki. To, w jaki sposób przekładają się na obecny, europejski porządek prawny, jest nie do przecenienia. Niemniej, łatwo zapominały, że za – na przykład – zniesieniem niewolnictwa, prawami wyborczymi kobiet, ograniczeniem czasu pracy, zakazem pracy dzieci, wolnością wyznania itp., stały właśnie teoretyczne idee i koncepty, które dostarczały języka do mówienia o człowieczeństwie jako wartości uniwersalnej, nadrzędnej i łączącej wszystkich ludzi<sup>13</sup>. Podobnie jest z dyskutowanymi obecnie, a nie tak mocno jeszcze ugruntowanymi, zagadnieniami, jak na przykład ochrona środowiska. Oczywiście, pomysły, jak chronić środowisko, wykraczają poza humanistykę, ale idea, że środowisko jest rzeczą wymagającą ochrony, jest już humanistycznym wynalazkiem (podobnie jak i sam termin „środowisko”<sup>14</sup>).

Próbuję tutaj zwrócić uwagę na pewną oczywistą, ale często przeoczaną właściwość funkcjonowania humanistyki. Im skuteczniejsze w działaniu, a więc w interpretacji i zmianie rzeczywistości społecznej, są określone koncepcje i badania, tym bardziej stają się przezroczyste. Nie zapominały zazwyczaj, że biologia i medycyna

---

<sup>13</sup> Jeszcze pod koniec XIX wieku, kiedy wspomniane idee już zyskiwały na sile, postulowano raczej „równość wobec prawa”, która nie negowała na przykład przekonania o wrodzonych, „naturalnych nierównościach” między ludźmi różnych ras, narodowości, religii, płci, statusu społecznego.

<sup>14</sup> Zwracają na to uwagę badacze związani m.in. z ekokrytyką, por. L. Buell, *The Environmental Imagination. Thoreau, Nature Writing, and the Formation of American Culture*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, London 1996 oraz tegoż, *The Future of Environmental Criticism: Environmental Crisis and Literary Imagination*, Blackwell Publishing 2005, a także J. Urry, P. Macnaghten, *Alternatywne przyrody. Nowe myślenie o przyrodzie i społeczeństwie*, przeł. B. Baran, Scholar, Warszawa 2005.

dały nam szczepionki i antybiotyki, poprawiając nasze szanse na dożycie sędziwego wieku (choć, jak wiemy, i antybiotyki, i szczepionki bywają obecnie na różne sposoby krytykowane<sup>15</sup>, zazwyczaj przy użyciu argumentów o wolności jako nadrzędnym prawie człowieka, a to prowadzi z kolei do przedziwnego klinczu między różnymi, a zarazem uznawanymi za nadrzędne, wartościami), a o tym, że idee wolności i równości nie były kiedyś wcale powszechnie podzielane, przestajemy pamiętać dość szybko. Ujmując sprawę nieco inaczej: jeśli humanistyka wytworzy koncepcje lub języki, które okażą się przydatne w opisie rzeczywistości i zarazem będą pozwalały na upowszechnienie pewnych idei, to idee te zostaną *naturalizowane*, staną się wartością wszystkich, nie zaś „osiągnięciem” humanistyki. Jeśli natomiast konkretne języki humanistyki nie zostaną przejęte przez szersze grupy społeczne, zostaną uznane za bezużyteczne.

### 3. Problemy humanistyki a kwestia spekulacji

Opisany nieco ironicznie model funkcjonowania humanistyki ma służyć jako punkt wyjścia do wskazania pewnych wewnętrznych problemów poszczególnych dyscyplin. W tej publikacji będą mnie interesować tylko dwie, o których mogę mówić z ich wnętrza, czyli kulturoznawstwo i literaturoznawstwo, obie opierające się na interpretacji, nieco odmiennie w obu dyscyplinach rozumianych, tekstów kultury. Można, moim zdaniem trochę przewrotnie stwierdzić, że każda z nich może być uprawiana tak, by była w miarę przezroczysta, lub tak, by była raczej bezużyteczna. Ten wybór, podobnie jak wybór określonych metodologii, języków, terminów i postaw, determinuje tożsamość każdego badacza z osobna oraz całej dyscypliny naukowej. By móc nawigować między bezużytecznością i przezroczystością kluczowe jest dostrzeżenie kilku istotnych problemów. Uznaję je za punkty orientacyjne, ułatwiające określenie własnej drogi badawczej.

---

<sup>15</sup> Por. E. Krawczyk, *Krótką historia ruchów antyszczepionkowych* [https://krytyka-polityczna.pl/kraj/krotka-historia-ruchow-antyszczepionkowych/?hide\\_manifest](https://krytyka-polityczna.pl/kraj/krotka-historia-ruchow-antyszczepionkowych/?hide_manifest) [dostęp 1 grudnia 2019].

Od razu chcę podkreślić, że nie uważam wybranej przeze mnie drogi badawczej za lepszą od innych, jest ona jednak lepsza dla mnie, jako konkretnej osoby o określonych celach badawczych.

Zanim przejdę do szerszego omówienia tych punktów, chciałabym jeszcze poświęcić nieco uwagi dość powszechnemu we współczesnej humanistyce zjawisku, jakim jest nasilona krytyka wewnętrzna, gdyż – jak postaram się później pokazać – stosunek do niej jest jednym z najistotniejszych aspektów nawigowania we współczesnej rzeczywistości.

Gdyby chciał podsumować najważniejsze punkty współczesnej, wewnętrznej krytyki humanistyki odnoszącej się do literaturoznawstwa i kulturoznawstwa, dałoby się wskazać na kilka powtarzających się zarzutów. Pierwszy dotyczy zbytnej profesjonalizacji dyscyplin, które wraz z upływem czasu coraz mocniej oddalają się od problemów istotnych dla osób niezaangażowanych w ich tworzenie oraz posługujące się językiem niedostępnym dla szerszej grupy odbiorców<sup>16</sup>. Na poszczególne odmiany tego kryzysu wskazują teksty dotyczące różnych odmian badań nad literaturą i kulturą, dyskutowane już co najmniej od lat 70. XX wieku<sup>17</sup>. Nowe problemy związane z funkcjonowaniem

---

<sup>16</sup> Albo – co stanowi nową odmianę tego zarzutu – konkretne języki humanistyki ulegają spłaszczeniu i stają się mechanicznie stosowanym narzędziem interpretacyjnym, bez większej wartości poznawczej. Por. B. Latour, *Why Has Critique Run out of Steam? From Matters of Fact to Matters of Concern*, „Critical Inquiry” 2004 nr 30.

<sup>17</sup> W przypadku komparatystyki znaczące są wystąpienia René Welleka (tegoż, *The Attack on Literature*, [w:] *The Attack on Literature and Other Essays*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1982, tegoż, *The Crisis of Comparative Literature*, [w:] *Concepts of Criticism*, Yale University Press, New Haven and London 1964). W przypadku studiów kulturowych kryzys ten był znacznie późniejszy – część badaczy argumentowała nawet, że studia kulturowe były odpowiedzią na kryzys humanistyki (por. S. Hall, *The Emergence of Cultural Studies and the Crisis of Humanities*, „October” 1990 nr 53, s. 11–23), zaś obecne problemy kulturoznawstwa mogą być pokonane przez powrót do źródeł i przede wszystkim akceptację pierwotnego dla ich powstania doświadczenia kryzysu (A. Shepperson, K. G. Tomaselli, *Cultural Studies is the Crisis: Culturalism and Dynamic Justice*, „Cultural Studies – Critical Methodologies” 2004 nr 4). Co ciekawe, nawet nowe dyscypliny, jak humanistyka cyfrowa, nie są wolne od pierwszych objawów kryzysu (por. M. Gold, *Debates in Digital Humanities*, University of Minnesota, Minneapolis 2012).

humanistyki wiążą się, jak wskazuje między innymi Paul Jay<sup>18</sup>, z ewolucją w postrzeganiu roli wykształcenia, zwłaszcza zaś – z coraz szerzej powielanym postulatem podporządkowania kształcenia potrzebom rynku i skorelowania z nimi reformy uniwersytetów, przeistaczającej je w specyficzne przedsiębiorstwa<sup>19</sup>. Jay – do którego też wrócę jeszcze w dalszych rozdziałach tej książki – wskazuje na konieczność zmiany w myśleniu o humanistyce, zwłaszcza zaś wycofania się z prób jej bronięcia w języku, który jest narzucony z zewnątrz, a więc w języku materialnej, łatwo mierzalnej przydatności<sup>20</sup>.

Drugi główny typ zarzutów osnuty jest wokół przekonania, że choć humanistyka czasem zajmuje się kwestiami istotnymi, to zauważalna jest w niej nadprodukcja języków, teorii, koncepcji<sup>21</sup>. Zarzut ten można rozumieć jako próbę wskazania, że humanistyka zamiast rzeczywiście się rozwijać, odgrywa innowacyjność lub nowość lub – co stanowi rewers tego zarzutu – zmienia się za mało, zbyt zachowawczo. Jak pytał ponad piętnaście lat temu Bruno Latour:

Nie wydaje mi się, byśmy na uniwersytetach równie szybko przygotowywali się na nowe zagrożenia, nowe niebezpieczeństwa, nowe zadania i cele. Czy nie jesteśmy jak mechaniczne zabawki, które wciąż wykonują te same ruchy, choć wszystko wokół nich uległo zmianie?<sup>22</sup>

---

<sup>18</sup> P. Jay, *The Humanities „Crisis” and The Future of Literary Studies*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2014, s. 7–33.

<sup>19</sup> Por. m.in. F. Donoghue, *The Last Professors: The Corporate University and the Fate of the Humanities*, Fordham University Press, New York 2008. Z tym fenomenem wiąże się – choć nie do końca w polskich warunkach – odpływ studentów z kierunków humanistycznych. Por. J. M. Ellis, *Literature Lost: Social Agendas and the Corruption of the Humanities*, Yale University Press, New Haven 2009.

<sup>20</sup> P. Jay, *The Humanities „Crisis”...*, s. 7–9.

<sup>21</sup> Do pewnego stopnia krytyka ta bywa słuszna, ale raczej wtedy, gdy dotyczy nagłych inflacji pojęć czy teorii, niż naturalnej zmiany języków mówienia o określonych problemach. O ile kilka lat temu kategorią rosnącą i w efekcie nadużywaną, była „interdyscyplinarność” (por. m.in. *Głosy w sprawie interdyscyplinarności. Socjologowie, filozofowie i inni o pojęciach, podejściach i swych doświadczeniach*, red. J. Kurczewska, M. Lejzerowicz, Warszawa 2014), o tyle obecnie staje się nią swoiste metapojęcie, jakim jest „umiędzynarodowienie”.

<sup>22</sup> B. Latour, *Why Has Critique...*, s. 225.

Skoro, w przeciwieństwie do nauk technicznych czy biologicznych, postęp nie jest mierzony zaawansowaniem technologicznym lub realną poprawą w skuteczności rozwiązywania bardzo konkretnych problemów, to trudno ocenić, czy rzeczywiście nastąpiła stagnacja, czy raczej nadprodukcja języków. Nie zamierzam tutaj optować za żadnym z tych stanowisk, lecz jedynie wskazać, że sama zmiana języków rzadko traktowana jest neutralnie: albo rodzi zadowolenie, albo niechęć. A ostatnie kilkadziesiąt lat to przyspieszenia wymiany: nowe prądy rodzą się zdecydowanie częściej, niż kiedyś, i szybciej się starzeją. Przyczyną ich wymiany najczęściej jest odmienne akcentowanie punktów zainteresowania, nie zaś chęć kompletnego zastąpienia jednej teorii przez inną.

Wyraźnym tematem krytyki jest również kwestia zaangażowania humanistyki, na tyle złożona, że jej omówieniu poświęcę następny rozdział tej książki. Obok niej punktem spornym pozostaje również problem naukowości dyscyplin oraz – stanowiący lustrzane odbicie oskarżenia o nadmierną komplikację języka – zarzut dotyczący trywializacji badań naukowych<sup>23</sup>.

Podsumowane tu zarzuty są oczywiście nienowe. Ich ślady można znaleźć w krytykach humanistyki formułowanych podczas każdej większej zmiany w XX wieku<sup>24</sup>. W wieku XXI pojawił się jednak nowy głos krytyczny, mówiący, że humanistyka nie jest już „fajna”, nie dostarcza już tego, co przez lata, a więc: przyjemności i/lub dumy z jej

---

<sup>23</sup> Co ciekawe, wspomniane zarzuty są najczęściej powtarzane łącznie, bez względu na ich przeciwstawność czy sprzeczność. Badania humanistyczne, a literaturoznawcze zwłaszcza, są dość często określane jako równocześnie zbyt trudne (niezrozumiałe dla osób z zewnątrz) i za trywialnie łatwe, niewiele wnoszące. Na skutki tego klinczu zwracał między innymi uwagę Stanley Fish w swoim szeroko komentowanym artykule *The Crisis of Humanities Officially Arrives* („New York Times”, 11 października 2010, <https://opinionator.blogs.nytimes.com/2010/10/11/the-crisis-of-the-humanities-officially-arrives/> [dostęp: 10 stycznia 2020]), inspirowanym zamknięciem wydziałów filologii francuskiej, włoskiej, klasycznej i rosyjskiej na Uniwersytecie w Alabamie.

<sup>24</sup> Obecnie dyskutowane problemy – niekiedy w bardzo podobnych kształtach i ujęciach – można znaleźć między innymi w tomie sumującym xxx Konferencję Teoretycznoliteracką, por. *Sporne i bezsporne problemy współczesnej wiedzy o literaturze*, red. W. Bolecki, R. Nycz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2002.

współtworzenia<sup>25</sup>. Zarzut ten opiera się najczęściej na spostrzeżeniu, że do pewnego momentu w humanistyce istniały prądy lub typy badań, które były szczególnie uznane, a każdy badacz poruszający się w ich obrębie miał nie tylko poczucie, że robi coś ważnego i robi to dobrze, ale również podlegał pewnemu społecznemu uznaniu. Rozluźnienie hierarchiczności prądów i uznanie ich słabości w rozumieniu zaproponowanym przez Judith Halberstam, sprawiło, że z jednej strony łatwiej jest wybierać spośród wielu opcji, z drugiej: trudniej o uzasadnienie własnego wyboru. Osobną częścią tej krytyki pozostaje korelacja między poczuciem zagubienia badaczy i – na przykład – studentów kierunków humanistycznych w nowopowstających teoriach, które niekiedy zdają się „zabierać” przyjemność, także estetyczną, kontaktu z tekstami kultury.

Na zarzut ten nakłada się już najzupełniej wewnętrzny problem funkcjonowania współczesnej nauki. Każdy naukowiec oceniany jest obecnie za pomocą konkretnego systemu. W niektórych krajach systemy te działają lepiej, w innych gorzej, niemniej w każdym rodzaju określone skutki. Jeśli badacz chciałby być – zgodnie z regułami oceny – możliwe najlepszym naukowcem, to powinien dostosować się do stawianych mu wymogów. Skoro – a tak jest najczęściej – opłaca się publikować w określonych czasopismach, zazwyczaj w języku angielskim, to należy tak właśnie robić. Konsekwencją takiego stanu jest jednak pewne odwrócenie porządku: badacz, który chciałby osiągnąć mierzalny za pomocą konkretnych współczynników sukces, nie powinien szukać miejsc do publikacji swoich badań, lecz znaleźć badania, która pasują do wybranych miejsc publikacji. Oznacza to więc albo konieczność podporządkowania się, albo pogodzenia ze znacząco gorszą pozycją.

Zazwyczaj naukowcy niezbyt chętnie akceptują powyższe opcje i szukają dróg wyjścia. Każda z nich opiera się jednak na pewnej spekulacji: trzeba przewidywać, jakie działania będą korzystne dla

---

<sup>25</sup> Oczywiście, od lat powstają też błyskotliwe obrony współczesnej humanistyki, zwłaszcza jej etycznych i społecznych obowiązków. Por. M. C. Nussbaum, *Not for Profit. Why Democracy Needs Humanities*, Princeton University Press, Princeton 2010.

rozwoju naukowego i równocześnie dla mierzalnego sukcesu, opierając się nie na tym, jak aktualnie wygląda sytuacja w humanistyce, lecz jak będzie wyglądała w przyszłości. W przypadku nauk humanistycznych tak rozumiana spekulacja nie ma wyłącznie charakteru indywidualnego, lecz ma również wymiar wspólnotowy: w pewnym sensie całe dyscypliny determinują swój rozwój zgodnie z przewidywaniami dotyczącymi zmieniających się wymagań wobec humanistyki. „Urynkowienie” oraz „umiędzynarodowienie” stanowią obecnie dwa hasła wywoławcze, wskazujące na współczesne kierunki rozwoju dyscyplin w Polsce i zarazem punkty orientacyjne dla konkretnych badaczy. Pozostają one jednak na tyle niekonkretne, by odpowiedzialność za ich realizację była co najmniej niepewna: nie wiadomo bowiem, czy umiędzynarodawiać mają się poszczególni badacze, czy konkretne dyscypliny, a jeśli to drugie – to czy są za to odpowiedzialne wyłącznie uczelnie, czy raczej agendy rządowe.

Podsumowując, na kilku poprzednich stronach starałam się – bardzo skrótowo i z konieczności upraszczająco – opisać sytuację, w jakiej znajduje się współczesna humanistyka, a zwłaszcza literaturoznawstwo i kulturoznawstwo. Jest to sytuacja chaosu: coraz szerszej krytyki zewnętrznej i wewnętrznych wątpliwości oraz niepewnej przyszłości, wyznaczonej koniecznością zmiany i dostosowania się do nie do końca jasnych kryteriów oceny. Taka sytuacja sprzyja dwóm typowym postawom obronnym: albo całkowitej negacji zarzutów i zarazem odmowy wprowadzania reform, albo próby dostosowania się do krytyki przez przejście narzucanej z zewnątrz narracji, a wraz z nią kierunków rozwoju. Obie postawy są tyleż zrozumiałe, co – najczęściej – nieskuteczne. Na konieczność ich zmiany – we wcześniej przechodzącym podobny kryzys amerykańskim świecie uniwersyteckim – zwracał uwagę między innymi Stanley Fish:

Kiedy twierdzę, że należy „tłumaczyć” [to, dlaczego istnienie humanistyki jest ważne – J. T.], powinienem dodać: agresywnie tłumaczyć, chwycić byka za rogi i odrzucać żądania (inaczej zawsze się przegrywa) ekonomicznego usprawiedliwienia dotowania sztuki, odmawiać jakiegokolwiek legitymizacji mitów (na temat leniwych naukowców, którzy pracują dwie godziny tygodniowo [...]), a jeśli



trzeba, to piętnować zapędy i hipokryzję tych, którzy pragną sprawować kontrolę nad wyższą edukacją, nie mając zarazem bladego pojęcia o tym, o czym z wielką swobodą się wypowiadają.<sup>26</sup>

Ta książka jest zatem próbą oscylowania między tymi odruchami obronnymi i wyrasta z kilku przekonań. Pierwsze dotyczy faktu, że humanista powinien – w pewnym sensie – się tłumaczyć. Jednak nie z tego, co robi, ale z tego, dla czego to robi. Pod tym względem obecny kryzys humanistyki jest szansą, by to „dlaczego” zostało wreszcie usłyszane. Używam słowa „dlaczego”, nie unikając powtórzenia, ponieważ istnieje ogromna różnica między tłumaczeniem „dlaczego” i tłumaczeniem „po co”. I o ile uważam, że w pierwszym przypadku każdy ma prawo żądać odpowiedzi, o tyle w drugim odpowiedzią równie dobrze może być „nie wiem”. Ponownie, użyłam określenia „nie wiem” świadomie. Nie jest ono synonimem „po nic”: „nie wiem” oznacza, że nie da się znać ostatecznego punktu dojścia badań przed ich ukończeniem, co nie oznacza braku celu.

Drugie można by więc streścić następująco: punktem wyjścia nauki, każdej nauki, jest i była niewiedza. Startuje się zawsze od „nie wiem” i tylko czasami z wiedzą, czego dokładnie się szuka. Obecne oczekiwanie, że już od początku wie się, co się znajdzie, jest jednym z najgorszych skutków zmian w myśleniu o nauce, wynikającym z podporządkowania jej modelowi biznesowemu.

Trzecie przekonanie opiera się na świadomej rezygnacji z reakcji obronnej i uznaniu, że pytanie, dla czego humanistyka jest albo może być ważna, warto potraktować jako pytanie neutralne, a nie ukryty lub jawny atak.

#### 4. Punkty nawigacyjne

Taka właśnie postawa, która pytanie „dlaczego” bierze za dobrą monetę, jest punktem wyjścia tej książki. Nie zamierzam w niej tłumaczyć, „po co” prowadzę konkretne badania i jaką wiedzę za ich pomocą

---

<sup>26</sup> S. Fish, *The Crisis of Humanities...*

zamierzam uzyskać. Zamierzam jednak dość dokładnie wyjaśnić, dlaczego niektóre aspekty badań humanistycznych wydają mi się wyjątkowo istotne oraz dlaczego humanistyka, a literaturoznawstwo i kulturoznawstwo szczególnie, choć nie rozwijają się ani linearnie, ani nawet – jak chciałby Thomas Kuhn<sup>27</sup> – wedle zmiany paradygmatów, są wciąż istotnymi przestrzeniami ludzkiej aktywności.

Od razu jednak chciałabym zaznaczyć, że nie szukam odpowiedzi na zasadnicze pytanie „dlaczego”, nie zamierzam też diagnozować stanu współczesnej humanistyki, lecz chcę wskazać na pewne, węższe, ale moim zdaniem wciąż istotne pytania. Odpowiedź na jedno z nich dotyczy tej książki, która powstała, ponieważ chciałam zmierzyć się z postulowaną przeze mnie w jednym z wcześniej wydanych, a teraz wchodzących w jej skład tekstów, potrzebą tworzenia humanistyki oraz literaturoznawstwa służebnego. Choć tej idei poświęcę cały następny rozdział, już teraz warto o niej wspomnieć. Postulat służebności oznacza uznanie, że humanistyka posiada pewne obowiązki społeczne, które niekonieczne wynikają z dążeń tej dziedziny nauki. Wspomniane obowiązki – różnie rozumiane – stanowią zatem obciążenie dla autonomii humanistyki. Są – zgodnie z prawną intuicją, odnoszącą się do pojęcia służebności – narzucane z zewnątrz. Jednak nie są narzucane dowolnie: służebność musi dążyć do realizacji jakiegoś podstawowego dobra. Ponadto, choć określa pewne funkcje konkretnej rzeczy, nie likwiduje możliwości użytkowania jej w każdy inny sposób, który nie uniemożliwia realizacji uzasadnionej społecznie służebności. Zgodnie z tą koncepcją humanistyka może godzić się – i w rzeczywistości zazwyczaj się godzi – z pełnieniem obowiązków społecznych. Niemniej te obowiązki stanowią jej dodatkowe, a nie podstawowe pole działania.

Przedstawiając tę samą sprawę inaczej: jeśli na przykład uznamy, że humanistyka powinna angażować się w obronę podstawowych wartości, i to uznamy za jej służebność, możemy od każdego humanisty wymagać – przynajmniej w określonych momentach – takiego zaangażowania. Ale nie możemy – ani poszczególnym badaczom, ani prądom, ani kierunkom – narzucać, że ma być to ich główne lub

---

<sup>27</sup> T. Kuhn, *Struktura rewolucji naukowych*, PWN, Warszawa 1963.

jedyne zajęcie. Służebność oznacza konieczność pełnienia określonych funkcji, nie oznacza jednak nigdy redukcji do tylko tych funkcji. Określa więc pewną nadwyżkę, a nie ograniczenie.

Zakres służebności przypisywanych humanistyce może być – i bywa – różny. Ta książka uznaje za jedną z podstawowych konieczność odpowiadania na pytanie „dlaczego” i opisywania prowadzonych badań w sposób możliwie przystępny. Realizacja tych postulatów określa konstrukcję kolejnych części i rozdziałów tej publikacji. Poszczególne, teoretyczne otwarcia każdej partii, tak jak i cała część teoretyczna, do której należy również i ten rozdział, mają charakter służebny właśnie: pomyślane są po to, by włączyć nie tylko profesjonalnego odbiorcę w zakres pewnych, moim zdaniem ważnych dyskusji. Równocześnie, wspomniane konteksty traktuję jako nie w pełni autonomiczne w tym właśnie sensie, że pełnią określone, służebne funkcje oraz mają ułatwić orientowanie się wokół pewnych, istotnych nie tylko dla tej książki, lecz i szeroko pojętego literaturoznawstwa i kulturoznawstwa, problemów badawczych.

Książka ta jest utkana na kanwie trzech przeplatających się pytań. Pierwszym jest relacja między tworzeniem i komplikowaniem teorii a różnymi formami zaangażowania, rodzącymi się z podejmowanych w ich ramach problemów. Drugim jest kwestia wzajemnego rezonowania tekstów kultury i rzeczywistości, przy czym relację tę postrzegam jako dynamiczną i wzajemnie się warunkującą: poszczególne teksty kultury mogą być zarówno odpowiedzią na określoną rzeczywistość, jak i jednym z aspektów ją kształtujących. Dynamika tego procesu jest szczególnie uchwytana, gdy wspomnianą relację bada się w dwóch związanych ze sobą, ale do pewnego stopnia osobnych kluczach metodologicznych: afektywnym i pamięciologicznym. Trzecim jest pytanie o możliwość związania kilku przeplatających się aspektów humanistyki: teoretycznego, interpretacyjnego i sprawczego. Jest to również pytanie, które można wyrazić bardziej obrazowo w nawiązaniu do jednego z pierwszych przedstawionych w tej książce problemów: czy da się uprawiać humanistykę w taki sposób, by nie była ani przezroczysta, ani beużyteczna? Czy da się połączyć te wspomniane aspekty pracy humanistycznej tak, by relacje między nimi były uchwytne, by nie zatrzymywały się na jednym punkcie (a więc albo interpretacji,

albo teorii, albo zaangażowaniu), lub by jeden z aspektów nie dominował kolejnych?

O ile dwa pierwsze punkty służą nawigacji w wyborze tematów, o tyle trzeci służy jako narzędzie orientacyjne w wyborze sposobu pisania i do pewnego stopnia determinuje budowę tej książki. Pierwsza, teoretyczna część pracy wprowadza określone koncepcje i problemy – zogniskowane wokół kwestii zaangażowania oraz humanistyki służebnej – na użytek dalszych analiz. Kolejne sekcje, choć wychodzą zawsze od problemów teoretycznych, koncentrują się już na bardziej praktycznych rozwiązaniach, a dokładniej: starają się uczynić zadość przedstawionemu tu postulatowi łączenia wymiaru teoretycznego, interpretacyjnego i przynajmniej do pewnego stopnia sprawczego. Każda z nich została podzielona na rozdziały, które mają oddawać ruch od teorii, przez interpretację, do pewnej formy zaangażowania lub też – w niektórych przypadkach – tworzenia tekstu zaangażowanego. Są więc próbą odtworzenia tego ruchu w trzech polach: ekokrytycznym, pamięciowym i afektywnym.

Wybór akurat tych pól zainteresowania wymaga pewnych wyjaśnień. Są to przecież osobne dziedziny badań, charakteryzujące się odmienną metodologią. Łączącą je nicią jest jednak zaangażowanie: nie da się poruszać w obrębie wyznaczanych przez wspomniane dyscypliny problemów bez, po pierwsze, przemyślenia kwestii zaangażowania oraz roli badacza w procesie analizy, a po drugie – bez uwzględnienia własnej roli wobec i w obrębie interpretowanych fenomenów. Oczywiście, jest również wiele innych typów badań, które niejako wymuszają podobną postawę, ale nie jest ona – przynajmniej moim zdaniem – wcale tak powszechna w obrębie literaturoznawstwa czy kulturoznawstwa. Również w ramach studiów afektywnych i pamięciologicznych nie zawsze była dostrzegana i traktowana jako integralny element badań. Dopiero w ciągu ostatniego dziesięciolecia da się zaobserwować wyraźną dominację postawy zaangażowanej i – przede wszystkim – traktowania jej jako elementu procesu badawczego, który również powinien podlegać analizie<sup>28</sup>. Warto moim

---

<sup>28</sup> Znamiennym przykładem tej zmiany może być postawa historyka Otto Dov Kulki, który przez lata badał Holokaust niejako „na zimno”, a dopiero w roku

zdaniem podkreślić, że wspomniane pola zainteresowania nie tyle pozwalają na zaangażowanie, co je prowokują i czerpią własną wartość ze zdolności do osobistego angażowania zarówno naukowców, tworzących określone teorie i teksty, jak i ich odbiorców. Są więc jednocześnie angażujące, afektywne i sprawcze.

Kolejne części książki są zatem poświęcone wspomnianym trzem typom badań. Pierwsza z nich dotyczy kilku wybranych problemów ekokrytyki, wiążących się z centralną dla tej publikacji kwestią zaangażowania i służebności. Eksploruje ona problem zaangażowania w relacji do tych dyscyplin humanistyki, dla których istotny jest postulat zmiany rzeczywistości, a nie tylko poszerzenia pola dyskursu akademickiego. Ważnym punktem prowadzonych w jej ramach analiz jest funkcjonowanie narracji zwierzęcych, narracji o zwierzętach oraz szerzej – zookrytyki. Budowa tej partii książki ma ściśle określony przez problem służebności charakter. Zaczyna się od przedstawienia istotnych dla ekokrytyki zagadnień, by z nich uczynić punkt wyjścia dla rozważania, dlaczego ekokrytyka może być prądem wspierającym konkretną zmianę w myśleniu o środowisku naturalnym i jego poszczególnych elementach. Takie wprowadzenie pełni funkcję wstępu do pytania o to, jak i dlaczego ekokrytyka może pozostawać równocześnie prądem autonomicznym i zaangażowanym. Zgodnie z proponowanym w całej publikacji porządkiem, punktem dojścia oraz zarazem zakończeniem tej sekcji jest rozdział poświęcony analizie konkretnego tekstu kultury, a dokładniej: powieści Olgi Tokarczuk. Książka *Prowadź swój pług przez kości umarłych* jest analizowana jako przykład jednej z najbardziej udanych narracji upodmiotawiającej zwierzęta, niebędącej zarazem narracją zwierzęcą i niesięgającą do chwytu antropomorfizacji zwierząt.

Następna część książki dotyczy pamięci kulturowej oraz komunikacyjnej, i jest zbudowana, podobnie jak część druga i kolejne, zgodnie z zasadą przejścia od teorii do praktyki, jednak nie tylko w celu pokazania praktycznego komponentu pewnych dociekań, ale

---

2013 opublikował zupełnie inaczej sformatowaną, dotykającą również osobistego doświadczenia książkę, *Landscapes of the Metropolis of Death. Reflections on Memory and Imagination*, trans. R. Mandel, Allen Lane, London 2013.

i wytlumaczenia, jak badania nad pamięcią pełnią funkcję służebną wobec społeczeństwa oraz dlaczego ta funkcja jest i dla badań nad pamięcią, a więc dla humanistyki, i dla rozwoju społeczeństwa istotna. Podobnie jak w przypadku drugiej części, kluczowy fragment stanowi analiza wybranych tekstów kultury. W tym przypadku są to teksty bardzo różnorodne gatunkowo: poezja Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego oraz Tomasza Różyckiego zestawiona jest z analizą reportażu Świetłany Aleksijewicz.

Czwarta część wychodzi od koncepcji związanych z afektami, czyniąc z teorii afektywnych punkt startowy dla interpretacji określonych, współczesnych fenomenów. W tym przypadku polem zainteresowania nie jest już wyłącznie literatura, ale szeroko pojęte badania kulturoznawcze. Afekt używany jest w nich jako narzędzie analizy dla głęboko zakorzenionych społecznych fenomenów, które – choć są wyrażane za pomocą konkretnych tekstów kultury – daleko poza nie wykraczają. Z tego powodu w tej części interpretowane są już nie tylko dzieła literackie, lecz także filmy i seriale dokumentalne oraz reportażowe.

Podsumowanie książki nie wprowadza już nowych wątków badawczych, lecz wraca do tych, które zarysowuję w pierwszej, teoretycznej części książki, a więc pytania „dlaczego”, wedle którego można, moim zdaniem, orientować współczesną humanistykę. Stanowi również przestrzeń, w której zamierzam odnotować punkty przecięć między opisanymi tu rozdziałami książki.

Wybór akurat tych trzech pól zainteresowania jako przedmiotu badań w praktycznej części książki wynika w równej mierze z potencjału dyscyplin i charakterystycznych dla nich metodologii, jak i z dostrzeżenia, że między poszczególnymi tekstami i metodologiami dokonuje się – twórcze, angażujące i sprawcze – sprzężenie. W ramach tych części książki interesuje mnie zatem – i chcę to podkreślić bardzo wyraźnie – nie żadna z wyżej wymienionych stref osobno, nie którykolwiek z analizowanych tekstów indywidualnie, nie poszczególne teorie, lecz relacje, które zawiązują się między tymi elementami i możliwościami, jakie oferują łącznie, w dynamicznym związku, humanistyce.

Choć traktuję wspomniane części jako do pewnego stopnia osobne, wyróżniam jednak pewne punkty łączące. Punkty te rodzą się

z porównania poszczególnych dyskursów oraz analizowanych w ich ramach tekstów, które moim zdaniem usprawiedliwiają tezę o przenikaniu się zupełnie osobnych dyskursów. Wskazanie tych sfer przecięć – umyślnie piszę właśnie o przecięciach, bo nie są to sfery graniczne, nie są to peryferia sąsiadujących ze sobą dyscyplin, lecz relacje, które rodzą się w centrach określonych problemów – będzie stanowiło punkt wyjścia dla podsumowania tej książki.

## Literaturoznawstwo służebne<sup>1</sup>

### 1. Uwagi wstępne

Literaturoznawstwo, tak jak większość dyscyplin naukowych wchodzących w skład szeroko pojętej, a niecieszącej się ostatnio najlepszą prasą, humanistyki, stoi przed licznymi wyzwaniami. Próba diagnozowania, czym ma być – i jakie ma być – literaturoznawstwo zmienia się coraz częściej w pytanie o nieco bardziej dramatycznym wydźwięku: jakie literaturoznawstwo jest w stanie uprawomocnić swoje istnienie, wytworzyć – lub odtworzyć – na tyle silną pozycję, by przetrwać i nie stać się zupełnie martwym, kulturowanym tylko od czasu do czasu i z obowiązku obszarem nauki?

Dramatyzm tego pytania wybrzmiewa tym mocniej, jeśli uświadomimy sobie, że kiedy podobny problem był dyskutowany w Polsce na początku lat 2000 (czego dowodem może być między innymi wspomniana już antologia tekstów *Sporne i bezsporne problemy współczesnej wiedzy o literaturze*)<sup>2</sup>, to przybierał on formę pytania, co zrobić z dynamicznie zmieniającym się literaturoznawstwem. Wątpliwości dotyczyły więc tego, jaki kierunek rozwoju jest pożądanym i daje najlepsze perspektywy rozwoju, a nie jaki może dać przetrwanie. Kontrast ten jest widoczny zwłaszcza, jeśli porówna się wyrażane niegdyś w polskiej nauce nadzieje z raportowanym, zwłaszcza w krajach Europy Zachodniej i USA, kryzysem humanistyki. Zamiast stałej poprawy sytuacji, na którą niegdyś liczono, nastąpiło swoiste załamanie,

<sup>1</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/H52/00079.

<sup>2</sup> *Sporne i bezsporne problemy...*



niezwiązane wprost – co pokazuje na przykład omawiany w poprzednim rozdziale raport z „The Chronicle” z kryzysem ekonomicznym. Wyzwania, przed którymi stoi literaturoznawstwo teraz, zwłaszcza w kraju, który nigdy nie inwestował w naukę, a już zwłaszcza humanistykę, przesadnie wiele, nie ograniczają się już do określenia, czy powinno pozostać względnie autonomiczne i jednolite metodologicznie. Zamiast tego pojawiły się dwie klasy problemów, które można określić jako wewnętrzne i zewnętrzne. Pierwsze dotyczą tożsamości badań nad literaturą w sytuacji coraz większej ekspansji nowych subdyscyplin naukowych zorientowanych wokół szeroko rozumianych studiów kulturowych oraz otwierania się na nauki inne niż humanistyczne. W drugim zaś przypadku trudności literaturoznawstwa wynikają wprost z kłopotów humanistyki jako takiej, coraz śmiej krytykowanej za nieprzystawanie do współcześnie preferowanego modelu nauki. Dodatkowym problemem, którego nie można, moim zdaniem, zbyć tylko paroma słowami, jest coraz słabsza pozycja nauki o literaturze we współczesnym systemie nauki. Nowa reforma nauki przypisała literaturoznawstwu najniższy możliwy współczynnik kosztochłonności, czyniąc z niej dyscyplinę nieopłacalną dla uniwersytetów i instytutów naukowych<sup>3</sup>. Zjawisko coraz gorszego finansowania literaturoznawstwa i prób „wygaszania” kierunków humanistycznych nie jest oczywiście charakterystyczne wyłącznie dla Polski. Możemy obserwować jego rozwój od co najmniej 10 lat, nawet w przypadku krajów i uniwersytetów dysponujących o wiele większymi środkami<sup>4</sup>.

Zmiana w finansowaniu polskiej nauki ma wynikać z obiektywnego kryterium kosztochłonności, po raz kolejny powielającego przekonanie, że humanistom do pracy wystarczy długopis i kartka papieru. Tymczasem – jak pokazuje między innymi cytowany już raport – odpowiedzią na krytykę „klasycznej” humanistyki jest powstawanie jej nowych dziedzin, wymagających użycia coraz bardziej

---

<sup>3</sup> Obecnie wprowadzona skala i tak nie jest – zgodnie z informacjami, jakie podaje MEiN, tak niekorzystna, jak mogłaby być, opiera się bowiem na skali 1–4, a nie skali 1–6 jak w pewnym momencie postulowano. Por. „Konstytucja dla Nauki” oraz <https://konstytucjadlanauki.gov.pl/ile-kosztuje-prowadzenie-badan-jest-nowe-rozporzadzenie-kosztochlonnosc> [dostęp: 20 stycznia 2020].

<sup>4</sup> Por. S. Fish, *The Crisis of Humanities...*

zaawansowanych technologii (jak humanistyka cyfrowa, humanistyka środowiskowa, humanistyka energetyczna, humanistyka architektoniczna – by wymienić te lepiej znane<sup>5</sup>). Za deklaratywnie obiektywnym kryterium stoi więc coś innego: arbitralna ocena przydatności społecznej. W jej wyniku te wszystkie dyscypliny, które nie zajmują się niczym „konkretnym” i „drogim”, choćby tylko w pewnym zakresie swojej działalności, skazane zostały na radykalne odcięcie od środków. Jednocześnie postępuje rozdzielanie oceny użyteczności dyscypliny i jej poziomu naukowego, nietrudno również zauważyć, że coraz częściej wyniki poszczególnych dyscyplin podlegają manipulacjom<sup>6</sup>. W krytyce humanistyki nie chodzi zatem wcale o „lepszość” czy o „międzynarodowość”. Chodzi o „przydatność”, która może (ale oczywiście wcale nie musi) jakoś usprawiedliwiać koszty. Bo to, że nauka na światowym poziomie kosztuje, staje się powoli powszechnie akceptowanym faktem. Jednak widoczne jest, że nie każda dyscyplina ma taką samą szansę na to, że zostanie uznana za wartą inwestowania: nawet gdyby na przykład filozofia w Polsce rozwijała się fantastycznie, raczej mogłaby tylko pomarzyć o finansowaniu, które pozwoliłoby pchnąć ją do nawiązania mniej więcej równej konkurencji z zagranicznymi ośrodkami. Co więcej, jeśli zmiany zachodzące na zachodnich

---

<sup>5</sup> J. J. Williams, *The New Humanities*, „The Chronicle...”, s. 26.

<sup>6</sup> Istnieją już dość zaawansowane analizy, pokazujące, że humanistyka nie tylko nie jest „kulą u nogi” polskiej nauki, lecz wręcz przeciwnie: jest lub mogłaby być jej siłą napędową. Stosunkowo skromne, nawet jak na polskie warunki środki, przeznaczane na humanistykę za pomocą różnych źródeł, przynoszą „obiektywnie i mierzalnie” lepszy zwrot, niż w przypadku innych dyscyplin (gdą zwrot ten mierzy się i pozycją polskich wydziałów humanistycznych wśród światowych, i liczbą najbardziej prestiżowych grantów ze środków unijnych). Paradoxem jest więc, że jeśli rzeczywiście w kolejnych reformach chodzi o innowacyjność i międzynarodowość polskiej nauki odcina się finansowanie dyscyplinom, które dobrze rokują i które mogłyby podjąć mniej więcej równą walkę z częścią znacząco lepiej finansowanych ośrodków zagranicznych. Dla porównania: w roku 2018 dwa z czterech otrzymanych grantów ERC (Starting Grant European Research Council) otrzymali humaniści, Tomasz Żuradzki i Michał Nemeth, a po jednym – nauki matematyczne i biologiczne. W roku 2019 sytuacja wygląda jeszcze bardziej niepokojąco w obliczu ganienia polskiej humanistyki: jedyną laureatką związaną z polskimi ośrodkami w przypadku grantu Consolidator była pracująca w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN Valentina Lepri.

uniwersytetach stanowią dla kierunków rozwoju polskiej nauki jakąś wróżbę, to wkrótce problem ten dotknie nie tylko humanistów:

Często rozwijana metafora „dwóch kultur” [naukowych] bywa przywoływana dla wyjaśnienia pozycji, jaką obecnie zajmuje humanistyka, jak gdyby istniała bezpośrednia konkurencja między humanistyką a naukami ścisłymi, w której tradycyjna humanistyka opiera się postępowi w naukach ścisłych. Ale „czysta” nauka jest również pod presją. Fizyk teoretyczny będzie miał podobne kłopoty ze znalezieniem zatrudnienia, co teoretyk literatury. Jeśli istnieją teraz dwie kultury, to są to kultury natychmiast aplikowalnych dyscyplin vs. sztuki i nauki (...).<sup>7</sup>

Podsumowując, jak pokazuje nie tylko polska reforma nauki, poziom dyscypliny liczy się tylko wtedy, jeśli sama dyscyplina jest uznawana za przydatną. Problem użyteczności ma jednak swoje dość subtelne odcienie. Określone teorie i kierunki są przydatne zawsze „do czegoś” lub „dla kogoś” i w „czyjejs ocenie”. Nie ma czegoś takiego jak zupełnie obiektywna, niezależna od aktualnych poglądów przydatność.

Nawet dyscypliny obecnie uważane za absolutnie kluczowe i warte inwestowania, nie zawsze tak były postrzegane: zazwyczaj, kiedy dyskutuje się na temat warunków finansowania badań, jako najważniejsze wymienia się nauki o życiu, a dokładniej medycynę. Dokładnie tę samą medycynę, której rozwój przez lata podlegał i dalej podlega religijnym ograniczeniom (kiedyś związanych zwłaszcza z niechętnym traktowaniem eksperymentów oraz badań prowadzonych na zwłokach, ale nie tylko, dziś – ze skomplikowanym statusem etycznym komórek macierzystych, embrionów etc.).

Nie zamierzam rozwijać tu popularnego argumentu, że humanistyka, a zwłaszcza jej krytyczna odmiana, nie otrzymuje finansowania ponieważ jest – z punktu widzenia rządzących, i to nie tylko aktualnie – wręcz szkodliwa. Nie zamierzam go powielać nie dlatego, że uznaję go albo za oczywiście prawdziwy, albo niedyskutowalnie fałszywy, ale ponieważ myślę, że jest on w pewnym sensie bezprzedmiotowy.

---

<sup>7</sup> J. J. Williams, *The New Humanities...*, s. 27.

Jeśli tak jest w istocie, nie uda się raczej tej postawy zmienić przez proste ujawnienie mechanizmu niechęci. Jeśli tak nie jest, w niczym to nie pomoże: nie ma praktycznej różnicy, między działaniem, jakoby humanistyka była rządzącym nie na rękę, i działaniem faktycznym nie wynikającym z chęci ograniczenia jej wpływu. Jednym słowem: z rozważania tego argumentu nie wyniknie żadna zmiana, natomiast szansę na nią dają inne, oddolne poczynania.

Piszząc o oddolnych poczynaniach nie mam na myśli – ponownie – kontestowania konkretnych reform lub innych reakcji obliczonych na polityczną zmianę. Nie dlatego, że uważam takie działania za zbędne: przeciwnie, uznaję, że akceptacja, choćby bierna, nowego typu zarządzania nauką wskazuje na silny podział środowiska akademickiego, zorientowanego na poprawę – lub utrzymanie – losu własnej dyscypliny, a nie na wypracowanie spójnego systemu finansowania i oceniania nauki. Jednak wszelkie tego typu działania mają raczej niewielki wpływ na to, jak humanistyka jest społecznie postrzegana, a warunki i cele finansowania nauki pozostają raczej na obrzeżu politycznych zainteresowań obywateli. Nawet więc osiągnięcie konkretnego politycznego (i finansowego) celu niekoniecznie przełożyłoby się na szerszą, moim zdaniem co najmniej równie ważną, zmianę w postrzeganiu funkcji i celów humanistyki.

Co zatem można zrobić oprócz komentowania słabej obecności, i to słabej raczej finansowo niż merytorycznie, sytuacji polskiej humanistyki? Jak włączyć przynajmniej tę część społeczeństwa, którą choć trochę interesują losy polskiej nauki w dyskusję na temat jej obecnego stanu? Można, moim zdaniem, zrobić coś, co robiono niegdyś zdecydowanie częściej i ze zdecydowanie lepszą wolą: zacząć ponownie rozmawiać na temat tego, po co tak właściwie jest nam humanistyka i co jej zawdzięczamy, nie jako naukowcy, nauczyciele czy uczniowie, ale jako ludzie i obywatele. Następne części tego rozdziału będą poświęcone próbie rekonstrukcji stanu, w jakiej znalazła się polska humanistyka oraz pokazaniu, że być może drogą wyjścia z impasu może być przyjęcie pewnej kompromisowej wizji funkcji i zadań humanistyki.

## 2. Humanistyka w defensywie

Przez lata pewne wartości, wypracowane i upowszechnione właśnie przez humanistykę stały się praktycznie niewidoczne. Stały się częścią naszego świata, o wiele lepszego dla właściwie wszystkich bez wyjątku (poza być może najbardziej uprzywilejowanymi grupami społecznymi), niż 150 lat temu. Pod tym względem humanistyka odniosła więc sukces: udało się spełnić sporo istotnych postulatów, a konkretne idee, jak chociażby idea wolności, równości i dążenia emancypacyjne odmiennych, wcześniej radykalnie dyskryminowanych grup społecznych, zyskały stałą rozpoznawalność. Oczywiście, ich realizacja nie jest pełna, a uznanie ich słuszności wcale nie jest podzielane powszechnie. Niemniej stały się one częścią rzeczywistości i zyskałyśmy nowe języki oraz narzędzia dla ich analizy. Ta sytuacja nie przekłada się jednak na polepszenie współczesnego statusu humanistyki, ani też na budowanie zaufania, że w dalszym ciągu wytwarza ona istotne, choć czasem trudno (lub długo) przekładalne na postęp społeczny koncepcje. Sytuacji nie poprawia również wskazywanie na transfer teoretycznych pomysłów na działania o charakterze politycznym czy społecznym<sup>8</sup>.

Nie da się również – a przynajmniej nie jest to łatwe zadanie – skatalogować szczególnie istotnych pomysłów, teorii czy idei, by śledzić ich wpływ na konkretne kwestie społeczne. Zadanie „usprawiedliwienia” humanistyki jest tym trudniejsze, im większa jest nieufność – budowana niekiedy umyślnie – wobec przedstawicieli tej nauki i przede wszystkim wobec koncepcji, które utrudniają proste samozadowolenie.

---

<sup>8</sup> Przykładem takiego transferu z ostatnich lat jest między innymi współczesna polityka pamięciowa i historyczna, czerpiąca bardzo mocno, choć w ograniczony i selektywny sposób, z ustaleń badań nad pamięcią. Równocześnie, dominujące politycznie ramy pamięci odcinają się zupełnie od krytycznego pamięcioznawstwa, dokonując zapożyczenia określonych narzędzi budowania pamięciowej tożsamości bez akceptacji pełnych ustaleń dotyczących m.in. zagrożeń wynikających z tworzenia zamkniętych, narodowych wizji pamięci. Jest to moim zdaniem przykład szerszego zjawiska, które polega na oddzielaniu szczególnie płodnych humanistycznych idei i koncepcji od ich macierzystego gruntu, by wykorzystać ich potencjał w selektywny sposób.

I tu dochodzimy do sedna problemu. Humanistyka nigdy, w żadnym momencie swojego rozwoju, nie była przydatna, ponieważ w prosty sposób ułatwiała życie i rozumienie świata. Jej zadaniem było zawsze zadawanie pytań, które na początku raczej komplikują odbiór rzeczywistości. Idea powszechnych praw człowieka i uznania równości ludzi nie była łatwa do akceptacji i niczego nie upraszczała tym, którzy byli ówczesznie uprzywilejowani. Przeciwnie, komplikowała świat, pokazując ukryte problemy i nierówności. Zamiast ułatwiać, utrudniała, bo nie ma nic prostszego niż uznanie „naturalnej nierówności” jako usprawiedliwienia wyzysku, tak jak obecnie uznawanie migrantów za „nielegalnych imigrantów” ułatwia etyczne (i prawne) usprawiedliwienie faktu braku pomocy.

Przydatność humanistyki polega więc, wbrew pozorom, nie na wyjaśnianiu świata tak, by był łatwy do pojęcia i by można w nim było spokojnie funkcjonować, lecz na dotykaniu tych sfer, które wydawały się niedyskutowalne i wydawały się dobrze funkcjonować. Jej użyteczność opiera się więc na zdolności do komplikowania i podważania utartych już schematów myślowych, na czynieniu świata najpierw zdecydowanie trudniejszym w odbiorze, nie zaś – łatwiejszym.

Jak zatem w dobie nauki rozliczanej z doraźnej przydatności mają sobie radzić dyscypliny, których użyteczność ma zdecydowanie bardziej odroczony charakter? Czy da się je – w jakikolwiek sposób – wpisać w nowy, ściśle mierzony, choć za pomocą dość arbitralnie ustalonych kryteriów, system rozwoju i finansowania nauki? Jak ograniczyć patologiczne zmiany, które polegają na wprowadzaniu konkurencji między poszczególnymi dyscyplinami, zamiast w ich obrębie? Jak pokazać, że stosowanie tych samych kryteriów wobec różnych dyscyplin nie ma sensu?<sup>9</sup>

---

<sup>9</sup> Kuriozalność tego faktu byłaby może lepiej widoczna, gdybyśmy przełożyli naukową rywalizację na rywalizację sportową: czy naprawdę słuszne byłoby uznanie, że – gdy na przykład uznajemy, iż piłka nożna jest najbardziej popularną i dochodową dziedziną sportu – wszyscy sportowcy rywalizują ze sobą zgodnie z kryteriami charakterystycznymi dla tego sportu? Oczywiście, w niektórych przypadkach konkurencja – w przypadku nauki – toczy się między przedstawicielami tych samych dyscyplin. Niemniej, dalej toczy się wedle uniwersalnych, niedostosowanych do poszczególnych dyscyplin kryteriów. Na przykład: w wielu

Jedynym sposobem na zmianę tego stanu rzeczy jest radykalne zerwanie z dotychczasowym modelem uzasadniania humanistyki, który można określić jako defensywny. Ciągłe usprawiedliwianie własnego istnienia i występowanie z pozycji petenta, który stara się spełnić najdziwniejsze nawet, centralnie narzucane wymagania, nie przyniesie – i nie przyniosło – nic dobrego, jak zauważył już dziesięć lat temu Stanley Fish w artykule *The Crisis of Humanities Officially Arrives*, postulując „agresywne” wyjaśnianie własnych poglądów zamiast potulnego tłumaczenia<sup>10</sup>.

Warto moim zdaniem przyjrzeć się sposobom radzenia sobie z tym postępującym kryzysem humanistyki i prześledzić, jakie przynosi skutki – także dla strategii poszukiwania odpowiedzi na pytanie o przydatność danego kierunku – w przypadku konkretnej dyscypliny badań naukowych: literaturoznawstwa.

### 3. Kłopoty humanistyki problemami literaturoznawstwa

Obserwując współczesne spory dotyczące przyszłości humanistyki nie sposób oprzeć się wrażeniu, że teraz – bardziej niż kiedykolwiek – wysiłek badaczy nakierowany jest nie tyle na rozwój poszczególnych dyscyplin, lecz na ich utrzymanie i uzasadnienie faktu, że w ogóle istnieją. Zamiast pytać o kształt literaturoznawstwa czy potencjał jego rozwoju większość osób uprawiających tę dyscyplinę naukową zastanawia się, jak ją – wraz z innymi dyscyplinami szeroko rozumianej humanistyki – ocalić<sup>11</sup>.

---

dyscyplinach rzeczywiście artykuły naukowe są dobrym sposobem mierzenia wyników pracy. Ale w przypadku badań humanistycznych, zwłaszcza literaturoznawstwa, filozofii, ale także i kulturoznawstwa, to książki pozostają głównym sposobem wyrażania i przekazywania idei. Mimo to, wszyscy badacze rozliczani są wedle tych samych zasad. Oznacza to, że badacz, który chce zdobywać granty, musi dostosować się do sposobów ich rozliczania, a nie do tego, jak rzeczywiście buduje się karierę naukową, także w międzynarodowym obiegu.

<sup>10</sup> S. Fish, *The Crisis of Humanities...*

<sup>11</sup> Stwierdzenie to nie ma charakteru zarzutu, służy jedynie opisaniu niezbyt komfortowej sytuacji uprawiania konkretnych dyscyplin. Sama uznaję się w tym

Oczywiście, humanistyka nie po raz pierwszy znalazła się w ogniu zarzutów o nienaukowość i nie pierwszy raz każe się jej stawać w szranki z matematyką czy biologią. Obecna krytyka humanistyki przypomina dobrze znane pozytywistyczne zarzuty wobec tego wszystkiego, co nie wpisuje się w jasny model funkcjonowania nauk ścisłych. Dawniejszą formą samoobrony przed takimi zarzutami był przełom antypozytywistyczny z jego silnym przekazem o wartości tych wszystkich badań, które wcale niekoniecznie są powtarzalne i nie zawsze intersubiektywnie komunikowalne, ale wciąż wiele mówiące o nas samych oraz otaczającym nas świecie. Pomysł Wilhelma Windelbanda, wspierany i kontynuowany przez Heinricha Rickerta<sup>12</sup>, który sprowadzał się do rozdzielenia nauk nomotetycznych i idiograficznych przy równoczesnym dowartościowaniu tych ostatnich działał jednak – jak już wiemy – tylko przez jakiś czas. Tak jak tylko przez jakiś czas koncepcje Wilhelma Diltheya czy Henri Bergsona uprawomocniały zręby przełomu antypozytywistycznego i dostarczały argumentów na rzecz bardziej holistycznego rozumienia funkcji humanistyki oraz jej poszczególnych dyscyplin<sup>13</sup>. Przełom ten był także – co okazało się dopiero po pewnym czasie – wyłomem w koncepcjach czegoś, co z braku lepszego określenia można nazwać „nauką czystą”. Otdąd nauka zaczynała mieć także inne, społeczne obowiązki.

Ta zmiana, początkowo dla humanistyki pożyteczna, z czasem stała się dodatkową komplikacją jej i tak niepewnego statusu. Jakakolwiek nauka, by zyskać aprobatę oraz finansowanie, jest teraz równocześnie rozliczana ze swojej – w różny sposób rozumianej – naukowości oraz użyteczności (a fakt, że te dwie cechy nie są ze sobą w żaden konieczny sposób związane, dość często w publicznych dyskusjach po prostu umyka). To zaś sprawia, że – paradoksalnie – kiedyś sytuacja była łatwiejsza: poszczególne kierunki czy dyscypliny rozliczano wyłącznie

---

przypadku za część wzmiankowanej tu grupy, która – czy chce tego, czy nie – czuje przymus tłumaczenia się z własnych działań i szukania ścieżek „usprawiedliwienia” istnienia humanistyki.

<sup>12</sup> Por. *Neokantyzm badeński i marburski*, red. A. J. Noras, T. Kubalica, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2011.

<sup>13</sup> Por. A. Przyłębski, *Hermeneutyczna antropologia Wilhelma Diltheya*, „Analiza i Egzystencja” 2012 nr 19.



z ich naukowości. Dzięki temu każda dziedzina humanistyki o ugruntowanej metodologii i jasno określonym przedmiocie badania miała przynajmniej podstawowe narzędzia dla obrony swojego dobrego imienia.

Próba tego typu uzasadnienia naukowej użyteczności literaturoznawstwa w Polsce przyczyniła się do jego postępującego – w okresie przed licznymi przełomami (a zwłaszcza kulturowym) – zamknięcia. Nadmierne chronienie jedności i unikalności literaturoznawstwa było o tyle niebezpieczne, że zamiast stopniowej ewolucji dochodziło niekiedy do rewolucji, w których poszczególne mody metodologiczne zaczynały rządzić praktycznie całą dyscypliną. Równocześnie, wraz z rozluźnieniem granic między poszczególnymi metodologiami, literaturoznawstwo – z początku w sposób prawie niezauważalny – zaczęło korodować, rozpuszczać się w kolejnych dyskursach.

Pod tym względem literaturoznawstwo płaciło tę samą, wysoką cenę za próbę odnalezienia się w nowej i nowoczesnej nauce, co cała humanistyka, od której zaczęto nagle wymagać już nie tylko naukowości, ale i użyteczności, najlepiej nie tylko społecznej. W tych poszukiwaniach literaturoznawstwo, niejako „z natury” bardziej oddalone od nauk społecznych niż socjologia czy psychologia, jest na szczególnie trudnej pozycji. Jak bowiem można współcześnie uzasadnić chęć utrzymania dyscypliny naukowej, której głównym celem jest interpretowanie teksów, choćby i najszerzej rozumianych? Jak znaleźć dla literaturoznawstwa miejsce w coraz bardziej zagrożonej humanistyce i jak zorientować je wobec innych nauk? Czy lepsze jest walczenie o autonomię, czy negocjowanie sojuszy? Wydaje mi się, że aby spróbować odpowiedzieć na te pytania warto zacząć od określenia, jak nauka o literaturze powinna odnosić się do nauk o kulturze właśnie i – co jeszcze ważniejsze – jak powinna traktować swoje „społeczne obowiązki”. Te kwestie są moim zdaniem nierozzerwalnie ze sobą związane.

#### 4. Między teoriami

By spróbować odpowiedzieć na te pytania, warto moim zdaniem nieco przeformułować całą tezę o kryzysie humanistyki. Jak zauważa chociażby Paul Jay w swej wydanej kilka lat temu książce *The Humanities „Crisis” and The Future of Literary Studies*<sup>14</sup>, wyzwania, przed jakimi stoi humanistyka wcale nie mają charakteru kryzysu: są stałe, a wątpliwości i zarzuty wobec nauk humanistycznych powtarzają się od dziesięcioleci. Pytanie o praktyczną użyteczność dokonań, tak jak i konflikt między nauką rozumianą jako opowiadającą się za bezwzględną wartością wiedzy oraz wartościującą tę wiedzę ze względu na jej potencjalną użyteczność są zdaniem Jay’a praktycznie niezmiennie:

W tym momencie główne pytanie o użyteczność humanistyki, które dzisiaj zadajemy rutynowo, zaczyna się przekształcać. Coraz ważniejsze stają się inne: czy humanistyka jest istotna, ponieważ zajmuje się dziedziną wiedzy, która powinna być zachowana, czy dlatego, że dostarcza istotnych umiejętności? Czy humanistyka to bardziej historyczne i etyczne przedsięwzięcie, czy raczej powinna dążyć do uczenia retorycznych, analitycznych, czytelniczych i krytycznych umiejętności?<sup>15</sup>

Jay wskazuje na powtarzalność krytyki humanistyki oraz dróg jej obrony, powołując się nie tylko na jej współczesną odmianę, ale między innymi na wypowiedzi Marjorie Perloff z roku 1997<sup>16</sup> i porównując je z argumentacją Terry’ego Eagletona<sup>17</sup> z książki opublikowanej 14 lat wcześniej. Badacz uznaje, że obrona humanistyki, opierająca się na wskazywaniu jej użyteczności (a więc udowadnianiu,

<sup>14</sup> P. Jay, *The Humanities „Crisis” and The Future of Literary Studies*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2014, s. 7–33. <sup>15</sup> Tamże, s. 27.

<sup>16</sup> Por. M. Perloff, *Crisis in the Humanities* (1997) <http://writing.upenn.edu/epc/authors/perloff/articles/crisis.html> [dostęp: 10 luty 2020].

<sup>17</sup> Por. T. Eagleton, *Literary Theory: An Introduction*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1983.

że humanistyka dostarcza konkretnych narzędzi i umiejętności, które mają praktyczne zastosowanie), bywa niebezpieczna:

Zarówno tradycjoniści, jak i liberałowie obawiają się przeceniania praktycznych umiejętności: tradycjoniści boją się, że oderwą one uwagę od głównej misji humanistyki, którą ich zdaniem jest kulturowa piśmienność, a liberałowie nie chcą, by skupienie na praktycznych umiejętnościach przekładało się na łączenie interesów humanistów i wielkich korporacji.<sup>18</sup>

Dostrzegana przez Jay'a niechęć wobec „praktycznej” strony humanistyki wynika więc w sporym stopniu z obawy, że coś, co jest częścią umiejętności każdego wykształconego w tej dziedzinie nauki człowieka i zaledwie jednym z wielu aspektów dyscypliny stanie się jej dominantą.

Jay sugeruje zatem zmianę w myśleniu o zjawisku określanym jako „kryzys” humanistyki, a przede wszystkim odejście od przekonania, że ma on jakikolwiek związek z realnymi faktami dotyczącymi działania konkretnych typów badań naukowych (a zwłaszcza z określanym niekiedy jako fakt przekonaniem, że „prawdziwa nauka” dynamicznie się rozwija, a humanistyka stoi w miejscu).

Niemniej, jak wskazuje badacz, literaturoznawstwo znajduje się na przecięciu co najmniej dwóch potrzeb i wyzwań, które trzeba pogodzić: z jednej strony coraz wyraźniej dostrzegana jest potrzeba mówienia o literaturze jako o części szerszej, kulturowej i społecznej całości, z drugiej zaś tym silniej zarysowuje się konieczność zachowania autonomii badań nad literaturą i wskazania jej wartości. W dobie kolejnych „kryzysów” zmieniała się pozycja literaturoznawstwa w obrębie humanistyki: przez długi czas literaturoznawstwo było swoistą awangardą metodologiczną, wyznaczającą pola nowych problemów teoretycznych i narzędzia ich badania, teraz jednak to uprzywilejowane miejsce jest coraz częściej zagrożone.

Jeszcze do lat 70. xx wieku literaturoznawstwo było pod tym względem w wyjątkowo korzystnej sytuacji: nawet, gdy tworzone

---

<sup>18</sup> P. Jay, *The Humanities „Crisis”...*, s. 29.

nowe dyskursy czy dyscypliny badawcze, to opierały się one albo na narzędziach badawczych wykształconych w obrębie nauki o literaturze (jak w przypadku początków filmoznawstwa czy badań narratologicznych), albo – przynajmniej – mogły się one także do literaturoznawstwa stosować. Literaturoznawstwo było więc polem szeroko rozumianej wymiany koncepcji, którą dobrze opisuje metafora „wędrowania pojęć”, stworzona przez Mieke Bal<sup>19</sup>. Zjawisko to, rozumiane jako stopniowe przechodzenie pojęć z jednej nauki do drugiej, skorelowane z ich powolną ewolucją, było odpowiedzialne z jednej strony za tworzenie pewnej wspólnej przestrzeni, w obrębie której humaniści mogli prowadzić badania inter-, a później i transdyscyplinarne, z drugiej jednak przyczyniło się również do stopniowego rozszarpięcia granic między poszczególnymi dyscyplinami i metodologiami.

Stan ten uległ jednak – w toku licznych „zwrotów” – zmianie i nic nie zapowiada, by miał szybko wrócić do wcześniejszej normy. Literaturoznawstwo stało się miejscem szeroko pojętej negocjacji: negocjowane są i problemy, którym warto poświęcać uwagę, i tryby ich postrzegania oraz opisywania, i wreszcie relacje, które ta dyscyplina badawcza nawiązuje z innymi. Coraz częściej – to stanowisko i mnie jest bliskie – uznajemy, że literatura jest autonomicznym, ale jednak jednym z fenomenów kulturowych, a jej badanie z konieczności wymaga pozostawania otwartym na wpływy innych metodologii. Wszelkie próby analizowania literatury jako przestrzeni, która jest uwikłana w wieloznaczne i wielowarstwowe relacje ze światem pozaliterackim oraz pozatekstowym są równocześnie obiecujące i zagrażające. Obiecujące, gdyż często pozwalają powiedzieć więcej, niż wcześniej było możliwe, zagrażające, gdyż nierzadko literatura staje się w nim niesamodzielnym przedmiotem badania, ale jedynie przykładem jakiejś tezy.

Najpoważniejszym wewnętrznym problemem, przed jakim stoi literaturoznawstwo, jest więc konieczność wypracowania takiego modelu funkcjonowania, by z jednej strony nie odcinało się od szeroko pojętych studiów kulturowych, a z drugiej strony nie stało się tylko

---

<sup>19</sup> M. Bal, *Travelling Concepts in the Humanities. A Rough Guide*, University of Toronto Press, Toronto 2002.

i wyłącznie rezerwuarem pewnych narzędzi teoretycznych, których używa się o tyle, o ile są przydatne z punktu widzenia nowych subdyscyplin. Nawiązując do uwag Jay'a: literaturoznawstwo nie może dać się sprowadzić do roli „skrzynki z narzędziami”, ale i nie może zapominać, że wytworzyło i wytwarza ich całkiem imponujący zestaw. Nie sposób z niego (i nie warto) zrezygnować, gdyż może on być nieocenionym wsparciem dla literaturoznawstwa, pozwalającym na odświeżanie i poszerzenie pola zainteresowań. Jednocześnie jednak, ich multi lub transdyscyplinarne użycie oraz otwarcie na inne dyscypliny badawcze, szczególnie zaś kulturoznawstwo, wymaga zwiększonego namysłu nad zagadnieniem autonomii literaturoznawstwa. Nietrudno o taką sytuację, w której teksty literackie i ich analiza staną się jedynie ilustracją lub przykładem słuszności jakiejś teorii albo sposobem budowania przydatnych narzędzi lub umiejętności.

Na to niebezpieczeństwo zwracał uwagę również Ryszard Nycz, znany przecież z raczej pozytywnego stosunku do otwarcia badań nad literaturą na wyzwania charakterystyczne dla badań nad kulturą, wskazując, że to tekst powinien znajdować się w centrum naszego zainteresowania, a wcale nie konieczne określona teoria czy moda metodologiczna:

Praca nad tekstem – ta koronna konkurencja literaturoznawczej profesji – to zarazem praca z tekstem i praca tekstem. Czynność ostatnia jest kluczowa i, w moim przekonaniu, specyficzna dla działalności humanistycznej. (...) Tekst jest w pracy humanistycznej jednocześnie obiektem, partnerem i przewodnikiem (...).<sup>20</sup>

Pod tym względem wyzwaniem – w pozytywnym rozumieniu tego słowa – są metodologie zorientowane na problem, a nie na konkretną dyscyplinę badawczą (jak badania nad pamięcią, eko-krytyka, badania nad afektem, traumą, doświadczeniem, i tak dalej). Są one – jak zauważa między innymi wzmiankowany już wcześniej Jay – przykładem otwarcia dyscypliny na konieczność specyficznie

---

<sup>20</sup> R. Nycz, *Poetyka doświadczenia. Teoria – nowoczesność – literatura*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2012, s. 10.

pojętego zaangażowania, w którym poszczególne teorie i metodologie wywodzące się z humanistyki służą także analizie pozatekstowych problemów. Ich użycie czyni zadość zarówno postulatowi autonomii określonej dziedziny badań, jak i jej zaangażowania. Ponadto, jak twierdzi Jay, ten rodzaj zaangażowania humanistyki nie jest przecież niczym nowym, nie jest też czymś, co ograniczałoby możliwości jej rozwoju lub rugowało teksty z pierwszej linii zainteresowań literaturoznawcy.

Tezy badacza, które tu przytaczałam, stanowią istotny głos w dyskusji o humanistyce zaangażowanej, dyskusji, która wydaje się mieć teraz bardzo duże znaczenie. Stale się odnawiający konflikt między humanistyką autonomiczną a zaangażowaną może być bowiem – choćby dla literaturoznawstwa – nie destrukcyjny, lecz wbrew pozorom i użyteczny, i odświeżający.

## 5. Humanistyka – zaangażowana czy autonomiczna?

Kilka lat temu odbyła się ważna i potrzebna dla polskiej humanistyki, a zwłaszcza literaturoznawstwa oraz studiów kulturowych, dyskusja nad książką Michała Pawła Markowskiego *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*<sup>21</sup>. Kolejna publikacja szeroko uznanego polskiego badacza została szybko skrytykowana przez także cieszącego się zasłużonym uznaniem Jana Sowę, który w swym opublikowanym na łamach „Tekstów Drugich” artykule jasno i wyraźnie dał do zrozumienia, że ta wizja humanistyki, którą proponuje Markowski, zupełnie mu nie odpowiada.

Spory między naukowcami, zwłaszcza, jeśli mają w tle zarówno lekki konflikt pokoleniowy, jak i odmienne nastawienie badacza, nie są niczym nadzwyczajnym, nawet gdy – jak ten – przybierają formę dość zażartej polemiki. Istotniejsze jest jednak – i dlatego się do tego sporu odwołuję – to, że Markowski i Sowa stoją na dwóch różnych,

---

<sup>21</sup> M. P. Markowski, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Universitas, Kraków 2013.

skrajnie od siebie oddalonych pozycjach. Pierwszą z nich można by z grubsza określić jako poparcie dla humanistyki autonomicznej, drugą zaś dla humanistyki zaangażowanej. Obie te wizje ścierają się w polskich dyskusjach nad przyszłością humanistyki nie pierwszy raz, niemniej to starcie jest wyjątkowo obrazowe.

By pokazać symptomatyczność tego konfliktu warto zacytować fragment polemiki Sowy, opublikowanej – wraz z odpowiedzią Markowskiego, do której jeszcze wrócę – w „Tekstach Drugich” w 2014 roku:

Problem z książką Markowskiego polega raczej na tym, że przez ostatnie dwadzieścia lat zmienił się świat, a wraz z nim humanistyka, natomiast Michał Paweł Markowski po raz kolejny powtarza diagnozę, którą stawiał już wielokrotnie i która od książek o Derridzie i Nietzschem zasadniczo się nie zmieniła. Sprowadzić ją można do postulatu rozbudowy interpretacji świata – a wraz z nią interpretacji literatury i życia – przez mnożenie kontekstów, wymiarów i perspektyw teoretycznych gwarantujących – ponoć – lepsze uchwycenie sensu zarówno własnego doświadczenia życiowego, jak i otaczającej nas rzeczywistości kulturowej. Na tym ma zasadniczo polegać owa „dyskursywna wrażliwość” (...).<sup>22</sup>

Sowa krytykuje książkę Markowskiego z kilku niezależnych powodów. Niezmiennosć tez i koncepcji autora *Polityki wrażliwości* jest tylko jednym z nich. Drugim, ważniejszym, jest fakt, że dawny mistrz mówi do swojego dawnego ucznia w języku, którego ten nie akceptuje. A to dlatego, że język ten jest – oczywiście sporo upraszczając – językiem nie nastawionym na kontakt. To raczej język sztuki:

Markowski (...) artykułuje w ten sposób swój program, który jest w zasadzie pomysłem na uprawianie sztuki, a nie na tworzenie wiedzy. Jestem osobiście jak najdalej od przykrawania humanistyki do epistemologicznych i instytucjonalnych wzorów nauk ścisłych czy przyrodniczych. Byłby to jej koniec. Ratunek przed podobną

---

<sup>22</sup> J. Sowa, *Humanistyka płaskiego świata*, „Teksty Drugie” 2014 nr 1, s. 193–194.

redukcją (...), który Markowski proponuje, jest jednak (...) poważnym zagrożeniem, bo sprowadza się bowiem do rozpuszczenia jej w innej praktyce ludzkiej, a mianowicie w twórczości artystycznej. Cały sens i wartość uprawiania teorii/filozofii/humanistyki polega na tym, że jest nieredukowalna ani do nauk ścisłych, ani do twórczości artystycznej.<sup>23</sup>

Jan Sowa, występując przeciwko propozycji Markowskiego występuje także – w swoim rozumieniu – w obronie autonomii humanistyki. Ta autonomia nie jest jednak definiowana jako wyzwolenie ze społecznych obowiązków, lecz jako zachowanie osobności oraz odrębności jako nauki o potencjale społecznego wpływu właśnie. Protest Sowy wobec zrównywania humanistyki i sztuki jest oczywiście zrozumiały. Z postulatem odróżnienia specyficznych zadań humanistyki niełatwo się nie zgodzić. Jednak kiedy badacz przedstawia coś, co można by określić jako pozytywny program, sytuacja się komplikuje:

Zadanie, które ma dzisiaj do spełnienia humanistyka, i sens jej istnienia polega na dopilnowaniu, aby ruch dialektycznej śruby mógł wykonać swój pełny obrót, czyli żeby wyalienowane efekty działalności człowieka przestały sprawować nad nim władzę i zamiast tego stały się środkami jego (i jej!) emancypacji.<sup>24</sup>

Oczywiście, Sowa opisując zadanie stojące przed współczesną humanistyką, posługuje się specyficznym językiem, którego metaforyka uwikłana jest w tradycje filozofii krytycznej. Tym jednak, co mnie osobiście przeszkadza, nie jest wcale pewna metaforyczność tego fragmentu, lecz jego niedookreśloność. Przekonanie, że teoria zmienia praktykę i konkretne działania podejmowane w obrębie działalności naukowej przekładają się na określone, pozytywne skutki społeczne może być słuszne, ale nie za wiele mówi o tym, jaką humanistykę powinno się projektować i z czego ją rozliczać.

Te wątpliwości, o których przed momentem wspominałam, posłużyły też za punkt wyjścia dla polemiki, jaką z krytyką Sowy podejmuje

---

<sup>23</sup> Tamże, s. 204.    <sup>24</sup> Tamże, s. 205.



Markowski. Autor *Polityki wrażliwości* na zarzut – kierowany wobec jego teorii – niezaangażowania społecznego humanistyki oraz zrównania jej ze sztuką odpowiada wytaczając najcięższy możliwy kaliber, a mianowicie oskarża o naiwność lub cynizm:

Na tym właśnie polega humanistyka, w odróżnieniu od nauk ścisłych, że się wadzimy osobiście, bo są to dla nas, nie dla nauki *per se*, ważne sprawy. Nie łudźmy się: nikogo poza nami te rzeczy nie obchodzą. Bo my nie robimy nauki, w przeciwieństwie do fizyków i onkologów, tylko opowiadamy swoje własne historie, licząc na to, że ktoś się nimi zainteresuje.<sup>25</sup>

Wizje humanistyki, przedstawiane przez badaczy są od siebie tak bardzo oddalone nie dlatego, że odmiennie definiują cele humanistyki, ale – co moim zdaniem w tym sporze najważniejsze – inaczej w ogóle zapatrują się na problem „celów” humanistyki. Sowa twierdzi, że humanistyka ma swój jasno określony, choć oczywiście czasowo zmienny, cel, że da się go wyznaczyć i sprawdzać, czy to, co w ramach humanistyki tworzymy, ma z owym nadrzędnym celem cokolwiek wspólnego. Dla autora *Fantomowego ciała króla* tym, co definiuje humanistykę jest nie tyle jej metodologia czy przedmiot badania, ale cel właśnie. Tymczasem dla Markowskiego humanistyka występuje zawsze jako podzielona<sup>26</sup> i odpowiadająca na różne potrzeby działalności raczej twórcza niż naukowa czy teoretyczna. Drugą niemożliwą do przeoczenia różnicą między Sową i Markowskim jest odmienne akcentowanie tego, dla kogo jest humanistyka. Markowski stwierdza-  
jąc, że „nikogo poza nami te rzeczy nie obchodzą” zawęża krąg osób w jakikolwiek humanistyką zainteresowanych do w gruncie rzeczy wąskiej grupy, trochę tak, jak czynił to w swej instytucjonalnej teorii

---

<sup>25</sup> M. P. Markowski, *Lewica akademicka: między hipokryzją i iluzją*, „Teksty Drugie” 2014 nr 1, s. 209.

<sup>26</sup> Por: M. P. Markowski, *Lewica akademicka*, s. 209: „Humanistyka (...) jest trwale podzielona, różne interesy, różne języki i różne cele jej przyświecają i hołdowanie iluzji, że kiedykolwiek się ona uspójni i nada sens ludzkiemu życiu jako takiemu (...) jest niezwykle naiwne”.

sztuki George Dickie oraz w koncepcji świata sztuki Arthur Danto<sup>27</sup>. Ten świat jest zdaniem Sowy zdecydowanie za wąski: humanistyka ma obowiązki nie tyle wobec tych, którzy w jej obrębie pracują, co wobec tych, którzy są z niej wykluczeni.

Dyskusja Markowskiego i Sowy jest więc w gruncie rzeczy radykalnym sporem o „zaangażowanie” humanistyki, o zakres jej obowiązków i zależności. Wyostrzone w dyskusji postulaty badaczy<sup>28</sup> pozwalają moim zdaniem wyraźniej dostrzec istotę tego sporu i zażytkować – opierając się na koncepcji Jay’a – na wytworzenie drogi środka, jaką – moim zdaniem – może być humanistyka służebna.

## 6. Humanistyka służebna...

Wprowadzając pojęcie służebności nie chcę mnożyć teorii czy koncepcji ponad potrzebę, a jedynie opisać pewną narzucającą się intuicję oraz zaproponować – moim zdaniem wcale nie taki zgniły – kompromis. Pojęcie służebności, silnie zakorzenione w naszym języku, najczęściej w znaczeniu nieco pejoratywnym (służby/obowiązku usługiwania, wskazującego na hierarchiczną zależność), odwołuje się także do jednej z lepiej znanych koncepcji prawnych, otwierających nowe pole do odczytania tego określenia. „Służebność” to określone prawo, które obciąża daną nieruchomość w celu zwiększenia użyteczności innej nieruchomości lub – jak w przypadku służebności osobistej – zapewnienia konkretnego prawa dla określonej osoby<sup>29</sup>. Mówiąc nieco inaczej, ustanowienie służebności obciąża określoną rzecz konkretnymi obowiązkami, których niełatwo się pozbyć, które trwają nawet, jeśli dana nieruchomość zmieni właściciela. Służebność wyznacza funkcje pewnego obiektu, odpowiadając na potrzeby nie tylko tych, do których dana rzecz należy. Najprostszym przykładem

<sup>27</sup> Por. A. Danto, *The Artworld*, „The Journal of Philosophy” 1964, LXI, s. 571–584.

<sup>28</sup> W przedstawieniu sporu między Markowskim a Sową specjalnie odwołałam się do artykułów, gdyż ta forma wymusza ostrzejsze i bardziej przejrzyste niż książka, formułowanie własnych sądów.

<sup>29</sup> Por. Kodeks cywilny, art. 285–305.

może być tu sytuacja „drogi koniecznej”: gdy posiadamy jakiś teren, który stanowi jedyny możliwy sposób dojazdu do innej działki, to musimy liczyć się z tym, że zostanie na nim ustanowiona służebność i będzie przezeń wiodła droga konieczna. Ograniczy to więc naszą swobodę zarządzania terenem. Niemniej, dopóki jego określona część będzie użytkowana tak, by zachować konieczny dojazd, z resztą możemy już robić co tylko uznajemy za stosowne.

Podchodząc do tego pojęcia już nieco bardziej metaforycznie, można uznać, że znajdowanie się w sytuacji służebności wiąże się z określonymi obowiązkami, lecz nie z całkowitym podporządkowaniem: tak długo, jak to, co jest obciążone obowiązkiem służebności ten obowiązek wypełnia, może być używane w dowolny sposób. Gdyby spojrzeć na literaturoznawstwo, a szerzej i na humanistykę, jako na dziedzinę nauki, która niesie określone obowiązki społeczne, koncepcja służebności mogłaby całkiem niezłe wyjaśnić ich charakter i – przede wszystkim – limit. Najostrzejsza krytyka humanistyki polega na wskazywaniu, że wszystko, co nie jest w niej użyteczne, co nie nadaje się do prostego przełożenia na język korzyści (choćby i społecznych) nie zasługuje na wsparcie i nie powinno istnieć. Tymczasem powinno być dokładnie odwrotnie: tak długo, jak długo humanistyka w ogólności, a literaturoznawstwo w szczególności, spełnia określone społeczne funkcje, tak długo nie ma podstaw, żeby kwestionować jego użyteczność w ogóle. Pewne służebności są niezbywalne, ale nie wypełniają całego pola działania humanistyki, tak jak możliwość praktycznego zastosowania określonych odkryć nie zawęża pola badań tradycyjnie pojmowanych nauk ścisłych.

To, co stanowi o potencjalnych możliwościach literaturoznawstwa służebnego jako projektu, który przecież – jeśli by popatrzeć na deklaracje badaczy zarówno z Polski, jak i z poza niej – funkcjonuje w praktyce już od jakiegoś czasu<sup>30</sup>, jest także dla niego zagrożeniem.

---

<sup>30</sup> Badania nad pamięcią kulturową i społeczną, a także studia nad traumą uzasadniane są – zazwyczaj – właśnie przez społeczną użyteczność, przez możliwość zastosowania zdobytej w ich ramach wiedzy do lepszego nie tylko rozumienia, ale i projektowania życia społecznego. Podobnie jest (między innymi) z badaniami nad afektem, różnymi teoriami krytycznymi, ekokrytyką, posthumanizmem, i tak dalej. W gruncie rzeczy każdy prąd, który dotyka

Coraz większe otwieranie literaturoznawstwa na nowe potrzeby i modyfikowanie języka, którym się posługuje, by mógł mówić nie tylko o literaturze, ale i świecie, do którego się odnosi, powoduje także negatywne konsekwencje. Tym, co mnie w tych w większości pozytywnych zmianach niepokoi, jest pewna tendencja do rozdrobnienia. Nie mówię tu wcale o powstawaniu nowych subdyscyplin jak *visual* czy *memory studies*, lecz o terrorze restrykcyjnie rozumianego *case studies*. Skupienie się na pojedynczych, choćby bardzo istotnych przypadkach, może szybko przekształcić się w drogę donikąd, o ile te przypadki nie są traktowane jako istotne z punktu widzenia określonego, szerszego zjawiska czy problemu. Oczywiście, czasem jest tak, że to studium przypadku sygnalizuje nam wcześniej niedostrzegany problem, ale w takim razie w dalszym ciągu jest ono ważne jako punkt, od którego zaczyna się już bardziej zorganizowana praca nad danym zagadnieniem.

Literaturoznawstwo, tak jak cała humanistyka, może utrzymać (lub odzyskać, gdy uznajemy, że już je straciła) ważne miejsce we współczesnym świecie, jeśli będzie badać nie tylko teksty i nie jedynie tworzyć teorie, ale także diagnozować istotne społeczne oraz kulturowe problemy. Kiedy więc mówię o literaturoznawstwie służebnym, to właśnie ten wymiar uznaję za słusznie oczekiwaną i narzucaną przez społeczeństwo służebność na rzecz szerszej wspólnoty niż tylko wspólnota tych, którzy zawodowo czytają oraz interpretują poszczególne teksty kultury. Oczywiście, tak rozumiana służebność może wydawać się mało radykalna, choćby dlatego, że możliwości rozwiązywania wspomnianych problemów są dla teoretyków i badaczy zazwyczaj ograniczone. Myślę jednak, że ich dostrzeżenie oraz opisywanie nie jest rzeczą zupełnie trywialną czy mało użyteczną. Warto jeszcze podkreślić jeden aspekt tak rozumianej służebności: obciążenie cokolwiek lub kogokolwiek takim obowiązkiem oznacza uznanie, że nikt inny i nic innego nie jest w stanie spełnić określonej funkcji. Służebność to nie tylko zobowiązanie, ale i związane z nimi uznanie, że dany obowiązek jest ważny, konieczny i nie da się go przenieść na

---

rzeczywistości społecznej, akcentuje też swoje społeczne obowiązki (choć się do nich nie ogranicza).

nic innego. Jeśli więc humanistyka ma pełnić jakiegokolwiek służebności, to nie dlatego, że jest mało istotną dziedziną nauki, której należy dołożyć obowiązków, ale dlatego, że tylko ona jest w stanie pełnić określone, ważne funkcje.

Funkcje społeczne prowadzonych w obrębie literaturoznawstwa badań od dawna były postrzegane przez wielu naukowców, także tych zdecydowanie mniej radykalnych niż Jan Sowa, za ważną i integralną część humanistyki. Niemniej najczęściej, gdy pojawiają się pytania dotyczące „użyteczności” tej dyscypliny naukowej, dyskusja oscylowała nie w kierunku społecznej przydatności czy wpływu kulturowego, lecz dostosowania badań i kształcenia do potrzeb rynku. W takim przypadku kwestia użyteczności była sprowadzana do bardzo wąskiego pytania o to, jakie „konkretne”, a zarazem pożądane przez przedsiębiorców lub szeroko rozumiany świat biznesu umiejętności można za jej pomocą wykształcić. Choć uważam, że kształcenie akademickie nigdy nie służyło i nigdy tak naprawdę nie będzie służyło realizacji doraźnych potrzeb rynkowych, nietrudno zauważyć, że jest ich całkiem sporo, jak wskazywał między innymi cytowany przeze mnie wcześniej Paul Jay. Umiejętności komunikacyjne, interpretacyjne oraz związane z analizowaniem oraz tworzeniem tekstów są co najmniej przydatne i użyteczne, a zarazem nie bardzo da się je nabyć poza humanistycznym paradygmatem kształcenia. Dostrzeganie ich wagi nie może jednak oznaczać redukcji wyłącznie do nich: literaturoznawstwo zajmuje się r ó w n i e ż nimi i uczy także ich, ale nie jest to wcale główny ani tym bardziej jedyny cel jego działania. Jest to kolejna z jego służebności, ważna, ale ani – jak starałam się pokazać – nie jedyna, ani nie determinująca jego tożsamości.

Myślenie o literaturoznawstwie, a szerzej i humanistyce, jako o polu autonomicznym, w którym jednak spotykają się i są realizowane rozmaite służebności może moim zdaniem pomóc zmienić współczesną dyskusję wokół humanistyki i nieco zmniejszyć towarzyszącą jej presję. Literaturoznawstwo nie musi ustawiać się zawsze albo w kontrze do pytań o użyteczność i bronić totalnej autonomii, czasem utożsamianej z prawem do dowolnego kształtowania własnego profilu badań, albo całkowicie podporządkowywać się wezwaniom do urynkowania lub społecznej zależności. Choć sama uznaję społeczne

zaangażowanie literaturoznawstwa i humanistyki za jej ważny aspekt, nie sądzę, by każdy badacz musiał myśleć tak samo. Dla proponowanej tu idei służebności różnorodność w postrzeganiu funkcji dyscypliny nie jest przeszkodą, tak, jak przeszkodą nie jest wskazywanie na również pragmatyczne i biznesowe możliwości, które umożliwiają rozwój pola badań. Daje ona szerokie możliwości negocjowania zarówno pola autonomii, jak i pola służebności, wskazując równocześnie na pewną hierarchię: rozmaite służebności są wprawdzie konieczne, ale nie są ani podstawowe, ani wystarczające. Pozwalają na wskazanie konkretnych funkcji i celów badań, ale nie mogą być użyte do ograniczania wszystkich innych aktywności.

Oznacza to, że na służebność można patrzeć jako na obowiązek i konieczność, albo po prostu jako na jedno z zadań i zarazem wyzwań, stojących przed dyscypliną. Mnie bliższe jest to drugie podejście, zwłaszcza w odniesieniu do funkcji społecznych. Jednocześnie nie uznaję, że ma ono funkcję ograniczającą: stanowi raczej cenny i potrzebny naddatek, niż centrum i serce dyscypliny. Diagnozowanie problemów czy uczenie ich dostrzegania musi pozostać jednym z, a nie jedynym lub głównym celem literaturoznawstwa. Jego funkcja służebna, tak wobec społeczeństwa, jak i – nierzadko – wobec innych dyscyplin badawczych, a już zwłaszcza wobec potrzeb rynku nie może być traktowana jako dominująca lub ograniczająca. Nie tylko dlatego, że wpłynęłoby to na radykalne zmiany w jej obrębie, ale również dlatego, że takie zmiany przyczyniłyby się do znaczącego ograniczenia wpływu i siły, z której moim zdaniem wynika zdolność realizacji rozmaitych służebności. Jak każda dyscyplina badawcza, która nie jest martwa, literaturoznawstwo musi szukać dróg własnego rozwoju: i za pomocą sięgania do korzeni, a więc pracy z tekstem, nad tekstem i tekstem, jak chciałby Ryszard Nycz, i poprzez opowiadanie własnych historii, jak sugerował Michał Paweł Markowski, i za pomocą eksperymentów metodologicznych, i poprzez inspirację innymi, nie tylko humanistycznymi dyscyplinami naukowymi i wreszcie – jak chciałby Jan Sowa – przez zaangażowanie w zmienianie już tego nietekstowego świata. Tylko realizacja tych wszystkich funkcji i potrzeb równocześnie, bez limitowania do określonego pola, bez podporządkowywania jednego aspektu innemu, daje szansę na rozwój

i na nieuchronne oraz, w moim rozumieniu, pożądaną tarcia, z których rodzą się najpierw wcześniej niedostrzegane pytania i problemy, a później drogi ich rozwiązania.

Projekt humanistyki i literaturoznawstwa służebnego, taki, jakim chciałyby go widzieć, nie spodobałyby się najprawdopodobniej ani Markowskiemu, ani Sowie. Zarówno dla jednego, jak i dla drugiego byłyby to jednak zgniły kompromis między autonomią rozumianą jako wyzwolenie ze społecznych obowiązków i uzasadnieniem dla jej istnienia czerpanym ze społecznej użyteczności. Nie spodobałyby się również tym, którzy naprawdę chcieliby widzieć w humanistyce sposób na kształcenie wyłącznie przydatnych, rynkowych kompetencji. Ten zgniły kompromis miałby jednak przynajmniej jedną mocną stronę: pozostawiałby dość miejsca dla obu badaczy, szanując i autonomię literatury, i jej obowiązki. Służebność, w tym rozumieniu, które chcę tu przyjąć, nie jest ani pełnym podporządkowaniem zewnętrznym potrzebom, ani zgodą na uznanie całkowitej autoteliczności tej dziedziny nauki. Jest drogą środka, po której spora część z nas idzie, bez względu na to, czy bliżej nam do poglądów Sowy, czy do poglądów Markowskiego.

## 7. ...i jej praktyczne skutki

Uznanie, że humanistyka ma spełniać określone służebności, ale – po raz kolejny podkreślę – nie jest do nich redukowalna, może moim zdaniem pomóc przenieść punkt ciężkości dyskusji z udowadniania jej łatwo mierzalnej „przydatności” na pytanie o powody, dla których podejmowane są konkretne badania. A tych powodów może być – i jest – zdecydowanie więcej, niż dostrzegają zwolennicy ścisłego rozliczania poszczególnych dyscyplin naukowych z ich osiągnięć.

Istnieją dyscypliny oraz prądy badawcze – zarówno sytuujące się w obrębie literaturoznawstwa, jak i na jego pograniczu – które nakierowane są na konkretne i specyficzne cele, jak najbardziej przekładalne na społeczną praktykę oraz w pewnym stopniu spełniające społeczne służebności. W ramach tej książki zajmę się tylko trzema z nich: ekokrytyką, studiami nad pamięcią i afektami. Jednak – o czym

warto pamiętać – ciągle tworzą się nowe prądy, inaczej rozgrywające problem związków między akademicką praktyką badawczą a przekładalnością konkretnych teorii na język adekwatny dla istotnych społecznie kwestii. Daje się nawet zauważyć – jeśli weźmie się pod uwagę coraz większą ekspansję koncepcji zanurzonych w zwrocie kulturowym – zdecydowaną przewagę dyskursów, które wprost wychodzą od zagadnień ważnych nie tylko dla rozwoju konkretnych dyscyplin<sup>31</sup>. Niemniej, obok nich funkcjonują teorie, które są istotne przede wszystkim w obrębie określonych dyscyplin, dla rozumienia pojawiających się w nich problemów.

Warto podkreślić, że takie koncepcje nie są wcale nieprzydatne. To, że mają raczej wartość wewnętrzną, nie oznacza braku wpływu na rozwój lepiej przekładalnych społecznie dziedzin, a jedynie, że jest to wpływ mediowany zmianą lub rozbudową konkretnej praktyki badawczej. Nie powinny być więc lekceważone, tak, jak nie są lekceważone jak najbardziej wewnętrzne badania prowadzone w obrębie dyscyplin, które uznaje się za bardziej „przydatne społecznie”<sup>32</sup>.

Również w tej książce będę poruszać problemy, które niekiedy wydają się wyłącznie wewnętrznymi problemami już nawet nie humanistyki, lecz określonych prądów lub kierunków. Jednak, jak postaram się pokazać, niektóre z nich wykraczają daleko poza wyłącznie naukowy kontekst prowadzenia badań i dotyczą zdecydowanie szerszych zjawisk, chociażby takich, jak wymiana międzykulturowa czy sposób funkcjonowania kultur, które – na przykład ze względu na język – nigdy nie staną się kulturami centralnymi. Temu zagadnieniu, a więc funkcjonowaniu literatur i badań skierowanych na literatury bliskiego zasięgu, będzie poświęcony następny rozdział tej książki.

---

<sup>31</sup> Szczególnie „uprzywilejowane” z powodu zainteresowania nimi prądy badawcze z ostatnich lat, jak badania nad pamięcią, wizualnością czy traumą są bardzo mocno zanurzone w problemach więcej niż istotnych społecznie.

<sup>32</sup> Nikt – przynajmniej ze środowiska akademickiego – nie kwestionuje na przykład ważności lub użyteczności badań dotyczących skutków stosowania/niestosowania określonych standardów medycznych, choć stanowią one element wewnętrznych dyskusji prowadzonych nad skutecznością konkretnych działań, dla osób spoza dyscypliny są zazwyczaj niezrozumiałe, a ich wpływ na przykład na praktykę medyczną nie jest najczęściej natychmiastowy.



Zanim przejdę do analizy tego zjawiska, chciałabym się pokrótce wytłumaczyć, dlaczego uznaję – a uznaję – że kwestia służebności wiąże się z problemem lokalnego funkcjonowania polskiej kultury. W sporej części krytyk polskiej humanistyki powtarza się argument o jej znikomym wpływie na światową naukę i wiąże się ten nikły wpływ z rzekomo słabą kondycją polskiej kultury i literatury, również – zdaniem niektórych krytyków – za słabej, by znaleźć się w światowym obiegu<sup>33</sup>.

Nie zamierzam tu dowodzić zdecydowanie lepszej, niż z takich analiz wynika, kondycji polskiej szeroko rozumianej humanistyki i kultury, ale zwrócić uwagę na kilka uporczywie zapominanych paradoksów, które wynikają z próby łączenia wezwania do „przydatności” i „międzynarodowości” badań humanistycznych oraz rozmaitych praktyk kulturowych. Narzędziem prowadzącym mnie do tego celu będzie krytyczne omówienie koncepcji literatury światowej.

---

<sup>33</sup> Nawiązuję tu do koncepcji literatury światowej, którą szerzej omówię w następnym rozdziale tej książki. Równocześnie, tezy o słabości polskiej humanistyki powtarzane są dość często, nie tylko jako odnotowanie faktu rzeczywiście słabego finansowania i wsparcia (jak w przypadku Komitetu Kryzysowego Humanistyki). Nie bez znaczenia była postawa poprzedniego Ministra Edukacji i Nauki, zgodnie z własnymi deklaracjami dążącego – mimo pewnej obrony społecznej wartości humanistyki – do uczynienia z niej dyscypliny elitarnej, czyli: dla małej ilości osób. Por. <http://naukawpolsce.pap.pl/aktualnosci/news%2C413892%2CGowin-humanistyka-dotknieta-kryzysem-resort-nauki-probuje-temu-zaradzic.html> [dostęp: 1 grudnia 2019].

## Cena uczestnictwa. Kultury bliskiego zasięgu a literatura światowa

### 1. Uwagi wstępne

Punktem wyjścia tego rozdziału jest doświadczenie zderzenia – zarówno w mojej własnej praktyce badawczej, jak i we współczesnej humanistyce – dwóch osobnych, a nawet przeciwstawnych tendencji. Umyślnie piszę tu o tendencjach, nie zaś prądach, kierunkach czy zwrotach, bo są one obecne (choć nie zawsze w takim samym sposób i nie zawsze w podobnych proporcjach) w praktycznie każdym współczesnym kierunku rozwoju humanistyki. Pierwsza z nich realizuje się w dążeniu do domykania pola badawczego, do izolowania coraz bardziej szczegółowych, dobrze zdefiniowanych i zakrojonych perspektyw, do wyznaczania jasnych celów prowadzonych działań oraz jeszcze jaśniejszych powodów, dla których określone sprawy mają być dla humanistyki ważne. Można ją określić jako dominującą, a powody jej przewagi mają nie tylko naukowe uzasadnienie: zdecydowanie łatwiej jest pisać projekty grantowe i ubiegać się o ich finansowanie, gdy możliwe jest wyraźne wyznaczenie pola badawczego, wskazanie jego nowości i innowacyjności oraz określenie dokładnych, czasem nawet niepokojąco dokładnych, powodów, celów i skutków prowadzonych działań.

Druga tendencja nakierowana jest nie na podział oraz tworzenie nowych perspektyw badawczych, lecz na szukanie połączeń między tym, co już znane i otwieranie dobrze zdefiniowanych kierunków przez zadawanie wcześniej niezadanych, a niekiedy i nawet niepomyślnych pytań, przez wskazywanie luk w obrębie ich funkcjonowania oraz szukanie możliwych – nie zawsze oczywistych – relacji między konkretnymi dziedzinami badań. Chciałabym od razu podkreślić: te dwie tendencje nie za wiele mają wspólnego z podziałami na naukę

uprawianą w obrębie dyscyplin, interdyscyplinarnie czy transdyscyplinarnie<sup>1</sup>. Możliwe są transdyscyplinarne badania (i w aplikacjach grantowych sprawdzają się doskonale), które operują w obrębie pierwszej, zamykającej tendencji, jak i badania w obrębie jednej dyscypliny, które mają charakter wyraźnie otwierający.

Świadomość istnienia tych tendencji, różnie nazywanych czy opisywanych, lecz wskazujących na to samo zjawisko i związaną z nim intuicję badawczą, staje się coraz powszechniejsza<sup>2</sup>. Mimo to, z tych odnotowań najczęściej niewiele wynika (nie dlatego, że są one nieprzekonujące lub źle argumentowane), tak, jak niewiele wynika z coraz powszechniejszego sprzeciwu wobec grantowego systemu finansowania nauki (a przynajmniej – systemu grantowego traktowanego jako dominujący model finansowania badań). Ponownie muszę od razu zastrzec: nie uważam, że jedna tendencja jest z gruntu „dobra”, a druga „zła”. Niemniej uważam, że daje się obecnie zauważyć między nimi gwałtowną nierównowagę, silną dominację tej pierwszej. A to już moim zdaniem nauce nie służy. Można również wskazać wyjątkowo niepokojące zjawisko, które polega na użyciu wspomnianych tendencji w sprzężony sposób: najpierw dokonuje się otwarcia, by wytropić luki lub nieciągłości w określonej dziedzinie czy kierunku, później zaś zamknięcia, wskazując na – w domyśle lub wprost – rozwiązującą „niedomknięte” problemy metodologię, zjawisko lub nowy kierunek.

Nie zamierzam w tym rozdziale analizować tych tendencji samych w sobie, ani pisać o tym, jak mogą one wpływać na rozwój nauki. Chcę jednak, by stanowiły one tło dla analizy dwóch pomyślanych jako metoda otwierania pewnego pola badawczego koncepcji: literatury światowej oraz – moim zdaniem pozostających z nimi w korelacji – pamięci wielokierunkowej i dialogicznej. W tym rozdziale poświęcam

---

<sup>1</sup> Por. konceptualizację tego rozróżnienia wprowadzoną m.in. przez Ryszarda Nycza w odniesieniu do literaturoznawstwa: R. Nycz, *Kulturowa natura, słaby profesjonalizm. Kilka uwag o przedmiocie poznania literackiego i statusie dyskursu literaturoznawczego*, [w:] *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M. P. Markowski, R. Nycz, Universitas, Kraków 2006, s. 29–30.

<sup>2</sup> Por. P. Czaplinski, *Sploty*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1, R. Nycz, *Nowa humanistyka w Polsce: kilka bardzo subiektywnych obserwacji, koniektur, refutacji*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1.

tak wiele uwagi literaturze światowej ponieważ ta kategoria pozwala uchwycić pewne paradoksy stojące za jednym z najważniejszych postulatów współczesnych reform nauki i zarazem wyzwań stawianych przed humanistyką: umiędzynarodowienia.

Trudności, jakich nastręczają poszczególne konceptualizacje literatury światowej, są do pewnego stopnia podzielane przez humanistykę, borykającą się z nakładaniem na nią ciągle nowych obowiązków, z których międzynarodowość lub transnarodowość badań jest jednym z częściej powracających postulatów. Jak postaram się pokazać, warto zarówno na „umiędzynarodowienie” badań, jak i „światowość” literatury patrzeć przez pryzmat zarysowanej wcześniej koncepcji służebności, nie zaś jako na obowiązek ani tym bardziej jako na coś, co pozwala na proste wartościowanie.

## 2. Negocjowanie systemu literatury światowej

Koncepcja „literatury światowej”, którą umyślnie, ale na razie bez wyjaśnienia opatruję cudzysłowem, jest jedną z najistotniejszych i jedną z najczęściej redefiniowanych kategorii współczesnej humanistyki. Istnieją różne, kompetentne i wciągające konceptualizacje tego pojęcia, stworzone między innymi przez Davida Damroscha<sup>3</sup>, Pascale Casanovę<sup>4</sup>, Franco Morettiego<sup>5</sup>, czy – z bardziej krytycznych ujęć – przez Emily Apter czy Erica Hayota<sup>6</sup>. Nie zamierzam tu ani kwestionować ich wagi, ani trwałości samej koncepcji, lecz zamierzam sprawdzić, na ile kategoria literatury światowej może być uznana za

---

<sup>3</sup> Por. D. Damrosch, *What is World Literature?*, Princeton University Press, Princeton-Oxford 2003; D. Damrosch, *How to Read World Literature*, Wiley Blackwell, Malden-Oxford 2009, *Teaching World Literature*, ed. D. Damrosch, MLA, New York 2009.

<sup>4</sup> Por. P. Casanova, *The World Republic of Letters. (Convergence: Inventories of the Present)*, trans. M. DeBevoise, Harvard University Press, Cambridge 2004.

<sup>5</sup> Por. F. Moretti, *Conjectures on World Literature*, „New Left Review” 2000 no 1.

<sup>6</sup> Por. E. Apter, *Against World Literature. On the Politics of Untranslatability*, Verso, London-New York 2013 oraz E. Hayot, *On Literary Worlds*, Oxford University Press, Oxford-New York 2012.

teorię rzeczywiście otwierającą badania nad literaturą na nowe konteksty, a na ile – być może wbrew własnym intencjom – konserwuje zastany stan rzeczy. Jest to pytanie tym bardziej ważne, gdy pada w kontekście polskiej literatury: całkiem dobrze radzącej sobie na międzynarodowej arenie, ale przecież – choćby ze względu na niszość języka polskiego – wymagającej ciągłego wsparcia w próbach szerszego niż tylko lokalne zaistnienia.

Trzon wszystkich wspominanych wcześniej konceptualizacji literatury światowej wyraża przekonanie o specyficznym trybie istnienia czegoś takiego, jak właśnie literatura światowa, która ma być osobna od zbioru literatur narodowych, inna niż po prostu kanon literacki i nie podążać za tradycją klasycznie rozumianej komparatystyki (choć bez wątplenia relacje między tymi pojęciami nie są wcale tak jednoznaczne, jak mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać)<sup>7</sup>. Umyślnie podaję tu najbardziej ogólne warunki rozumienia literatury światowej i nie dookreślam w pełni relacji ze wspomnianymi pojęciami, gdyż odmienni badacze postrzegali je na różne sposoby. To, co miało stanowić wyróżnik literatury światowej było również często określane jako uzależnienie od specyficznego trybu lektury<sup>8</sup>.

Nie planuję odnotowywać tu sprzeciwu wobec niektórych konceptualizacji tego pojęcia, ani tym bardziej sposobu definiowania literatury światowej części w opozycji niż w relacji do literatur narodowych (sama kategoria literatur narodowych bywa zresztą w tych koncepcjach niedookreślona albo przeciwnie, traktowana jako termin o całkowicie jednoznacznym, stabilnym znaczeniu, w którym za oczywiste uznaje się realne istnienie literatur narodowych i lekceważy ich konstrukcyjny charakter), chciałabym jednak zastanowić się nad realnością tego pojęcia oraz jego związkami z innymi, powtarzającymi się w humanistyce postulatami tworzenia kultur, literatur, tradycji lub pamięci ponad pewnymi trudnymi do ominięcia

---

<sup>7</sup> A. F. Kola, *Między komparatystyką literacką a literaturą światową*, „Teksty Drugie” 2014 nr 4, s. 41–63

<sup>8</sup> Por. m.in. P. Czapliński, *Literatura światowa i jej figury*, „Teksty Drugie” 2014 nr 4, D. Kołodziejczyk, *Wojna światów? Postkolonialny kontrapunkt w nowej komparatyście*, „Teksty Drugie” 2014 nr 4.

podziałami. Co szczególnie istotne, takie postulaty bywają niekiedy przekształcane w wartościujące wymagania, sugerujące, że tylko literatura, nauka czy kultura, która ma światowy/międzynarodowy potencjał, jest ważna i może cieszyć się uznaniem. Dość często światowość jest uznawana za jedną ze służebności, narzucanych zarówno literaturze (a szerzej: sztuce), kulturze, jak i nauce. Choć można uznawać, że rzeczywiście, potencjał międzynarodowości jest istotnym aspektem funkcjonowania każdego tekstu kultury, to jednak trudno zgodzić się rozumowaniem, zgodnie z którym stanowi jej nadrzędną lub główną wartość.

Zanim bliżej sprecyzuję zasygnalizowany problem badawczy oraz jego związek z wyrażonymi już wątpliwościami dotyczącymi kwestii otwartości kategorii takich jak literatura światowa, warto przytoczyć jedną z jej najbardziej znanych definicji (i zdecydowanie najbardziej przekonującą), stworzoną przez Davida Damroscha:

1. Literatura światowa to eliptyczna refrakcja literatur narodowych.
2. Literatura światowa to twórczość, która zyskuje w tłumaczeniu.
3. Literatura światowa to nie ustalony kanon tekstów, lecz tryb lektury: forma bezstronnego zaangażowania w światy poza naszym własnym miejscem i czasem<sup>9</sup>.

Ta dobrze znana, trójczłonowa definicja skupia się – jak Damrosch wskazuje – na świecie, tekście i czytelniku. Tym, co łączy trzy zacytowane punkty jest ruch: „eliptyczna refrakcja” oznacza w gruncie rzeczy zdolność do zaistnienia w innym niż macierzysty kontekście, zdolność do włączenia się w odmienny niż narodowy obieg, a co za tym idzie – możliwość przekształcenia. Proces zyskiwania w tłumaczeniu oznacza więc nie to, że literatura tłumaczona jest obiektywnie „lepiej” literacko, lecz że wraz z podwójną migracją, językową i terytorialno-konceptualną, tekst gromadzi nowe znaczenia. Zapewne, o czym mówi się mniej chętnie, część sensów

---

<sup>9</sup> D. Damrosch, *Dość czasu i świata*, przeł. A. F. Kola, „Teksty Drugie” 2014 nr 4, s. 101.

pozostaje w takim przypadku trudniejsza do wyśledzenia, ale – co jest jawnym lub ukrytym założeniem wszystkich teorii literatur światowych – gdyby dało się zrobić bilans zysków i strat, to wypadłby on dla migrującej literatury pozytywnie. W tym punkcie jest również zawarte zastrzeżenie, wprost wyrażane przez Damroscha: teksty, które w tłumaczeniu znacznie tracą, nie mogą się stać częścią literatury światowej. Oznacza to, że część tekstów literackich jest w gruncie rzeczy skazana na niebyt poza literaturami narodowymi lub – co może trafniej opisywać tę samą intuicję – poza określonym kręgiem kulturowym. Zastrzeżenie to jest ważne, ponieważ wskazuje na dwa problemy: po pierwsze, nie każdy tekst może stać się częścią systemu literatury światowej, a po drugie (to jest już praktyczny skutek, do którego badacze literatury światowej niechętnie się przyznają) zdecydowanie łatwiej jest włączyć do tej grupy tekst napisany w jednym z lepiej znanych języków. Również, ale nie wyłącznie dlatego, że niekiedy dla zaistnienia w obrębie literatur światowych nie jest konieczne tłumaczenie tekstu.

Oznacza to, że już dwa pierwsze punkty wskazują – i pośrednio, i bezpośrednio – na selektywność procesu włączania tekstów w zakres literatury światowej. Gdyby chcieć mierzyć potencjał każdego dzieła do stania się częścią tego systemu, to okazałoby się, że fakt, iż jest napisane w znanym, łatwym do przełożenia (również ze względu na dostępność tłumaczy) albo wręcz powszechnie zrozumiałym języku znacznie ułatwia funkcjonowanie w systemie. Równie istotna jest znajomość macierzystego kontekstu, a więc właśnie lokalnej literatury i kultury, co sprzyja transferowi tekstów z kultur i języków dominujących. Podsumowując, oznacza to, że istnieją kultury, z których zdecydowanie łatwiej jest migrować w obręb literatury światowej oraz takie, w których transfer jest utrudniony. Nie jest to, moim zdaniem, fakt zupełnie neutralny dla istnienia koncepcji literatury światowej, ale najczęściej jest przez badaczy zajmujących się tą problematyką tak właśnie traktowany.

Ostatnia część opisywanej definicji zwraca uwagę na czytelnika, który ma podejmować konkretne zadanie, polegające nie tylko na osadzeniu tekstu w nowym kontekście, ale i wyjściu poza typowy dla własnej literatury oraz kultury punkt odniesienia.

Ten wymóg był najbardziej, także w Polsce<sup>10</sup>, dyskutowanym punktem teorii Damroscha i można zaryzykować twierdzenie, że zaważył na jej popularności. Nie zamierzam dyskutować z postulatycznym charakterem tego punktu, bo łatwo się zgodzić, że jeśli literatura światowa ma funkcjonować jako taka właśnie, to konieczny jest warunek oderwania się odbiorcy od dobrze znanego mu uniwersum własnej przestrzeni i czasu. Jednak pytanie czy jest to możliwe, pozostaje, moim zdaniem, otwarte.

Próbując na nie odpowiedzieć, warto się zastanowić, co tak naprawdę oznacza „poza własnym miejscem i czasem”. Pierwszy wymóg, który pojawia się w cytowanym punkcie, a więc bezinteresowności, przypomina klasyczną Kantowską definicję sztuki<sup>11</sup>. W niej również chodziło o oderwanie się od konkretnych potrzeb. Tu jednak żądanie jest ostrzejsze: postuluje się już nie bezinteresowność rozumianą jako nie czerpanie bezpośredniego zysku, brak oczekiwania pragmatycznych korzyści lub obietnicę niewykorzystywania sztuki do innych niż przez nią samą wyznaczanych celów. Ta definicja idzie o krok dalej: żąda tego samego bezinteresownego zainteresowania w przypadku, w którym literatura nie mówi nam nic o nas samych, naszych problemach i naszym świecie. A więc wymaga się od czytelnika bezinteresownego zainteresowania tym, co jest dla niego obce i takie ma w pewnym sensie pozostać (jeśli bowiem okaże się, że konkretny tekst literacki zostaje włączony do systemu literatury narodowej<sup>12</sup>, albo czyta się go jako mówiący – być może nie bezpośrednio

---

<sup>10</sup> Por. na przykład P. Czaplinski, *Literatura światowa...*, A. F. Kola, *Między komparatystyką...*

<sup>11</sup> Było to zdaniem Kanta główne kryterium odróżniające sztukę od m.in. rzemiosła. Por. I. Kant, *Krytyka władzy sądzenia*, przeł. J. Galecki, PWN, Warszawa 2004, s. 226 i następne.

<sup>12</sup> Posługuję się pojęciem literatury narodowej tylko i wyłącznie w odniesieniu do przyjętego w obrębie literatury światowej binarnego rozumienia relacji literatur światowych i narodowych, zgodnie z którym pojęcie to używane jest najczęściej dla określenia lokalnej, pisanej w określonym języku narodowym literatury, dla której zrozumienia i interpretacji istotny jest lokalny kontekst kulturowy. Literatura narodowa nie oznacza więc w tym przypadku literatury nacjonalistycznej, patriotycznej, etc., choć może być współtworzona przez poszczególne teksty o takim właśnie charakterze. Dokładnie



i nie wprost – o naszym czasie i miejscu, to nie będzie wtedy traktowany jako część literatury światowej, lecz jako element poszerzający inną literaturę narodową).

Paradoks, na który wskazuję, nie jest wcale przypadłością wyłączenia tego typu myślenia o literaturze światowej ani tym bardziej nie odnosi się tylko do konceptualizowania pojęcia przez Damroscha. Przeciwnie, wizja tworzenia ponadnarodowych wspólnot lub przynajmniej obiegu, w których może funkcjonować literatura oraz inne media kultury, jest obecnie podzielana przez badaczy różnych specjalności. Wizja Damroscha jest tym bardziej interesująca, że zgodnie z nią ta wspólnota powołana zostaje każdorazowo w doświadczeniu czytającego, a nie pozostaje obiektywnym, możliwym do opisanego zbiorem tekstów:

Literatura światowa nie jest niezmiernym korpusem materiału, który musi zostać w jakiś niemożliwy sposób opanowany; to jest tryb czytania, którego można doświadczać intensywnie z kilkoma dziełami równie efektywnie, co w przypadku badania ekstensywnego z dużą ich liczbą.<sup>13</sup>

W lekturze chodzi zatem nie o ustanowienie korpusu tekstów przynależnych do literatury światowej, nie o odkrycie lub zrekonstruowanie kontekstów literatury funkcjonującej w obrębie systemu literatury światowej, lecz o doświadczenie rezonowania tekstów – pochodzących z różnych źródeł – ze sobą i z wiedzą czytelnika, o ustanawianie nowych połączeń. Ten tryb lektury można by zatem nazwać – rezygnując już z typologii i definicji Damroscha – lekturą wielokierunkową, która ma nas odsyłać poza nasze miejsce i czas, wprowadzać w ruch i odkrywać inną niż dobrze znana rzeczywistość.

Proponowane tu przeze mnie pojęcie lektury wielokierunkowej (które nie ma być samodzielną kategorią badawczą, lecz sposobem

---

takie samo znaczenie ma dookreślenie „narodowa” w odniesieniu do pamięci zbiorowej.

<sup>13</sup> D. Damrosch, *Dość czasu i światła...*, s. 123.

ujęcia intuicji zgodnej z definicją Damroscha) jest w oczywisty sposób zapośredniczone w innych teoriach, zaprojektowanych do radzenia sobie z odmiennym problemem. Mowa tu o koncepcjach pamięci wielokierunkowej<sup>14</sup> i dialogicznej<sup>15</sup>, tworzonych jako odpowiedź na konstruowanie zamkniętych, narodowych wizji pamięci oraz budowania wokół nich włączających wspólnot pamięci. Zanim przejdę do opisanego związków między tymi pojęciami, chciałam wrócić do sygnalizowanego na początku tego rozdziału punktu wyjścia, jakim było spostrzeżenie dotyczące istnienia dwóch osobnych tendencji w humanistyce. Na pierwszy rzut oka koncepcja literatury światowej wydaje się przykładem drugiej, otwierającej tendencji. Umożliwia spojrzenie na teksty literackie poza ich macierzystym kontekstem, daje poszczególnym dziełom nawet nie drugie życie, ale nieskończoną ilość nowych odsłon, tworzonych za każdym razem przez odbiorcę, konstruującego swój własny mikrokosmos literatury światowej i tkającego odczytywalną tylko dla siebie siatkę odniesień.

Tak rozumiana literatura światowa sprawia wrażenie otwartej, jak to tylko możliwe. Ma wprowadzać teksty w ruch, umożliwiać im bycie poza własnym czasem i miejscem, oferować możliwość wplecenia się w odmienną rzeczywistość, tak literacką, jak i kulturową oraz społeczną. Pod tym względem nie przypomina w niczym koncepcji kanonu literackiego czy tradycji literackiej w ich klasycznych (często ograniczających) rozumieniach<sup>16</sup>. Ale właśnie: wydaje się otwarta, ale czy rzeczywiście taka jest? Na to, że niekoniecznie, wskazują sposoby postrzegania literatury światowej, które uznają ją za emanację

---

<sup>14</sup> M. Rothberg, *Pamięć wielokierunkowa. Pamiętanie zagłady w epoce dekolonizacji*, przeł. K. Bojarska, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2016.

<sup>15</sup> A. Assmann, *Podzielona Pamięć Europy. Koncepcja pamięci dialogicznej*, [w:] *Dialog kultur pamięci w regionie ULB*, red. A. Nikžentaitis, M. Kopczyński, przeł. E. Grotek, Muzeum Historii Polski, Warszawa 2014.

<sup>16</sup> Mam tu na myśli ten kierunek w definiowaniu tradycji lub kanonu, który akcentuje ich trwałość i wyraża je raczej w kategoriach zbioru, niż dynamicznego systemu. Co ciekawe, nawet część współczesnych badaczy wraca do takiego rozumienia tych koncepcji (znaczący jest przypadek Harolda Blooma, który po – zdecydowanie otwierającej – koncepcji lęku przed wpływem sformułował bardzo w gruncie rzeczy ograniczającą koncepcję kanonu w H. Bloom, *The Western Canon. The Books and School of the Ages*, Papermac, London 1995).

pierwszej, domykającej tendencji. Zgodnie z nimi, literatura światowa jako pewien system może działać tylko dlatego, że godzimy się na kolejne wykluczenia, wynikające z założonej przekładalności (językowej, ale również kulturowej) tekstów. Ujmując sprawę nieco inaczej: system literatury światowej nie działa tak, jak chciałby między innymi Damrosch i lektura wielokierunkowa nie może się powieść, gdyż trafia na konkretne przeszkody. Największą z nich jest zasadnicza nieprzekładalność kultur, z której pełnego wpływu na każdy system globalny badacze literatury światowej nie w pełni zdają sobie sprawę. Zastrzeżenia te, wysuwane między innymi przez Emily Apter<sup>17</sup>, bardzo dobrze opisywał również Przemysław Czapliński<sup>18</sup>, wskazując na źródło potknięcia w definiowaniu literatury światowej: tym źródłem jest r z e c z y w i s t o ś ć, nie dość dobrze uchwycona i w niewystarczającym stopniu wzięta pod uwagę przy konstruowaniu w gruncie rzeczy dość harmonijnej koncepcji funkcjonowania literatury światowej.

Tymczasem, jeśli system literatury światowej ma działać, trzeba wziąć pod uwagę fakt, że teksty literackie nie tylko nawiązują ze sobą relacje, budując pewien system, lecz również: współzawodniczą, by znaleźć w nim swoje miejsce oraz wzajemnie się z tego systemu wypierają. Jeśli koncepcja literatury światowej ma ten system opisywać i uczestniczyć w budowie jego „najlepszej z możliwych” wersji, musi najpierw z tej sytuacji w pełni zdać sprawę. Otworzyć się na wcale nie harmonijną rzeczywistość i zadać pytanie, czy cena, jaką za uczestnictwo w systemie literatury światowej płać poszczególne literatury jest choćby mniej więcej podobna? Czy – jeśliby światowość uznać za pewnego rodzaju służebność – nie jest to obowiązek, który niekiedy ciąży i ogranicza za bardzo, zmieniając się z jednej z możliwych dróg funkcjonowania w narzucany zewnątrz model, którego przyjęcie owocuje całą serią zmian. A jeśli tak jest w istocie, to czy da się sprawić, by światowość była jedną z opcji rozwoju, a nie niechcianym obowiązkiem?

Do pewnego tylko stopnia, koncepcje wyrosłe z badań nad pamięcią kulturową i zbiorową mogą stanowić sugestie dla prób odpowiedzi na powyższe pytania.

---

<sup>17</sup> E. Apter, *Against World Literature...*

<sup>18</sup> P. Czapliński, *Literatura światowa...*, s. 34–35.

### 3. Nieuchronny konflikt

Badania nad pamięcią zbiorową, choć ich tradycja jest zdecydowanie młodsza niż tradycja badań nad literaturą<sup>19</sup>, przeżyły w ciągu ostatnich lat podobne otwarcie. Pierwsze lata pamięciologii należały zdecydowanie do pamięci narodowych lub mniejszych, ale wciąż działających w ramach narodowych wspólnot<sup>20</sup>. Skutkiem nasilonej eksploracji zamkniętych, często budowanych przez określone polityki trybów pamiętania stały się spostrzeżenia dotyczące konieczności zbudowania takiej ramy pamięci, która będzie bardziej – niż na przykład narodo- – podatna na wyrwy i nieciągłości oraz zdolna do innej niż konfrontacyjna interakcji z odmiennymi wersjami pamięci.

Odpowiedzią na tę potrzebę były co najmniej dwie szeroko znane teorie: koncepcja pamięci dialogicznej Aleidy Assmann oraz pamięci wielokierunkowej Michaela Rothberga. Obie akcentowały konieczność otwarcia pola pamięci w taki sposób, by mogły w nim koegzystować różne wersje pamięci. Assmann uznawała, że poszczególne pamięci zbiorowe, zwłaszcza narodowe, konkurują ze sobą:

W pamięci narodowej panuje notoryczny brak miejsca. Zasada wzajemnego uznania roszczeń do wspomnień i ich hierarchizacji pozwala jednak stworzyć takie miejsce i przekształcić niedające się pogodzić „albo-albo” w „zarówno-jak”.<sup>21</sup>

<sup>19</sup> Por. m.in. A. Assmann, *Cultural Memory and Western Civilization. Functions, Media, Archives*, Cambridge 2011; s. 176, J. Olick, *The Politics of Regret. On Collective Memory and Historical Responsibility*, Routledge New York 2007.

<sup>20</sup> Od razu warto zaznaczyć, że prymat pamięci narodowej nie oznaczał wcale bezkrytycznego przyjmowania istniejących, produkowanych w ramach określonych polityk pamięci wizji przeszłości, ani że nie oznaczał on przyjmowania za dobrą monetę postulatu budowania tożsamości narodowej wobec konkretnych wersji pamięci. Przeciwnie, większość badaczy była od początku sceptyczna wobec tego typu działań, niemniej to pamięć związana z tożsamością narodową, jako szczególnie dobrze skonsolidowana i zmediatyzowana, była pierwszym polem badawczym.

<sup>21</sup> A. Assmann, *Podzielona Pamięć Europy...*, s. 18.

Zgodnie z koncepcją Assmann, pamięć dialogiczna miałaby polegać na takiej zmianie struktury pamięci, by możliwe stało się pamiętanie nie w kategoriach „albo-albo” lecz „zarówno tak, jak”. Projekt pamięci dialogicznej miał prowadzić do przekształcenia dwóch płaszczyzn funkcjonowania pamięci. Pierwszą jest pamięć określonej zbiorowości lub społeczności, może być to również pamięć narodowa. W tym aspekcie dialogiczność miała powodować poszerzenie spektrum możliwych do zaakceptowania w ramach pamięci narodowej ról, które zazwyczaj ograniczają się do trzech: zwycięzcy, wyzwoliciela oraz ofiary. To poszerzenie miało więc dopuścić możliwość myślenia o własnym narodzie również w kategoriach sprawcy przemocy oraz – na przykład – świadka lub obserwatora, który przyjmuje bierną perspektywę.

Oczywiście wspomniane poszerzanie ram pamięci może prowadzić – i poniekąd ma prowadzić – do sytuacji konfliktowych. Konflikt jest jednak w tym przypadku zaledwie jednym ze stadiów, a nie naturalnym stanem i powinien prowadzić do trwałej zmiany. Ma ona polegać nie na wypracowaniu kompromisu, rozumianego jako wykształcenie jednej, może nawet zniuansowanej wersji pamięci, lecz na dopuszczeniu współistnienia w jednej przestrzeni różnych wersji pamięci, nieraz sprzecznych.

Dokonująca się w obrębie pamięci narodowych zmiana mogłaby umożliwić stworzenie nowej ramy dla pamięci europejskiej, która w takim przypadku byłaby czymś więcej i czymś innym, niż wyłącznie zbiorem konkurencyjnych, nieraz sprzecznych ze sobą, wersji pamięci narodowych. Jej najważniejszą cechą miała być wspomniana dialogiczność, a więc uznanie, że nie istnieje jedna nadrzędna perspektywa, z której można określone wydarzenie wspominać. A to oznacza, że zamiast konfliktu następowaloby pokojowe współistnienie różnych wersji pamięci, które wprawdzie zawsze będą się ze sobą ścierały, ale ich interakcja byłaby kształtowana nie tylko w imię przeszłości, lecz również przyszłości. Pod tym względem pamięć dialogiczna mogłaby być narzędziem integracji, umożliwiającym szukanie w przeszłości nie tylko podziałów, ale i punktów wspólnych oraz patrzenie na przeszłość nie w celu konserwacji rachunku żalów i krzywd, lecz wyciągania z niej lekcji na przyszłość.

Przedstawiona wizja jest do pewnego stopnia postulatem, a do pewnego stopnia opisuje proces, który rzeczywiście zaczął się wydarzać. Podobny charakter ma koncepcja pamięci wielokierunkowej Michaela Rothberga wyrażona w książce *Pamięć wielokierunkowa*<sup>22</sup> oraz artykule *Między Paryżem a Warszawą. Pamięć wielokierunkowa, etyka i odpowiedzialność historyczna*<sup>23</sup>. Jest ona równocześnie bardziej idealistyczna i bardziej realistyczna, niż koncepcja Assmann. Bardziej realistyczny jest jej punkt wyjścia: Rothberg zauważa, że zjawisko konkurencji pamięci obejmuje nie tylko sprzeczne ze sobą wersje pamięci o określonym wydarzeniu, lecz całą strefę pamięci. Pisząc bardziej obrazowo: nie jest wyłącznie tak, że – na przykład – na europejskim polu pamięci konkuruje ze sobą wyłącznie polska, francuska, niemiecka i rosyjska wersja pamięci o II wojnie światowej, lecz konkurencja dotyczy również wydarzeń i wersji pamięci ze sobą zupełnie niezwiązanych: pamięć o II wojnie światowej może przegrywać z pamięcią o I wojnie, a ta – z pamięcią o dekolonizacji albo transformacji politycznych po upadku komunizmu. Podane przykłady są oczywiście przypadkowe i dotyczą wyłącznie w gruncie rzeczy lokalnej pamięci europejskiej, która – jak każda pamięć – uczestniczy w globalnej pamięci, współkształtowanej przez pamięć o wydarzeniach, które z europejskiej perspektywy nie mają znaczenia (albo, posługując się językiem Damroscha – mają je, gdy zechcemy być poza własnym miejscem i czasem).

Za punkty orientacyjne w tym specyficznym chaosie pamięci, który rodzi się z nakładania coraz szerszych i bardziej od siebie oddalonych perspektyw pamięci na siebie, można uznać coś, co badacz określa mianem węzłów pamięci. I tu koncepcja Rothberga staje się zdecydowanie bardziej idealistyczna, niż propozycja Assmann. Kategoria węzłów pamięci pozwala Rothbergowi na wysnucie tezy, że pewne wydarzenia historyczne, jeśli będziemy patrzeć na nie z różnych

---

<sup>22</sup> M. Rothberg, *Pamięć wielokierunkowa*...

<sup>23</sup> M. Rothberg, *Między Paryżem a Warszawą. Pamięć wielokierunkowa, etyka i odpowiedzialność historyczna*, przeł. T. Bilczewski i A. Kowalcze-Pawlik, [w:] *Od pamięci biodziedzicznej do postpamięci*, red. T. Szostek, R. Nycz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2013.

perspektyw, a nie tylko z jednej, przyporządkowanej konstruowaniu określonej pamięci narodowej, mogą funkcjonować jako przestrzeń budowania afektu niezbędnego dla wytworzenia pamięci wielokierunkowej: solidarności. Jak wskazuje badacz, solidarność jest tu rozumiana jako afekt, który „obejmuje uczucie uwikłania i odpowiedzialności za historie, których nie uznajemy za własne”<sup>24</sup>.

Doświadczenie solidarności, by w ogóle nastąpiło, musi zatem wynikać z równocześnie intelektualnego oraz emocjonalnego uznania własnego – zarówno indywidualnego, jak i społecznego, narodowego – zanurzenia w sprawy oraz wydarzenia, które nam wcale nie wydają się najważniejsze. Jest to więc działanie wbrew, na wskroś tradycyjnych linii podziału, wyznaczających granice pamięci istotnej dla tworzenia narodowej tożsamości. By lepiej zrozumieć dynamikę tego procesu, warto przytoczyć jeszcze jeden fragment:

Takie właśnie przepływy stoją u źródeł tego, co nazwałem „wielokierunkowością” pamięci, dynamiką, w ramach której wielorakie rodzaje przeszłości ścierają się ze sobą (...). Tak jak imperium, pamięć jest jednocześnie rozłączna i kombinatoryczna, poddaje się zarówno procesowi rozkładania na części, jak i zespalania.<sup>25</sup>

Wizja dynamicznej, wielokierunkowej pamięci, która może być „składana” i „rozkładana” nie tylko po to, by osiągnąć względnie spójną pamięć, ale i po to, by spełniać silnie nacechowany etycznie postulat wzięcia odpowiedzialności za „cudze” historie, jest niezwykle kusząca. I przypomina, moim zdaniem więcej niż tylko trochę, omówiony wcześniej postulat Damroscha: bycia poza własnym czasem i miejscem. Postulat chwalebny, ale – w przypadku każdej z omówionych koncepcji – trudny do realizacji, jeśli nie weźmiemy pod uwagę pewnych problemów wynikających z próby odcięcia się od własnego miejsca i czasu, a więc od rzeczywistości, niezbyt harmonijnej i niezbyt nastawionej na budowanie realnie wspólnotowych wersji czegokolwiek – pamięci, literatury czy polityki.

---

<sup>24</sup> Tamże, s. 178.    <sup>25</sup> Tamże, s. 169.

#### 4. Rzeczywistość i nieuniknione potknięcie

Omówione tu – szkicowo i na pewno z niektórymi uproszczeniami – teorie zakorzenione są w postulatach charakterystycznych dla tendencji otwierającej. Ich celem jest bez wątpienia poszerzenie pola dyskusji i skierowanie jej na problemy wcześniej słabo dostrzegane. Wyraźne jest również nacechowanie etyczne koncepcji, podkreślających obojętne patrzeć na konkretny system (czy to literatury, czy pamięci) z szerszej perspektywy niż tylko narodowa. Równocześnie nie da się nie zauważyć problemów, jakie następcza praktyczna realizacja tych postulatów. Nie mam tu na myśli tylko wielokrotnie już krytykowanych założeń funkcjonowania literatury światowej, która nie dość bierze pod uwagę problemy z tłumaczeniem tekstów i różnice w przekładalności (a więc w możliwości zrealizowania postulatu „zyskiwania w tłumaczeniu” różnych języków), zbytnej centralizacji tego idealistycznie niecentralistycznego układu, który w praktyce i tak kształtowany jest z punktu widzenia aktualnie dominujących kultur, ale przede wszystkim: związków przedstawionych koncepcji z rzeczywistością, a mówiąc bardziej dobitnie: zbyt małego zainteresowania tym, jak rzeczywiście działa – jeśli działa – system literatury światowej i jak będzie działać – bo raczej jeszcze nie działa – pamięć wielokierunkowa czy dialogiczna. O ile bowiem koncepcja literatury światowej nie odnosi się do sytuacji konkurencyjności poszczególnych tekstów (a przecież w literaturze światowej, czy tego chcemy, czy nie, również panuje „notoryczny brak miejsca”), o tyle koncepcje pamięci wielokierunkowej czy dialogicznej, choć dobrze opisują konkurencyjny czy wręcz konfliktowy punkt wyjścia, równie – nadto idealistycznie, za mało realistycznie – upraszczająco widzą drogę do zmiany tego stanu rzeczy.

Wspominany problem z rzeczywistością był już raportowany przez badaczy, zdecydowanie części funkcjonujących w obrębie kultur, które można roboczo określić jako kultury bliskiego zasięgu. Warto w tym kontekście przytoczyć uwagi Przemysława Czaplińskiego, kończące jego artykuł – umiarkowanie krytyczny – dotyczące możliwych konceptualizacji pojęcia literatury światowej:



Badacz literatury musi stawiać pytania, które wymagają wyjścia poza literaturę: czy świat jest systemem – jednolitym, lecz nierównym – czy wielością systemów? Czy w obrębie owego systemu/systemów literatura może zachować autonomię i równość? Czy transfer wzorców literackich przebiegający od centrum ku półperyferiom i ku peryferiom można trwale zakłócić bądź odwrócić? (...) A zatem dzisiejsze badanie literatury światowej to uczestniczenie w konflikcie metafor (...) W sporze tym nie sposób diagnozować warunków autonomii literatury bez hipotez na temat funkcjonowania świata.<sup>26</sup>

To właśnie „hipotezy na temat funkcjonowania świata” są najsłabszą stroną omawianych koncepcji i to one – albo dokładniej ich brak – sprawiają, że o ile aspekt krytyczny teorii jest przekonujący, o tyle wizja tego, jak można rzeczywiście otworzyć system literatury światowej lub pamięci już taka nie jest. Nie bierze się bowiem pod uwagę najprostszych i najtrudniejszych do ominięcia problemów: nikt nigdy nie jest do końca poza własnym miejscem i czasem, a tylko niekiedy niektórzy są zainteresowani tym, co dla nich inne.

System literatury światowej oraz system globalnej pamięci funkcjonują w podobny sposób: postulatywnie jest to system równych praw i równego dostępu, ale w praktyce jest on oparty na dominacji kultur dalekiego zasięgu. Umyslnie używam tu określeń „kultury dalekiego i bliskiego zasięgu”, bo moim zdaniem lepiej oddają dynamikę relacji między kulturami niż podział na centrum i peryferia. To, które kultury mają w danej chwili daleki zasięg może się oczywiście zmieniać (choć wcale nie szybko i łatwo, biorąc pod uwagę na przykład obecną przewagę języka angielskiego nad innymi językami<sup>27</sup>), ale zawsze to one wyznaczają zakres tego, co w ogóle może być uznane za interesujące poza własnym miejscem i czasem. Warto podkreślić, że kiedy piszę o kulturach bliskiego zasięgu, nie mam na

---

<sup>26</sup> P. Czapliński, *Literatura światowa...*, s. 39.

<sup>27</sup> Przewagi tej nie są w stanie naruszyć inne języki i wzrastająca liczba ich użytkowników, gdyż w dalszym ciągu znajomość języka angielskiego jest w gruncie rzeczy warunkiem uczestnictwa w kulturze światowej.

myśli niczego pejoratywnego, ani tym bardziej nie utożsamiam takich kultur z mało znaczącymi. Bliski zasięg nie oznacza wcale małego wpływu: niekiedy teksty zdecydowanie lokalne uzyskują wpływ globalny. Istotna jest jednak i proporcja szans na tak szerokie oddziaływanie, i realny zasięg danej kultury, rozumiany jako swoboda korzystania z szeroko rozumianego tłumaczenia, owocującego zazwyczaj – i tu polemizuję z Damroschem – ograniczeniem znaczeń, jakie dany tekst jest w stanie ewokować.

Podobnie jest w przypadku systemu pamięci: nawet, jeśli rzeczywiście możliwe jest pamiętanie pewnych wydarzeń dialogicznie czy wielokierunkowo, to prawie zawsze dzieje się to nie na zasadzie opisanej przez Assmann jako „zarówno, jak”, ale raczej zgodnie z paradygmatem „zwykle jest tak, a tylko czasem inaczej”. Pamięć do tej pory marginalizowana zyskuje więc swoje miejsce, ale nie jako równorzędny partner, lecz na zasadzie wyjątku, punktu widzenia, który owszem, powinien zostać uwzględniony, ale przez to nie staje się wcale tak samo istotny.

Dlaczego ta nierównorzędność jest moim zdaniem taka ważna? Z jakiego powodu przywiązuję tak dużą wagę do wskazania, że przecież istotne, robiące wiele dobrego w humanistycznej koncepcji są jednak nierealistyczne i zakładają chwalebny, lecz praktycznie niemożliwy do zrealizowania punkt wyjścia (bycie poza własnym czasem i miejscem), a po drugie uznają za możliwą sytuację równowagi w systemie, który przecież – jak każda z tych teorii na którymś etapie dostrzega – karmi się raczej konfliktem i walką o dominujące miejsce, niż pokojowym współistnieniem? Dlatego, że przemilczenie problemów zmienia te – w zamyśle otwierające teorie – na koncepcje konserwujące dotychczasowy stan rzeczy, w którym dominacja kultury dalekiego zasięgu jest nie tylko bezwzględna, ale – co uważam za najgorsze – może stać się przezroczysta, zupełnie niedostrzegalna, jakby była nie skutkiem długotrwałej dominacji, lecz naturalnym następstwem systemu pomyślanego jako dialogiczny, otwarty i wielokierunkowy.

Nie jest to oczywiście zamknięcie umyślne i deklaratywne, jak miało to miejsce w przypadku niektórych innych definicji określających pokrewne pola (jak na przykład restrykcyjnie rozumiane

definicje kanonu czy tradycji<sup>28</sup>), ale przez to nie staje się mniej realne. Gdy zapominamy o stanie, w jakim obecnie są literatura oraz pamięć – a jest to stan wyraźnej dominacji konkretnych opcji, czy to literatur narodowych, czy to pamięci zbiorowych – to przestajemy dostrzegać, że nawet realizacja postulatów bycia „poza własnym czasem i miejscem” nigdy nie będzie bezinteresowna, bo w obręb kultury dalekiego zasięgu będzie wchodziło tylko to, co z jej perspektywy warte zainteresowania. Kultury bliskiego zasięgu będą więc dalej podporządkowane, już nie ze względu na powracający w innych dyskursach argument o „wyższości” czy „lepszości” danego systemu, lecz czysto pragmatycznie: to, co jest bardziej nośne, bo dociera do większej ilości odbiorców, będzie w centrum, do którego dołączy się – raczej jako kontekst niż jako równorzędny partner – to, co w innych kulturach interesujące z punktu widzenia ich przekładalności.

Oczywiście, taka wymiana może wyglądać inaczej między kulturami bliskiego zasięgu. A raczej – mogłaby, ale nie będzie, gdyż sposobem na zaistnienie w globalnej sieci odniesień nie jest otwieranie własnej kultury, literatury czy pamięci na inne, lokalne kultury bliskiego zasięgu, lecz sytuowanie się zawsze w relacji do globalnego obiegu, dążenie do stania się możliwie dobrze przetłumaczalnym, do „zyskiwania w tłumaczeniu”. I tu pora wrócić do sygnalizowanej już kwestii służebności. Czy rzeczywiście powinniśmy uznawać, że obowiązkiem literatury, a szerzej humanistyki, jest zdolność do zyskiwania w tłumaczeniu? Oczywiście, żaden z badaczy literatury światowej nie zakłada, że taki obieg tekstów powinien zastąpić wymianę lokalną, ale nietrudno zauważyć, że stale globalizujący się rynek książki i zarazem rynek nauki, takie właśnie zmiany prowokują.

I tu dochodzimy do sedna drugiego z najistotniejszych dla tego rozdziału problemów. Postulat przekładalności nie jest tylko i wyłącznie niewinnym opisem rzeczywistości, mówiącym, co pozwala

---

<sup>28</sup> Oczywiście nie wszystkie konceptualizacje tych pojęć miały charakter zamykający, ale najpopularniejsze ich użycie zakładało raczej myślenie o tekstach jako w pewnym w miarę stabilnym, trudno zmieniającym się wzorze, o wiele mniej podatnym na przekształcenia niż w założeniu dynamiczna i otwarta na zmiany koncepcja literatury światowej.

tekstom zaistnieć w obiegu (lub obiegach) literatury światowej. Jest to warunek, który może determinować (i determinuje) rozwój kultur bliskiego zasięgu, coraz bardziej (a nie coraz mniej) zwróconych w stronę globalnego rynku, czy to pamięci, czy literatury, i szukających w nich niszy, w której można się zadomowić lub próbujących (mniej lub bardziej udanie) negocjować własne miejsce.

Ten proces szukania niszy jest szczególnie widoczny w przypadku systemów pamięci. Pamięć dialogiczna, a przynajmniej to, co można uznać za próbę jej realizacji, dalej kształtowana jest w ramach konfliktu i wypierania poszczególnych wersji pamięci przez inne. W dodatku obecnie pozycja pamięci do tej pory dominujących jest jeszcze lepsza: nie można ich wszak oskarżać o blokowanie innych wersji pamięci. Konflikt przesunął się z głównego pola na nisze: to między pamięciami lokalnymi, pamięciami wykluczonymi toczy się walka o zaistnienie w ramach głównego dyskursu, o bycie tym, o czym wspomina się jako kontrapunkcie w ramach wciąż jednak jednej, zwartej ramy pamięci. Dynamika tego procesu polega na tworzeniu głównej, w miarę spójnej narracji na temat określonego wydarzenia oraz dopuszczania – na zasadzie wyjątków, nie na zasadzie równie istotnych dla kształtowania ramy pamięci wersji wydarzeń – konkretnych, również raczej zwartych pamięci. Jakich? Takich, które są przekładalne w relacji do aktualnie dominującej ramy pamięci, takich, które mieszczą się w jej ramach. Nie oznacza to wcale, że muszą być z tą ramą całkowicie zgodne, lecz że zawsze pozostają z nią w relacji, jeśli nie wspierania, to uzupełniania luk, jeśli nie uzupełniania luk, to opozycji, ale wciąż: są możliwe do pomyślenia w ramach tej struktury, przetłumaczalne na jej język i – z jej perspektywy – aktualnie istotne.

Przekładalność jest zatem koniecznym warunkiem, by znaleźć się w dowolnym światowym obiegu kultury, literatury czy pamięci. A nawet więcej, nie sama przekładalność, lecz „zyskiwanie w tłumaczeniu”. Każda kultura bliskiego zasięgu, świadoma swoich ograniczeń, jest też świadoma konieczności dążenia do uczestnictwa w tym obiegu. A ono ma swoją cenę, zupełnie inną dla kultur dalekiego zasięgu i kultur bliskiego zasięgu. I o tej cenie często badacze literatury światowej – i nie tylko, jak pokazują przykłady z zakresu funkcjonowania współczesnych badań nad pamięcią – zapominają.

## 5. Cena

Kultury bliskiego zasięgu, jeśli chcą uczestniczyć w światowym systemie literatury, muszą z pewnych rzeczy zrezygnować, a inne traktować śmiertelnie poważnie. Z czego można zrezygnować? Z przekładów na języki lokalne. Z czego nie można? Z przekładów na języki kongresowe. Bez względu na to, że być może pewne teksty lepiej odnalazłyby się w kontekście innych kultur bliskiego zasięgu, że język pokrewny (w przypadku języka polskiego – inne języki słowiańskie) dawałby o wiele większe szanse na „zyskiwanie w tłumaczeniu”. Ale to wcale nie najwyższa cena: można argumentować, że każdy tekst literacki traci w przekładzie na precyzji i idiomatycznie rozumianym pięknie, ale zyskuje na nowych odniesieniach, na sensach, które rodzą się w zetknięciu z innym, niż rodzimy systemem. Dlatego właśnie kwestia znaczenia, na potrzeby tej argumentacji wbrew moim własnym poglądom (i wielu innych badaczy) oddzielana od formy czy języka, jest najważniejsza.

Co dzieje się z tekstem z kultury dalekiego zasięgu, gdy jest inkorporowany w system literatury światowej? Najczęściej wchodzi weń wraz z co najmniej podstawowym kontekstem macierzystym, czytelny dla odbiorców spoza owej kultury. Co dzieje się z tekstem kultury bliskiego zasięgu w dokładnie tej samej sytuacji? Zaczyna funkcjonować bez kontekstu albo w kontekście, który został wypreparowany przez badaczy, tłumaczy i interpretatorów zgodnie z tym, co uznają za potencjalnie interesujące dla odbiorcy spoza macierzystej kultury. Chcę od razu podkreślić, że nie krytykuję ani czytania tekstów poza macierzystym kontekstem, ani tym bardziej prób wydestylowania jakiegoś macierzystego kontekstu jako możliwego tła dla interpretacji. Niemniej, najczęściej postrzega się system literatury światowej jako funkcjonujący mniej więcej tak samo dla każdego tekstu. A tak nie jest. W przypadku tekstów z kultur dominujących zdecydowanie większa część odbiorców spoza danego kręgu dysponuje przynajmniej minimalnymi kompetencjami dotyczącymi kodów kulturowych danego kraju, jego aktualnej i przeszłej sytuacji politycznej, historii, języka, i tak dalej. Ten sam kontekst dla tekstów pochodzących z kultur bliskiego zasięgu jest czytelny

tylko lokalnie. W dodatku ta lokalna czytelność zaczyna się zacierać, gdy warunkiem uczestnictwa w światowym systemie literatury jest przekładalność nie tylko i nie tyle językowa, co pojęciowa. A więc zdecydowanie bardziej opłaca się orientowanie tekstów wobec tego, co globalnie odczytywalne, niż wobec tego, co lokalnie (a zarazem ponadnarodowo) istotne.

Przedstawiona tu argumentacja nie jest skargą na nieuchronną marginalizację kultur lokalnych, ani w wymiarze funkcjonowania literatury światowej, ani globalnego systemu pamięci. Jest jednak sposobem zwrócenia uwagi na fakt, że fałszywe rozpoznanie dotyczące względnej równowagi w obrębie projektowanego, postulowanego systemu ma bardzo realne skutki dla kultur, które były w obrębie poprzednich systemów (i tu pełna zgoda – dużo bardziej hierarchicznych i nastawionych na tworzenie globalnych, wykluczających narracji) marginalizowane. Punktem wyjścia dla projektowania systemów rzeczywiście otwartych musi być pełniejsza konfrontacja z rzeczywistością, dużo mniej egalitarną i równościową, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Tylko zderzenie z rzeczywistym zamknięciem globalnego systemu może przynieść – niekoniecznie od razu – pomysł na realne otwarcie.

Warto przy tym pamiętać, że wspomniana sytuacja nie dotyczy wyłącznie obiegu kultury lub literatury, ale całej humanistyki, również tej naukowo uprawianej. W tym przypadku, podobnie jak w odniesieniu do systemu literatury światowej dość często postuluje się „umiędzynarodowienie”, a więc właśnie umieszczenie w pozalokalnym kontekście, badań prowadzonych w konkretnym kręgu kulturowym. A, jak starałam się pokazać, realizacja takiego postulatu ma zawsze swoją cenę, w przypadku badań naukowych nawet wyższą, niż w przypadku literatury czy kultury, której najczęściej nie da się stworzyć z myślą, by stała się częścią światowego obiegu (choć z pewnością da się podejmować działania, by było to bardziej niż mniej prawdopodobne). Badania naukowe są o wiele bardziej podatne na wykonywane już na wstępie przeprojektowanie ich celów i zakresu tak, by miały większą szansę zaistnieć w globalnej wymianie. Jednak, ponownie: nie za darmo. Za cenę większej przekładalności, większej uniwersalności, czasem za cenę pewnego spłaszczenia. A na pewno

za cenę większego zainteresowania tym, co globalne, niż tym, co lokalne, większego skupienia na kulturach dalekiego zasięgu, niż – choćby ościennych – kulturach bliskiego zasięgu.

Powracamy tu zatem do zadawanego na początku tego rozdziału pytania, czy międzynarodowość i światowość powinny być obowiązkiem współczesnej literatury, kultury lub nauki. Czy, jeśli uznamy w tym aspekcie służebność różnego rodzaju tekstów, to powinniśmy godzić się na coraz większą presję konstruowania kultur bliskiego zasięgu tak, by w globalnym wyścigu poprawiać ich szanse. Bo, jak starałam się pokazać, nie jest tak, że każda kultura płaci tę samą cenę za próbę uczestnictwa. Dla jednej jest ona praktycznie niezauważalna, dla innej – może bezpowrotnie zniszczyć latami budowaną autonomię, która przecież pozwala różnym kulturom bliskiego zasięgu, w tym – moim zdaniem – polskiej uczestniczyć w globalnej wymianie kulturowej bez podporządkowywania się stale ewoluującym zasadom, bez postrzegania się jako obszar peryferyjny, który musi „nadażać” za tymi, którzy wyznaczają trendy (co również nieuchronnie oznacza, tak w polu nauki, jak i literatury, że nigdy samemu nie jest się tym, kto generuje nowe prądy, lecz co najwyżej tym, kto reaguje na zmiany).

Co ciekawe, o – moim zdaniem coraz większych – kosztach uczestnictwa w systemach światowej wymiany kultury i nauki praktycznie się nie mówi. Jest to tym dziwniejsze, że wspomniane koszty rosną lawinowo, gdy się o nich zapomina. Nie ma bowiem nic złego – zwłaszcza dla nauki – w chęci uczestnictwa w globalnym systemie, nie ma również zbyt wielkich zagrożeń, gdy za pomocą różnych narzędzi się do niego zachęca. Ale pojawiają się natychmiast, gdy czyni się z globalnej wymiany jedyny – albo główny – obieg naukowy, a zatem z jednej z możliwych opcji rozwoju, a nawet służebności (limitowanej jednak innymi, niezbywalnymi obowiązkami) czyni się uniwersalny wzorzec dla wszystkich. Czym innym jest projektowanie badań naukowych tak, by mogły w światowym systemie uczestniczyć, czym innym wiedza, że są one oceniane tylko i wyłącznie z perspektywy ich potencjału na umiędzynarodowienie, podobnie jak możliwość uczestnictwa w światowym systemie literatury nie jest tożsama z koniecznością tworzenia tekstów tak, by zawsze „zyskiwały w tłumaczeniu”. Takie – niestety coraz częstsze – formatowanie celów i dążeń kultur bliskiego

zasięgu prowadzi do coraz większego nacisku nie na – jak chcieliby popierający takie działania – poprawę jakości, lecz na szeroko rozumianą „przekładalność”. W każdej kulturze, zwłaszcza takiej, dla której język jest i będzie naturalną przeszkodą w uzyskaniu szerokiego wpływu, są zagadnienia i problemy, które nawet jeśli są „przekładalne”, to niekoniecznie na język aktualnie dominujący. A dążenie do „przekładalności” ponad wszystko może oznaczać – i myślę, że w praktyce już powoli oznacza – rezygnację z zajmowania się tym, co nieprzekładalne na inne języki i kultury, tym, co obce, niełatwe, bolesne albo trudno uchwytnie i tylko dla danej kultury swoiste. Paradoksalnie, oznacza to więc rezygnację z tego, co stanowi największą wartość i siłę humanistyki, co decyduje o jej „przydatności” w konkretnym miejscu i czasie. Ujmując sprawę nieco inaczej: jeśli humanistyka i literatura oraz kultura mają wobec lokalnej społeczności określone obowiązki, to raczej te właśnie służebności limitują dążenie do „światowości” lub „umiędzynarodowienia”, niż na odwrót.

Na sformułowanie konkluzyjnego programu o charakterze pozytywnym jest jeszcze – przynajmniej w moim przypadku – za wcześnie<sup>29</sup>. Ale tym bardziej uważam, że powinniśmy częściej i głośniej mówić oraz pisać o cenie, do której płacenia powoli jesteśmy zmuszani, a nawet, jak sugerował Stanley Fish, „agresywnie tłumaczyć”, że nie zawsze da się pogodzić rozmaite obowiązki i służebności, ale tym bardziej nie należy w ich wyznaczaniu przywiązywać nadmiernej wagi do tego, w czym aktualnie widzi się „światowy” potencjał. Również, ale nie tylko dlatego, że dość często takie prognozy okazują się błędne.

---

<sup>29</sup> Oczywiście, zdaję sobie sprawę z istnienia więcej niż jednego programu pozytywnego, opierającego się – zazwyczaj – na podkreśleniu postulatu prowadzenia badań lokalnych na światowym poziomie, które, owszem, wtórnie wpływają na naukę światową, ale nie są tworzone do globalnego uczestnictwa (a przynajmniej – nie w tym najczęstszym rozumieniu globalności). Są one – równocześnie – słuszne i podatne na manipulacje, głównie przez problem z definiowaniem tego, co – i jak – określa się jako światowy poziom uprawiania nauki.



## Część druga



## Ekokrytyczna samoświadomość

### 1. Uwagi wstępne

Niniejsza część tej książki dotyczy jednego z najbardziej specyficznych prądów współczesnej humanistyki, jakim jest ekokrytyka. Zanim – w kolejnych rozdziałach – postaram się opisać, czym jest współczesna ekokrytyka, skąd ten nurt się wywodzi i jak współcześnie funkcjonuje, chciałam poświęcić nieco uwagi bardziej ogólnym problemom związanym z jego działaniem.

Ekokrytyka jest jednym z najbardziej służebnych – zgodnie z wcześniej wyłożonym rozumieniem tego pojęcia – prądów współczesnej humanistyki. Analizując, choćby tylko pobieżnie, to, jak ekokrytyka działa i jak jest postrzegana, można zauważyć jej podwójną zależność: od szeroko rozumianej ekologii oraz od wszystkich tych dyscyplin nauki, które zajmują się interpretacją tekstów. Oznacza to, że ekokrytyka, jej poszczególne fazy, fale czy sposoby konceptualizacji, boryka się z odmiennie postrzeganymi i nawarstwiającymi się służebnościami i zależnościami. Jak już wspominałam, każdy naukowiec, wybierając oraz określając swoje pole badawcze, podejmuje szereg decyzji, które wpływają nie tylko na niego osobiście i jego karierę, ale i na kształt współczesnej nauki. Wybór ekokrytyki jako przedmiotu badań jest i zawsze będzie ryzykowny, zwłaszcza, jeśli nie jest to jedyne pole zainteresowań. Perspektywa badacza, który posługuje się ekokrytyką jako jedną z kilku dostępnych teorii, różni się zasadniczo od perspektywy naukowca, który określa sam siebie jako ekokrytyka, a sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że możliwe jest konceptualizowanie tego prądu na co najmniej dwa odrębne od siebie sposoby. Można je określić, oczywiście w pewnym uproszczeniu, jako tekstocentryczny i ekocentryczny.

Wybierając tę pierwszą opcję – co jest moim osobistym wyborem – i łącząc ją z przekonaniem, że ekokrytyka jest jednym z wielu przydatnych narzędzi badawczych, a nie jedyną drogą interpretowania tekstów, nie stoi się wprawdzie przed koniecznością udowodnienia (a przynajmniej uargumentowania), dlaczego ekokrytykę uznaje się za najlepszą perspektywę badawczą, ale przed koniecznością odpowiedzi na pytanie, dlaczego niekiedy z niej się korzysta, a niekiedy nie. Odpowiedź na tę wątpliwość jest do pewnego stopnia oczywista: gdyż czasem funkcjonuje tak, jak badacz sobie tego życzy, a czasem nie. Przyjęcie tego wy tłumaczenia wymaga jednak uznania takiego stanu rzeczy, w którym akceptujemy określone teorie częściowo, a więc rezygnujemy z szukania „najlepszej możliwej” opcji i konsekwentnego posługiwania się nią.

Korzystanie z określonych koncepcji wymaga w takim przypadku nie tylko zwiększonego krytycyzmu (bo to od badacza i jego decyzji zależy wybranie punktu, do którego jakiejś perspektywie ufa, a od którego jednak już za nią nie podąża), ale i akceptacji ograniczeń teorii jako takiej, a więc uznania, że zawsze jakiś wycinek rzeczywistości pozostaje poza obrębem jej stosowania, a nawet – że ta, która jest nam stosunkowo najbliższa, użyta do interpretowania określonych problemów, może być nie tylko niewystarczająca, ale nawet – szkodliwa. Może więc nie tylko nie działać, ale również działać źle.

Uznanie powyższych ograniczeń jest szczególnie problematyczne, gdy używa się teorii, mających ambicje większe, niż tylko interpretowanie rzeczywistości<sup>1</sup>, a zwłaszcza, gdy te ambicje wspiera postulat zaangażowania. By zagadnienie to przedstawić nieco prościej: ekokrytyka jest prądem badań humanistycznych, kulturoznawczych i literaturoznawczych, który czerpie bardzo mocno z różnych teorii ekologicznych. Czy więc możliwe jest – spójne – bycie ekokrytykiem jako badacz i nie bycie ekologiem jako człowiek? A co w przypadku, w którym naukowiec wprawdzie nie uznaje się za ekokrytyka

---

<sup>1</sup> Problem tego, czy teorie nadają się do czegoś innego niż interpretacja lub objaśnianie rzeczywistości, pozwolę sobie w tej argumentacji pominąć, choć jestem świadoma nie tylko jego istnienia, ale i wagi, z czego przynajmniej częściowo miał zdawać sprawę rozdział poświęcony koncepcji humanistyki zaangażowanej.

(tak, jak nie uznaje się na przykład za przedstawiciela żadnej jednej, konkretnej szkoły badawczej), lecz ekokrytykę uprawia? Czy wtedy jest zwolniony z obowiązku bycia ekologiem, i – często powracającego w ekokrytyce – obowiązku zaangażowania wykraczającego poza działalność badawczą? Formułując to samo pytanie inaczej: czym są i jakie są granice narzucanych przez ekokrytykę służebności? Co jest w przypadku tego nurtu obowiązkiem, a co opcją? I czy da się ściśle wyznaczyć granice tak rozumianych, rozmaitych służebności?

Od razu chcę podkreślić, że nie chodzi mi tu wyłącznie o problemy tożsamościowe badacza lub ewentualny ostracyzm środowiskowy w przypadku braku spójności między tożsamością, nazwijmy ją, ekokrytyczną a ekologiczną. Nie interesują mnie również przykłady konfliktów dotyczących poszczególnych wyborów życiowych, ale raczej źródła uzasadnienia tych wyborów. Posługując się prostym przykładem: nie chodzi mi o to, czy można spójnie być ekokrytykiem, a nie być na przykład wegetarianinem, mimo że współczesna ekologia zaleca raczej rezygnację ze spożycia mięsa z różnych, nie tylko wiążących się z cierpieniem zwierząt powodów<sup>2</sup>, lecz raczej wybór paradygmatu. Można być bowiem wegetarianinem nie będąc ekologiem (i to nie tylko z przyczyn kulinarnych, lecz na przykład traktując za nadrzędny argument kwestię etyczną, czyli problem cierpienia zwierząt), i można być ekologiem nie będąc wegetarianinem, chodzi jednak o to, jakich argumentów używa się do uzasadnienia własnego stanowiska (lub – czy się ich w ogóle używa, bo wcale nie jest to konieczne, jak na przykład w przypadku osób wychowanych w wegetarianizmie, dla których nie jest on wyborem, lecz odziedziczoną tradycją, której po prostu nie podważają, nie wspominając o osobach, które są wegetarianami z przymusu kulturowego lub ekonomicznego).

Pozostawanie wewnątrz paradygmatu ekologicznego wymusza w miarę konsekwentne stosowanie pewnych teorii i określony poziom ich przekładalności na własne wybory. Pozostawanie na zewnątrz – także uzasadniać praktycznie wszystkie. Problematyczność stosowania

---

<sup>2</sup> Także dlatego, że można by słusznie argumentować, iż wyrazem ekologicznej świadomości nie musi być ścisły wegetarianizm, lecz na przykład radykalne ograniczenie spożycia mięsa i wszystkich produktów pochodzenia zwierzęcego.

ekokrytyki jako teorii interpretacji rzeczywistości opiera się właśnie na przedstawionym wyżej zagadnieniu. Jeśli bowiem chce funkcjonować w paradygmacie ekologicznym, to ekokrytyka, rozumiana jednak jako pewna praktyka interpretacyjna, następuje konkretnych trudności. Ekokrytyka – jak postaram się pokazać w dalszych częściach tego rozdziału – jest bowiem sposobem interpretacji tekstów kultury, sposobem, który bierze pod uwagę i opiera się na pewnych ekologicznych ideałach, ale który jednak równie mocno jak w nich, ugruntowany jest w poszczególnych tekstach, tak artystycznych, jak i kulturowych. Postulat zaangażowania, przejęty z ekologii i dla ekokrytyki istotny, ma zatem swój limit, a jest nim potencjał mówienia czegoś interesującego o analizowanych dziełach. Równocześnie, poziom skomplikowania teorii oraz – prowadzonej za jej pomocą lub w odniesieniu do niej – interpretacji tekstów kultury ograniczany jest w dokładnie ten sam sposób, a więc kwestią społecznej użyteczności i możliwości zastosowania, choćby dalekiego, do zmiany dominującego obecnie paradygmatu postrzegania środowiska. Zaangażowanie i teoretyczna lub tekstowa wirtuozeria pełnią wobec siebie, w dokładnie tym samym momencie i w takim samym stopniu, funkcje służebne.

Wspominana służebność może mieć dwa wymiary. Zgodnie z przedstawioną wcześniej koncepcją, może mieć charakter limitujący zakres obowiązków. Teoria musi więc umożliwiać zaangażowanie i praktyczną zmianę, a poza tym – może zajmować się czym tylko chce. Ekologiczna praktyka nie może wykluczać teoretycznego i tekstowego zaangażowania, ale nie musi czuć się skrępowana granicami teorii. Jest to pierwszy wymiar służebności, który określa funkcje pewnych działań i nakłada na nie konkretne obowiązki. Możliwy jest jednak – choć zdecydowanie rzadszy i trudniejszy do osiągnięcia – drugi wymiar służebności, który określiłabym jako wzmacniający.

W takim przypadku nie chodziłoby już o wzajemne narzucanie i zarazem limitowanie obowiązków, lecz o takie sprzężenie obopólnej służebności, które wzmacniałoby oba wspomniane aspekty. Ekologiczne zaangażowanie nie byłoby wtedy obowiązkiem ekokrytyki, lecz sposobem na podbudowanie jej teoretycznego wymiaru. Teoretyczna i interpretacyjna działalność nie byłaby zaledwie pobocznym zajęciem dla ekologii, lecz jednym z fundamentów jej skutecznego

działania. Przejście od modelu służebności rozumianej jako konkretny obowiązek, do służebności rozumianej jako służenie – za pomocą ściśle określonego działania, wychodzącego poza granice określonej dyscypliny – realizacji wzajemnie istotnych celów wymaga jednak czegoś więcej, niż tylko uznania relacji zależności. Wymaga również uświadomienia sobie ograniczeń własnej dyscypliny i podchodzenia do nich jako do wyzwania, które może okazać się twórcze.

W dalszych rozdziałach tej książki, poświęconych ekokrytyce, postaram się prześledzić losy pewnego specyficznego wyzwania, jakim jest możliwość mówienia lub pisanie w imieniu zwierząt. Ten konkretny problem badawczy stanowi moim zdaniem doskonały przykład przeplatania się ze sobą dwóch typów postulatów: natury praktycznej i teoretycznej, dotyczących w większej mierze ekokrytyki albo ekologii. Podejmowany tu problem ma bowiem co najmniej kilka wymiarów, z których żaden nie może zostać zlekceważony<sup>3</sup>. Równie istotny jest komponent teoretyczny, co etyczny, a oba determinują coś, co można moim zdaniem nazwać praktycznymi konsekwencjami prób konstruowania zwierzęcych narracji.

Bardziej szczegółowo będę pisać o tym zagadnieniu w dalszych partiach tej części, niemniej już teraz warto moim zdaniem dokonać krótkiego wprowadzenia. Nie będzie ono jednak dotyczyło bezpośrednio zookrytyki lub szeroko rozumianych badań nad zwierzętami,

---

<sup>3</sup> Na wielowarstwowość tego zagadnienia zwraca uwagę na polskim gruncie Anna Barcz, której książkę będę omawiać (por. A. Barcz, *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2016). Warto również przywołać prace Donny Haraway, która podkreśla konieczność radykalnego zerwania z antropocentrycznym pojmowaniem relacji między człowiekiem a zwierzętami (por. D. Haraway, *Manifest cyborgów i pięknie tożsamości*, przeł. S. Królak i E. Majewska, [w:] *Współczesne teorie socjologiczne*, red. A. Jasińska-Kania, L. M. Nijakowski, J. Szacki i in., t. 2, Scholar, Warszawa 2006, s. 1197–1205; teź *Femaleman\_Meets\_OncoMouse*, [w:] *Modest\_Witness@Second\_Millennium*, New York 1997; teź *When Species Meet*, University of Minnesota Press, Minneapolis–London 2008) oraz – polemiczne w tej sprawie – stanowisko Kate Soper, która uznaje antropocentryzm za cenę wartą zapłacenia za uznanie ludzkiej odpowiedzialności za los zwierząt (por. K. Soper, *Of OncoMice and Female/Man. Donna Haraway on Cyborg Ontology*, „Capitalism, Nature, Socialism” 1999 vol. 10 no 3).

lecz – przynajmniej na początku – kwestii zdecydowanie bardziej ogólnych. Nie da się bowiem rozpocząć od tak konkretnego problemu bez choćby próby zrekapitulowania uniwersalnych dla dyskursu ekokrytycznego i ekologicznego problemów. Można moim zdaniem wyróżnić co najmniej dwa, które mają decydujące znaczenie dla najbardziej interesującej mnie tu kwestii. Pierwszym jest samoświadomość samej dyscypliny, a więc ekokrytyki, drugim – najważniejsze w ostatnich latach punkty przecięcia między dyskursem ekokrytycznym a już bardzo praktycznymi problemami ekologicznymi.

Z tego powodu najpierw zacznę od teoretycznego wprowadzenia, które ma na celu ukazanie głównych punktów zainteresowania ekokrytyki i zarazem powracających pytań w definiowaniu tego nurtu, zaś w kolejnych rozdziałach zajmę się dwoma szczegółowymi problemami, sytuującymi się na granicy między ekokrytyczną teorią i ekologiczną praktyką. Pierwszy z nich będzie dotyczył szeroko rozumianej kategorii katastrofy naturalnej, drugi – specyficznego dla Polski problemu, jakim była (i jest) decyzja dotycząca traktowania Puszczy Białowieskiej.

## 2. Teoretyczne problemy z definiowaniem ekokrytyki

Ekokrytyka jest jednym z najbardziej złożonych i zarazem paradoksalnych prądów współczesnej humanistyki. Nie sposób ściśle wyznaczyć jej granic, wyodrębnić wszystkich przynależnych do niej nurtów, a zarazem nietrudno jest znaleźć – jak pokazują liczne przykłady – krótką, w zasadzie jednozdaniową definicję tego prądu: „ekokrytyka zajmuje się badaniem relacji między literaturą i środowiskiem”<sup>4</sup>, „ekokrytyka dąży do wartościowania tekstów i idei, traktowanych jako odpowiedź na kryzys środowiska, przez pryzmat ich koherencji

---

<sup>4</sup> Ch. Glotfelty, *Introduction: Literary Studies in an Age of Environmental Crisis*, [w:] *The Ecocriticism Reader*, eds. Ch. Glotfelty and H. Fromm, University of Georgia Press, Georgia 1996, s. xix.



i użyteczności”<sup>5</sup>, „najszerszą definicją przedmiotu ekokrytyki jest stwierdzenie, że ekokrytyka bada relacje między tym, co ludzkie i tym, co nie-ludzkie, za pomocą analizy ludzkiej kultury i krytyki naszego pojmowania tego, co określamy jako «ludzkie»”<sup>6</sup>.

Powyższe, użyteczne i uznane definicje, zostały zaczerpnięte z tekstów powstałych w okresie krótszym niż dziesięć lat. Choć wiadać między nimi zasadnicze zbieżności, łatwo zauważyć również różnice. Każda kolejna definicja jest nieco bardziej skomplikowana, nieco bardziej złożona i zdecydowanie bardziej świadoma pewnych tkwiących u podstaw ekokrytyki niedopowiedzeń. Rosnąca w latach 90. XX wieku samoświadomość dziedziny przyczyniła się nie tylko do prób tworzenia coraz bardziej zniuansowanych definicji tego prądu, lecz również do skonstruowania pewnej wizji jego rozwoju, opierającej się na uznaniu, iż właśnie lata 90. stanowią przełom w procesie kształtowania się ekokrytyki.

Historia ekokrytyki, tak jak historia większości stosunkowo nowych prądów w badaniach nad literaturą, nie jest ani zupełnie oczywista, ani bezdyskusyjna. Choć większość badaczy zgadza się, że wzmiankowane już lata 90. XX wieku stanowią punkt zwrotny w kształtowaniu się tej dziedziny, część z nich uznaje je za początek nowego zjawiska, część – za moment konsolidacji, lecz wcale niekoniecznie powstania tego prądu. Pewnym ułatwieniem dla tworzenia historii ekokrytyki jest więc funkcjonująca powszechnie metafora kolejnych fal, które składają się na współczesny obraz tego kierunku. Zgodnie z tą koncepcją, pierwszą, przygotowawczą falę ekokrytyki otwierają teksty zdecydowanie wcześniejsze, niż te z końca XX wieku: za przynależne do tej fazy uznaje się artykuły i książki pochodzące już z lat 60. XX wieku (przykładem może być tu chociażby *Maszyna w ogrodzie* Leo Marxa<sup>7</sup>), a lata 90. zwiastują nadejście drugiej fali,

---

<sup>5</sup> R. Kerridge, *Introduction*, [w:] *Writing the Environment: Ecocriticism and Literature*, eds. R. Kerridge and N. Sammells, Zed Books, London and New York 1998, s. 5.

<sup>6</sup> G. Garrard, *Ecocriticism*, Routledge, London and New York 2004, s. 5.

<sup>7</sup> L. Marx, *The Machine in the Garden. Technology and the Pastoral Ideal in America*, Oxford University Press, Oxford 2000.

do której przynależą klasyczne już publikacje Lawrence'a Buella<sup>8</sup>, Jonathana Bate'a<sup>9</sup>, Grega Garrarda, Richarda Kerridge'a – by wymienić tylko kilku istotnych dla tej dziedziny badaczy.

Metafora fal, rozpropagowana przez Buella, odwołuje się nie tylko do ugruntowanej już w badaniach nad feminizmem koncepcji fazowości każdego krytycznego prądu kulturoznawstwa. Ma ona również na celu podkreślenie organicznego charakteru ekokrytycznych badań oraz wskazanie na pewien istotny paradoks. Wprawdzie próżno szukać w latach 60. XX wieku drugiej, trzeciej czy – wyodrębnianej przez część badaczy – czwartej fali ekokrytyki, ale w latach 90. znajdziemy oprócz drugiej również pierwszą, a część badaczy pierwszej fali zmieni się w prekursorów drugiej. Fale nie mają więc charakteru ściśle czasowego: gdy zaczyna się kolejna, pierwsza wcale jeszcze zniknęła. Tym, co je zasadniczo różni, jest więc nie czas, nie moment ich powstania, lecz to, na co są nakierowane.

Zgodnie z najbardziej rozpowszechnioną typologią, pierwsza fala ekokrytyki zorientowana jest najmocniej na środowisko pojmowane jako coś naturalnego, niezmienionego ingerencją człowieka, dzikiego, możliwie pierwotnego, a przedmiotem badania stają się często teksty należące do tradycji pastoralnej – nie bez przyczyny chyba najchętniej analizowanym wówczas tekstem kultury jest *Walden* H. D. Thoreau. Pierwsza fala szuka w środowisku czegoś obcego, osobnego od człowieka, w miarę możliwości przez niego nietkniętego: przyrody, dziczy, innego porządku.

Druga, która rodzi się na przełomie XX i XXI wieku, jest już świadoma ograniczeń pojmowania natury i środowiska wyłącznie w kategoriach tego, co osobne oraz pierwotne. Przedmiotem ekokrytyki – a więc, odwołując się do najprostszej z przytoczonych definicji – nauki, która zajmuje się badaniem relacji między literaturą, tekstem, a więc wytworem człowieka i środowiskiem, czyli całym fizykalnym

---

<sup>8</sup> Por. L. Buell, *The Environmental Imagination. Thoreau, Nature Writing, and the Formation of American Culture*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, London 1996 oraz tegoż, *The Future of Environmental Criticism: Environmental Crisis and Literary Imagination*, Blackwell Publishing, Malden MA 2005.

<sup>9</sup> J. Bate, *The Song of the Earth*, Picador, London 2001.

otoczeniem, nie może być tylko to, co możliwie od człowieka najbardziej oddalone. Musi nim być także to, co wcześniej uznawano za nieprzynależne do natury i przyrody: wszelkie przestrzenie graniczne, „nienaturalne” lub „nie przyrodnicze”. Punkt nacisku drugiej fali przechodzi więc z pojęcia „natury” na pojęcie „środowiska”, co wybrzmiewa we wszystkich trzech przytoczonych na początku tego tekstu definicjach.

Zanim wspomnę o trzeciej fali, warto zauważyć, że ten zwrot od natury ku środowisku nie jest wcale prosty ani tak niewinny, jak to się na pierwszy rzut oka wydaje. Wprawdzie pojęcie natury jest ograniczające, lecz koncepcja środowiska również nastrocza pewnych problemów. Naturę można konceptualizować „samą w sobie”, środowisko natomiast wyobrażamy sobie w pierwszym odruchu zawsze jako *c z y j e ś*. A skoro druga fala ekokrytyki interesuje się również miastem jako środowiskiem człowieka, nietrudno dostrzec zagrożenia, jakie powoduje to delikatne przeniesienie punktu ciężkości.

Do zasygnalizowanego tu problemu, związanego z konceptualizacją ekokrytyki jako prądu, który zajmuje się środowiskiem, wróć jeszcze za moment. Teraz jednak chciałabym podążyć za kolejną, trzecią już falą. Korzysta ona w sporym stopniu z osiągnięć drugiej, lecz poszerza je i przekształca, zwracając uwagę na konieczność prowadzenia ekokrytycznych badań w nieco innej perspektywie. Perspektywę tę wyznacza odnotowanie faktu, że żyjemy współcześnie w epoce antropocenu, a więc w pierwszym historycznie momencie, w którym wpływ człowieka na środowisko jest tak ogromny, że można uznać, iż człowiek w większym stopniu kształtuje środowisko, niż jest przezeń kształtowany<sup>10</sup>. A to oznacza, że już w ramach ekokrytyki konieczne jest wytworzenie pewnej globalnej perspektywy, która pozwoli mówić o zachodzących współcześnie – choć w różnym stopniu i kształcie – procesach (zaczynając od globalnych zmian klimatycznych, na lokalnych zmianach w biosystemach kończąc).

---

<sup>10</sup> Pojęcie antropocenu, wprowadzone przez Paula Crutzena, odgrywa szczególną rolę w koncepcjach Timothy’ego Mortona. Por. zwłaszcza książkę dotyczącą solidarności z nie-ludzkimi podmiotami (T. Morton, *Humankind: Solidarity with Nonhuman People*, Verso, London-New York 2017).

Trzecia fala każe patrzeć na ekokrytykę jako na prąd komentujący nie tylko aktualną sytuację, w jakiej znalazł się człowiek, i do której doprowadził całe środowisko, ale również jako na narzędzie, pozwalające postulować zasadniczą zmianę: przywrócenie zachwianej jedności. Wskazuje bowiem, że bez względu na to, jak będziemy postrzegać relacje między człowiekiem a środowiskiem, jak będziemy definiować obowiązki wobec innych części ekosystemu, nie ma żadnego wyjścia człowieka poza środowisko. Nie ma żadnej drogi ponad, nie da się – za pomocą jakichkolwiek argumentów na rzecz ludzkiej wyjątkowości – zredukować dotkliwości prostego faktu, że i ludzie jako gatunek, i wszystko, co zostało przez nich wytworzone, z kulturą włącznie, jest elementem ekosystemu, a przez to zawsze będzie podlegać jego prawom<sup>11</sup>.

Krótkie przeanalizowanie następujących po sobie fal ekokrytyki daje pewne wyobrażenie o przekształceniach, jakie dokonywały się w ciągu pięćdziesięciu lat w ramach tego wyjątkowo interesującego i złożonego kierunku. Pierwsze zmiany dotyczyły – jak sygnalizowałam już wcześniej – zakresu oraz przedmiotu ekokrytycznych badań, a były to zmiany związane bezpośrednio z redefiniowaniem takich pojęć jak natura, przyroda i środowisko. Jednak, jak pokazuje trzecia fala, nie są to jedyne przekształcenia, jakim ulega ekokrytyczna teoria i praktyka. Zmiana w obrębie definiowania przedmiotu badań pociągnęła za sobą lub też – trudno to przesądzić – była skutkiem o wiele dalej idących przemian w definiowaniu celów i funkcji ekokrytyki. Przemian, które da się wychwycić, jeśli uważnie spojrzy się na trzy przytoczone na początku tego rozdziału definicje ekokrytyki.

---

<sup>11</sup> Dobrym przykładem takiego holistycznego – i przyszłościowego – myślenia o relacjach między człowiekiem a środowiskiem, są kolejne książki T. Mortona, zwłaszcza zaś *Dark Ecology: For a Logic of Future Coexistence*, Columbia University Press, New York 2016 oraz *The Ecological Thought*, Harvard University Press, Harvard 2012.

### 3. Płynne cele

Założenie, że celem ekokrytyki jest badanie relacji między środowiskiem a tekstem, było konstytutywne zarówno dla pierwszej, jak i drugiej fali ekokrytyki. Jednak już w czasach drugiej fali zasadniczo zmienia się sposób konceptualizowania tego, co określamy mianem „relacji”. W przypadku pierwszej fali ekokrytyki sytuacja wydaje się przejrzysta: skoro przedmiotem badań ma być możliwie nietknięte ingerencją człowieka środowisko naturalne, a przestrzenią badań taki tekst, który spełnia postulat albo mówienia w imieniu środowiska, albo stara się oddać głos pozaludzkim elementom przyrody, albo chociaż problematyzuje ideę ludzkiej dominacji nad światem natury, to celem tego prądu wydaje się szukanie w tym, co kulturowe (a więc w różnie rozumianych tekstach kultury) sposobów mówienia o tym, co naturalne, przynależne do świata przyrody.

Jednak, jak pokazuje druga fala ekokrytyki, wygodna na pierwszy rzut oka opozycja między kulturą i naturą jest nie tylko nieoperacyjna, lecz też z gruntu fałszywa. Poszerzeniu kręgu zainteresowania ekokrytyki o kolejne problemy badawcze towarzyszy więc zasadnicza zmiana w myśleniu o jej celach: jednym z głównych ma być już nie tylko badanie abstrakcyjnie rozumianych relacji między tekstem a środowiskiem, lecz szukanie takich tekstów – a więc i szerzej, sposobów mówienia – które mogą stanowić odpowiedź na aktualne problemy środowiskowe. Jest to więc coś więcej niż analiza dyskursu, to raczej szukanie sposobu mówienia o rzeczach, zjawiskach i doświadczeniach, które są częścią i ludzkiego, i pozaludzkiego środowiska, a które splatają nas – różne, lecz od siebie zależne podmioty – w jedną całość.

Takie poszerzenie celów ekokrytyki, choć konieczne i płodne pozornawczo, rodzi kolejne problemy współkształtujące trzecią falę ekokrytyki. Skoro jednym z głównych celów ekokrytyki ma być szukanie języka, który pozwala nam pisać o rzeczach, dotyczących czegoś więcej, niż ludzkiego doświadczenia, i jest on nam potrzebny po to, by móc mówić w imieniu biotycznej wspólnoty<sup>12</sup>, to ten język, oprócz tego,

---

<sup>12</sup> Por. A. Ubertowska, „Mówić w imieniu biotycznej wspólnoty”. *Anatomie i teorie tekstu środowiskowego/ekologicznego*, „Teksty Drugie” 2018 nr 2, s. 17.

że ma być komunikatywny i oddawać sprawiedliwość tym, w imieniu których mówi, powinien być jeszcze sprawczy.

Napotykaemy tu więc na pewną sprzeczność, na rozdarcie, niedające się usunąć za pomocą dobrze poprowadzonego wywodu czy argumentacji. Dotyka ono celów ekokrytyki: czy jest nim w głównej mierze analiza otoczenia człowieka, także za pomocą analizy tekstów kultury, wypowiedzanie się w imieniu lub w interesie (a to przecież zupełnie nie to samo) nieredukowanej do ludzkiej rzeczywistości, czy też – często skrajnie odmiennie pojmowane – dążenie do zmiany zastanego stanu rzeczy, zmiany, która obejmuje i ludzki, i poza- lub post- ludzki świat? To rozdarcie, dotyczące częściowo pytania o to, w jaki sposób – jeśli w ogóle – ekokrytyka ma być sprawcza – dotyczy sygnalizowanego już problemu służebności. A zatem: czy prąd ten powinien być głównie nakierowany na analizę tekstowych relacji między ludzkim i pozaludzkim, a element zaangażowania i sprawczości jest co najwyżej pewną, limitowaną innymi obowiązkami służebnością, czy też jest na odwrót i teoretyczne zaangażowanie jest cenne tylko w takim stopniu, w jakim przyczynia się do wprowadzania trwałej zmiany?

#### 4. Między krytyką akademicką i aktywizmem

Wspomniane napięcie tkwi moim zdaniem w samym centrum, w sercu ekokrytyki. Nie jest ono skutkiem przemian dyskursu, następowania po sobie kolejnych, wzajemnie na siebie oddziałujących fal, ani też – jak to się czasem przedstawia – sporu między dwoma skrzydłami dyscypliny, które można by w pewnym uproszczeniu określić jako „akademickie” (nastawione raczej na analizę dyskursu) oraz „aktywistyczne” (zorientowane raczej na uczynienie ekokrytyki narzędziem i motorem zmiany). Jest to nieusuwalny rdzeń badań, punkt, który decyduje zarówno o ich ogromnym potencjale poznawczym, jak i sprawia, że ekokrytyka – traktowana wyłącznie jako jeden z prądów badań humanistycznych – nigdy nie wyzwoli się od konieczności ciągłego negocjowania własnego pola, wyznaczania granic i dyskutowania celów. Właśnie z tego powodu praktyczną, poświęconą już konkretnym nurtom część książki zaczynam od analizy założeń

ekokrytyki: kierunku, który jest w swych założeniach i zaangażowany, i służebny, ale który równocześnie znajduje się w stanie stałego, kontrolowanego kryzysu, dotyczącego zakresu swoich służebności oraz ich nadrzędnych celów.

Nieusuwalne, rezonujące napięcie, które pojawia się zawsze między postulatem zmiany i postulatem opisu, między dążeniem do uchwycenia relacji a wysiłkiem nakierowanym na ich zmianę, jest jednak dla ekokrytyki nie tylko źródłem problemów z samookreśleniem, jest również – a nawet przede wszystkim – powodem jej żywotności i użyteczności. Unikanie jednoznacznego opowiedzenia się po jednej ze stron, podobnie jak niechęć do skupienia na wyłącznie jednym, ściśle wyodrębnionym przedmiocie badań sprawia, że ekokrytyka stale się rozwija, dostosowując swoje płynne granice do najbardziej aktualnych wyzwań, jakie stawia przed nami wszystkimi funkcjonowanie w epoce antropocenu.

Z tego też powodu ekokrytyka jest prądem, który raz zbliża się, a raz oddala od innych, pokrewnych, ale jednak osobnych dyscyplin nauki. Jej związki ze studiami nad zwierzętami, studiami nad roślinami, studiami środowiskowymi (przez część badaczy uznawanymi za element szeroko rozumianej ekokrytyki, przez innych – za jednak osobną dziedzinę badań), posthumanizmem, humanistyką nieantropocentryczną, jak również – sięgając do nieco starszych typów badań – myślą postkolonialną czy ekofeminizmem, są niezaprzeczalne. Niezaprzeczalne są jednak także różnice, w tym jedna zasadnicza: głównym postulatem ekokrytyki nie było nigdy przeniesienie punktu zainteresowania z tego, co ludzkie, na to, co pozaludzkie, lecz raczej przededefiniowanie relacji łączących te kategorie w taki sposób, by było możliwe mówienie i o jednym, i o drugim równocześnie, bez wprowadzania sztucznej hierarchii, bez podporządkowywania jednej sfery drugiej. Relacyjność, sieciowość, współzależność, wzajemne powiązania w obrębie jak najszerzej rozumianego środowiska, które ma być miejscem wspólnym dla wszystkich, nie zaś przestrzenią zawłaszczenia i dominacji – to w dużym uproszczeniu przedmiot oraz zakres badań ekokrytycznych.

Nietrudno zauważyć, że tak zakreślona przestrzeń zainteresowania ekokrytyki pokrywa się przynajmniej w pewnym stopniu z każdym

ze wspomnianych wcześniej pokrewnych prądów. Dlatego też trudno o precyzyjne granice, zwłaszcza, jeśli chodzi o przedmiot badań: odmiennie jest raczej nastawienie niż konkretny punkt zainteresowania. Wśród dominujących od kilku lat tendencji daje się wprowadzić za uważać coraz silniejsze zainteresowanie światem roślin (także dlatego, że rośliny przez lata pozostawały poza zakresem dociekań kolejnych typów studiów, zajmujących się tym co pozaludzkie), wyrażające się między innymi w takich kierunkach jak *bioart*, *critical plant studies*<sup>13</sup>, pośrednio także w estetyce i ekonomii nieużytków, niemniej koncepcjom nakierowanym na badanie świata roślin w dalszym ciągu towarzyszą i pomysły na badanie szeroko rozumianej sieci zależności, jaką jest środowisko (co wyraża się zarówno w teoriach zaczerpniętych z głębokiej i ciemnej ekologii, jak i z coraz popularniejszych studiów klimatycznych czy badań nad bioróżnorodnością, wyraźnie karmiących się przełomowymi pracami dotyczącymi koncepcji antropocenu<sup>14</sup>). Jednak jednym z najbardziej „osobnych” prądów badań ekokrytycznych – i najsilniej, przynajmniej teraz – pracującym na pograniczu między teorią i praktyką, pozostaje szeroko rozumiana zookrytyka.

## 5. W stronę narracji zwierzęcych

Analiza wzmiankowanych punktów przecięć między ekokrytyką a innymi zaangażowanymi ekologicznie prądami prowadzi do najważniejszego tematu tej części książki, a więc kwestii narracji zwierzęcych i ich roli w dyskursie zookrytycznym oraz ekokrytycznym. Przed odwołaniem się do bardziej szczegółowych badań, chciałabym się – zgodnie z założoną w tej książce perspektywą służebności – wytłumażyć z podjętych w jej obrębie decyzji, dotyczących wyboru materiału

<sup>13</sup> Z tych nowych kierunków dobrze zdają sprawę artykuły zamieszczone w „Tekstach Drugich” 2019 nr 2. Por. zwłaszcza A. Ubertowska, „Mówić w imieniu biotycznej wspólnoty”. *Anatomie i teorie tekstu środowiskowego/ekologicznego*, M. Sugiera, *Ekologie rośliny i wiedzy*, A. Wandzel, *Sztuka roślin*.

<sup>14</sup> Por. T. Clark, *Ecocriticism on the Edge. Anthropocene as a Threshold Concept*, Bloomsbury Academia, London–New York 2015.



oraz konkretnych problemów badawczych. A dokładniej: spróbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego akurat zwierzęta i problem występowania w ich imieniu wydaje mi się tak ważny oraz dlaczego stanowi punkt dojścia, a nie punkt wyjścia w prowadzonej w obrębie tej części książki argumentacji.

Odpowiedź moim zdaniem ułatwi odwołanie się już nie do teorii, lecz do pewnego społecznego fenomenu. Zwierzęta są przedmiotem najbardziej splątanych i sprzecznych ludzkich emocji. Z jednej strony zwierzęta domowe cieszą się coraz lepszymi warunkami życia i coraz powszechniej traktowane są jako zupełnie pełnoprawne, autonomiczne byty, obdarzone nie tylko pełną podmiotowością, ale i osobowością, z drugiej to przekonanie wcale niekoniecznie przekłada się na lepsze traktowanie innych zwierząt niż domowe. Coraz większy i prężnie rozwijający się jest też rynek usług związany ze zwierzętami, a sektor sprzedaży produktów przeznaczonych dla zwierząt dawno przestał opierać się na sprzedaży wyłącznie karmy<sup>15</sup>. W tym samym czasie spożycie mięsa ciągle rośnie, sprawiając, że rynek produktów dla zwierząt i rynek oparty na handlu zwierzętami stanowią dwa istotne, choć do pewnego stopnia przeciwstawne, filary gospodarek światowych.

Oba te sektory obciążone są niezbyt dobrą – ujmując sprawę dość delikatnie – prasą ekologiczną. O ile w przypadku tego opartego na produktach pochodzenia zwierzęcego argumentami przeciwko dalszemu rozrostowi rynku są równocześnie dobro zwierząt i naruszanie równowagi ekologicznej (słynne są już wyliczenia, jak przemysłowa hodowla bydła, niekoniecznie bydła rzeźnego, wpływa na ekosystem przez produkcję gazów oraz zużycie wody i zboża)<sup>16</sup>, o tyle w tym drugim przypadku poruszany jest problem nadmiernego obciążenia

---

<sup>15</sup> A jego wartość wzrasta każdego roku, zgodnie z wyliczeniami najważniejszej platformy rynkowo-marketingowej, wzrósł on w Polsce od 2015 do 2017 roku o 50%, przebijając wartość 3 mld złotych. Por. <https://www.euromonitor.com/oraz-rynekzoologiczny.pl/wart-polski-rynek-zoologiczny/> [dostęp: 1 grudnia 2019].

<sup>16</sup> Są one – co jest czasem pomijane – także przyczyną ubóstwa i głodu wśród ludzi. Jednego z najsłynniejszych opracowań tego problemu dostarcza książka M. Carras, *Głód*, przeł. M. Szafrńska-Brandt, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016.

ekosystemu przez zbyt dużą ilość (stale wzrastającą) zwierząt domowych i coraz większą liczbę słabo recyklingowalnych produktów dla nich przeznaczonych.

Rosnący wpływ zwierząt na środowisko – szczególnie tych pozostających pod ludzką kontrolą – jest niezaprzeczalny. Podobnie oczywista jest ewolucja naszych poglądów na zwierzęta i coraz mocniejsze akcentowanie podstawowego podobieństwa między ludźmi i zwierzętami, to jest zdolności do odczuwania, zamiast mnożenia kolejnych, nie zawsze popartych naukowo różnic. Trzeba jednak wspomnieć, że ta zmiana nastawienia – przynajmniej w Polsce – dokonuje się w sposób, który można określić jako „wyspowy”. Kwestia uboju rytualnego podzieliła społeczeństwo, ale wydaje się, że niechęć do jego usankcjonowania prawnego wynikała jednak w głównej mierze z pobudek empatycznych, nie zaś negatywnego nastawienia do mniejszości religijnych, które ten ubój preferują. Nie zamierzam tu dyskutować na temat tego, jaki rodzaj uboju jest mniej lub bardziej okrutny, ale jedynie odnotować fakt, że w publicznej dyskusji te dwa aspekty nie były zbyt często łączone, trochę tak, jakbyśmy zyskiwali świadomość czynów wyjątkowo okrutnych, i przeciw nim protestowali, ale pozostawiali ślepi i głusi na tylko nieco mniej okrutne zachowania. Można zaryzykować twierdzenie, że obecne protesty: przeciwko ubojowi rytualnemu, coraz częściej przeciwko hodowli zwierząt na futra czy przeciwko udowodnionym nadużyciom w przemysłowych hodowlach czy rzeźniach, były izolowane od podłoża, czyli od postrzegania zwierząt jako istot żywych, czujących i myślących, które doświadczają zarówno bólu, jak i strachu. Zamiast tego proponuje się raczej ustanawianie pewnej granicy, która określa zachowanie zbyt okrutne.

Warto od razu podkreślić, że granica tego, co jest zbyt okrutne, jest płynna. Zupełnie inaczej przebiega nie tylko w odniesieniu do poszczególnych gatunków zwierząt (jak łatwo można się domyślić, zwierzęta domowe podlegają odmiennym zasadom i o wiele częściej budzą empatię, choć i dzikie zaczynają się cieszyć podobnymi względami), ale i w odniesieniu do ludzi. W ciągu stosunkowo krótkiego czasu można było odnotować kilka przypadków bardzo silnej niechęci

wobec osób publicznych, wynikającej z nadużyć wobec zwierząt<sup>17</sup>. W takim przypadku – jak pokazuje los jednej z polskich polityczek – nawet kontrolowane oddanie psa, w pewnym stopniu uzasadnialne obiektywnymi problemami<sup>18</sup>, może być postrzegane jako o wiele bardziej okrutne, niż na przykład jedzenie mięsa, kupowanie produktów zwierzęcych z hodowli przemysłowych, czy nawet lekceważące traktowanie zwierząt domowych przez „zwykłych obywateli”.

Los zwierząt, zwłaszcza zwierząt znanych ludzi, lub zwierząt spektakularnych, jak pokazuje przypadek zatrzymanego jesienią 2019 roku transportu tygrysów<sup>19</sup>, może łączyć i łączy Polaków w powszechnym oburzeniu i w chęci pomocy (której nie ma powodów, by odmawiać szczerości i zaangażowania). Wydaje się jednak, że między tymi postawami, a sprzeciwem – lub jego brakiem – wobec złego traktowania zwierząt w ogóle, wobec systemowych nadużyć, brakuje przejścia. Stąd też moja teza o wyspowym charakterze ewolucji w postrzeganiu zwierząt.

Warto zastanowić się, czy między tymi wyspowymi aktami sprzeciwu czy niezadowolenia, nie dałoby się zbudować pomostu. Może być bowiem tak, i jest to wniosek dość optymistyczny i całkiem prawdopodobny, że teoretyczna dyskusja o losie zwierząt jest dla większości obywateli niezbyt interesująca, bo zbyt abstrakcyjna. Jednak zderzenie z losem konkretnego zwierzęcia, i to zwierzęcia albo spektakularnego, jak tygrys, albo budzącego u sporej części osób zdecydowanie przyjazne odruchy, jak pies, budzi empatię. Pozwala patrzeć na konkretne zwierzę nie jak na coś, co przez lata było traktowane jako rodzaj przedmiotu, lecz jako na osobę, nieludzką, zwierzęcą, która jest podmiotem, a nie tylko przedmiotem.

---

<sup>17</sup> Mam tu na myśli m.in. wyjątkowo medialny przypadek posłanki Joanny Scheuring-Wielgus.

<sup>18</sup> Oczywiście jeśli wyjaśnienia posłanki były prawdziwe, por. <https://www.tvn24.pl/wiadomosci-z-kraju,3/joanna-scheuring-wielgus-oddala-psy-do-schroniska-jest-odpowiedz,937611.html> [dostęp: 1 grudnia 2019].

<sup>19</sup> Por. m.in. K. Świerczyńska, *Bulion z kości. Jak tygrysy idą na części*, <https://www.tvn24.pl/magazyn-tvn24/bulion-z-kosci-jak-tygrysy-ida-na-czesci,243,4203> [dostęp: 1 grudnia 2019].

Jeśli ten proces rzeczywiście się dokonuje, to rokuje on zdecydowanie dobrze, ale wymaga wsparcia. Nie jest możliwa zmiana sytuacji zwierząt, gdy będzie się reagowało wyłącznie na konkretne, budzące wyjątkowo silną empatię przypadki. Konieczne jest wytworzenie takich mechanizmów, by każde zwierzę było postrzegane jako przedstawiciel swojego gatunku i zarazem królestwa zwierząt, a nie jako – zależnie od sytuacji – raz przedmiot, a raz budzący sympatię podmiot. Taka zmiana wymaga jednak konkretnych działań, które sytuują się na przecięciu ekokrytycznej teorii i ekologicznej praktyki: zmiany języka i trybu postrzegania zwierząt, z którą to zmianą będzie skorelowane przekonanie o nieredukowalnych prawach zwierząt.

Podsumowując już, przypadek zwierząt jest jednym z najlepiej rokujących zjawisk inwestowania teoretycznego i praktycznego zaangażowania. Dotychczasowe zmiany sugerują, że społeczeństwo jest już w sporej mierze gotowe, by o zwierzętach przestać myśleć jako o rzeczach, a nawet w niektórych przypadkach to się już spontanicznie dzieje. Przejście od incydentalnej empatii do systemowego wsparcia praw zwierząt wymaga jednak pracy, której pierwszym aspektem jest zmiana języka w jakim mówi się o zwierzętach, pozwalająca na równoczesne rozszerzanie empatii wobec tych gatunków, które były jej do tej pory pozbawione.

Pierwszym krokiem na tej drodze jest uświadomienie sobie, że – przynajmniej do tej pory – empatia była najczęściej warunkowana antropomorfizacją oraz całkowicie sztucznym podziałem na zwierzęta domowe i hodowlane. Warto przy tym podkreślić, że los tych drugich jest zdecydowanie najgorszy: najtrudniej w ich przypadku o empatię, a dotychczasowe klisze językowe nie ułatwiają mówienia o nich w sposób, który je upodmiotawia. Pod tym względem – choćby teoretycznie – o wiele lepszy jest los zwierząt dzikich, które choć nie zawsze znajdują się pod pełną ochroną, traktowane są przynajmniej autonomicznie, jako nie w pełni podległe człowiekowi. Konieczna jest więc zmiana paradygmatu, przywracająca zwierzętom ich zwierzęcość i budująca empatię nie za pomocą kolejnych wytrychów, lecz uznania rzeczywistej wspólnoty żywych istot. To zaś wymaga wzajemnie służebnej wobec tej idei pracy, podejmowanej

przez przedstawicieli odmiennych dyscyplin naukowych, aktywistów, twórców kultury i wszystkich zainteresowanych zmianą. Wracając zatem do stawianego na początku tego rozdziału pytania o granice i wzajemne uwarunkowania służebności: choć nie mam na nie dobrej odpowiedzi, albo raczej sędzę, że ich negocjowanie jest istotą specyfiki funkcjonowania ekokrytyki, to istnieją przypadki, w których idące w odmiennych kierunkach służebności nie tylko nie wpływają na siebie negatywnie, ale są w stanie przyczynić się do pozytywnego sprzężenia zwrotnego. Takim przypadkiem jest bez wątpienia kwestia traktowania zwierząt, coraz silniej dyskutowana przez osoby i środowiska, które wcale niekoniecznie postrzegają się jako ekologiczne lub ekokrytyczne.

Oczywiście, poszerzenie społecznej świadomości na inne aspekty relacji człowieka z tym, co nieludzkie, jest i pracochłonne, i zdecydowanie trudniejsze. Jednak ta praca jest obecnie rzeczywiście podejmowana coraz szerzej i jest o niej coraz głośniejsza. Zyskała niezamierzonego sprzymierzeńca, którym jest aktualna, coraz częściej dyskutowana zmiana klimatu. Niedawne protesty klimatyczne, włącznie z szeroko medialnie komentowanymi wystąpieniami Greta Thunberg<sup>20</sup>, zmieniają się powoli w widoczny i chyba nie tylko incydentalny ruch klimatyczny, który wpływa na podniesienie świadomości, jaki nasze z pozoru proste działania wywierają wpływ na środowisko. Zasadniczo zmienia się więc atmosfera dotycząca mówienia o konkretnych problemach związanych z rabunkową wobec natury gospodarką człowieka. Fakt, że dokonuje się realny postęp, jest moim zdaniem łatwy do zaobserwowania, jeśli weźmie się pod uwagę problem smogu w Polsce<sup>21</sup>. Nie jest on oczywiście rozwiązany,

---

<sup>20</sup> Por. m.in. teksty i komentarze dotyczące wystąpienia na szczycie klimatycznym w Nowym Jorku <https://www.tvn24.pl/wiadomosci-ze-swiata,2/greta-thunberg-i-donald-trump-w-jednym-pomieszczeniu-szczyt-klimatyczny-onz-w-nowym-jorku,971948.html>; <http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/7,114881,25233927,donald-trump-chcial-zakpic-z-grety-thunberg-nastoletnia-aktywistka.html> [dostęp: 1 grudnia 2019].

<sup>21</sup> Realne działania zaczynają przynosić skutki w postaci poprawy stanu powietrza, m.in. w Krakowie. Jednak na pełne dane trzeba poczekać co najmniej do zakończenia sezonu zimowego 2019/2020.

ale po pierwsze podejmuje się skorelowane i sensowne działania mające na celu jego rozwiązanie, a po drugie mówienie o smogu jako realnym zagrożeniu przestało być postrzegane jako fanaberia, histeria albo – jak komentowano jeszcze bardzo niedawno – tworzenie wydumanych problemów<sup>22</sup>.

Widmo katastrofy ekologicznej i klimatycznej przybliżyła więc całe spektrum pytań i problemów z pogranicza ekologii, ekokrytyki, studiów klimatycznych oraz jeszcze wielu innych dyscyplin. Przestają być – jak działo się to jeszcze kilka lat temu – rozważane przez bardzo wąską grupę osób, często wyłącznie hipotetycznie, ale stają się częścią naszego codziennego doświadczenia, doświadczenia, które coraz częściej skłania już nie wyizolowane jednostki, lecz większe grupy do podejmowania nie tylko świadomych wyborów, w tym konsumenckich, ale także coraz mocniejszych i skuteczniejszych nacisków. One zaś – powoli, i być może nie ze szczerego zaangażowania, lecz konkretnych strategii marketingowych lub politycznych – zaczynają przynosić realny skutek, przyczyniając się do zmiany i pojęciowo-światopoglądowej, i do praktycznych działań. Oznacza to, że nawet cząstkowe działania, niepodporządkowane radykalnej zmianie ekologicznej w takim stopniu, w jakim być może życzyliby sobie tego najbardziej zaangażowani ekolodzy i ekokrytycy, przynoszą konkretne rezultaty, zarazem realizując najbardziej podstawowe postulaty zaangażowania i służebności. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinno się poprzestać na tym, co jest, ale że nawet częściowe, ograniczone i nie zawsze idealistyczne strategie mogą przynosić pożądany skutek.

W następnych rozdziałach tej części książki postaram się pokazać, jak sploty kilku różnych działań: i o charakterze tekstowym, literackim, i o charakterze już raczej aktywistycznym, przyczyniają się do – częściowej, stopniowej, ograniczonej i zapewne zbyt wolno następującej, ale jednak realnej zmiany. By to zrobić, najpierw zajmę się najbardziej

---

<sup>22</sup> Nawiązuję tu do słów ministra K. Radziwiłła, który określił w wywiadzie dla TOK FM smog jako „problem teoretyczny”. Por. <http://www.tokfm.pl/Tokfm/7,103454,21201339,minister-lekarz-radziwill-mowi-smog-jest-teoretyczny-makowski.html> [dostęp: 1 grudnia 2019].

ogólną ze wspomnianych tu kategorii, czyli koncepcją katastrofy ekologicznej, by później przejść do omówienia dwóch specyficznych przypadków zaangażowania: pierwszego dotyczącego najbardziej dyskutowanego w ostatnich latach zielonego terenu w Polsce, czyli Puszczy Białowieskiej i drugiego dotyczącego kwestii postrzegania i przedstawiania zwierząt w obrębie dyskursów ekokrytycznych i zookrytycznych.

## Katastrofy afektywne. Kategoria katastrofy w dyskursie ekokrytycznym i afektywnym – wstępne rozpoznanie<sup>1</sup>

### 1. Uwagi wstępne

W tym rozdziale chciałabym zająć się specyficzną kategorią, charakterystyczną zarówno dla szeroko rozumianej ekokrytyki, jak i nurtów badań związanych z posthumanizmem, badaniami nad pamięcią oraz afektami. Tym pojęciem, wspólnym dla tak różnych nurtów, jest katastrofa. Atrakcyjność poznawcza tej kategorii opiera się wprost na jej transdyscyplinarności, „katastrofę” można uznać, posługując się dobrze już znaną koncepcją Mieke Bal, za przykład jednego z ważniejszych w ostatnich latach „wędrującego pojęcia”<sup>2</sup>.

Interesuję się tą kategorią w kontekście proponowanej w tej książce koncepcji humanistyki służebnej z kilku niezależnych powodów. Pierwszym jest służebny, funkcjonalny charakter pojęcia: katastrofa jest definiowana nieco odmiennie w różnych nurtach badań, ale można – na razie nieco na wyrost – zauważyć, że pełni rolę klamry, spinającej zarówno różniące się od siebie dyskursy, jak i pomostu, łączącego inaczej niespotykające się tradycje badawcze. Jej funkcja jest więc – i w sporej części kontekstów, w której się jej używa, i w ramach tej książki – służebna: pełni istotną rolę, której nie da się w prosty sposób przenieść na inne narzędzia teoretyczne.

Drugim powodem jest jej podwójny, praktyczny i teoretyczny charakter. Katastrofa to oczywiście nie tylko kategoria teoretyczna, to przede wszystkim – nawet w dyskursie naukowym – dotkliwa, trudna

<sup>1</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/H52/00079.

<sup>2</sup> M. Bal, *Travelling Concepts...*



do niezauważenia rzeczywistość. Różnego typu katastrofy zmuszają nas do mierzenia się z inaczej zbywanymi milczeniem lub lekceważonymi problemami, co oznacza, że poza swoją siłą niszczycielską, katastrofy mają również potencjał edukacyjny i twórczy (a przynajmniej doświadczenie katastrofy może być w ten sposób przeżyte i opracowane).

Trzecim jest niebываła aktualność tej kategorii. Kiedy powstawały zręby tego rozdziału, w roku 2019, najsilniej z tym pojęciem związany był kryzys klimatyczny i jego rozmaite aspekty. W połowie roku 2020 myśląc o katastrofie trudno było nie zastanawiać się nad wpływem, jaki na nasze życie wywarła i jeszcze z pewnością wywrze pandemia koronawirusa. W roku 2022 podobne pytania wyzwała tocząca się wojna w Ukrainie. Kategoria katastrofy, bez względu na to, czego dotyczy, ma więc zawsze złożony charakter: jest skrajnie konkretna – tak, jak konkretna jest obecna katastrofa pandemiczna i wojna, z jej rozległymi skutkami dla społecznego i indywidualnego zdrowia, ekonomii i polityki, a równocześnie płynna – nawet teraz nie możemy mieć pewności, jak za pół roku będziemy pamiętać najdotkliwsze katastrofy z lat 20. XXI wieku.

Teoretyczna wartość tej kategorii, umożliwiającej płynne łączenie kilku odrębnych dyskursów, wynika z jej realnego charakteru – to, co nazywamy katastrofą, bez względu na to, czy jest katastrofą ekologiczną czy historyczną, społeczną czy polityczną, jest doświadczeniem dotkliwym, wymagającym lub przynajmniej prowokującym przenegocjowanie aktualnego stanu rzeczy. Jest specyficznym punktem zero, przewartościowującym i podważającym uznawane za oczywiste prawa, regulacje oraz podziały. Niszczący potencjał katastrofy kontrapunktowany jest przez jej potencjał twórczy, wyzwalający od narastających wraz z upływem czasu zależności. Każda katastrofa jest przecież – na co wskazuje chociażby Lauren Berlant<sup>3</sup> – Wydarzeniem, które zmienia aktualną strukturę afektów, zaburza nieodwracalnie dotychczasowy porządek, także – a może nawet przede wszystkim – przez najbardziej dotkliwe z możliwych podważenie przekonania o ontologicznie uprzywilejowanej pozycji człowieka.

---

<sup>3</sup> L. Berlant, *Intuitionists: History and the Affective Event*, [w:] *American Literary History*, Oxford University Press, Oxford 2008.

Narastające zainteresowanie kategorią katastrofy wynika jednak nie tylko z jej teoretycznych możliwości. Wydarzenia z ostatnich lat pokazują, że katastrofy – różnie rozumiane – stają się częścią naszego powszechnego doświadczenia. Oczywiście, w wielu przypadkach pojęcie katastrofy jest nadużywane lub nadinterpretowane, jednak nie sposób nie zauważyć, że sporo współczesnych palących problemów politycznych związanych jest z szeroko rozumianymi katastrofami. Kryzys migracyjny, jedno z najbardziej dyskutowanych politycznie i społeczne wydarzeń, a przy tym – o czym często się zapomina – ogromne wyzwanie moralne ostatnich dziesięcioleci, pozostaje wszak w ścisłym związku z co najmniej dwoma typami katastrof: z jednej strony z wojną, stanowiącą najbardziej bezpośredni powód do podjęcia decyzji o emigracji, z drugiej zaś – z katastrofami naturalnymi, zmieniającymi i utrudniającymi warunki życia na sporej części globu. Oczywiście, jak zauważają liczni badacze i teoretycy, te dwa typy katastrof są ze sobą bezpośrednio związane, gdyż wojny coraz częściej prowadzi się o zasoby naturalne lub tereny, które dają większe szanse na rozwój państw i społeczeństw. Co jednak ciekawe, ten wątek kryzysu migracyjnego jest często przemilczany, i to nawet w artykułach lub tekstach, które są zasadniczo pozytywnie nastawione do migrantów oraz nie negują prawa do migracji ekonomicznej.

Pojęcie katastrofy jest wyzwaniem dla badaczy, tak, jak realne katastrofy są wyzwaniem dla polityków i aktywistów. Choć potoczna intuicja – i słownik języka polskiego – mówi nam, że katastrofa jest nagłym i nieoczekiwanym wydarzeniem, niosącym ze sobą ciężkie negatywne skutki<sup>4</sup>, nietrudno zauważyć, że w tym twierdzeniu jest tylko część prawdy. Katastrofy następują nagle i nieoczekiwanie zazwyczaj dlatego, że nie mamy ochoty ani ich przewidywać, ani na nie oczekiwać, a wszelkie próby przestrzegania przed nimi są lekceważone lub traktowane z niechętną pobłażliwością. Dzieje się tak, ponieważ w tym akurat przypadku nie jesteśmy zbyt chętni do antycypowania przyszłości innej niż pozytywna. Skalę tej niechęci dobrze pokazują wszystkie dyskusje, toczone tuż przed unaocznieniem się rozmaitych katastrof. Tak, jak katastrofę ekologiczną i klimatyczną – mimo

---

<sup>4</sup> *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1998, s. 844.

dowodów jej istnienia – stale się kwestionuje, tak zagrożenie pandemią koronawirusa nie było uznawane za możliwe, dopóki nie stało się rzeczywistością.

To zjawisko, dobrze opisane przez badaczy zajmujących się studiami afektywnymi, można traktować albo jako objaw okrutnego optymizmu<sup>5</sup>, albo – co moim zdaniem bardziej adekwatne – jako niechęć do zaburzenia radosnego nastroju, do psucia zarówno cudzych, jak i własnych, pozytywnych emocji<sup>6</sup>. Analizująca przykłady takich sytuacji Sara Ahmed, autorka książki o wiele mówiącym tytule *The Promise of Happiness*, zwraca uwagę, że jeśli poszczególne osoby lub krytycznie wobec pewnych zjawisk nastawione nurty podejmują się jawnego podważenia obowiązującego aktualnie, nastawionego na osiągnięcie szczęścia i nie dostrzegania zagrożeń stanu rzeczy, to są one natychmiast traktowane jako zagrożenie dla ładu i porządku<sup>7</sup>. Wyparcie realności katastrofy jest tym łatwiejsze, im bardziej zniuansowane lub oddalone są jej skutki – dlatego o ile raczej nie kwestionuje się katastrofalnych skutków wojen, o tyle katastrofy klimatyczne i epidemiczne są o wiele łatwiejsze do podważania oraz – jak pokazuje kulturowo praktycznie zapomniana, przynajmniej w porównaniu do traumy wywołanej I wojną światową, pandemia hiszpanki z tego samego okresu – rodzą o wiele słabsze skutki. Dlatego też użycie kategorii katastrofy dla określania zjawisk dotyczących skutków działalności człowieka wobec środowiska ma tak duże znaczenie.

Biorąc pod uwagę spostrzeżenia Ahmed, ekokrytykę można traktować jako prąd dążący do podważenia naiwnie rozumianego spokoju i szczęścia wynikającego z takiego, a nie innego ułożenia relacji człowieka z naturą. Katastrofy pełnią w dyskursie ekokrytycznym szczególną funkcję, pokazując, że uprzywilejowana pozycja człowieka nie chroni go przed konsekwencjami żadnego typu katastrof, szczególnie tych, które zostały wywołane na skutek jego działalności. Równocześnie, kategoria katastrofy wymaga analizy transdyscyplinarnej,

---

<sup>5</sup> L. Berlant, *Cruel Optimism*, Duke University Press, Durham and London 2011.

<sup>6</sup> S. Ahmed, *The Promise of Happiness*, Duke University Press, Durham and London 2010, s. 15.

<sup>7</sup> Tamże, por. szczególnie s. 50–70.

wykraczającej poza ramy jednej dyscypliny badawczej. Wynika to szczególnie z faktu, że pojęcie to zaczęło ostatnio zajmować uprzywilejowaną pozycję w różnych formach dyskursów z zakresu szeroko rozumianej humanistyki. Jednak, jak każda często używana kategoria, pojęcie to nastęrcza określonych problemów, zwłaszcza zaś wymaga dookreślenia, by nie stać się wyłącznie terminologicznym wytrychem, który pozwala wprawdzie na szerokie zastosowanie, ale który nie mówi zbyt wiele ani o rzeczywistości, ani o tym, w jaki sposób możemy ją postrzegać lub opisywać. Z tego powodu warto moim zdaniem poświęcić nieco uwagi próbie odtworzenia najważniejszych i potencjalnie najbardziej użytecznych definicji oraz konceptualizacji pojęcia katastrofy.

## 2. Katastrofa w dyskursie ekokrytycznym

Ekokrytyka, jak większość nowych prądów myślowych, nie jest dziedziną nauki o całkowicie zdefiniowanym, sztywnym zakresie badań i całkowicie spójnej metodologii. Nie oznacza to jednak, że nie da się dostarczyć prostej definicji tego dyskursu – za jedną z nich może uchodzić charakterystyka nurtu stworzona przez Grega Garrarda, który określa ekokrytyką badanie relacji między literaturą (i szerzej – sztuką oraz różnego typu teksami kultury) a fizycznym otoczeniem człowieka<sup>8</sup>. Niemniej, nawet ta prosta i nieskomplikowana definicja nastęrcza określonych problemów, związanych zwłaszcza z definiowaniem fizycznego otoczenia człowieka, które – zależnie od fazy ekokrytycznego dyskursu – było charakteryzowane albo jako przestrzeń przyrodnicza, nienaruszona ludzką interwencją, albo jako całokształt naszego otoczenia, w tym także tych jego części, które są wytworem cywilizacji i techniki<sup>9</sup>. Nie zamierzam tu wracać do częściowo już analizowanych w poprzednich rozdziałach problemów związanych z definiowaniem różnych typów dyskursów ekokrytycznych, chciałam

<sup>8</sup> G. Garrard, *Ecocriticism*, Routledge, London and New York 2004, s. 3.

<sup>9</sup> L. Buell, *The Future of Environmental Criticism: Environmental Crisis and Literary Imagination*, Blackwell Publishing, Malden MA 2005, s. 21.

jednak zaznaczyć, że w różnych momentach rozwoju dyscypliny i w jej poszczególnych odmianach te same kategorie badawcze wiążą się z nieco odmiennymi problemami i dyskusjami. Z tego też powodu nie da się w spójny sposób przedstawić funkcjonowania kategorii katastrofy w odniesieniu do całej ekokrytyki, lecz jedynie wskazać na główne punkty orientacyjne, które ułatwiają rozumienie tego pojęcia.

Z perspektywy ekokrytyki pojęcie katastrofy wchodzi więc w związku z różnymi koncepcjami i kategoriami, włącznie z – obecnie trochę już mniej modną – kategorią ekosprawiedliwości<sup>10</sup>, związaną szczególnie z pierwszą fazą rozwoju drugiej fali ekokrytyki. Prąd ten, eksplorujący związki między człowiekiem a środowiskiem oraz między ekologią i ekokrytyką a środowiskiem, uznawał katastrofę ekologiczną za ważny punkt odniesienia dla swoich rozważań. Z jednej strony była traktowana jako zagrożenie, wskazujące na konieczność takiego kształtowania otoczenia człowieka, by umożliwić zrównoważony rozwój cywilizacyjny, a zarazem chronić tereny naturalne i nie dopuszczać do dewastacji środowiska, z drugiej zaś za punkt zwrotny, umożliwiający redefinicję ugruntowanych już opozycji, włącznie z dychotomicznym podziałem na naturę i kulturę.

Za początki nowego myślenia o zmianach klimatycznych i katastrofach naturalnych jako przedmiocie zainteresowania ekokrytyki można uznać artykuł Jonathana Bate'a z 1996, zatytułowany *Living with the Weather*.<sup>11</sup> Tekst zaczyna się od analizy poematu Georga Byrona *Darkness*, wychodzącej od potencjalnego zagrożenia „nuklearną zimą” (a więc specyficznym zjawiskiem pogodowym, które miałyby nastąpić po użyciu międzykontynentalnych rakiet balistycznych, zdolnych do przenoszenia ładunków atomowych)<sup>12</sup>. Tak rozumiana nuklearna zima mogłaby spowodować zasłonięcie Słońca nawet na trzy lata, pyłem wyemitowanym w wyniku wybuchu do stratosfery, co z kolei skończyłoby się w oczywisty sposób największą możliwą katastrofą na Ziemi – końcem życia we wszystkich

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> J. Bate, *Living with the Weather*, „Studies in Romanticism” vol. 35 no. 3, *Green Romanticism* (Fall, 1996), s. 431–447.

<sup>12</sup> Ten wątek interpretacji wynika z inspiracji uwagami Michaela Foota, niemniej jest on bardzo szybko przez Bate'a porzucony. Por. tamże, s. 433.

formach, jakie są nam współcześnie znane. Ten szokujący wątek interpretacyjny jest jednak przez Bate'a szybko porzucony, gdyż badacz postuluje, by zamiast zajmować się potencjalną katastrofą, przemyśleć, jaka r z e c z y w i s t a katastrofa może stać za taką, a nie inną formą poematu.

To specyficzne przekierowanie uwagi z potencjalnych katastrof będących skutkiem jednorazowego ludzkiego działania na zjawiska wiążące się mocniej z rytmem pogodowym pozwala myślicielowi na dostrzeżenie wcześniej pomijanego faktu: zmiany pogodowe oraz ich skutki stanowią ważną część nie tylko historii, ale i literatury oraz sztuki. Romantyczne wiersze, w tym słynny *Do jesieni* Johna Keatsa, czerpią często z doświadczeń klęsk żywiołowych i katastrof, stawiając w centrum swojego zainteresowania relacje człowieka z szeroko rozumianą naturą.

Artykuł Bate'a można więc uznać za przełomowy nie tyle ze względu na technikę analizowania poszczególnych tekstów kultury, lecz na dostrzeżenie pewnych przemian w naszych relacjach z naturą, zwłaszcza zaś – ze zmianami i katastrofami pogodowymi. Badacz pokazuje, że zmiany pogodowe stają się częścią nie tylko porządku społecznego, ale i politycznego, przez co konieczne jest przeformułowanie zarówno naszego myślenia o historii, jak i o ekokrytyce. Skoro – jak wskazuje Bate – globalne ocieplenie może być i zapewne będzie miało większy i bardziej przewidywalny wpływ na politykę niż choćby zimna wojna, to konieczne jest wytworzenie nowego typu namysłu, który pozwoli analizować skutki zmian pogodowych. Badacz proponuje nawet określenie tego prądu naukowego nazwą „nowego geografizmu” (*New Geographism*).

Choć od opublikowania artykułu Bate'a upłynęło już ponad dwadzieścia lat, a wpływ zjawisk pogodowych na aktualną politykę od tego czasu tylko się nasilił, trudno uznać postulat stworzenia osobnego działu badań zajmującego się z perspektywy ekokrytyki tą właśnie problematyką za całkowicie spełniony. Istnieją wprawdzie nisze, które eksplorują wspomniane relacje, lecz w dalszym ciągu są to raczej badania cząstkowe. Za jedną z nich można uznać nurty związane z postkolonialnym ekokrytycyzmem, w którym zainteresowanie katastrofą wynika wprost z silnego zanurzenia pisarstwa

postkolonialnego w problematyce różnorodnych katastrof (zarówno naturalnych, jak i społecznych oraz politycznych).

Zainteresowanie katastrofą jako punktem zwrotnym w rozwoju społeczeństw wynika wprost z dostrzegania w gwałtownych, zmieniających całkowicie warunki egzystencji wydarzeniach czegoś więcej niż jedynie zniszczenia<sup>13</sup>. Katastrofa lub jej wizja stanowi punkt zwrotny, umożliwiający radykalną przebudowę dotychczasowych relacji społecznych. Jednak – jak wskazują chociażby autorzy książki *Postcolonial Ecocriticism: Literature, Animals, Environment* nie każda katastrofa traktowana jest tak samo. Zagrożenie globalnym ociepleniem, czyli jedna z potencjalnie największych katastrof ekologicznych, nie powoduje takiego zainteresowania, jakie – zdaniem badaczy – byłoby na miejscu biorąc pod uwagę skalę problemu<sup>14</sup>. Co ciekawe, sytuacji tej nie zmieniają nawet teorie i związane z nimi publikacje, wskazujące, że nie funkcjonujemy już na skraju katastrofy ekologicznej, lecz – bez względu na to, czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy też nie – jesteśmy już w jej centrum<sup>15</sup>.

To specyficzne ominięcie globalnego ocieplenia jako współczesnej długofalowej i wielopostaciowej katastrofy budzi jednak coraz większe zainteresowanie badaczy związanych z ekokrytyką<sup>16</sup>. Wydaje się, że to charakterystyczne przemilczenie ma związek z dwoma niezależnymi procesami, które jednak potęgują niechęć do dostrzegania tego akurat zjawiska jako istotnego. Pierwszym z nich jest fakt, że globalne ocieplenie i związana z nim możliwa katastrofa ekologiczna przekracza pod każdym względem możliwości naszego pojmowania: jej zakres, czas trwania i potencjalne skutki wykraczają poza ramy czasowe oraz przestrzenne ludzkiego życia, czyniąc z niego proces niemożliwy do

---

<sup>13</sup> Por. G. Huggan, H. Tiffin, *Postcolonial Ecocriticism: Literature, Animals, Environment*, Routledge, London and New York 2015.

<sup>14</sup> Por. tamże, s. 81.

<sup>15</sup> Por. K. Rigby, *Gernot Bohme's Ecological Aesthetic of Atmosphere*, [w:] A. Goodbody, K. Rigby, *Ecocritical Theory: New European Approaches*, University of Virginia Press, Charlottesville 2011, s. 139.

<sup>16</sup> Por. K. Rigby, *Confronting Catastrophe: Ecocriticism in a Warming World*, [w:] *The Cambridge Companion to Literature and the Environment*, ed. L. Westling, Cambridge University Press, Cambridge 2014, s. 212–215.

wyobrażenia za pomocą prostych analogii lub porównań. Druga przy- czynna wiąże się z wyraźnym w ostatnich latach zastąpieniem w pub- licyzacji dyskursie lęku przed katastrofami naturalnymi lękiem przed innego typu gwałtownymi wydarzeniami: przed aktami terroryzmu.

### 3. Rola katastrof w polityce afektywnej

Wyparcie lęku przed katastrofami naturalnymi strachem przed aktami terroryzmu stanowi moim zdaniem część szerszego procesu kształ- towania nowoczesnej polityki afektywnej. Użytecznych narzędzi dla analizy tego procesu dostarczają koncepcje Briana Massumi'ego, ba- dacza, który zajmuje się zarówno studiami afektywnymi, jak i innymi dziedzinami studiów kulturowych, w tym – studiami nad zwierzętami.

Najbardziej interesującą pod tym względem koncepcją Massu- mi'ego jest koncepcja „ontosili” (*ontopower*)<sup>17</sup>. By móc ją należycie przedstawić, muszę jednak najpierw nawiązać do kilku bardziej podstawowych twierdzeń i spostrzeżeń myśliciela. Punktem wyjścia dla Massumi'ego jest – podobnie jak we wcześniejszych książkach<sup>18</sup> – specyficzne rozumienie afektu. Afekt jest czymś więcej niż emocją, czymś bardziej złożonym i pierwotnym, co funkcjonuje nawet wtedy, gdy nie jesteśmy tego świadomi. Afekty w największym stopniu związane są z ciałem, z jego zdolnością do oddziaływania na innych i do bycia przedmiotem cudzego oddziaływania. Pod tym wzglę- dem afekty nie są wyłącznie ludzkie. Skoro do odczuwania afektu konieczne jest ciało, i to ciało, a nie świadomość, decyduje zarówno o byciu przedmiotem, jak i podmiotem afektywnego pobudzenia, nie istnieją zasadnicze różnice w możliwości ich odczuwania między ludźmi i zwierzętami<sup>19</sup>.

<sup>17</sup> B. Massumi, *Ontopower. War, Powers, and the State of Perception*, Duke University Press, Durham and London 2015.

<sup>18</sup> Por. B. Massumi, *Parables for the Virtual. Movement, Affect, Sensation*, Duke University Press, Durham and London 2002.

<sup>19</sup> Oczywiście, można argumentować, że świadomość, a zwłaszcza samoświadomość zmienia warunki odczuwania afektów, i tak rzeczywiście jest, ale ani nie jest ona do odczuwania afektów konieczna, ani nie możemy niczego rozsądnie przesądzać



Afekty, jak pokazuje Massumi, działają niejako poza obszarem kontroli świadomości. Oznacza to, że choć możemy być świadomi ich odczuwania, to wcale nie musimy być zdolni za pomocą samokontroli albo innego mechanizmu się od nich oddzielić. Afekty kształtują więc, w nie do końca kontrolowany ani zbadany sposób, nasze społeczne i polityczne zachowania. To zaś oznacza, że afekty powinny stanowić – i stanowią – istotną część szeroko rozumianej polityki, a zarządzanie nimi jest jednym z ważnych politycznych wyzwań.

Massumi dostrzega, że w tak rozumianej polityce afektywnej ogromną rolę odgrywa nie tylko kontrolowanie afektów związanych z teraźniejszymi doświadczeniami, lecz również ze wspomnieniami, i – co ważniejsze – z wizjami przyszłości. Oczywiście, nie da się kontrolować afektów, emocji i odczuć ludzi, gdy dotyczą one ich indywidualnych, trudnych do przewidzenia czy określenia doświadczeń, lecz można to robić, gdy odnoszą się do kwestii społecznych, politycznych, a zwłaszcza – gdy związane są z wydarzeniami i doświadczeniami o szerokiej skali. A takimi doświadczeniami, szczególnie dotkliwymi dla społeczności, są właśnie katastrofy.

Katastrofy, podobnie jak wojny, są wydarzeniami za pomocą których można zarządzać zbiorowym odczuwaniem i doświadczaniem afektów. Co ważne, nie trzeba do tego wcale realnej katastrofy, która już się wydarzyła, wystarczy samo zagrożenie, a ściślej – poczucie zagrożenia. Może być ono wystarczającym powodem do podjęcia działań mających na celu zapobieżenie przyszłemu wydarzeniu. Strategię, która opiera się na takim schemacie postępowania, Massumi określa mianem udaremniania, zapobiegania (*preemption*). Ta strategia ofensywna nie jest – co badacz podkreśla – prewencją, gdyż nie dotyczy sytuacji, w których zapobiegamy możliwemu do zidentyfikowania, realnemu zagrożeniu. Opiera się ona na czymś zgoła innym – jest to działanie w teraźniejszości przeciwko przyszłej, nie istniejącej jeszcze groźbie.

Przedstawiona przez Massumiego interpretacja udaremnienia (*preemption*) jest bardzo istotna, gdyż pokazuje, w jaki sposób

---

w tej sprawie w odniesieniu do zwierząt. Ponadto, Massumi odróżnia afekty od emocji, co sprawia, że nawet argumenty przesądzające, iż zwierzęta nie mogą odczuwać emocji, nie odnoszą się do afektów.

zarządzanie afektami przekłada się na doraźne decyzje polityczne. Skoro – jak wskazuje filozof – cała doktryna opiera się na odwróconym schemacie czasowym i zmienionym wektorze zależności (przyszła groźba nie musi być realna, ale jedynie możliwa, co w praktyce oznacza, że niemożliwe jest nawet precyzyjne ustalenie, z czyjej strony zagraża niebezpieczeństwo), to uzasadnienie dla podjęcia jakiegokolwiek akcji motywowanej tą strategią jest zawsze możliwe. Tym uzasadnieniem zawsze może być strach, który skutecznie zmienia potencjalną, przyszłą groźbę w realne, teraźniejsze zagrożenie.

Zjawisko, o którym pisze Massumi, stanowi część szerszego problemu, który można określić jako kryzys kategorii faktu. Pojęcie to, odnoszące się pierwotnie do rzeczy lub wydarzeń, które miały miejsce w rzeczywistości, zaczyna ulegać postępującemu rozmyciu. Faktami stają się rzeczy lub wydarzenia, które nigdy się nie miały miejsca, a jedynie mogły się wydarzyć. Jako fakty zaczynają również funkcjonować plotki lub domysły, co sprawia, że cała kategoria ulega osłabieniu. Z drugiej strony, to, co realne lub wysoce prawdopodobne nie musi budzić tak silnej afektywnej reakcji, jak nieprawdopodobne, lecz silnie oddziałujące na nasze wizje przyszłości wydarzenie. Rzeczywistość przestaje się jawić jako konieczna, a zaczyna funkcjonować jako możliwa, jako jedynie jedna z wielu opcji. To zaś sprawia, że status ontologiczny zarówno faktów, jak i realności, przestaje być sprawą jasną i niedyskutowalną.

Kryzys kategorii faktu sprawia, że możliwe staje się wytworzenie i działanie wzmiankowanej już „ontosiły”. Ta koncepcja filozoficzna i zarazem strategia polityczna wynika wprost z dostrzeżenia niestabilnego, chwiejnego statusu ontologicznego rzeczywistości, która zaczyna być postrzegana jako przypadkowa konsekwencja przeszłości. Pod tym względem strategia udaremniania jest częścią ontosiły, gdyż odnosi się do zaledwie możliwej przyszłości, a zarazem ma zdolność wywierania wpływu na teraźniejszość. Działanie tej specyficznej władzy, polegającej między innymi na manipulacji opisem rzeczywistości, pokazuje na przykład mowa Geорга W. Busha, wygłoszona po przejściu huraganu Katrina, którą analizuje Massumi. Polityk podkreślał w niej, iż wszystkie nadzwyczajne środki, które zostały podjęte po klęsce żywiołowej, wprowadzono nie po to by – jak moglibyśmy się

spodziewać – przywrócić życie do normalności, lecz po to, by przywrócić życie. Ontosiła to więc zdolność do stawania się tym, czego siły są maksymalnie abstrakcyjne i sytuują się w konceptualnej perswazji. To siła powstawania i zarazem władza pozwalająca na wielokrotne tworzenie wariantów przyszłości, które stanowią uzasadnienie dla zmiany aktualnych warunków życia.

Opisany przez Massumi'ego przykład pokazuje, że katastrofy, zwłaszcza katastrofy naturalne, są używane przez polityków do tworzenia konkretnej polityki afektywnej. Jednak, jak postaram się pokazać w dalszej części tego rozdziału, rola, jaką pełnić może katastrofa w polityce afektywnej zależy w sporym stopniu od obowiązującego aktualnie dyskursu dotyczącego zagrożeń społecznych.

#### 4. Katastrofy „teoretyczne” i afektywne

Katastrofy naturalne, nawiedzające w mniej lub bardziej spodziewany sposób każdy kontynent, kraj i społeczeństwo, niosące mniejsze lub większe skutki dla określonych społeczności, stanowią – jak wskazuje Massumi – istotny punkt odniesienia dla polityki afektywnej. Jednak, jak sugeruje wcześniej analizowany przykład, dla polityków, a nawet dla osób bezpośrednio zagrożonych skutkami takich katastrof, stają się dotkliwe dopiero, gdy się wydarzą. Wprawdzie przy okazji praktycznie każdej katastrofy naturalnej pojawiają się zapewnienia polityków dotyczące nie tylko możliwie szybkiej likwidacji skutków niepożądanego wydarzenia, lecz również podjęcia działań mających na celu zapobieżenie im w przyszłości, jednak – jak nie tylko polskie przykłady powtarzających się powodzi na terenach zaniedbanych pod względem ochrony przeciwpowodziowej pokazują – trudno takie deklaracje traktować całkowicie poważnie.

Katastrofy naturalne, bez względu na to, czy są skutkiem nieprzewidywalnych lub trudno przewidywalnych i zarazem niemożliwych do zapobieżenia zdarzeń (jak huragan, tornado, itp.), których nie da się powstrzymać, gdy już się rozpoczną, czy też nawarstwiających się zaniedbań, które przy stosunkowo drobnych anomalii pogodowych lub wręcz wydarzeniach zupełnie przewidywalnych (jak sezonowe

podwyższenie poziomu wód), traktowane są jako niezależne od woli i działań człowieka. Jako takie, rzadko prowokują jakiegokolwiek skuteczne działania prewencyjne, nawet w sytuacjach, w których ustalenie zakresu owych działań i możliwych skutków zaniedbań nie nastrocza trudności.

Najlepiej współcześnie opracowanym przykładem tego typu katastrofy, z jednej strony przewidywanej i analizowanej, z drugiej – podważanej i wyśmiewanej, jest globalne ocieplenie. Jak starałam się pokazać w poprzednich częściach tego rozdziału, choć globalne ocieplenie stanowi przedmiot dyskusji publicznych oraz rozważań prowadzonych w ramach ekokrytyki od wielu lat, w dalszym ciągu jest ono traktowane jako zdarzenie w najlepszym razie możliwe, a nie jako proces, który aktualnie ma miejsce. Przyczyn takiego, a nie innego stanu rzeczy można szukać w fakcie, że jest to w pewnym sensie „zagrożenie teoretyczne”<sup>20</sup>, a więc takie, które nie daje się łatwo dostrzec i zaklasyfikować przez proste rozumowanie przyczyna – skutek. Długofalowość samego procesu, podobnie jak jego złożoność, sprawia, że choć problem globalnego ocieplenia jest dyskutowany już w zasadzie powszechnie, równie powszechnie jest on traktowany jako abstrakcyjny lub w najlepszym razie oddalony czasowo.

To zaś oznacza, że globalne ocieplenie, jak większość katastrof naturalnych, wywołuje stosunkowo słabą afektywną reakcję, nie stanowiąc ani dla społeczeństw, ani dla konkretnych jednostek istotnego punktu odniesienia. By lepiej dostrzec charakter tego specyficznego osłabienia znaczenia katastrof naturalnych warto zestawić je z innymi analizowanymi między innymi przez Briana Massumięgo zdarzeniami. O ile bowiem zagrożenia katastrofami naturalnymi, dotyczącymi przecież miliony osób na świecie każdego roku, są traktowane jako „teoretyczne” lub „abstrakcyjne”, o tyle zagrożenie terroryzmem lub potencjalną wojną w krajach Europy Zachodniej oraz w USA, choć mniej dotkliwe, mniej realne i dotykające (mimo spektakularnego

---

<sup>20</sup> Nawiązuję tu do słów Ministra Konstantego Radziwiłła, który określił smog – czyli niewidzialne gołym okiem, lecz doskonale zbadane zagrożenie – jako zagrożenie teoretyczne.

okrucieństwa) znacznie mniejszą grupę osób<sup>21</sup>, jest odczuwane jako bezpośrednio i dotkliwie.

Przyczyn takiego, a nie innego postrzegania, odczuwania i wreszcie doświadczenia skutków katastrof naturalnych i wydarzeń politycznych, można szukać w tworzonych obecnie odmiennych modelach afektywnych reakcji na takie zdarzenia. Katastrofy naturalne prowokują – co doskonale widać zwłaszcza w przekazach medialnych – afektywne reakcje zaraz po określonym wydarzeniu. Później, wraz z upływem czasu, reakcja słabnie, aż społeczeństwo wraca do normalności. W przypadku terroryzmu jest inaczej: oprócz reakcji na wydarzenie, mamy również reakcje na potencjalne wydarzenie, na zagrożenie wydarzeniem.

Dzieje się tak głównie dlatego, że proces zarządzania afektami związanymi z wydarzeniami politycznymi rozpoczyna się na długo przed wystąpieniem przewidywanego lub nawet tylko możliwego zdarzenia. Jak zauważa spora część badaczy zajmujących się problematyką afektów<sup>22</sup>, atak terrorystyczny z 11 września 2001 roku trwale zmienił strukturę zwykłych afektów, wpisując w nią na bliżej nieokreślony czas lęk przed ponownymi atakami terrorystycznymi, lęk, który domaga się zarówno reakcji, jak i publicznego sterowania. Tak rozumiany strach prowokuje i usprawiedliwia działania podejmowane w imię ochrony przed ponownymi aktami przemocy. Co jednak najbardziej interesujące – usprawiedliwia również działania, które były albo nieskuteczne, albo wymierzone w nierealne zagrożenie.

Tłumacząc to zjawisko, Brian Massumi przypomina okoliczności, w jakich George W. Bush starał się o reelekcję w 2004 roku. A były to okoliczności zdecydowanie dla polityka niekorzystne – wojna w Iraku,

---

<sup>21</sup> Liczba ofiar ataków terrorystycznych od 1970 roku nigdy nie przekroczyła granicy 500 osób rocznie w Europie, a w latach 2000 nie zbliżyła się nawet do notowanych w późnych latach 70 i 80 liczby ofiar. Podobnie, liczba ofiar katastrof naturalnych w Europie wielokrotnie przewyższa liczbę ofiar zamachów terrorystycznych (np. dla roku 2012 jest to 1480 ofiar). A są to dane i tak niezwykle „oszczędne” w liczbie ofiar, bo dotyczą stosunkowo bezpiecznej przestrzeni, jaką w ostatnich dziesięcioleciach jest Europa.

<sup>22</sup> Oprócz B. Massumięgo na podobną zmianę zwraca uwagę m.in. L. Berlant, J. Bennett S. Ahmed, K. Stewart.

początkowo mająca poparcie przynajmniej części amerykańskiego społeczeństwa i czynnie wspierana przez znaczną liczbę krajów europejskich okazała się totalną polityczną porażką, a prezydenta oskarżano coraz wyraźniej o rozpętanie jej bez żadnego istotnego powodu. Odpowiadając na te zarzuty, G. W. Bush usytuował usprawiedliwienie dla podejmowanych przez siebie działań nie w teraźniejszości, nie w przeszłości nawet, lecz w przeszłej wizji przyszłości, która niegdyś – jego zdaniem i zdaniem jego popleczników – była realna. Fakt, że owa wizja nie okazała się prawdziwa, że nie zrealizowała się w teraźniejszości i nic nie pozwala przypuszczać, by miała stać się realna w przyszłości, nie odbierał sensu domniemaniu jej realności w chwili podejmowania decyzji o wojnie w Iraku, gdyż – jak zauważa Massumi – inwazja była usprawiedliwiona, bo w przeszłości istniała przyszła groźba.

Strategia G. W. Busha, jak pokazuje historia i jak przypomina Massumi, zadziałała. Polityk wygrał ponownie wybory, piastując urząd prezydenta przez następne cztery lata. To zaś oznacza, że prezentowana przez niego wizja katastrofalnych w skutkach ataków terrorystycznych okazała się na tyle realna, że wciąż wywoływała silną afektywną reakcję sporej części społeczeństwa. Dlaczego tak się stało? Ponieważ, jak argumentuje badacz, oparta była na poczuciu zagrożenia, na strachu przed niepewną, a mającą nieuchronnie nadejść przyszłością. Massumi w eseju *The Future Birth of the Affective Fact* opisuje fenomen oddziaływania afektywnych faktów, które – jak wyjaśnia – istnieją i działają na społeczeństwo bez względu na to, czy są zakorzenione w rzeczywistości, czy też nie.

Jednym z takich afektywnych faktów jest poczucie zagrożenia. Jeśli raz je odczuwamy, jeśli raz wyzwoli się w nas afektywna reakcja, nic już nie jest w stanie tego afektu zmienić, odwołać ani unieważnić. Jeśli odczują zagrożenie w przeszłości, to nawet jeśli owo zagrożenie nie przekształci się w realne działanie przeciwko mnie, zawsze pozostanie zagrożeniem. Żadna przyszłość go nie zmieni.

Opisując to poczucie zagrożenia, Massumi odwołuje się do przykładu, który obecnie wygląda na skrajnie anachroniczny, a mianowicie nagłówek prasowego *The Next Pandemic Does Not Exist*

Yet<sup>23</sup>, wyzwalającego poczucie zagrożenia przez przywołanie obrazu nieistniejącej jeszcze pandemii. Obecnie żyjemy w czasie, w którym wydarza się taka właśnie nieistniejąca niegdyś katastrofa. Czy jednak oznacza to, że w naszych działaniach mierzymy się wyłącznie z realną i teraźniejszą groźbą? Niewykluczone, że w przypadku niektórych krajów tak właśnie jest, ale z całą pewnością nie jest tak wszędzie. Spora część decyzji podejmowana była i jest w imię antycypowanej przyszłości: przyszłości rozwoju epidemii oraz potencjalnych milionów (w skali takiego kraju, jak Polska) chorych. Ta możliwa, przerażająca przyszłość, prowokowała do wprowadzania mocnych i nie zawsze konstytucyjnych zakazów i ograniczeń swobód obywatelskich, a później – gdy ekonomiczny aspekt katastrofy zaczął być bardziej widoczny – ich wycofywania w imię uchronienia kraju przed zapaścią gospodarczą i jej konsekwencjami. Jaskrawym przykładem walki tych dwóch wizji i zagrożeń w przypadku polskiej polityki jest zakaz wchodzenia do lasów (kwiecień 2020) przy notowanych przypadkach zachorowań w okolicach 300–400 dziennie oraz radykalne luzowanie obostrzeń dwa miesiące później przy podobnych danych (włącznie z utrzymaniem pozwolenia na organizację imprez takich jak wesela). Istotniejszym komponentem tych dwóch decyzji było to, czego się spodziewamy (w pierwszym przypadku: wzrostu zachorowań, w drugim: utrzymania stałej liczby), a nie to, co aktualnie się wydarzało. Podobną rolę pełni obecnie tworzenie wizji „kolejnej fali”, a więc jakby nowego etapu epidemii, który ma być usprawiedliwieniem dla następnych, nie zawsze uzasadnionych działań. Od razu chcę przy tym zaznaczyć, że nie wypowiadam się na temat realności samych zdarzeń, ale ich funkcji: obraz następnej fali (choć nie bardzo można mówić o „drugiej” fali przed wygaśnięciem pierwszej, co oczywiście nie oznacza, że nie nastąpi radykalny wzrost liczby chorych) jest pewnym afektywnym regulatorem emocji, sugerującym, że jesteśmy właśnie – w lecie roku 2020 – pomiędzy falami, w miejscu dość bezpiecznym, ale ciągle zagrożonym przez to, co ma nadejść. W dalszym ciągu – dokładnie tak, jak zauważał

---

<sup>23</sup> B. Massumi, *Ontopower...*, s.189.

Massumi – strach przed przyszłością jest co najmniej równie istotnym elementem naszego zachowania, jak racjonalne reagowanie na to, co się aktualnie wydarza.

Jak pokazują analizowane przez Massumi'ego przykłady, akty terroru i wojny stosunkowo łatwo stają się pożywką dla afektywnej polityki, produkując coraz to nowe afektywne fakty, które są podstawą podejmowania kolejnych działań zapobiegawczych. Jednak kolejne katastrofy ekologiczne lub naturalne zdają się nie działać w podobny sposób. Choć wywołają silną afektywną reakcję po wystąpieniu określonego zjawiska, w zasadzie nie prowokują do żadnych działań zapobiegawczych (i nie inaczej może być w przypadku pandemii koronawirusa, w której po okresie sporego wsparcia dla restrykcji i rzeczywiście ostrożnego podchodzenia do koncepcji „nowej normalności” nastąpiło – przynajmniej w Polsce – spore rozluźnienie, które każe spekulować, że jeśli rzeczywiście sytuacja się pogorszy, społeczeństwo może być zdecydowanie mniej chętne do ponownego samoograniczenia lub podporządkowania zakazom). Warto moim zdaniem choćby spróbować określić, dlaczego tak właśnie się dzieje, skąd tak radykalna różnica w społecznych reakcjach na dwa typy dotkliwych, kryzysowych sytuacji?

Odpowiedź na to pytanie jest złożona i wymaga wyodrębnienia przynajmniej trzech aspektów funkcjonowania i zarządzania afektami. Pierwszy z nich – dostrzegany i opisywany przez Massumi'ego – łączy się bezpośrednio ze specyficzną afektywną polityką współczesnych państw. Zagrożenie atakami terrorystycznymi, choć wcale nie zwiększyło się w ciągu ostatnich lat, postrzegane jest jako realne, silne, i – co ważne – narastające. Uznaje się, że jedynym sposobem zapobieżenia atakom jest podejmowanie określonych działań prewencyjnych i udaremniających, wymierzonych w potencjalnych lub choćby możliwych sprawców. Mamy więc do czynienia z realnym zagrożeniem, ale pozostającym tak daleko poza możliwością zbadania oraz potwierdzenia lub wykluczenia, że do sterowania poczuciem tego zagrożenia potrzebujemy specyficznego klucza. Tym kluczem jest system alarmów, dotyczących zagrożenia terrorystycznego, funkcjonujący w większości krajów europejskich. W przypadku krajów słabo zagrożonych terroryzmem, do których w dalszym ciągu należy Polska, system ten jest



dość abstrakcyjny i opiera się na systemie numerycznym (pierwszy stopień zagrożenia dotyczy możliwego zdarzenia o charakterze terrorystycznym, którego rodzaj i zakres jest trudny do przewidzenia, czwarty – najwyższy – dotyczy sytuacji realnego zdarzenia lub potwierdzonej informacji o zaawansowanej fazie przygotowań do wydarzenia terrorystycznego). W przypadku USA oparty jest na łatwym do wyobrażenia i zapamiętania kodzie kolorów. Zielony oznacza niskie prawdopodobieństwo zamachów, niebieski – nieco wyższe, lecz wciąż niepotwierdzone, kolejne: żółty i pomarańczowy wskazują na coraz większe prawdopodobieństwo zamachów, a ostatni – czerwony – dotyczy realnego lub przewidywanego w bliskim czasie i trudnego do zapobieżenia wydarzenia.

Taki system ostrzegania prowokuje poczucie lęku i zagrożenia, gdyż nawet zielony, najniższy stopień, wciąż oznacza zagrożenie. Co jednak ważniejsze, kolory lub stopnie alarmów wywołują afektywną reakcję nawet w przypadku, w którym ostatecznie nic się nie wydarza – stopień pomarańczowy wyzwala lęk przed atakiem bez względu na to, czy atak rzeczywiście będzie miał miejsce, czy też nie. W systemie tym kolory służą więc stopniowaniu afektywnej reakcji i utrzymywaniu jej w ryzach abstrakcyjnego, lecz realnego systemu zarządzania strachem<sup>24</sup>. Jego skutkiem jest umiejętność wywołania poczucia zagrożenia bez zagrożenia: wystarczającym narzędziem może być sam kolor ostrzeżenia.

Oczywiście, również zagrożenia naturalne opisywane są w podobnych skalach, w Polsce zazwyczaj trzystopniowych, wskazujących na prawdopodobieństwo wystąpienia określonego zdarzenia oraz jego siłę. Istnieje jednak pewna zasadnicza różnica: ostrzeżenia o stopniach zagrożenia dotyczą wyłącznie realnie przewidywanych zdarzeń, więc już pierwszy stopień dotyczy prawdopodobnej, a nie jedynie możliwej sytuacji. Niemniej, nawet w przypadku zagrożenia drugiego lub nawet trzeciego, najwyższego stopnia, nieczęsto podejmowane są działania prewencyjne, a nawet jeśli są, to odnoszą się wyłącznie do najcięższych skutków zdarzenia. Być może sytuacja ta ulegnie zmianie pod wpływem systemu alertów RCB (Rządowego Centrum Bezpieczeństwa),

---

<sup>24</sup> B. Massumi, *Ontopower...*, s. 172–185.

opierającego się między innymi na wysyłaniu ostrzegawczych sms-ów w przypadku przewidywania gwałtownych zdarzeń pogodowych<sup>25</sup>.

To zaś prowadzi nas do kolejnej różnicy. W przypadku katastrof naturalnych, które, przypuszczamy, mają nadejść, nie podejmuje się w zasadzie działań prewencyjnych. Nie zapobiega się powodzi ani wicherze, lecz jedynie minimalizuje jej skutki przez ewentualną ewakuację lub przekierowanie – w przypadku powodzi – fali w określone miejsce. Nie pojawiają się przez to komunikaty o powodziach czy pożarach, których udało się uniknąć, co najwyżej – o stopniu skuteczności zapobiegania ich skutkom. Katastrofy naturalne, nawet te, które dało się przewidzieć i którym dało się zapobiec, traktowane są jako „naturalne” właśnie, stanowiące część porządku świata. Niezapobieżenie im interpretowane jest więc najczęściej jako efekt trudnego do przewidzenia splotu okoliczności, a nie jako błąd czy zaniedbanie określonych służb. W przypadku zagrożeń atakami terrorystycznymi jest na odwrót: jeśli się wydarzają, to są traktowane jako zaburzenie naturalnego porządku.

Trzecia, ostatnia różnica, wiąże się z poczuciem odpowiedzialności. W przypadku katastrof naturalnych jest ona rozmyta i niepewna: nie wiadomo, czy w ogóle da się kogoś obciążyć odpowiedzialnością, a jeśli tak, to kogo lub co. Czy należy szukać winnych wśród odpowiedzialnych za czynniki, które wywołały katastrofę (co może mieć sens, gdy na przykład powódź została spowodowana nie tylko obfitymi opadami deszczu, lecz również zaniedbaniami w utrzymaniu we właściwym stanie różnych akwenów, ale co nie jest już takie łatwe w przypadku na przykład wichury lub burzy), czy wśród tych, którzy nie dołożyli wszystkich starań, by zminimalizować jej skutki? Czy też należy uznać, że przynajmniej częściową winę za katastrofy można

---

<sup>25</sup> Jest to bezpośredni skutek wichury i spowodowanej nią tragedii w Suszku (w nocy z 11 na 12 sierpnia 2017 roku na obozie harcerskim dwie harcerki zginęły w wyniku wichury). Reakcje wzbudziła więc spektakularna i afektywna katastrofa naturalna, która była szeroko dyskutowana medialnie i sprowokowała dyskusję na temat braku systemu ostrzeżeń w podobnych sytuacjach. Por. m.in. <https://dziennikbaltycki.pl/tragedia-na-obozie-harcerskim-w-suszku-za-nami-jedna-z-najtrudniejszych-akcji-zdjecia-wideo/ar/12359693> [dostęp: 10 maja 2019].

przypisać społeczeństwu w niewłaściwy sposób wykorzystującym zasoby przyrodnicze, przyczyniającym się do niekorzystnych zmian klimatycznych czy wreszcie – przez naruszanie wcześniej czysto przyrodniczych terenów – sprawiającym, że wcześniej prawie niezauważalne zjawiska stają się katastrofalne (jak lawiny zmiatające budynki wybudowane w niewłaściwych miejscach czy powodzie zalewające zamieszkałe, ale zarazem zalewowe tereny). Ustalanie odpowiedzialności wiąże się więc w przypadku katastrof naturalnych z mniejszym lub większym potencjałem samooskarżenia, tymczasem w przypadku aktów terroryzmu linia podziału między winnymi i ofiarami przebiega zazwyczaj – przynajmniej w powszechnym poczuciu – w klarowny sposób.

Podsumowując już, katastrofy naturalne stanowią o wiele większe wyzwanie dla społeczeństw, nie tylko jako realne wydarzenia, wymagające – choć niestety najczęściej nie prowokujące – prewencji i zmian w zakresie kształtowania naszych relacji z naturą, lecz również jako punkt orientacyjny współczesnej polityki afektywnej. O ile bowiem katastrofy będące skutkiem działalności określonej, wąskiej grupy ludzi, jak chociażby katastrofalne w skutkach zamachy terrorystyczne, są łatwe do oceny, a co za tym idzie mogą być zaanektowane dla określonych celów współczesnej polityki afektywnej, o tyle bardziej złożone w swych przyczynach i skutkach katastrofy naturalne nie poddają się łatwo tego typu klasyfikacjom. To zaś sprawia, że – paradoksalnie – są one stale przeoczane, stale traktowane jako zwykły, codzienny element rzeczywistości. Zmiana tego stanu rzeczy wymaga nie tylko przedefiniowania naszych relacji ze środowiskiem, lecz również głębokich przemian w kształtowanych obecnie modelach afektywnych reakcji, tak, by katastrofy naturalne przestały być postrzegane jako jedynie „teoretyczne”.

Choć pod tym względem zostało jeszcze wiele do zrobienia, dają się zauważyć pierwsze oznaki zmiany. Problemy klimatyczne i związane z nadmierną eksploatacją środowiska są coraz częściej jeśli nawet nie traktowane priorytetowo, to przynajmniej zauważane. Migrują one z obrzeży społecznego zainteresowania nieco bliżej centrum, a od czasu do czasu, w niektórych przypadkach, stają się głównym tematem rozmów. Jest tak i w przypadku coraz częściej dyskutowanych

zmian klimatycznych, zwłaszcza, odkąd zyskały twarz Greta Thunberg, i w przypadku „teoretycznego” smogu, który w wyniku przynajmniej częściowych działań mających na celu ochronę powietrza przed zanieczyszczeniami ulega zauważalnemu, choć niespektakularnemu zmniejszeniu, i w izolowanych, ale bardzo nośnych medialnie sprawach dotyczących środowiska, jak sprawa Puszczy Białowieskiej lub – dawniejsza – doliny Rospudy. Choć skuteczność takiego, wyspowego zainteresowania ekologią jest ograniczona, uważam, że każda kolejna dyskusja nad dewastacją środowiska naturalnego staje się dzięki niemu łatwiejsza. Nieco inaczej ujmując sprawę: spora mobilizacja, wywołana przez plany dewastacji doliny Rospudy nie uchroniła Puszczy Białowieskiej przed niekorzystnymi działaniami, ale przetarła szlak reagowania i wzbudzania powszechnego zainteresowania kwestią, która do niedawna nie interesowałaby nikogo poza grupką aktywistów. Właśnie dlatego warto takim wyspowym dyskusjom poświęcać uwagę, tak, jak warto dbać o każde, nawet najmniejsze przesunięcie, które odbywa się w ramach dyskusji dotyczących praw zwierząt, nawet jeśli jest ono skutkiem jednorazowego, medialnego zainteresowania wyjątkowo spektakularną sprawą.

## Spór o naturę puszczy

### 1. Uwagi wstępne

Powodem, dla którego zaraz po podjęciu problematyki katastrofy w dyskursie ekokrytycznym przystępuję do analizy fenomenu współczesnego „sporu o puszcze” jest wyjątkowa spektakularność tej sprawy, także w świetle przyjmowanej w tej książce metodologii. Zniszczenie Puszczy Białowieskiej jest – bez względu na to, która strona sporu wydaje się nam bliższa – uznawane za realną, rzeczywistą i nieodwracalną katastrofę ekologiczną. Jest to więc wydarzenie spektakularne, przyciągające uwagę nie tylko aktywistów, polityków i mediów, ale i obywateli, którzy wcześniej nie mieli wyrobionego zdania ani na temat ekologii, ani puszczy, ani tym bardziej – roli kornika drukarza w tym niewątpliwym dramacie.

Punktem wyjścia tego rozdziału jest pytanie o miejsce lasu w polskiej kulturze. Pytanie to inspirowane jest oczywiście wciąż niewygasłym sporem o wycinkę Puszczy Białowieskiej, o to, czy należało ingerować w jej trwanie, czy lepszą decyzją było pozostawienie jej samej sobie. W tym tekście – przynajmniej na początku – nie zamierzam się opowiadać po żadnej ze stron sporu, lecz chcę spróbować przeanalizować i w pewnym sensie przepisać pojawiające się w trakcie tego konfliktu pomysły na „ratowanie” puszczy na pewne bardziej ogólne koncepty dotyczące funkcjonowania terenów, które uznajemy za „przyrodniczo czyste”<sup>1</sup>. Od razu chciałabym zaznaczyć, że takie

<sup>1</sup> W tym fragmencie umyślnie używam cudzysłowów wobec określeń „ratowanie” i „teren przyrodniczo czysty”. Terminy te są bowiem obciążone konkretnymi konotacjami: jeśli mówimy o ratowaniu puszczy, to obsadzamy sami siebie w sytuacji aktywnej, puszcze zaś – w roli biernej i słabej. Podobnie pisanie o terenach

spojrzenie wymusza traktowanie argumentów obu stron z dobrą wiarą, a więc bez przypisywania jednoznacznie złych intencji lub wskazywania na ekonomiczne uzasadnienie wycinki jako prawdziwego powodu interwencji.

Spór o puszcę nie jest – moim zdaniem – wojną o to, jak należy rozwiązać konkretny problem, za który można uznać rozprzestrzenianie się kornika drukarza oraz wpływ tego chrząszcza na istnienie określonego ekosystemu, lecz przykładem ścierania się dwóch zupełnie odmiennych pomysłów definiowania tego, czym ma być puszcza i – co za tym idzie – jakie są jej podstawowe cechy i funkcje oraz nasze obowiązki wobec niej. Jest to więc spór dotyczący służeń i jej granic: czy puszcza ma pełnić funkcje służebne wobec ludzkich potrzeb i to ma być główny cel jej istnienia? Czy też ma być bytem całkowicie niezależnym, który nie ma wobec człowieka żadnych obowiązków i nie można mu narzucać nawet podstawowych służebności. A może konieczny jest kompromis między tymi postawami i odmienne ułożenie relacji między ludźmi a puszczą?

Formułując ten sam problem nieco prościej: nie chodziło o to, co zrobić z kornikiem drukarzem, lecz o to, czym jest puszcza i po co nam ona. Ci, którzy mówili o konieczności ochrony puszczy przed owadem, o interwencji, która ocali kolejne drzewa przed zniszczeniem, mieli na myśli ochronę puszczy rozumianej jako pewien zasób dóbr przyrody, które – jeśli nie powstrzyma się zniszczenia – będą obumierały i znikwały w zastraszającym tempie. Ci, którzy wskazywali, że interwencja godzi w dobrostan puszczy, bo podważa podstawową zasadę jej istnienia, a więc samoregulację i niezależność od działań człowieka, chcieli uratować puszcę rozumianą jako samodzielny byt, wyróżniający się nie tyle tym, z czego się składa, lecz tym, jakie relacje wiąże poszczególne jej elementy.

---

przyrodniczo czystych w dobie antropocenu jest pewnym nadużyciem, niemniej używam tego terminu wobec miejsc najmniej zmienionych działalnością człowieka. Ponadto rezygnuję – nie z braku funkcjonujących między innymi w obrębie ekokrytyki teorii i koncepcji – z prób krytycznego definiowania samego pojęcia natury oraz przyrody. Kategorie te będą używane w tym tekście na przemian, dla określenia tego, co można nazwać środowiskiem naturalnym, niezmiennym w zasadniczy sposób przez działania człowieka.

Można więc uznać, że w wielkiej, angażującej zarówno polityków, jak i obywateli dyskusji o losach puszczy starły się dwa odrębne sposoby definiowania tego ekosystemu. Pierwszy, przyjęty przez stronę rządową i zwolenników wycinki, opierał się na spojrzeniu na puszcę jako na rzecz, która zajmuje konkretne miejsce w przestrzeni i składa się z pewnej liczby elementów. Zgodnie z tą koncepcją puszcza była po prostu starym, dużym lasem, którego głównymi elementami są drzewa. Jeśli chce się chronić tak rozumianą puszcę, trzeba przeciwdziałać rozprzestrzenianiu się kornika drukarza, który jest pasożytem zagrażającym poszczególnym składowym lasu, a przez to i całej puszczy. Ten tok rozumowania stał za zasadniczym oporem wobec „pozostawiania puszczy samej sobie”. Warto pod tym względem przywołać fragment oficjalnego komunikatu Lasów Państwowych, zamieszczonego (wciąż) na stronie internetowej tej instytucji:

Ekolodzy uważają, że plaga kornika jest zjawiskiem naturalnym i natura sama sobie z nim poradzi. Chcą, by pozwolić, żeby kornik rozprzestrzenił się na kolejne świerki, żeby martwe drzewa same się przewracały, a las odnawiał się naturalnie. Problem jest jednak w tym, że takiej gradacji kornika jak obecna, od bardzo dawna w puszczy nie było. Owad doprowadzi do śmierci całe połacie lasu. Za kilka lat wejście na taki obszar będzie bardzo ryzykowne ze względu na przewracające się martwe drzewa. Kiedy drzewa już się przewrócą, na ich miejscu pojawią się dużo bardziej ekspansywne trawy (np. trzcinnik), co przyznają sami ekolodzy. Trawy te tworzą grubą i zwartą warstwę korzeni, przez które nie będą mogły się przebić delikatne siewki drzew. W ten sposób przez dziesiątki lat, zanim drzewa ostatecznie zwyciężą z trawami, duże fragmenty puszczy będą przypominały step, a nie lasy, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni.

Dlatego, zdaniem leśników, ekolodzy proponują przeprowadzenie w Puszczy Białowieskiej ryzykownego eksperymentu.<sup>2</sup>

---

<sup>2</sup> <https://www.lasy.gov.pl/pl/informacje/aktualnosci/puszcza-bialowieska> [dostęp 30 września 2018].

W powyższym cytacie widać wyraźnie, że dla strony rządowej główną wartością puszczy są po prostu drzewa. Leśnicy poczuwają się do ich ochrony, nawet, jeśli sami uznają swoją ingerencję za sztuczną. Co ciekawe, argument o tym, że pojawienie się kornika drukarza jest procesem naturalnym nie jest tu podważany, pojawia się jedynie informacja, że skala obecnego rozprzestrzeniania chrząszcza jest największa od „bardzo dawna” (co stanowi moim zdaniem uderzająco wręcz nieprecyzyjne określenie czasu). Wizja puszczy, jakiej chcą chronić leśnicy (między innymi przez „niepozwalanie” na konkretne procesy), opiera się na spojrzeniu na las naturalny jako na przestrzeń gromadzącą drzewa. Zgodnie z nią, puszcza jest niczym innym, niż „pojemnikiem” na drzewa, który ulegnie zepsuciu, gdy część drzew na pewien czas zastąpią trawy.

Drugie stanowisko akcentuje zupełnie inny sposób rozumienia puszczy. Największa różnica dotyczy samego sposobu istnienia: puszcza jest nie zbiorem rzeczy, lecz zbiorem relacji. Czyli, mówiąc inaczej, jest coś poza poszczególnymi elementami, co decyduje o „puszczowości” puszczy, a tym czymś jest właśnie brak ingerencji człowieka i „pozwolenie” na zachodzenie różnych procesów.

Tak zarysowany podział poglądów na to czym jest puszcza – co moim zdaniem wyłania się wyraźnie w toku dyskusji – wskazuje na istnienie głębokiego sporu, dotyczącego nie tylko tego konkretnego terenu, lecz postrzegania samej przyrody. Jego korzenie sięgają jeszcze XIX wieku, gdy kształtowały się – częściowo pod wpływem industrializacji, a częściowo pod wpływem coraz powszechniej znanych wypraw eksploracyjnych i rozwoju turystyki – co najmniej dwa odmienne modele jej postrzegania. Zgodnie z pierwszym natura jest czymś zagrożonym, uzależnionym od człowieka i wymagającym ochrony (co uświadamiają między innymi pierwsze całkowicie zdewastowane tereny naturalne), a według drugiego jest wciąż potężną siłą, którą albo należy ujarzmić (a więc, między innymi, prowadzić ekspansywną gospodarkę), albo – gdy z tej samej przesłanki wyciąga się odmienne konsekwencje – chronić przez brak ingerencji, by sama decydowała o własnym trwaniu<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> O funkcjonowaniu alternatywnych wizji przyrody pisali jako pierwsi w ten sposób



Te odmienne tradycje widzenia przyrody, albo jako wymagającej ochrony, albo jako wciąż silnej i sprawczej, bez wątplenia wciąż wpływają na współczesny spór dotyczący Puszczy Białowieskiej. Ale, moim zdaniem, spór ten sięga jeszcze do jednego istotnego dla definiowania przyrody problemu, stawiając w jego centrum pytanie o to, czy puszcza jest wyłącznie miejscem, ograniczonym terenem, czy jest też pewną ideą. Wydaje się bowiem, że gdy zwolennicy wycinki mówią o ochronie puszczy traktują ją jak pewną rzecz, którą da się przez interwencję naprawić, podczas gdy zwolennicy braku interwencji widzą w niej również pewną ideę, zgodnie z którą puszcza jest organizmem, zdolnym do samoregulacji. A to wpływa na fakt, jak postrzegane są relacje między puszczą a człowiekiem: inaczej wyobrażamy sobie nasze obowiązki wobec rzeczy, inaczej zaś wobec żywego organizmu.

Stanowisko aktywne, domagające się działań, na pierwszy plan wysuwa kwestię odpowiedzialności za drzewa, a więc z jednej strony postrzega puszcę jako zbiór drzew właśnie, z drugiej – podkreśla konieczność ich ochrony. Puszcza jest więc zasobem, którego należy bronić przed szkodliwą działalnością chrząszcza, a człowiek jest zobowiązany do podjęcia wszelkich możliwych działań, mogących gwarantować jej przetrwanie w obecnej formie. Stanowisko pasywne opiera się na odmiennym pojmowaniu funkcji puszczy: jest ona nie zasobem, zbiorem rzeczy, lecz organizmem lub ewentualnie stanem. Istnienie puszczy wymaga nie tylko istnienia „starego lasu”, ale i jego funkcjonowania w określony sposób: bez ingerencji człowieka. W takim przypadku kornik drukarz nie jest pasożytem, szkodnikiem, który niszczy określony zasób rzeczy, lecz elementem ekosystemu, częścią zbioru rzeczy i relacji, tworzących puszcę. Interwencja człowieka, nawet gdyby dało się udowodnić, że będzie skuteczna i przyniesie z góry określone skutki, jest zaprzeczeniem ochrony puszczy: ingerowanie w działanie tego skomplikowanego organizmu godzi w samą naturę puszczy, niszczy jej istotę, i to bez względu na to, czy skutkiem działań kornika drukarza będzie drobne czy katastrofalne zmniejszenie ilości określonego typu drzew.

---

J. Urry, P. Macnaghten, *Alternatywne przyrody. Nowe myślenie o przyrodzie i społeczeństwie*, przeł. B. Baran, Scholar, Warszawa 2005.

Z powyższym, opozycyjnym traktowaniem puszczy wiąże się jeszcze jedna dość wrażliwa kwestia. Jeśli puszcza jest zasobem, a obowiązkiem człowieka jest chronić ten zasób przez interwencję, to ma on wobec puszczy nie tylko obowiązki, ale i prawa. Puszcza jest po pierwsze w jakimś stopniu dla człowieka, nawet jeśli tylko po to, by można ją było podziwiać, czy chwalić się faktem, że dzięki naszym działaniom wciąż mamy bioróżnorodną, pierwotną enklawę leśną<sup>4</sup>. Po drugie, puszcza nie może być bez człowieka: jeśli uważamy, że bez interwencji kornik drukarz ją zdewastuje, to puszcza potrzebuje ochrony. Oznacza to, że – wbrew argumentom często przytaczanym przez obrońców tego stanowiska – puszcza pełni wobec człowieka funkcje służebne, a to, co nazywamy jej ochroną, jest nakierowane na utrzymanie tej relacji.

W drugim przypadku puszcza istnieje raczej sama dla siebie: skoro naczelnym obowiązkiem człowieka jest nie dewastować, nie ingerować, nie zmieniać, to puszcza może funkcjonować bez człowieka, jest stanem, który nie wyklucza wprawdzie jego pewnej obecności, ale i zdecydowanie jej nie wymaga. A to oznacza, że jeśli puszcza wymaga ochrony, to nie przez człowieka, ale przed człowiekiem.

## 2. Podmiotowość puszczy

Poświęciłam tak wiele uwagi rekonstrukcji sporu o wycinkę w Puszczy Białowieskiej, gdyż przywoływane w jego trakcie argumenty ukazują dwa najpopularniejsze i zarazem najbardziej od siebie oddalone tryby postrzegania przyrody. Las, a już zwłaszcza las pierwotny, co do którego podejrzewamy, że funkcjonuje od tysięcy lat, jest modelowym wręcz przykładem terenu, który moglibyśmy określić

---

<sup>4</sup> Argument ten pojawia się w cytowanym przeze mnie fragmencie stanowiska Lasów Państwowych, także w jego estetycznej odmianie: człowiek nie jest przyzwyczajony do widoku traw w puszczy, więc powinniśmy dbać o to, by puszcza składała się z drzew. Na szkodliwość takiej estetyzacji, a więc dążenia, by tereny przyrodnicze były 'ładne', zwracał uwagę już G. Böhme, *Filozofia i estetyka przyrody w dobie kryzysu środowiska naturalnego*, przeł. J. Marecki, Oficyna Naukowa, Warszawa 2002.

jako czysty przyrodniczo lub prawdziwie naturalny. W dodatku istnieje naprawdę, tu i teraz, w zasadzie na wyciągnięcie ręki – dla każdego Polaka jest o wiele bardziej namacalny i bliższy, niż inne przykłady terenów uznawanych za wciąż naturalne. Trudno nam wyobrazić sobie las amazoński czy inną przestrzeń uznawaną za nieskażoną jeszcze interwencją człowieka, lecz las, nawet puszcza nie przekracza granic naszej wyobraźni. Albo ją widzieliśmy, byliśmy w niej, albo mamy przynajmniej za sobą doświadczenie jakiegoś innego lasu, może mniej pierwotnego, lecz wciąż w jakimś sensie podobnego do puszczy. Pierwotny las jest więc najbliższym nam obrazem tego, czym ma być natura lub esencjalistycznie rozumiana przyroda. Dyskusja o puszczy jest zatem – czy tego chcemy, czy nie – dyskusją pokazującą, jak ścierają się w Polsce dwa odmienne tryby postrzegania natury oraz związane z nimi rozumienie obowiązków i relacji człowieka z przyrodą.

W pierwszym z omówionych stanowisk mieszają się ze sobą w gruncie rzeczy dwa odrębne argumenty: jeden mówi o konieczności aktywnej ochrony puszczy, drugi zaś traktuje ją jak zasób. Oba związane są z rozwijającym się od co najmniej XIX wieku trybem patrzenia na przyrodę, który akcentuje jej zależność od człowieka, znajdowanie się w stanie ciągłego zagrożenia, a zarazem – konieczność podporządkowania natury rozwojowi cywilizacji. W takim przypadku na las naturalny patrzy się przez pryzmat lasu przemysłowego, który jest niczym innym niż sposobem produkcji drewna. Taki las, jak inne uprawiane przez człowieka rośliny, się hoduje: dogląda, reguluje, chroni. Różnica z lasem przemysłowym polega jedynie na celu owej hodowli: jest nim nie – przynajmniej bezpośrednio – wycinka i sprzedaż drewna, lecz zachowanie zasobu, utrwalenie pewnego modelu funkcjonowania lasu, który jest bardziej do podziwiania, niż do eksploataowania, ale który pozostaje zależny od celów i woli człowieka.

Ten sposób patrzenia na puszcze jest do pewnego stopnia zrozumiałe: dla każdego właściwie pierwszym doświadczeniem z czymś, co możemy określić jako przyrodę czy naturę, jest doświadczenie kontaktu z terenami wprawdzie przyrodniczymi, lecz ukształtowanymi ludzką ręką. Lasy w większości są nasadzone w ciągu ostatniego

stulecia, parki i ogrody planowane przez człowieka, tereny górskie, choć objęte ochroną – zasadniczo zmieniły swój wygląd już nawet nie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu, lecz nawet dziesięciu czy piętnastu lat. W przyrodę ingeruje się nieustannie, wyznaczając jedynie pewne enklawy – w postaci rezerwatów i parków narodowych – w których ta ingerencja jest prawnie ograniczona. Przyzwyczailiśmy się więc, że las jest jedynie specyficznym rezerwatem, wytworzonym sztucznie – na mocy specjalnych, ludzkich praw i regulacji. Tak rozumiana natura wydarta jest przez kulturę cywilizacji, lecz nie jest i być nie może ani samodzielna, ani samowystarczalna – wystarczyłoby zlikwidować chroniące ją prawa, a przestałaby w tej formie istnieć.

Drugie omawiane stanowisko staje po przeciwnej stronie sporu, sięgającego setek lat. Przyjmuje raczej wizję natury jako czegoś samoistnego i samodzielnego, co może obecnie wymaga ochrony przed człowiekiem, ale nie wymaga kontroli i ingerencji. Na puszcę patrzy się w takim przypadku jako na jeden z ostatnich zachowanych naturalnych ekosystemów, który wciąż działa tak, jakby rabunkowa gospodarka ostatnich kilku setek lat się nie wydarzyła. Dla tego sposobu postrzegania puszczy kluczowa jest jej samowystarczalność i zmienność: wiemy przecież, że wygląd puszczy i jej funkcjonowanie się zmienia, i nie są to zmiany, które można zaobserwować oraz opisać przyjmując perspektywę zaledwie kilkudziesięciu lat. Zatem, jeśli chcielibyśmy szukać szkodnika, a więc elementu obcego i niszczącego dla ekosystemu, nie wskazywalibyśmy na kornika drukarza, lecz na człowieka.

Przyjęcie tej perspektywy jest o tyle trudne, że wymaga zrobienia przez człowieka dość trudnego kroku w tył. Jeśli zasadniczym zagrożeniem dla puszczy jest człowiek, a przestrzeń ta – podobnie jak inne przestrzenie naturalne – wymaga jedynie ochrony przed nim, to przyroda nie jest od nas zależna. Człowiek nie jest zaś szczególnie wyróżnionym bytem, który może dowolnie zarządzać wszystkimi dostępnymi mu terenami. Wycofanie się z dążeń do kontroli puszczy i „naprawiania” zachodzących w niej procesów oznacza jednak nie tylko oddanie uprzywilejowanej pozycji, oznacza również akceptację własnych błędów. Może być bowiem tak, że wcześniejsze decyzje (trzymając się przykładu puszczy – prowadzone w niej nasadzenia świerka,

które zmieniły pierwotny rozkład drzew) wywołują nieodwracalne złe skutki. Może być też tak, że ostatecznie, nawet chroniona przed człowiekiem i pozostawiona sama sobie puszcza zmieni się zasadniczo, albo – co stanowi wcale nie tak nieprawdopodobny scenariusz – nie przetrwa następnych stu lat. Mówiąc inaczej, może być tak, że puszcza zniknie nieodwracalnie.

Pozostawienie puszczy samej sobie oznacza więc potencjalną zgodę na to, że natura może okazać się na tyle zdewastowana, iż nie będzie możliwy jej powrót do wcześniejszego stanu. Jednak zwolennicy poglądu, że natura powinna pozostać bez ingerencji, wskazują, że nawet taki scenariusz jest lepszy, niż sztuczne utrzymywanie tworu, który „naturalny” lub „pierwotny” jest tylko z nazwy. Jeśli bowiem przyjmiemy za dobrą monetę perspektywę interwencjonistyczną, możemy nie tylko zmienić na zawsze tereny naturalne, które bez naszej ingerencji, a jedynie z ochroną przed działaniami człowieka mogłyby same się odnowić i w jakimś stopniu dostosować do nowych warunków bytowania, lecz zupełnie wypaczymy nasze postrzeganie przyrody i tego, co naturalne. A to oznacza, że niszcząc konkretne tereny przyrodnicze zniszczymy również przyjmowaną obecnie koncepcję natury, która jednak stoi między innymi za prawną ochroną przyrody przed dewastacją. Argumentów za tym stanowiskiem dość niespodziewanie dostarczyła obecna sytuacja pandemiczna: tempo odnowy terenów przyrodniczych podczas wymuszonego zamknięcia gospodarki zaskoczyło niemałą grupę osób, a zdjęcia przejrzystej wody w weneckich kanałach, do których powróciły ryby, stały się symbolami tej zmiany. Nietrudno przypuszczać, że choć lasy odnawiają się nieco dłużej, a i wzmiankowane zdjęcia nie są jeszcze koniecznym dowodem na radykalną poprawę w ekosystemie, lecz na punktową zmianę, to nasz wpływ na naturę (zwłaszcza coś, co można określić jako interwencję przez brak działania, a więc pozytywne zmiany wynikające z zaniechania działań szkodzących) jest zdecydowanie większy, niż przypuszczano.

Las, a puszcza szczególnie, jest więc probierzem naszego stosunku do natury w ogóle, do tego, jak postrzegamy ją w relacji wobec nas samych. Czy jesteśmy gotowi przyznać, że natura nie potrzebuje człowieka, że nie jest od niego zależna, a jeśli taką się staje, to tylko

dlatego, że człowiek dewastuje najbardziej podstawowe mechanizmy rządzące przyrodą? Czy potrafimy zaakceptować, że nasze „sprawstwo” ma zazwyczaj negatywny charakter, a ochrona przez ingerencję polega na eliminowaniu własnych błędów (i zazwyczaj nie jest skuteczna, bo próbując naprawić stare błędy, popełniamy nowe)? Czy nauczyliśmy się już patrzeć na przyrodę jako na twór, który nie jest nam dany we władanie i który jest naszym, ale nie wyłącznie naszym środowiskiem, wobec którego mamy wprawdzie liczne zobowiązania, które jednak nie czynią nas jego właścicielami? Czy może wciąż wygodniej jest nam naturę poprawiać, ochraniać, regulować i uznawać, że to kornik drukarz jest szkodnikiem, a nie ludzka działalność?

Na te pytania nie ma jednej odpowiedzi. Bez wątplenia zaangażowanie stosunkowo licznych i zarazem odrębnych grup w ochronę Puszczy Białowieskiej jest symptomem zmian w myśleniu o środowisku, które znalazło się w centrum szerszej społecznej dyskusji po raz pierwszy tak wyraźnie od czasu sporu dotyczącego doliny Rospudy. Od tamtego momentu wiele uległo zmianie: w przypadku okolic Rospudy przeciwstawiano dobro natury wygodzie człowieka. Zestawiano więc ze sobą integralność systemu przyrodniczego i dobrostan człowieka, rozumiany jako prawo do życia w przyjaźnie zaprojektowanym mieście bez dużego ruchu tranzytowego, a nawet – gdy już wyszło na jaw, że możliwa jest budowa obwodnicy bez tak silnej dewastacji terenów naturalnych – wysuwano argumenty natury ekonomicznej i czasowej (obwodnica biegnąca przez dolinę miała być tańsza i łatwiejsza w budowie, a więc powstać szybciej). Nierównowaga tego sporu była rażąca, gdyż przeciwstawiano sobie łatwość wykonania inwestycji i przetrwanie pewnego biosystemu. Była to więc nie – dyskutowana w przypadku puszczy – sytuacja służebności, lecz po prostu podporządkowania. W przypadku Puszczy Białowieskiej takiej nierównowagi brak, ale nie oznacza to, że zmieniło się głęboko zakorzenione w polskiej kulturze utylitarystyczne podejście do natury.

Ochrona puszczy realizowana przez ingerencję czerpie z tych samych przesłanek, co przekonanie o prawie do wytyczania dróg we wszystkich terenach przyrodniczych: natura jest zasadniczo, faktycznie i koncepcyjnie, zależna od człowieka. Nawet jej ochrona podejmowana jest po coś, nie zaś tylko dlatego, że tak należy. Chroniąc

puszczę chcemy zachować nienaruszony lub możliwie mało naruszony drzewostan, chcemy, by puszcza pozostała wciąż przestrzenią estetycznej kontemplacji, zresztą dość naiwnie rozumianej – przesieki lub martwe drzewa uznajemy bowiem za „nieładne”, w przeciwieństwie do równego, złożonego z podobnych drzew, „ładnie” wyglądającego lasu. Dbamy nie tyle o puszcę, co o własne wyobrażenie puszczy i związane z tym dobre samopoczucie.

Z drugiej strony, chyba po raz pierwszy tak mocno wybrzmiał w szerszej dyskusji argument o samodzielności, integralności oraz zdolności do samoregulacji natury. Choć większość koncepcji ekologicznych czy ekokrytycznych znajduje w Polsce uznanie raczej w wąskim gronie badaczy i aktywistów, tym razem teza o „osobności” natury znalazła dostęp do szerszego grona osób. Patrząc więc w przyszłość optymistycznie, można by uznać, że las stał się punktem zwrotnym w polskim myśleniu o naturze, które do tej pory kształtowane było prawie wyłącznie albo przez zwolenników skrajnej eksploatacji i podporządkowania natury potrzebom człowieka, albo przez stronnictwo popierające interwencjonistyczne podejście do przyrody (a więc regulację terenów przyrodniczych i procesów w nich zachodzących, jak również sztuczne podtrzymywanie liczebności określonych gatunków<sup>5</sup>). Teraz po raz pierwszy pojawia się tendencja, by na naturę patrzeć inaczej, ani nie jako na przestrzeń gospodarczej eksploracji, ani nie jako na wymagającą ciągłych ludzkich interwencji, słabą i znajdującą się już na skraju wymarcia.

Stoimy więc przed szansą na zmianę dyskursu, na uwolnienie natury od kolejnych ograniczających ją wpływów. Ta szansa niesie jednak ze sobą pewne zagrożenie, które w przeszłości okazało się

---

<sup>5</sup> Co w przypadku gatunków zagrożonych ma oczywiście swoje uzasadnienie, ale bywa też drogą do rozregulowania zachodzących w naturze procesów. Prowadzona od lat, aktywna ochrona wilków w Polsce stoi obecnie pod znakiem zapytania, bo wprawdzie nieliczne, lecz działające na wyobraźnię ataki wilków na zwierzęta gospodarskie i czasem na ludzi już doprowadziły do tego, że grupy myśliwych mówią o konieczności odstrzałów (nie nawiązując zarazem do faktu, że wieloletnie dokarmianie dzików i jeleni, prowadzone przez koła myśliwskie, wpływa nie tylko na większą liczebność tych zwierząt, ale i na szybszą niż się spodziewano restaurację wilka w Polsce).

aż nadto realne. Pomiędzy postrzeganiem natury jako samodzielnej a traktowaniem jej jako zdolnej do zniwelowania każdego ludzkiego wpływu jest tylko mały krok. Być może przed tym krokiem uchroni nas postrzeganie relacji z naturą w kategoriach służebności, opierające się jednak nie – jak przywykliśmy – na postrzeganiu służebnych wobec ludzkich chęci funkcji natury, lecz zaakceptowaniu faktu, że to my pełniemy wobec niej funkcje służebne. Naszym obowiązkiem jest zatem nie „ratowanie” natury, lecz aktywne powstrzymywanie działań, które jej szkodzą, nawet w tych przypadkach, kiedy jest to niewygodne. Nie wydaje się, by taka idea służebnej wobec natury funkcji działań człowieka była szczególnie wywrotowa, mimo to – jak pokazuje przykład również Puszczy Białowieskiej – trudno jest nam zaakceptować, że w niektórych przypadkach najlepszym działaniem jest brak interwencji.



## Zwierzęta w dyskursie ekokrytycznym

### 1. Wprowadzenie

Dwa ostatnie rozdziały tej części książki poświęcone są problematyce przedstawiania zwierząt w obrębie ekokrytyki i zookrytyki. Ich celem jest próba odpowiedzi na pytanie jak – i czy w ogóle – możliwe jest skonstruowanie takiego sposobu mówienia o zwierzętach, który by je upodmiotawiał i prowadził do przekształcenia wypowo odczuwanej empatii w szerszą i trwalszą zmianę w postrzeganiu zwierząt<sup>1</sup>.

W tym rozdziale chciałabym przedstawić najważniejsze koncepcje ekokrytyczne, które dotyczą problemu relacji między ludźmi, zwierzętami a przyrodą. Ekokrytyka, choć jest stosunkowo nową dyscypliną badawczą, to jednak cieszy się lepszą – przynajmniej na polskim gruncie badawczym – rozpoznawalnością niż *animal studies*. Ten prąd badawczy, odmiennie niż *animal studies*, traktuje zwierzęta raczej jako części szerszej całości, którą można określić mianem natury lub przyrody. Takie ustawienie wzajemnych relacji między ludźmi, zwierzętami a innymi elementami przyrody rodzi – jak postaram się w podsumowaniu tego rozdziału pokazać – konkretne konsekwencje, nierzadko przez zwolenników badań nakierowanych głównie na problem funkcjonowania zwierząt w dyskursie kulturowym,

---

<sup>1</sup> Prowadzone w tym rozdziale rozważania dotyczą głównie polskiego kontekstu *animal studies*. Są one jednak zanurzone w problemach poruszanych szerzej, w europejskich i angloamerykańskich badaniach. Z tego powodu poza sferą zainteresowania pozostają te koncepcje i nurty, które czerpią ze sposobu, w jaki naturę traktowały ludy rdzenne, zwłaszcza w Ameryce Północnej i Południowej oraz Australii i Nowej Zelandii. Choć staje się to coraz ważniejszy aspekt badań w sferze globalnej, lokalnie pozostaje jeszcze bez wpływu na polską literaturę i kulturę, w przeciwieństwie do – nieco anachronicznych ze współczesnej perspektywy, ale wciąż istotnych – ustaleń pierwszych fal ekokrytyki.

krytykowane. Kontekstem prowadzonych w tym rozdziale rozważań pozostaje kwestia służebności, rozumianej dwojako. Po pierwsze jako ugruntowane przekonanie o służebnej i użytecznej wartości zwierząt, stanowiące w pewnym sensie negatywny punkt wyjścia, a po drugie jako opcja myślenia o funkcji określonych prądów, w tym zookrytyki, które mogą być traktowane jako służebne względem idei upodmiotowienia zwierząt.

W ramach punktu wyjścia warto przypomnieć najpopularniejszą definicję ekokrytyki, której w wywiadzie z Julią Fiedorczyk dostarcza Greg Garrard:

Ekokrytyka to dział badań literackich i kulturowych czerpiących inspirację, a w przypadku niektórych krytyków także orientację ideologiczną, z ekologii. Podobnie jak w przypadku krytyki marksistowskiej i feministycznej, mających na celu doprowadzenie do przemian społecznych, ekokrytycy chcieliby sprowokować namysł nad wartościami kulturowymi, który przyczyniłby się do ich zreformowania.<sup>2</sup>

Jak łatwo zauważyć, domeną ekokrytyki jest zatem analizowanie poszczególnych tekstów kultury, a nie jedynie statusu czy praw zwierząt. To zaś oznacza, że stanowi ona połączenie co najmniej dwóch dyscyplin badawczych, kierując swoje zainteresowanie zarówno ku budowie tekstów oraz ich wartości artystycznej, jak i ku problemom funkcjonowania oraz przedstawiania przyrody, roślin i zwierząt. Zanim przejdę do próby analizy konkretnych koncepcji, warto jeszcze zaznaczyć, że – zwłaszcza dla początkowej fazy rozwoju ekokrytyki – zagadnienie zwierząt pozostawało problemem peryferyjnym. Przyczyną takiego stanu rzeczy było nastawienie ekokrytycznych badaczy głównie na analizę relacji człowieka ze środowiskiem naturalnym rozumianym bardzo szeroko, ze szczególnym uwzględnieniem tego wszystkiego, co pozostaje w nim najbardziej człowiekowi „obce”, w największym stopniu od niego różne. Zgodnie z najbardziej lakoniczną, powtarzającą się definicją, ekokrytyka ma być nurtem

---

<sup>2</sup> *Język całkiem dziki. O ekokrytyce z Gregiem Garrardem rozmawiała Julia Fiedorczyk, [w:] „Fragile” nr 2010 nr 3, s.4.*

badającym związki między literaturą a fizycznym otoczeniem człowieka<sup>3</sup>. Takie określenie prowokuje jednak do zadania kilku, istotnych także w tej książce pytań. Można podzielić je na dwie grupy: na pytania odnoszące się do problemu samego pojmowania ekokrytyki i na pytania dotyczące statusu zwierząt. W przypadku tej pierwszej grupy dominujący wydaje się problem określenia tego, jakie związki między literaturą i środowiskiem stanowią przedmiot badań w ramach tego nurtu. Odpowiedź na to podstawowe pytanie nierzadko decyduje o ocenie całego kierunku badawczego, sprawiając, iż jest on traktowany albo jako dział badań kulturowych, albo jako element szerzej zakrojonego światopoglądu, zaangażowanego w polityczne cele.

Dla drugiej grupy najistotniejsza pozostaje kwestia tego, czy zwierzęta są częścią owego „fizycznego otoczenia człowieka”. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby je z ekokrytycznego zainteresowania wykluczyć, zarazem jednak określanie ich jako tylko jednego z elementów fizycznego otoczenia wydaje się co najmniej redukcjonistyczne. Pytanie to pokazuje zresztą pewną pułapkę, w jaką wpadały początkowe definicje i określenia ekokrytyki: były one bardzo szerokie i zarazem nastawione na szukanie oraz opisywanie relacji z tym wszystkim, co do tej pory wymykało się określeniom. Zwierzęta, jako najbliższe człowiekowi, jako przedmiot także innych badań oraz dobrze już ugruntowanej w czasie wyodrębniania się ekokrytyki dyskusji na temat praw zwierząt, niejako „znikały” badaczom z oczu.

## 2. Ekosprawiedliwość i etyka ekologiczna

Postulaty ekosprawiedliwości dotyczą ważnego dla ekokrytyki problemu, którym jest definiowanie tego, czym ten prąd ma się zajmować i czym ma być fizyczne otoczenie człowieka. To wieloznaczne

---

<sup>3</sup> G. Garrard, *Ecocriticism*, Routledge, London and New York 2004, s. 3.

Podobną definicją posługują się także Julia Fiedorczyk i Grzegorz Jankowicz, [w:] J. Fiedorczyk, G. Jankowicz, *Cyborg w ogrodzie. Założycielskie uwagi o ekokrytyce*, „Literatura”, Arkusz pisma „Ha!art. Interdyscyplinarny magazyn o kulturze” 2009 nr 1-2 (28-29), s. 7-9.

i nieostre pojęcie rozumie się na gruncie ekokrytyki na co najmniej dwa zasadniczo od siebie odmienne sposoby, odpowiadające dwóm opisanym w rozdziale *Ekokrytyczna samoświadomość* nurtom ekokrytyki. Przypominając skrótowo: w pierwszej fazie głównym przedmiotem zainteresowania było środowisko pojmowane jako coś naturalnego, nietkniętego interwencją człowieka. Choć koncept ten wydaje się odpowiadać naszym potocznym intuicjom związanym z pojęciem natury, pozostawia poza kręgiem zainteresowań ekokrytyki wszystko to, co już w jakiś sposób zostało przez człowieka zmienione lub od niego zależne (jak na przykład zwierzęta hodowlane), a także czyni problematyczną pozycję zwierząt, które mogą – zależnie od interpretacji – raz pozostawiać w obrębie ekokrytycznego zainteresowania, innym zaś razem nie. Druga faza odrzucała ograniczające rozumienie środowiska, walcząc ze zorientowaną esencjalnie ekologią. Celem ekokrytyki ma być nie tylko chronienie jeszcze nietkniętych, ale zagrożonych ekspansją człowieka przestrzeni przyrodniczych, ale także dążenie do renowacji zdewastowanych terenów<sup>4</sup>, kształtowanie i konstruowanie nowych enklaw natury, czy wreszcie analiza krajobrazu kulturowego. Podział ten koresponduje do pewnego stopnia z wprowadzonym przez Garrarda rozróżnieniem na dwa rodzaje ekokrytyki. Pierwsza postawa, określana mianem „celebrującej”, cechuje się poszukiwaniem w literaturze:

wzorców ekologicznego współistnienia ludzi i środowiska naturalnego (...). Pierwsi ekokrytycy koncentrowali się na twórczości takich pisarzy jak Thoreau czy Wordsworth, którzy w istocie próbowali wyobrazić sobie, a do pewnego stopnia także przeżywali, głęboką więź z ziemią.<sup>5</sup>

Druga zaś nakierowana jest na poszukiwanie i analizowanie tego, co stoi w sprzeczności z postulatem ekologicznie zrównoważonych sposobów na życie. Bada więc na przykład antropocentryzm rozumiany jako „ludzki rasizm”, bądź też te formy kultury, które

<sup>4</sup> Tamże, s. 22.    <sup>5</sup> *Język całkiem dziki...*, s.4.

w największym stopniu napędzają konsumpcjonizm<sup>6</sup>. To ona zdecydowanie mocniej podkreśla i wydobywa problem relacji między ludźmi i zwierzętami.

Dla drugiej fazy ekokrytyki bardziej charakterystyczne jest podejście krytyczne, choć także elementy postawy celebrującej są istotne dla analizy funkcjonalnego pojmowania natury. Postawa krytyczna związana jest bezpośrednio – podobnie zresztą jak druga faza badań ekokrytycznych – z postulatem ekosprawiedliwości<sup>7</sup>. Pojęcie to stara się badać dwa rodzaje odniesień: między człowiekiem a środowiskiem oraz między ekologią i ekokrytyką a środowiskiem. W pierwszym przypadku postuluje takie kształtowanie otoczenia człowieka, by umożliwić zrównoważony rozwój cywilizacyjny, a zarazem chronić tereny naturalne i nie dopuszczać do dewastacji środowiska. W drugim zaś determinuje przedmiot zainteresowania ekokrytyki jako określonego prądu społecznego, który powinien dążyć do ochrony całego, nie tylko przyrodniczego środowiska człowieka i reaktywacji obu typów przestrzeni. Tym samym postulaty ekosprawiedliwości są bardzo szerokie, dotykając i kwestii relacji międzyludzkich, człowieka ze zwierzętami, poszczególnych gatunków między sobą, czy wreszcie przestrzeni i środowiska, które można określić zarówno jako naturalne, jak i jako skrajnie wyeksploatowane, zniszczone działalnością człowieka. Takie nastawienie podkreśla zawiązek wyzysku natury z wszystkimi innymi formami wyzysku, w tym także społeczno-ekonomicznego, a sprawiedliwość ekologiczna jest w tym przypadku także sprawiedliwością społeczną<sup>8</sup>. Ważnym z perspektywy tego artykułu założeniem ekosprawiedliwości jest jasna krytyka antropocentryzmu i uprzywilejowanej pozycji człowieka. Zgodnie z założeniami tego nurtu, nie ma żadnego powodu, by interesy ludzi były przedkładane nad interesy zwierząt (podobnie jak roślin czy całego ekosystemu). Naczelną zasadą organizującą nasze postępowanie powinna być maksymalizacja dobrostanu całego ekosystemu, wszystkich istot żywych, bez faworyzowania żadnych jego elementów.

---

<sup>6</sup> Tamże, s. 4.

<sup>7</sup> L. Buell, *The Environmental Imagination...*, s. 22.

<sup>8</sup> J. Fiedorczuk, G. Jankowicz, *Cyborg w ogrodzie...*, s. 9.

Obszar badań, jaki określa się przez odwołanie do kategorii ekosprawiedliwości, jest przedmiotem zainteresowania także etyki ekologicznej. Najprostsza jej definicja, którą przyjmuje między innymi Robert Elliott, zakłada, że:

Etykę ekologiczną w najbardziej ogólnym znaczeniu tworzy zbiór zasad, które mogłyby kierować naszym postępowaniem wobec środowiska naturalnego.<sup>9</sup>

Jednym z nurtów funkcjonujących w obrębie etyki ekologicznej jest etyka skoncentrowana na zwierzętach, która przyznaje im status moralny. Elliott przedstawia jednak ten prąd jako różnicujący prawa i potrzeby zwierząt zależnie od możliwego przez nie do osiągnięcia statusu moralnego. Jak łatwo się domyślić, im większa inteligencja zwierząt, rozumiana jako podobieństwo do ludzi, tym większe mają być ich prawa<sup>10</sup>.

Nieco inaczej kształtują się etyczne poglądy dotyczące zwierząt, które wyrastają z przedstawionych w książce Petera Singera *Animal Liberation* tez, zwłaszcza zaś postulatu wyzwolenia zwierząt. Powodem, dla którego rozważania badacza przyniosły istotną zamianę w dyskursie, jest radykalne przewartościowanie dyskusji. Wcześniej, kiedy pojawiał się postulat traktowania zwierząt zgodnie z określonymi zasadami etycznymi, był on uzasadniany przez ich możliwy – zwłaszcza w przypadku naczelnych – status etyczny. Tymczasem Singer oraz tworząca się po jego wystąpieniu nowa szkoła etyczna odwracają ten argument, twierdząc, że jeśli chce się zwierzęta traktować inaczej niż ludzi, to trzeba by wskazać, że ich cierpienie nie ma znaczenia i że nie ma takich cech zwierząt, które pozwalają je chronić jako istoty żywe w sposób analogiczny do ludzi<sup>11</sup>.

Peter Singer opisuje te poglądy w przystępnej i powiązanej z szeroko zakrojoną koncepcją etyki książce *Etyka praktyczna*. Badacz przedstawia w niej założenia, które pozwalają na zlikwidowanie

---

<sup>9</sup> R. Elliott, *Etyka ekologiczna*, [w:] *Przewodnik po etyce*, red. P. Singer, Książka i Wiedza, Warszawa 2002, s. 327. <sup>10</sup> Tamże, s. 329.

<sup>11</sup> L. Gruen, *Zwierzęta*, [w:] *Przewodnik po etyce...*, s. 393.

występującej także w dyskursie etycznym przepaści dzielącej poszczególne gatunki żywych istot. Podobnie jak w prądach zajmujących się ekosprawiedliwością, filozof zauważa, że jedyną naczelną, niepodważaną zasadą etyczną jest równość. W takim zaś przypadku nie może być mowy o wyłączeniu spod tej zasady zwierząt:

Fundamentalną zasadą równości, na której opiera się równość wszystkich istot ludzkich, jest zasada równego rozważenia interesów. Tylko podstawowa zasada moralna tego rodzaju może obronić formę równości, która obejmuje wszystkie istoty ludzkie ze wszystkimi różnicami między nimi. Wykażę teraz, że zasada ta dostarcza także podstawy, która nie może być ograniczona do ludzi. Innymi słowy, zasugeruję, że akceptując zasadę równości jako sensowną moralną podstawę w relacjach z innymi przedstawicielami naszego gatunku, jesteśmy zobowiązani zaakceptować ją jako sensowną moralną podstawę w relacjach ze zwierzętami.<sup>12</sup>

Singer, choć w innych tekstach wskazywał, że w istocie żaden argument na rzecz rozróżniania praw ludzi i zwierząt nie jest skuteczny (gdyż bez względu na to, jaką cechę uznamy za fundacyjną dla człowieczeństwa nie będziemy w stanie przypisać jej albo tylko i wyłącznie ludziom, albo wszystkim ludziom bez wyjątku), tutaj posługuje się dużo bardziej praktyczną i trudną do podważenia argumentacją. Równość istot żywych jest przedłużeniem idei równości ludzi, nie da się zatem podważyć jednej, bez podważania drugiej:

Ale zasada równości implikuje również to, iż fakt, że dane istoty nie należą do naszego gatunku, nie upoważnia nas do wykorzystywania ich: podobnie fakt, że inne zwierzęta są mniej inteligentne niż my, nie znaczy, że ich interesy mogą być nieuwzględnione.<sup>13</sup>

Koncepcja Singera jest o tyle istotna, że równocześnie z przypisaniem zwierzętom pełni praw, badacz nie dąży do przedstawienia ich

---

<sup>12</sup> P. Singer, *Etyka praktyczna*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007, s. 65.

<sup>13</sup> Tamże, s. 66.

jako podobnych do ludzi, jako tylko „nieco mniej” inteligentnych czy moralnych, a przez to wartych ochrony. Zwierzęta mają jej podlegać dlatego, że – tak jak było to w przypadku ekosprawiedliwości – interesy wszystkich istot powinny być chronione, a ewentualne podobieństwo do ludzi, bądź jego brak, nie jest żadnym argumentem.

### 3. Głęboka ekologia

Drugim nurtem, o którym warto w kontekście tego artykułu wspomnieć, jest głęboka ekologia. Jest to jeden z kierunków badań, który ma zasadnicze znaczenie dla rozwoju pierwszej fali ekokrytyki. Główne założenia głębokiej ekologii upatrywały przyczyn obecnego kryzysu ekologicznego w ugruntowanej tradycją, zarówno religijną, jak i filozoficzną, dominującej pozycji człowieka. Kierunek ten proponował, poza doraźną pomocą i ochroną, całkowite przewartościowanie myślenia o relacji między człowiekiem a środowiskiem. Podważanie pozycji człowieka, uczynienie go zaledwie jednym, i to nie najważniejszym, bowiem stosunkowo niedługo istniejącym, elementem środowiska, miało prowadzić do przywrócenia naturalnych proporcji, a więc do wyzwolenia przyrody spod panowania ludzi. Zgodnie z tą perspektywą, żadna ludzka potrzeba nie tłumaczy podejmowania działań na szkodę środowiska naturalnego.

W tym przypadku postulowane było – nie tylko, choć przede wszystkim – zrównanie ze sobą w prawach wszystkich żywych organizmów. Za tym żądaniem szło następne: ochrony nieożywionych elementów środowiska oraz samego integralnego systemu przyrodniczego. To zaś oznacza, że – mimo iż ekologia głęboka dążyła do zabezpieczenia interesów zwierząt – także ona nie czyniła rozróżnienia między zwierzętami a resztą środowiska naturalnego, choć trzeba przyznać, że nie odróżniała również ludzi od środowiska. Jedynym czynnikiem definiującym człowieka miała być jego niszczycielska siła, polegająca na skłonności do naruszania stabilności ekosystemu i zarazem większa odpowiedzialność za skutki takich działań.

Mimo że głęboka ekologia, jako część nurtu ekokrytyki pierwszej fali, bywała później krytykowana, to jednak większość badaczy drugiej



fali uznawała konieczność rezygnacji z ludzkich planów w przypadku, w którym negatywnie wpływałyby one na funkcjonowanie środowiska. Równocześnie warto zaznaczyć, iż w tym przypadku środowisko rozumiane było jak najszerszej, jako całość otoczenia ludzi na Ziemi. Pewnym problemem, z którym borykała się głęboka ekologia (tak jak i zresztą wszystkie inne nurty ekokrytyki) było przeświadczenie, że nasze kulturowe definicje środowiska, natury czy nawet zwierząt mają charakter konstrukcyjny, mniej mówiący o samych cechach tych organizmów, a więcej o ludzkich przesądach. Trudność ta wynika – jak zauważa między innymi Kate Soper<sup>14</sup> – z wielowiekowej tradycji używania tych pojęć przede wszystkim w celu stworzeniu idei człowieka. Natura jako najbardziej pierwotny inny, jako nie-człowiek, z jednej strony wpływała na sposób myślenia o tym, kim jest i kim powinna być istota ludzka, z drugiej jednak była zawsze definiowana jako członek opozycji. Tym samym pojęcie natury nie zyskało nigdy w pełni autonomicznej definicji, zmieniając się wraz z ewoluującą definicją człowieka. Analogicznie było z charakteryzowaniem zwierząt, którym przypisywano tym więcej praw, im bardziej zdawały się ludziom podobne do nich. Ekologia głęboka radykalnie przeciwstawiała się tego typu dążeniom, akcentując autonomię i równą wartość poszczególnych bytów, zarazem – jako bardzo radykalna w czasie swego powstania – nie zyskała szerokiego poparcia.

#### 4. Konstrukcyjny charakter ekokrytyki i jego konsekwencje

Z dostrzeżeniem konstrukcyjnego charakteru ekokrytyki wiąże się także przekonanie, że przyrodę oraz wszystkie jej elementy, a więc także i zwierzęta, można traktować jako swoisty tekst, a zatem nie tylko interpretować teksty kultury, które jej dotyczą, ale i stosować podobne strategie dla odczytania możliwych znaczeń i wartości wpisanych we wzmiankowane pojęcia. Jednocześnie jednak trzeba odnotować, iż badacze ekokrytyczni niechętnie wyznaczają kryteria

---

<sup>14</sup> K. Soper, *The Idea of Nature*, [w:] *The Green Studies Reader...*, s. 125.

tego, co z punktu widzenia ekokrytyki w tekście wartościowe, poprzestając na ogólnym stwierdzeniu, iż wprawdzie język stanowi medium każdorazowo zapośredniczające doświadczenie natury, niemniej jednak to, jakiego rodzaju jest to mediacja (im bardziej autonomicznie, jednostkowo, w sposób pozbawiony uprzedzeń, a zwłaszcza chęci dominacji, traktuje się środowisko lub jakąś jego część, tym lepiej) ma ogromne znaczenie zarówno dla wartości tekstu, jak i tego, czy możemy w ogóle mówić o dziele krytycznie podejmującym temat natury, środowiska czy przyrody. Część badaczy twierdzi, że skoro każdy utwór, świadomie lub nie, w jakiś sposób inscenizuje relacje między człowiekiem a środowiskiem, to ekokrytyczna analiza wszystkich tekstów jest sensowna i możliwa. Taka analiza powinna być jednak prowadzona w określony sposób, nie jako neutralna interpretacja, ale jako działanie nastawione na osiągnięcie określonych, w części także politycznych czy społecznych celów. Jak zauważa Greg Garrard:

Jonathan Bate, w swojej przełomowej pracy *The Song of the Earth* przekonuje, że ekokrytyka powinna trzymać się z dala od polityki, nawet jeśli niemożliwe jest pełne odseparowanie tych dyscyplin. Być może sfera wyobraźni powinna pozostać oddzielona od sfery pragmatycznej. Jednak dla innych autorów aktywizm i pisanie ściśle się ze sobą wiążą. Naiwnością byłoby twierdzić, że „zielone odczytanie”, powiedzmy, Szekspira, albo nawet filmów hollywoodzkich, może naprawić „uratować planetę”, ale z drugiej strony przemiany polityczne, które mogłyby być skuteczne zdarzą się dopiero wtedy, kiedy zażąda tego odpowiednio wykształcony i umotywowany elektorat.<sup>15</sup>

Ekokrytyka funkcjonuje zatem na przecięciu dwóch odmiennych sposobów prowadzenia badań, z jednej strony aspirując do bycia dziedziną badań kulturowych, z drugiej nie potrafiąc i nie chcąc wyzbyć się aspiracji wpływania na realną politykę. To zaś sprawia, że w każdym z ekokrytycznych tekstów istnieje nieusuwalne napięcie między postulatem kształtowania ekologicznie pożądanых postaw u odbiorcy i chęcią przeprowadzenia innowacyjnej interpretacji, która

---

<sup>15</sup> *Język całkiem dziki...*, s. 5.

może – lecz nie musi – uwrażliwiać na pewne problemy. Jak już wskazywałam w poprzednich rozdziałach tej części książki, jest to pytanie o relacje służebności, o to, gdzie leżą i jak się wzajemnie ograniczają obowiązki, które można określić jako praktyczne i teoretyczne.

## 5. Jak zwierzęta mogą odzyskać głos?

Jedną z najbardziej znanych prób wytworzenia takiej interpretacji tekstu kultury, która jest zaangażowana w realizację ekokrytycznych postulatów i zarazem wytworzenia nowej przestrzeni do dyskusowania problematyki przedstawiania oraz traktowania zwierząt, jest tekst Jhana Hochmana. Porusza on problem reprezentacji owiec w filmie *Milczenie owiec*. Warto przypomnieć kilka najważniejszych punktów dokonywanej przez autora *The “Lambs” in The Silence of the Lambs*<sup>16</sup> interpretacji. Jej punktem wyjścia jest analiza sceny, w której Hannibal Lecter szkicuje wizerunek Clarice trzymającej jagnię. Ów portret jest efektem opowiedzianej przez kobietę historii nieudanej próby uratowania owiec przed rzezią, której wspomnienie prześladowuje bohaterkę filmu. Wzmiankowane jagnięta pełnią zdaniem Hochmana podwójną funkcję; z jednej strony są po prostu zwierzętami, częścią rzeczywistej w sferze filmu opowieści Clarice o dziecięcej traumie, z drugiej jednak korespondują z chrześcijańską metaforą jagnięcia i owieczek. Główny zarzut Hochmana polega na wskazaniu, iż mimo przywoływania obrazu realnie istniejących stworzeń i ich cierpienia, w żadnym momencie jagnięta oraz współczucie dla nich nie jest głównym przedmiotem filmu a także, mimo pozornego odejścia od biblijnego, patriarchalnego schematu, w którym człowiek ma władzę nad światem, nie są one traktowane jako byt niezależny. Współczucie wobec zwierząt jest zastępowane współczuciem wobec Clarice, a chęć pomocy owcom ustępuje miejsca chęci pomocy człowiekowi (także zagrożonemu zabiciem i oskórowaniem, a więc czymś, co normalnie spotyka jedynie zwierzęta). Również ostateczne porzucenie konceptu

---

<sup>16</sup> J. Hochman, *The “Lambs” in The Silence of the Lambs*, [w:] *The Green Studies Reader*, s. 299.

„krzyczących” owiec na rzecz milczących (zgodnych z biblijną tradycją i pozwalających na utworzenie ciekawiej brzmiącego tytułu) wskazuje na to, iż są one pozbawiane wszystkich zwierzęcych elementów, stając się jedynie symbolem ludzi.

Mimo że zarzuty Hochmana są słuszne, nietrudno zauważyć, że autor dokonuje w swej interpretacji pewnych uproszczeń, które czynią ją podatną na krytykę. Punktem wyjścia rozważań Hochmana jest przywołanie sceny, w której Hannibal szkicuje portret Clarice. Nie jest to jednak zwykły portret; Clarice jest namalowana jako kobieta w tunice, która w rękach trzyma zwierzę. Sposób jej przedstawiania jasno nawiązuje do wizerunków św. Agnieszki, rzymskiej dziewiczej męczennicy, tradycyjnie uwiecznianej właśnie z jagnięciem w ramionach. Zgodnie z legendą, św. Agnieszka została skazana na śmierć, gdy odmówiła wyjścia za mąż za rzymskiego patrycjusza, tłumacząc się miłością do innego Oblubieńca. Jako że rzymskie prawo zakazywało karać dziewice śmiercią, postanowiono ją najpierw oddać do domu publicznego, tam jednak, dzięki boskiej interwencji, została ocalona przed napastnikami. Co znaczące dla interpretacji jej wizerunku w *Milczeniu owiec*, święta uznawana jest za patronkę zarówno dziewic, jak i ofiar gwałtu.

Jeśli więc uznamy, że wizerunek Clarice z jagnięciem jest znaczący dla fabuły filmu – a tak zdaje się uznawać Hochman – nie możemy pominąć znaczeń, jakie wnosi w jego interpretację porównanie Clarice do św. Agnieszki. W takim bowiem przypadku symbolika owiec jest od początku kształtowana nie tyle na podstawie biblijnych przypowieści, lecz podania o świętej. To zaś wyklucza z obrazu owiec przynajmniej część z krytykowanych przez Hochmana cech. Jagnię, które trzyma św. Agnieszka może być pojmowane zarówno jako symbol Oblubieńca, jak i jako znak ofiary, może także symbolizować niewinność, ale nie odwołuje się bezpośrednio do skojarzenia z potulnie idącymi na rzeź zwierzętami. Konstrukcja obrazu wskazuje, że owce od samego początku pełniły funkcję symboliczną; ich rzeczywiste cechy jako zwierząt nie miały tutaj żadnego znaczenia. To, w jaki sposób traumatyczne wspomnienie Clarice jest w filmie przedstawione i interpretowane pozostaje spójne z kształtowaną na podstawie podania o św. Agnieszce symboliką zarówno zwierząt,

jak i samej kobiety. Tytułowe „milczenie owiec” nie musi być zatem koniecznie interpretowane jako próba zniszczenia autonomii świata natury; zwierzęta od początku są symbolem, tak też interpretowane są przez Lectera i nie zdają się w żadnym momencie filmu pełnić innej funkcji niż symboliczna. Zmianę tytułu na „milczenie owiec” można tłumaczyć zupełnie inaczej niż Hochman; cały film dotyczy sytuacji, w której Clarice ma szansę wyzwolić się z dziecięcej traumy i uratować – tym razem ludzkie – ofiary. Gdy to uczyni, słyszane przez lata głosy mają w końcu umilknąć, i jak zdaje się sugerować zakończenie filmu, milkną.

W interpretacji Hochmana zostają zderzone dwa cele: krytycznej analizy określonego tekstu kultury oraz wysunięcia konkretnych postulatów etycznych. W tym akurat przypadku pewne niedociągnięcia w interpretacji badacza wynikają ze zderzenia uprawnionych zarzutów dyskryminacji zwierząt i ich cierpienia oraz symbolicznego obrazu owiec. Wydaje się, że problemem, na który myśliciel chce zwrócić uwagę jest nieustanne podporządkowywanie każdej dyskusji o cierpieniu ludzkiej perspektywie. Chociaż w tym akurat filmie ma ona swe uzasadnienie, nie ma go – co stara się pokazać badacz – jako generalna praktyka, podważająca postulaty ekokrytyki, zwłaszcza zaś ekosprawiedliwości.

Krytyka Hochmana nakierowana jest zatem na przedstawienie zwierząt w poszczególnych tekstach kultury jako ornamentu lub ilustracji, mającej za zadanie jedynie podkreślić dotyczący wyłącznie ludzkich problemów temat danego dzieła. W takim zaś przypadku – bez względu na to, że takie działanie może być usprawiedliwione artystycznie – zwierzęta są sprowadzane do funkcji co najwyżej, jak właśnie ma to miejsce w *Milczeniu owiec*, symbolu. Tym co jednak najbardziej razi badacza jest wynikające z takiego podejścia reducyjne traktowanie roli zwierząt. Zwierzęta i to, co im się przydarza, służą jedynie za obraz ludzkiego cierpienia, same będąc pozbawione nie tylko własnego głosu, ale i empatycznego zainteresowania ze strony człowieka.

Bohaterka filmu, która początkowo wydaje się wstrząśnięta okrucieństwem, jakie zaobserwowała właśnie w odniesieniu do zwierząt, kieruje jednak swoje działania – mające zgodnie z logiką filmu

przewyciężyć i osobistą traumę, i uciszyć, zlikwidować cierpienie – ku ludziom. Wizja empatii, która wykracza poza solidarność gatunkową, zostaje tu zastąpiona przez skupienie wyłącznie na ludziach, na innych, podobnych do bohaterki istotach, z którymi może się utożsamiać. Zapewne powolne wygaszanie wątku cierpienia zwierząt i osłabianie wrażenia, jakie może wywoływać u widza opowieść o owcach wieszonych na rzeź przez zastępowanie tego obrazu wizją człowieka, który może zostać oskórowany i zjedzony, jest efektem właśnie szerszych możliwości utożsamienia z innym człowiekiem i jego lękiem.

Można by zatem – interpretując problem reprezentacji zwierząt w poszczególnych tekstach kultury nieco inaczej niż Hochman, ale korzystając zarazem z jego tez – stwierdzić, że największym problemem w próbach przedstawiania losu zwierząt jest antropomorfizacja i antropocentryzm. W jednym przypadku zwierzęta opisywane i przedstawiane są tak jak ludzie, w zasadzie jako ludzie (tutaj szczególnie silna jest tradycja oświeceniowa i romantyczna z tworzeniem postaci zwierzęcych żyjących zgodnie z ludzkimi zasadami i będącymi w gruncie rzeczy określonymi typami ludzkimi oraz liczne, także i współczesne bajki, utrwalające zwłaszcza u młodych odbiorców właśnie taki model interpretowania roli zwierząt), a więc budzona przezeń empatia czy żądanie sprawiedliwości skierowane jest tak naprawdę nie ku zwierzętom, ale ku ludziom. W drugim zaś przypadku zwierzęta wprawdzie opisuje się jako zwierzęta, ale z perspektywy, która podkreśla ich podporządkowanie wobec tego, co ludzkie. To podporządkowanie nie musi być wcale wyrażone deklaratywnie, wystarczy, jeśli to, co w zwierzętach znaczące, jest istotne przez ich odniesienie do świata ludzi i ich wartości.

Właśnie ten drugi model zdaje się realizować interpretowany przez badacza film, w którym zwierzęta nie są pozbawione znaczenia, ale znaczą tylko w ramach ludzkiej historii o okrucieństwie, bezsilności oraz próbach ich przewyciężenia. Analiza, której dokonuje Hochman, pokazuje, że największym problemem, z jakim borykają się wszystkie – także ekokrytyczne – teksty reprezentujące zwierzęta jest problem przejścia od mówienia o zwierzętach, do mówienia w ich interesie bądź ich głosem. Tekstów kultury, które czynią to pierwsze,

jest sporo, zaś tych, które usiłują sprostować drugiemu postulatowi – jest niewiele. Sytuacja ta jest szczególnie zauważalna, jeśli weźmiemy pod uwagę teksty niedokumentalne, choć w ostatnich latach na przykład w obszarze polskiej literatury wiele się zmienia.

Nawet jednak w przypadku, w którym w danym tekście kultury mamy do czynienia z próbą mówienia o problemach zwierząt, pozostaje jeszcze do rozwiązania powracające pytanie o możliwość przezwyciężenia ludzkiej perspektywy. Jak już wskazywałam, ekokrytyka od początków swojego istnienia jako dyscypliny badawczej borykała się z zagadnieniem konstrukcyjności przedmiotu swego namysłu. Z tymi wątpliwościami rozprawiał się także Jhan Hochman, domagając się odróżnienia dwóch możliwych sposobów pojmowania konstrukcyjnego charakteru natury. Pierwszy z nich zakłada, że jest to pojęcie niejako „zbudowane” przez człowieka, całkowicie przez niego stworzone – w taki sposób, w jaki tworzy się artefakt (natura i wszystkie jej elementy byłyby tu czymś powołanym przez człowieka do istnienia). Drugi zaś zakłada, że natura jest przez kulturę kreowana w taki sposób, w jaki na przykład aranżuje się wewnątrz, nie tworząc niczego, a jedynie konstruując określoną przestrzeń z dostępnych elementów.

Zdaniem Hochmana w przypadku natury – a więc także i zwierząt – możemy mówić tylko o tym drugim sposobie konstruowania, jednak i on jest w pewien sposób zagrażający, gdyż natura jest stale zawłaszczana przez kulturę. To zaś nie tylko niszczy jej autonomię, ale także podważa sens mówienia o naturze jako o czymś posiadającym sobie tylko przysługujące wartości.

Takie łączenie tych dwóch sfer jest dla Hochmana<sup>17</sup> nie do zaakceptowania także z całkowicie pragmatycznych powodów. Jeśli uznamy, że natura jest częścią kultury, bardzo trudno będzie wyegzekwować, tak ważne dla wszystkich prądów ekokrytyki, autonomiczne traktowanie świata natury, a dokładniej zwierząt, żywiołów i roślin. Tylko uznanie ich oddzielności może pozwolić na ograniczenie hegemonii człowieka, a co za tym idzie, na uznanie interesów innych żywych organizmów za co najmniej równie istotne jak dążenia

---

<sup>17</sup> J. Hochman, *Green Cultural Studies*, [w:] *The Green Studies Reader...*, s. 188.

człowieka. Oczywiście takie stanowisko także stwarza pewne problemy; nawet jeśli uznajemy autonomię natury i zgadzamy się na respektowanie jej praw oraz ochronę, możemy to robić jedynie posługując się naszymi poglądami na to, co dla owej natury jest dobre. Hochman obrazowo opisuje to zagadnienie mówiąc o problemie „wkładania słów w usta zwierząt”, niemniej również on uznaje, że nie mamy innego wyjścia, niż angażując naszą wiedzę i uznając naturę za twór autonomiczny występować niejako w roli „advokatów”, broniąc jej suwerenności w najlepszy ze znanych nam sposobów<sup>18</sup>.

Tym samym myśliciel nawiązuje w pewien sposób do koncepcji badań posthumanistycznych<sup>19</sup>, ale zarazem podważa możliwość ich rzetelnego prowadzenia. Każde działanie podejmowane w obronie zwierząt, wszystkie dążenia do zrównania ich w prawach, łącznie z nawet najbardziej radykalnie pojmowaną ekosprawiedliwością, opierają się w gruncie rzeczy na ludzkim paradygmacie rozumowania, pozbawionym jedynie przekonania o naszej, ludzkiej wyjątkowości jako gatunku. To zaś oznacza, że oddawanie głosu zwierzętom, jest tak naprawdę oddawaniem głosu ludziom, którzy są w stanie uznać międzygatunkową równość albo proponowaną przez Singera zasadę równego rozważenia interesów. Pod tym względem w obrębie ekokrytyki całkowite uwolnienie zwierząt z ludzkich wyobrażeń nie jest możliwe. Możliwe – i postulowane przez większość badaczy – jest jedynie utożsamienie się z nimi jako innymi istotami, które podlegają podobnym prawom i ograniczeniom, a których stanowiska oraz głosu być może nigdy nie przyjdzie nam poznać. Ten brak możliwości poznania czy komunikacji nie zwalnia jednak z braku odpowiedzialności, a zwłaszcza z braku empatii.

---

<sup>18</sup> Tamże, s. 190.

<sup>19</sup> Pewna niechęć między ekokrytyką a posthumanizmem zauważalna jest także w koncepcjach innych badaczy, współkształtujących ten nurt, m.in. L. Buella. Por. L. Buell, *The Future of Environmental Criticism: Environmental Crisis and Literary Imagination*, Blackwell Publishing 2005.



## 6. Polska perspektywa w badaniach nad zwierzętami<sup>20</sup>

Na zakończenie tego rozdziału warto moim zdaniem poświęcić nieco uwagi jednej z nielicznych w Polsce książek poświęconych w całości opisywanemu wcześniej problemowi „mówienia w imieniu zwierząt”. Wydana w 2016 roku książka Anny Barcz *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej* jest jedną z ciekawszych prób zmierzenia się ze skomplikowaną i niejednorodną problematyką oraz metodologią ekokrytyczną.

Książka Anny Barcz stanowi – co sugeruje już tytuł publikacji, a co autorka w przedmowie wyraża wprost – próbę spojrzenia na rozmaite polskie teksty literackie przez pryzmat ekokrytycznych pytań i problemów. Narzędziem, które pozwala na właśnie takie sformatowanie relacji między literaturą (a więc przedmiotem badania) a ekokrytyką (która stanowi – co moim zdaniem niezwykle interesujące – zarówno metodę badawczą, jak i autonomiczny przedmiot badawczy), jest koncepcja realizmu ekokrytycznego. Ta kategoria, jak autorka wielokrotnie podkreśla, jest kluczowa dla prowadzonych w ramach książki badań i dla całej koncepcji ekokrytyki:

Ekokrytyka sprowadza czytelnika na ziemię. Zmusza go do kwestionowania sytuacji teraźniejszej, spoza tekstu, ale w tekście urealnionej. Dlatego tak ważny w niniejszej pracy jest inny sposób rozumienia realizmu, który porzuca dziewiętnastowieczne znaczenie krytyczne, wykorzystuje przesunięcia interpretacyjne realizmu dwudziestowiecznego (Philipa Weinsteina), w tym traumatycznego (Michaela Rothberga, Anne Whitehead), kierując się ku rozumieniu ekologicznemu.<sup>21</sup>

<sup>20</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/HS2/00079.

<sup>21</sup> A. Barcz, *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2016, s. 10.

Realizm ekologiczny, który jest w ramach analizowanej publikacji najważniejszym narzędziem badawczym, musi być czymś zgoła innym niż realizm rozumiany jako zachowanie odpowiedniości między światem doświadczanym a światem przedstawianym. Opiera się on, jak stwierdza autorka, na „przyglądaniu się takiemu modelowi świata, który odwzorowuje pewien wspólny, współdzielony, czy nawet spleciony obszar egzystencji ludzi, zwierząt, przyrody i pozwala wymknąć się antropocentryzacji”<sup>22</sup>. Dzięki takiemu rozumieniu realizmu ludzie przestają być jedynym źródłem doświadczenia i tym samym jedynym typem podmiotu, który kształtuje zarówno wyobrażenie o rzeczywistości, jak i rzeczywistość samą. To swoiste przesunięcie ma pozwalać między innymi na „wyodrębnienie charakterologicznej roli i odmiennej percepcji zwierzęcia egzystującego na przecięciu obcego i oswojonego świata przyrody (zookrytyka)”<sup>23</sup>.

Postawienie realizmu ekologicznego w centrum narzędzi interpretacyjnych jest bez wątpienia jednym z najistotniejszych wyborów metodologicznych, dokonanych przez Barcz. Pozwala on na wytworzenie – już wewnątrz książki – specyficznej perspektywy, w której możliwie jest przyglądanie się i dobrze znanym tekstom (nawet z kanonu lektur szkolnych, jak w przypadku dzieł Orzeszkowej czy Sienkiewicza), i tym słabiej obecnym w czytelnicznej świadomości, nie tylko jako samodzielnym punktom zainteresowania, ale także jako kontekstom służącym określaniu potencjału ekokrytycznej praktyki interpretacyjnej. Taka metoda badawcza, choć niesie ze sobą wiele możliwości, przynosi pewne zagrożenia. Skoro „podstawowym celem jest pokazanie możliwości ekokrytyki w literaturze polskiej”<sup>24</sup>, nietrudno uznać, że dobór przykładów i kontekstów interpretacyjnych podporządkowany jest właśnie temu celowi. A to oznacza, że odczytania poszczególnych tekstów podporządkowane są określonej z góry koncepcji.

Zwracając uwagę na ten w pewnym sensie dość pragmatyczny rys książki, nie zamierzam go ani krytykować, ani oceniać. Autorka podkreśla zresztą wielokrotnie, że książka ta ma pełnić określone cele, wśród których nadrzędnym jest „wprowadzenie ekokrytycznej

---

<sup>22</sup> Tamże, s. 11.    <sup>23</sup> Tamże.    <sup>24</sup> Tamże, s. 12.

interpretacji i terminologii”<sup>25</sup> do szeroko rozumianego obiegu wymiany myśli humanistycznej, a czytelnik tej pracy ma dzięki jej lekturze nabyć określone kompetencje, które pozwolą mu na samodzielne dokonywanie ekokrytycznych odczytań konkretnych tekstów oraz poszerzanie pola ekokrytycznych kontekstów. Książka odgrywa więc rolę do pewnego stopnia służebną: ma być raczej przewodnikiem niż kompendium wiedzy, w większej mierze pokazywać pewne problemy i drogi radzenia sobie z nimi, niż stanowić zamknięty, wyczerpujący wykład na temat historii oraz funkcjonowania określonego nurtu.

Tę do pewnego stopnia otwartą strukturę książki oddaje też jej konstrukcja formalna. Publikacja składa się z trzech wzajemnie ze sobą związanych części. Pierwsza dotyczy historii i metodologii ekokrytyki, druga to interpretacje różnych (jeśli chodzi o czas powstawania i gatunek) tekstów literackich, trzecia zaś dotyczy literackich reprezentacji podmiotowości zwierząt. *Wstęp do ekokrytyki* stanowi wprowadzenie, zarówno do zrozumienia ekokrytycznych narzędzi i teorii, jak i dla całej książki. Autorka przedstawia w nim historię ekokrytyki oraz jej najważniejsze problemy badawcze. Centralnym – we wszystkich stadiach rozwoju tego nurtu – pozostaje zawsze przyroda, a dokładniej spór o to, czy kategoria ta jest kulturowym konstruktem, a więc pozostaje zawsze pod kontrolą języka, czy też przyroda istnieje od języka niezależnie, znajdując oparcie w tym, co przed- i pozajęzykowe, w przyrodzie nieuwikłanej w ludzką historię<sup>26</sup>.

Rekonstruowany przez Barcz spór o przyrodę stanowi ogniwo łączące angloamerykańską i polską krytykę ekologiczną, które – jak słusznie i wielokrotnie podkreśla autorka – są od siebie w dużym stopniu niezależne. Choć polska ekokrytyka, rozwijana w ostatnich latach przez co najmniej kilkudziesięciu badaczy, czerpie z teorii i koncepcji wypracowanych na gruncie zagranicznych badań, pozostaje wobec nich w dużej mierze osobna, z powodu specyficznego splątania relacji między przyrodą a historią, które dokonało się w polskiej humanistyce co najmniej dwieście lat temu, w okresie romantyzmu. Rekonstruując zachodzące wówczas przemiany, Barcz powołuje się między innymi na uwagi Marii Janion z książki *Kuźnia natury*. Mimo że

<sup>25</sup> Tamże.      <sup>26</sup> Tamże, s. 36.

polski omantyzm uwikłany był zdecydowanie mocniej niż angielski w problemy społeczne i polityczne (tak zwany problem wyzwolenia narodowego był przecież – nawet w przypadku zapośredniczenia przez literaturę – na wskroś polityczny), to właśnie wówczas dokonała się zasadnicza transformacja postrzegania relacji między podmiotem, zwłaszcza zaś podmiotem twórczym, a naturą. Oczywiście, owa transformacja nie oznacza jeszcze, że polskie utwory romantyczne są z definicji ekokrytycznie wrażliwe:

Z perspektywy ekokrytycznej, poszukującej sposobów urealnienia relacji z przyrodą w literaturze polskiej, romantyzm jest ważnym świadectwem, także z uwagi na często opisywane doświadczenia bycia sam na sam z naturą. Jednak na poziomie reprezentacji przyrody za mało miejsca w tych narracjach poświęca się autonomicznej obecności świata przyrody, ponieważ romantyczni twórcy nie nastawiają się na recepcję ze strony przyrodniczego otoczenia, lecz na jej projekcję w postaci własnych przeżyć.<sup>27</sup>

Analizując polską literaturę XIX i XX wieku, Barcz zwraca uwagę, że stosunkowo słaba pozycja polskiej ekokrytyki wynika między innymi ze wspomnianych już różnic między polskim a, na przykład, angloamerykańskim romantyzmem. W angloamerykańskiej tradycji badań ekokrytycznych ogromną rolę odgrywa tradycja pastoralna, dostarczająca niezwykle interesującego i – co ważne – bogatego materiału badawczego. Tymczasem polski romantyzm, choć zmienia postrzeganie relacji między podmiotem a naturą, zajmuje się problemem relacji człowieka z przyrodą tylko na marginesie radzenia sobie z zasadniczo odmiennymi doświadczeniami i wyzwaniem. Podobnie, co Barcz podkreśla, jest w XX wieku, który również nie dostarcza bogatego repertuaru tekstów podatnych na ekokrytyczną lekturę. Badaczka dostrzega, że rozwój ekokrytyki w Polsce napotyka na pewne, naturalne chciałoby się powiedzieć, ograniczenie: niedobór materiału badawczego. To ograniczenie można jednak, a nawet trzeba, jak Barcz stara się udowodnić, przekroczyć:

---

<sup>27</sup> Tamże, s. 58.

Moim zadaniem jest pójście nieco dalej, próba wyciągnięcia konsekwencji z nieuwzględniania treści ekologicznych przez polskich pisarzy. Pytanie, które mnie interesuje, dotyczy tego, czy dotychczasowy dorobek polskiej literatury pozwala wyprowadzić jakiegokolwiek przesłanki umożliwiające przebudowę języka doświadczenia ku czemuś, co pomogłoby zbudować w miarę spójne stanowisko ekokrytyczne. (...) Skłaniałabym się więc ku konstruktywizmowi i budowaniu w Polsce ekokrytyki na ubogim gruncie. Sądzę też, że niedobór analiz ekokrytycznych jest uwarunkowany ramami polskiej narracji historycznoliterackiej, dominacją odniesień do polskiego romantyzmu, rozkwitem studiów nad pamięcią i nieprzerobieniem przeszłych traum (...). Oddzielnym problemem, potencjalnie wciąż niewykorzystanym, pozostaje związek ekologii z tematyką zwierzęcą w literaturze, której poświęcam wiele miejsca zarówno w części interpretacyjnej, jak i próbując jednocześnie stworzyć pewien metateoretyczny namysł, wprowadzając teorię zwierzęcych narracji (zookrytykę).<sup>28</sup>

Wobec zawężonego – w stosunku do tradycji angloamerykańskiej – pola badań istotnym celem książki staje się próba odpowiedzi na pytanie, jakie teksty albo jakie postawy wewnątrztekstowe czynią literaturę podatną na odczytywanie za pomocą ekokrytycznych kategorii. Odpowiedź niesie druga część książki, zatytułowana *Słaby ludzki podmiot – miejsce na język przyrody*. Tym, co otwiera tekst na ekokrytyczne odczytanie, nie jest sama obecność natury czy przyrody, nie jest – jak było to chociażby w przypadku literatury romanetycznej – otwarcie podmiotu na kontakt z tym, co inne. Konieczne jest jeszcze świadome osłabienie pozycji podmiotu, pozwalające na przebudowanie tradycyjnie hierarchicznej relacji między człowiekiem a przyrodą. Może ono wynikać ze strategii przyjętej dla podkreślenia równoprawności relacji człowieka z naturą, ale i być skutkiem osłabienia konkretnego podmiotu w innej relacji, w tym relacji z innymi ludźmi, określoną społecznością, grupą społeczną czy narodową. Paradoksalnie oznacza to więc, że prawie nie kojarzona z eksplorowaniem

---

<sup>28</sup> Tamże, s. 69.

tematu przyrody lub natury literatura pozytywistyczna oraz późniejsza może odpowiadać na ekokrytyczne postulaty w większym stopniu niż zwyczajowo łączona z naturą poezja romantyczna.

W tej części książki na uwagę zasługuje zwłaszcza pierwszy rozdział, poświęcony *Placówce* Bolesława Prusa. Jak autorka przyznaje, sięgnięcie akurat w tym kontekście, a więc realizmu ekologicznego, po powieść Prusa jest swego rodzaju eksperymentem, polegającym z jednej strony na szukaniu innej niż tradycja pastoralna przestrzeni otwartej na ekokrytyczną analizę, z drugiej zaś – na nowym spojrzeniu na literaturę pozytywistyczną, niewypierającą się przecież utylitarnych dążeń i inspiracji. Wpisanie *Placówki* w kontekst realizmu ekologicznego przynosi zaskakująco interesujące rezultaty: książka przestaje funkcjonować jedynie jako tekst dotyczący przemian społecznych, wpisujący się w szeroką tradycję literatury realistycznej, a zaczyna być zapisem bardziej skomplikowanych stosunków, wykraczających poza relacje między chłopem a kolonistami niemieckimi:

(...) w *Placówce* model tego, co społeczne, ulega ewolucyjnemu przekształceniu: kontakty społeczne nie przebiegają tylko według hierarchicznych pozycji zajmowanych w społeczeństwie ludzkim, ale dotyczą także horyzontalnych relacji na linii człowiek–zwierzę, człowiek–ziemia i reszta stworzenia. Na tej podstawie również i bohater chłopski, ukazany przez pryzmat osłabionej podmiotowości z powodu mocnych, bo materialnych i realnie przez niego odczuwanych związków z przyrodą, dostarcza argumentów pozwalających na próbę ekokrytycznego ugruntowania tekstu Prusa.<sup>29</sup>

Prowadzone przez Barcz w tej części książki interpretacje pozwalają odkryć konteksty wcześniej wielokrotnie przeoczone, choć – jak badaczka pokazuje – wyraźnie obecne nawet w literaturze wielokrotnie czytanej i komentowanej. Udaje się trudna sztuka odnalezienia i sprobematyzowania tekstów literackich, które omijają problem nadmiernej estetyzacji przyrody lub też sprowadzania jej do symbolu albo metafory. Przyroda, mimo że nie stanowi tu głównego punktu

---

<sup>29</sup> Tamże, s. 135–136.

zainteresowania, to nie jest podporządkowana innym ludzkim celom, nie jest także emanacją lub odbiciem wewnętrznego stanu podmiotu. Pozostaje niezależna, niepodporządkowana ludzkim schematom i dążeniom. Widać wyraźnie, że kluczem doboru interpretowanych przez Barcz tekstów jest taka próba konceptualizacji przyrody, która nie odbiera jej realności. Drogi do osiągnięcia tego celu są oczywiście różne, ale oprócz słabej podmiotowości konieczne jest jeszcze wyzwolenie z pewnych silnych, zwłaszcza w literaturze, tendencji, które każą patrzeć na przyrodę jako na pewną ramę interpretacyjną lub metaforę, a nie jako na niezależny, chociaż oczywiście z człowiekiem połączony, byt. Paradoks ten dobrze oddają uwagi badaczki czynione przy okazji analizy *Niezdary* Adolfa Dygasińskiego:

Przyroda nie stanowi w takim ujęciu „ram” interpretacyjnych do opowiedzenia historii bohatera, ale wpisuje człowieka w nurt wspólnie dzielonej historii naturalnej, co można za Lawrenceem Buellem rozumieć jako jeden z wyznaczników ekokrytycznej lektury.<sup>30</sup>

Kolejne ekokrytyczne lektury Barcz (dotyczące tekstów Bolesława Leśmiana, Władysława Reymonta oraz Elizy Orzeszkowej) zdają się przekonywać, że możliwe – i cenne – jest odnalezienie komponentu ekokrytycznego nie tylko w tych tekstach, które na pierwszy plan wysuwają relacje między człowiekiem a przyrodą (tak dzieje się między innymi w wierszach Leśmiana), lecz również w tych, które traktują relacje z naturą jako element świata przedstawionego. Szczególnie przekonująco wypada pod tym względem analiza noweli *Gloria victis*, odczytywanej jako kolejny przykład realizmu ekologicznego, w którym akcent pada na wierne przedstawienie rozmaitych, nie tylko ludzkich, świadków i uczestników istotnych wydarzeń. Kontekst ekokrytyczny jest w tym przypadku uzupełniany między innymi o myśl postkatastroficzną, a realizm ekologiczny łączy się w harmonijny sposób z dążeniem do zachowania pamięci o zdarzeniach, które dotyczą ludzkiego świata (a przynajmniej w ludzkim świecie mają swój początek).

---

<sup>30</sup> Tamże, s. 46.

Ostatnia część publikacji, poświęcona zwierzęcym podmiotom, to moim zdaniem najciekawsza, ale i najbardziej dyskusyjna partia książki. Najbardziej interesująca, ponieważ zwierzętom poświęca się w polskiej humanistyce zdecydowanie mniej zainteresowania niż rozumianej ogólnie przyrodzie, krajobrazom czy środowisku; najbardziej problematyczną, bo poruszane są w niej wyjątkowo delikatne problemy, bazujące na rozróżnieniu na narracje o zwierzętach i narracje zwierzęce. O ile tych pierwszych jest w literaturze całkiem sporo, o tyle tych drugich – o wiele mniej. A to właśnie narracje zwierzęce znajdują się w centrum zainteresowania zookrytyki, nurtu, którego metodologia najmocniej kształtuje tę partię książki. Równocześnie, jak nietrudno się domyślić, postulowane w ramach zookrytyki tworzenie zoonarracji jest wyzwaniem trudnym do realizacji, mającym niejednoznaczny wydźwięk etyczny<sup>31</sup>.

Podjęmowane przez Barcz zagadnienia związane z reprezentowaniem zwierzęcych podmiotów (a zaliczyć można do nich i kwestię antropomorfizacji zwierząt, która – jak autorka podkreśla – nie zawsze jest równoznaczna z pozbawianiem zwierząt ich własnego statusu, i zjawisko współwystępowania winy podczas prób tworzenia zoocentrycznych narracji, i kształtowanie relacji między człowiekiem a zwierzęciem jako podmiotami zdolnymi do odczuwania bólu) analizowane są na przykładach kilku tekstów, tym razem jednak pochodzących – w przeciwieństwie do poprzedniej części – z różnych okresów i epok. Interpretowane są wątki z *Dzienników* Witolda Gombrowicza, z tekstów Henryka Sienkiewicza i Olgi Tokarczuk. Omówiony zostaje współczesny wątek badań posthumanistycznych, ale analizowane są też przykłady znacznie od posthumanizmu starsze. Dopiero w tej części książki widać, że postulat czytania literatury „w poprzek”, nie zaś zgodnie z osią czasu, wyrażony we wstępie do publikacji, realizowany jest z pełnym rozmachem. Ma on swoje dobre strony: czytelnik może zobaczyć na przykładach z różnych epok, gatunków i typów

---

<sup>31</sup> Wydaje się, że łatwiejszy do realizacji może być szczegółowo omawiany przez Aleksandrę Ubertowską postulat „mówienia w imieniu biotycznej wspólnoty”. Por. A. Ubertowska, „Mówić w imieniu biotycznej wspólnoty”. *Anatomie i teorie tekstu środowiskowego/ekologicznego*, „Teksty Drugie” 2018 nr 2.



literatury (w jednym rozdziale zestawione ze sobą zostają Julia Har-  
twig i Jolanta Brach-Czaina), jak kształtują się poszczególne rodzaje  
narracji zorientowanych na zwierzęta. Ma on również swoje gorsze  
strony: nie jest bowiem możliwe śledzenie zmian ani przesunięć,  
które (chyba) musiały się dokonywać wraz z upływem czasu i jednak  
postępującą autonomizacją świata zwierząt. Nie jest też możliwe wy-  
znaczenie zakresu istotnych dla zookrytyki problemów, może poza  
centralnym, sygnalizowanym już, wyzwaniem, jakim jest stworzenie  
narracji stawiającej w roli głównej pozaludzki podmiot. Wyzwanie to  
pozostaje przy tym – przynajmniej w moim odczuciu – co najmniej  
dwuznaczne. Jest nie tylko trudne, jak stworzenie przekonującej  
zoonarracji, ale i potencjalnie nieetyczne: mówienie jako ktoś inny  
może utwierdzać hierarchiczną strukturę zależności i być traktowane  
jako akt dominacji. Jednocześnie, jak wskazuje – pośrednio, ale wy-  
raźnie – część badaczy, w tym i Anna Barcz, tworzenie zoonarracji  
może być uznawane za rodzaj walki ze zwyczajem uprzedmiotawiania  
zwierząt, a w takim przypadku określone teksty mogą pełnić wobec  
idei upodmiotowienia zwierząt funkcje służebne.

O tym, jak istotna jest to kwestia, można się przekonać analizując  
zarówno te bardziej, jak i mniej udane próby literackiego odtworzenia  
autonomii zwierząt. Pod tym względem następny, a zarazem kończą-  
cy tę część książki rozdział ma za zadanie pokazać, że możliwe jest  
stworzenie tekstu, który pełni z jednej strony funkcje służebne wobec  
określonych zookrytycznych i ekokrytycznych koncepcji, a zarazem  
jest samodzielnym i autonomicznym dziełem.

## Empatyczny narrator. Upodmiotowienie zwierząt w prozie Olgi Tokarczuk

### 1. Uwagi wstępne

Jak starałam się pokazać, analizując w poprzedniej części książki podstawowe zagadnienia ekokrytycznego dyskursu o zwierzętach oraz zookrytyki, jednym z najważniejszych i zarazem najtrudniejszym do realizacji postulatem tych prądów jest stworzenie przekonującej narracji zwierzęcej lub niedominującej narracji o zwierzętach. Ostatni rozdział tej partii publikacji poświęcony będzie właśnie temu zagadnieniu, wyrażonemu w pisarstwie Olgi Tokarczuk. Twórczość autorki *Biegunów* będzie tu analizowana z uwzględnieniem tezy o do pewnego stopnia służebnym charakterze tej literatury: służebnym wobec wyrażania określonych koncepcji, ale i służebnym wobec przekonania o tym, że teksty literackie mogą być nie tylko środkiem wyrazu pewnych przekonań, ale i impulsem inicjującym realną zmianę.

Książki Tokarczuk, w ostatnich latach coraz częściej i coraz głośniej doceniane przez krytyków<sup>1</sup>, były wcześniej – praktycznie od początku kariery autorki – na przemian – albo krytykowane<sup>2</sup>, albo chwalone za zaangażowanie społeczne i komunikatywność<sup>3</sup>. We wczesnym etapie

<sup>1</sup> Za punkt przełomowy można tu uznać otrzymanie przez Olę Tokarczuk nagrody The Man Booker International Prize 2018 za powieść *Bieguni*, co uczyniło z niej rozpoznawalną w świecie kandydatkę do Nagrody Nobla, którą pisarka otrzymała w roku 2019 za rok 2018. Wcześniejsze nagrody, zwłaszcza pierwsza Nagroda Literacka „Nike” z roku 2008 (również za powieść *Bieguni*) niekoniecznie przełamały co najmniej dwuznaczny odbiór pisarki.

<sup>2</sup> Krytyczne były zwłaszcza recenzje z lat ’90 oraz początku lat 2000, szczególnie: recenzja K. Uniłowskiego *Cała prawda o „prozie środka”* (cz. 3), „Fa-Art” 2003, nr 1–2.

<sup>3</sup> Por. na przykład K. Dunin, *Pisarka*, [w:] *Moment niedźwiedzia*, Warszawa 2012.

repcji twórczości Tokarczuk jej ocena była uzależniona od kwestii zaangażowania literatury i przyzwolenia na przekraczanie granic między literaturą wysoką a popularną, a także – stosunku konkretnego krytyka do określonych, istotnych dla danej książki idei. Pozytywne nastawienie zazwyczaj skutkowało względnie dobrą oceną książki, choć – często – Tokarczuk i tak bywała oskarżana o zbyt mechaniczne przeszczepianie pewnych idei na język pisarstwa. Oznacza to, że w zasadzie od początku szerszego zainteresowania jej twórczością kwestia zaangażowania i służebności (często inaczej określanej, ale podobnie rozumianej) pozostawała w centrum nie tylko samej literatury, ale i jej krytycznego odbioru.

Mimo sporego zainteresowania czytelników oraz licznych nagród literackich, autorka dotąd doczekała się tylko jednej monografii, wydanej w roku 2019. Jest to niezwykle interesująca publikacja Katarzyny Kantner *Jak działać za pomocą słów? Proza Olgi Tokarczuk jako dyskurs krytyczny*<sup>4</sup>, w którym analizie zostaje poddany krytyczny i performatywny wymiar twórczości autorki *Biegunów*, o wiele pełniej opisujący też – w tym tekście tylko sygnalizowane – menadry odbioru jej pisarstwa. Oczywiście, ta sytuacja zapewne ulegnie dość szybko zmianie pod wpływem nagłej, choć zasłużonej, popularności wywołanej Nagrodą Nobla.

W tym rozdziale zamierzam zająć się tylko jednym z aspektów pisarstwa Olgi Tokarczuk, łączącego – w, moim zdaniem, bardzo udany sposób – dążenie do konstruowania tekstu równocześnie unikatowego i uniwersalnego. Nie zamierzam przy tym nawet próbować stworzyć koherentnej analizy całej twórczości pisarki, lecz zająć się tylko jednym jej aspektem, analizowanym z konkretnej perspektywy badawczej. Mam tu na myśli zderzenie – wyraźne i jasno sygnalizowane w licznych wypowiedziach zarówno metatekstowych<sup>5</sup>, jak i wewnątrztekstowych – kulturotwórczego potencjału literatury oraz

<sup>4</sup> K. Kantner, *Jak działać za pomocą słów? Proza Olgi Tokarczuk jako dyskurs krytyczny*, Universitas, Kraków 2019.

<sup>5</sup> Por. m.in. O. Tokarczuk, *Palec w soli, czyli krótka historia mojego czytania*, [w:] *Światy Olgi Tokarczuk* red. M. Rabizo-Birek, M. Pocałun-Dydzyc, A. Bienias, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2003; O. Tokarczuk, *Znowu zaczynamy przypominać plemię*, [w:] *Moment niedźwiedzia...*

jej funkcji społecznych. Zamierzam z tej perspektywy przeanalizować sposób nadawania w tekstach literackich Tokarczuk podmiotowości zwierzętom, związek tych zabiegów z coraz większą i szerszą dyskusją ekologiczną oraz ekokrytyczną, a także z istotnym z punktu widzenia tej książki postulatem tworzenia tekstu służebnego.

W centrum moich rozważań będzie zaledwie jedna powieść Tokarczuk, czyli *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, niemniej będzie ona analizowana po pierwsze w relacji do innych powieści tej autorki, zwłaszcza poruszających problem ludzkiego postrzegania zwierząt oraz koncepcji z zakresu ekokrytyki i studiów posthumanistycznych. Dodatkowym kontekstem będzie również zrealizowany na jej podstawie film w reżyserii Agnieszki Holland *Pokot*.

Wybór akurat tego tekstu jako centralnego (a nie na przykład, być może nawet literacko bardziej udanych, a na pewno bardziej złożonych *Ksiąg Jakubowych*<sup>6</sup> czy *Prawieku*<sup>7</sup>) jest dyktowany wyjątkowo przystępną ramą fabularną książki, stanowiącą o jej popularności i poczytności – cechach niezbyt lubianych przez krytyków dwadzieścia lat temu, ale teraz moim zdaniem istotnych. *Prowadź swój pług przez kości umarłych* jest książką, która mieści się w ramach szeroko pojętego schematu fabularnego kryminału. Pod tym względem Tokarczuk wpisuje się w już stosunkowo długą tradycję wykorzystywania tego najpopularniejszego chyba i najchętniej czytanego gatunku do opowiedzenia historii, która kryminał nie tylko wypełnia, ale wręcz rozsada<sup>8</sup>. Od razu muszę tu zaznaczyć, że o ile gra z konwencją gatunkową w książce udaje się doskonale, o tyle zdecydowanie gorzej z tym wyzwaniem radzi sobie film. I dzieje się tak z bardzo konkretnych, a moim zdaniem wyjątkowo istotnych w kontekście ekokrytyki i studiów nad zwierzętami, powodów. Zanim wyłumaczę się z tego stwierdzenia, chciałam nieco więcej uwagi poświęcić najważniejszej dla mnie kwestii, czyli problemowi funkcjonowania zwierząt w obrębie powieści.

---

<sup>6</sup> O. Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

<sup>7</sup> O. Tokarczuk, *Prawiek i inne czasy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015.

<sup>8</sup> Jest to również przykład – interesujący i udany – gry z konwencją literatury „podwójnego kodowania”, za jaką można uznać część tekstów postmodernistycznych, włącznie z najsłynniejszym przykładem, czyli *Imieniem róży* Umberto Eco.

## 2. Wywrotowy kryminał

*Prowadź swój pług przez kości umarłych* najbardziej wprost – w i tak mocno nakierowanej ekologicznie oraz ekokrytycznie twórczości Tokarczuk – podejmuje kwestię postrzegania zwierząt. Tekst ten był już interpretowany w tym kontekście przez wspomniane wcześniej Annę Barcz<sup>9</sup> i Katarzynę Kantner. Choć nie do końca zgadzam się z przyjmowanymi przez wspomniane autorki wnioskami interpretacyjnymi, jak najbardziej zgadzam się z podstawowymi założeniami prowadzonych przez nie badań. Szczególnie interesujące są pod tym względem uwagi Kantner:

Prozę Olgi Tokarczuk czytam tu w kontekście filozoficzno-antropologicznego nurtu zwanego posthumanizmem krytycznym, który jest rewizyjny względem antropocentryzmu, a obejmuje m.in. studia nad zwierzętami, roślinami i rzeczami. Interesuje mnie zwłaszcza sposób, w jaki pisarka wykorzystała obecne w nim wątki myślowe, topoty i schematy argumentacyjne do kreowania dyskursu literackiego, który podważa opresywne struktury w hegemonicznym dyskursie antropocentrycznym.<sup>10</sup>

Zgodnie z przyjętą przez Kantner perspektywą, książka ta eksploruje możliwości, jakie daje wykorzystanie – podwójnie rozumiane – dyskursu wykluczonych. Wykluczona jest bowiem bohaterka i narratorka, która funkcjonuje w zasadzie poza wspólnotą społeczną i wykluczone są zwierzęta. Zdaniem badaczki jednym z najważniejszych elementów budowania narracji jest skonstruowanie dwóch zupełnie różnych dyskursów: dyskursu prawa ludzkiego, które nie dba o zwierzęta oraz czegoś, co można by określić jako posthumanistyczną sprawiedliwość. Te dwa dyskursy pozostają osobne, zupełnie się nie przenikają:

---

<sup>9</sup> A. Barcz zajmuje się głównie książką Tokarczuk *Ostatnie historie* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004), z której omówienia tutaj rezygnuję.

<sup>10</sup> K. Kantner, *Jak działać za pomocą słów...*, s. 77.

Duszejko „puka do drzwi Prawa”, domaga się sprawiedliwości, przywołuje argumenty, ale to, co mówi, w rozumieniu urzędników nie zasługuje na to, by stać się elementem jakiegokolwiek dialogu.<sup>11</sup>

Sposobem na wydobycie tej nieprzystawalności ma być zastosowanie w obrębie kryminału specyficznej inwersji gatunkowej, polegającej na konsekwentnym odwracaniu konkretnych ról i chwytów narracyjnych<sup>12</sup>. Do uwag Kantner jeszcze wrócę, ale zanim omówię je bardziej szczegółowo, warto nawiązać do samej książki Tokarczuk.

Nie będę tu odtwarzać pełnego planu fabularnego powieści, ale warto moim zdaniem zarysować go choćby dość ogólnie. Główną bohaterką, a zarazem narratorką, prowadzącą opowieść w pierwszej osobie, jest kobieta, o której początkowo jako czytelnicy wiemy bardzo niewiele: tylko tyle, że jest już raczej niemłoda i nie całkiem zdrowa, że mieszka na Płaskowyżu w Dolinie Kłodzkiej z daleka od większych miejscowości, dobrze zna się na astrologii oraz traktuje zwierzęta z szacunkiem. Później dowiadujemy się kilku kolejnych szczegółów: że kobieta jest już na emeryturze, wcześniej była inżynierem budowy mostów, a aktualnie dorywczo uczy dzieci angielskiego, raczej nie po to, by dorobić, lecz po to, żeby w dalszym ciągu pozostać aktywną, z podobnego powodu opiekuje się też domami osób, które opuszczają Płaskowyż na zimę. Poznajemy również jej – niezbyt szeroki – krąg towarzyski.

Wiedza o narratorce jest stopniowo pogłębianą, nie tylko przez klasyczny zabieg introspekcji, ale również – przynoszący o wiele ciekawsze skutki – chwyt zestawienia dość suchego relacjonowania zdarzeń z domysłami na temat tego, co myślą inne osoby o określonych zdarzeniach i o samej bohaterce:

Komendant był otyłym mężczyzną w moim, powiedźmy, wieku, ale zwracał się do mnie, jakbym była jego matką, albo nawet babką. Spojrzał na mnie przelotnie i powiedział:

– Siadajcie, proszę.

<sup>11</sup> Tamże, s. 87.      <sup>12</sup> Tamże, s. 90.

I czując, że tą liczbą mnogą zdemaskował swoje wiejskie pochodzenie, chrząknął i poprawił się:

– Niech pani siada.

Prawie słyszałam jego myśli – nazywał mnie najpewniej „kobietiną”, a gdy moja oskarżycielska mowa przybierała na sile – „babskiem”. „Nawiedzone babsko”, „wariatka”. Byłam świadoma, z jaką awersją obserwuje moje ruchy i ocenia (negatywnie) mój gust. Nie podobała mu się ani moja fryzura, ani ubranie, ani brak uległości. Lustrował moją twarz z coraz większą niechęcią. Ale i ja widziałam wiele – że apoplektyk, że za dużo pije i ma słabość do tłustych potraw (...) Typ jowiszowy.<sup>13</sup>

Bohaterka opowieści jest doskonale świadoma tego, jak jest postrzegana oraz jak bardzo nie pasuje do lokalnej społeczności. Jej nieprzystawalność jest widoczna tym bardziej, im bardziej nie ma ona ochoty być „kobietiną” i nieuchronnie staje się „babskiem”, które nie wie, czemu psuje działający przez lata bez zarzutu układ między najważniejszymi miejscowymi mężczyznami: komendantem, przedsiębiorcą, burmistrzem i księdzem. Struktura fabularna książki napędzana jest w gruncie rzeczy przez ten – skądinąd stanowiący bazę narracyjną wielu powieści – konflikt między osobą z zewnątrz, niepasującą ze względu na wykształcenie, płeć oraz poglądy a przedstawicielami różnych typów władzy (państwowej, religijnej, ekonomicznej), naginającymi coraz to kolejne reguły: prawne, etyczne i społeczne.

Osią kryminalnej intrygi są kolejne śmierci, na początku postrzegane jako wypadki – później jako morderstwa. Wyraźna gra z konwencją powieści kryminalnej widoczna jest w zasadzie od pierwszych stron, które przynoszą odpowiedź nie tylko na pytanie, kto zabija, ale i dlaczego. Odpowiedź na to pytanie jest równie wyraźna, co ukryta. Wyraźna, bo pada praktycznie wprost, ukryta, bo język zakrywa przed odbiorcą powieści właściwą treść poszczególnych wyznań narratorki. Pierwsze z nich pada, gdy dowiadujemy się o najwcześniejszej, chciałoby się powiedzieć – przypadkowej – śmierci. Mowa tu o śmierci

---

<sup>13</sup> O. Tokarczuk, *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, s. 37.

bohatera określanego przez narratorkę jako Wielka Stopa, kłusownika, który ginie zadławiony się kością sarny:

Przyszło mi wtedy do głowy, że śmierć Wielkiej Stopy mogła być w pewnym sensie czymś dobrym. Uwolniła go od bałaganu, którym było jego życie. Oraz uwolniła inne żywe istoty od niego. O tak, nagle zdałam sobie sprawę, jak dobra może być śmierć, jak sprawiedliwa, niczym środek odkażający, niczym odkurzacz. Przyznając, tak pomyślałam, i właściwie nadal tak myślę.<sup>14</sup>

Wyznanie, że śmierć może być dobra, stanowi dla czytelnika wyzwanie<sup>15</sup>, bo pojęcie dobrej, sprawiedliwej śmierci zostaje odniesione do człowieka i ma być karą za jego zbrodnie przeciwko zwierzętom:

Wtedy na parapecie okna, na blaszanej tacy, zobaczyłam coś, co mój mózg rozpoznał dopiero po dłuższej chwili, tak się przed tym wzbraniał: była to równo ścięta sarnia głowa. Obok niej leżały nożki. Wpółotwarte oczy musiały cały czas czujnie śledzić nasze zabiegi.

O tak, była to jedna z owych wygłodniałych Panien, które naiwnie dają się zimą zwabić przemarzniętymi jabłkami i które, schwytane w sidła, umierają w męczarniach, uduszone drutem.

<sup>14</sup> O. Tokarczuk, *Prowadź swój plug...*, s. 14.

<sup>15</sup> Nawiązuję tu umyślnie do kategorii stworzonych przez M. Czermińską w odniesieniu do autobiografii, por. M. Czermińska, *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie i wyzwanie*, Universitas, Kraków 2004.

Równocześnie, jak wskazuje m.in. K. Kantner, powołując się na wywiady z Olgą Tokarczuk, postać Janiny Duszejko stworzona jest właśnie jako wyzwanie i prowokacja. To zaś czyni zarówno z dyskursu środowiska eokoaktywistów uprawniony kontekst autobiograficzny, jak i – na pewnym poziomie – usprawiedliwia porównania między losami J. Duszejko a rzeczywistych postaci: „Nietrudno dostrzec analogię z losami Janiny Duszejko – ona także na każdym niemal kroku doświadcza stygmatyzacji oraz jest lekceważona przez przedstawicieli władz i instytucji, mimo że powołuje się na obowiązujące prawo”, K. Kantner, *Jak działać za pomocą słów...*, s. 95.

Por. także O. Tokarczuk, *Jaki to cud, to życie*, rozm. R. Kulik, A. Gierlińska, P. Skubała, <https://dziakiezycie.pl/archiwum/2014/marzec-2014/jaki-to-cud-to-zycie-rozmowa-z-olga-tokarczuk> [dostęp: 10 grudnia 2019].



Kiedy uświadomiłam sobie powoli, co tu się wydarzyło, sekunda po sekundzie, ogarnęła mnie Groza. Złapał sarnę we wnyki, zabił, a jej ciało poćwiartował, upiekł i zjadł. Jedna istota zabiła drugą, w ciszy, w Nocy, w milczeniu. Nikt nie protestował, nie spadł żaden grom. A jednak Kara dosięgła demona, choć śmierci nie prowadziła żadną ręką.<sup>16</sup>

W porządku fabularnym powieści to zdarzenie, które narratorka uznaje nie za zbieg okoliczności, lecz efekt działania kosmicznej sprawiedliwości, jest symbolem i znakiem następnych wydarzeń. Kość sarny jest narzędziem wymierzającym karę – albo zemstę – za wcześniejsze zbrodnie przeciwko zwierzętom. Jest czymś, co można określić mianem sprawczego narzędzia.

Ta kategoria wydaje się szczególnie ważna, bo objaśnia w gruncie rzeczy dość dokładnie mechanizm funkcjonowania kryminalnej części powieści. Zanim postaram się tę koncepcję bliżej omówić, chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na cechy języka, którym posługuje się narratorka. Po pierwsze, jest to język czerpiący mocno z konwencji wyznania, co znajduje swoje uzasadnienie w strukturze książki: w rzeczywistości całość jest właśnie wyznaniem, opisem drogi, jaką przeszła – dosłownie i metaforycznie – bohaterka powieści. Elementy te są zresztą istotne dla budowania napięcia i podtrzymywania suspense, który – co stanowi ewidentną grę z konwencją powieści – jest w gruncie rzeczy rozładowany już na pierwszych 30 stronach, które niosą jasną odpowiedź, kto zabił i dlaczego. Oczywiście, tego typu zabieg stosuje się dość popularnie w kryminałach, tutaj jednak jego znaczenie pozostaje przed czytelnikiem ukryte podwójnie: po pierwsze dlatego, że najważniejsze – gdyby powieść traktować po prostu jako kryminał – wyznanie pada wśród wielu innych, zdecydowanie mniej ważnych, po drugie zaś dlatego, że czytelnik nie jest i nie może być początkowo świadom tego, czego ono dotyczy. Spójrzmy zresztą na poniższy fragment, opisujący kulminującą scenę w chacie Wielkiej Stopy, która wydarza się chwilę po odkryciu, że zginął on w wyniku zadławienia kością sarny:

---

<sup>16</sup> Tamże, s. 24.

I powinnam dodać, że było w tej szufladzie jeszcze coś: plik zdjęć, całkiem nowych, kolorowych. Przerzuciłam je szybko, z nawyku, a jedno z nich przykuło moją uwagę. Spojrzałam na nie z bliższej odległości i już chciałam je odłożyć. Długo nie mogłam zrozumieć, co widzę. Nagle zapanowała cisza, a ja znalazłam się w samym środku. Patrzyłam. Moje ciało naprężyło się, byłam gotowa do walki. Kręciło mi się w głowie i w uszach narastało mroczne buczenie (...). Gniew sprawia, że umysł staje się jasny i przenikliwy, widzi się więcej, zagarnia inne emocje i panuje nad ciałem. Nie ma wątpliwości, że z Gniewu bierze się wszelka mądrość, ponieważ Gniew jest w stanie przekroczyć wszelkie granice.<sup>17</sup>

Co takiego odsłania nieopisane zdjęcie? Na to pytanie nie dostajemy w ramach powieści odpowiedzi dość długo, na tyle długo, by zapomnieć, jak wielkie wrażenie wywarły na bohaterce znalezione zdjęcia. To zatarcie jest możliwe dzięki drugiej cesze języka powieści, umyślnie zrównującą ze sobą wszystkie żywe istotny. Sarny nazywane są Pannami, ich zastrzelenie lub złapanie we wnyki morderstwem, i tak dalej. Empatyczny język, ewokujący równość między wszystkimi żywymi istotami, jest używany jako zasłona wobec najważniejszej strukturalnie dla kryminalnego wymiaru powieści informacji: kim były Dziewczynki?

Pierwsza wzmianka o nich pojawia się stosunkowo późno i – podobnie jak wszystkie inne wyznania istotne dla odpowiedzi na nie kluczowe, ale ważne pytanie „kto zabił?” – niejako mimochodem, jako powracające wspomnienie:

Zamknięta na powrót Suka wyła cały wieczór. Pierwsze, co zobaczyłam rankiem na nieskazitelnej bieli, to chwiejne ślady Wielkiej Stopy i żółte ślady moczu wokół mojego srebrnego Świerka.

To mi się przypomniało, kiedy siedzieliśmy w kuchni Matogi. I moje Dziewczynki.<sup>18</sup>

---

<sup>17</sup> O. Tokarczuk, *Prowadź swój pług...*, s. 25.

<sup>18</sup> Tamże, s. 46.

Wprawdzie fakt, że Dziewczynki przypominają się narratorce akurat wtedy, gdy myśli o źle traktowanej, a wciąż przywiązanej do człowieka, który był bardziej oprawcą, niż opiekunem, Suce Wielkiej Stopy, wskazują na pochodzenie gatunkowe Dziewczynek, ale w tym momencie przyzwyczajenia i przeświadczenia większości czytelników są jeszcze zbyt silne, by ten związek zauważyć oraz nadać mu właściwe znaczenie. Dziewczynki są więc niedookreślone, są kimś, kto był bardzo ważny i został utracony. Jak? Tego nie wiemy. Znacząco później natrafiamy na długi i ostatni przed ostatecznym rozwiązaniem intrygi kryminalnej opis Dziewczynek. Warto moim zdaniem bliżej się mu przyjrzeć:

Słońce świeciło oślepiająco, dopiero wzeszło, jeszcze czerwone z wysiłku, i rzucało długie, senne cienie. Wyszedłam przed dom i znowu wydawało mi się, że wyprzedzą mnie Dziewczynki, wybiegną prosto w śnieg, ciesząc się z dnia, że przyszedł, i będą tak jawnie i bezwstydnie pokazywać swoją radość, że zarażę się nią. Rzucę do nich śnieżną kulkę, a one potraktują to jako pozwolenie na wszelkie możliwe szaleństwa i ruszą w chaotyczne gonitwy, w których goniąca nagle zmienia się w uciekającą i z sekundy na sekundę inny staje się na powód ich biegu, a ich radość w końcu robi się tak wielka, że nie ma innego sposobu, żeby ją wyrazić, tylko biegać naokoło domu – jak szalone.<sup>19</sup>

Kim są Dziewczynki? W powyższym opisie nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie, a przynajmniej nie znajdziemy żadnego słowa, które przesądzałyby o ich przynależności gatunkowej. Pierwsza lektura, kierowana przez słowo „Dziewczynki”, odnoszące się raczej do gatunku ludzkiego, każe w nich widzieć dzieci. I rzeczywiście nie ma w tym fragmencie nic, co mogłoby tę hipotezę sfalsyfikować. Cieszące się ze śniegu, sprowokowane do szaleństw przez beztroskie zachowanie opiekuna dzieci biegają dookoła domu. Każdy, kto kiedykolwiek widział dzieci bawiące się w berka, albo sam w tym uczestniczył, może tak sobie wyobrazić tę scenę. Możliwość właśnie takiego jej

---

<sup>19</sup> Tamże, s. 78.

przedstawienia jest moim zdaniem kluczowa dla zrozumienia obranej przez Tokarczuk strategii i mocy jej działania.

Niestety, już dość wierna ekranizacja tej powieści, jaką jest *Pokot*, tej możliwości nie daje. Film od początku pokazuje, kim są Dziewczynki: to dwie śliczne, energiczne suki, od początku wyraźnie nieobecne, brakujące, stanowiące centrum narracji. Tymczasem powieściowe ukrycie Dziewczynek: ich tożsamości, znaczenia dla bohaterki, a wreszcie potencjalnego losu napędza nie tylko kryminalną część intrygi, pozwalając czytelnikowi zdecydowanie dłużej zastanawiać się nad tym, kto i dlaczego zabija, ale przede wszystkim tę jej część, która dotyczy relacji między ludźmi i zwierzętami.

Paradoksalnie, im dłużej Dziewczynki są ukryte, tym bardziej widzimy, wracając – choć to już oczywiście zależy od czytelnika – w późniejszym momencie lektury do wspomnianego opisu, że między ludzkimi i nieludzkimi Dziewczynkami nie ma zbyt wielkiej różnicy, a dokładniej: że niczym nie różni się tu obsada emocjonalna i afektywna, a więc ten opis dla jednych i dla drugich może oraz powinien wyglądać tak samo, bo ich emocje oraz uczucia, które można wobec nich żywić, mogą być takie same. Uchwycenie tego afektywnego zbliżenia jest w tej powieści Tokarczuk wyjątkowe, choć – co moim zdaniem istotne – autorka nie pierwszy raz podejmowała taką próbę. Wcześniej jednak robiła to zdecydowanie bardziej deklaratorywnie i opisowo, jak na przykład w *Prawieku*, w którym opis suki o imieniu Lalka oddawał te same spostrzeżenia:

Czasem zwierząt jest zawsze terażniejszość.

Lalka to ruda, kudłata suka. Ma brązowe oczy, które czasem świecą na czerwono. Lalka najbardziej kocha Misię, dlatego zawsze stara się mieć Misię w zasięgu swojego rudego wzroku. Wtedy wszystko jest na swoim miejscu. Lalka chodzi za Misią do studni, do ogródka, wychodzi z nią na Gościniec, żeby popatrzeć na świat. Nie wypuszcza Misi z objęć swoich oczu.

Lalka nie myśli tak, jak myśli Misia czy inny człowiek. W tym sensie między Lalką a Misią istnieje przepaść. Do myślenia bowiem potrzebne jest połknięcie czasu, uwewnętrznianie przeszłości, terażniejszości przyszłości i ich ciągłych przemian. (...) w małym psim

mózgu Lalki nie ma takiej bruzdy, takiego narządu, który filtrowałby przepływ czasu. Lalka mieszka więc w terażniejszości. (...) Zdolność przeżywania emocji niczym nie różni Lalki od Misi.

Emocja zwierzęcia jest nawet bardziej czystsza, nie ma jej żadna myśl.<sup>20</sup>

Opis Lalki opiera się na strategii odgrywania stanu emocjonalnego zwierzęcia oraz charakterystycznego sposobu postrzegania rzeczywistości. Koncentruje się z jednej strony na podobieństwach (emocje), z drugiej akcentuje – niekoniecznie w sposób pochlebny dla ludzi – różnice (choćby postrzeganie czasu). Choć w tym przypadku dochodzi do wyraźniejszego utożsamienia ze zwierzęciem, moim zdaniem zdecydowanie bardziej przekonująca jest strategia stosowana w *Prowadź swój pług* – nigdzie nie znajdziemy w niej próby „wniknięcia” w zwierzę, czy oddania jego stanu. On jest dla ludzkich narratorów niedostępny. To, co jest dostępne, to emocje, współdzielone w każdym tego słowa znaczeniu. Można by powiedzieć – zaraz spróbuję się z tego stwierdzenia wytlumaczyć – że to nie utożsamienie człowieka i zwierzęcia lub odegranie, wnikięcie w zwierzę budzi empatię, lecz że empatia rodzi się z doświadczenia podświadomego przekroczenia granicy tożsamości, przekroczenia, które wtórnie każe zakwestionować przynajmniej część konsekwencji istnienia owej granicy. A przynajmniej sprawia, że granica ta zostaje odczuta jako zdecydowanie bardziej umowna, niż normalnie jesteśmy skłonni to przyznać.

### 3. Afektywna granica

Jak pisałam wcześniej, Katarzyna Kantner wskazuje na fakt, że między dwoma dyskursami aksjologicznymi, prowadzonymi w ramach kryminału Tokarczuk nie istnieją punkty wspólne, że są one doskonale osobne. Z kolei cytowana wcześniej publikacja Anny Barcz wyraźnie uprzywilejowała narracje zwierzęce w dążeniu do oddania

---

<sup>20</sup> O. Tokarczuk, *Prawiek...*, s. 253–254.

głosu zwierząt. Tymczasem ja przyjmuję nieco inną perspektywę: po pierwsze uznaję, że istnieje punkt wspólny i jest nim – choćby nawet niechętnie odkrywana – empatia, po drugie zaś myślę, że jej osiągnięcie jest zdecydowanie łatwiejsze, gdy powieść nie posługuje się narracją zwierzęcą, lecz jedynie rekonstruuje możliwy sposób jej konceptualizacji w sposób warunkowy i zmediatyzowany. W *Prowadź swój pług przez kości umarłych* nie mamy żadnego przykładu narracji zwierzęcej, w przeciwieństwie do innych książek Tokarczuk. Zamiast tego jest fragment wskazujący, że wspaniale byłoby wiedzieć, jak wygląda postrzeganie zwierząt<sup>21</sup>. Przesunięcie punktu zainteresowania z odgrywania narracji zwierzęcej na wskazanie jej wartości jest moim zdaniem ruchem sugerującym z jednej strony dostrzeganie problemów wynikających z mówienia w imieniu tego innego, którym jest zwierzę, a z drugiej – podkreślającym, że funkcje służebne wobec idei upodmiotowienia istot nieludzkich mogą być pełnione przez szerszy niż przypuszczano zakres strategii tekstowych.

Jest to więc przykład techniki narracyjnej, służącej afektywnemu zaangażowaniu odbiorcy. Doświadczenia afektywne<sup>22</sup> oraz cielesne służą Tokarczuk jako narzędzie zakreślania nowych granic między podmiotami i konsekwentnego zamazywania starych, nie tylko w przypadku relacji ludzko-zwierzęcych. Cieleśność i emocjonalność wyznaczają najbardziej podstawowe sposoby doświadczania jedności z innymi istotami żywymi oraz – co moim zdaniem znaczące – z całym otaczającym bohaterkę powieści światem. Istotne pod tym względem są nie tylko wrażenia pozytywne – jak współdzielona radość

<sup>21</sup> Mam tu na myśli fragment dotyczący postrzegania przez nietoperza, nawiązujący – jak słusznie wskazuje K. Kantner – do tekstu T. Nagela *Jak to jest być nietoperzem*. Por. K. Kantner, *Jak działać za pomocą słów...*, s. 99; O. Tokarczuk, *Prowadź swój pług...*, s. 168; T. Nagel, *Jak to jest być nietoperzem*, [w:] tegoż, *Pytania ostateczne*, przeł. A. Romaniuk, Warszawa 1997.

<sup>22</sup> Afekt definiuję tu w tradycji wyznaczonej przez B. Spinozę, a podtrzymywanej obecnie przez m.in. B. Massumi'ego, zgodnie z którą filozof charakteryzował ciało w kategoriach ruchu i spoczynku, z czym wiązało się jego twierdzenie, że ciało ma zdolność do wchodzenia w relacje, a co za tym idzie – moc i potencjał do oddziaływania i bycia przedmiotem oddziaływania, do tworzenia afektu i odbierania go. Por. B. Massumi, *Parables for the Virtual. Movement, Affect, Sensation*, Duke University Press, Durham and London 2002, s. 15.

Dziewczynek w scenie gonitwy w śniegu – lecz również negatywne, jak cierpienie i ból. Może się nawet wydawać, że to właśnie ból, do narratorki przychodzący pod postacią tajemniczych dolegliwości, jest najbardziej podzielanym afektem:

Moje Dolegliwości pojawiają się zdradziecko, nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdą. Coś się wtedy dzieje w moim ciele, zaczynają mnie boleć kości. Jest to ból nieprzyjemny, cikliwy, tak go nazywam. Trwa bez przerwy, nie znika godzinami, a czasem całymi dniami. Nie można się ukryć przed tym bólem, nie ma na niego tabletki ani zastrzyku. Musi boleć, tak samo jak rzeka musi płynąć, a ogień płonąć. Przypomina złośliwie, że składam się z materialnych cząsteczek, które przemijają w każdej sekundzie. Może dałoby się do niego przyzwyczaić? Żyć z nim tak, jak ludzie mieszkają w mieście Oświęcimiu albo Hiroszimie i wcale nie myślą o tym, co się tutaj przedtem stało. Po prostu żyją.<sup>23</sup>

W tej interpretacji ból ani nie ucłowiecza, ani nie odcłowiecza. Ból po prostu jest i przypomina o przemijaniu, o nieuchronnej – nie zawsze złej, jak zauważa narratorka – śmierci. Ludzki ból, choć nie znajdziemy w tej akurat książce Tokarczuk zbyt wielu prób nadania mu sensu, jest łatwiejszy do przeżycia: nawet nie dlatego, że można się do niego przyzwyczaić, to raczej pozostaje w sferze chęci lub wręcz fantazji, ale dlatego, że człowiek zdaje sobie sprawę z jego czasowości, z tego, że ból – w ten lub inny sposób – zazwyczaj się kończy. Tymczasem dla zwierzęcia ból wypełnia cały świat, jest po prostu tym, co jest, skoro zwierzę – co pojawia się jako teza powtarzana wielokrotnie – jest całkowicie zanurzone w teraźniejszości. Zwierzę jest wobec bólu zdecydowanie bardziej bezbronne, dlatego jego cierpienie oburza narratorkę powieści mocniej niż cierpienie ludzkie.

Wieczna teraźniejszość bólu jest jednak tylko jednym z powodów, dla których cierpienie zwierząt jest tak bardzo nie do zniesienia. Drugim jest jego powszechność, powodująca znieczulenie patrzących. Odmowa poddania się tej tendencji jest zresztą głównym powodem,

---

<sup>23</sup> Tamże, s. 81.

dla którego nieznosząca swego imienia Janina zgadza się – bo jest to przedstawienie raczej jako zgoda, niż świadoma decyzja – na stanie się narzędziem w rękach czegoś, co można określić jako sprawiedliwość zwierząt.

Przyjmując tę rolę, bohaterka walczy – przynajmniej do pewnego stopnia – nie tylko o wymierzenie kary dla konkretnych osób, które przekroczyły jej zdaniem niedyskutowalny zakaz zabijania zwierząt dla przyjemności, ale również wielokrotnie naruszały inne normy, w tym normy prawne (dotyczące zarówno zwierząt, jak i ludzi), ale także o zmianę postrzegania samej zbrodni. Janina wielokrotnie podkreśla, że kara dla morderców zwierząt jest czymś, co nie powinno się wydawać dziwne, lecz stanowić naturalną konsekwencję ich czynów. Jest to więc rozumowanie zgodne z konkretnym paradygmatem postrzegania roli kary, w Polsce całkiem rozpowszechnionym. Oczywiście, pomysł, by za śmierć zwierząt karać śmiercią, jest nie do zaakceptowania przez lokalną społeczność, podobnie jak powtarzana przez narratorkę teza, że to zwierzęta same wreszcie wzięły sprawy w swoje ręce (a raczej – jak wskazuje pierwsze morderstwo – racice) i mordują oprawców. Jednak mimo wygłaszania tych tez, mimo mówienia wprost, że: „O kraju świadczą jego Zwierzęta. Stosunek do Zwierząt. Jeżeli ludzie zachowują się bestialsko wobec Zwierząt, nie pomoże im żadna demokracja ani w ogóle nic<sup>24</sup>” Janina pozostaje poza kręgiem podejrzanych, jest traktowana jako wariatka, osoba nie zrównoważona, ale zupełnie nieszkodliwa. Zapewne na taki stan rzeczy wpływa jej miłość do astrologii i tłumaczenie niektórych zjawisk przez tworzenie horoskopów. Choć początkowo wiara w astrologię wydaje się po prostu jedną z cech bohaterki, w miarę rozwoju powieści widać, że odwołania do gwiazd są przez Janinę używane celowo: ilekroć zajdzie ona za daleko w swoim oskarżeniu ludzi o okrucieństwa wobec zwierząt, ilekroć naruszy ciekawą granicę pomiędzy mówieniem, że zostali zabici przez zwierzęta (co umacnia jej postrzeganie jako wariatki) i mówieniem, że zostali zabici z powodu zwierząt (co jednak budzi już pewne podejrzenia policji), stosuje unik w postaci powrotu do astrologii, do stwierdzania, że to gwiazdy stoją za określonymi

---

<sup>24</sup> Tamże, s. 124.



wydarzeniami. A wtedy automatycznie, nawet przez najbliższych, jest traktowana jak osoba przynajmniej częściowo pozbawiona rozumu:

Niechętnie Dziwiowi tłumaczyłam zawsze, że Astrologia była kiedyś tym samym, czym dzisiaj jest socjobiologia. (...) Astrolog wierzy, że na osobowość Człowieka wpływają ciała niebieskie, socjobiolog, że tajemnicze emanacje ciał molekularnych.<sup>25</sup>

Przywiązanie bohaterki do astrologii ma jeszcze jedną konsekwencję: pokazuje jej przekonanie, że ludzie są częścią zdecydowanie większego systemu, częścią wcale nie najistotniejszą. Przysługuje im ten sam rodzaj podmiotowości, co innym żywym istotom. Nie ma więc żadnej różnicy w prawach zwierząt i prawach ludzi. Przekonanie o słuszności tego twierdzenia decyduje o sposobie, w jaki Janina reaguje na zbrodnie wobec zwierząt, jednak to nie ono – przynajmniej moim zdaniem – decyduje o potencjale eko- i zookrytycznym tej książki, lecz wybór specyficznych środków narracyjnych, służących wskazaniu arbitralności zazwyczaj przyjmowanych rozróżnień, uprzywilejowujących ludzi. Ich działanie jest szczególnie widoczne w kulminacyjnym momencie powieści, w którym dowiadujemy się wreszcie, co znajdowało się na fotografii znalezionej przez bohaterkę w domu Wielkiej Stopy:

Na fotografii wszystko było widać doskonale. Najlepszy dowód Zbrodni, jaki można sobie tylko wyobrazić.

Stali tam mężczyźni w mundurach, w szeregu, a przed nimi na trawie leżały porządnie poukładane zwłoki Zwierząt – Zające, jeden przy drugim, dwa Dzikie, jeden duży, drugi mniejszy, Sarny i potem wiele Bażantów, i Kaczek, Krzyżówek i Cyraneczek, małe jak kropki, jakby te ciała Zwierząt były napisanym do mnie zdaniem, a Ptaki tworzyły długi wielokropek – to będzie trwać i trwać.

Lecz to, co zobaczyłam w rogu tego zdjęcia, sprawiło, że o mało nie zasłałam (...). Kto nie poznałby białej sierści i czarnych łat? W rogu fotografii leżały trzy martwe Psy, porządnie ułożone, trofea.

---

<sup>25</sup> Tamże, s. 142.

Jednego z nich nie znałam. Dwa pozostałe – to były moje Dziewczynki.<sup>26</sup>

Opis martwych zwierząt przywraca ich – niszczoną przez różne działania, czasem nawet mniej brutalne niż polowania – podmiotowość. Nie są w nim rzeczami, są osobami, przedstawicielami swoich gatunków, z których każdy jest istotny i powinien być traktowany z szacunkiem. Wystawienie na widok publiczny i fotografowanie zwłok uznaje się – w przypadku ludzi – za skrajne naruszenie norm postępowania z ciałem zmarłego. Fakt, że Janina znajduje to zdjęcie w momencie, w którym uczestniczy w działaniach mających okazać szacunek ciału Wielkiej Stopy, a więc osoby, której narratorka zdecydowanie nie lubiła, a od tej chwili będzie już aktywnie nienawidzić, pokazuje nieuzasadniony kontrast między traktowaniem zwłok ludzkich i zwierzęcych.

Wystawione na widok i utrwalone za pomocą fotografii ciała zwierząt mają dla narratorki znaczenie. Niosą konkretny przekaz, inny niż ten zamierzony przez twórców zdjęcia, inny niż ten o dominacji człowieka nad zwierzęciem, inny nawet niż związany z traumatyzującym odkryciem, że Dziewczynki, poszukiwane i nieobecne przez cały ciąg powieści – nie żyją. To pierwotne znaczenie tkwi w niesprawiedliwości gatunkowej, w nieuzasadnialnym etycznie tak odmiennym traktowaniu ludzi i innych żywych stworzeń. Nieprzypadkowo opis dotyczy gatunków: Zający, Dzików, Bażantów, Saren, Kaczek, Krzyżówek, Cyraneczek, a w końcu i Psów. Dopiero tutaj, w tym fragmencie, dowiadujemy się na pewno, kim były Dziewczynki: Psami o konkretnym wyglądzie i umaszczeniu, żywymi istotami, które zostały zastrzelone.

Zastosowana w powyżej cytowanym fragmencie technika pisarska sprawia, że udaje się wydobyć dwie cechy – niesłuszne, jak pokazuje cała książka – zazwyczaj uznawane za przeciwstawne. Zwierzęcość i podmiotowość. Psy nie są opisywane jako bardziej ludzkie, by budzić większą empatię. Przeciwnie, gdy wiedząc, że Dziewczynki są Psami, wracamy do wcześniejszych, nielicznych miejsc, w których było

---

<sup>26</sup> Tamże, s. 293.

charakteryzowane ich zachowanie, przekonujemy się, że od początku było jasne, że są one właśnie Psami. Fakt, że patrzyliśmy na nie jak na ludzi, wynikał z opisanego ich jako żywych, czujących istot, obdarzonych wolą i sprawczością. Tymczasem – jak zdaje się pośrednio argumentować za pomocą konstrukcji tej książki Tokarczuk – nie są to wcale tylko i wyłącznie ludzkie cechy. Żeby zobaczyć je u innych, musimy jednak przestać przykładać ludzkie wyobrażenia o nieprzekraczalnej różnicy do innych istot, musimy otworzyć się na to, jak zwierzęta rzeczywiście istnieją, funkcjonują, czują, myślą.

#### 4. Przemoc jako narzędzie komunikacji

Janina odczytuje zdjęcie przedstawiające ciała zwierząt w bardzo konkretny sposób: jako wezwanie do zemsty w odpowiedzi na ciągłą, powtarzającą się niesprawiedliwość w ich traktowaniu. Jeśli zwłoki zwierząt układają się w zakończone wielokropkiem zdanie, to zdaje się ono opowiadać o historii wielokrotnych, wieloletnich nadużyć, które trwają i nie chcą się skończyć. I jako takie jest wezwaniem i wyzwaniem do działania, do zrobienia czegoś, by skończyć z historią bezkarnego okrucieństwa. W takim przypadku zdanie zmienia się w zadanie, staje się misją do wykonania.

Bohaterka, która odczytuje wyznaczoną sobie rolę jako rolę mścicielki, bierze na siebie wszystkie obowiązki etyczne wynikające z takiego postępowania. Stając się już nie obrończynią zwierząt, bo nią była przez wiele lat, ale ich mścicielką, bierze na siebie zarówno obowiązek moralnego usprawiedliwienia swoich działań, jak i realnego, wykraczającego poza partykularną zemstę sprawstwa. Z obrończyni żywych Janina staje się narzędziem zemsty, a przynajmniej tak się opisuje: jako bierne, choć chętne narzędzie.

Za każdym razem, gdy narratorka wraca do opisywania popełnianych morderstw na ludziach, które – co warto odnotować – uznaje za karę, nie za zbrodnię, podkreśla swoje ograniczone sprawstwo. W jednym z opisów Janina charakteryzuje w bardzo ciekawy sposób cielesność samego aktu, jakby dokonywał się on nie poza nią, lecz p o n a d nią, jakby była tylko jednym z elementów koniecznych do

wymierzenia kary, a jej ciało – za jej przyzwoleniem i z jej świadomością – było narzędziem jej wykonania:

Ciało przybrało więc dobrze znaną pozycję i kumulowało całą swoją siłę. O, jakie ciało jest mądre. Mogłabym powiedzieć, że to ono podjęło decyzję, że wzięło zamach i uderzyło.<sup>27</sup>

Ciało zdaje się działać samo, niezależnie od woli, albo dokładniej – posiadać własną wolę. Ciało reaguje, zaafektowane przez ciąg zbrodni i lekceważenia, afektuje tych, którzy dotychczas byli bezkarni. Początkowo działania Janiny wydają się nie być do końca zaplanowane. Pierwsza ofiara ginie od jednego ciosu, jakby w afekcie. Czemu „jakby”? Bo jednak bohaterka, co sama przyznaje, nie wykluczała takiego przebiegu zdarzeń. Miała ze sobą przysze, symboliczne narzędzie zbrodni, grające w ramach przedstawionej fabuły podwójną rolę: jest to dowód i zbrodni Janiny, i zbrodni tych, których bohaterka zabija, bo czym innym, niż nie dowodem ludzkich zbrodni jest zawartość reklamówki, składająca się z poćwiartowanego ciała sarny?

Zbrodnia powtarza się więc i multiplikuje. Zabija to, co było zabite – i dosłownie, i metaforycznie:

Nie kłamałam, kiedy powtarzałam wam, że to Zwierzęta mszczą się na ludziach. Tak było w istocie. Ja byłam ich narzędziem.<sup>28</sup>

Janina wymierza więc w imieniu zwierząt karę lub – jak później wskazuje – zemstę, która ma być słuszna bez względu na to, czy bohaterka do końca rozumie jej cel:

Ja to wiem. Myślę, że się zemściły. Czasami możemy czegoś nie rozumieć, ale zupełnie dobrze to czujemy.<sup>29</sup>

Warto moim zdaniem poświęcić niego uwagi temu, w jaki sposób działania bohaterki wpływają na lokalną społeczność. Na początku, po śmierci pierwszej ofiary, nie dzieje się nic szczególnego. Ta śmierć

<sup>27</sup> Tamże, s. 298.

<sup>28</sup> Tamże, s. 302.

<sup>29</sup> Tamże, s. 203.

mogła być przypadkowa, mogła być również efektem porachunków między komendantem policji a lokalnym biznesmenem. Ludzie mnożą plotki, ale nie boją się za bardzo: to wydarzenie wydaje się związane bezpośrednio z konkretnym człowiekiem, o niezbyt dobrej opinii. Wyjaśnienia Janiny, mówiące, że może mieć to jakiś związek ze zwierzętami, nie są brane pod uwagę na poważnie. Ścisłej rzecz biorąc, nie są w ogóle brane pod uwagę. Bohaterka może więc mówić co chce, i pozostaje – jako „głupia baba” – praktycznie przezroczysta, niewidzialna. Sytuacja zmienia się wraz z kolejnymi zgonami. Wersji Duszejko dalej nikt nie traktuje serio, ale ludzie zaczynają się bać. Zaczynają mieć wrażenie, że druga śmierć nie będzie ostatnia, że będą kolejne ofiary i być może morderstwa mają coś wspólnego z jakąś bardziej powszechną przewiną.

Efekt strachu, zaafektowania społeczeństwa, wydaje się charakterystyczny dla bardzo konkretnej działalności: działalności terrorystycznej. Z morderstwa na morderstwo Janina coraz mocniej akcentuje powód zbrodni. Śmierci są coraz lepiej zaplanowane, coraz bardziej znaczące. Są komunikatem. Są sygnałem. Są zdaniem i odpowiedzią na to, co zobaczyła na zdjęciu. Zbrodnie mówią do społeczeństwa, mówią głośno i wyraźnie, choć bardzo długo nikt nie słyszy lub nie rozumie tego, co jest powiedziane<sup>30</sup>.

Rozsiewany przez Janinę terror jest jednak nieskuteczny w zasadzie do ostatniego aktu, do ataku na księdza i spalenia kościoła, a więc do momentu wyjścia poza zabijanie wyłącznie jednostek na rzecz czynu spektakularnego, widocznego i trudnego do ominięcia. Wcześniej jej intencje – a więc i wpływ – są widoczne jedynie dla tych, którzy chcą patrzeć. Dla najbliższych, którzy tuż przed tym, jak bohaterka chce im powiedzieć o swoich – i tu moim zdaniem następuje

---

<sup>30</sup> Nawiązuję tu do coraz powszechniejszych definicji terroryzmu, które widzą w nim nie tylko akt przemocy, lecz również akt komunikacji, skuteczny wtedy, gdy grupy, w które jest wymierzone, zaczynają odczuwać strach. Coraz częściej podejmuje się również problem nierównomiernej oceny etycznej „aktów terroryzmu” i „wojen”. Por. m.in. U. Steinhoff, *On the Ethics of War and Terrorism*, Oxford University Press, Oxford 2007; S. Miller, *Terrorism and Counter-Terrorism. Ethics and Liberal Democracy*, Blackwell Publishing, Oxford 2009; A. Mbembe, *Polityka wrogości, Nekropolityka*, przeł. K. Bojarska, U. Kropiwić, Karakter, Kraków 2018.

znaczące wyznanie – uczuciach i motywach (a więc o emocjach, nie o samych czynach), wyznają, że domyślili się prawdy:

Mam Merkurego w retrogradacji, więc lepiej idzie mi wypowiadanie się na piśmie niż w mowie. Mogłabym być sprawną pisarką. Ale jednocześnie mam kłopoty z tłumaczeniem swoich uczuć i motywów postępowania. Musiałam im powiedzieć i jednocześnie nie mogłam im powiedzieć. Jak to wszystko ubrać w słowa? Z czystej lojalności musiałam im wyjaśnić, zanim dowiedzą się od innych. Ale pierwszy odezwał się Dyzio.

– My wiemy, że to ty – powiedział – Dlatego tu dzisiaj przyszliśmy. Żeby coś postanowić.

– Chcieliśmy cię wywieźć – dodał Matoga grobowym tonem.<sup>31</sup>

Jednak kiedy tylko Janina staje się widoczna, musi zniknąć. Gdy tylko jej opowieść o zemście zwierząt zaczyna zyskiwać znaczenie dla postronnych obserwatorów, bohaterka sama jest zagrożona. W bliskich jej wyznanie i jej czyny nie budzą zdziwienia, choć oczywiście budzą emocje. Mimo że nie zgadzają się z jej wyborami (a przynajmniej nie wyrażają pełnej aprobaty), wydają się rozumieć, skąd wynikają. To zrozumienie wyprzedza nawet moment pełnego ujawnienia motywów, a więc najbardziej dla Janiny osobiście dotkliwej winy tych, którzy zostali zabici.

Historia Duszejko kończy się nietypowo, biorąc pod uwagę konwencję kryminału. Główna bohaterka i narratorka okazuje się mordercą, jednak – co z kolei w konwencję kryminałów do pewnego stopnia się wpisuje – nie jest to psychopatyczny zabójca, lecz morderca-mściciel. Rozwiązanie zagadki, które następuje pod koniec powieści, każe czytelnikowi jeszcze raz prześledzić pojawiające się już na pierwszych stronach książki tropy. Zdjęcie, stanowiące i dowód, i powód zbrodni, łączy otwarcie oraz zamknięcie tekstu, każąc prześledzić relacje między poszczególnymi mordami. Scena kulminacyjna, w której tożsamość mordercy ma zostać ujawniona, jest rozładowana potrójnie: po pierwsze morderca chce sam się przyznać, po drugie

<sup>31</sup> O. Tokarczuk, *Prowadź swój pług...*, s. 289.

jego wyznanie jest nieaktualne, bo bliscy już odkryli, kto stoi za poszczególnymi zbrodniami, po trzecie zaś wiedza kto zabija okazuje się w gruncie rzeczy mało znacząca, przynajmniej w porównaniu do o wiele istotniejszego z punktu widzenia fabuły rozwiązania, dotyczącego losu Dziewczynek i związanych z nimi ludzkich zbrodni.

Sprawna ucieczka bohaterki, w której pomagają przyjaciele, jest już tylko dopełnieniem historii, podobnie jak dość sielankowo opisane dalsze życie w ukryciu. Jednak choć przyroda dostarcza Janinie schronienia, ludzkie zbrodnie, w które została uwikłana, nie pozostają na nią bez wpływu. Płaci za nie cenę własnego zdrowia:

Chyba ze względu na inne powietrze i ostatnie przeżycia moje Dolegliwości nasiliły się i najczęściej po prostu siedzę, patrząc przez okno.

Kiedy zjawia się tu Boros, zawsze ma w termosie jakąś ciekawą zupę. Sama nie mam siły gotować. Przynosi mi też gazety, zachęcając do czytania, ale budzą we mnie wstręt. Gazetom zależy na tym, żeby utrzymywać nas w stanie ciągłego niepokoju, żeby kierować nasze emocje nie ku temu, czego naprawdę powinny dotyczyć. Dlaczego miałabym poddawać się ich władzy i myśleć tak, jak mi każą? Kręcę się koło domku, wydeptuję ścieżki raz w tę, raz w tamtą stronę. Zdaje się, że nie rozpoznaję własnych śladów na śniegu i wtedy pytam: kto tędy chodził?<sup>32</sup>

Nasilające się dolegliwości i niechęć do informacji ze świata sygnalizują nie tylko chęć odcięcia się od tego, co było. Choć ostatnie zdanie powieści mówi: „Ja jednak wiem, że mam jeszcze sporo czasu”<sup>33</sup>, jest raczej jasne, że słowa te wypowiedziane są w sporym stopniu autoironicznie. Czas Janiny powoli się kończy, a choć bohaterka zdaje sobie z tego sprawę i wydaje się pogodzona z losem, to w dalszym ciągu szuka możliwości scalenia swojego życia, na którym to, co musi ała zrobić, wywarło niezatarte piętno.

<sup>32</sup> Tamże, s. 314.      <sup>33</sup> Tamże, s. 315.

## 5. Ludzkimi oczami. Siła empatycznej narracji

Powieść Tokarczuk nie jest – przynajmniej na pierwszy rzut oka – książką o zwierzętach. Nie posługuje się nigdy narracją zwierzęcą, nie próbuje choćby w najmniejszym stopniu przedstawić procesu myślowego zwierząt. Dominująca jest w niej zdecydowanie ludzka perspektywa, lecz jest to zarazem perspektywa specyficzna, uzależniona od punktu widzenia narratorki. To postać Janiny jest medium, za pomocą którego widzimy zwierzęta i które – tu już odwołuję się do fabuły książki – ma służyć jako środek do wykonania zwierzęcej zemsty. Janina służy więc zwierzętom, jest – albo przynajmniej być próbuje – narzędziem w ich ręku, czyniąc to, co wydaje się jej sprawiedliwe i konieczne.

Warto pokrótce podsumować najpierw konkretne decyzje narracyjne, które służą sprowokowaniu odbiorcy do patrzenia na zwierzęta oczami bohaterki, później zaś skomentować konsekwencje tych decyzji, nie tylko fabularne, lecz i te, które dotyczą postulowanej przez tę książkę bardziej uniwersalnej zmiany w sposobie myślenia o zwierzętach. Pierwszą cechą tak prowadzonej narracji jest uniknięcie dwóch podstawowych strategii w opisie zwierząt: upodabniania ich do ludzi przez stosowanie antropomorfizującego opisu, lub też przedstawiania jako byty całkowicie różne. Tokarczuk nie decyduje się na żadną z nich. Zamiast tego proponuje postrzeganie zwierząt jako osobnych, żywych istot, nie do końca i nie zawsze zrozumiałych, ale przecież nierzadko zupełnie podobnych pod pewnymi względami do ludzi. Bohaterka powieści nie ma problemów z interpretacją większości zwierzęcych emocji: strachu, radości, szczęścia. Nie zawsze rozumie motywacje pewnych decyzji (jak decyzja suki Wielkiej Stopy o powrocie do źle traktującego ją opiekuna), ale nie zawsze rozumie również ludzkie motywacje. Równocześnie nie są nawet podejmowane próby opisu życia wewnętrznego zwierząt. Jest ono dla bohaterki dostępne tylko tak, jak dla każdego człowieka jest dostępne życie wewnętrzne innych ludzi: przez obserwację konkretnych zachowań i budowanie analogii między tymi zachowaniami a własnym procesem myślowym.

Wykluczenie narracji zwierzęcej, zawsze obarczonej ryzykiem niewiarygodności, czasem wręcz śmieszności oraz poważnymi pytaniami



o jej etyczność<sup>34</sup> oraz rezygnacja z antropomorfizacji lub chwytu, który przez analogię można określić jako egzotyżacja, sprzyja budowaniu wiarygodnego obrazu zwierząt. Jest to obraz oczywiście ludzki. Nie uciekanie od ludzkiego wymiaru narracji o zwierzętach jest moim zdaniem drugą istotną cechą prowadzonej przez Tokarczuk opowieści. Dzięki temu obraz staje się przekonujący, nie jako dokładne odbicie tego, kim są i jak funkcjonują zwierzęta, lecz przez pokazanie, że przyjęcie konkretnej perspektywy w ich postrzeganiu ma określone konsekwencje. Za najważniejsze można uznać: brak różnicowania zwierząt między sobą w hierarchiczny sposób, brak przyrównywania zwierząt do ludzi i tworzenia typologii zwierząt „lepszych” – bardziej podobnych do ludzi i „gorszych” – mocniej się od nich różniących, konieczność zmierzenia się z tym obrazem i określenia czytelnika, jak chce traktować to, co jest postrzegane i tego, który postrzega. Te dwa aspekty udaje się w powieści bardzo dobrze związać, jednak nie w taki sposób, by ocena zwierząt determinowała ocenę czynów Janiny. Wręcz przeciwnie: można przyjąć jej przekonanie, że zwierzęta powinny być pod dokładnie taką samą ochroną, jak ludzie, bo są tak samo żywymi, czującymi istotami, a zarazem uznać zemstę bohaterki za złą, zbyt okrutną i zbyt ludzką. Być może – i to moim zdaniem stanowi o wartości tej książki nie tylko w ramach dyskursu ekokrytycznego, lecz w ogóle – Janina biorąc zemstę w swoje ręce i niejako występując w imieniu zwierząt jest po raz pierwszy niekonsekwentna. Może to działanie – w jakiś sposób przecież podważające podmiotowość zwierząt, choć zarazem ją performujące przed lokalną społecznością – było nie tyle złe moralnie jako zbrodnia wobec ludzi, lecz nieetyczne wobec zwierząt?

Oczywiście, możliwa jest najzupełniej przeciwna odpowiedź na to pytanie, możliwe jest postrzeganie roli Janiny jako sprawiedliwej emanacji woli natury, lub też – to osobna, lecz tak samo uprawniona

---

<sup>34</sup> Są to pytania moim zdaniem słuszne, bo tworzenie zwierzęcej narracji prawie zawsze jest wpisywaniem ludzkich wyobrażeń o zwierzętach w tryby myślenia samych zwierząt. Może więc prowadzić nie do popularyzacji patrzenia na zwierzęta jako na w pełni autonomiczne istoty, lecz do zagarnięcia tego, co zwierzęce, przez to, co ludzkie.

interpretacja – można je postrzegać podobnie jak ocenia się działanie przyrody, czyli poza sferą etyki. Niewykluczone, że jest to działanie konieczne, by choćby względnie przywrócić równowagę, a w takim przypadku Janina jako przedstawiciel natury, który przywraca równowagę za pomocą czynu, który nie jest nieetyczny lub etyczny, lecz jest poza etyką.

Otwartość na te interpretacje – i wiele innych – sprawia, że książka Tokarczuk nie jest po prostu powieścią kryminalną o zwierzętach, lecz punktem wyjścia do uświadomienia sobie pewnej radykalnej nieprzystawalności świata ludzi i zwierząt, w którym ewentualna harmonia nigdy nie jest dana, lecz musi być budowana. Pod tym względem istotnym, trzecim już elementem stosowanej przez Tokarczuk techniki narracyjnej jest wskazywanie na radykalną barierę między ludźmi i zwierzętami. Nie jest to bariera hierarchiczna, jak przywykło się uważać, to nie wynika z ludzkiej wyższości, lecz z odmienności, która powinna być poszanowana. Tę odmienność widać bardzo dobrze, jeśli porówna się sposób, w jaki narratorka odwołuje się do przeżyć ludzi i zwierząt. W przypadku ludzi najczęściej wie, co o niej myśli (zdarza się jej słyszeć określone komunikaty, wie, że uznają ją za „starą wariatkę”), w przypadku zwierząt brakuje choćby prób takiego rozumowania. Narratorka, choć obserwuje dzikie zwierzęta, a swoimi i czasem cudzymi psami opiekuje się od lat, nie wysnuwa żadnych wniosków odnośnie tego, co myślą. Odnotowuje ich reakcje, jednak nie próbuje odkryć, zrekonstruować czy przedstawić ich życia wewnętrzne. Zatrzymuje się tam, gdzie zaczyna się autonomia zwierząt.

Jednak dostrzeganie tej różnicy służy nie tyle oddzieleniu świata ludzi i zwierząt, co podkreśleniu autonomii jednych i drugich. Zachowań zwierząt nie wyjaśnia się w ludzkich kategoriach, sposobu działania ludzi – w zwierzęcych. Istnieje od tej zasady jeden, znaczący i moim zdaniem wcale nie niwelujący różnicy wyjątek. Tym wyjątkiem są emocje.

Nie znajdziemy w książce próby udowodnienia, że zwierzęta odczuwają emocje dokładnie tak samo jak ludzie, lub że są to te same doznania. Zamiast tego zostajemy jednak skonfrontowani z bardzo przekonującymi dla każdego, kto kiedykolwiek obcował ze zwierzętami opisami przeżywania konkretnych stanów. Porównanie sytuacji,

w których się one pojawiają i ich objawów wskazuje na trudne do przegapienia podobieństwo. Jeśli coś, co robią psy na widok śniegu, wygląda dokładnie tak samo, jak dziecięca radość i zabawa, to trudno uznać, że w tym momencie zwierzęta czują coś innego niż właśnie radość<sup>35</sup>. Podobnie jest ze strachem i cierpieniem, pojawiającym się w konkretnych, prowokujących te same reakcje u ludzi sytuacjach. Trudno jest w takich przypadkach twierdzić, że choć te emocje pojawiają się w podobnych momentach i przejawiają praktycznie tak samo, to są czymś innym. Takie przedstawienie emocji budzi niekoniecznie chęć utożsamienia, lecz – i jest to moim zdaniem o wiele skuteczniejszy zabieg, nie tylko literacko, ale również z punktu widzenia budzenia ludzkiej świadomości pewnej ponadgatunkowej solidarności – empatii.

Zdolność do budzenia właśnie tej emocji jest moim zdaniem najważniejszą konsekwencją zastosowanych przez Tokarczuk strategii tekstowych. Empatia jest uczuciem, które pozwala na współprzeżywanie z inną istotą w sposób, który nie odbiera jej podmiotowości. To nie współczucie rozumiane jako litość lub żal wobec cierpiącego, lecz raczej próba akceptującego inność współ-odczuwania<sup>36</sup>. Pod tym względem empatia jest afektem, który może przekraczać gatunkowe różnice oraz prowokować do stawiania pytań o możliwość budowania relacji między ludźmi i zwierzętami, które będą równocześnie respektowały określone granice i nie dążyły do hierarchizacji. Dzieje się tak między innymi dlatego, że empatia jest jednym afektem, który wyklucza hierarchiczność. Wszystkie inne wprawdzie nie negują równości podmiotów, lecz i jej nie narzucają. Nawet uczucia, traktowane najczęściej jako bardziej znuansowane wobec afektów<sup>37</sup> hierarchiczności – niekoniecznie źle rozumianej –

---

<sup>35</sup> Radość rozumiem tu jako podstawową emocję, w różnych kulturach i wobec różnych podmiotów oczywiście odmiennie definiowaną, ale przedjęzykową i przedświadomą. Por. M. Wetherell, *Affect and Emotion, A New Social Science Understanding*, Sage, Los Angeles 2014.

<sup>36</sup> Jest to więc – zgodnie z przyjętą za S. Ahmed definicją emocji – właśnie emocja. Por. S. Ahmed, *The Cultural Politics of Emotion*, Edinburgh University Press, Edinburgh 2004, s. 208.

<sup>37</sup> Na większe ustrukturyzowanie uczuć od emocji lub afektów wskazują m.in. A. R. Hochschild, *The Managed Heart. Commercialization of Human Feeling*,

nie eliminują. Empatia zaś jest zupełnie niemożliwa, jeśli zakłada się radykalną obcość lub brak równowagi. W takich przypadkach pojawia się raczej litość, ale nie ten afekt, który zakłada pewien specyficzny proces: niemożliwości zdystansowania.

Chciałabym nieco dłużej zatrzymać się nad kategorią empatii, ponieważ wydaje się dla projektu Tokarczuk i zarazem powodzenia stosowanych przez nią strategii opisu zwierząt kluczowa. Najbardziej przekonującym moim zdaniem sposobem konceptualizacji tego pojęcia jest teoria Jill Bennett<sup>38</sup>, która wskazuje, że empatia to nie tylko i nie tyle współczucie, świadome oraz często w pewnym stopniu wymuszone (choćby naszym własnym, subiektywnym poczuciem obowiązku) uczucie czy postawa. To sytuacja, w której nawet wobec kogoś, kogo nie lubimy, z kim nie chcemy mieć nic wspólnego, kogo możemy nawet nienawidzić, nie możemy przejść obojętnie, nie możemy uniknąć afektywnej reakcji ani się na nią zamknąć. Empatia zakłada również pewną świadomość tego stanu: można nie chcieć jej odczuwać (tak, jak osoba niezbyt zainteresowana losem zwierząt może nie chcieć empatyzować z bohaterką ani z zabijanymi zwierzętami), ale wciąż jest się pod jej wpływem. Empatia jest pod tym względem wyjątkowo dotkliwym afektem, który działa bez względu na nasze chęci. Jesteśmy dotknięci, poruszeni, bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie.

Przywołana tu teza Bennett, że empatia to, z jednej strony, efekt bycia dotkniętym przez coś, z drugiej zaś skutek patrzenia na siebie czującego, doświadczającego tego dotknięcia, pozwala na radykalne przeformułowanie myślenia o empatii. Nie jest już tożsama ze współczuciem i nie jest „wczuwaniem się” w cudzą sytuację, lecz jest niemożliwością ucieczki oraz obojętności wobec drugiej istoty. Empatia wymyka się woli i świadomości, oscylując między intelektualną zgodą i zaprzeczeniem wobec uznania siebie samego za odczuwającego,

---

University of California Press, 2012 oraz kluczowy dla współczesnego myślenia o emocjach myśliciel Antonio Damasio, por. A. Damasio, *The Feeling of What Happens: Body and Emotion in the Making of Consciousness*, Mariner Books 2010.

<sup>38</sup> J. Bennett, *Empathic Vision. Affect, Trauma and Contemporary Art*, Stanford University Press, Stanford, California 2005.

pozostając doznaniem granicznym, sytuującym się na przecięciu emocji i rozumu.

Empatia rodzi bardzo konkretne konsekwencje. Jeśli odczuwamy wobec kogoś empatię, to bez względu na nasze wcześniejsze lub późniejsze przeświadczenia, widzimy go jako osobę, nie jako rzecz. Nie da się empatyzować z rozbitym czajnikiem, ze stłuczoną szklaną. Można czuć żal, że została stłuczona, bo na przykład była dla nas ważna. Jednak nie jest to ta sama emocja. Żal, że pamiątkowa rzecz została zniszczona, nakierowany jest na nas samych: żałujemy siebie, uznajemy swoją własną stratę. Podobnie jest, gdy zniszczone zostanie coś ważniejszego: dzieło sztuki czy zabytek. Wielu ludzi żałowało uszkodzenia Katedry Notre Dame, wielu odczuwało wściekłość z tego powodu. Jednak ośmielam się twierdzić, że nikt z katedrą nie empatyzował. Być może dla niektórych była to nawet niepowetowana, osobista strata – jednak w dalszym ciągu w empatii nie chodzi ani o żal, ani o utratę, ani o cierpienie. W empatii chodzi o – nawet czasową – otwartość na drugą istotę, o nagłe poczucie, że to, co się jej przydarza również mnie dotyczy i mnie dotyka. I że choćbym chciał przed tym doznaniem uciec, to nie potrafię.

Gdyby za pomocą zdolności do odczuwania empatii chciał kreślić granicę między istotami, to na pewno nie oddzielałaby ona ludzi i zwierząt. W niektórych przypadkach – co moim zdaniem ważne – jesteśmy w stanie odczuwać empatię również wobec roślin<sup>39</sup>. Nie zawsze i nie wszyscy, ale dla osób, dla których kontakt z roślinami jest istotną częścią życia, obserwowanie uszkodzonych roślin wywołuje odczucia zdecydowanie bliższe empatii, niż te, które powoduje zniszczenie choćby najcenniejszego martwego przedmiotu. Jeśli by więc pokusić się o wyznaczenie tej granicy, to biegnie ona bezdyskusyjnie między tym, co żywe, i tym, co martwe. O ile w przypadku roślin świadomość faktu, że są one żywe nie jest powszechnie zinternalizowana, o tyle

---

<sup>39</sup> Na konieczność bardziej empatycznej postawy wobec roślin wskazuje m.in. M. Marder, *Plant-Thinking. A Philosophy of Vegetal Life*, Columbia University Press 2013; por. również artykuł o formach podmiotowości uwzględniających roślinną perspektywę Z. Jakubowicz-Prokop, *Być kobietą czy być rośliną? O formach podmiotowości w Wegetariance Han Kang*, „Teksty Drugie” 2018 nr 2.

w przypadku zwierząt jest już ona raczej powszechna. Dlatego od empatii wobec zwierząt zdecydowanie trudniej uciec, a jej odczucie – nawet chwilowe – ma zdecydowanie poważniejsze konsekwencje.

Empatyczne doświadczenie, na które wystawia nas Tokarczuk, działa za pomocą specyficznej opowieści, którą – za samą autorką – można określić jako posługującą się figurą „czulego narratora”<sup>40</sup>. Jest on zdolny – i tak moim zdaniem dzieje się w przypadku tej powieści – otworzyć czytelnika na nawet niechciane doświadczenie afektywne.

## 6. Mosty między wyspami

Na początku tej części książki sformułowałam tezę, że postrzeganie zwierząt ma w Polsce (a być może i na świecie, ale ważniejszy jest tu dla mnie kontekst lokalny) charakter wyspowy. Dostrzegamy podmiotowość zwierząt, ale raczej na zasadzie wyjątku, a nie powszechnego prawa. Uznajemy niektóre wykroczenia wobec niektórych zwierząt za haniebne, jednak inne akceptujemy.

Poświęciłam tak wiele uwagi empatii, ponieważ to odczucie, ten afekt, może być skuteczniejszym sprzymierzeńcem w walce o budowanie mostów między tymi nagłymi chwilami oburzenia, niż jakakolwiek inna emocja, zdecydowanie skuteczniejszym, niż złość, żal, litość czy nawet współczucie. Skalę działania empatii pokazuje ten kluczowy dla konstrukcji powieści Tokarczuk zabieg, którym było ukrycie tożsamości Dziewczynek. Kiedy zaczęliśmy empatyzować z bohaterką, nie wiedzieliśmy, kogo straciła. Byliśmy jedynie świadomi faktu, że ta strata była dla niej bardzo dotkliwa. Zostaliśmy przez tę świadomość dotknięci. Skutków tego dotknięcia nie da się cofnąć, kiedy już dowiadujemy się, kim Dziewczynki były. Jest to niemożliwe bez względu na to, jakbyśmy zareagowali, gdybyśmy od początku znali ich tożsamość.

---

<sup>40</sup> Nawiązuję tu do wykładu Noblowskiego Olgi Tokarczuk. Por. O. Tokarczuk, *Czuly narrator*, <https://www.onet.pl/kultura/onetkultura/przemowa-noblowska-olgi-tokarczuk-pelna-tresc-odczytu-czuly-narrator/7neykfc,ddf42670> [dostęp 10 grudnia 2020].

To, jak wiele zmienia ten akurat chwyt, jest doskonale widoczne, gdy porówna się działanie powieści Tokarczuk oraz filmu Agnieszki Holland<sup>41</sup>. Oczywistym skutkiem jest przewidywalność. O wiele łatwiej odkryć oś intrygi, kiedy wiemy, że tym, kogo wciąż brakuje, są dwa psy. Jednak to nie kryminalny wątek jest – przynajmniej w powieści – najistotniejszy. Zdecydowanie ważniejsza jest próba wykreowania świata, w którym Janina niekoniecznie jest „starą wariatką”, i to mimo jej wiary w astrologię, stanowiącą w przypadku obu tekstów kultury element budujący jednak pewną obcość i dziwność bohaterki. Empatyzowanie z Janiną, mimo że – tu odwołuję się do własnego doświadczenia czytelniczego – jej zainteresowanie astrologią brałam albo ze nieszkodliwe dziwactwo, albo za rodzaj zasłony, umożliwiający jej zachowanie dystansu wobec innych ludzi, było punktem wyjścia do empatyzowania z każdym, kto był w jej świecie istotny.

Ta skomplikowana gra możliwości utożsamienia i empatii jest zaburzona, gdy od początku wiemy praktycznie wszystko. Nie tylko dlatego, że wykorzystany w powieści Tokarczuk chwyt związania ze zwierzętami przez to, jak są postrzegane przez narratorkę działa o wiele słabiej, lecz przede wszystkim dlatego, że sama bohaterka staje się zbyt przezroczysta, od razu łatwa do przewidzenia. Niejednorodność postaci, jej niewątpliwie dobre strony, a zarazem co najmniej dyskusyjne etycznie mordy, sprawiają, że – przynajmniej na emocjonalnym poziomie – uznajemy działania Janiny za możliwe do wytłumaczenia, choć niekoniecznie uważamy, że wymordowanie lokalnej elity było najlepszym wyjściem z sytuacji.

Empatia pomaga jednak w zrozumieniu cudzych motywacji, bez względu na fakt, czy uznalibyśmy taką motywację za satysfakcjonującą dla nas samych. Tym, co Janina dostaje od swoich przyjaciół nie jest przecież pochwała, nie jest nawet akceptacja jej czynów. Nikt nie wyraża swojego choćby minimalnie pozytywnego stanowiska w sprawie mordów. Jednak to nie zmienia faktu, że wszyscy nie tylko starają się zrozumieć, ale i po prostu rozumieją. Pomoc udzielana Janinie jest efektem tej empatii, a nie poparciem dla jej postępowania.

---

<sup>41</sup> *Pokot*, reż. A. Holland, K. Adamik, 2017.

Wiedza, dlaczego bohaterka morduje, nie jest więc usprawiedliwieniem, ale z całą pewnością jest wyjaśnieniem. Nie wszystkie jej argumenty są podzielane, jednak wydaje się, że prezentacja zdjęcia, które czyni z morderstw nie tylko akt sprawiedliwości wobec krzywdzonych zwierząt, ale i akt osobistej zemsty, jest lepiej rozumiana przez ludzkich towarzyszy bohaterki.

A to oznacza, że choć być może nie udaje się zlikwidować różnicy między zwierzętami „bliższymi” i „dalszymi” lub między ludźmi i zwierzętami, udaje się co najmniej zbudować most analogii między cierpieniem po stracie człowieka i po stracie zwierzęcia, między potrzebą sprawiedliwości, a może i nawet zemsty w obu przypadkach. Podobnie jest z postrzeganiem dobrostanu zwierząt, z uznawaniem ich prawa do życia. Choć większość bohaterów książki nie zawsze rozumie, że to prawo jest dokładnie takie samo, jak w przypadku ludzi, to zdają się opowiadać za uznawaniem go za zdecydowanie bardziej podstawowe, niż prawo człowieka do bogacenia się, czerpania przyjemności z zabijania zwierząt, czy nawet przyczyniania się do cierpienia zwierząt przez nieprzemysłane wybory konsumenckie.

Spektrum tego, co jest uznane za niedopuszczalne, za okrutne i zbrodnicze poszerza się więc radykalnie. Empatia z „czułym narratorem” pozwala patrzeć na zwierzęta jego oczami, a choć są to oczy ludzkie, to chcą one widzieć – i widzą – w zwierzętach inne, ciekawe, samodzielne i odczuwające emocje podmioty. A raz odczuta empatia, nawet gdy osłabnie, nigdy nie mija zupełnie, zmieniając stopniowo odczuwający podmiot i otwierając go na współ-odczuwane z tymi, którzy do tej pory wydawali się zupełnie przezroczyści, jak psy, dziki, cyraneczki, czy nawet „stara wariatka”.

W tym przypadku kluczem do pełnienia wobec zwierząt i idei ich upodmiotowienia funkcji służebnej jest po pierwsze pełne, tekstowe i konceptualne zmierzenie się z jej konsekwencjami: tak, jak Janina postrzega siebie jako narzędzie w rękach zwierząt, tak niekiedy książki Olgi Tokarczuk czytane są głównie jako teksty w pewnym sensie służebne. Jednocześnie, nie oznacza to ani braku autonomii, ani tym bardziej możliwości wyłączenia się z szeroko rozumianych konsekwencji, ponownie: zarówno tych dotyczących świata tekstowego,



jak i samej konstrukcji książki oraz relacji, którą tekst nawiązuje ze światem rzeczywistym.

Jednak, choć stanowi to warunek konieczny, to nie wystarczający. Dopiero empatia, jako afekt otwierający na inność i zarazem nie-likwidujący ani niepodważający granicy między tym, co mnie dotyczy, a tym, co dotyczy innego, a zarazem mnie przez to dotyka, stanowi spoiwo, zdolne połączyć w spójną całość dążenie do autonomii, zarówno tekstu, jak i zwierząt, z przekonaniem o konieczności zaangażowania. I choć może brzmieć w pierwszej chwili paradoksalnie, to właśnie takie połączenie zaangażowania, służebności oraz dążenia do autonomii, może prowadzić do sprężenia zwrotnego, w którym funkcje służebne wobec zwierząt i przekonanie o autonomicznej wartości tekstu nie tylko się nie wykluczają, ale wręcz mogą na siebie wzajemnie pozytywnie oddziaływać i wzmacniać swoje działanie.



## Część trzecia



## Konceptualizacje pamięci. Krótkie wprowadzenie

### 1. Uwagi wstępne

Trzecia część mojej książki poświęcona jest problematyce pamięci, a dokładniej: sposobom, w jaki koncepcje wyrosłe z badań nad pamięcią wpływają na badania nad literaturą i na odwrot, jak literatura oraz literaturoznawstwo oddziałują na współczesny namysł nad pamięcią kulturową i komunikacyjną. Ta domena badań, podobnie jak ekokrytyka, prowokuje łączenie odmiennych narzędzi teoretycznych i – analogicznie jak analizowany wcześniej prąd humanistyki – wymaga od osób zajmujących się tą problematyką podejmowania konkretnych decyzji, dotyczących stopnia i zakresu własnego zaangażowania.

Badania nad pamięcią tworzą skomplikowane – i specyficzne – relacje z zarysowywaną w tej książce koncepcją służebności. Można wyznaczyć co najmniej dwie istotne z tej perspektywy sfery: pierwsza dotyczy związków badań nad pamięcią z polityką historyczną oraz polityką pamięci, a druga relacji między szeroko rozumianą pamięciologią a poszczególnymi mediami pamięci. W tym pierwszym przypadku kluczowe jest pytanie o wektor zależności: czy – a czasem można odnieść takie wrażenie – badania nad pamięcią pełnią służebną rolę w budowaniu określonych polityk pamięci, czy też przyjmowane polityki pamięci powinny popularyzować i ułatwiać obieg pamięci komunikacyjnej oraz kulturowej. W drugiej sferze istotne jest natomiast wyznaczenie granic między służebnościami, jakie bez wątpienia pełnią określone media wobec pamięci a próbami podporządkowania autonomicznych przecież dziedzin ludzkiej aktywności dominującym, najczęściej politycznym celom.

Zanim spróbuję nieco szerzej opisać te problemy, warto zacząć od krótkiego zarysowania ramy interesujących mnie w tym dziale

książki zagadnień. Problematyka pamięci, nawet ograniczona wyłącznie do pola literatury, pozostaje zdecydowanie zbyt rozległa, by móc ją sensownie omówić w jednej, choćby w całości jej poświęconej, publikacji. Następujący w ciągu ostatnich trzydziestu już lat rozwój tej dyscypliny przyczynił się do powstawania nowych teorii, koncepcji i pomysłów, umożliwiających eksplorację coraz bardziej złożonych zagadnień<sup>1</sup>. Tematyka pamięci kulturowej jest już nie tylko dobrze znana w obrębie szeroko rozumianej humanistyki, lecz również stosunkowo dobrze i systematycznie opracowana<sup>2</sup>. Relacje między poszczególnymi koncepcjami oraz metodami badawczymi są – w porównaniu do badań o dłuższej tradycji – raczej jasne, choć oczywiście „badania nad pamięcią” stanowią obecnie etykietę, którą można – zgodnie z prawdą i rzetelnie – posłużyć się przy opisie zasadniczo różniących się projektów<sup>3</sup>. Dlatego też, mimo że spora część teorii, które będą

---

<sup>1</sup> Podstawowe koncepcje, takie jak pamięci kulturowej i komunikacyjnej oraz miejsc, ulegają komplikacji przez wprowadzenie m.in. koncepcji pamięci drugiego pokolenia, zmiany postrzegania funkcji pamięci (docenienie roli zapominania), komplikacji definiowania pamięci przez coraz szerszą współpracę z biologami, przejście od postrzegania relacji między pamięciami narodowymi jako konfliktowych na rzecz dialogicznych, zaakcentowania roli przyszłości w badaniach nad pamięcią i tak dalej. Są to tylko niektóre zmiany, przyczyniające się do równoczesnego ożywiania i komplikowania badań nad pamięcią. Do sporej części z nich wrócę na kolejnych stronach tej części książki.

<sup>2</sup> Również na gruncie polskim, o czym świadczą m.in. prace R. Sendyki (*Miejsca, które straszą (afekty i nie-miejsca pamięci)*, „Teksty Drugie” 2014 nr 1); G. Niziołka (*Polski teatr Zagłady*, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego i Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013), książki opisujące wyparte aspekty Zagłady (m.in. *Opowieść o niewinności. Kategoria świadka Zagłady w kulturze polskiej (1942–2015)*, red. M. Hopfinger, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2018; T. Żukowski, *Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów*, Wielka Litera, Warszawa 2018; *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, t. I i II, red. B. Engelking, J. Grabowski, D. Libionka i in., Warszawa 2018; książki Joanny Tokarskiej-Bakir, w tym *Pod kłatwą. Społeczny portret pogromu kieleckiego*, Warszawa 2018, etc.). Są to tylko wybrane przykłady wartościowych i dyskutowanych monografii naukowych.

<sup>3</sup> Warto wspomnieć, zwłaszcza na polskim gruncie, o co najmniej kilku ciekawych konceptualizacjach badań nad pamięcią dokonywanych przez młode pokolenie badaczy, w tym: badań nad pamięcią Holokaustu (por. m.in., K. Bojarska, *Wydarzenia po Wydarzeniu. Białoszewski-Richter-Spiegelman*, Warszawa 2012;

eksplorować w ramach tego działu ma już ugruntowaną w Polsce pozycję, nie pominę omówienia tych najważniejszych z przyjętej tu perspektywy.

W zdaniach otwierających tę część książki nie bez powodu użyłam kilku podobnych, lecz odmiennych dookreśleń pojęcia „pamięć”. W ramach tej książki interesować mnie będzie raczej pamięć zbiorowa, niż indywidualna, utrwalona kulturowo lub komunikacyjnie i wciąż żywa, niż zajmująca niszę – lub – posługując się pojęciem Aleidy Assmann – znajdująca się wciąż w schowku pamięci<sup>4</sup>, a próbując jeszcze dokładniej określić mój punkt zainteresowania: pamięć, która zmienia się z indywidualnej w zbiorową, z komunikacyjnej w kulturową, ze zbieranej – w zbiorową. Skoro interesują mnie przejścia i punkty graniczne, dla których opisu używam konkretnych kategorii, warto na początek poświęcić nieco uwagi samym pamięciologicznym pojęciom.

Pierwsza wzmiankowana para, a więc pamięć kulturowa i komunikacyjna, to kategorie opisane i wprowadzone do badań nad kulturą przez Jana Assmanna<sup>5</sup>. Badacz ten wskazywał na zasadnicze różnice między pamięcią indywidualną, a więc ograniczoną do świadomości konkretnej jednostki oraz pamięcią zbiorową, przekraczającą jednostkową jaźń. Pamięć zbiorowa, która może być i pamięcią narodów, i określonych grup społecznych, dzieli się z kolei na pamięć kulturową i komunikacyjną. Każdy z tych typów posiada jedną wspólną cechę:

---

A. Szczepan, *Krajobrazy postpamięci*, „Teksty Drugie” 2014 nr 1), polskiej kultury pamięci (M. Kobielska, *Polska kultura pamięci w XXI wieku: dominanty. Zbrodnia katyńska, powstanie warszawskie i stan wojenny*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2016), pamięci Ziem Odzyskanych (m.in. K. Siewior, *Wielkie poruszenie. Pojałtańskie narracje migracyjne w kulturze polskiej*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2018; M. Praczyk, *Pamięć środowiskowa we wspomnieniach osadników na „Ziemiach Odzyskanych”*, Instytut Historii UAM, Poznań 2018).

<sup>4</sup> Nawiązuję tu do kilku krzyżujących się podziałów, występujących w ramach badań nad pamięcią, z których najważniejsze zostały omówione przez A. Assmanna, (*Cultural Memory and Western Civilization. Functions, Media, Archives*, Cambridge University Press, Cambridge 2011), A. Erll (*Memory in Culture*, transl. S. B. Young, Palgrave Macmillan, 2011) oraz J. Olicka (*The Politics of Regret...*).

<sup>5</sup> Por. J. Assmann, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, przeł. A. Kryczyńska-Pham, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008.

pamięć jest zawsze zależna od terażniejszości, jest tym, co rekonstruujemy zależnie od potrzeb społecznych. Nie jest więc prostą konsekwencją przeszłości lub wręcz przeszłością samą, jedynie utrwaloną lub zapisaną w określony sposób.

To zaś oznacza, że przeszłość nie tyle odradza się w pamięci na nowo, lecz że jest w niej rekonstruowana – zazwyczaj więcej niż raz – i zarazem odgrywana w taki sposób, by odpowiadać na współczesne potrzeby. Sposób, w jaki Assmann interpretuje działanie pamięci zbiorowej jest zakorzeniony w myśleniu o pamięci rozpowszechnionym przez Maurice'a Halbwachsa, zwłaszcza zaś przekonaniu socjologa o jej społecznych uwarunkowaniach. Halbwachs, korzystający z kolei z poglądów Emila Durkheima (a zwłaszcza koncepcji „wyobrażeń zbiorowych”)<sup>6</sup> zwracał w swoich badaniach uwagę na fakt, że pamięć społeczna jest czymś więcej i czymś innym, niż tylko sumą indywidualnych wspomnień. Praca pamięci, zwłaszcza ponadindywidualnej, zawsze korzysta z określonych ram, ułatwiających nabywanie wspomnień, ich rozpoznawanie i lokalizowanie.<sup>7</sup> Przypominanie sobie rzeczy, które już się wydarzyły, a więc aktywowanie określonej pamięci, odbywa się zazwyczaj przy współudziale innych osób: lokalizowane wspomnienia są konfrontowane z pamięcią innych oraz naszą wiedzą o świecie. Proces pamiętania nie jest więc czymś osobnym od innych życiowych doświadczeń, wręcz przeciwnie – pamiętanie i przypominanie jest uzależnione od tego, co wydarza się aktualnie:

Trzeba jednak dokonać wyboru między dwiema koncepcjami. Jeśli przez wspomnianie rozumie się nie rekonstrukcję przeszłości, lecz raczej, czy nawet wyłącznie, powtórnie jej przeżycie, to rozmaite wydarzenia z przeszłości winny jedno po drugim, każde z osobna, pojawiać się na nowo w naszej świadomości. Jeśli nawet nie zgodzimy się z tym, że następuje między nimi nieprzerwanie ciągłość, nie można zaprzeczyć, że każde wspomnienie trwa jednak pewną określoną chwilę w czasie. Jeśli zostało zachowane w pamięci i może pojawić

---

<sup>6</sup> M. Król, *Wstęp do wydania polskiego*, [w:] M. Halbwachs, *Społeczne ramy pamięci*, przeł. M. Król, PWN, Warszawa 1969, s. x.

<sup>7</sup> Tamże, s. 172.



się takie, jakim niegdyś było, to przywołujemy je ze względu na nie samo, a nie ze względu na powiązanie z innymi wspomnieniami.<sup>8</sup>

Przypominanie i pamiętanie jest aktem świadomym, wymagającym zaangażowania podmiotu oraz – co najważniejsze – selektywnym. Nie pamiętamy wszystkiego, co nam się wydarzyło, lecz jedynie niektóre rzeczy. Najczęściej te, które są niesprzeczne z funkcjonującymi już ramami pamięci. Gdybyśmy byli ich pozbawieni (a pozbawiony ich jest zdaniem Halbwachsa między innymi afatyk, który choć może mieć dostęp do konkretnych wspomnień, nie jest w stanie związać ich ze sobą i z teraźniejszością, a więc nie może wytworzyć spójnego ciągu zdarzeń biegnącego między przeszłością a teraźniejszością<sup>9</sup>), nie byłibyśmy w stanie przekazywać innym swoich wspomnień oraz komunikować się na ich temat. Funkcjonowanie ram gwarantuje więc pewną trwałość i przekazywalność pamięci. Pierwsze społeczne ramy pamięci, w których uczymy się zdaniem socjologa funkcjonować, kształtowane są przez rodzinę. Działając w nich, uczymy się rekonstruować i komponować wspomnienia, tak, by odpowiadały równocześnie indywidualnej pamięci i ponadindywidualnym, społecznym ramom. Zarazem, jak zauważa badacz, rekonstrukcja samej pamięci pociąga za sobą – raz mniejszą, a raz większą – zmianę jej ram. Te dwa aspekty pamiętania (bo są to raczej aspekty działania jednego mechanizmu, niż poszczególne części), wzajemnie się warunkują i wpływają na siebie:

między ramami i wydarzeniami zachodziłaby identyczność natury, wydarzenia są wspomnieniami, ale ramy są także zbudowane ze wspomnień. Byłaby pomiędzy nimi taka różnica, że ramy są bardziej stałe, że od nas zależy, czy je w każdej chwili postrzegamy i czy posługujemy się nimi do odnalezienia i odtworzenia wspomnień (...).<sup>10</sup>

Proces uzgadniania, negocjowania lub komponowania wspomnień decyduje, zdaniem Halbwachsa, o ponadindywidualnym charakterze każdej pamięci. Jednak o ile indywidualne wspomnienia są raczej konfrontowane z ramami pamięci rodzinnej, o tyle istnieje grupa

<sup>8</sup> Tamże, s. 55–56.

<sup>9</sup> Tamże, s. 118–119.

<sup>10</sup> Tamże, s. 149–150.

wspomnień, która dotyka określonych zbiorowości. Oba typy korzystają jednak z konkretnych, choć różnych od siebie ram, i oba są istotne zarówno dla kształtowania tożsamości jednostek, jak i społeczeństw.

Halbwachs pokazuje więc w swoich badaniach dwutorową zależność: wspomnienia indywidualne są współkształtowane z ponadindywidualnych ram pamięci, a zarazem pamięć zbiorowa, choć wydaje się czymś więcej, niż sumą pamięci indywidualnych, z tychże pamięci indywidualnych korzysta. Na tych spostrzeżeniach opierał się właśnie Jan Assmann, uznając, że każdy rodzaj pamięci jest zawsze rekonstruktywny i – co ważne – zasadza się na funkcjonowaniu ponadindywidualnych, społecznych, zbiorowych lub narodowych ram pamięci:

A zatem pamięć działa rekonstruktywnie. Nie przechowuje przeszłości jako takiej. Przeszłość jest ciągle reorganizowana przez zmienne ramy odniesień teraźniejszości. Także to, co nowe, pojawiać się musi zawsze w postaci zrekonstruowanej przeszłości. Tradycję wymienia się jedynie na inną tradycję, przeszłość na inną przeszłość.<sup>11</sup>

Assmann przejmuje więc za Halbwachsem przekonanie o społeczno-konstruktywistycznym charakterze pamięci. Kategorią nadrzędną będzie więc dla badacza pamięć zbiorowa, nieredukowalna do sumy pamięci indywidualnych. Ten typ pamięci, należący zdaniem Assmanna do kultury, a więc będący pewnym konstruktem, wytworem ludzkim, nie zaś do natury, historyk podzieli na dwa podtypy: pamięć kulturową i komunikacyjną. Rozdział ten opiera się na kryterium społecznym: pamięć kulturowa jest pamięcią utwaloną w przekazach, niemożliwą do przekazania bezpośrednio, gdyż obejmuje wydarzenia, których bezpośredni świadkowie już nie żyją. Pamięć kulturowa nie ma już świadków, lecz ma media, w których może być utwalona. Tymi mediami są różne, także oralne, typy tekstów kultury. Co ważne, jednym z nich są również teksty fikcyjne, a więc – teoretycznie rzecz biorąc – niekoniecznie nastawione na przekazywanie „prawdy” lub „historii”. Właśnie w tym rozszerzeniu mediów pamięci o to, co

---

<sup>11</sup> J. Assmann, *Kultura pamięci*, [w:] *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka*, przeł. M. Saryusz-Wolska, Universitas, Kraków 2009, s. 73.

dotąd uznawane za nieprzydatne dla klasycznie rozumianej historiografii tkwi różnica między pamięcią a historią: pamięć i badania nad pamięcią nie dążą do wiernej rekonstrukcji przeszłości takiej, jaka była rzeczywiście (i poniekąd podważają możliwość dotarcia do przeszłości rozumianej jako coś obiektywnego), lecz do utrwalenia często różnorodnej pamięci o niej.

Pamięć komunikacyjna różni się od kulturowej zasięgiem i czasem trwania. Może oczywiście używać mediów, lecz oprócz nich potrzebuje również świadków: tych, którzy przeżyli i doświadczyli określonych wydarzeń. Posługuje się nią najczęściej pierwsze, drugie i trzecie pokolenie – osoby, które mogły mieć bezpośredni kontakt ze świadkami. Jej zasięg – zwłaszcza w kulturach pozbawionych mediów szerokiego oddziaływania – jest zawsze węższy niż pamięci kulturowej, utrwalonej w istotnych dla społeczności tekstach kultury. Pamięć komunikacyjna jest mniej trwała, ma mniejszy zasięg, lecz jest żywsza, bardziej podatna na zmiany i zdecydowanie mniej usystematyzowana. Pamięć kulturowa przechowuje zaledwie część wspomnień istotnych wcześniej dla pamięci komunikacyjnej, ale jest od niej trwalsza, choć – nie niezmienna. Zapominanie jest częścią funkcjonowania obu tych systemów pamięci.

Dla scharakteryzowania dynamiki funkcjonowania współczesnej pamięci bardzo przydatne są również teorie wybitnych pamięciolożek, szczególnie – Aleidy Assmann. Spośród różnych wytworzonych przez badaczkę koncepcji, najbardziej przydatne okażą się rozróżnienia na pamięć jako *ars* (sztuka zapamiętywania) i jako *vis* (zespół działań i artefaktów służących budowaniu oraz utrwalaniu pamięci) oraz pamięć magazynującą i pamięć funkcjonalną<sup>12</sup>.

Z perspektywy tej książki pamięć jako *ars*, a więc sztuka zapamiętywania, ma najmniejsze znaczenie. Zdecydowanie większe ma pamięć jako *vis*, a więc działanie pamięci, służące jej budowaniu i utrwalaniu. Każdy tekst kultury, który opiera się na jakiejś wizji przeszłości lub ją wytwarza, działa w tym właśnie obrębie, tworzy pamięć. Wszystko, co w jakikolwiek sposób zapamiętane (albo indywidualnie, albo utrwalone w mediach lub nośnikach pamięci) składa się na to,

---

<sup>12</sup> Por. A. Assmann, *Przestrzenie pamięci...*, s. 107.

co Assmann określa jako pamięć magazynującą. Jak nazwa wskazuje, obejmuje wszystko, co nie zostało zapomniane, a więc zdecydowanie więcej niż to, co jest nam potrzebne do funkcjonowania, więcej też, niż jesteśmy w stanie sobie w danym momencie przypomnieć.

Pamięć funkcjonalna jest zdecydowanie uboższa od pamięci magazynującej. Mieści się w niej tylko to, co aktualnie pamiętane lub przypomniane. Choć oba typy pamięci – funkcjonalna i magazynująca – mają związek nie tylko z przeszłością, ale i z terażniejszością, relacja pamięci funkcjonalnej z „teraz” jest zdecydowanie silniejsza. Pamięć magazynująca przechowuje to, co raz zapamiętane, choćby zapamiętane było w dalekiej przeszłości. Pamięć funkcjonalna przywraca terażniejszości te zapamiętane elementy, ale zarazem – pozwala na ich rekonstrukcję, na zamianę:

Pamiętanie jest zasadniczo procesem rekonstruktywnym; za punkt odniesienia przyjmuje się niezmiennie terażniejszość, a tym samym prowadzi niechybnie do przesunięcia, deformacji, zniekształcenia, przewartościowania, odnowienia pamiętanych treści w chwili ich odtworzenia.<sup>13</sup>

Relacja między pamięcią funkcjonalną a pamięcią magazynującą jest dynamiczna: to, co raz zapamiętane może być zawsze przypomniane, a to, co aktualnie pamiętane, może z powrotem stać się składnikiem wyłącznie pamięci magazynującej. Co ważne, każdy rodzaj pamięci, a więc pamięć zbiorowa, indywidualna, społeczna i polityczna funkcjonuje w oparciu o dynamikę pamięci funkcjonalnej i magazynującej<sup>14</sup>. Ponadto, jak wskazuje badaczka, relacje między pamięcią indywidualną a ponadindywidualną także mają dynamiczny charakter – nie jest tak, że dane wydarzenie musi być pamiętane wyłącznie w określony sposób lub być składową tylko jednego typu pamięci.

<sup>13</sup> A. Assmann, *Przestrzenie pamięci...*, s. 119.

<sup>14</sup> A. Assmann, *Re-framing Memory. Between Individual and Collective Forms of Constructing the Past*, [w:] *Performing the Past Memory, History, and Identity in Modern Europe*, eds. K. Tilmans, F. van Vree and J. Winter, Amsterdam University Press 2010, s. 36.

Wynika to z faktu, że choć pamięć indywidualna jest podstawą wszystkich wyróżnianych przez Assmann typów pamięci ponadindywidualnej (społecznej, politycznej, kulturowej<sup>15</sup>), to – póki nie zostaje objęta szerszą ramą – jest płynna i podatna na zmiany. Warunkuje więc pamięć społeczną (wpływającą z kolei na pamięć polityczną oraz kulturową), ale i jest przez nią współkształtowana. W tym – z gruntu rekonstruktywnym procesie – duże znaczenie odgrywa teraźniejszość, która wyznacza możliwe do pamiętania obrazy przeszłości<sup>16</sup>.

Dynamika funkcjonowania pamięci jest zatem w teorii Assmann pochodną licznych przejść: między poszczególnymi typami pamięci (jak pamięć indywidualna, społeczna, etc.), jej rozumieniami (jako *ars* i jako *vis*) oraz funkcjami lub trybami działania (pamięć magazynująca i pamięć funkcjonalna), a także efektem działania odmiennych mediów pamięci.

Tym, co Assmann określa jako medium pamięci, są wszelkie typy utrwalonych form pamiętania. Medium pamięci – tak zbiorowej, jak i indywidualnej – może być i jednostkowa jaźń, i poszczególne artefakty dotyczące pamięci: muzea, pomniki, przekazy ustne i archiwalne, ale również każdy rodzaj sztuki, w tym – literatura. Literatura zajmuje zdaniem pamięciolożki wyróżnioną pozycję wśród odmiennych mediów pamięci, gdyż pismo i sam akt pisania jest zdaniem badaczki jedną z najtrwalszych i najstarszych metafor i zarazem modeli pamięci:

Pisanie jest nie tylko sposobem na osiągnięcie nieśmiertelności, wspomaga także pamięć. Proces pisania na czymś, albo wpisywania czegoś w coś, jest najstarszą i – mimo długiej historii wszystkich mediów – wciąż najbardziej wyraźną metaforą pamięci.<sup>17</sup>

Sztuka pełni wobec każdego typu pamięci specyficzne funkcje, najczęściej – schowka (jest więc przestrzenią umożliwiającą

---

<sup>15</sup> Relacje między tymi typami pamięci relacjonują szerzej m.in. w książce *Poetyki pamięci. Współczesna poezja wobec tradycji i pamięci*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2016, s. 142–145.

<sup>16</sup> A. Assmann, L. Shortt, *Memory and Political Change...*, s. 3–5.

<sup>17</sup> A. Assmann, *Cultural Memory and Western Civilization. Functions, Media, Archives*, Cambridge University Press, Cambridge 2011, s. 174.

magazynowanie pamięci) oraz forum przekazu i rekonstrukcji pamięci (co łączy się z rolą pamięci funkcjonalnej). Jednocześnie, co badaczka podkreśla, współczesna kultura, coraz szerzej korzystająca z nowych mediów, zwraca się mocniej w stronę kultury uwagi (skupionej raczej na tym, co aktualnie ważne lub modne), nie zaś kultury pamięci, nastawionej na tworzenie stosunkowo stabilnego stanu wiedzy o świecie<sup>18</sup>.

Przedstawiony tu – skrótowo i schematycznie – model funkcjonowania pamięci oraz jej mediów jest rozwijany między innymi przez Astrid Erll. Autorka *Memory in Culture* dokonuje kilku różnic, które pozwalają jej precyzyjniej określić specyfikę działania poszczególnych typów pamięci. Pierwsze dotyczy dwóch różnych rozumień „pamięci zbiorowej”, którą można interpretować albo jako pamięć gromadzoną<sup>19</sup> (*collected memory*) – składają się na nią indywidualne wspomnienia określonych osób, porządkowane według konkretnej społecznej ramy, albo jako pamięć danej zbiorowości (*collective memory*). Pamięć danej zbiorowości nie jest w tym przypadku sumą pamięci indywidualnych, lecz tworem o nieco odmiennym charakterze.

Dla pamięci zbiorowej, która zdaniem Erll najczęściej obejmuje oba szkicowo opisane typy pamięci, niektóre teksty kultury mają zdecydowanie większe znaczenie, niż inne. Szczególnie istotne są te, które w sposób mniej lub bardziej świadomy, odwołują się do sposobów działania pamięci zbiorowej, kulturowej i indywidualnej. Podobnie jak Aleida Assmann wyraźnie uprzywilejowuje w swojej

---

<sup>18</sup> A. Assmann, *The Printing Press and the Internet: From a Culture of Memory to a Culture of Attention*, [w:] *Globalization, Cultural Identities and Media Representations*, eds. N. Gentz, S. Kramer, State University of New York Press, New York, 2006, s. 11.

<sup>19</sup> Termin ten Magdalena Saryusz-Wolska tłumaczy jako „społecznie ukształtowaną pamięć indywidualną”. Por. A. Erll, *Literatura jako medium pamięci zbiorowej*, przeł. M. Saryusz-Wolska, [w:] *Pamięć zbiorowa...* Termin ten nawiązuje również do koncepcji J. Olicka, wyróżniającego „pamięć zbieraną” (por. tłumaczenie terminu „*collected memory*” proponowane przez M. Kobielską, autorkę poświęconego książce Olicka artykułu *Pamięć zbiorowa w centrum nowoczesności. Ujęcie Jeffreya K. Olicka*, „Teksty Drugie” 2010 nr 6, s. 181).

typologii literaturę, a dokładniej książki, które nie są „o” pamięci, ale które odpowiadają na określone potrzeby związane z pamiętaniem:

Realizują takie założone funkcje pamięciowo-kulturowe, jak przekaz schematów potrzebnych do kodowania biografii, kształtowanie wyobrażeń na temat zdobytych doświadczeń życiowych, cyrkulacja obrazów historii, negocjacje między konkurującymi ze sobą pamięciami, jak również refleksja nad problemami i procesami zachodzącymi w obrębie pamięci zbiorowej. Literatura działa więc w obrębie pamięci.<sup>20</sup>

Z przekonania o szerokich związkach literatury z pamięcią wynika następująca, istotna dla mnie, typologia Erll, w której badaczka wskazuje na istnienie „tekstów kulturowych” i „tekstów zbiorowych”. Te pierwsze pełnią dla pamięci głównie funkcję magazynującą, stanowiąc rezerwuuar sposobów pamiętania i pełniąc szczególną, często kanoniczną, rolę kulturową:

Teksty kulturowe różnią się od literackich innym sposobem przyswajania i egzegezy. Zamiast samotnej lektury, estetycznego dystansu i pożądania nowości odbiorcą tekstów kulturowych charakteryzuje „uwielbienie, wielokrotne studia oraz przejęcie”.<sup>21</sup>

Ich rola wobec literatury ma charakter normatywny oraz formatywny, stanowiąc ważny czynnik dla identyfikacji i podtrzymywania tożsamości określonych grup społecznych. Dzięki temu ich działanie sięga do pamięci funkcjonalnej, która aktywuje zawarte w tekstach kulturowych formuły tożsamościowe. Pod tym względem literatura – zdaniem niektórych badaczy, w tym i Astrid Erll – pełni wobec pamięci funkcję w pewnym stopniu służebną, przechowując i aktywując określone kody pamięci. Nie oznacza to przy tym, że tak rozumiana służebność musi z góry ograniczać autonomię tekstów literackich, ani tym bardziej – podporządkowywać ją określonym celom i funkcjom.

<sup>20</sup> A. Erll, *Literatura jako medium...* s. 229.      <sup>21</sup> Tamże, s. 230.

Teksty zbiorowe działają nieco inaczej. Są wciąż żywe i dyskutowane, zapewniając stałą cyrkulację określonym wzorcom lub wersjom pamięci. Nie należą one do literackiego lub kulturowego kanonu, ale są popularne i jako takie decydują o podstawowych dla danej społeczności ramach pamięci:

Miejsca, gdzie literatura rozwija swe działanie jako medialna rama pamięci, to źródła „paradygmatów kulturowych”. Z dzieł literackich wywodzą się bowiem modele i schematy, które wstępnie kształtują nasz kontakt z rzeczywistością, formują wyobrażenia o przeszłości oraz wpływają na nasze nawet najbardziej osobiste wspomnienia.<sup>22</sup>

Co ważne, w danej grupie społecznej może funkcjonować – i zazwyczaj działa – więcej niż jeden określony sposób pamiętania. Literatura zapewnia im przetrwanie, wyraźnie utrudniając konsolidację pamięci wokół tylko jednej, zazwyczaj wyłączającej, wersji myślenia o przeszłości.

## 2. Interakcje pamięci. Konkurencja, konflikt czy dialog?<sup>23</sup>

Starałam się – skrótowo – pokazać, iż pamiętanie i konstruowanie pamięci ponadindywidualnej ma zawsze dynamiczny charakter. Nie można więc w zasadzie mówić – ani w odniesieniu do jednostek, ani grup społecznych lub narodowych – o jednej pamięci. Co jednak dzieje się w sytuacji istnienia różnych, czasem wzajemnie się wykluczających wersji pamięci? Jest to zagadnienie, które od lat dzieli badaczy i które staje się coraz ważniejsze we współczesnych badaniach nad pamięcią, mimo powstawania kolejnych koncepcji dotyczących

---

<sup>22</sup> A. Erll, *Literatura jako medium...*, s. 226.

<sup>23</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/HS2/00079.



tworzenia niekonkurencyjnych wersji pamięci zbiorowych, pamięci dialogicznej<sup>24</sup> lub też pamięci wielokierunkowej<sup>25</sup>.

Pytanie to jest – zwłaszcza w kontekście polskich badań nad pamięcią – szczególnie istotne i wciąż otwarte. Choć przeszłość oraz pamięć o niej jest ważna dla każdego społeczeństwa, nie w każdym pełni te same funkcje, nie w każdym również ma tak duże znaczenie, jak w polskim. Jak zauważa Ryszard Nycz w artykule stanowiącym otwarcie pierwszego tomu dotyczącego polskiego dyskursu postzależnościowego:

Ludzkie sposoby radzenia sobie z opresywnymi, deprecjonującymi, kryzysowymi doświadczeniami to problem uniwersalny, acz w każdej kulturze przybierający odmienne postaci i różną zyskującą rangę ważności. Wiele wskazuje na to, że dla polskiej kultury ten właśnie problem ma znaczenie zasadnicze i ciągle nieprzedawnione, a sposoby jego rozwiązywania (...) decydowały i decydują m.in. o wyborze strategii tożsamościowych, polityce pamięci i cechach symbolicznego imaginarium oraz preferowanych stylach życia i działania (...).<sup>26</sup>

To zaś oznacza, że odpowiedź na pytanie o możliwość kształtowania otwartej, niekonfliktowej pamięci determinuje nie tylko teoretyczne rozważania na temat możliwych funkcji pamięci, ale może również wpływać na współczesne polityki pamięci, kształtowane często – nawet w obrębie jednego społeczeństwa, co nasze własne dobitnie pokazuje – w głęboko sprzeczny sposób.

Problem konfliktów pamięci, choć widoczny we współczesnych badaniach już w zasadzie od momentu szeroko rozumianego *memory boom'u*, początkowo funkcjonował raczej na obrzeżach tej dyscypliny. Na początkowym etapie rozwoju pamięciologii centralnym

<sup>24</sup> Por. A. Assmann, *Podzielona Pamięć Europy. Koncepcja pamięci dialogicznej*, [w:] *Dialog kultur pamięci w regionie ULB...*

<sup>25</sup> M. Rothberg, *Pamięć wielokierunkowa...*

<sup>26</sup> R. Nycz, *Wprowadzenie. Nie leczony, chroniczny pogłos. Trzy uwagi o polskim dyskursie postzależnościowym*, [w:] *Kultura po przejściach, osoby z przeszłością. Polski dyskurs postzależnościowy – konteksty i perspektywy badawcze*, red. R. Nycz, Universitas, Kraków 2011, s. 7.

wyzwaniem, które stało przed tą dziedziną badań, było wypracowanie własnego języka teoretycznego oraz diagnozowanie funkcji, trybów oraz sposobów działania pamięci. Jednakże – jak pokazują chociażby dość wczesne uwagi Aleidy Assmann<sup>27</sup> – nie był on wcale pomijany. Wraz z upływem lat i coraz lepszym rozpoznaniem możliwych form pamięci, kwestia pamięciowych konfliktów powoli, ale nieuchronnie przენosi się z obrzeży dyskusji do jej centrum.

Za pierwsze oznaki tego przemieszczenia można uznać pojawiające się od czasu do czasu wśród niemieckich teoretyków spostrzeżenia na temat konkurencyjności poszczególnych wersji pamięci. Pisząc o konkurencyjności nie mam na myśli faktu, że zawsze istniały i będą istnieć sprzeczne wersje pamięci lub takie jej odmiany, które były tworzone z zupełnie odmiennych perspektyw i przez to nie mogą się ze sobą spotkać. Piszę o sytuacji mniej jednoznacznej, a zarazem o wiele bardziej – i z teoretycznego, i z praktycznego punktu widzenia – problematycznej. Jak zauważała Aleida Assmann, określone wydarzenia pełnią szczególną rolę w budowaniu zbiorowych pamięci, a to, które z nich będą jej podstawą ma ogromne znaczenia dla kształtowania tożsamości społecznej i narodowej. Tymczasem – jak stwierdza badaczka – wybór określonego wydarzenia jako formacyjnego ma wpływ nie tylko na pamięć konkretnej zbiorowości, ale wchodzi również w interakcję z pamięciami zbiorowymi innych grup. W przypadku, gdy wspomniane pamięci dotyczą podobnego okresu i doświadczeń, często dochodzi do specyficznej sytuacji współzawodnictwa<sup>28</sup>. By lepiej ten proces wyjaśnić, warto odwołać się do przykładu, którym posługuje się sama Assmann: dla europejskiej pamięci II wojny światowej istotnym wydarzeniem jest powstanie w getcie warszawskim. Jest ono postrzegane jako tak ważne, ponieważ stanowi przykład radykalnego oporu, który wydarza się w miejscu

---

<sup>27</sup> Por. A. Assmann, *Przestrzenie pamięci. Formy i przemiany pamięci kulturowej*, przeł. P. Przybyła, [w:] *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka*, red. M. Saryusz-Wolska, Universitas, Kraków 2009, s. 106 i nast.

<sup>28</sup> Z podobnego założenia wychodzą twórcy projektu *Memory at War*, w którym są opracowywane i konfrontowane ze sobą wydarzenia o potencjale konflikowania poszczególnych nacji i społeczeństw, szczególnie dotkniętych działaniami wojennymi. Por: <http://www.memoryatwar.org> [dostęp: 10 stycznia 2020].

i momencie zupełnie nieprawdopodobnym. To zdarzenie niejako łamie logikę nazistowskiego terroru, przez co stanowi ważny punkt pamięci o Holokauście. Jednakże pamięć o powstaniu w getcie warszawskim ma swoje skutki także dla innych typów pamięci zbiorowej, zwłaszcza zaś – dla pamięci o innym powstaniu, które miało miejsce w tym samym mieście, nieco ponad rok później. O ile bowiem powstanie warszawskie jest – zwłaszcza teraz – centralnym punktem polskiej polityki pamięci, to poza nią praktycznie nie funkcjonuje. W szerszej niż polska perspektywie pamięci zostaje niejako przykryte, zasłonięte powstaniem w getcie. W przypadku polskiej pamięci zbiorowej sytuacja jest odwrotna: powstanie warszawskie jest pamiętane i wspominane w tak aktywny sposób, że niewiele miejsca w publicznym dyskursie pozostaje dla powstania w getcie.

Jak pokazuje analizowany przez Assmann przykład, powstanie jako wydarzenie burzące porządek wojny idealnie nadaje się na fundament określonej pamięci zbiorowej. Nie dziwi więc, dlaczego powstanie warszawskie – mimo wszystkich kontrowersji – jest tak istotne dla polskiej pamięci zbiorowej. Równie łatwo zrozumieć, dlaczego powstanie w getcie ma tak ogromny potencjał pamięciotwórczy dla szerszej rozumianej europejskiej pamięci o II wojnie światowej. Tym jednak, co naprawdę interesujące, jest pojawiająca się konkurencja między tymi pamięciami i między tymi szczególnymi wydarzeniami, które odgrywają wobec nich rolę fundacyjną.

Można zaryzykować tezę, że dla w gruncie rzeczy bliskich pamięci zbiorowych, które można z grubsza określić jako polską i europejską, dwa powstania to za dużo. Posługując się klasyczną już terminologią Aleidy Assmann, za każdym razem jedno z nich trafia do pamięci magazynującej, drugie zaś do funkcjonalnej<sup>29</sup>. Choć oba stanowią pod tym względem element pamięci komunikacyjnej, tylko jedno jest nie tylko zapamiętane, ale i pamiętane, przypominane oraz utrwalane. To zaś oznacza, że konkurują ze sobą nie tylko poszczególne wizje lub polityki pamięci, ale również określone wydarzenia, które mają dla pewnych typów pamięci szczególny potencjał. Zjawisko to może się wydać bardziej zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę koncepcję

---

<sup>29</sup> Por. A. Assmann, *Przestrzenie pamięci...*, s. 107 i nast.

Lauren Berlant dotyczącą afektywnego wpływu wydarzeń, które redefiniują normy i reguły społeczne<sup>30</sup>. Dwa powstania, wybuchające w podobnym miejscu i okresie, zyskują – proporcjonalnie do upływającego czasu – zupełnie inne znaczenie, stają się symbolami reakcji na odmienne, traumatyczne doświadczenia. Jako takie istnieją więc zawsze osobno, w zupełnie różnych strukturach afektywnych.

Spostrzeżenie, że poszczególne typy pamięci konkurują ze sobą, nie jest więc dla pamięciologii niczym szczególnie nowym<sup>31</sup>. Niemniej, zagadnienie to staje coraz istotniejsze w ostatnich latach, funkcjonując jako osobny, istotny problem badawczy, czego dowodzą dotyczące go bezpośrednio artykuły<sup>32</sup> i projekty, jak chociażby wieloletni *Memory at War*. Oczywiście konsekwencją zainteresowania tą kwestią jest próba odpowiedzi na pytanie, czy da się tworzyć pamięć inną niż konkurencyjna? Wracam tutaj do kwestii poruszonej już szkicowo w rozdziale dotyczącym literatury światowej, a dotyczącej – umyślnie przedstawiam ten problem nieco upraszczająco – możliwości wyjścia poza myślenie opozycyjne. Jest to zagadnienie szczególnie istotne z perspektywy europejskiej pamięci, złączonej – a zarazem przecież rozdartej – przez pamięć dwóch wojen światowych, pamięć, która w odmiennych wspólnotach przybiera inny kształt. Używając konstruowanej w tej książce kategorii można więc postawić pytanie o to, czy możliwe jest tworzenie takiej pamięci, która z jednej strony czyni zadość lokalnym potrzebom, z drugiej jednak jest służebna wobec idei tworzenia podbudowy pod przyszłość wyobrażaną jako wspólna i integrująca, nieopierająca się na prostych,

<sup>30</sup> Por. L. Berlant, *Intuitionists...*

<sup>31</sup> Wspomina o nim Aleida Assmann już w swoich pracach z lat 90. XX wieku. Por. A. Assmann, *Przestrzenie pamięci...*, s. 107: „Przeszłość bowiem, od której czasowo coraz bardziej się oddalamy, nie przechodzi w całość pod pieczę profesjonalnych historyków, lecz pod postacią rywalizujących ze sobą roszczeń i zobowiązań ciągle wywiera nacisk na teraźniejszość”.

<sup>32</sup> Za szczególnie istotne można uznać prace Aleidy Assmann: *From Collective Violence to a Common Future: Four Models for Dealing with Traumatic Past*, [w:] *Conflict, Memory Transfers and the Reshaping of Europe*, eds. H. Gonçalves da Silva, F. Viana Guarda, J. Miquel Sardica, Cambridge Scholars Publishing, Newcastle 2010, *Podzielona Pamięć Europy. Koncepcja pamięci dialogicznej*, [w:] *Dialog kultur pamięci...* oraz książkę Michaela Rothberga *Pamięć wielokierunkowa...*

antagonistycznych podziałach i niepowielająca w nieskończoność dychotomicznego podziału na kata i ofiarę.

Jedną z odpowiedzi na to pytanie proponuje sama Assmann, która wskazuje, że tworzenie jakiegokolwiek europejskiej wspólnoty pamięci jest zadaniem co najmniej trudnym, gdyż musi ona radzić sobie z przynajmniej trzema głęboko traumatycznymi, podzielanymi i zarazem dzielącymi pamięciami: o Holokauście, Gułagu i II wojnie światowej<sup>33</sup>. Jak zauważa badaczka, zwłaszcza między dwiema pierwszymi ciągle utrzymuje się pewne napięcie. Wspomniany przykład dwóch powstań jest jego szczególną egzemplifikacją, gdyż powstanie w getcie jest istotne dla pamięci Holocaustu, natomiast powstanie warszawskie ma większe znaczenie dla lokalnej pamięci o drugiej wojnie światowej. Assmann uznaje, że poszczególne pamięci zbiorowe konkurują ze sobą o miejsce w szerszej strukturze i jedynym sposobem na powstrzymanie tego współzawodnictwa jest wzajemne uznanie różnych wersji pamięci:

W pamięci narodowej panuje notoryczny brak miejsca. Zasada wzajemnego uznania roszczeń do wspomnień i ich hierarchizacji pozwala jednak stworzyć takie miejsce i przekształcić niedające się pogodzić „albo-albo” w „zarówno-jak”.<sup>34</sup>

Przekształcenie konkurencji, wyrażanej przez „albo-albo” w dialogiczność i integrację europejskiej pamięci może odbyć się wyłącznie na drodze dobrowolnego współdziałania przez państwa, które uznają, że dzielą ze sobą określoną historię przemocy i uznają swój udział w niej. O ile celem działania pamięci narodowej jest wspieranie określonej tożsamości, o tyle pamięć dialogiczna musi opierać się na empatii i akceptować konieczność rozbijania zbyt jednolitych konstrukcji pamięciowych:

---

<sup>33</sup> A. Assmann, *Podzielona Pamięć Europy...*, s. 14. Każde z tych wydarzeń jest bardzo istotne dla kształtowania określonych ram pamięci, a zarazem – konkurują one ze sobą o rolę formacyjną dla europejskiej pamięci transnarodowej.

<sup>34</sup> Tamże, s. 18.

W obliczu traumatycznej przeszłości zazwyczaj istnieją tylko trzy role, które pamięć narodowa jest w stanie zaakceptować: rola zwycięzcy (...), rola wyzwoliciela (...) i wreszcie rola ofiary (...). Wszystko, co znajduje się poza tymi pozycjami i ich perspektywą, nie może stać się, lub tylko z wielkim trudem staje się, przedmiotem akceptowalnej narracji i dlatego na płaszczyźnie oficjalnej jest „wypierane”.<sup>35</sup>

Z tym samym problemem mierzy się również Michael Rothberg w książce *Pamięć wielokierunkowa*. Choć publikacja ta dotyczy głównie relacji, w które wchodzi pamięć o Holokauście z pamięciami innych grup społecznych, doświadczających radykalnej przemocy, tekst Rothberga pozwala na wydobycie wcześniej słabo dostrzeganych konsekwencji sytuacji konkurowania poszczególnych typów pamięci. O ile bowiem uwagi Assmann o pamięci dialogicznej dotyczą pamiętania wydarzeń, które miały miejsce w podobnym czasie i miały zbliżony zasięg, o tyle Rothberg uznaje, że do sytuacji współzawodnicstwa może dochodzić także w przypadku, w którym nie mają one ze sobą nic wspólnego, nie odwołują się do podobnych momentów z przeszłości. Tak jest między innymi – co stanowi bardzo wyrazisty przykład, na który naukowiec się powołuje – w przypadku pamięci o Holokauście i o niewolnictwie w USA. Rothberg sugeruje, że poszczególne akty upamiętniania, jak na przykład tworzenie muzeów, pomników czy publikacji na dany temat sprzyjają budowaniu napięcia między określonymi grupami społecznymi. To zaś skłania badacza do stawiania bardzo konkretnych pytań, dotyczących możliwości współistnienia różnych typów pamięci, ważnych dla odrębnych grup społecznych, które przez lata były ofiarami określonych, odmiennych opresji. Wątpliwością, na którą usiłuje odpowiedzieć Rothberg, jest zwłaszcza pytanie o możliwość wypierania przez jeden rodzaj pamięci wspomnień innego typu. Szczególną rolę w tym procesie pełni jego zdaniem właśnie pamięć o Holokauście, przez jednych uznawana za otwierającą na inne typy pamięci o przemocy, przez innych – za obecnie dominującą, zagarniającą tak szerokie pole pamięci funkcjonalnej, że aż utrudniająca istnienie jej odmiennych typów.

---

<sup>35</sup> Tamże, s. 20.

Zjawisko konkurencji pamięci, które Rothberg analizuje, ma szczególne znaczenie, gdy występuje między pamięcią Holocaustu, i – szerzej – drugiej wojny światowej a pamięcią kolonialnej przemocy. Zdaniem badacza, możliwe jest jednak takie spojrzenie na wzajemne relacje wspomnianych pamięci, by nie było one wobec siebie ani opozycyjne, ani konkurencyjne. Wymaga to jednak wytworzenia wielokierunkowej pamięci, zdolnej do radzenia sobie z hybrydycznymi wspomnieniami:

Studia nad pamięcią, które miałyby pomóc zrozumieć Europę naczyną kolonialnymi, postkolonialnymi, jak i socjalistycznymi oraz postsocjalistycznymi doświadczeniami (...) wymagają także wielokierunkowej teorii konstelacji i węzłów pamięci powstających w wyniku działania zarówno imperialnej dominacji, jak pokojowej wymiany.<sup>36</sup>

Terminem-kluczem, niezbędnym dla zrozumienia teorii Rothberga, są węzły pamięci. Kategoria ta pozwala badaczowi na wysnucie tezy, że pewne wydarzenia historyczne, jeśli będziemy patrzeć na nie z różnych perspektyw, a nie tylko z jednej, przyporządkowanej budowaniu określonej pamięci narodowej, mogą funkcjonować jako przestrzeń generowania afektu niezbędnego dla wytworzenia pamięci wielokierunkowej: solidarności. Jak wskazuje badacz, solidarność jest tu rozumiana jako afekt, który „obejmuje uczucie uwikłania i odpowiedzialności za historie, których nie uznajemy za «własne»<sup>37</sup>”.

Doświadczenie solidarności, by w ogóle miało miejsce, musi zatem wynikać z równocześnie intelektualnego i emocjonalnego uznania własnego – zarówno indywidualnego, jak i społecznego, narodowego – zanurzenia w sprawy i wydarzenia, które nam wcale nie wydają się najważniejsze. Jest to więc działanie, które dokonuje się w poprzek tradycyjnych linii podziału, wyznaczających granice pamięci istotnej dla budowania narodowej tożsamości. By lepiej zrozumieć dynamikę tego procesu, warto przytoczyć jeszcze jeden fragment:

<sup>36</sup> M. Rothberg, *Między Paryżem a Warszawą...*, s. 168.

<sup>37</sup> Tamże, s. 178.

Takie właśnie przepływy stoją u źródeł tego, co nazwałem „wielokierunkowością” pamięci, dynamiką, w ramach której wielorakie rodzaje przeszłości ścierają się ze sobą (...). Tak jak imperium, pamięć jest jednocześnie rozłączna i kombinatoryczna, poddaje się zarówno procesowi rozkładania na części, jak i zespalania.<sup>38</sup>

Wizja dynamicznej, wielokierunkowej pamięci, która może być „składana” i „rozkładana” nie tylko po to, by osiągnąć względnie spójną pamięć, będącą podstawą narodowej tożsamości, ale i po to, by spełniać mocno nacechowany etycznie postulat wzięcia odpowiedzialności za „cudze” historie, jest niezwykle kusząca. Jednak to raczej teoretyczny postulat, o wiele trudniejszy do realizacji od wcześniej wspomnianej wizji budowania pamięci dialogicznej Aleidy Assmann.

Potencjał postulatów Michaela Rothberga nie przekłada się na praktykę z kilku od siebie niezależnych powodów. Wszystkie z nich są jednak skrajnie pragmatyczne i wynikają z określonych uwarunkowań tworzenia oraz funkcjonowania w zasadzie każdego typu pamięci. Pierwszym, najważniejszym jest niezbywalna cecha pamięci: pamięć jest zawsze czyjaś. Może być – jak pokazują liczne badania i teorie – indywidualna, zbiorowa, społeczna, kulturowa, komunikacyjna, może być mniej lub bardziej aktywna, zimna lub gorąca, magazynująca lub funkcjonalna, może działać w odmiennych modelach, ale nigdy nie jest pamięcią anonimową. Określona pamięć zawsze ma swój punkt wyjścia, istotny nawet wtedy, gdy dane wydarzenie nie jest już częścią ani pamięci funkcjonalnej, ani komunikacyjnej.

Koncepcja Rothberga, choć wychodzi od akceptacji tego spostrzeżenia, od przyznania, że poszczególne typy pamięci ścierają się ze sobą, szybko zapomina o tej cesze pamięci. Pamięć wielokierunkowa, tak, jak przedstawia ją Rothberg, nieuchronnie staje się pamięcią niczyją, uzgadnianą z trudnego do ustalenia, niejako nadrzędnego punktu, z którego można dostrzec, co w określonej pamięci ma potencjał łączący, co można uznać za ważne dla budowania solidarności. Drugim ważnym argumentem przeciwko tej koncepcji jest zbyt duża płynność

---

<sup>38</sup> Tamże, s. 169.



przechodzenia między poszczególnymi typami pamięci. Naukowiec zakłada bowiem – skądinąd słusznie – że nie powinniśmy wspierać wyłącznie takiego rodzaju pamięci, który służy budowaniu spójnych tożsamości narodowych, że kluczowa w budowaniu wielokierunkowej pamięci jest umiejętność przechodzenia pomiędzy różnymi perspektywami, zwłaszcza zaś – przekraczania narzucającej się perspektywy ofiary. O ile jednak postulat zmieniania perspektyw, konfrontowania z innymi sposobami patrzenia na tę samą sytuację wydaje się słuszny, o tyle – przynajmniej moim zdaniem – sugestia, że możemy pozostawać pomiędzy owymi odmiennymi perspektywami idzie jednak o krok za daleko. Gdy zmieniamy perspektywę, zmieniamy o k r e ś l o n y punkt widzenia na i n n y, możemy być świadomi istnienia różnych punktów widzenia, ale nie możemy się ich wyzbyć, ani też dzielić dwóch lub więcej jednocześnie.

Przedstawioną przez Rothberga wizję pamięci wielokierunkowej można zatem postrzegać jako swego rodzaju służebność, narzucaną na pracę pamięci przez współczesne dążenie do prowadzenia odpowiedzialnej, możliwie włączającej i przyczyniającej się do integracji, polityki pamięci. Jednak ten do pewnego stopnia słuszny postulat ma również zdecydowanie konstrukcyjny wymiar. Wielokierunkowa praca pamięci, tak, jak chce ją zdefiniować badacz, jest możliwa do pomyślenia tylko wtórnie, jako skutek pewnych zabiegów, umożliwiających łączenie *ex post* na pierwszy rzut oka osobnych wspólnot pamięci. Można ją sobie zatem wyobrazić nie tyle jako opis pewnego typu pamięci, lecz jako zadanie do wykonania, służebność właśnie, która – i tu już się z Rothbergiem całkiem zgadzam – może być realizowana nie tylko bez szkody dla pamięci narodowych, ale nawet z zyskiem dla rozwoju budujących się wokół nich społeczeństw.

Tak rozumiana służebność pamięci jest zatem w pewnym stopniu opozycyjna wobec powielanych w doraźnych politykach pamięci dążeń do utwardzania polityki historycznej, do konstruowania prostych, opozycyjnych i dualistycznych narracji. Jednak, podobnie jak polityka historyczna, wpływ tak rozumianej służebności i zarazem zadania, na pamięć rozmaitych grup społecznych, a już tym bardziej na pamięć indywidualną, będzie raczej znikomy, jeśli temu wyzwaniu nie będzie towarzyszyła przemiana afektywna (której znakiem może być

również analizowana przez myśliciela rola solidarności w procesach pamiętania).

Jednak także i wtedy pozostaje do rozwikłania co najmniej jeszcze jeden problem: poszerzenia kontekstów pamięci. Polemizując z Jay'em Winterem<sup>39</sup>, Rothberg stwierdza, że jakakolwiek rekonfiguracja europejskiej pamięci nie może dokonywać się na zasadzie prostych zwrotów czy przeniesień punktów ciężkości (jak postulowane przez Wintera przeniesienie perspektywy pamiętania z Europy Zachodniej na Wschodnią), lecz przez pozostawanie pomiędzy, przez myślenia relacyjne, które uwzględnia zdecydowanie więcej punktów odniesienia. Podobnie jak w poprzednich przypadkach, postulat Rothberga wydaje się niezwykle interesujący i teoretycznie słuszny, ale praktycznie niewykonalny. Słuszny, bo opiera się niezgodnie na zastępowanie jednych centrów pamięci innymi, niewykonalny, bo znów postuluje bycie pomiędzy i działanie tak, jakby podział na centrum i peryferie, na szczególnie istotne komponenty kształtującej się przecież – mimo licznych konfliktów – pamięci europejskiej i jej marginalne odpryski nie istniał. Próba likwidacji tego podziału nie może się jednak powieść, jeśli nie dostrzeże się jego siły oraz skutków, w tym i nagromadzonego resentymetu i żalu. To, że do tej pory pamięć zachodnioeuropejska znajdowała się w centrum pamięci o II wojnie światowej jest przecież – również przez Rothberga – niekwestionowanym faktem. A on ma swoje skutki, także w postaci odruchu obronnego lokalnych pamięci narodowych oraz perspektywy nieeuropocentrycznej, które o wiele chętniej widziałyby się w centrum nowego, ale wciąż hierarchicznego układu odniesienia, niż w pozycji, którą trudno przewidzieć w teoretycznie niehierarchicznej strukturze. Ten brak zaufania do „nowego otwarcia” jest szczególnie dobrze widoczny w przypadku polskiej polityki historycznej, walczącej o rozpoznanie i uznanie, a nie – zmianę struktury.

Powyższe uwagi nie zmiierzają do obrony aktualnego stanu, ani tym bardziej próby prostego zastąpienia centrum. Mają one jednak na celu wskazanie, że w teoriach akcentujących potrzebę zmiany konieczne jest również branie pod uwagę negatywnych, pamięciowo

---

<sup>39</sup> Tamże, s. 161.

i afektywnie, skutków dotychczasowej hierarchii. A jednym z nich jest nieufność wobec narracji decentralizujących, zwłaszcza, jeśli pochodzą z centrum i proponują solidarność z tymi, których historie dotychczas pozostawały na peryferiach.

Oczywiście, postulat solidarności, który wysuwa Rothberg nie jest i nie musi być niewykonalny, jeśli uzna się jego ograniczony zasięg. Budowanie mostów między zasadniczo od siebie odrębnymi pamięciami (jak na przykład pamięć kolonializmu i Holocaustu) pozwala lepiej zrozumieć odmienne ramy pamięci, może nawet pozwalać na ich rekonstruowanie. Ale raczej trudno uwierzyć – a rozwój badań nad pamięcią zdaje się potwierdzać tę hipotezę – że solidarność i empatia mogą być afektami, które pozwolą na stworzenie zasadniczo wielokierunkowej pamięci. Mogą one rozsadzać granice sztywnych ram pamięci i pokazywać, że wydarzenia traumatyzujące dla danych społeczności (albo nie tylko traumatyzujące, lecz również radosne) mogą służyć jako punkt wyjścia do lepszego rozumienia cudzej pamięci. Nie sądzę jednak, że są one w stanie zasadniczo zmienić pewną hierarchiczność, która pojawia się między różnymi wersjami pamięci. Można ją oddać, nawiązując do koncepcji Aleidy Assmann jako myślenie nie w kategoriach „albo-albo”, jednak i nie w „zarówno, jak”, lecz raczej zgodnie z zasadą „tak, ale również” – akceptującą wyjątki, inne punkty widzenia oraz odmienne konteksty, ale raczej stopniowo, bez podważania, przynajmniej na początku, aktualnie obowiązujących ram pamięci.

Propozycje Rothberga i Assmann, a więc koncepcje pamięci wielokierunkowej i dialogicznej, odpowiadają na tę samą potrzebę, na konieczność budowania szerszej niż narodowa struktury pamięci, która byłaby nie tylko współdzielona, ale i wspólna. O ile jednak Assmann kładzie nacisk na proces negocjowania pamięci przez blisko połączone wspólną historią grupy, o tyle Rothberg przedstawia raczej wizję tworzenia pewnych punktów wspólnych, węzłów pamięci, które pomagają utrzymać jej otwarty charakter. Obie propozycje zakładają z jednej strony możliwość tworzenia niekonkurencyjnej pamięci, z drugiej zaś: skłonność pamięci zbiorowych do tworzenia zamykających, wyłączających i w gruncie rzeczy normatywnych wersji pamięci. Stanowią więc próbę pogodzenia opisu faktycznego stanu

rzeczy i możliwych do zrealizowania propozycji budowy nowego typu pamięci w przyszłości. W tym kontekście teoria Rothberga jest bardziej kusząca i optymistyczna, ale zarazem – znacząco trudniejsza do realizacji, jeśli w ogóle możliwa.

Negocjowanie pamięci, uznawanie jej odmiennych wersji w przypadku tych samych wydarzeń, dokonujące się na granicy akceptowalnych wizji przeszłości, na granicy wciąż otwartego konfliktu, a przez to powolne poszerzanie pola tego, co możliwe do pomyślenia, to zdecydowanie mniej optymistyczna, ale i bardziej prawdopodobna wersja powolnego otwierania pamięci. Być może po uporczywym i męczącym dialogu przyjdzie czas na pamięć wielokierunkową, ale trudno przypuszczać, by czas ten nadszedł wkrótce.

### 3. Literatura jako medium pamięci

O ile w przypadku pamięci narodowej czy pamięci historycznej trudno – jak starałam się wcześniej pokazać – o tworzenie pamięci wielokierunkowej lub nawet dialogicznej, o tyle łatwo znaleźć jej przykłady, gdy przeanalizuje się literackie próby tworzenia lub aktywowania pamięci. Z tego powodu dalsze rozdziały tej części książki będą poświęcone analizie trzech przykładów tworzenia pamięci, która wykracza poza przyjęte w danej społeczności ramy. Dla jej zanalizowania konieczne jest – podobnie jak było to w przypadku poprzednich rozdziałów – korzystanie z dwóch do pewnego stopnia od siebie niezależnych trybów lektury, nastawionych odpowiednio na badanie tekstu i badanie pamięci, której określony tekst jest nośnikiem.

Badania nad pamięcią są z jednej strony dyscypliną hybrydyczną, wymagającą opanowania języka i terminologii nie tylko samej pamięciologii, ale i dyscypliny „odpowiadającej” medium pamięci (a więc na przykład literaturoznawstwa, filozofii etc.), z drugiej – o wiele łatwiej radzącą sobie z paradoksami rodzącymi się na przecięciu tych dwóch terminologii i praktyk. Dzieje się tak głównie dlatego, że teza o zapośredniczeniu pamięci i jej uwikłaniu w szerokie spektrum zależności, nie tylko, lecz także zależności czasowych,

leży u podstaw współczesnych badań nad pamięcią. Ułatwia to tworzenie osobnych dyskursów, dostosowanych do opisywania problematyki pamięci w różnych jej wymiarach, które jednak posiadają pewien wspólny rdzeń i terminologię. Konflikt między – na przykład – klasycznie rozumianym literaturoznawstwem i badaniami nad pamięcią jest przez to zdecydowanie mniejszy, niż na przykład między ekokrytyką a tym samym literaturoznawstwem. Dla badań nad pamięcią literatura jest zazwyczaj nośnikiem pamięci, tak kulturowej, jak i komunikacyjnej, a więc rzeczą, która ją utrwała i kształtuje. Oczywiście odmienne strategie retoryk, poetyk i polityk pamięci zyskują różne odzwierciedlenia w poszczególnych tekstach kultury, a badania nad pamięcią nie są wcale pozbawione elementów oceny (wyraźnie widać, że wersje pamięci inkluzyjnej, wielokierunkowej, etc. cieszą się zdecydowanie większą sympatią większości badaczy, a zarazem ramy pamięci narodowych, zazwyczaj sztywniejsze i bardziej restrykcyjne, są o wiele częściej wspierane przez oficjalną politykę historyczną), niemniej wartościowanie na przykład przydatności społecznej określonej wersji pamięci jest dla badań nad pamięcią czymś zdecydowanie innym od oceny jej „prawdziwości” (tu badania nad pamięcią zdecydowanie dystansują się od, zwłaszcza prostego, rozumienia tej kategorii), a tym bardziej od oceny samego tekstu (tak artystycznej, jak i wskazywania, na ile spełnia on postulatory badań nad pamięcią). Wynika to z faktu, że w badaniach nad pamięcią uznaje się tekst literacki w pierwszej kolejności za ślad lub nośnik pamięci, a dopiero w drugiej – za element kształtujący współczesną pamięć kulturową. W ekokrytyce jest zazwyczaj na odwrót – na teksty literackie patrzy się raczej jako na „sprawcze”, współkształtujące spojrzenie na środowisko, niż jako na „odbijające” relacje środowiskowe. A to oznacza – wracając do zadawanych na początku tego rozdziału pytań – że o ile utrzymanie autonomicznych relacji z polityką pamięci i polityką historyczną jest zadaniem niełatwym, o tyle tworzenie tego typu więzi z mediami pamięci jest zadaniem możliwym do wykonania.

Jednym z najważniejszych aspektów tak projektowanej autonomii musi być jednak uwzględnianie hybrydycznych narzędzi badawczych i punktów odniesienia. Nie ma bowiem sprzeczności w czytaniu

rozmaitych tekstów, w tym i literackich, jako mediów pamięci, jeśli zarazem uwzględni się ich specyficzne ukształtowanie oraz rolę, która zdecydowanie nie ogranicza się do przechowywania rozmaitych wersji pamięci. Można również – i tak jest do pewnego stopnia również w moim przypadku – uznawać, że niekiedy literatura oraz inne typy tekstów kultury pełnią wobec pamięci funkcje zdecydowanie służebne, to jest podejmują wyzwanie albo przechowania jakiegoś wzorca pamięci, albo podważania dominującej polityki pamięci, a przy tym wcale nie tracą swojej autonomii.

Oznacza to, że definiując samego siebie jako literaturoznawcę można łatwiej implementować niektóre elementy z teorii badań nad pamięcią, niż dzieje się to w przypadku ekokrytyki. Z drugiej zaś strony, definiując siebie jako badacza pamięci, można, a nawet trzeba, jeśli chce się ją analizować w tym specyficznym medium, jakim jest literatura, używać aparatu teoretycznego badań nad literaturą. Oczywiście, bardzo trudno byłoby wytworzyć perspektywę idealnie wyważoną, w której za równie istotne uznaje się komponenty literaturoznawczy i pamięciologiczny. Niemniej jednak jest to raczej problem praktyki badawczej, niż nieusuwalna sprzeczność, tkwiąca w samej decyzji o zastosowaniu tych dyskursów jednocześnie. Jest tak głównie dlatego, że znaczna część badań nad pamięcią ma ambicje tylko i wyłącznie opisać pewien stan rzeczy, nie wymagając od badacza zaangażowania w proces zmiany ramy pamięci, nawet, jeśli w toku badań okaże się, że owa rama jest jednostronna. A to oznacza, że – przynajmniej obecnie, bo sytuacja ta może zmieniać się wraz z upływem czasu – opis tego, jak jest, wydaje się ważniejszy, niż próba wydobycia i podkreślenia tych tekstów kultury, które mają wspierać określony typ pamięci<sup>40</sup>.

Do wzmiankowanych tu problemów wrócę jeszcze w dalszej części wywodu, po analizie wybranych przykładów poszerzania pola pamięci za pomocą literatury. Interpretacja twórczości Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego i Tomasza Różyckiego pozwoli na zmierzenie się z nimi już nie na płaszczyźnie teoretycznej, lecz praktycznej. Wybór tych akurat poetów motywowany jest wskazywaną przed momentem

---

<sup>40</sup> Pisząc o typie pamięci mam na myśli nie konkretną wersję pamięci, ale właśnie typ, a więc na przykład pamięć wielokierunkową lub pamięć włączającą.

cechą: ich twórczość można uznać za przykład liryki równocześnie autonomicznej, jak i służebnej, rekonstruującej oraz rzucającej wyzwanie już ugruntowanym ramom pamięci, także – a może nawet przede wszystkim – przez twórczą eksploatację literackiej tradycji, przez niektórych badaczy określanej jako pamięć literatury.

## Powtórzenia i przynależności. Poezja Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego wobec pamięci<sup>1</sup>

Istotą poezji jest nie tyle zasadność  
Co bezzasadność napomknień i powtórzeń<sup>2</sup>

### 1. Uwagi wstępne

Próbując określić lub zdefiniować współczesną literaturę, a poezję zwłaszcza, stajemy zawsze przed pokusą szukania w niej tego, co nowe, oryginalne, odróżniające ją od wszystkiego, co powstawało wcześniej. O sile i zarazem nieuchronnej złudności takiej pokusy wiadomo już od dawna, zaświadcza ją o niej także – w przypadku polskiej literatury współczesnej – liczne wypowiedzi krytyków i badaczy działających w latach 90. XX wieku<sup>3</sup>. Próbą walki z tą pokusą – bo całkowicie wyeliminować się jej nie da – może być poszukiwanie w polskiej literaturze kolejnych powrotów i powtórzeń. Takie spojrzenie, zwłaszcza na poezję, jest o tyle uzasadnione, że po krótkim okresie deklaratywnego szukania „nowych” problemów i „nowych” języków mówienia o nich, polska literatura powraca do problemów bez wątpienia starych. Każdy taki powrót to próba powiedzenia czegoś jeszcze raz, dopowiedzenia

<sup>1</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/HS2/00079.

<sup>2</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, Biuro Literackie, Wrocław 2009, s. 13.

<sup>3</sup> Por. P. Czaplinski, *Ślady przełomu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997; *Codziennie, przedmiotowe, cielesne. Języki nowej wrażliwości w literaturze polskiej XX wieku*, red. H. Gosk, Świat Literacki, Warszawa 2002; *Polska proza i poezja po 1989 roku wobec tradycji*, red. A. Głowczewski, M. Wróblewski, Wydawnictwo UMK, Toruń 2007. Por. także E. Balcerzan, *Tradycja pogromców tradycji*, „Teksty: teoria literatury, krytyka, interpretacja” 1979 nr 1.



lub przeformułowania rzeczy, które zostały już powiedziane i napisane. Nie jest to więc najczęściej mówienie czegoś nowego, niemniej jest to mówienie ponownie.

W tym rozdziale chcę zająć się pisarzem, dla którego twórczości powtórzenia i powroty stanowią niezwykle istotny budulec tekstonego świata. Jest nim Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, poeta ciągłych powrotów do przeszłości, do tych samych zwrotów, fraz i odniesień. Twórczość Tkaczyszyna-Dyckiego zasługuje moim zdaniem na uwagę z kilku różnych powodów. Za najważniejsze można uznać trzy: specyficzny, opierający się na powtórzeniach oraz zapętleniach język, silne, afektywne zaangażowanie podmiotu oraz unikalną zdolność do zawierania przeszłości i pamięci o niej w na wskroś współczesnych obrazach. Twórczość Tkaczyszyna-Dyckiego zasługuje na to, by spojrzeć na nią tak, jak sam poeta patrzy na przeszłość: szukając w niej nie tyle tego, co nowatorskie, ale tego, co warte zapamiętania i przetrwania.

Pod tym względem twórczość Tkaczyszyna-Dyckiego domaga się – jako cennego kontekstu interpretacyjnego – przywołania koncepcji ariergardy oraz „nieoryginalnego geniuszu” Marjorie Perloff<sup>4</sup>. Amerykańska badaczka podkreślała w nich, że genialność utworu oraz jego potencjał na wywieranie późniejszego wpływu na literaturę nie ma zbyt wiele wspólnego z oryginalnością rozumianą jako „nowość”. Większość uznawanych za nowatorskie utworów, chociażby autorstwa Thomasa Stearnsa Eliota czy Ezry Pounda, jest głęboko zakorzeniona w tradycji, przez co stanowią one nie tyle awangardę sztuki, ile jej ariergardę.

Poezja Tkaczyszyna-Dyckiego jest w proponowanym przez Perloff sensie podwójnie „nieoryginalna” – czerpie nie tylko z tradycji i z utrwalonych w jej ramach form ekspresji, lecz także z pamięci podmiotu piszącego, który za pomocą wierszy utrwala oraz powtarza nie tylko określone doświadczenia, ale i sam akt ich przypominania oraz zapisywania. Twórczość Tkaczyszyna-Dyckiego ma więc – na podobieństwo ariergardy – zabezpieczać przed zapomnieniem to,

---

<sup>4</sup> Por. M. Perloff, *Unoriginal Genius: Poetry by Other Means in the New Century*, The University of Chicago Press, Chicago 2010 oraz M. Perloff, *The Futurist Moment. Avant-Garde, Avant-Guerre, and the Language of Rupture*, The University of Chicago Press, Chicago and London 1986.

co jeszcze pozostało możliwe do pamiętania. Pełni więc funkcję podwójnie służebną, zarówno wobec literatury, jak i pamięci: zabezpiecza z literackiej tradycji to, czemu zdaniem twórcy należy się przetrwanie oraz zapewnia miejsce dla pamięci indywidualnej, która niechętnie i nieczęsto bywała włączana w obieg pamięci komunikacyjnej oraz kulturowej. Jak postaram się pokazać, te dwie służebności nie są w tym przypadku obciążeniem jego twórczości, lecz jej autem, napędzającym tę wyjątkową literaturę i zarazem zabezpieczającym przed zupełną marginalizacją te aspekty pamięci, które – jako niewygodne i niewpasowujące się w obowiązujące ramy – bywają marginalizowane.

## 2. Elementarna narracja i „poetyka powtarzania”

Twórczość Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, mimo swej niewątpliwej wartości, nie jest jeszcze w centrum literackiej, a zwłaszcza literaturoznawczej dyskusji (jeśli sądzić po niezbyt wielkiej liczbie bardziej całościowych opracowań i artykułów poświęconych temu twórcy), choć od dawna zwracała uwagę krytyków oraz – co bardzo interesujące – innych poetów swoją specyficzną budową, opierającą się na różnych typach powtórzeń:

Natrętne powtórzenia, przestawny szyk wypowiedzi i archaiczna prostota metafor są u Tkaczyszyna-Dyckiego naturalnymi środkami, rodzącymi się z pamięci tej pierwszej lektury, zwłaszcza psalmów.<sup>5</sup>

Szukając podstawowych źródeł tak silnego wykorzystywania w poezji Tkaczyszyna-Dyckiego powtórzeń, nie sposób nie wspomnieć także o kulturze ludowej, o chłopskich przyśpiewkach, które czasem – mniej lub bardziej wprost – pobrzmiwają w jego wierszach. Utwory Dyckiego przypominają, jeśli czyta się je w ciągu, jeden po drugim, tom za tomem, wielką, ale poszatowaną opowieść, w której wraca się do ciągle tych samych, ale – po kolejnych odejściach

---

<sup>5</sup> J. Mikołajewski, *Historia odrębna*, [w:] „Jesień już Panie a ja nie mam domu”. *Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki i krytycy*, red. G. Jankowicz, Ha!art, Kraków 2001, s. 6.

i powrotach – nie takich samych zdarzeń. Dla opisanego tego fenomenu interesujące są uwagi Andrzeja Sosnowskiego, poety i zarazem uważnego interpretatora wierszy innych twórców:

Dycki jest poetą narracji elementarnej i złożonej refleksji. Elementarność polega na tym, że rzecz opowiadana przez poetę – w złożonych epizodach, odsłonach, odcinkach, wariantach – dzieje się w ciągłym związku z faktami narodzin i grobowej deski.<sup>6</sup>

Wiersze Dyckiego są więc równocześnie rozdrobnione, porwane i wzajemnie się zazębiają, stale opowiadając i dopowiadając tę samą historię. Liczne powroty do tych samych tematów, motywów i wydarzeń przypominają specyficzną pracę straumatyzowanej pamięci, która przez punktowe zwroty do istotnych momentów dąży do ich przepracowania, włączenia w szerszy kontekst opowieści o własnej tożsamości. Te powroty nie dają jednak spodziewanego efektu, zamiast przynieść ulgę, rozwiązać konflikt lub przynajmniej uczynić go łatwiejszym do opisu, prowadzą do kolejnych zapętleń i zacięć pamięci.

Tkaczyszyn-Dycki realizuje w swojej poezji coś, co Andrzej Skrendo określa jako „poetykę powtarzania”. Zdaniem krytyka pod tym względem poezja Dyckiego jest bliska twórczości Tadeusza Różewicza:

Różewicz i Dycki to autorzy cierpiący na przymus powtarzania. (...) Poetyka powtórzenia Dyckiego korzysta z wynalazków Różewicza przynajmniej w tym sensie, że Dyckiemu bliska wydaje się być idea takiego pisania, żeby z poszczególnych wierszy bez troski o ich pierwotny kontekst i chronologię można było układać dowolne nowe całości podporządkowane nowej idei przewodniej.<sup>7</sup>

Podobieństwa między konstrukcją wierszy Dyckiego i Różewicza są jednak dość powierzchowne. Realizowane przez nich powtórzenia różnią się bowiem zasadniczo – jak stwierdza sam Skrendo – celem

<sup>6</sup> A. Sosnowski, *Liryzm Dyckiego*, [w:] „Jesień już Panie a ja nie mam domu”, s. 44.

<sup>7</sup> A. Skrendo, *Tkaczyszyn-Dycki i Różewicz. Zarys porównania*, [w:] *Pokarmy. Szkice o twórczości Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego*, WBPiCAK, Poznań 2012, s. 22–23.

i funkcją, jaką pełnią w konstrukcji utworu. Dokonywane przez Różewicza powtórzenia przypominają raczej warstwy i elementy solidnej konstrukcji, której układ determinowany jest nadrzędnym celem stworzenia wielopoziomowej, otwartej na interpretację budowli, tymczasem Dycki przez kolejne powroty i przypomnienia czyni swą twórczość splątaną na wzór działania traumatycznej pamięci:

W efekcie, o ile Różewicz oddaje się świadomie postawangardowej robocie konstrukcyjnej, o tyle zasada generowania sensów w wierszach Dyckiego przypomina raczej mechanizm pracy marzenia sennego, odzyskiwana i przepracowywana treści wypartych, silnego libidinalnego obsadzania obiektu utraconego.<sup>8</sup>

Proponowana przez badacza diagnoza wydaje się pociągająca, ale w pewien sposób niekompletna. Odnotowane w niej odzyskiwanie i przepracowywanie treści wypartych, które bez wątpienia ma miejsce w poezji Dyckiego, nie determinuje moim zdaniem celu powtórzeń. Czy są one sposobem na uwolnienie się od pewnego rodzaju pamięci, czy też na jej podtrzymanie? Czy mają one – jak sugeruje Anna Kałuża – wprowadzić w obieg społeczny traumę przesiedleń i wynarodowienia<sup>9</sup> czy też odsłaniają pewną dozę niewiary w moc sprawczą języka poetyckiego<sup>10</sup>? By odpowiedzieć na pytania dotyczące celów i funkcji stosowanych przez Dyckiego powtórzeń, warto nieco głębiej je przeanalizować.

### 3. Napomknięcia i dotknięcia

Pierwsze tomy Tkaczyszyna-Dyckiego, zwłaszcza *Nenia* i *Peregrynarz*, opierają się na podobnych motywach, na powtarzalnych rozpoczęciach lub na powracających nieco na kształt uporczywych refrenów

<sup>8</sup> Tamże, s. 23.

<sup>9</sup> A. Kałuża, „Po obu stronach granicy”. *Postacie poezji w twórczości Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego*, [w:] *Pokarmy...*, s. 42.

<sup>10</sup> Por. K. Pietrych, *Na granicy słowa. Transowy tok Dyckiego*, [w:] *Pokarmy...*, s. 133.

frazach. Tych powtarzalnych elementów wraz z upływem czasu już tylko przybywa. Początkowe „w moim małym domku” kontrapunktowane przez „w lubelskich domach moich przyjaciół” z *Neni* później zastępuje „trwoga to jest mój najlepszy dom” z *Młodzieńca o wzorowych obyczajach*, następnie – „jesień już Panie, a ja nie mam domu” z *Liber mortuorum*, aby wreszcie dołączyło do nich powtarzające się także w najnowszych tomach „przychodzą do mnie ludzie, których dzisiaj już nie ma”. W tym świecie powtarzanych fraz niewiele się zmienia: schizofrenia matki i jej wielokrotne, powracające umieranie, uporczywa, niejasna, odziedziczona pamięć oraz splątana tożsamość (wyrażana przez podmiot wierszy), zarówno narodowa, jak i seksualna, stanowią swoiste punkty orientacyjne twórczości poety.

Można moim zdaniem zaryzykować twierdzenie, że powtarzalność – realizująca się zwłaszcza na poziomie poszczególnych słów i fraz – jest próbą nadania temu splątanemu światu pewnego sensu. Skoro nie sposób uczynić tego przez uporządkowanie, zhierarchizowanie lub rozwiązanie konfliktów, czyni się to przez uporczywe powtarzanie, powracanie. Oczywiście – jak zauważa chociażby Adam Dziadek – takie postępowanie łączy ze sobą także poszczególne utwory:

Repetycje całych zwrotów czy fraz są tu tekstowymi nićmi łączącymi ze sobą kolejne utwory. Powtórzenia długich fragmentów składniowych wiążą ze sobą dwa różne i zarazem tożsame wiersze.<sup>11</sup>

W takim przypadku powtarzanie, powielanie jest najprostszym sposobem wprowadzenia jakiegokolwiek przewidywalności. Mówienie jeszcze raz o tym samym, praktycznie tymi samymi słowami nadaje nie tylko pewien porządek: jest także kompulsywnym ruchem samouspokojenia, które z czasem, w niektórych przypadkach, zaczyna coraz bardziej przypominać jąkanie się, zacięcie się podmiotu na wydarzeniu lub miejscu, o którym – nawet za pomocą powtórzeń – nie da się opowiedzieć.

To zaś oznacza, że specyficzna, naznaczona powtórzeniami i zająknięciami poezja Dyckiego domaga się odczytania uwzględniającego

---

<sup>11</sup> A. Dziadek, *Styl somatyczny: Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki*, [w:] *Pokarmy...*, s. 69.

zarówno kontekst pracy pamięci, jak i jej cielesnego zakorzenienia. Wiersze Tkaczyszyna-Dyckiego należą – jeśli by brać pod uwagę polską poezję ostatnich trzydziestu kilku lat – do jednych z najmocniej eksponujących związek między cielesnym, somatycznym doświadczeniem a pamięcią, traktowaną jako przedłużenie i powielenie afektywnego przeżycia. Na tę cechę poezji Dyckiego zwracał uwagę cytowany już Adam Dziadek, podkreślając, że:

Interpretowalność i czytelność tych wierszy możliwa jest wyłącznie wtedy, kiedy traktuje się je jako całość dzieła i/lub ciała...<sup>12</sup>

Punktem stale łączącym te sfery, a zarazem jednym z najbardziej eksponowanych wątków twórczości poety jest jego relacja z matką. W wierszach Dyckiego matka jest postacią funkcjonującą na przecięciu różnych światów, równocześnie je spajającą przez podważanie prostych rozgraniczeń i wydzielającą poszczególne strefy, w i wobec których orientuje się poezja Dyckiego: przeszłość i teraźniejszość, polską i ukraińską tożsamość, zdrowie i chorobę, psyche i somę, cielesność i duchowość.

Jednym z najciekawszych utworów Dyckiego dotyczących – oczywiście nie tylko – matki, jest *Tumor linguae*:

w sąsiednim pokoju umierała moja matka  
odkąd pamiętam umierała raz po raz w małym  
pokoju dolnym a kiedy indziej w większym  
górnym właśnie zaczynam w nim urzędowanie

na czym polega moje urzędowanie piszę wiersze  
proszę państwa pochylam się nad zmyśloną kartką  
papieru jak nad samym sobą i splywa na mnie  
Natchnienie migotliwe światło zapalam je raz

po raz w ciemnym pokoju dolnym bądź górnym  
w zależności od rozwoju sytuacji odkąd pamiętam

<sup>12</sup> Tamże, s. 63.

nie mam stosunku proszę państwa do napisanego  
i skończonego wiersza do widzenia moja najdroższa.<sup>13</sup>

Powtarzalne, cykliczne, trwające odkąd się pamięta umieranie matki, dokonujące się w tylko nieco zmienionych okolicznościach, jedynie pozornie odziera całe zdarzenie z przynależnego mu dramatyzmu. Umieranie zmienia się z nieodwracalnego wydarzenia w powtarzalny akt, w działanie, które nie przekracza granic świata i wyobrażenia, lecz mieści się w jego obrębie. Aktem funkcjonującym na takich samych zasadach, tak samo powtarzalnym i odartym z godności, jest u Dyckiego pisanie wierszy. W jego twórczości zachodzi więc proces, który Adam Dziadek określa jako ekwiwalencję między ciałem a znakiem<sup>14</sup>. Powtarzalności umierania towarzyszy powtarzalność pisania o śmierci, mierzenia się z – równocześnie – wielkim tematem literackim i osobistym, traumatycznym doświadczeniem. To doświadczenie jest tyleż powtarzalne, co zawsze niedokończone, nieprzeżyte do końca, jakby mimochodem przerwane. Warto pod tym względem spojrzeć na jeszcze jeden, pochodzący z późniejszego tomu wiersz:

w sąsiednim pokoju umiera moja matka  
która mimo to zatrudnia się myśleniem o mnie  
jeszcze kiedyś napiszę na czym polega  
umieranie moje i jej w ciemnym pokoju dolnym.<sup>15</sup>

Umieranie staje się czynnością tak spodziewaną i zwykłą mimo swej nieodwracalności, że zmienia się w niemalże trywialną część życia. Scenerią, w której się rozgrywa, jest nieodmiennie ten sam dom, dom, który – paradoksalnie – jest ciągle za wielki dla podmiotu i jego matki, za wielki na to, co się w nim wydarza cyklicznie, raz na dole, raz na górze, a od czego nie ma ucieczki.

<sup>13</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania*, [w:] *Oddam wiersze w dobre ręce*, Biuro Literackie, Wrocław 2010, s. 202.

<sup>14</sup> Por. A. Dziadek, *Styl somatyczny...*, s. 58.

<sup>15</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Dzieje rodzin polskich*, [w:] *Oddam wiersze w dobre ręce*, s. 312.

Przywiązanie Dyckiego do tak mocnych symboli współdzielonego doświadczenia może być wyjaśnione przez chęć zachowania trudnych wydarzeń w pamięci, przez próbę ich paradoksalnego przewyciężenia za pomocą włączenia w sferę codzienności. Powtarzanie tych samych motywów i powracanie do nich może być w takim przypadku drogą do ich powolnego unormalnienia, do zdjęcia z nich piętna nieodwracalności oraz niezrozumiałości. Gest rozdrapywania po raz kolejny tych samych ran może być więc interpretowany nie tylko jako dążenie do ich utrwalenia, do uczynienia ich wiecznie żywymi, ale i przeciwnie, jako próba „odczulenia” czułego miejsca.

Podobne odczytanie twórczości Tkaczyszyna-Dyckiego proponuje na przykład Marta Koronkiewicz, która wskazuje, że dla poety pamięć i przywiązanie do określonych zdarzeń nie jest przymusem, lecz wyborem, który ma zniwelować konkretne zagrożenia:

Tkaczyszyn-Dycki nie może być poetą tragicznym właśnie ze względu na przywiązanie do własnych praw, na potrzebę kontroli i upewniania się; systematyczność pamiętania, która staje się odpowiedzią na skandaliczną anarchię śmierci.<sup>16</sup>

Również Piotr Śliwiński zwraca uwagę na podobne aspekty twórczości poety. Jednak ten krytyk nieco inaczej rozkłada akcenty w interpretowaniu inklinacji do powtórzeń, które przejawiają się w wierszach Dyckiego. Badacz, choć przyznaje, że wyjątkowa pozycja Tkaczyszyna-Dyckiego jako poety wynika wprost z jego zdolności do łączenia szaleństwa i rozumu, chaosu i porządku w materii wiersza<sup>17</sup>, dostrzega również, że nawet w tych najbardziej konstrukcyjnych momentach, przez poetycki projekt przebija autentyczny lęk:

Z drugiej strony widać, że artystyczne wyrachowanie podszyte jest psychomacją, że w kulisach poetyki rozgrywa się dramat rozumności

<sup>16</sup> M. Koronkiewicz, *Ćwiczenie pamięci*, [w:] *Pokarmy...*, s. 229.

<sup>17</sup> Por. P. Śliwiński, *Wstęp. Garść intuicji, pierwsze, wciąż pierwsze wrażenia*, [w:] *Pokarmy...*, s. 5.



nicowanej przez rozpacz, że tuż za ekstazą panowania nad skomplikowanym projektem poezji i egzystencji idzie lęk.<sup>18</sup>

Teza Śliwińskiego o nieodpartym, niemożliwym do zasłonięcia w twórczości poety lęku wydaje się prawdziwa. Tak samo jednak prawdziwe zdaje się spostrzeżenie Koronkiewicz o potrzebie panowania nad przeszłością, kontroli, która daje pewność, że nic z tego, co umarło lub ociera się o śmierć, nie zostanie bezpowrotnie stracone, bowiem zostanie w pamięci. Poezja Dyckiego przybiera przez to dość często ton podobny do litanijnego, w którym powtórzenia dają zarówno – przez swą monotonię – spokój, jak i pewność oparcia się w innej, wyższej instancji. Tą wyższą instancją w przypadku Dyckiego nie jest jednak Bóg, ani inna nadprzyrodzona istota, lecz pamięć i twórczość.

Na tę cechę twórczości Dyckiego zwraca uwagę w swym bardzo interesującym szkicu *Powtórzenia (i Napomknięcia)* Alina Świeściak. Badaczka podkreśla w nim strukturalną niejednorodność pojawiających się w twórczości poety powtórzeń. Są one bowiem:

sposobem wymykania się oczywistości, ucieczką przed jednoznacznością pojęć, przed przymusami komunikacyjnymi, przed oczywistością autoprezentacji i autoreprezentacji podmiotu.<sup>19</sup>

Jak zauważa Świeściak, mimo pozornego antytradycjonalizmu Dyckiego powtórzenia, które stosuje poeta w swej twórczości, opierają się na konkretnych, tradycyjnych formach poetyckich, w tym – wzorcu lamentacyjnym<sup>20</sup>. Krytyczka podkreśla również, że powtórzenia te nie są i nie mogą być traktowane jako zwykłe powroty do określonych motywów. Zamiast tego, należy je interpretować jako formę aktualizacji i odegrania na nowo określonych wydarzeń:

W anamnetycznym ruchu pamięci powtórzenie stanowi kolejną aktualizację tego samego. Każda anamneza, każde ponowne otwarcie

<sup>18</sup> Tamże, s. 7.

<sup>19</sup> A. Świeściak, *Powtórzenia (i Napomknięcia)*, [w:] *Pokarmy...*, s. 135.

<sup>20</sup> Por. tamże, s. 141.

znaczącego miejsca biografii-ciała poświadczony jest powtórzonym incipitem.<sup>21</sup>

Jak powtarzające się w twórczości Tkaczyszyna frazy stanowią kolejne aktualizacje tego samego, tak też poeta aktualizuje i odtwarza we własnym losie doświadczenia, które były już wcześniej udziałem jego matki. Podmiot nosi w sobie to samo rozdarcie, co matka, lecz jeszcze zmultiplikowane: po pierwsze, ze względu na fakt dziedziczenia traumy, po drugie zaś, przez własną tożsamość seksualną, tekstowo rekonstruowaną jako nieheteronormatywna, która czyni podmiot dodatkowo „obcym”. O ile bowiem matka miała kiedyś jakikolwiek punkt zakorzeniania, punkt, który został jej odebrany, ale istniał, przechował się w mniej lub bardziej wyraźny sposób w jej pamięci, o tyle podmiot w żadnym momencie go nie posiadał. Nie była nim ani tożsamość narodowa, ani akceptowalna społecznie rola, jaką dla matki była rola żony i matki właśnie.

Jedynym punktem zakorzeniania dla podmiotu może być więc jedynie matka: to w relacji z nią może odgrywać narzucane przez społeczeństwo role i to jej pamięć, rozdwojona oraz zburzona przez chorobę, może być punktem zaczepienia. Ciężko jednak o bardziej niestabilny punkt wyjścia dla budowy własnej tożsamości niż tożsamość chorej na schizofrenię osoby o splątanej przeszłości:

moja matka piękny krzew dwulicowy  
jest pół Polką pół Ukrainką  
raz jest miłością a raz nienawiścią  
piękny krzew o dwu twarzach

moja matka śpiewa kiedy przyjadę do domu  
i gdy się ją zwiąże jeszcze nie ma Polski  
jeszcze nie ma Ukrainy piękny krzew o dwu  
twarzach trupich który się boi siebie.<sup>22</sup>

<sup>21</sup> Tamże, s. 137.

<sup>22</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Młodzieniec o wzorowych obyczajach*, [w:] *Oddam wiersze...*, s. 133.

Stosowana przez Dyckiego topika biblijna jest najmocniej eksponowana właśnie w wierszach, które poświęcone są matce. Krzew dwulicowy, przywołujący bardzo silne skojarzenia z krzewem gorejącym ma być dla podmiotu swoistym objawieniem, znakiem tego, czego sam nie przeżył, ale co wciąż odciska na nim wyraźne piętno. Ucieczka od wywierającej na niego wpływ przeszłości wydaje się nie tyle nawet niemożliwa, co bezsensowna: jedynym sposobem na opanowanie przeszłości, na jej oswojenie, jest pamiętanie. Stąd też tak często powracające w twórczości Dyckiego rozpoczęcie utworów, wyglądające jak swoista czarodziejska formuła, magiczne zaklęcie „to nie jest tak że zapominam”. Temu zaklęciu często towarzyszy kolejne, brzmiące już jednak o wiele poważniej, groźniej: „przychodzą do mnie ludzie których dzisiaj już nie ma”.

Przeszłość odgrywa się w twórczości Dyckiego ciągle na nowo, na kształt afektywnej pamięci, raz po raz aktualizując nowe sensory i znaczenia. Jej kolejne powtórzenia przypominają następujące po sobie próby dotykania tych samych wydarzeń, których nie sposób raz na zawsze opisać, o których można jedynie napomykać i nieśmiało się do nich zbliżać. To wydarzenia, których nie da się – nawet tak usilną, jak w przypadku twórczości poety – pracą pamięci domknąć, ale których można za pomocą języka literackiego dotknąć.

#### 4. Zależności

Kolejne napomknienia i dotknięcia, odnoszące się do wciąż jeszcze otwartej przeszłości, rysują dość wyraźną sieć poetyckich i pamięciowych zależności Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. Twórczość Dyckiego z czasem staje się przez to coraz bardziej złożona i interesująca. Szczególne miejsce w historii poetyckich powrotów i zapętleń zajmuje *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*. Tom ten, składający się z następujących po sobie, w większości pozbawionych tytułów, jedynie ponumerowanych wierszy to – jak w dość jasny sposób wskazuje tytuł zbioru – przejmująca w swej czasem monotonnej formie historia różnego rodzaju zależności, w które uwikłany jest podmiot. Gdyby starać się wymienić dwie najważniejsze zależności i zarazem uzależnienia

podmiotu, byłyby to – ponownie i niezmiennie – przeszłość i matka, wzajemnie na siebie wpływające.

Matka, funkcjonująca na granicy między przeszłością a terażniejszością, która nawet w momentach, gdy po prostu jest i to w sposób dotkliwy dla swojego otoczenia, jest zawsze również znakiem czegoś innego, swoistej nieminiowej przeszłości. Ta niezakończona, wciąż wydarzająca się przeszłość powraca do podmiotu na różne sposoby, często przywoływana za pomocą wzmiankowanej już frazy „przychodzą do mnie ludzie, których dzisiaj już nie ma”:

v.

przychodzą do mnie ludzie których  
dzisiaj już nie ma (Jasiejo,  
Jasiunio i Jasieczko) pewnie dlatego  
spotykam się z nimi bo bez nich  
nie byłoby Dycia to fakt

ogólnie znany choć z chorobą  
mojej matki nikt się  
nie równał nawet po denaturacie...<sup>23</sup>

To, co nie istnieje, co nie zachowało swojego trwania w terażniejszości, stanowi w poezji Dyckiego stałą podstawę aktualnego doświadczenia. Jego specyfikę dobrze opisują koncepcje wywodzące się z badań nad postpamięcią, akcentujące wpływ dziedziczonych wspomnień na budowanie przez kolejne pokolenia własnej tożsamości<sup>24</sup>. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że mało zauważanym,

<sup>23</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Piosenka o zależnościach...*, s. 9.

<sup>24</sup> Wyraźną inspiracją interpretacyjną jest tu teoria M. Hirsch, dotycząca funkcjonowania postpamięci oraz koncepcje dotyczące miejsc pamięci. Por. M. Hirsch, *The Generation of Postmemory. Writing and Visual Culture after the Holocaust*, Columbia University Press, New York 2012; M. Hirsch, *Past Lives: Postmemories in Exile*, „Poetics Today” 1996 no 4; A. Whitehead, *Geoffrey Hartmann and the Ethics of Place: Landscape, Memory, Trauma*, „European Journal of English Studies” 2003 no 3; *Landscape: Politics and Perspectives*, ed. B. Bender, Providence, RI and Oxford, Berg 1993.

ale istotnym patronem takiego stawiania pytań dotyczących przeszłości, istnienia i nieistnienia jest także Bolesław Leśmian, a za jego pośrednictwem – również Henri Bergson. Teraźniejszość i aktualne istnienie opiera się u Dyckiego na przeszłości i pamięci o tym, co minione, w taki sam sposób, jak aktualnie bytujący świat opierał się na tym, co jedynie potencjalne lub stanowi ślad istnienia u Leśmiana.

Ludzie, których dziś już nie ma, tworzą w poezji Dyckiego tożsamość podmiotu nie mi i m o że ich już nie ma, ale właśnie dlatego, że ich już nie ma. Są śladem świata, który istnieje przez nich i za ich pośrednictwem. Podobnie funkcjonuje również niespójna, nie do końca należąca do rzeczywistości matka, której niepełna i spleciona obecność jest przez to jeszcze dotkliwsza. Doświadczana zawsze mniej lub bardziej za jej pośrednictwem przeszłość jest podwójnie rozdarta: przez cudzą, naznaczoną chorobą pamięć, stanowiącą tylko odległy ślad przeszłości i przez wyraźny rozdźwięk między narodową pamięcią Polaków i Ukraińców. Ten rozdźwięk, zauważany i sygnalizowany przez matkę, jest powtarzany także przez Dyckiego, niemogącego i niechącego w żaden definitywny sposób się określić, zarówno jeśli chodzi o tożsamość narodową, jak i – co w przypadku tego poety w dość specyficzny sposób połączone – seksualną.

Niezwykłe interesującym zapisem tego głębokiego, wielo-  
poziomowego rozdwojenia są dwa sąsiadujące ze sobą w tomie utwory,  
zaczynające się od tego samego fragmentu „żyjemy tak płytko”. Warto  
przytoczyć otwierające oba wiersze wersy:

xxiv.

żyjemy tak płytko że nie możemy napisać  
autobiograficznej powieści natomiast dziennik  
prowadzimy starannie z dbałością  
o najmniejszy bodaj kamyk...<sup>25</sup>

xxv.

żyjemy tak płytko że nie możemy napisać  
powieści natomiast prowadzimy dziennik

---

<sup>25</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Piosenka o zależnościach...*, s. 28.

choć po latach trudno nam uwierzyć w imiona  
chłopców z których każdy gdzieś się wylać. <sup>26</sup>

Wersy następujące po pierwszej, powtarzającej się frazie, są od siebie skrajnie odmienne, choć – gdyby zupełnie zlekceważyć stylistykę utworów – w gruncie rzeczy traktują o tym samym. Niemożliwość napisania powieści to nic innego niż skrajna niezdolność ujęcia życia w określone ramy, opisanie go, jak należy, z początkiem i końcem, z uwzględnieniem określonych kategorii, a zwłaszcza – upływu czasu. W dzienniku każdy zapis dzieje się dziś, w nieoznaczonym, niepodlegającym uporządkowaniu t e r a z, a zarazem od razu, w niemożliwym do określenia momencie, staje się już tylko śladem minionego. Powieść, wymagająca perspektywy czasowej, która nadaje jej głębi, opiera się nie tylko na przeżyciu pewnych wydarzeń, ale także zdolności do ich refleksyjnego opracowania, jakie może umożliwić tylko czasowy i emocjonalny dystans.

Warunkiem dystansu jest opanowanie dwóch sztuk, których podmiot wierszy Dyckiego opanować nie chce: porządkowania pamięci i zapominania. Zamiast nich w wierszach poety realizowana jest konsekwentnie poetyka powtarzania, zestawiania i powracania do ciągle na nowo odgrywanej się przeszłości:

IX.

to nie jest tak że zapominam  
choć nieczęsto wyprawiam się w przemyskie  
przychodzą do mnie ludzie których  
dzisiaj już nie ma np. siostry Serotyńskie

ostatnimi czasy nie wyprawiam się równie  
chętnie w przemyskie ale to nie jest tak  
że zapominam o Argasińskich Zabrońskich  
o których musiałem w końcu napomknąć

---

<sup>26</sup> Tamże, s. 27.

istotą poezji jest nie tyle zasadność  
co bezzasadność napomknień i powtórzeń<sup>27</sup>

Sieć zależności, budowana przez obowiązek pamiętania i powtarzania, ciągłego wyliczania specyficznie pojętych „składników” pamięci i tożsamości jest odpowiedzią na konieczność zachowania jakiegokolwiek identyfikacji. Z powtarzania, z kolejnych napomknień, ze skazanych na niepowodzenie prób odegrania przeszłości raz jeszcze, rodzi się przynależność: jeśli nie do określonej narodowości, jeśli nawet nie do przeszłości, to na pewno do określonej wizji pamięci.

## 5. Przynależności

Przemiana zależności w przynależność dokonuje się w poezji Eugenia Tkaczyszyna-Dyckiego stopniowo. Tom, który wyraźnie tę przemianę zaznacza, a zarazem jest jednym z najciekawszych zbiorów poety, to opublikowana w 2014 roku *Kochanka Norwida*. Zbiór ten sprawia wrażenie bardziej skończonego i dopracowanego niż wcześniejsze wydania wierszy poety. Wynika to po części z silniejszego niż zwykle zarysowania tematu przewodniego, którym w tym przypadku jest matka i jej skomplikowana historia.

Oczywiście w przypadku twórczości Tkaczyszyna matka nie reprezentuje tylko i wyłącznie postaci biologicznej rodzicielki, jest zawsze reprezentacją tego, z czego się pochodzi, znakiem kształtującej tożsamość przynależności. Niezwykle interesujący jest pod tym względem wiersz otwierający tom, zatytułowany *Piosenka o deportacjach*:

obudziłem się w nocy i odkryłem  
prawdę której nie chciałem  
przyjąć: to nie są moje wiersze  
choć zdążyłem się zakraść

---

<sup>27</sup> Tamże, s. 13.

do szkolnych podręczników i zestarzeć  
to nie jest moje miejsce  
moje miejsce jest w Wólce Krowickiej  
i w sąsiedniej Borowej Górze

skąd deportowano matkę na sowiecką  
Ukrainę, lecz uciekła z transportu<sup>28</sup>

Podstawowym odczuciem, któremu daje wyraz podmiot wiersza, jest doświadczenie obcości i oddzielenia. Miejsce, w którym się znajduje, nie jest jego, tak samo jak nie jego są wszystkie osiągnięcia. Terazniejszość jest skrajnie nierzeczywista, jakby oszukana lub skradziona komuś innemu, kto miałby rzeczywiste prawo zakraść się do podręczników. Tymczasem bohater wiersza znajduje się nie w tym miejscu i nie w tym czasie, w którym powinien. Jego osobista historia nosi bliżej nieokreślone znamię fałszywości, sztuczności, jakby była dopisanym naprędce zakończeniem historii, która powinna prowadzić do zupełnie innego finału.

Wiersze Tkaczyszyna, zwłaszcza te z późniejszych tomów, można traktować jako specyficzną próbę powrotu do miejsca, w którym osobista historia zaczyna się zafalszowywać, odbiegać od utrwalonego i przewidzianego trybu. Tym miejscem, punktem, od którego wszystko idzie nie tak, nie w tym kierunku, w którym powinno, jest moment nie z przeszłości podmiotu, lecz chwila z historii jego matki. Chwila, w której dokonuje się jej deportacja, w której wyrwa się ją z jej środowiska, z jej współczesności. Uporczywe powroty Dyckiego do przerwanej historii matki, do jej szczątkowej, porwanej przez chorobę pamięci o tym czasie, są próbą nie tyle nawet sprostowania, co podpisywania określonych rzeczy do niezamkniętej jeszcze przeszłości. Na tyle skomplikowanej, że wyrwy w niej powstają nie tylko z powodu zmian dyktowanych wielką Historią, ale i przesunięć wynikających z osobistej, splątanej historii. Wszakże historia matki, tak jak chce ją widzieć poeta, to nie tylko historia deportacji, lecz także „ucieczki z transportu”, a więc próby wyzwolenia się z tego, co dyktuje los.

---

<sup>28</sup> E. Tkaczyszyn-Dycki, *Kochanka Norwida*, Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 5.



W kolejnym wierszu z tego samego tomu wątek ten zostaje w bardzo interesujący sposób rozbudowany. Sprzeciw i wola oporu matki wraca w nim w motywie dotyczącym określenia funkcji oraz celów poezji:

powiedziano wszak i dowiedziono  
że poezja musi się opierać  
przede wszystkim zaś musi się wymykać  
zrozumieniu i pochwyceniu

niczym moja matka deportowano ją  
zatem po raz drugi w 1947 roku  
aby już nigdy więcej nie stanowiła  
zagrożenia ale o tym znajdziesz

wiadomość w pewnym przypisie  
w moim najistotniejszym wierszu.<sup>29</sup>

Nieuchwytność jest tu cechą łączącą poezję i matkę poety. Rozumiana zarówno dosłownie, jako zdolność do pozostawania na wolności, wymykania się z sytuacji, które dążą do podporządkowania człowieka określonym celom, jak i metaforycznie, jako zdolność do pozostawania na granicy zrozumienia, staje się punktem łączącym te dwie sfery: osobistej historii i związanej z nią pamięci o przeszłości oraz twórczości artystycznej. Utwór ten, dość niezwykły dla twórczości Dyckiego, eksponuje nie tylko ów łączący pamięć i twórczość punkt, lecz stanowi także – nieczęsto wyrażaną tak bardzo wprost – zachętę do czytania wierszy poety jako pewnej całości.

Wzmianka o przypisie z najistotniejszego wiersza prowokuje do szukania utworu, który „poeta miał na myśli”. Fakt, czy istnieje rzeczywiście ten najistotniejszy, opatrzony przypisem wiersz i czy da się go odnaleźć, pozostaje jednak drugorzędny. To nie jego znalezienie jest najważniejsze, lecz sam akt szukania i pytanie o sens tego aktu. Wyraźna wskazówka dotycząca konieczności odnalezienia innego

---

<sup>29</sup> Tamże, s. 6.

wiersza poprzedzona jest przecież dłuższym fragmentem o opieraniu się poezji próbom jej zrozumienia. Wydaje się więc, że ten postulowany opór albo łamany jest, albo wzmacniany zachętą do poszukiwań. By dowiedzieć się, która opcja jest bardziej prawdopodobna, warto spojrzeć jeszcze na pochodzący z tego samego tomu wiersz, zatytułowany jak cały zbiór, a więc na *Kochankę Norwida*:

moja matka (zamknięta  
w Żurawicy, Węgorzewie,  
Jarosławiu) zawsze musiała do kogoś należeć

kogoś sobie zmyśliła wyobraziła  
lub ktoś został jej przedstawiony  
we śnie (na podobieństwo  
Norwida) ale z kim wadziła się

moja matka i w jakim języku przywitał ją ojciec  
niegodziwiec który nigdy  
wcześniej nie słyszał o Norwidzie.<sup>30</sup>

Przynależność wydaje się przeciwieństwem oporu i ucieczki. Jednak, jak pokazuje historia matki, ta opozycja jest sztuczna. Matka, stanowiąca zazwyczaj znak oporu, jest zarazem skrajnie zależna, poszukuje przynależności. Z jednej strony ona sama musi od kogoś zależeć, bez względu na to, czy ten, od kogo zależy, istnieje poza jej świadomością, z drugiej zaś – inni są od niej zależni, w niej i w jej wersjach przeszłości zakorzenieni. Jej choroba, równocześnie oddzielająca ją od przeszłości i zbliżająca do niej, stanowi nieodmiennie jedno z formacyjnych doświadczeń podmiotu. Wiersze Dyckiego są w tym chorobowym doświadczeniu głęboko zanurzone, tak jak są zanurzone w przeszłości, zarówno tej, która stała się udziałem uciekającej z transportu matki, jak i tej, którą bieg historii niespodziewanie przerwał.

Przeszłość, do której Dycki wraca, a która zawsze jest nierealna, bo jest albo przeszłością niedokończoną, przerwana, albo przeszłością

---

<sup>30</sup> Tamże, s. 13.

sztuczną, cudzą, która raz na zawsze usadowiła podmiot w „nie swoim miejscu”, jest nieodmienne dotkliwa, odczuwana i odbierana również na poziomie somatycznym. Poeta wielokrotnie eksponował cielesność takiej pamięci, jak również współdzielonego doświadczenia choroby. Warto pod tym kątem spojrzeć jeszcze na jeden wiersz zatytułowany *Szmaty*:

otóż w innej rzeczywistości moja  
matka dokonywała samookaleczeń  
zrazu powierzchownych niegroźnych  
lecz po kilku dniach ropiejących

dlatego potrzebowała coraz więcej  
prześcieradeł by opatrywać zranienia  
wkrótce w całym domu (który nie istniał  
w żadnej postaci) przybyło brudnych

szmat nawet pod mym jasieczkiem  
nauczyłem się z nich robić wiersze.<sup>31</sup>

Tytułowe, zakrwawione i pokryte ropą szmaty są nie tylko widocznym znakiem, dowodem na coraz poważniejsze zaburzenia matki, śladem jej kolejnych prób zadawania sobie cierpienia lub odebrania życia, są także źródłem twórczości poetyckiej. Znany i często eksplorowany motyw, zgodnie z którym artystyczna aktywność powstaje z brudu, z brzydoty, z bólu, tu zostaje dodatkowo wzmocniony: to cudze doświadczenie cierpienia i choroby jest źródłem wierszy, jest ich mniej lub bardziej świadomą podstawą. Cierpienie i pamięć o nim są stałym znakiem zależności oraz przynależności, decydującym o specyfice twórczości Dyckiego. Kolekcjonowanie, utrwalanie, a także powracanie do określonych wspomnień i doświadczeń oraz próby ich opisu są działaniem, które nie mają na celu domknięcia przeszłości, ale uczynienie z niej przestrzeni zakorzenienia.

Konkretne motywy, do których w swojej poezji powraca Tkaczyszyn-Dycki, na których jego pamięć i poetycki język zapętłają

---

<sup>31</sup> Tamże, s. 49.

się, są miejscami afektywnych powtórzeń oraz zacięć pamięci, która wciąż nie radzi sobie z tym, co równocześnie minione i wciąż żywe. Kolejne zwroty pamięci przypominają poprawianie, edytowanie wydarzeń, nie po to jednak, by zmienić ich znaczenie, lecz by uczynić je wyrażalnymi za pomocą konwencjonalnego przecież języka poezji. Jako takie ulegają spłaszczeniu, stają się coraz mniej dotkliwe. Tak rozumiane powtarzanie często przypomina jąkanie się, zafiksowanie na określonym temacie, które realizowane jest najczęściej po to, by pokryć nieznośną ciszę, rodzącą się z niezdolności do odpowiedniego wypowiedzenia się. Rodzące się z lęku przed ową ciszą mówienie oraz powracanie do określonych motywów są sposobem na zbudowanie przynależności, na jej solidne ugruntowanie nie w tym, do czego akt mówienia nawiązuje, ale w samym ruchu powtórzenia, zagarniającego w jednym geście teraźniejszość i pamięć przeszłości.

Traumatyczna pamięć matki, nakładająca się na pamięć drugiego pokolenia i kształtująca ją, jest w ramach tego ruchu równocześnie utrwalana, jak i przepracowywana. Serie powtórzeń i powrotów do określonych wydarzeń, dokonywane nierzadko w ramach litanijnie powielanych fraz utrwalają konkretną pamięć, nieprecyzyjną, niekoniecznie pracującą liniowo i zdecydowanie wciąż żywą, trudną do osadzenia w łatwo uchwytnych ramach. Równocześnie jednak, każdy akt powtórzenia sprawia wrażenie działania nie tylko utrwalającego, zbierającego pamięć, ale i decyzji o charakterze twórczym. Uporczywe wracanie podmiotu do utartych fraz, do tych samych momentów z przeszłości, do miejsc i ludzi istniejących tylko w pamięci matki lub syna, przywraca im należną przestrzeń, umieszcza – wbrew wieloletniemu wyparciu – wreszcie w centrum mentalnego świata.

Na tym jednak ruch i praca pamięci się nie kończy. Dopiero, gdy coś jest pamiętane, gdy odzyskuje właściwe miejsce, może zacząć być przepracowywane: nie po to, by pamiętać, ani nie po to, by zapomnieć, lecz po to, by przywrócić proporcje między tym, co było i tym, co jest albo może być. Wielokrotne powroty normalizują pamięć, zmniejszając jej traumatyzujący i dotkliwy wymiar, sprawiając, że bolesna przeszłość nie przestaje być trudna, ale zaczyna być możliwa do przeżycia, możliwa do scalenia z teraźniejszymi doświadczeniami. Mówiąc

inaczej, może stać się częścią doświadczenia, które od przeszłości zależy, ale nie jest tylko i wyłącznie do niej ograniczone.

Praca pamięci jest więc wspierana przez pracę poezji: konkretne techniki tekstowe, w tym powtarzanie, zarówno określonych fraz, jak i wzorców lirycznych, otwierają podmiot na możliwość normalizacji wspomnień. Pod tym względem literatura pełni zatem funkcje służebne, przejmując na siebie zadanie, które poza tym specyficznym medium pamięci byłoby niemożliwe do zrealizowania. Jednak z drugiej strony, to pamięć indywidualna oraz konflikt między nią a najbardziej utartymi ramami pamięci daje poezji Tkaczyszyna-Dyckiego zarówno podstawę, jak i rozpęd. Pamięć służy więc budowaniu tej specyficznej, literackiej dykcji mniej więcej w tym samym zakresie, w jakim poetyckie wzorce i coś, co można określić jako pamięć literatury służy otwarciu podmiotu na pracę pamięci.

Ta zależność służebności, wzajemnie na siebie wpływających i nie tyle ograniczających autonomię pamięci lub literatury, co potęgujących ich afektywny wpływ, jest charakterystyczna dla poezji Dyckiego, poruszającej problemy wyjątkowo dotkliwe nie tylko w uniwersum podmiotu lirycznego, ale wciąż bolesne w bardziej uniwersalnej skali. Pamięć wysiedleń oraz afektywny koszt bycia obcym, innym, o odmiennej tożsamości, jest wciąż jeszcze słabo opracowany zarówno w polskiej literaturze, jak i w polskiej polityce historycznej. Z tego powodu w następnym rozdziale tej części książki zamierzam zająć się analizą poezji Tomasza Różyckiego, która – choć zupełnie odmienna – mierzy się w pewnym stopniu z podobnymi problemami, zarówno literackimi (dotyczącymi zagadnienia powtarzania oraz mierzenia się z tradycją literacką), jak i pamięciowymi. Zestawienie tych dwóch poetów może przyczynić się do uzupełnienia jeszcze wciąż obecnej luki w myśleniu o relacji między pamięcią, zwłaszcza pamięcią drugiego pokolenia, a wyzwaniem oryginalności i autonomii literatury.

## Powtórzenia i ponowienia. Tomasz Różycki a kwestia oryginalności<sup>1</sup>

W powtarzaniu potęga, w powtarzaniu stałość (...)  
Powtarzane po stokroć słowo będzie ciałem<sup>2</sup>

### 1. Uwagi wstępne

W poprzednim rozdziale tej książki analizowałam twórczość Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego z perspektywy pojawiających się w jego poezji powtórzeń i powrotów, służących budowaniu – i pracowaniu – konkretnej pamięci. Za pomocą bardzo podobnej ramy interpretacyjnej można, moim zdaniem, analizować lirykę Tomasza Różyckiego, pisarza należącego do tego samego pokolenia, co autor *Kochanki Norwida*.

Również w tym przypadku niezwykle istotne będą dwa konteksty pomocnicze: teorii poezji, korzystających z koncepcji nieoryginalności i ariergardy oraz pamięci kulturowej. Ich połączenie może pozwalać na analizę charakteru, zakresu oraz funkcji pojawiających się w twórczości Różyckiego powtórzeń (zarówno autopowtórzeń, jak i powieleń, kryptocytatów, nawiązań odnoszących się do tekstów innych autorów itd.) oraz powrotów do tradycyjnych form literackich. Takie spojrzenie na wiersze poety może pozwolić z jednej strony na uchwycenie przynajmniej części istotnych dla pisarza tropów poetyckich, z drugiej zaś – na opisanie przemian, jakie dokonują się w ostatnich latach w jego twórczości. Co warte podkreślenia, tropienie tak rozumianych

<sup>1</sup> Badania zostały sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych w ramach finansowania stażu po uzyskaniu stopnia naukowego doktora na podstawie decyzji numer DEC-2014/12/S/H52/0007.

<sup>2</sup> T. Różycki, *Wiersze*, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2004, s. 58.

powtórzeń i powieleń nie jest – a przynajmniej nie stanowi to mojego głównego zamiaru – szukaniem podobieństw, inspiracji ani nawet świadomych nawiązań, lecz raczej próbą dostrzeżenia szczególnie istotnych poetyckich problemów, które domagają się powrotów i uzupełnień.

Problematyka powtarzania, korzystania z utrwalonych już kulturowo wzorców lub czerpania wprost z poetyckiego języka innych twórców, jest zagadnieniem szeroko opracowanym we współczesnej humanistyce. Klasyczne już dzisiaj uwagi na temat relacji między oryginalnością literatury a jej zanurzeniem w tradycji<sup>3</sup>, między funkcjonowaniem literackiego kanonu a możliwością indywidualnej ekspresji<sup>4</sup>, czy wreszcie między poetą a jego prekursorami<sup>5</sup> pozwalają na dostrzeżenie, że powtórzenia nie są wcale sprzeczne ani przeciwstawne z dążeniem do oryginalności. Jak wskazuje w swoich badaniach przywoływana w poprzednim rozdziale Marjorie Perloff, wiele współczesnych technik literackich, takich jak montaż, kolaż czygra z cytatami i nawiązaniem intertekstualnymi, wyrasta właśnie z dostrzeżenia faktu, że drogą do oryginalności rozumianej jako umiejętności wytworzenia specyficznego stylu artystycznego nie musi być dążenie do stworzenia czegoś zupełnie nowego<sup>6</sup>. Zgodnie z tą koncepcją, współczesna poezja coraz mocniej rezygnuje z postulatu „nowości”, nie rezygnując przy tym wcale z potrzeby oryginalności. Oczywiście, tak rozumiana oryginalność przejawia się inaczej niż na przykład oryginalność prądów poetyckich funkcjonujących na początku XX wieku pod szeroko rozumianą nazwą awangardy, niemniej jednak pełni ona równie doniosłą funkcję. Tą funkcją jest utrwalanie – zarówno

---

<sup>3</sup> T. S. Eliot, *Tradycja i talent indywidualny*, przeł. H. Pręczkowska, [w:] *Kto to jest klasyk i inne eseje*, Znak, Kraków 1998.

<sup>4</sup> Por. zwłaszcza W. Jackson Bate, *The Burden of the Past and the English Poet*, Harvard University Press, 1999; D. Perkins, *Is Literary History Possible?*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore and London 1992; H. Bloom, *The Western Canon. The Books and School of the Ages*, Papermac, London 1995.

<sup>5</sup> H. Bloom, *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*, przeł. A. Bielik-Robson, M. Szuster, Universitas, Kraków 2002.

<sup>6</sup> Por. M. Perloff, *Unoriginal Genius: Poetry by Other Means in the New Century*, The University of Chicago Press, Chicago 2010.

w świadomości odbiorców literatury, jak i w szeroko rozumianej pamięci literatury – szczególnie istotnych artystycznych problemów oraz języków mówienia o nich. Awangarda zostaje więc zastąpiona ariergardą, której głównym celem jest już nie nowość, lecz oryginalność nie cofająca się przed korzystaniem z tradycji<sup>7</sup>.

Warto moim zdaniem spojrzeć na polską literaturę powstającą po 1989 roku, a poezję zwłaszcza, z tej właśnie perspektywy. Wydaje się bowiem, że siła przynajmniej pewnego prądu liryki ostatniego trzydziestolecia tkwi nie w początkowo oczekiwanej i zapowiadanej nowości, lecz oryginalności, która nie boi się wracania do problemów już utrwalonych w literackiej tradycji. Pod tym względem twórczość Tomasza Różyckiego, uznawanego za jednego z najbardziej „osobnych” poetów swojego pokolenia (obok m.in. Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego), którego nie sposób przypisać do określonej formacji (zwłaszcza zaś do operującego odmienną dykcją bruLionu)<sup>8</sup>, stanowi doskonałe pole badawcze.

## 2. Nie tylko tradycja

Powodem, dla którego twórczość Tomasza Różyckiego najczęściej odczytywana jest w kontekście nawiązań do tradycyjnych form literackich, jest nagrodzony Nagrodą Kościelskich tom poety zatytułowany *Dwanaście stacji* z 2004 roku. Jednak jeszcze przed wydaniem tej przełomowej dla kariery pisarza książki, zaraz po debiucie poetyckim,

---

<sup>7</sup> Por. również M. Perloff, *The Dance of the Intellect* oraz *Radical Artifice: Writing Poetry in the Age of Media*, The University of Chicago Press, Chicago 1991; M. Perloff, *The Futurist Moment. Avant-Garde, Avant-Guerre, and the Language of Rupture*, The University of Chicago Press, Chicago and London 1986.

<sup>8</sup> Por. zwłaszcza opinie A. Arno, B. Wołowicz, M. Cyranowicz, A. Świeściak, A. Zagajewski.

B. Wołowicz, *Dobieram słowa według tęsknoty*, „Pro Arte” 1998 nr 10; M. Cyranowicz, *Poezja umaita*, „Studium” 2002 nr 2.; P. W. Lorkowski, *Suwerenność utopii*, „Studium” 1998 nr 13–14; A. Świeściak, *O dwóch przypadkach reprezentacji. Wokół motywu daty (Tomasz Różycki, Andrzej Sosnowski)*, „Teksty Drugie” 2007 nr 5; *Głosy o tomie Tomasza Różyckiego „Kolonie”*, „Zeszyty Literackie” 2006 nr 95.



który stanowił wyjątkowo istotny dla polskiej literatury zbiór *Vaterland*, jego twórczość była analizowana – w przeciwieństwie do wciąż wtedy dominującej poetyki bruLionowców – raczej w kategoriach nawiązań do tradycji, niż prób ostentacyjnego zerwania z nią. Do takiej interpretacji bez wątpienia przyczyniła się tematyka debiutanckiego tomu, poruszającego problem wyobcowania przestrzeni, w której podmiot wierszy dorastał i żyje. Opole, część tak zwanych Ziem Odzyskanych, jest w nim równocześnie przestrzenią intymną, oswojoną, i obcą, przynależną do innego porządku. Obcość Opola, wynikająca z jego skomplikowanej historycznej przeszłości i przynależności – często przemilczanej – do niemieckiej kultury, była w poezji Różyckiego wątkiem równocześnie osobistym i historycznym, prywatnym i przynależnym do zbiorowego doświadczenia przesiedlonych oraz ich potomków. Bez wątpienia to właśnie ten tom sprawił, że twórczość Różyckiego zaczęła być określana zarówno przez krytyków, jak i samego pisarza, jako próba budowania jednoosobowej ojczyzny<sup>9</sup> oraz dążenie do oswojenia nie swojego dziedzictwa kulturowego<sup>10</sup>.

Pod tym względem poemat *Dwanaście stacji*<sup>11</sup>, w jasny sposób nawiązujący – i konstrukcją, i tematyką – do *Pana Tadeusza*<sup>12</sup>, ugruntował praktykę odczytywania poezji Różyckiego przez kategorie związane z problematyką pamięci zbiorowej i kulturowej. Tekst, sprawnie poruszający się na granicy ironii, pastiszu i parodii, nawiązuje nie tylko do specyficznej wizji polskości przedstawionej w romantycznym poemacie, ale i mierzy się z zawartą w nim *implicite* teorią dotyczącą roli, jaką dla poczucia narodowej tożsamości ma pełnić literatura. Opowieść Wnuka jest przecież nie tylko opowieścią o skomplikowanej dwudziestowiecznej tożsamości, kształtowanej przez dwie wojny światowe, zmiany granic i przesiedlenia, ale i próbą pokazania, jak tradycyjne formy literackie mogą funkcjonować w kilkadziesiąt lat po okresie uznawanym za postmodernizm. Tym samym – jak

<sup>9</sup> P. W. Lorkowski, *Suwerenność...*, s. 212.

<sup>10</sup> *Nie można mnie czytać „przez coś”. Z Tomaszem Różyckim rozmawia Przemysław Witkowski*, „Odra” 2009 nr 2, s. 68.

<sup>11</sup> T. Różycki, *Dwanaście stacji. Poemat*, Znak, Kraków 2005.

<sup>12</sup> Por. P. Śliwiński, *12 stacji. Tomasz Różycki*, „Gazeta Wyborcza” 07.04.2004.

wskazuje między innymi Anna Czabanowska-Wróbel – warto czytać go, podobnie jak i całą twórczość Różyckiego, nie tylko przez pryzmat nostalgiczných powrotów do przeszłości, ale również za pomocą kategorii postpamięci<sup>13</sup>. Tworzenie i dekonstruowanie mitu szczęśliwych początków jest tu bowiem bezpośrednio związane z przekonaniem, że raz przeżyte doświadczenia mogą się jeszcze powtórzyć: „Postpamięć, o której mechanizmach wiemy dziś coraz więcej, dyktuje Różyckiemu scenariusze katastrof, które już nastąpiły, ale na prawach mitycznego powtórzenia znów mogą się zdarzyć”<sup>14</sup>.

Zmierzenie się z tradycyjną formą przynosi poemat, jak zauważyli krytycy, nie tylko zaskakująco świeży literacko<sup>15</sup>, ale i boleśnie aktualny<sup>16</sup>. Mimo odrealnienia przedstawionych w poemacie zdarzeń (choćby przez stałe naruszanie relacji czasowych, sprawiające, że trudno ustalić, w jakim momencie dzieją się poszczególne wydarzenia – tok akcji niekiedy prowadzi nas w przyszłość, niekiedy jednak zdaje się wracać do przeszłości) przywiązanie do konkretności i do współczesnego w większości przypadków języka sprawia, że *Dwanaście stacji* czyta się jako tekst na temat najbardziej aktualnej rzeczywistości. Na temat tego, co istotne dziś i aj. Literacki pierwowzór jest dla poematu nie tyle nawet punktem odniesienia, co punktem wyjścia, pozwalającym na stworzenie zupełnie nowej opowieści. Świadome, konstrukcyjne powtórzenia, tak jak i gra z częścią istotnych motywów *Pana Tadeusza*, zdają się raczej podkreślać niż zacierać dystans, dzielący te dwa osobne teksty.

<sup>13</sup> Pod tym względem *Dwanaście stacji* stanowi równocześnie dialog z Adamem Mickiewiczem (a dokładniej, jak zauważa Czabanowska-Wróbel, z Mickiewiczem przeczytanym przez Czesława Miłosza), jak i szukanie śladów przeszłości, której samemu nie doświadczyło się bezpośrednio. Por. A. Czabanowska-Wróbel, *Odnalezione mapy. Miłosz – Zagajewski – Różycki*, „Ruch Literacki” 2011, z. 3, s. 149 oraz też, *Sam Środek Europy. Wyobrażenia i postpamięć w poezji Tomasza Różyckiego*, [w:] *W ogrodzie świata. Profesorowi Aleksandrowi Fiutowi na siedemdziesiąte urodziny*, red. Ł. Tischner, J. Wróbel, Kraków 2015, s. 318.

<sup>14</sup> A. Czabanowska-Wróbel, *Sam Środek Europy...*, s. 316.

<sup>15</sup> L. Szaruga, *Świat poetycki (xxvi)*, „Zeszyty Literackie” 2005 nr 2 (90), s. 174.

<sup>16</sup> L. Masi, *Granice we mgle. O poezji Tomasza Różyckiego*, przeł. K. Skórska. Źródło: <http://www.demusica.pl> [dostęp: 30 września 2017].

Świadome powtórzenie nie jest tu również próbą pokonania prekursora, nie daje się – moim zdaniem – odczytywać za pomocą stworzonej przez Harolda Blooma koncepcji lęku przed wpływem. Jest raczej – odwołując się do wzmiankowanych już wcześniej kategorii badawczych Marjorie Perloff – próbą wydobycia z zapomnienia niegdyś awangardowej, a teraz już zdecydowanie ariergardowej formy poetyckiej przez nadanie jej nowych funkcji, z których najważniejszą jest praktyka przekształcania, równoczesnego i skorelowanego ze sobą, tradycyjnej formy literackiej i równie ugruntowanej ramy pamięci. Różycki, co nie jest zbyt często zauważane przez badaczy, dynamizuje nie tylko formę literacką, ale i ramę pamięci kulturowej, którą ona wykształciła.

Ujmując sprawę nieco inaczej: poeta sięga do jednego z najlepiej opracowanych tekstów kulturowych (zgodnie z rozumieniem tej kategorii proponowanym przez Astrid Erll), by użyć znanej, ale już niezbyt popularnej – lub żywej – ramy, stanowiącej część zarówno pamięci literatury<sup>17</sup>, jak i pamięci kulturowej. Ten akt ma nie tylko – i moim zdaniem nie w pierwszej kolejności – ożywić tradycyjną formę, lecz raczej nadać pewną strukturę pamięci jeszcze nieustabilizowanej, wciąż negocjowanej, na którą nakłada się pamięć pierwszego i drugiego pokolenia polskich przesiedleńców oraz niemieckich wysiedleńców. Tradycyjna forma jest więc tu punktem wyjścia i oparciem, który pozwala na konfrontację z pamięcią komunikacyjną, żywą, nieustabilizowaną, przez lata przemilczaną i wypieraną.

### 3. Kwestia oryginalności

Eksplorowany w *Dwunastu stacjach*, ironiczny, lecz niepozbawiony nostalgii sposób powracania zarówno do literackiej, jak i kulturowej przeszłości, był opisywany i analizowany przez większość krytyków

---

<sup>17</sup> Nawiązuję tu również do koncepcji Renate Lachmann, badającej pamięć literatury jako nową formę intertekstualności. Por. R. Lachmann, *Memory and Literature: Intertextuality in Russian Modernism (Theory and History of Literature)*, transl. R. Sellars, A. Wall, University of Minnesota Press, Minnesota 1997.

zajmujących się twórczością Tomasza Różyckiego. Tymczasem, jak postaram się pokazać, nie jest to wcale jedyny, ani nawet dominujący typ nawiązań, spośród tych, które da się w twórczości tego poety wytropić. Gra z wielkim literackim pierwowzorem jest tylko częścią bardziej skomplikowanej strategii powtarzania, powielania i przekształcania poszczególnych literackich problemów, motywów czy wyzwań.

Analiza tworzonej przez Różyckiego sieci nawiązań nie jest bowiem możliwa bez przesłedenia jednych z istotniejszych w jego twórczości powtórzeń, a mianowicie autopowtórzeń. Różycki, podobnie jak Eugeniusz Tkacyszyn-Dycki, wielokrotnie powraca do tych samych wątków, nadając świadomym powtórzeniom rangę jednego z najważniejszych środków artystycznego wyrazu.

Mimo że uznaję autopowtórzenia za jeden z najciekawszych wątków poezji Różyckiego, to przeanalizowanie wszystkich występujących w ramach twórczości artysty autonawiązań jest zadaniem niemożliwym do wykonania w ramach jednego rozdziału książki. Konieczne jest więc zawężenie omawianej problematyki do określonego czasu i również – motywu. Jednym z najczęściej powracających w twórczości poety pytaniem jest pytanie o charakter literackiej, a ściślej – poetyckiej – twórczości. To pytanie powraca nie tylko pod różnymi postaciami w kolejnych tomach, jest również wielokrotnie powtarzane jako przewodni trop określonych tomów, nadający im charakterystyczną strukturę.

By określić charakter i zakres tych powtórzeń warto poświęcić nieco uwagi dwóm tomom poety, zatytułowanym *Świat i Antyświat* oraz *Kolonie*. Pierwszy z nich pochodzi z roku 2003, drugi – z 2006. Pomędzy nimi Różycki wydał jeszcze dwa zbiory – omawiane tu już *Dwanaście stacji. Poemat* oraz *Wiersze*. Decyzja o analizie akurat tych dwóch publikacji z pominięciem tomów, które wydano pomiędzy nimi, może wydawać się na pierwszy rzut oka pochopna, ale zarówno *Dwanaście stacji*, jak i *Wiersze* są zbiorami osobnymi. Wzorowana na wielkim romantycznym poemacie opowieść Wnuka, choć powtarza wiele istotnych dla poety wątków i jest podstawą późniejszych nawiązań, pozostaje językowo oraz konstrukcyjnie niezależna od wcześniejszych tomów. Natomiast *Wiersze* stanowią przedruk czterech pierwszych tomów poety, nie wprowadzają więc nowych wątków.

*Świat i Antyświat* oraz *Kolonie* w najbardziej całościowy i zorganizowany sposób grają z motywem powielania określonych tropów poetyckich.

Jednym z najważniejszych powracających w tych tomach wątków jest pytanie o charakter twórczości poetyckiej oraz jej wpływ na życie podmiotu. Oczywiście, motyw ten stanowi jeden z najczęściej powtarzających się w całej poetyckiej tradycji, niemniej w twórczości Różyckiego zyskuje dość zaskakującą reprezentację. Wiersze dotyczące specyfiki literackiej aktywności zdają się stanowić istotną i do pewnego stopnia osobną część rozbudowanych zazwyczaj tomów Różyckiego. Tę osobność sugerują dość często już tytuły wierszy, układające się w określony ciąg lub całość, co jest szczególnie łatwo zauważalne w przypadku tomu *Kolonie*. Jednak już w tomie z 2003 roku da się zauważyć pewne specyficzne podejście do kreowania obrazu zależności między światem poezji, a światem realnym. Warto pod tym względem przywołać szczególnie utwór *Pierwszy hipotyk*:

Jeżeli to jest kara, wiem, kiedy to się stało.  
Rankiem, ponieważ ranki są złowrogie. Rano  
ponieważ ranem dzieje się najwięcej pomiędzy  
Panem Bogiem a podłogą.

Jeżeli to jest kara, to wiem, skąd przychodzi.  
Chciałem powiedzieć coś, otworzyłem usta  
i wtedy mała część tej pustki, której pełna była  
rankiem ulica i sąsiednie domy, weszła we mnie.

Jeżeli to jest kara, ja od tamtej pory próbuję  
ją wypełnić, małą pustą bańkę. I wrzucam  
w siebie napotkane sprawy, ludzi, samochody,  
domy i całe miasta, biorę to do siebie.

Jeżeli jest to darem, ja chciałbym go zwrócić.  
Wypłuć już tę pastylkę, w której mieszka nicość,  
ale jej nie ma wśród słów, które codziennie,  
i stąd te krzyki nocne, i stąd te polucje.

Jeżeli to jest dar, ja chciałem go wyjąć,  
na razie jednak tchawica i płuca, żołądek  
i wątroba, powłoki oraz serce, serce, serce.<sup>18</sup>

Tytuł wiersza sugeruje, że w tomie znajdziemy kolejne „hipotyki”. I tak jest w istocie, *Drugi hipotyk*, zaczynający się od wersu „jeżeli to z miłości, będzie nam wybaczone” porusza jednak nieco inny problem, a mianowicie kwestię relacji międzyludzkich. *Pierwszy hipotyk* można jednak interpretować jako dotyczący wspomnianego już problemu działania literackiego talentu. Zgodnie z tą interpretacją, pustka, która zagnieżdża się w podmiocie w momencie, w którym próbował coś powiedzieć, opisać, jest z jednej strony konsekwencją próby opowiadania o świecie, z drugiej zaś – wymusza na poecie podejmowanie kolejnych działań, które ową nicość mają zapełnić. Te działania to właśnie próby opowiadania, opisywania świata. To zaś oznacza, że literacka aktywność może być rozumiana jako nieustające usiłowanie zażegnania pustki, którą równocześnie sama wzbudza. Jest więc ona równocześnie nagrodą i karą, przyczyną i skutkiem określonego stanu. Nie da się jej pozbyć, ani zignorować, gdyż trwale zmienia zarówno rzeczywistość, w której podmiot żyje, jak i sam podmiot.

To podwójne rozumienie talentu poetyckiego lub – szerzej – literackiej aktywności jako równocześnie pochłaniającej rzeczywistość i ją tworzącej, stanowi stałą cechę twórczości Różyckiego. O ile jednak w pierwszych tomach wątek ten dopiero zyskuje reprezentację i opracowanie, to w miarę upływu czasu nabiera siły i powraca coraz częściej, we wzmiankowanym już tomie *Kolonie* – wręcz kompulsywnie. Te powroty są tym bardziej interesujące, im większą uwagę poświęci się wizji twórczości poetyckiej, jaką buduje w nich Różycki. Nie jest ona bowiem – jak pokazuje choćby *Pierwszy hipotyk* – wyborem podmiotu. Jest czymś, co się przydarza, a z czym trzeba żyć bez względu na to, czy jest to nagroda, czy kara.

---

<sup>18</sup> T. Różycki, *Świat i Antyświat...*, s. 6.

#### 4. „Kiedy zacząłem pisać...”

By pokazać, na czym polega kompulsywność powtórzeń, warto przyrzyć się bliżej tomowi *Kolonie*, a zwłaszcza rozsiąnym w nim wierszom, zaczynającym się od mniej więcej tego samego wersu: „kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze”. Takich utworów jest w sumie siedem, czyli sporo, biorąc pod uwagę objętość samego zbioru. Są to również wiersze w największym stopniu automatyczne, podejmujące jeden z najmocniej utrwalonych w literaturze problemów: czym jest twórczość literacka i po co w ogóle się nią zajmować? Każdy z zamieszczonych w tomie wierszy, zaczynających się od tego specyficznego wyznania nieświadomości, można traktować jako próbę odpowiedzi na to pytanie – tym ciekawszą, że świadomie nieostateczną, niekonkluzywną.

Pierwszy ze wspomnianych wierszy otwiera cały zbiór. Jego tytuł – *Kawa i tytoń* – przywodzi na myśl, także przez skojarzenia z nazwą całego tomiku, sklepik kolonialny, tradycyjnie zajmujący się sprzedażą między innymi tego typu artykułów, jak wzmiankowana kawa i tytoń. Jednak już otwarcie utworu sugeruje, że ten trop jest – przynajmniej w odniesieniu do tego utworu – błędny. Spójrzmy na całość wiersza:

Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze,  
co ze mnie zrobią wiersze, że się przez nie stanę  
jakimś dziwnym upiorem, wiecznie niewyspanym,  
o przezroczystej skórze, chodzącym po mieście

jakby lekko naćpany, kładącym najwcześniej  
się razem z wściekłym brzaskiem, i jeszcze nad ranem  
łążącym po znajomych, zupełnie spłukany,  
jak jakaś menda, insekt, przywołany we śnie

kawałkiem gołej skóry, czy może westchnieniem.  
I nawet nie wiedziałem, w co mnie wreszcie zmieniają  
te durne wiersze, skarbie, i że to ty właśnie  
przywołasz mnie do życia i że dzięki tobie

tylko będę widzialny, z tobą się położę  
i odczekam tę chwilę, dopóki nie zaśniesz.<sup>19</sup>

Początek utworu zwraca nas ku przeszłości, ku temu, co wydarzyło się zanim poeta zaczął pisać wiersze, zanim stał się poetą. Tym czymś jest stan niewiedzy, wręcz ignorancja, która pozwoliła na podjęcie decyzji o staniu się pisarzem. Życie podmiotu dzieli się więc wyraźnie na dwa etapy, na etap przed i po. „Po” podmiot się zmienia, staje się w pewnym sensie coraz mniej człowiekiem, a coraz bardziej stworzeniem żyjącym na marginesie – zarówno człowieczeństwa, jak i snu oraz jawy. Wybawieniem od tego stanu jest „ty” liryczne, sprawiające, że podmiot na nowo staje się „widzialny”, staje się przedmiotem zainteresowania drugiej osoby, dzięki czemu odzyskuje własną podmiotowość i na nowo zaczyna funkcjonować – przynajmniej w jakimś stopniu – w normalnych międzyludzkich relacjach. To liryczne „ty” nie sytuuje się jednak w opozycji do twórczości poetyckiej, lecz raczej stanowi jej specyficzne dopełnienie, umożliwiające równoczesne bycie poetą i bycie człowiekiem.

W przypadku takiego odczytania osobnej interpretacji domaga się tytuł tekstu. Kawa i papierosy, kojarzone często ze stanem niewyspania, zmęczenia, znużenia albo – z drugiej strony – ich przeciwieństwami, czyli pobudzeniem, zwiększoną pracą twórczą lub intelektualną, stają się znakiem nowego stanu podmiotu, a więc tego, co dzieje się z nim już po tym, gdy zaczął pisać. Pod tym względem ich zestawienie, choć i kulturowo utarte, i często powielane w codziennym doświadczeniu wielu osób, jest w pewnym stopniu sprzeczne, nielogiczne. Kawa i papierosy zawierają substancje psychoaktywne o w gruncie rzeczy przeciwstawnych działaniach: kofeina zasadniczo pobudza, pozwala okiełznać zmęczenie, nikotyna zaś – po krótkiej chwili, w której podnosi ciśnienie i daje przyływ energii – jest klasycznym depresantem. Ich połączenie jest więc połączeniem sprzeczności, podobnie jak – dokonująca się pod wpływem lirycznego „ty” – przemiana podmiotu, który może funkcjonować równocześnie jako skupiony

---

<sup>19</sup> T. Różycki, *Kolonie*, s. 5.



na swojej twórczości poeta oraz zdolny do nawiązywania głębszych relacji z innymi ludźmi człowiek.

Połączenie sprzeczności, ujęcie w ramach jednej całości osobnych, a nawet przeciwstawnych wydarzeń, uczuć i postaw, stanowi ramę kompozycyjną tego utworu. *Kawa i tytoń* nie tylko poruszają temat rozbicia, rozdwojenia podmiotu; sam utwór jest również stylistycznie podzielony na dwie części, z których pierwsza stanowi rozbudowany i dość mroczny opis stanu, w jakim znajdował się podmiot po tym, jak zaczął pisać wiersze, druga zaś zwraca się ku widzianej w o wiele bardziej optymistycznych barwach przyszłości. To charakterystyczne rozbicie, rozdwojenie, wprowadza podwójną cezurę – zarówno czasową, jak i afektywną. Doznania podmiotu, sposób, w jaki doświadcza świata zmieniają się wraz z pojawieniem się lirycznego „ty”, które nie tylko otwiera go na życie, ale i czyni powtórnie widzialnym.

Funkcjonowanie tej specyficznej cezury jest tym bardziej zauważalne, gdy porówna się ten wiersz z innymi z tomu, w których powraca to samo refreniczne rozpoczęcie<sup>20</sup>. Spójrzmy na *Przeciwnie wiatry*:

Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze,  
że każde moje słowo zabierało  
po kawałku świata, w zamian zostawiając  
jedynie miejsca puste. Że powoli wiersze

zastąpią mi ojczyznę, matkę, ojca, pierwszą  
miłość i drugą młodość, a co zapisałem,  
ubędzie z tego świata. Zamieni swe stałe  
istnienie na byt lotny, stanie się powietrzem.

wiatrem deszczem i ogniem, i to, co poruszę  
w wierszu, znieruchomieje w życiu, i pokruszy  
się na tak drobne cząstki, że się stanie prawie  
antymateria, pyłem całkiem niewidzialnym,

<sup>20</sup> O tym charakterystycznym zabiegu pisze m.in. Andrzej Franaszek w recenzji tomu; por. A. Franaszek, *Kolonie, Różycki Tomasz*, <http://wyborcza.pl/1,75410,3427338.html> [dostęp: 2 czerwca 2018].

wirującym w powietrzu, tak długo, aż wpadnie  
w końcu tobie do oka, a ono zażawi.<sup>21</sup>

Tutaj również powtarza się cezura czasowa, która każe myśleć o tym, co było przed rozpoczęciem pisania wierszy i o tym, co aktywność poetycka zmienia. Jak w poprzednim wierszu, o etapie „przed” wiemy niewiele, o etapie „po” – więcej. „Po” w świecie dokonują się zmiany, niekojarzone raczej z żadną działalnością artystyczną. Świat „po” zamiast stać się bogatszy o nowe doświadczenia lub możliwości, staje się światem uboższym, w którym kolejne rzeczy, emocje i osoby znikają, są zastępowane przez słowa. Proces ubywania świata wydaje się wprost proporcjonalny do aktywności poetyckiej – skoro słowa zabierają rzeczywistość, świat staje się coraz bardziej odrealniony, w pewnym sensie – coraz mniej oryginalny. Prawdziwe natomiast stają się wiersze, pełniąc nie funkcję kopii rzeczywistości, lecz oryginału. W tym wierszu – choć również występuje specyficznie kreowane „ty” liryczne – nie ma już rozbicia na jaśniejszą i ciemniejszą, bardziej i mniej optymistyczną wizję funkcjonowania poety. Zamiast tego można dostrzec rozbicie świata na to, co przynależy do artystycznej twórczości, i na to, co staje się pożywką dla poezji. Cezura ta jawi się jako nieprzekraczalna – gdy coś raz stanie się przedmiotem artystycznego zainteresowania, gdy coś raz ożyje w wierszu, przestaje wydawać się realne w świecie. Skutkiem rozwoju literackiej aktywności jest więc postępująca degeneracja świata, który powoli rozbija się na coraz mniejsze cząstki, staje się pyłem, prochem, a wręcz – antymateria.

Wiersz ten, oprócz oczywistej gry z poprzednimi i następnymi utworami z tomu, zaczynającymi się od tych samych słów, podejmuje również – świadomą i widoczną – grę z poprzednio już wzmiankowanym tomem Różyckiego, *Świat i Antyświat*. To, co zostaje po literackiej twórczości jest tu interpretowane jako antyświat właśnie, jako resztki, pozostałość, coś, co nie jest zdolne do samodzielnego istnienia. Ten rodzaj antymaterii może oczywiście wpływać wciąż na podmiot lub inne bliskie mu osoby, lecz jest jedynie cieniem tego, co istniało wcześniej i tego, co zyskało nowe życie w wierszu. Światem

---

<sup>21</sup> T. Różycki, *Kolonie*, s. 15.

istniejącym w pełni jest więc rzeczywistość tekstowa, która nie jest do tego stopnia zagrożona rozkładem, roz biciem, co – tylko teoretycznie realny – świat.

Poczucie utraty realności świata wiąże się więc wprost z odkryciem możliwości nadawania życia temu, co przynależy do sfery działania poetyckiej wyobraźni. Nietrudno zauważyć, że takie, a nie inne podejście do kwestii realności i bytu poetyckich obrazów łączy Tomasz Różycki z pisarzami takimi jak Bruno Schulz i Bolesław Leśmian<sup>22</sup>. Kreowali oni w swej twórczości to samo poczucie pierwotnej realności istnienia literackiej rzeczywistości. O ile jednak Leśmian zwracał się wprost ku rzeczom lub bytom funkcjonującym na granicy istnienia i nieistnienia, dając im w swej poezji siłę i moc, by trwały<sup>23</sup>, Schulz zaś swobodnie budował niedoskonały świat stworzony przez równie niedoskonałego demiurga<sup>24</sup>, o tyle Różycki idzie krok dalej. Stara się uczynić świat poezji nie w jakiś sposób realnym, lecz równie realnym jak świat, w którym żyjemy. A to oznacza, że świat ten jest w stanie istnieć i funkcjonować bez swojego stwórcy, a nawet – wbrew niemu.

Ten specyficzny proces wyzwalania poezji spod kontroli twórcy przedstawiony jest w kolejnym z refrenicznie rozpoczynających się wierszy, zatytułowanym *Żywy towar*:

Kiedy zacząłem pisać, jeszcze nie wiedziałem,  
że każde głupie słowo, raz pozostawione  
na kartce samo sobie, weźmie na obronę  
tyle, ile udźwignie, będzie obrastało

<sup>22</sup> Na związku twórczości Różyckiego z Schulzem zwracali uwagę, m.in. Karol Maliszewski (*Opium dla elity*, [w:] tegoż, *Rozproszone głosy. Notatki krytyka*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006, s. 215), Magdalena Rabizo-Birek (*Szlakiem Dantego i Schulza*, „Kresy” 2005 nr 3, s. 77–91) oraz Żaneta Nalewajk-Turecka (*Schulzowskie relacje transtekstualne i kontekstowe w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, „Tekstualia”, <http://tekstualia.pl/stara/index.php?DZIAŁ=varia&ID=37>, [dostęp: 2 czerwca 2018]).

<sup>23</sup> Por. J. Trznadel, *Twórczość Leśmiana. (Próba przekroju)*, PIW, Warszawa 1964, s. 233.

<sup>24</sup> Por. A. Franaszek, *Kolonie, Różycki...*

powoli w światło, mięso, korę, przyjmie ciało  
z kobiet i zwierząt, z ziemi, spośród rzeczy słonych  
i spośród spraw ciemności, że weźmie na koniec  
na siebie papier, domy, ulice i chaos

wszystkich pięter kosmosu, wezwie ku pomocy  
niebo i grudkę piekieł, i że będzie w nocy  
poruszać się i jęczeć, gryźć i maszerować  
przez wszystkie nasze łóżka, ogromne i dzikie,

ogromne i dzikie dziecko. I czarnym językiem  
będzie musiało co noc czyjejś krwi skosztować<sup>25</sup>

Poetyckie słowa zyskują tu swoją realność nie przez odniesienie do świata, lecz jego kosztem. Rozrastają się i wchłaniają materię, zagarniając dla siebie coraz większe połacie rzeczywistości. Jako takie stają się więc coraz bardziej zagrażające, udowadniając, że – poniekąd wbrew nadziejom podmiotu – nie mogą istnieć obok siebie dwa realne światy. Jeden zawsze pozostaje mniej lub bardziej realny, jeden jest oryginałem, a drugi – kopią, odbiciem, powtórzeniem. Istniejąc wobec siebie, istnieją zawsze swoim kosztem, bez względu na to, czy zostały stworzone jako swoja alternatywa, czy dopełnienie. Kreowana przez Różyckiego wizja relacji między światami ma więc skrajnie dynamiczny charakter: świat poetycki i pozapoetycki istnieją zawsze wobec siebie. Im bardziej realny staje się jeden, tym mniej realny wydaje się drugi. Pisząc tu o realności, nie mam oczywiście na myśli rzeczywistego istnienia tych światów, ani kwestii ich – dowolnie rozumianej – prawdziwości. Odwołuję się natomiast do w gruncie rzeczy prostej intuicji dotyczącej postrzegania rzeczywistości, w której żyjemy: jeśli zanurzamy się w określoną rzeczywistość (własnego doświadczenia, „normalnego życia” lub – przykładowo – rzeczywistość wirtualną, wykreowany świat literatury lub filmu, świat gier komputerowych, mediów społecznościowych itd.) i uznajemy ją za dla nas istotną i w ten sposób prawdziwą, to inne rzeczywistości stają się mniej pociągające, mniej realne, mniej

---

<sup>25</sup> T. Różycki, *Kolonie*, s. 21.

istotne. Jedna rzeczywistość zabiera nam inną. Tak rozumiany świat poetyckiej twórczości jest więc w tym samym stopniu zagrażający, co obiecujący. Grozi wprawdzie osłabieniem realności „normalnego” świata, lecz daje w zamian nieosiągalne inaczej możliwości. Pozwala na funkcjonowanie w świecie, którego jest się czymś zdecydowanie więcej, niż częścią – którego jest się twórcą<sup>26</sup>:

Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem wcale,  
że się przez to tak szybko stanę tak bogaty,  
że kupię sobie wyspę i będę tam latał  
piętnaście razy dziennie (...) <sup>27</sup>

Twórczość poetycka daje więc pewną władzę, związaną z możliwością wytworzenia własnego uniwersum, własnej przestrzeni, w której obowiązują ściśle określone zasady. Jednak, z drugiej strony, pisanie jest postrzegane jako wyjątkowo wciągające zajęcie, zastępujące wszelkie inne formy aktywności. Jako coś, co nie dzieje się w życiu, lecz życie wchłania. Poetycki świat staje się zatem alternatywą dla rzeczywistości, tym bardziej kuszącą, im realniejszą i łatwiejszą dla wytworzenia. Staje się *Opium*:

Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze,  
jakie to proste. Że wystarczy przyłgnąć i znajdzie się  
narzędzie, znajdzie się atrament (...)

Nie wiedziałem wtedy, że tak łatwo pisać bez pamięci,  
pisać do szaleństwa, gorąco, pisać całą duszą,

---

<sup>26</sup> Na wątek zadomowienia w poezji jako podstawowym, realnym świecie, zwracał uwagę m.in. Jakub Momro: „Poezja byłaby w tym wypadku miejscem, z którego orzeka się o rzeczywistości, gwarantując tym samym poczucie udomowienia w języku i zapewnienia egzystencjalnej pełni”; por. tegoż, *Wyobraźnia i rygor. O jednym z aspektów estetyki poetyckiej*, „FA-art” 2003 nr 3–4, s. 148.

<sup>27</sup> Tamże, s. 43.

nad życie pisać, bez pisania uschnąć, i że byłbym niczym,  
gdybym umiał mówić językami, a tego bym nie znał.<sup>28</sup>

Pisanie jest więc namiętnością, przyrównaną – na mocy łatwej do wytropienia trawestacji cytatu z *Listu do Koryntian* św. Pawła – do najważniejszej z trzech cnót boskich, miłości. Miłość, ważniejsza od wiary w katolickiej teologii, warunkuje i wypełnia wszystkie inne cnoty. Zdolność pisania warunkuje natomiast istnienie świata, który bez niej nie mógłby zaistnieć, który w niej ma swój początek i koniec.

Tworzony w ramach poetyckiej praktyki świat ma być więc nie tylko bardziej realny niż świat zewnętrzny, jest również zdecydowanie bardziej pociągający (bo tworzony według własnych potrzeb) i nagradzający (bo jest to jedyny świat, w którym można w zasadzie wszystko). Jednak porównanie artystycznej działalności z narkotykiem – nie pierwsze zresztą, skoro i kawa, i papierosy zaliczane są do substancji psychoaktywnych – wydaje się tyleż pociągające, co niepokojące. Co się stanie, jeśli uznamy, że tworzony w ramach poetyckiej działalności świat jest bardziej prawdziwy, bardziej interesujący w ten sam sposób, w jaki prawdziwsze lub pełniejsze jest doświadczenie świata pod wpływem narkotyków? A jeśli artystyczna praktyka działa jak opium, które nie tyle urealnia duchowe doznania, ile odrealnia wszystko, co do niej nie przynależy? Ta podwójność doświadczenia pisania, eksplorowana przez Różyckiego w poszczególnych wierszach z tego cyklu, nigdzie w zasadzie nie wybrzmiewa tak mocno jak tutaj: czy twórczość poetycka jest jak miłość, która zgodnie ze znaczeniem nadanym jej przez św. Pawła nadaje sens światu, wypełnia go znaczeniem i przez to czyni realnym, czy jest raczej narkotykiem, który pochłania i wciąga nie tylko podmiot, ale i wszystko, co dla niego ważne?

---

<sup>28</sup> T. Różycki, *Kolonie*, s. 72.

## 5. Aktywowanie pamięci

Podjęmowany przez Różyckiego problem charakteru poetyckiej działalności i jej wpływu na życie podmiotu oraz postrzeganie przez niego świata, jest oczywiście nienowy i skrajnie – by odwołać się ponownie do stworzonych przez Marjorie Perloff pojęć – nieoryginalny. Sposób, w jaki poeta do niego podchodzi, jest już jednak, w proponowanym przez badaczkę rozumieniu tego słowa, oryginalny – klasyczny problem zostaje ponownie opracowany, za pomocą innego języka. Kluczowe dla poety wyznaczenie: „kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze” zdecydowanie odcina się od mniej lub bardziej górnołotnych prób opowiedzenia o poetyckim natchnieniu, zastępując je pragmatycznym podejściem do kwestii konsekwencji rozpoczęcia poetyckiej działalności. Ten pragmatyzm, podobnie jak prostota wyrazu, znika jednak szybko, gdy tylko podmiot przystępuje do próby opisanego, co zmieniło się od czasu, gdy zaczął pisać. To charakterystyczne tąpnięcie i powrót do tradycyjnej dykcji, do utartych sposobów mówienia o problemach tworzenia, łączy się w znaczący sposób z szerszą praktyką powtarzania, powracania do określonych motywów, pytań, problemów czy języków opisu. W każdym z omawianych tu wierszy Różycki powtarza nie tylko odpowiedzi innych, lecz i własne, nieustannie poprawiając oraz dopracowując zakończenia jednego zdania.

Na tak opisaną praktykę twórczą poety można spojrzeć – z nieco szerszej perspektywy – jako na sposób aktywowania literackiej i kulturowej pamięci. Akt pisania jest aktem twórczym, ale i powtarzalnym: zarówno w indywidualnym działaniu, jak i tradycji. Różycki nie tylko z powtarzalnością i kliszowością tego działania nie walczy, ale decyduje się nadać mu nowy wymiar: świadomego powrotu do mniej lub bardziej utrwalonych schematów lirycznych, które są równocześnie przywoływane i dynamizowane.

Sposób działania poetyckich powrotów i powtórzeń opiera się więc – także w wierszach nie dotyczących na pierwszy rzut oka tego problemu – na pracy pamięci. Twórca, sięgając do rezerwuaru pamięci literatury, a więc utrwalonych w tradycji form i sposobów mówienia o akcie pisania, aktywuje je i przekształca. Równocześnie, tak zmienne typy i tryby pisania stają się same medium pamięci: zarówno

indywidualnej, jak i zbiorowej. Wypracowywana w ten sposób praktyka pisania pozwala na znalezienie środków wyrazu dla nierzadko traumatycznych, a zawsze trudno uchwytnych doświadczeń, w tym: ważnego dla omawianego wcześniej poematu *Dwanaście stacji* zjawiska szukania zakorzenienia w rzeczywistości, która pozostaje mniej lub bardziej cudza.

Pod tym względem najbardziej znana i najlepiej opracowana część twórczości Tomasza Różyckiego, dotycząca problemów przesiedlenia, korzysta ze strategii tekstowych zakorzenionych w praktyce powtarzania i powracania do określonych motywów (a więc: na strategiach pamięciowych właśnie). Dynamikę działania tego specyficznego procesu widać najlepiej, gdy spojrzy się na utwór *Entropia* z tomu *Vaterland*:

Ten czerwiec, kiedy słońce gasi trawniki  
nad Odrą i kruszą się mosty, powiedziałem,  
że nie mamy ojczyzny, zaginęła w transporcie,  
a może rozniosły ją na grzywach armie konne,

a poeci przekręcili jej imię, przemieliły ją  
czcionki gazet. Dlatego każdy uniósł, co mógł  
pod powiekami, ziemię, piasek, cegły, całe płaty  
nieba i zapach traw, i teraz nie wiadomo,

co z tym zrobić, jak zamknąć oczy, jak spać  
i płakać. Jest czerwiec i coraz ciężiej z nią iść.  
Pytam, dlaczego nie spalili Lwowa, dlaczego  
nie zamienili tego w popiół, lekki dym,

nikt nie musiałby nosić takiego ciężaru całe  
życie i nawet w snach po trzykroć upadać.<sup>29</sup>

W przytoczonym tu wierszu zestawiono ze sobą dwa miejsca i doświadczenia: Opole, czyli przestrzeń dla podmiotu osobiście oswojoną,

---

<sup>29</sup> T. Różycki, *Vaterland*, [w:] *Wiersze*, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2004, s. 8.



ale pamięciowo i historycznie obcą oraz Lwów, indywidualnie obcy, ale dla tożsamości osoby pochodzącej z przesiedlonej rodziny – znany, oswojony. Obie te przestrzenie są do pewnego stopnia nierzeczywiste, obie nie są – ze względu na to specyficzne niedopasowanie między doświadczeniem indywidualnym z teraźniejszości oraz zbiorowym z przeszłości – uznawane za ojczyste. Zamiast zakorzenienia, jest trud noszenia i zbierania śladów po dawnej przynależności: okruchy miasta, jak piasek czy cegły, ale również zmediatyzowane opowieści o nim są raczej traktowane jako obciążenie, jako ciężar, niż jako dająca przynajmniej względne poczucie przynależności spuścizna.

Lwów jest tu więc równocześnie – odwołując się do używanej wcześniej terminologii pamięciologicznej – miejscem pamięci<sup>30</sup> i miejscem w pamięci, odtwarzanym za pomocą odwołania do mniej lub bardziej utartych tropów. W obu przypadkach jest on – jak każda pamięć – odtwarzany, budowany z resztek, z pozostałości. Te pozostałości nie są jednak realne, to nawet nie fragmenty miasta, lecz obrazy fragmentów „uniesione pod powiekami”. Jako takie mogą być budulcem wyłącznie wyobrażenia lub przestrzeni rekonstrukcji pamięci „przemielonej przez czcionki gazet”. Akt pisania o tej nieistniejącej, nierealnej ojczyźnie, daje jej szansę zaistnienia zarówno w ramach określonej pamięci zbiorowej, jak i pamięci literatury. Ceną za tę obecność jest ciężar, który można rozumieć co najmniej podwójnie: jako ciężar uzależnienia od określonego miejsca i związanego z nim obowiązku pamiętania, przechowywania wciąż – pod powiekami oraz w obrębie twórczości poetyckiej – pamięci o miejscu, które już nie istnieje, a być może nigdy nie istniało tak, jak jest wspomniane, albo jako ciężar tworzenia z wiedzą, że nieuchronną konsekwencją pisania jest „przekręcanie imienia”.

Pod tym względem „spalenie Lwowa” nie jest raczej nawiązaniem do konkretnych wydarzeń historycznych, lecz do każdego aktu, który wyzwala z obowiązku przechowywania pamięci. Pokusa „rozpoczęcia od nowa” nie jest jednak realizowana: to, co nosi się pod powiekami, nie jest częścią realnej przeszłości, lecz jest teraźniejszą realnością

---

<sup>30</sup> P. Nora, *Między pamięcią a historią: Les lieux de memoire*, przeł. M. Sugiera, M. Bowerski, „Didaskalia” 2011 nr 10.

podmiotu, który musi radzić sobie z ciężarem historycznych zaszczości i własnej, splątanej tożsamości.

Można moim zdaniem zaryzykować twierdzenie, że dokonujące się w ramach twórczości Różycyckiego aktywowanie tradycyjnych wzorców literackich oraz świadoma gra z powtórzeniami dotyczącymi tak własnej, jak i cudzej twórczości, jest elementem procesu radzenia sobie z szeroko rozumianą realnością zakorzenienia w pamięci o przeszłości. Tym, do czego poeta – podobnie zresztą jak Eugeniusz Tkacyszyn-Dycki – wraca w swej twórczości najczęściej, nie jest przeszłość, lecz pamięć. Pamięć dotykającą przeszłości, ale wydarzająca się w terażniejszości, stanowiąca dla podmiotu wyzwanie i zdanie do wykonania. Tym zadaniem jest połączenie dwóch perspektyw czasowych: wywodzącej się z przeszłości i dotyczącej rzeczy, miejsc i ludzi, których już nie ma, a przynajmniej nie ma ich w takim kształcie, w jakim zostały zapamiętane oraz terażniejszej, nakierowanej nie tylko za pomocą pamięci w przeszłość, ale również na przeżywanie aktualnych doświadczeń i antycypowanie przyszłości. Jeśli by bowiem patrzeć na twórczość obu analizowanych tu poetów jako na działania ariergardowe, jak wcześniej sugerowałam, to ma ono podwójny charakter i dotyczy nie tylko ocalenia oraz zachowania konkretnych form poetyckich, ale także określonej pamięci i związanego z nim doświadczenia, zarówno pierwszego, jak i drugiego pokolenia.

Tak rozumiana strategia ariergardowa ocala konkretne formy, niekiedy awangardowe, a niekiedy już tradycyjne, wydawałoby się – martwe i niepodatne na zmiany. Wynikająca z jej realizacji umyślna nieoryginalność, realizowana na płaszczyźnie powtórzeń określonych fraz, korzystania z określonej dykcji poetyckiej, każe spojrzeć na cały proces twórczy z nieco innej perspektywy, łącząc przynajmniej dwie kwestie – planowej nieoryginalności poetyckiej dykcji i podejmowanych w literackiej twórczości problemów oraz niewątpliwej oryginalności tworzonego przez poetycką aktywność świata, cały czas oscylującego między realnym odwzorowaniem konkretnych, nie tylko literackich problemów oraz wyzwań, a pokusą zrzucenia ciężaru różnego typu obowiązków. Wydaje się, że w proponowanej przez poetę wizji tych zależności, są one odwrotnie proporcjonalne: choć język poetycki, za pomocą którego kreuje się wewnątrztekstowy

świat, jest zawsze mniej lub bardziej nieoryginalny, świat ten pozostaje oryginalniejszy i prawdziwszy niż jego pierwowzór. Zdawać by się nawet mogło, że oryginalność wytworzonego przez akt pisania świata na nieoryginalności tegoż aktu się zasadza, nim się karmi i z niego czerpie siłę.

Podsumowując już, w poezji Tomasza Różyckiego literacka wyobraźnia jest czasem konceptualizowana jako odrealniająca, podobnie jak odrealniająca bywa przetrawiona przez rozmaite wzorce pamięć o przeszłości. Poszukiwaniu literackich form wyrazu we wzorcach zaczerpniętych z literackiej tradycji towarzyszy również szukanie źródeł własnej tożsamości w przeszłości i pamięci o niej. Jednak w obu przypadkach inspiracja nie oznacza prostego odwzorowania, tak, jak postrzeganie przez podmiot liryczny własnej roli jako w pewnym sensie służebnej (i wobec niedoreprezentowanej pamięci o traumie przesiedleń i zdecydowanie niełatwej tożsamości, która jest ich skutkiem, i wobec tradycji literackiej, i dążenia do wytworzenia własnej, oryginalnej dykcji poetyckiej), nie jest jednoznaczne w zamknięciu się w jednym, określonym polu lub całkowitym podporządkowaniu jednemu celowi.

Twórczość Różyckiego oscyluje – w pozytywnym znaczeniu tego słowa – między różnymi celami oraz odmiennymi służebnościami. I o ile dla podmiotu lirycznego jest jasne, że każde z nich jest istotne, równie oczywiste jest, że każde ma również swoją cenę. Negocjowanie jej wysokości, podobnie jak negocjowanie literackich wpływów oraz zakresów służebności wobec pracy pamięci, stanowi jedną z największych wartości tej poezji.

## Dotkliwe historie

### 1. Uwagi wstępne

Ostatni rozdział tej części książki jest poświęcony książkom Swietłany Aleksijewicz. Aspektem, który postaram się zanalizować, będzie sposób funkcjonowania afektywnej pamięci. Wybranie twórczości tej akurat pisarki jako przedmiotu rozdziału kończącego tę partię publikacji może się na pierwszy rzut oka wydawać nieco zaskakujące. Poprzednio analizowałam poezję, tym razem będę się zajmować literackim, ale jednak reportażem. Oczywiście są pewne nici łączące, zwłaszcza temat II wojny światowej. Jednak to nie pokrewieństwo tematyczne zadecydowało o włączeniu twórczości Aleksijewicz do tego rozdziału. O wiele ważniejsze było podobieństwo strukturalne: książki autorki *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* są nie tylko wybitną literaturą, ale i sposobem na przechowanie pamięci o zdarzeniach, o których do tej pory albo nie chciano pamiętać w ogóle, albo nie chciano pamiętać w określony sposób. Jednocześnie, ich niewątpliwie służebna rola wobec pracy pamięci, a już zwłaszcza idei tworzenia pamięci inkluzywnej, nie jest dla tej twórczości obciążeniem lub niechcianym obowiązkiem, ale atutem – także z punktu widzenia wartości estetycznej tekstów.

Punktem wyjścia tej analizy może być poniższy cytat:

Nie wiem... Tak, rozumiem, o co Pani pyta, ale brakuje mi własnego języka... Mój język... Jak to opisać? Powinien wtedy... Powinien człowieka dusić spazm, tak jak mnie dusi: jest noc, cisza, a ja leżę i nagle sobie przypominę. Zaczynam się dusić. Trzęsie mnie. Tak to jest...<sup>1</sup>

<sup>1</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. J. Czech, Czarne, Wołowiec 2015, s. 219.

Pochodzi on z najślynniejszej książki Swietłany Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. Kiedy natrafiamy na niego po kilkuset stronach tekstu, wydaje się, że nadchodzi za późno, jakby był komentarzem doświadczenia, które autorka usiłowała na różne sposoby oddać już wielokrotnie, za każdym razem napotyając te same problemy, te same nieprzekraczalne granice: między rozumieniem i umiejętnością wyrażenia własnych przeżyć, między językiem i doświadczeniem, między traumatyczną pamięcią i zachowującą pozory normalności terażniejszością.

Książki Aleksijewicz, choć zyskały sławę raczej jako reportaże, są także – a może przede wszystkim – tekstami o próbie zbliżenia się do opisanego traumatycznych, afektywnych doświadczeń. Próbie, która ma stanowić pierwszy krok nie tyle nawet do ich przepracowania, co rozpoznania. Publikacje pisarki mają więc podwójną naturę: z jednej strony są rzetelnymi reportażami, mającymi na celu przybliżenie czytelnikowi pewnej wizji prawdy o określonym wydarzeniu, z drugiej zaś są samoświadomą własnych możliwości i ograniczeń literaturą, której głównymi bohaterami są pamięć, empatia i afekt.

Reportaże Swietłany Aleksijewicz, choć pozornie dotyczą bardzo różnych zjawisk, w rzeczywistości zawsze przedstawiają traumatyczne, afektywne wydarzenia, które – bez względu na to, ile lat od nich upłynęło – pozostają nieprzepracowane i nieopracowane. Ich funkcja służebna jest więc niewątpliwa: służą zarówno stworzeniu niszy dla dotychczas wypieranej pamięci, jak i budowie tożsamości wykluczonych z historii. Łączy je również to, że opisują wydarzenia, które, choć zaistniały, nie zostały ani w pełni zrozumiane, ani do końca przeżyte i zintegrowane z terażniejszością. Udział kobiet w II wojnie światowej oraz ich wspomnienia są tak samo daleko od terażniejszości i tak samo blisko do niej, jak – równie niechętnie przywoływane w dyskusji publicznej – radzieckie doświadczenie wojny afgańskiej, wybuch w elektrowni atomowej w Czarnobylu czy wreszcie upadek komunizmu w byłych republikach ZSRR. Każde z tych wydarzeń przeorganizuje rzeczywistość, po każdym z nich nic już nie jest takie, jak było, a zarazem wszystkie składają się na obraz splątanej terażniejszości.

## 2. Wydarzenie i świat po nim

Reporterskie książki Aleksijewicz poświęcone są najważniejszym – z europejskiej perspektywy – wydarzeniom XX wieku. Sposób, w jaki autorka te wydarzenia postrzega, jest bardzo bliski temu, jak Lauren Berlant definiuje kategorię „wydarzenia”<sup>2</sup>. Druga wojna światowa, wojna afgańska, wybuch reaktora jądrowego czy wreszcie upadek komunizmu to afektywne wydarzenia, których zasięg i znaczenie sprawiają, że stanowią one ważny punkt odniesienia dla całych społeczeństw, determinując na dziesięciolecia świadomość społeczną. Po każdym z nich renegotjowane są normy i relacje społeczne, reorganizowane zasady dyskursu publicznego, a także zmieniają się i powstają nowe społeczne tabu.

Tak rozumiane „wydarzenie” radykalnie i trwale zmienia warunki funkcjonowania społeczności, samo niejako zostając przezeń zaabsorbowane co sprawia, że staje się częścią, nieusuwalnym jądrem teraźniejszości, którego znaczenie nie ulega osłabieniu mimo upływającego czasu „Wydarzenie” zmienia świat, a wraz z nim strukturę afektów, prowadząc do radykalnej zmiany wszystkiego, co było wcześniej dobrze znane:

Wojna to świat, a nie wydarzenie... Wszystko tutaj jest inne: i krajo-  
braz, i człowiek, i słowa.<sup>3</sup>

Opowieści o wojnie to – jak zauważa sama Aleksijewicz – nie opowieści o izolowanym zdarzeniu, ale o świecie, jaki tworzy tak pojmowane „wydarzenie”, którym jest wojna. Gdy ten świat jest – a zazwyczaj jest taki dla bohaterów – jedynym znanym światem lub najważniejszym punktem odniesienia, to w innym nie sposób się odnaleźć. Trudno nawet uwierzyć w jego istnienie:

---

<sup>2</sup> L. Berlant, *Intuitionists: History and the Affective Event*, [w:] *American Literary History*, Oxford University Press, Oxford 2008.

<sup>3</sup> S. Aleksijewicz, *Cynkowi chłopcy*, przeł. J. Czech, Czarne, Wołowiec 2015, s. 23.

Nie znaliśmy świata bez wojny, świat wojny był jedynym znanym nam światem, a ludzie wojny – jedynymi znanymi nam ludźmi. Nawet teraz nie znam innego świata i innych ludzi. A czy kiedykolwiek byli tacy?<sup>4</sup>

W książkach Aleksijewicz „wydarzenie” zawsze ma charakter formacyjny, jest doświadczeniem, które kształtuje zarówno rzeczywistość, jak i doświadczające go podmioty. Jako takie pozostaje doświadczeniem skrajnym, sytuującym się na granicy języka, w zasadzie poza możliwością opisaną. Zderzenie z „wydarzeniem” zawsze zastaje podmiot niegotowy na to, co ma się zdarzyć. Wszelkie próby opisanie są więc podejmowane *ex post*, są one nie odzwierciedleniem, a rekonstrukcją, próbą wytworzenia odpowiedniego języka i – za jego pomocą – uporządkowania świata.

Zmaganie z językiem jako nieadekwatnym narzędziem do przekazywania osobistych doświadczeń stanowi jeden z głównych, powracających motywów w zebranych przez Aleksijewicz historiach. Adekwatny język to taki – jak sugeruje otwierający ten rozdział cytat – który dusi, uniemożliwia mówienie, sprawia, że to, co doświadczone, na nowo staje się rzeczywistością, która dzieje się tu i teraz, odgrywa raz po raz na nowo, nie pozwalając na zbudowanie dystansu, na spojrzenie z zewnątrz. To język ciała i jego reakcji somatycznych na doświadczenie afektywne, to język, który nie pozwala mówić o traumie, ale który ją ewokuje.

Performowanie takiego języka, takiego sposobu literackiego opracowania traumatycznych doświadczeń jest jasno wyrażonym przez Aleksijewicz zamiarem. Zamiarem bardzo trudnym do zrealizowania na gruncie literatury, a zwłaszcza literatury faktu, w której granica między fikcją a prawdą wciąż wymaga uwagi. Książki pisarki stanowią pod tym względem bardzo nietypową egzemplifikację też Jill Bennett, która w książce *Empathic Vision. Affect, Trauma and Contemporary Art*<sup>5</sup> wskazywała, że jedyną drogą do oswojenia

---

<sup>4</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 8.

<sup>5</sup> J. Bennett, *Empathic Vision. Affect, Trauma and Contemporary Art*, Stanford University Press, Stanford 2005.

traumatycznych doświadczeń za pomocą sztuki jest ostateczna rezygnacja z prób wytworzenia spójnej narracji o traumie. Rezygnacja z postulatu „przekazywania” znajduje zdaniem Bennett uzasadnienie już w samym charakterze traumy, która nie jest czymś, co można zakomunikować. Ma ona raczej charakter „transaktywny”, co oznacza, że zadaniem sztuki poruszającej problem traumy albo posługującej się tą kategorią jako środkiem wyrazu jest nie ujawnianie czegoś, ale swoiste dotknięcie odbiorcy, odcisnięcie na nim określonego doświadczenia<sup>6</sup>.

Teoria Bennett zakładała, że do takiego działania najlepiej nadaje się sztuka wizualna, której łatwiej – niż choćby literaturze – uciec od pułapki narracyjności i konieczności tworzenia autentycznej opowieści o traumie. Jeśli podążymy tym samym tropem, okaże się, że gatunkiem literatury, który do tego zadania nadaje się najmniej, jest właśnie reportaż literacki. Niemniej – jak postaram się pokazać – reportaż Aleksijewicz skutecznie broni się przed pokusą stworzenia narracyjnej opowieści o traumie, konstruując zamiast niej wielogłosowy, afektywny chór, w którym nawet, gdy zacierają się słowa, nie zaciera się prowadzące do nich doświadczenie. Służebność wobec pamięci nie ogranicza więc – choć bez wątpienia takie ryzyko było

---

<sup>6</sup> Ten sposób myślenia o afekcie odpowiada również koncepcji Valerie Walkerdine, która uznaje afekt za szerszej pojętą predyspozycję, także badawczą, która ma otwierać podmiot na trudne, oporowe doświadczenie. Por. *Challenging Subjects: Critical Psychology for a New Millennium*, ed. by V. Walkerdine, Palgrave, London 2002. Koncepcję tę opracowuję szerszej w artykule *Afektywne interpretacje. Afekt w koncepcjach Jill Bennett oraz Valerie Walkerdine*, [w:] *Pamięć i afekty*, red. R. Sendyka, R. Nycz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa.

Dla Walkerdine afekt jest jedynym sposobem nawiązania empatycznego kontaktu z przedmiotem, tekstem bądź zdarzeniem, który pozwala na od-tworzenie, od-czucie tkwiącej u jego podstaw pamięci o pewnych wydarzeniach. Owa pamięć nie jest komunikowalna w narracyjny sposób, lecz na drodze afektu może być – w zsubiektywizowany sposób – odtworzona, odegrana. To jednak, co odgrywane, nie jest „zapisane”, „zawarte” w tekście, jest jedynie impulsem, służącym odczuciu pewnej pamięci, która wydaje się nie być ani tożsama z pamięcią przedmiotu, ani – interpretującego go podmiotu. Rodzi się w interakcji, dotykając i przeszłości, i terażniejszości, zapewniając płaszczyznę komunikacji, i – do pewnego stopnia – negocjacji pamięci. Tamże, s. 224.



w przypadku wyboru akurat tej tematyki bardzo realne – autonomii pisarskiej, przejawiającej się w konstruowaniu tekstu, o którym nie da się w prosty sposób powiedzieć, że jest „o” traumie.

### 3. Ramy reportażu, ramy pamięci

Po mieście chodziła szalona kobieta... (...) Podchodziła do ludzi na ulicy... Do wszystkich... I mówiła: „Opowiem ci, jak zabili moje dzieci. Od którego zacząć? Od Wasieńki... Jemu strzelili w uszko...A Tolikowi w główkę... To od którego?”. Wszyscy przed nią uciekali. Była szalona, tylko dlatego mogła mówić o czymś takim...<sup>7</sup>

Opowiadanie o traumatycznych doświadczeniach często nie jest w ogóle możliwe, nawet, jeśli dzieli od nich spory dystans czasowy. W przytoczonym fragmencie natrętne opowiadanie, powtarzanie własnej historii traktowane jest jako dowód na szaleństwo. Mówić o śmierci swoich wszystkich dzieci, powtarzać każdemu napotkanemu człowiekowi, jak ginęły, może wyłącznie osoba szalona, której nie obowiązują już żadne normy społeczne, która do społeczeństwa nie zamierza już nigdy wrócić.

Bardziej adekwatną – o ile ta kategoria może mieć tu jakiegokolwiek zastosowanie – reakcją jest milczenie, cisza, zawieszenie głosu. Jak wskazywał w kilku swych książkach Jay Winter, cisza nie jest w takich przypadkach wcale równoznaczna z zapomnieniem. Przeciwnie, bywa akceptacją zdarzeń, zwłaszcza zaś faktu, że przeszłość zawsze tkwi w teraźniejszości i nie sposób się jej pozbyć<sup>8</sup>. Stanowi także element godzenia się z upływającym czasem i przynoszonym przez dystansem, umożliwiającym postrzeganie przeszłości nie jako centrum naszego życia, lecz jego marginesu<sup>9</sup>. Taka cisza wymaga

<sup>7</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 221.

<sup>8</sup> J. Winter, A. Dessingué, *Introduction. Remembering, Forgetting and Silence*, [w:] *Beyond Memory: Silence and the Aesthetics of Remembrance* (Routledge Approaches to History), ed. A. Dessingué, J. Winter, Routledge, London–New York 2016, s. 1. <sup>9</sup> Tamże, s. 6–7.

jednak wcześniejszego mówienia, jest aktem, który zawsze następuje po mowie, nie zaś w jej zastępstwie.

Zarówno cisza, jak i mowa wydają się więc nieadekwatnymi reakcjami na traumę. Nieprzerwane mówienie rozwiązuje również niewiele, co trwała cisza. Jednak już zmienne interwały mowy i ciszy, opowiadania i milczenia, mogą w większym stopniu oddać złożoność traumatycznego doświadczenia afektywnego oraz pracy pamięci. Dotyczące bez wyjątku takich doświadczeń reportaże Aleksijewicz nieustannie oscylują między tymi dwoma biegunami, milczeniem i opowiadaniem. Ich afektywny charakter tylko częściowo wynika z opisywanych zdarzeń, w co najmniej równym stopniu opiera się na konstrukcji tekstu, projektowanego jako dynamiczna i zniuansowana, stale pracująca całość.

Misterna konstrukcja wielogłosowych, pozornie rozdrobnionych książek Swietłany Aleksijewicz opiera się na trzech solidnych fundamentach: technice zbierania materiałów do reportażu, specyficznym procesie ich obróbki oraz uznaniu pracy pamięci za integralny budulec tekstu. Te trzy aspekty konstrukcji reportaży Aleksijewicz decydują między innymi o kształcie relacji między świadkami zdarzeń, którzy w trakcie wywiadów wytwarzają swoją wersję przeszłości, i reportażystką, pierwszym słuchaczem rodzącej się na bieżąco historii. Ta opowieść, choć zawsze intymna, nie jest wyłącznie jednostkowa. Na wspomnienia poszczególnych osób nakładają się – co reportażystka dostrzega – kolejne, utrwalone klisze, a pamięć indywidualna jest silnie kształtowana przez akceptowaną przez instytucje państwowe pamięć zbiorową. Taka sytuacja, charakterystyczna zwłaszcza dla państw, które po II wojnie światowej znalazły się za żelazną kurtyną<sup>10</sup>, czyni proces odsłaniania indywidualnej pamięci niezwykle skomplikowanym zadaniem. Jako reportażystka Aleksijewicz jest świadoma złożoności wyzwania,

---

<sup>10</sup> Por. S. Mitroiu, *Life Writing and Politics of Memory in Eastern Europe: Introduction*, [w:] *Life Writing and Politics of Memory in Eastern Europe*, ed. S. Mitroiu, Palgrave Macmillan, London 2015, s. 1: „Pamięć przekształca publiczne wydarzenia w indywidualne doświadczenia, przez co miesza ze sobą pierwotne i wtórne wspomnienia – rzeczy, które sami pamiętamy, i rzeczy, o których powiedzieli nam inni”.

przed którym stoi. Z tego powodu pisarka wielokrotnie definiuje, jak postrzega pracę pamięci, dokonującą się w jej rozmówcach oraz swoją rolę jako świadka wytwarzania określonej pamięci. To zaś sprawia, że choć Aleksijewicz o sobie samej nie mówi nam wiele, to już o swej pracy jako reportażystki i pisarki – całkiem sporo. Uwagi autotematyczne zajmują znaczącą część książek, stanowiąc wyraźny komentarz odautorski, wyznaczający podstawowe ramy odczytania tekstów. Warto pod tym względem przyrzeć się bliżej pierwszej z rozpoznawalnych książek Aleksijewicz, a mianowicie *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. To w niej pisarka zaznajamia ze swoją techniką pracy, polegającą na prowadzeniu rozmów z wieloma osobami i nagrywaniu ich:

To będzie długa droga...Dziesiątki podróży po całym kraju, setki nagranych kaset, tysiące metrów taśmy magnetofonowej. Pięćset spotkań... Potem już przestałam liczyć, twarze zacierały się w pamięci, zostawały tylko głosy. W mojej pamięci słychać chór. Olbrzymi chór, niekiedy prawie nie słychać słów, tylko płacz.<sup>11</sup>

Nagrania stanowią pierwszy etap pracy. Z nich pisarka wybiera później tylko niektóre historie, z owych historii – niektóre zdania. Oczywistym pytaniem, jakie pojawia się w przypadku takiej techniki pracy, jest: które to zdania? Aleksijewicz odpowiada wprost: te, które zostają w pamięci:

często po długim dniu, wypełnionym słowami i faktami, pozostaje w pamięci tylko jedno zdanie (za to jakie!): „Poszłam na wojnę taka mała, że przez ten czas trochę urosłam”.<sup>12</sup>

Przytoczone przez Aleksijewicz zdanie ujawnia od razu jej zainteresowania: nie wielka Historia, ale małe historie i pamięć o nich, nie relacje z przebiegu frontów, ale z codziennych doświadczeń. Jako że pisarka wkłada sporo energii w usprawiedliwienie takiego akurat podejścia do opisywanych wydarzeń, warto poświęcić temu zagadnieniu

---

<sup>11</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 35.      <sup>12</sup> Tamże, s. 11.

równie wiele uwagi, zwłaszcza że te same wyznania i argumenty będą pojawiać się w każdej kolejnej książce:

Zbieram to, co nazwałabym wiedzą o duszy (...). Co tam działa się z człowiekiem? Co tam zobaczył i czego się dowiedział? O życiu i śmierci. A w końcu – o samym sobie. Piszę historię uczuć... Historię duszy... Nie historię wojny albo państwa i nie żywoty bohaterów, ale historię małego człowieka, którego wyrwano ze zwykłego życia i wrzucono w epicką głębię potężnego wydarzenia. W wielką Historię.<sup>13</sup>

Fragment dotyczący historii małego człowieka jest – na tle wszystkich książek autorki – nietypowy. Zazwyczaj oszczędna i stroniąca od patosu, tutaj nie boi się zabrzmieć wzniośle, nie obawia się odsłonić własne, także artystyczne chęci i zamiary. Reportaże Aleksijewicz to wyjątkowa we współczesnej literaturze próba równoczesnego przywrócenia jednostkowemu doświadczeniu utraconego statusu, włączenia go w pamięć zbiorową oraz odzyskania epickiej głębi Wydarzenia. W kolejnych książkach zmienia się Wydarzenie, nie zmienia się jednak ten nadrzędny zamiar, determinujący konstrukcję kolejnych tekstów.

Relacja, jaką Aleksijewicz buduje z rozmówcą oraz czytelnikiem, opiera się nie tylko na wspomnianym już rozumieniu swojej roli jako historyka duszy. Wynika również z bardzo świadomego podejścia do procesu przypominania i wspomniania. Rozmowy, które są podstawą książki, odbywają się – jak zauważa Aleksijewicz – w specyficznej sytuacji czasowo-przestrzennej. Chwila rozmowy jest zarazem momentem wspomniania, naruszającym logikę czasowego następstwa, ścisłego rozdzielania przeszłości od teraźniejszości. To zawsze czas transgresji, który renegocjuje wcześniej oczywiste granice, sytuując wspomnienie w nowej, afektywnej przestrzeni oddziaływania:

Moje rozmówczynie zawsze są w innej przestrzeni niż ja, z którą się dzielą. Otacza je niewidzialny świat. Przynajmniej trzy osoby

---

<sup>13</sup> Tamże, s. 50.

uczestniczą w rozmowie, ten, który teraz opowiada, ten, który był tamtym człowiekiem wówczas, w chwili zdarzenia, oraz ja.<sup>14</sup>

Wspominanie jest dla reporterki oraz jej rozmówców procesem aktywnym, dynamicznym, który ma niewiele wspólnego z odtwarzaniem przeszłości lub też opowiadaniem o niej. Wspomnienia aktywują przeszłość, sprawiają, że zaczyna się ona wydarzać na nowo, tu i teraz. Tworzy to pewien specyficzny krąg pamięci, łączący w jednej przestrzeni teraźniejsze oraz przeszłe doświadczenia różnych osób, wciąż żywe, podatne na przekształcenia oraz zmiany:

Wspomnienia nie są namiętnym, czy też beznamiętnym przekazem rzeczywistości, która zniknęła, ale powtórными narodzinami przeszłości; czas zaczyna później biec z powrotem. Są przede wszystkim twórczością. Opowiadając, ludzie tworzą, piszą swoje życie.<sup>15</sup>

Proces dopisywania wspomnień, o którym pisze Aleksijewicz, jest tyleż naturalny, co – zwłaszcza gdy dotyczy przeszłości nie tak jeszcze dawnej, jak II wojna światowa – niebezpieczny. Reporterka zwraca szczególną uwagę na dwa typy przekształcania pamięci. Pierwszy wiąże się z procesem, który łatwo daje się opisać za pomocą terminów charakterystycznych dla badań nad pamięcią, zwłaszcza dla koncepcji Aleidy Assmann, w której badaczka zwraca uwagę na korelację pamięci indywidualnej, społecznej, politycznej i kulturowej<sup>16</sup>. Assmann wskazywała, że o ile początkowo pamięć indywidualna silnie oddziałuje na pamięć społeczną i zbiorową, o tyle wraz z upływem lat coraz mocniejsza jest korelacja odwrotna, gdy w miarę konstruowania określonej wizji przeszłości pamięć społeczna zaczyna wtórnie oddziaływać na pamięć indywidualną, kształtując schematyzujące ją wzorce narracji na temat przeszłości. Konstruowana w ten sposób pamięć

<sup>14</sup> Tamże, s. 13–14.      <sup>15</sup> Tamże, s. 10.

<sup>16</sup> A. Assmann, *Re-framing Memory. Between Individual and Collective Forms of Constructing the Past, [w:] Performing the Past Memory, History, and Identity in Modern Europe*, ed. K. Tilmans, F. van Vree, J. Winter, Amsterdam University Press, Amsterdam 2010, s. 36.

społeczna jest z kolei podstawą formowania się pamięci politycznej, odwołującej się do wybranych, tkwiących w pamięci społecznej form i wizji przeszłości, uznanych za użyteczne dla kształtowania tożsamości społeczeństwa.

Proces takiego przekształcania jednostkowych wspomnień, by pasowały do pamięci społecznej i politycznej, dotyka – zdaniem Swiełtany Aleksijewicz – w większym stopniu ludzi wykształconych<sup>17</sup>, którzy częściej byli zmuszeni do konfrontowania własnej pamięci z wymogami stawianymi oficjalnym przekazom na temat przeszłości. Ich wspomnienia ulegają wygładzeniu, najczęściej po to, by wspierać określone tryby funkcjonowania pamięci. Odwołując się ponownie do typologii charakterystycznych dla badań nad pamięcią, nietrudno zauważyć, że w opisywanych przez Aleksijewicz przypadkach najczęściej chodziło o wspieranie monumentalnego trybu pamięci<sup>18</sup>, który – marginalizując jednostkowe doświadczenia – dąży do wytworzenia jednordonnej wersji pamięci.

Drugim typem przekształceń pamięci, na który pisarka zwraca uwagę, są te wynikające z połączenia naszego spojrzenia na pewne wydarzenia z oceną danego momentu w życiu. Im większy dystans czasowy, tym większe szanse na to, by określone zdarzenia były pamiętane jako część budzącej nostalgię młodości. Zupełnie inaczej kształtują się pod tym względem wspomnienia żołnierzy wojny afgańskiej oraz uczestniczek II wojny światowej. Dla pierwszej dystans czasowy nie jest jeszcze zbyt wielki, nie dochodzi więc do utożsamienia wojennych doświadczeń z doświadczeniami typowymi dla okresu dorastania czy wczesnej dorosłości:

Jeszcze raz przekonałam się, jak niedoskonałym narzędziem jest nasza pamięć. Jest nie tylko samowolna i kapryśna, ale jeszcze przywiązana do czasu jak pies łańcuchowy. Są zakochane w tym, co im się wydarzyło, bo to nie tylko wojna, ale także ich młodość.<sup>19</sup>

<sup>17</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 11.

<sup>18</sup> Por. A. Erll, *Memory in Culture*, trans. S. B. Young, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2011, s. 241–242.

<sup>19</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 19.

Kwestia niustannych przekształceń pamięci jest centralna dla książek Aleksijewicz. Transformacje, o których wcześniej wspominałam, nie są wcale jedynymi, które można zaobserwować w prozie autorki *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. Przeciwnie, sama pisarka zdaje sobie sprawę, że każda relacja, której wysłuchała, jest pewną wersją wydarzeń, na którą wpływ ma bardzo wiele czynników. Nie trudno również dostrzec, że pewne wersje przeszłości i konkretne tryby jej pamiętania interesują ją bardziej niż inne.

#### 4. Doświadczenie niepamięci

Jak wspominałam, Aleksijewicz dostrzega, że wspomnienia często ulegają wygładzeniu, dostosowaniu do określonej wersji przeszłości. Proces, który pisarka obserwuje, można analizować zgodnie z – pokrótce już zasygnalizowaną – koncepcją retoryki pamięci Astrid Erll. Badaczka wyróżnia w niej trzy tryby funkcjonowania pamięci: doświadczeniowy, monumentalny i refleksyjny<sup>20</sup>. Pierwszy z nich jest silnie nakierowany na pamięć komunikacyjną, żywą, bezpośrednią i podatną na zmiany. Tryb monumentalny stoi do pewnego stopnia w opozycji do doświadczeniowego, stanowiąc podstawę względnie już zamkniętej, utrwalonej pamięci kulturowej. Tryb refleksyjny sytuuje się między doświadczeniowym i monumentalnym, jego funkcją jest nie tyle rozpowszechnianie określonych wersji przeszłości, ile ich przywoływanie, ożywianie i rekonstruowanie.

Podczas rozmów ze świadkami konkretnych zdarzeń, zwłaszcza wojen, Aleksijewicz obserwuje, jak to, co mogłoby jeszcze przynależć do trybu doświadczeniowego, zmienia się pod wpływem utrwalonych już klisz, dostosowuje do tej wersji pamięci przekazywanych przez teksty przynależne do trybu monumentalnego. Tymczasem pisarka wyraźnie dąży do tego, by dotrzeć do pamięci o własnych doświadczeniach, by z indywidualnych wspomnień zdjąć ciężar konieczności wpisania się w politycznie poprawną wersję historii.

---

<sup>20</sup> A. Erll, *Memory in Culture...*, s. 153.

Rozmowy, prowadzone przez Aleksijewicz, mają przez to dość często jeden cel: odślonić tę wersję przeszłości, a ściślej tę wersję pamięci o niej, która w publicznym dyskursie jest pomijana. Realizacja tego celu przebiega oczywiście zupełnie inaczej, gdy rozmowa dotyczy II wojny światowej, niż wtedy, gdy koncentruje się na upadku komunizmu w Europie Wschodniej. W przypadku tych wspomnień, które są wprawdzie marginalizowane, ale już nie całkowicie negowane przez określoną politykę pamięci, rolę cenzora często przejmują najbliżsi świadków określonych wydarzeń. To oni „uczą” właściwych wspomnień, to oni nawet już nie negocjują, ale negują określone wspomnienia. Znamienna jest pod tym względem powtarzająca się w książce *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* sytuacja konfrontowania wspomnień kobiet ze wspomnieniami mężczyzn. Nietrudno zauważyć, że to zestawienie daje się opisać jako zderzenie trybu doświadczeniowego z monumentalnym, pamięci o codziennych przeżyciach z pamięcią wielkich wydarzeń. Jej najbardziej ostrą formą jest wydobywanie kontrastu między wspomnieniami żony i męża, potęgowanego jeszcze przez odwrócenie typowej sytuacji wojennej gawędy, kojarzonej raczej ze wspominaniem przez mężczyzn w gronie mężczyzn:

– A dlaczego do mnie? Lepiej do mojego męża, on lubi wspominać. Wszystko pamięta: nazwiska dowódców, generałów, numery oddziałów. A ja nie. Pamiętam tylko to, co mi się przydarzyło. Swoją wojnę. Małą. Dookoła mnóstwo ludzi, ale ja zawsze jestem sama, bo człowiek ze śmiercią jest zawsze sam. Pamiętam okropną samotność.<sup>21</sup>

Niepamięć jest charakterystyczną przypadłością, sygnalizowaną przez rozmówczynię Aleksijewicz. Kobiety nie pamiętają bardzo wielu rzeczy. Po pierwsze, nie pamiętają wojny jako zdarzenia totalnego, ale jako wydarzenie osobiste, indywidualne. Nie pamiętają więc frontów, nie są zafascynowane „wielkim planem” wojny, nie przypominają sobie za wiele zwycięskich akcji, a jedynie – i to nieczęsto – impresje

---

<sup>21</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 36.



oraz doświadczenia cielesne, wręcz somatyczne<sup>22</sup>. Po drugie zaś, nie pamiętają tego wszystkiego, o czym pamiętać nie powinny, a co stanowiło przez lata najbardziej wstydliwą część ich historii. Nie chcą więc pamiętać mężczyzn. Ostatecznie – starają się zapomnieć całą wojnę albo dostosować swoje wspomnienia do tych, które były dozwolone. Warto spojrzeć na cytat podobny do przywołanego wcześniej:

A mój mąż... Dobrze, że go nie ma, jest w pracy... Surowo mi przykazał... (...) W ciągu jednej nocy uszyłam sobie z bandaży sukienkę ślubną. Sama. (...). To były zdobyczne bandaże... (...) Ale cóż to ja... O takich głupstwach... Mąż zabronił mi pisać choćby słówko (...). Uczył mnie z mapą... Dwa dni uczył, gdzie był jaki front... Gdzie walczyła nasza jednostka... Zaraz wezmę, zapisałam to sobie, odczytam pani... Czemu się śmiejesz? (...) Lepiej pokażę ci zdjęcie, na którym jestem w sukience z bandaży.<sup>23</sup>

Zastąpienie wspomnienia o sukience ze zdobycznych bandaży wiedzą o przebiegu frontów to nie tylko męzowska fanaberia, budząca u współczesnego czytelnika rozbawienie. To także – mniej lub bardziej świadoma – próba ochrony przed nadmiernym odsłonięciem się, przed wydobyciem intymnych wspomnień na światło dzienne. Najbliżsi walczących kobiet najczęściej dążyli do zatarcia pamięci, do odcięcia żołnerek od ich doświadczeń, możliwie – do ich anihilacji. Często było to dyktowane nie tyle złą wolą, ile chęcią oszczędzenia upokorzeń i dążeniem do szybszego dostosowania do nowego życia. Wojenna trauma kobiet bywała przemilczana ze strachu, z lęku przed tym, by rozmowa o niej nie powodowała kolejnej traumy.

Wojenne doświadczenia kobiet miały stać się czymś zupełnie osobnym oddzielnym od ich zwykłego życia, swoistym makabrycznym karnawalem, w którym wiele jest dopuszczalne, ale który w żaden sposób nie ma wpływu na dalsze życie. Nie zmienia relacji społecznych, nie

---

<sup>22</sup> Por. fragment: „No tak... Przeszłam Czechosłowację, Polskę, Węgry, Rumunię, Niemcy... A wrażeń w pamięci pozostało niewiele, na ogół przypominam sobie tylko lustrowanie rzeźby terenu”. Tamże, s. 233.

<sup>23</sup> Tamże, s. 248–249.

staje się – a przynajmniej nie powinien stać się – budulcem tożsamości. Ma zostać izolowanym wydarzeniem, które wraz z upływem czasu powinno zacierać się w pamięci. Pod tym względem wojna była dla kobiet wydarzeniem nie tylko okrutnym, była też wydarzeniem granicznym, transgresyjnym. I to właśnie ten potencjał wojennego doświadczenia budził i – jak pokazuje Aleksijewicz – nadal budzi największy opór<sup>24</sup>.

Ten opór stał też za równie traumatycznym jak wojenne doświadczeniem, które stało się udziałem większości kobiet. Było to odrzucenie, jakiego kobiety doznały zaraz po wojnie<sup>25</sup>, a które później – w najlepszym razie – zmieniło się w niechęć połączoną z obojętnością:

Jak powitała nas ojczyzna? Nie mogę o tym bez szlochu... Czterdzieści lat minęło, a policzki płoną jeszcze na myśl o tym. Mężczyźni milczeli, ale kobiety... Wołały do nas: „Wiemy, coście tam wyrabiały! Młodymi p... kusiliście naszych chłopów. Frontowe k... Suki wojskowe...”. Na wszelkie sposoby nam ubliżały... Słownik rosyjski jest bogaty...<sup>26</sup>

Paradoksalnie to właśnie odrzucenie zdecydowało o sporym sukcesie pomysłu na książkę, jaki miała Aleksijewicz. Rozmowa z młodą wówczas reporterką była pierwszą po wielu latach okazją do tego, by opowiedzieć swoją wersję historii, by zmierzyć się z tym niczym niezasadzonym poczuciem wstydu, które u kobiet-żołnierek wzbudzało jeszcze wiele lat po wojnie. Stąd też tak wielogłosowa konstrukcja książki:

---

<sup>24</sup> Doskonałym przykładem takiego właśnie oporu jest historia jednej z rozmówczyń i jej siostry, które zaraz po powrocie z wojny zostają zmuszone przez ojca do natychmiastowego zerwania z przeszłością: „Była wojna, to walczyliście. A teraz o niej zapomnijcie. To wojna, a teraz zaczęło się inne życie. Włóżcie pantofelki, ładne z was dziewczynki, trzeba się uczyć, wyjść za mąż”. Por. tamże, s. 173.

<sup>25</sup> Por. tamże, s. 99: „Wojna się skończyła, a one okazały się straszliwie bezbronne. Na przykład moja żona, chociaż jest mądrą kobietą, to źle się odnosi do dziewcząt czasu wojny. Jej się wydaje, że jechały na wojnę po narzeczonych, że ciągle tam romansowały”.

<sup>26</sup> Tamże, s. 258.

Początkowo nagrywałam wszystkie kobiety, które spotkałam. Te przekazywały mnie z rąk do rąk, dzwoniły jedna do drugiej (...). Wkrótce zrozumiałam, że nie da się nagrać wszystkich, potrzebne jest jakieś kryterium wyboru i poszukiwań. Jakie? Posortowałam posiadane adresy i sformułowałam je następująco: staram się nagrywać kobiety różnych specjalności wojskowych. Przecież każdy z nas widzi życie poprzez swój zawód, poprzez swoją pozycję w nim (...)<sup>27</sup>

Pisarka decyduje się więc na taki tryb pracy, który pozwala jej na stworzenie najbardziej wielowymiarowego obrazu wydarzenia. W tym celu zbiera wspomnienia kobiet, które poza udziałem w wojnie różni wszystko: wiek, wykształcenie, pochodzenie czy zawód. Odmienne są też ich wojenne doświadczenia, od świadczenia pomocy rannym do bycia snajperkami. Podobną technikę stosuje także w przypadku *Cynkowych chłopców*, w których zestawia wspomnienia szeregowych żołnierzy i dowódców, kobiet w służbie pomocniczej i mężczyzn z pierwszej linii działań wojennych. Za każdym razem praca reporterki przypomina pracę zbieracza i kolekcjonera, który z czasem wyjątkowych, a czasem powtarzalnych wspomnień stara się wytworzyć obraz rzeczywistości, do której nie ma dostępu inaczej niż przez cudzą, afektywną pamięć.

## 5. Zbieranie pamięci

Zadanie, którego podejmuje się Aleksijewicz, dobrze opisuje sformułowana przez Jeffreya K. Olicka koncepcja pamięci zbieranej (*collected memory*), szkicowo już zarysowana w otwierającym tę część książki rozdziale.<sup>28</sup> Badacz używa tego pojęcia do opisanego dużej grupy procesów i praktyk pamięciowych, dążących do rozpowszechnienia i utrwalenia wykraczającej poza indywidualne wspomnienia pamięci, która zarazem nie zawsze składa się na spójną politykę pamięci.

<sup>27</sup> Tamże, s. 94–95.

<sup>28</sup> Por. J. F. Olick, *The Politics of Regret. On Collective Memory and Historical Responsibility*, Routledge, New York 2007, s. 34.

„Zbieranie pamięci” w tym rozumieniu jest nie tylko kolekcjonowaniem i utrwalaniem cudzych przeżyć, jest ono także konfrontacją z ich wielością i konstrukcyjnością:

Nie można całkiem zbliżyć się do rzeczywistości, stanąć z nią twarzą w twarz. Oddzielają nas od niej nasze uczucia. Rozumiem, że mam do czynienia z wersjami. (...) piszę historię nie wojny, ale uczuć. Jestem historykiem duszy.<sup>29</sup>

Spośród chóru głosów, składających się na książkę Aleksijewicz, najmocniej wybrzmiewają te, które nie opowiadają większej historii, ale jedno zdarzenie, zapamiętane w całym jego dramatyzmie. Takie zdarzenia nie są przywoływane w linearny, uporządkowany sposób, nie są przypominane, lecz od-twarzane na nowo. Specyficzna narracja, którą buduje reporterka, ma maksymalnie zaangażować czytelnika, doprowadzić do jego konfrontacji z określonymi wydarzeniami, sprawić, by je zobaczył i poczuł. Dobrym przykładem takiej techniki jest poniższy fragment:

Ja sama zbierałam ludzkie niedopałki... Zbierałam rodzinę swojej przyjaciółce... Znajdowaliśmy kości w popiele i jeśli gdzieś został strzęp ubrania, choćby skrawek, to rozpoznawaliśmy, do kogo należał. Każdy szukał swojego. Podniosłam jakiś kawałek, a koleżanka mówi: „To kaftan mamy...” I upadła. Jedni zbierali kosteczki do prześcieradła, inni do powłoczki. Co tam kto miał ze sobą. My z przyjaciółką – do woreczka; nawet pół woreczka się nie uzbierało. Wszystko kładłyśmy do wspólnej mogiłki. Wszystko było czarne, białe były tylko kostki. Popiół kostny... Już go rozpoznawałam – bo jest biały, bielusieńki...<sup>30</sup>

Uderza w nim wielopoziomowa konkretność. Dowiadujemy się, jakiego koloru jest popiół kostny, niemalże widzimy, jak przebiegało szukanie ciał bliskich zmarłych, ciał, które już dawno przestały stanowić jakąkolwiek całość. Jesteśmy uświadamiani, jak wygląda zbieranie szczątków ludzkich, najbardziej biologicznych i najtrudniejszych do

<sup>29</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 14.      <sup>30</sup> Tamże, s. 71.

skojarzenia z konkretną osobą: ubrań, kości, popiołu. Opis procesu zbierania śladów ludzkiego ciała jest z jednej strony afektywny, z drugiej zaś – precyzyjny i przez swą precyzyjność bardziej poruszający. Ten fragment niejako prowadzi czytelników przez proces, zmusza do tego, by owe poszukiwanie ludzkich niedopałków wyobrazić sobie krok po kroku, by zobaczyć fragmenty ubrań i ciał, kości, wkładane po kolei do powłoczek czy prześcieradeł, by poczuć, jak niewiele ważą w dłoni, jak lekkie jest życie i jak mało po nim pozostaje – nie więcej niż pół woreczka.

Pamięć o wojnie, którą dokumentuje Aleksijewicz, jest wyjątkowo konkretna, nie ucieka się do wielkich słów czy metafor. To pamięć sytuacji, doświadczeń i obrazów, które jeszcze wiele lat po wojnie wracają do wspominających kobiet. Ta pamięć to równocześnie pamięć ciała, jego doświadczeń, a także pamięć innych ciał, zniszczonych, martwych, powoli już tracących jakikolwiek związek z osobami. Ten związek podtrzymywany był właśnie przez ludzkie odruchy, przez zbieranie popiołu, przez nieustanne pamiętanie, że coś, co teraz jest tylko skrawkiem ubrania, stanowiło kiedyś część określonej osoby. Taka pamięć tropi – i znajduje – żołnierki po latach, nie pozwalając im patrzeć spokojnie na sprzedawane już po wojnie na straganach mięso, na czerwone sukienki, na dziecięce zabawki, nawet na buty<sup>31</sup>, każąc widzieć w nich to, czego śladem lub znakiem były w czasie wojny:

– Nie zapomniałam. To z tego, co najbardziej... zawsze boję się wyciągać z pamięci tę historię. Za każdym razem... a było tak: o świcie nasze kutry wyszły w morze. Kilkadziesiąt kutrów... Wkrótce słyszemy, że zaczęła się walka. Czekamy... Wsłuchujemy się... Bitwa trwała wiele godzin (...) przed zmierzchem wyszłam na brzeg: po

<sup>31</sup> Por. tamże s. 169: „Jeden z naszych uderzył jeńca... To mi się wydało niedopuszczalne, wstałam się za nim, chociaż rozumiałam naszego żołnierza... To był krzyk duszy... Znał mnie, był starszy ode mnie... Zaklął, ale już nie bił tamtego... Tylko mi wymyślał: «zapomniałaś, k...mac! Zapomniałaś, jak oni...» Nie zapomniałam niczego, pamiętam tamte buty... Kiedyś Niemcy wystawili przed swoimi okopami szereg butów z odciętymi nogami. To było zimą, stały jak palisada... Te buty... To było wszystko, co zostało po naszych kolegach... Tyle zobaczyliśmy...”

Kanale Morskim płynęły czapki marynarskie. Jedna za drugą. Czapki i wielkie plamy krwi na falach... Jakieś kawałki desek... To zrzuciono naszych chłopców do wody...<sup>32</sup>

Z biegiem lat Aleksijewicz coraz mocniej odsłania cielesny i afektywny wymiar przedstawianych zdarzeń. *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* eksponuje jednostkowy oraz somatyczny obraz wojny, jednak pozostaje w pewien paradoksalny sposób zdystansowana. Setki wspomnień tworzą pewien rodzaj chóru, w którym – mimo wszystko – zaciera się indywidualizm, z jednostkowych historii tworzy się mozaika wspomnień, swoista zbieranina pamięci, dająca podstawę pamięci zbiorowej. Jednak, gdy reporterka pisze o wydarzeniach o nieco mniejszej skali, przyjmuje również inną, bardziej osobistą perspektywę.

## 6. Dotkliwość doświadczenia, tkliwość pamięci

Idę sama... Teraz długo będę musiała iść sama...<sup>33</sup>

Początek tej zmiany widać już wyraźnie w *Cynkowych chłopcach*, a w *Czarnobylskiej modlitwie* nabiera ostatecznego kształtu. W przypadku pierwszej ze wspomnianych książek wyraźne jest mierzenie się samej reporterki z tematyką wojny, podejmowaną po raz kolejny. *Cynkowi chłopcy* zostali jednak napisani zupełnie inaczej niż *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. Wyraźną motywacją do powstania reportażu o II wojnie światowej była chęć opowiedzenia o kobiecym doświadczeniu, danie głosu tym, które do tej pory musiały milczeć. Wojna i jej okrucieństwa, choć bliskie bohaterkom książki, nie mogły dotknąć samej Aleksijewicz bezpośrednio. Tymczasem wojna

<sup>32</sup> Tamże, s. 117.

<sup>33</sup> Cytowany fragment to pierwsze zdanie *Prologu*. Zostaje w nim przytoczona rozmowa z matką żołnierza, który po powrocie z Afganistanu zamordował człowieka. Jej dalszy ciąg to: „Zabił człowieka... Mój syn... Kuchennym tasakiem, którym siekam mięso. Wrócił z wojny i od razu zabił... Rankiem przyniósł tasak i odłożył z powrotem do szafki, tam gdzie chowam naczynia. Wydaje mi się, że jeszcze w tym samym dniu zrobiłam mu kotlety...”. S. Aleksijewicz, *Cynkowi chłopcy*, s. 7.

afgańska, choć jej skala jest oczywiście zdecydowanie mniejsza, jest zarazem zdecydowanie bliższa, bardziej dotkliwa, a przynajmniej Aleksijewicz pozwala jej taką się stać. Wystawia się na doświadczenie, które buduje zależność, włącza reportera w krąg osób strauumatyzowanych wojną:

Jest coś nienormalnego w przyglądaniu się cudzemu męstwu i ryzyku. Wczoraj, idąc do stołówki na śniadanie, przywitaliśmy się z wartownikiem. Pół godziny później zabił go odłamek pocisku, który przypadkowo wleciał na ten garnizon. Przez cały dzień usiłowałam sobie przypomnieć twarz tego chłopaka...<sup>34</sup>

Decyzja o odwiedzeniu bazy żołnierzy oraz opisanie tego doświadczenia musiała być dość trudna, nie tylko z powodu podjętego osobistego ryzyka związanego z zagrożeniem życia, ale także ze względu na ryzyko artystyczne, pisarskie. Aleksijewicz podchodzi do wojny bliżej, niż, być może, powinna, zwłaszcza że – jak sygnalizuje na początku *Cynkowych chłopców* – poprzednia, bezpieczniejsza książka o wojnie sporo ją psychicznie kosztowała<sup>35</sup>. Zbliżenie się do tego, co opisuje, reporterka traktuje tym razem jako konieczne, jako warunek rzetelnego oddania doświadczenia nowych wojen, toczących się niejako mimochodem, przy ogólnym braku zainteresowania. W przypadku książki o II wojnie światowej skala doświadczeń jest tak ogromna, że można oddać je tylko przy pewnym oddaleniu, przez zbudowanie chóru głosów, opowiadających kolejne, małe i osobiste wersje wielkiej Historii. Wojna afgańska potrzebuje większego zbliżenia, zbliżenia, które obejmuje nie tylko doznania bezpośrednich uczestników, ale i pisarkę:

Po wielkich wojnach XX wieku i po masowych zgonach pisanie o współczesnych, mniejszych wojnach, takich jak afgańska, wymaga zmiany perspektywy, etycznej i metafizycznej, trzeba użyć czegoś

<sup>34</sup> Tamże, s. 19.

<sup>35</sup> Por. tamże, s. 14: „Nie chcę już więcej pisać o wojnie... (...). Kiedy napisałam książkę *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, długo nie mogłam patrzeć, jak po zwykłym uderzeniu chłopczykowi cieknie krew z nosa”.

małego, osobistego, odrębnego. Potrzebny jest jeden człowiek. Dla kogoś – jedyny. (...) Właśnie wczoraj widziałam, jak po kawałku zbierali chłopaków, którzy weszli na minę przeciwczołgową. Mogłam nie iść i nie oglądać, ale poszłam, żeby o tym napisać. Teraz piszę...

Nadal jednak nie wiem, czy musiałam tam iść. Słyszałam, jak oficerowie podśmiewali się za moimi plecami: panienka się pewnie wystraszy. Poszłam i nie było w tym nic bohaterskiego, bo zemdlałam. Może przyczyną był upał, a może wstrząs. Mówię to uczciwie.<sup>36</sup>

Pisarz staje się w tym momencie świadkiem zdarzenia, zaświadcza sobą jednak nie o prawdziwości każdego pojedynczego świadectwa, z których składa się książka, ale o dotkliwości doświadczenia, jego niezbywalnie traumatycznym i afektywnym charakterze. Takie podejście otwiera reportaż na wcześniej prawie nieobecne krytyczne podejście do działania radzieckich żołnierzy. Wojna afgańska jest przedstawiana raczej jako wojna z wyboru, z wyrachowania, jako wojna, w której trudno o zachowanie człowieczeństwa. Jeśli jest to w ogóle możliwe, może się to dokonać jedynie za sprawą spojrzenia na siebie nie tylko jako na jej uczestnika, ale także – jako na agresora. W prowadzonych przez Aleksijewicz rozmowach pojawia się więc dużo wyraźniej motyw winy, czasem postrzeganej jako niezawiniona, czasem zaś jako – bez względu na indywidualne zachowania – współdzielonej:

Kto opowie, jak przewozili narkotyki w trumnach? Futra... Zamiast poległych... Kto pokaże sznurek zasuszonych ludzkich uszu?<sup>37</sup>

Rozmowa z reportażystką jest tu formą radzenia sobie z niechcianą, ale jednak powoli dostrzeganą odpowiedzialnością. O ile część uczestników wojny powołuje się na konieczność spełniania obowiązku wobec ojczyzny<sup>38</sup>, o tyle inni coraz dotkliwiej odczuwają konieczność opowiedzenia o tym, o czym wszyscy milczą:

<sup>36</sup> Tamże, s. 25.      <sup>37</sup> Tamże, s. 150.

<sup>38</sup> Por. tamże, s. 209: „Wobec ojczyzny jesteście czyści... Uczciwie spełniłem swój żołnierski obowiązek. Cokolwiek będziecie tutaj krzyczeć... Przekręcać i rewidować... A co z takimi uczuciami jak miłość do ojczyzny, poczucie obowiązku?”



Młoda Afganka klęczała pośrodku ulicy nad zabitym dzieckiem i krzyczała. Tak pewnie krzyczą tylko ranne zwierzęta.<sup>39</sup>

Wojna afgańska to już nie wojna obronna, w której wróg jest żołnierzem obcej armii. To wojna, w której zabija się po prostu innych ludzi, w której skala nie niweluje jednostkowego okrucieństwa każdego takiego aktu. Wydarzenia z wojny afgańskiej są nam więc nie bliższe czasowo – pod tym względem wspomnienia II wojny światowej są równie żywe – lecz przestrzennie. Perspektywa, z której na nie patrzymy – za pośrednictwem reportażu Aleksijewicz – jest bliższa, jakbyśmy nieopatrznie podeszli za blisko czegoś, zbliżyli się na tyle, że teraz już nie sposób oderwać wzroku. Można go tylko intencjonalnie odwrócić, albo – równie intencjonalnie – patrzeć dalej.

Proces przybliżania się do opisywanych wydarzeń potęguje się w książce poświęconej katastrofie w Czarnobylu. Początek tej publikacji znacznie różni się od poprzednich książek Aleksijewicz, gdyż zamiast wielu historii otrzymujemy jedną, dotyczącą tych, którzy byli najbliżej, a więc strażaków gaszących pożar w elektrowni atomowej. To skrajnie afektywna, ciężka do przebrnięcia dla czytelnika opowieść żony jednej z pierwszych ofiar katastrofy. Licząca kilkadziesiąt stron narracja od razu angażuje odbiorcę, czyni go mimowolnym świadkiem czyichś wspomnień, tak bolesnych, tak intymnych i splątanych, że trudno oprzeć się wrażeniu podglądania i podsłuchiwania. Wysłuchujemy bowiem – za Aleksijewicz – historię umierania, podzieloną na stadia i akty, w których obserwujemy proces obumierania ciała, będącego dla kogoś innego całym światem:

Wasia zaczął się zmieniać – codzienne przychodziłam do kogoś innego... Oparzenia wychodziły na wierzch... W ustach, na języku, na policzkach – najpierw pojawiały się małe ranki, potem się rozrastały. Śluzówka odchodziła płatami, takie białe błonki... Kolor twarzy... Kolor ciała... Siny... Czerwony... Szarobrunatny... A ono jest takie całe moje, takie kochane! Tego nie da się wypowiedzieć!<sup>40</sup>

<sup>39</sup> Tamże, s. 20.

<sup>40</sup> S. Aleksijewicz, *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości*, przeł. J. Czech, Czarne, Wołowice 2012, s. 19. Motyw ten został również – podobnie jak spora część

W ten sposób zostajemy skonfrontowani z wydarzeniem, które jest nie do opisanego w żadnym możliwym sensie, zarówno intelektualnym – bo jak opisać działanie promieniowania, którego się nie widzi, o którym się wcześniej nic nie wiedziało, jak i emocjonalnym – bo jak pogodzić miłość do człowieka i pojawiające się, nawet wbrew woli, obrzydzenie? Jak opisać konflikt między obserwacją nieuchronnego rozpadu ciała, uzasadnionym lękiem o własne zdrowie i zaangażowaniem, by uczynić ostatnie godziny drugiego człowieka możliwie godnymi? Między uczłowieczającą rozpadające się ciało miłością, a odczłowieczającą go wiedzą:

Urywek jakiejś rozmowy... Mam go w pamięci... Ktoś mi tłumaczy: „Niech pani pamięta, że ma przed sobą już nie męża, nie ukochanego, ale obiekt radioaktywny o wysokiej gęstości skażenia (...)”.<sup>41</sup>

Ten konflikt musi pozostać nierozwiązany. Choć bohaterka opowieści odrzuca wiedzę o konsekwencjach napromieniowania, decydując się na pozostanie przy umierającym, ceną za ten wybór było życie jeszcze nienarodzonego dziecka, które zmarło po porodzie z powodu napromieniowania<sup>42</sup>. Przedstawiona sytuacja jest swoistym konfliktem tragicznym, w którym nie istnieje ani dobry wybór, ani nawet wybór mniejszego zła, i to nawet w przypadku, gdy podstawą jego dokonywania są wyłącznie altruistyczne pobudki. Pod tym względem skutki wybuchu w elektrowni atomowej mają o wiele bardziej destrukcyjny i traumatyczny wpływ na ludzką świadomość, niż wcześniej opisywane przez Aleksijewicz wojny. Konsekwencje katastrofy nie tyle są trudne do wyobrażenia, co pozostają zupełnie poza taką możliwością, w podstawowy sposób naruszając poczucie bezpieczeństwa w całym społeczeństwie, a nie tylko wśród tych, którzy rzeczywiście odczuwają biologiczne skutki wybuchu.

Z tego też powodu reportaż o Czarnobylu różni się od pozostałych mocniejszym zaangażowaniem pisarki. Wybuch atomowy

---

ramy narracyjnej książki Aleksijewicz – wykorzystany w bardzo dobrze ocenianym przez widzów i krytyków serialu HBO „Czarnobyl” (scenariusz Craig Mazing, reżyseria Johan Renck).

<sup>41</sup> Tamże, s. 22.      <sup>42</sup> Tamże, s. 26.

dotyka – choć oczywiście nie w tym samym stopniu – wszystkich, którzy mieszkali na Białorusi i Ukrainie, stając się źródłem długotrwałego psychicznego urazu. Jest on tym mocniejszy, że – wtórnie, ze współczesnej perspektywy – katastrofa atomowa nakłada się w pamięci rozmówców Aleksijewicz na kolejną, tym razem społeczną katastrofę końca komunizmu. Trauma niespodziewanego wybuchu łączy się, w nie do końca logiczny sposób, z traumą zasadniczej zmiany życia, dezorganizacji wszystkich zasad nim rządzących<sup>43</sup>. Wybuch jest więc *ex post* traktowany jako znak i zapowiedź kolejnych naruszających porządek rzeczy zmian.

Jedynym sposobem radzenia sobie z tak dotkliwą przeszłością jest pamięć. Nie jest to jednak – jak pokazują reportaże Aleksijewicz – bezpośrednia, narracyjnie uporządkowana pamięć o określonych wydarzeniach. Jest to raczej pamięć własnych doświadczeń, przeżyć i emocji, pamięć nie przeszłości, lecz afektywnych reakcji na wydarzenia, które wciąż wpływają na kształt teraźniejszości. Pod tym względem reporterce udaje się uniknąć opisanej przez Jill Bennett pułapki dążenia do narracyjnego przedstawienia traumatycznych zdarzeń, do odkrycia ich autentyczności. To dążenie zostaje zastąpione chęcią dotknięcia, zbliżenia się do cudzej pamięci, dynamicznej, konstrukcyjnej, afektywnej, która nie odgrywa ani nie odkrywa przeszłości, lecz wytwarza na nowo to, co odcisnęło nieusuwalne piętno na świadkach wielkich „wydarzeń”. Funkcjonująca w ten sposób pamięć jest nadal – posługując się terminologią Bennett – transaktywna. Nie pozostaje wyłącznie cudzą pamięcią, cudzą traumą. Zmusza do zaangażowania, zmienia słuchającego – w pamiętającego:

Co się najczęściej zapamiętuje?

Zapamiętuje się cichy, często zdziwiony ludzki głos. Człowiek dziwi się samemu sobie i temu, co go spotkało. Przeszłość zniknęła, oślepiła go gorącym wichrem i ukryła się, a on został. Został w zwyczajnym życiu. Wszystko dookoła jest zwyczajne, tylko nie

---

<sup>43</sup> Por. tamże, s. 39. Kwestii konieczności zaadaptowania się do „nowych” czasów jest poświęcona kolejna książka Aleksijewicz, *Czasy Secondhand. Koniec czerwonego człowieka*, przeł. J. Czech, Czarne, Wołowiec 2014.

jego pamięć. Ja też staję się świadkiem. Świadkiem tego, co ludzie wspominają i jak wspominają, o czym chcą mówić, a co starają się zapomnieć albo odsunąć, schować, w najdalszy kąt swej pamięci.<sup>44</sup>

Proces „przekazywania” pamięci rozgrywa się nie tylko między mówiącym i słuchającym, nie tylko między rozmówcami i reporterem, ale także między tekstem reportażu i czytelnikiem. Sygnalizująca własne afektywne zaangażowanie Aleksijewicz prowokuje podobną reakcję u czytelnika, włączając go tym samym w transaktywny ciąg przekazywania i negocjowania pamięci. Ta zamierzona strategia przywoływania i wymieniania wspomnień jest – jak mi się wydaje – skutecznym sposobem, by reportaż był zarazem formą wprowadzania do publicznego dyskursu marginalizowanej do tej pory pamięci, jak i zupełnie autonomiczną literaturą, w której nadrzędną rolę pełni zmaganie się z problemem opisywalności i wyrażalności traumatycznej pamięci. Funkcja służebna wobec pamięci, a także wobec budowania tożsamości określonych grup społecznych nie oznacza więc również w tym przypadku ograniczenia autonomii wyborów, które podejmuje pisarka i reportażystka.

Być może decyduje o tym nadrzędność zwielokrotnionego motywu pamięci. W przypadku pisarstwa Aleksijewicz istotna jest przecież nie tylko „substancja” pamięci, czy przywoływanie wydarzeń do tej pory marginalizowanych, lecz również jej forma: to, jak coś jest pamiętane, przez kogo, w jaki sposób wspomnienia, i te bliższe, i te dalsze, filtrują rzeczywistość. A wreszcie: jak to, co jej opowiedziano pamięta reportażystka, co w niej – a nie tylko w budowanej przez nią narracji – pozostaje z cudzych przecież wspomnień. Niejednoznaczność aktu pamiętania i przypominania jest tu wydobyta oraz podkreślona, skutecznie chroniąc przed pokusą stworzenia prostej, jednoznacznej narracji, która po prostu uzupełniałaby pamięciowe luki czy stanowiła kontrę wobec oficjalnej polityki pamięci. Oczywiście, książki Aleksijewicz pełnią również tę funkcję, ale z całą pewnością się do niej nie ograniczają.

---

<sup>44</sup> S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic...*, s. 151.

## Część czwarta



## Kryzys kategorii faktu a współczesna ekonomia afektywna

### 1. Uwagi wstępne

Poprzednia część mojej książki była poświęcona literackim i kulturowym sposobom odnoszenia się do problematyki pamięci. W ostatnim rozdziale, poświęconym twórczości Swietłany Aleksijewicz, odwoływałam się również szeroko do koncepcji funkcjonowania afektów, ważnych – choć w nieco innych aspektach – w analizach tekstów kultury z drugiej i trzeciej części tej publikacji. Do tej pory jednak afekty funkcjonowały raczej jako pomocniczy kontekst interpretacyjny, a nie główne narzędzie badawcze. Inaczej będzie w niniejszej, ostatniej części książki, dla której centralny punkt odniesienia stanowi problematyka funkcjonowania afektów w różnego typu tekstach, a materiałem badawczym: niefikcyjne teksty kultury, ze szczególnym uwzględnieniem kilku odmiennych form reportażowych. Podobnie jak w przypadku poprzednich części publikacji, pierwszy rozdział będzie miał raczej charakter teoretyczny i będzie poprzedzał części analityczne, poświęcone różnym formom tekstów, dla których istotna pozostaje relacja między faktem, afektem a organizacją formalną danego dzieła. Poniżej postaram się pokrótce wytłumaczyć z wyznaczenia takiej przestrzeni badań.

Na początku chciałabym wyjaśnić, dlaczego najbardziej interesują mnie reportaże. Reportaż jest jednym z najbardziej niejednorodnych, złożonych – by użyć sformułowania Clifforda Geertza, gatunków. Szukając jego cech definiujących najczęściej wskazuje się na specyficzną relację między reportującym, światem przedstawionym a odbiorcą. Nie negując tych ustaleń, warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną cechę reportażu, a mianowicie jego oscylowanie między dwoma – niesprecyznymi, ale trudnymi do wyważenia – aspektami:

autonomii twórczej, szerszej w przypadku tego gatunku niż innych form niefikcyjnych oraz służebności, ponownie – o zdecydowanie większym zakresie, niż w biografach, autobiografiach czy dziennikach. Reportaże, nierzadko skomplikowane formalnie, zawsze posiadają określone, społeczne funkcje. Nie zawsze takie same, jak zresztą postaram się pokazać, ale w przypadku tego gatunku uwolnienie się od nich nie jest możliwe. Kwestia relacji między służebnością a autonomią skupia się zatem w tym przypadku jak w soczewce, pokazując, że służebność społeczna wcale niekoniecznie oznacza rezygnację z innowacji gatunkowej.

Drugim interesującym mnie aspektem jest afektywność reportaży. W tym rozdziale będę analizować rozmaite przejawy afektywnego oddziaływania tego typu tekstów kultury, a także – w następującym po wprowadzeniu rozdziale – afektywnego potencjału *faction*. Celem prowadzonych interpretacji jest jednak nie analiza afektów, ani tym bardziej teorii afektywnej, ale specyficznego, tak społecznie, jak i indywidualnie, działania niefikcyjnych tekstów kultury na odbiorcę. Świadomie nie nazywam i nie będę nazywać części pojawiających się w ich ramach afektów, poprzestając na sformułowaniach dość ogólnej natury, gdyż – jak część badaczy ściśle oddzielających emocje od afektów<sup>1</sup> – uważam, że akt nazwania stabilizuje doświadczenie, które jest w samej swojej istocie niestabilne, oscylujące, płynne i niechętnie poddające się kategoryzacji.

Trzecim i ostatnim, które będzie kluczowe dla tego rozdziału, jest zmieniający się status faktów. Tu za punkt wyjścia można uznać spostrzeżenie, że jesteśmy współcześnie świadkami radykalnej zmiany w postrzeganiu i definiowaniu faktów. Zmiana ta wpływa na sposób, w jaki odbieramy poszczególne informacje i na to, jak reagujemy na różne typy faktograficznych przekazów (w tym literackich i medialnych) oraz – co szczególnie istotne – na to, jak rozumiemy istotne dla różnych typów dyskursów humanistycznych pojęcia, takie jak fakt, autentyczność i prawdziwość. Celem tego rozdziału jest więc próba

---

<sup>1</sup> Zwolennikiem tego rozróżnienia jest m.in. B. Massumi, natomiast np. S. Ahmed postrzega je zdecydowanie płynniej, częściej łącząc dyskurs dotyczący emocji z afektami (i częściej nazywając i jedno, i drugie).



opisania i scharakteryzowania przemian w definiowaniu kategorii faktu w kontekście zarówno filozoficznym, jak i literaturoznawczym, pamięciologicznym i afektywnym.

Podstawowa hipoteza badawcza zakłada, że współczesne postrzeganie kategorii faktu, prawdziwości i autentyczności wiąże się ściśle ze zmianami zachodzącymi w obszarze przekazywania i powielania informacji, a więc – między innymi – z funkcjonowaniem mediów w czasach ogromnego postępu informatycznego. Dostęp do informacji, w porównaniu choćby do lat 90. XX wieku uległ znaczącej poprawie, a wraz z nim pojawiło się przekonanie, że ustalenie faktów na temat rzeczywistości powinno być zadaniem niezwykle prostym, wymagającym jedynie podstawowych kompetencji w obszarze korzystania z nowych technologii, szczególnie – Internetu. Jako fakt zaczyna więc funkcjonować w zasadzie każdy przekaz, każdy obraz czy komentarz, który znajdzie się w obszarze funkcjonowania szeroko rozumianych mediów. Równoczesna decentralizacja ośrodków przekazywania informacji (stacje telewizyjne, jeszcze pod koniec XX wieku będące najpoważniejszymi graczami na rynku informacji, powoli tracą swoje znaczenie) sprawia, że źródeł przekazywania informacji, i zarazem informacji, jest tak wiele, że nie sposób ani weryfikować każdej z nich, ani nawet do każdej z nich dotrzeć. Oczywiście, podobna sytuacja ma miejsce już od wielu lat, trudno jednak nie uchwycić pewnej podstawowej zmiany: obieg informacji jeszcze w latach 90. XX wieku, choć ogromny i pozostawiający przeciętnego obywatela poza możliwością weryfikacji, opierał się na profesjonalizowanych ośrodkach przekazywania informacji, które miały – przynajmniej teoretycznie – zapewnić ich prawdziwość. Tymczasem rozwój nowych technologii sprawił, że spora część współcześnie funkcjonujących, opiniotwórczych informacji jest pozyskiwana i powielana nie przez profesjonalistów, lecz przez świadków wydarzeń, którzy – w obliczu rozwoju nowych technologii – uzbrojeni są w narzędzia typowe kiedyś wyłącznie dla profesjonalistów, a teraz mieszczące się w telefonie komórkowym średniej klasy. To oznacza, że nastąpiło radykalne rozproszenie autorytetu nadawców informacji, sprawiające, że nawet uznane ośrodki informacji korzystają z przygodnych świadków jako z wiarygodnych źródeł danych. I tak niełatwą sytuację transferu

wiedzy o faktach, pozyskiwanych coraz szybciej i z coraz mniejszą dbałością o odpowiednie uprawomocnienie źródła, pogarsza zauważalna w ostatnich kilkunastu latach tendencja do przedstawiania nie samych faktów, lecz ich interpretacji. Proces ten można rozumieć jako zwulgaryzowaną wersję nietzscheańskiego przekonania, że nie istnieją fakty, lecz jedynie ich interpretacje.

Współcześnie mamy więc do czynienia nie tylko z inflacją informacji, lecz – przede wszystkim – zmianą sposobu ich pozyskiwania i przekazywania. To zaś ma bezpośredni wpływ na postrzeganie kategorii faktu, prawdziwości i autentyczności. Skoro nie ma dobrych narzędzi dla odróżnienia faktu do nie-faktu, następuje z jednej strony powolna dewaluacja tej kategorii, z drugiej zaś – trwale zmienia się nasze nastawienie wobec faktów. Ulegają one specyficznemu osłabieniu: słabnie zarówno ich status epistemologiczny (co wprost wynika z trudności rozróżniania tego, co autentyczne, od tego co skonstruowane lub wymyślone), jak i ontologiczny oraz etyczny, a co za tym idzie – również afektywny.

O ile zmiana statusu epistemologicznego faktów była dostrzegana przez badaczy już kilkadziesiąt lat temu, o tyle dostrzeżenie kryzysu ontologicznego, który dosięga tej kategorii, to sprawa zupełnie nowa. Faktyczne wydarzenia przestają jawić się jako konieczne, jako coś, z czym trzeba się – albo jako społeczeństwo, albo jako jednostka – zmierzyć, a zaczynają być postrzegane jako przypadkowe, jako efekt splotu okoliczności, który mógłby zakończyć się inaczej. To zaś sprawia, że konsekwencje określonych wydarzeń są słabsze: wywołują dużo mniejszą reakcję, zarówno emocjonalną, afektywną, jak i – co z tym bezpośrednio związane – nastawioną na działanie. Fakty zaczynają więc odgrywać coraz mniejszą rolę w kształtowaniu zarówno naszych aktualnych reakcji i działań, jak i pamięci, przez co tracą swoją uprzywilejowaną pozycję.

Celem tego rozdziału jest więc z jednej strony szkiecowo przeanalizowanie poszczególnych aspektów (epistemologicznego, ontologicznego, etycznego, afektywnego, politycznego i pamięciologicznego) oraz przyczyn współczesnego kryzysu kategorii faktu, z drugiej zaś próba odpowiedzi na pytanie, jak ów kryzys wpływa na nasze postrzeganie rzeczywistości oraz – co z tym bezpośrednio

związane – na tradycyjnie kojarzone z kategorią faktu rodzaje aktywności dziennikarskiej, medialnej i literackiej. Charakter tego rozdziału jest więc całkowicie służebny: ma wprowadzić i zrekonstruować pewne kategorie oraz pojęcia, które będą istotne w następnych partiach tej części książki, poświęconych funkcjonowaniu afektów w wybranych tekstach kultury.

## 2. Afektywne fakty a zmiana w postrzeganiu rzeczywistości

Powodem, dla którego warto zająć się właśnie teraz zmianami w funkcjonowaniu reportażu, a szerzej w literaturze faktu, jest pojawienie się zupełnie nowego aspektu zjawiska, które można określić jako kryzys kategorii faktu. Ten aspekt, wcześniej niedostrzegany lub słabo notowany, został – szkicowo i w odniesieniu do innego zjawiska – opisany przez Briana Massumi<sup>2</sup>, który w eseju *The Future Birth of the Affective Fact* zwrócił uwagę na dominację współczesnej polityki przez afektywne fakty, a więc zjawiska, które, bez względu na to, czy zaistniały czy nie, wpłynęły na kształtowanie obrazu naszej rzeczywistości<sup>2</sup>. Punktem wyjścia argumentacji Massumi<sup>2</sup>, szkicowo przedstawionej w poprzednich częściach tej książki, był z pozoru niewinny (a teraz, w dobie koronawirusa wyjątkowo kontrowersyjny) tytuł artykułu prasowego *The Next Pandemic Does Not Exist Yet*. Doskonale opisuje on istotę afektywnego faktu: przewidywana pandemia wprawdzie jeszcze nie zaistniała, lecz jeśli chcemy jej uniknąć, musimy traktować ją jako rzeczywistą. Staje się więc ona faktem, który – nawet jeśli się nigdy nie wydarzy – będzie wpływał na kształtowanie naszego obrazu rzeczywistości.

Afektywne fakty nie są – a przynajmniej nie muszą być – tożsame z dobrze znanym zjawiskiem *fake news*. *Fake news* reportują fałszywie o aktualnych zdarzeniach lub o rzeczach, które już się wydarzyły. Tymczasem afektywne fakty dotyczą bardzo często nie teraźniejszości lub przeszłości, lecz przyszłości. O ile więc

---

<sup>2</sup> B. Massumi, *Ontopower...*, s. 189.

w przypadku *fake news* ocena, czy dane stwierdzenie jest prawdziwe, czy też nie opiera się tylko i wyłącznie na znajomości aktualnej sytuacji, o tyle w przypadku afektywnych faktów korzystamy z przewidywań dotyczących przyszłości (a w przypadku przyszłości nawet doskonała wiedza na temat teraźniejszości i przeszłości nie jest gwarantem przeprowadzania poprawnego rozumowania). W przypadku *fake news* kryzys kategorii faktu ma charakter epistemiczny i – bez względu na czasowe lub lokalne zmiany – ma zawsze źródło w ograniczeniu naszych możliwości poznawczych. W przypadku afektywnych faktów znacznie ważniejszy jest aspekt ontologiczny. Afektywne fakty dotyczą zjawisk, które jeszcze nie zaistniały, nie są więc – przynajmniej w przypadku klasycznej logiki dwuwartościowej – ani prawdziwe, ani fałszywe. Status takich twierdzeń (podobnie jak i zdań logicznych), od dawna był przedmiotem różnorodnych badań filozoficznych, owocujących czy to nieklasycznymi rachunkami logicznymi, operującymi funktorami możliwościowymi i koniecznościowymi, czy to teorią – przez różnych filozofów inaczej rozumianą – światów możliwych<sup>3</sup>. Stanowią one jednak wyzwanie nie tylko dla filozofii, lecz również, a może nawet przede wszystkim, dla badań nad wszelkimi gatunkami niefikcjonalnymi. Istnienie i funkcjonowanie afektywnych faktów zmienia bowiem sam status faktu, a nie jedynie każe przemyśleć, gdzie dokładnie przebiega granica między faktami i nieprawdą.

Skoro – jak wskazywałam za Brianem Massimim – afektywne fakty mogą dotyczyć przyszłości, ich status (jako prawdziwych lub fałszywych) jest początkowo niedookreślony. Najczęściej można je określić jako twierdzenia o pewnym, mniejszym lub większym, stopniu prawdopodobieństwa. Są więc one zdarzeniami możliwymi, nigdy zaś – koniecznymi. Czasem się wydarzają, czasem zaś nie. Kiedy dany afektywny fakt się nie wydarzy nie jest jednak po prostu „fałszywym faktem”. Niesie bowiem ze sobą konkretny ładunek afektywny, który

---

<sup>3</sup> Por. D. Lewis, *Counterfactuals*, Harvard University Press. Cambridge, Mass. 1973; Kripke, *Nazywanie a konieczność*, przeł. B. Chwedeńczuk, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1988; R. Stalnaker, *Ways a World Might Be*, Oxford University Press, Oxford 2003.

jest i działa – a więc jest faktem – bez względu na to, czy przekazywane za jego pomocą twierdzenie okazało się prawdziwe, czy też nie.

Tak rozumiany fakt afektywny, bez względu na to, czy zachowuje relację prawdziwościową (zgodnie z korespondencyjną teorią prawdy) ze światem zewnętrznym, czy też nie, staje się częścią rzeczywistości, afektującą społeczeństwo. Posługując się przywoływanym przez Massumi'ego przykładem (nieco uproszczonym na potrzeby tego wywodu): gdy administracja Georga W. Busha uznała (na podstawie przewidywań przyszłości, nie zaś przypuszczeń na temat teraźniejszości), że Afganistan może mieć w przyszłości broń masowej zagłady i z tego powodu zdecydowała się na prowadzenie wojny, to choć wiemy, że przesłanki tego rozumienia nie były prawdziwe (a więc nie istnieje zgodność faktyczna), to spowodowały konkretne skutki, takie chociażby jak strach przed atakiem. A strach i jego konsekwencje, wywołane przez afektywny fakt możliwości posiadania przez wroga śmiertelnej broni w przyszłości, są jak najbardziej realne. Są faktem, który wywołał konsekwencje w postaci wojny.

Podsumowując więc: afektywne fakty, dotyczące możliwej, lecz niekoniecznej przyszłości, wywołują trwałe zmiany w strukturze afektywnej społeczności (w tak zwanej – za K. Stewart – strukturze zwykłych afektów<sup>4</sup>), a ponadto prowadzą do zrodzenia się wcześniej niewystępujących afektów oraz rodzą realne, faktyczne konsekwencje. To zaś zmienia sposób funkcjonowania faktów w o wiele głębszy sposób, niż do niedawna raportowany kryzys związany z funkcjonowaniem i coraz szerszym obiegiem *fake news*.

W ramach tego rozdziału chciałabym prześledzić, jak pojawienie się afektywnych faktów wpłynęło na szeroko raportowany już od kilkadziesiąt lat kryzys kategorii faktu (z punktami przełomowymi związanymi z rozwojem nowych mediów, inflacją obrazów oraz rozwojem mediów społecznościowych i pojawieniem się tak zwanego dziennikarstwa you-tubowego) oraz na gatunek szczególnie związany zarówno z tą kategorią, jak i afektu, jakim jest reportaż. Jego celem jest więc z jednej strony wskazanie na wpływ, jaki na rozwój reportażu mają zmiany zachodzące w obrębie nowych technologii oraz zmian

---

<sup>4</sup> K. Stewart, *Ordinary Affects*, Duke University Press, Durham and London 2007.

w sposobach funkcjonowania mediów, z drugiej zaś uwzględnienie zamiany, jaką w szeroko komentowanym kryzysie faktów odgrywa pojawienie się zjawiska „afektywnych faktów”.

Zanim przystąpię do konkretnych interpretacji, warto moim zdaniem dość dokładnie wytłumaczyć się z pewnych założeń, które stoją u podstaw formułowanych w tej części książki tez. Można je wyłożyć w postaci czterech hipotez badawczych:

1. Pojawienie się afektywnych faktów znacząco wpłynęło na dynamikę procesu erozji faktów, zmieniając charakter tego zjawiska.
2. Afektywne fakty kształtują nie tylko – jak wskazywał Massumi – współczesną politykę, lecz również współczesne praktyki kulturowe, dotyczące przekazywania faktów, a więc – między innymi – wpływają na wszystkie gatunki niefikcjonalne.
3. Reportaż – zarówno intermedialny, jak i filmowy czy literacki – jest wyjątkowo podatny na zmiany wywołane kryzysem faktów oraz pojawieniem się afektywnych faktów, gdyż jego działanie było zawsze oparte na czterech filarach: zaufania do przedstawianych faktów (osiąganego na różne sposoby, często przez stosowanie odpowiednich technik uwiarygodnienia; jak na przykład reportaż uczestniczący czy wcieleniowy albo dokładna dokumentacja fotograficzna lub forensyczna), wiary odbiorcy w zaangażowanie reportera oraz fakt, że przedstawia on odbiorcy rzeczy istotne i zarazem prawdziwe (co oznacza, że reportaże podlegają nie tylko ocenie faktograficznej, ale i etycznej), silnej afektywności reportażu (zwłaszcza reportaż zaangażowany nastawiony był na wywołanie konkretnych reakcji u odbiorcy) oraz innowacyjności technicznej i formalnej reportażu (jest to gatunek dynamicznie się zmieniający, korzystający szybciej niż inne z nowych technologii, na co dowodem może być choćby używanie zdjęć w reportażach jeszcze w XIX wieku).
4. Prześledzenie, jak zmienia się reportaż pod wpływem kryzysu faktów oraz afektywnych faktów może pozwolić na uchwycenie istotnych zmian gatunkowych i formalnych, które decydują o współczesnej specyfice tej hybrydycznej działalności artystycznej. By ta analiza była możliwie pełna, należy uwzględnić wszystkie

cztery wskazane w poprzedniej hipotezie badawczej cechy funkcjonowania reportażu, a szczególnie istotne wydaje się sprzężenie zmian formalnych, jakim podlega reportaż ze zjawiskiem kryzysu faktu. Zauważalne są co najmniej dwie tendencje: rozluźniania formy gatunkowej i umyślnej fikcjonalizacji, by – za pomocą silnie afektujących środków formalnych – przedstawić określone zdarzenie<sup>5</sup> oraz wzmacniania rygoru prawdziwościowego, przez wprowadzanie dokumentacji forensycznej czy prowadzenie reportażu intermedialnego<sup>6</sup> (co stanowi odmienną, lecz równie silnie afektującą dla odbiorcy strategię).

Przedmiotem badań w tej części książki będą nowatorskie formalnie i/lub silnie afektujące reportaże lub teksty kultury grające konwencją reportażu, powstające po roku 2000<sup>7</sup>. Podejmę w nich problematykę, która funkcjonuje na obrzeżach zainteresowań kilku dyscyplin badawczych: literaturoznawstwa, medioznawstwa, filozofii, studiów wizualnych i afektywnych oraz etyki. Mimo to zagadnienie, które wstępnie opracowuję w tej części książki, nie jest i nie było do tej pory analizowane w całej swej złożoności. Poszczególne perspektywy badawcze odpowiadały częściowo na interesujące mnie pytania, lecz bez ich połączenia nie było możliwe wypracowanie spójnego spojrzenia na przedstawiany problem. Celem prowadzonych tu badań jest więc wskazanie na konieczność pewnej zmiany w badaniu reportażu,

---

<sup>5</sup> Tu dobrym przykładem mogą być takie filmy dokumentalne, jak *The Act of Killing* [Scena zbrodni] J. Oppenheimera, *The Look of Silence* [Scena ciszy] tego samego twórcy oraz *L'Image manquante* [Brakujące zdjęcie] R. Panh.

<sup>6</sup> Intermedialność reportażu służy w takich przypadkach pokazaniu jakiejś sprawy z możliwie wielu perspektyw, a co za tym idzie – intensyfikacji wrażenia prawdziwości.

<sup>7</sup> Za B. Massumi'm uznaję początek lat dwutysięcznych za okres kształtowania nowej polityki, opartej na afektywnych faktach. Za punkt przelomowy uznaje się albo rok 2000 – jako moment wzmocnienia wpływu nowych mediów na procesy społeczne, albo atak na World Trade Centre z roku 2001 i związaną z nim radykalną zmianę w patrzeniu na fakty, tj. uznawanie za faktyczne zagrożeń, które jeszcze nie miały szansy nie tylko się zrealizować, ale nawet zaktualizować. Rok 2000 uznaję więc za cezurę czasową, po której możemy już obserwować efekty nowej polityki i to reportaże z tego okresu będą przedmiotem moich badań.

w tym reportażu literackiego, wynikającej z ewolucji dokonującej się w naszym postrzeganiu faktów pod wpływem rozpowszechnienia afektywnych faktów.

Podstawą dla proponowanej zmiany definiowania problematyki związanej z funkcjonowaniem faktów jest dostrzeżenie, że osobne do tej pory rozważania z kilku dyscyplin należy traktować łącznie, jako aspekty odpowiedzi na jedno pytanie, nie zaś jako niezależne dyskusje badawcze. Dotyczy to szczególnie:

- epistemologicznych dyskusji nad kategorią faktu, wiedzy, oraz warunków poznania;
- etycznych wątpliwości dotyczących między innymi odpowiedzialności etycznej za problemy i fakty, których nie jesteśmy bezpośrednimi świadkami, warunków i możliwości przedstawiania traumatycznych wydarzeń, funkcjonowania i odbioru zdjęć, obrazów oraz innych faktograficznych przekazów;
- dyskutowanych w ramach medioznawstwa oraz studiów nad obrazami problemów inflacji informacji, ekspansji obrazu i jego wpływu na kształtowanie naszego wyobrażenia o świecie, unieważnienia odbiorców na drastyczne przekazy medialne; wpływu nowych technologii na postrzeganie faktów;
- zauważanych w ramach studiów nad afektami przemian dotyczących rozumienia faktów i afektywnych faktów.

Przyjęte w ramach tego rozdziału, transdyscyplinarne podejście do prowadzonych badań pozwala nie tylko na połączenie do tej pory odrębnych perspektyw, lecz przede wszystkim na wskazanie na najważniejsze zmiany, jakim współcześnie podlega reportaż definiowany jako gatunek afektywny i reaktywny. Choć da się dostrzec w dotychczasowej praktyce naukowej próby poszerzania dyskusji na temat reportażu (między innymi przez wprowadzenie kategorii intermedialności<sup>8</sup>),

---

<sup>8</sup> Por. D. Higgins, *Intermedia i inne eseje*, oprac. P. Rypson, Akademia Ruchu, Warszawa 1985; J. D. Bolter, R. Grusin *Remediation. Understanding the Media*, The MIT Press, London 2000; J. E. Müller, *Intermedialität. Formen moderner kultureller Kommunikation*. Münster 1996 a także K. Chmielecki, *Intermedialność jako*



żadna z nich nie łączy formalnych i medialnych aspektów funkcjonowania reportażu z aspektem afektywnym i etycznym.

### 3. Reportaż jako forma reaktywna

W ramach tego rozdziału będę traktować reportaż jako specyficzną, głęboko reaktywną formę wypowiedzi. Przez reaktywność reportażu rozumiem trzy wzajemnie warunkujące się cechy. Pierwszą z nich jest *reaktywność formalna*. Reportaż jest – w zasadzie od początku istnienia gatunku – formą intermedialną, włączającą w swój zakres różnorakie, odmienne strategie narracyjne i formalne, korzystającą z rozwoju każdego z mediów, które mogą być użyte do tworzenia reportażu (a więc, poza piśmiennictwem, między innymi prasy, fotografii, filmu, radia, Internetu). Gatunek ten zmienia się więc wraz z ewolucją kultury medialnej, inkorporując zarówno zjawiska, które dla określonych mediów można uznać za nowe, jak i komplikując formę w obrębie uznanych już gatunków reportażu. Przykładem pierwszego zjawiska może być reportaż intermedialny, promowany między innymi przez „New York Times”, a drugiego gra z formą w *The Act of Killing*, w którym zamiast przedstawiania faktów i rozmów ze świadkami lub sprawcami zbrodni mamy do czynienia z „odgrywaniem” zbrodni, a więc wprowadzeniem konwencji fabularnej do filmowego reportażu.

Następną ze wspomnianych cech jest *reaktywność społeczna*. Reportaż jest jedną z najbardziej społecznie i politycznie zaangażowanych form wypowiedzi, nawet jeśli brać pod uwagę wyłącznie gatunki faktograficzne. Relacja nawiązywana między reporterem (a więc tym, który „zdaje sprawę”), a odbiorcą reportażu (a więc tym, który słucha „o sprawie”) opiera się na zaufaniu, że reporter mówi o rzeczach istotnych, w prawdziwy sposób. Oznacza to, że reportaż, jak żadna inna forma (może poza autobiografią, lecz

---

*fenomen ponowoczesnej kultury*, „Kultura Współczesna” 2007 nr 52; E. Żyrek-Horodyska, *Reportaż intermedialny Jacka Hugo-Badera i Filipa Springera*, „Teksty Drugie” 2019 nr 6.

pakt autobiograficzny działa na nieco innych zasadach) opiera się na zaufaniu między reportującym a słuchającym. Cecha ta ma dwie poważne i istotne konsekwencje.

Pierwsza dotyczy relacji między reportażem a światem prezeń przedstawianym. Reportaż dotyczy zazwyczaj kwestii uznawanych za społecznie istotne i ma określony cel: informowanie społeczeństwa o ważnych wydarzeniach lub zjawiskach, do których dostęp jest dla „zwykłego obywatela” utrudniony. Reportaż jest więc specyficzną formą gatunkową, która z jednej strony posiada daleko idącą autonomię, z drugiej jednak: pełni funkcje, które można określić jako służebne. Ten rodzaj działalności, zarówno pisarskiej, jak i dziennikarskiej, jest w największym chyba stopniu nastawiony na kontakt, na tworzenie pomostu między reportującym, światem lub przedstawianym zdarzeniem a odbiorcą. Oznacza to, że reportaże zawsze pełnią funkcje służebne. Jedną z tak rozumianych służebności jest uzupełnianie wiedzy o świecie, tworzenie pewnego rodzaju protezy świata, do którego podmiot nie ma dostępu. Dostarczana przez reportaże wiedza ma więc charakter prostetyczny (kategoria A. Landsberg, pierwotnie stosowana wobec pamięci<sup>9</sup>), ułatwiając odbiorcy poruszanie się we współczesnym świecie. Oznacza to, że reportaże, podobnie jak inne formy dokumentalne i faktograficzne, bezpośrednio wpływają na tworzenie obrazu współczesnego świata.

Druga konsekwencja dotyczy wpływu zmian w funkcjonowaniu przekazów medialnych na postrzeganie reportażu. Skoro – jak zauważają liczni badacze<sup>10</sup> – mamy obecnie do czynienia z kryzysem informacji i kryzysem kategorii faktu, to kryzys ten dosięga również tego gatunku, podważając pierwotnie założoną relację zaufania. Reportaż, przyczyniając się do kształtowania współczesnego obrazu świata, nie

---

<sup>9</sup> A. Landsberg, *Prosthetic Memory. The Transformation of American Remembrance in the Age of Mass Culture*, Columbia UP, New York 2004.

<sup>10</sup> B. Massumi, *The Future Birth of the Affective Fact. The Political Ontology of Threat*, [w:] *The Affect Theory Reader*, ed. M. Gregg and G. J. Seigworth, Duke University Press, Durham and London, 2010; N. Mirzoeff, *The Subject of Visual Culture*, [w:] tegoż (ed.), *The Visual Culture Reader*, Second edition, Routledge, London-New York 2002, N. Klein, *No is Not Enough. Defeating the New Shock Politics*, Allen Lane, London 2017.

pozostaje bez reakcji na współczesny kryzys zaufania wobec mediów i nieufność wobec wszelkiej wiedzy prostetycznej.

Co ważne, wspomniane konsekwencje są ze sobą w istotny sposób powiązane: reportaż, wpływając – choćby przez pokazywanie nadużyć systemów władzy albo piętnowanie nadużyć wobec odbiorców w ramach gatunku (np. nierzetelne reportaże) – na kształtowanie obrazu świata, w którym *fake news* są powszechne, podważa własną legitymizację.

Reportaż reaguje więc na zmiany, jakie zachodzą w społeczeństwie, dostosowując do aktualnych oczekiwań społecznych zakres i formę podejmowanych tematów, a równocześnie zmuszony jest do reagowania na coraz poważniejszy kryzys zaufania i niechęć wobec kategorii faktu. Reaktywność ta wymusza równoczesne zmiany w tym, o czym się mówi, i w tym, jak się o tym mówi.

Ostatnia ze wspomnianych cech to **reaktywność etyczna**. Reportaż jest gatunkiem wyjątkowo uwikłanym w kwestie etyczne, i to w podwójnym tego słowa znaczeniu. Reportaże podejmują bowiem, częściej niż inne typy wypowiedzi faktograficznej, kwestie głęboko warunkowane etycznie (np. przebieg wojen i związane z nimi nadużycia, konflikty zbrojne i polityczne, owocujące represjami wobec cywilów, katastrofy naturalne i przebieg akcji ratowniczych oraz pomocowych, ale też patologie środowiskowe, nadużycia wobec słabiej sytuowanych członków społeczeństwa, różnego typu kryzysy, jak na przykład migracyjny). Jednocześnie, zaangażowanie reportażysty (lub brak tego zaangażowania), sposób prowadzenia reportażu, nie tylko jeśli chodzi o przedstawienie faktów, lecz też poszanowanie granic osób, które w reportażu biorą udział, ochrona świadków i źródeł, obowiązek zachowania relacji prawdziwości między formą reportażu, która dopuszcza innowacje i zmiany a przedstawianymi zdarzeniami – wszystko to są tylko przykładowe problemy, które wymagają namysłu etycznego.

Oznacza to, że reportaż nie tylko stale poszukuje odpowiednich tematów i trybów mówienia o nich, będąc uwrażliwionym na szeroko rozumiane kwestie etyczne, ale również, że jest w stanie modyfikować własne granice – czasem przez poszerzanie kompetencji reportera, czasem zaś przez nakładanie na niego konkretnych ograniczeń.

Równocześnie reportaż jest formą wyjątkowo afektywną i afektującą. Jest więc nie tylko podatny na zmiany i reaktywny, lecz również jego działanie opiera się na zdolności do wywoływania afektu u odbiorcy. A to oznacza, że reportaż, by przetrwać jako gatunek, musi szukać odpowiednich form wywoływania afektu, także – a nawet szczególnie – w dobie kryzysu faktów oraz rozpowszechnienia faktów afektywnych.

By pokazać, jak trzy wspomniane formy reaktywności reportażu funkcjonują i łączą się z nadrzędną dla badań kategorią afektu (co moim zdaniem decyduje o specyfice działania tego gatunku, który, mimo zmian, pozostaje odrębny od innych form wypowiedzi faktograficznych i zachowuje ciągłość gatunkową), odwołam się do przykładu z początku istnienia nowoczesnego reportażu. Pierwszym momentem, w którym możemy mówić o intermedialności reportażu, jest czas, w którym zaczynają funkcjonować formy reportażowe angażujące inne niż słowo, lub ewentualnie ilustracja, media. Mam tu na myśli moment pojawienia się fotografii. Odróżniam specjalnie funkcjonowanie reportaży ilustrowanych obrazami od reportaży wykorzystujących zdjęcia, gdyż ilustracja obrazowa nie miała i mieć nie mogła tego samego wpływu, co zdjęcie. Ilustracja mogła coś przedstawiać, była spotykana w reportażach podróżniczych, lecz nie pełniła nigdy funkcji dowodu, którą pełniły początkowo zdjęcia. Wykorzystanie fotografii w reportażach miało więc innowacyjny charakter i było pierwszym tak istotnym w rozwoju gatunku przejawem reaktywności formalnej reportażu. Warto dodać, że zdjęcia w obręb reportażu wprowadzono szybko: niecałe czterdzieści lat po powstaniu pierwszych (ok. 1826 r.) fotografie były już używane w ramach gatunku. Przykładem reportażu, w którym zdjęcie odgrywa centralną rolę nie jako ilustracja, lecz dowód na prawdziwość przedstawionych faktów a zarazem „głos w sprawie”, jest publikacja prasowa, która ukazała się w roku 1863 między innymi w „Harper’s Weekly”<sup>11</sup>. Składała się z dwóch elementów: krótkiej rozmowy z człowiekiem, którego określano jako Gordon oraz

---

<sup>11</sup> Działanie tej publikacji omawia w swojej książce dotyczącej w głównej mierze niewolnictwa M. Abruzzo (M. Abruzzo, *Polemical Pain: Slavery, Cruelty, and the Rise of Humanitarianism*, The John Hopkins University Press, Baltimore 2011).

zdjęcia jego pleców. Reportaż ukazał się w trakcie wojny secesyjnej i był głosem poparcia dla abolicjonistów. Gordon był niewolnikiem, który uciekł, by przyłączyć się do wojsk unionistów i opisał, jak wyglądało jego życie na jednej z farm Południa. Wypowiedź Gordona, choć wstrząsająca, nie wywarłaby jednak takiego wpływu, gdyby nie dołączone do materiału zdjęcie pleców człowieka, pooranych wielokrotnymi, nakładającymi się na siebie bliznami, powstałymi w wyniku chłosty. Plecy Gordona stały się symbolem kłamstwa o „dobrym panie i zadowolonym niewolniku”, namacalnym dowodem na okrucieństwa niewolnictwa.

Wybrałam akurat ten przykład, by pokazać, jak – ponad sto pięćdziesiąt lat temu – reportaż funkcjonował jako reaktywny formalnie, społecznie i etycznie. Reaktywność formalna, a więc wykorzystanie nowoczesnej w owym czasie technologii, wpłynęła na reaktywność społeczną: fotografia pleców funkcjonowała jako dowód na prawdziwość reportażu (obraz potwierdzał prawdziwość słów Gordona) oraz argument za zniesieniem niewolnictwa. Społeczne oddziaływanie tego reportażu było ogromne, przyczyniając się – jak wskazuje Margaret Abruzzo<sup>12</sup> – do wygrania wojny, przez aktywację społeczną dotąd niezdecydowanych oraz znaczne zwiększenie liczby zaciągających się ochotników.

Reaktywność etyczna wydaje się oczywista: ukazanie okrucieństwa wpłynęło na ostateczne zakazanie niewolnictwa, łamiąc dwuznaczne etycznie argumenty o „łagodnym” charakterze procederu. Ale – ze współczesnej perspektywy – reportaż ten każe nam zadawać pewne pytania. Człowiek, którego określiłam jako Gordon, być może miał tak na imię. Być może, bo część źródeł podaje inne. Nie wiemy, co stało się z nim później, nie wiemy o nim nic ponad to, co w kilku zdaniach opowiedział o okrucieństwach. Tych zdań nie przytaczamy zresztą obecnie zbyt często, bo wydają się mało interesujące, a historia Gordona jest historią milionów innych ludzi. Jedyne, co pozostało po tym człowieku, to fotografia jego pleców, przetwarzana i przedrukowywana na masową skalę (w postaci ulotek) już w roku 1863. Przykład tego pierwszego tak szeroko wykorzystanego medialnie i politycznie

---

<sup>12</sup> M. Abruzzo, *Polemical Pain...*, s. 201–205.

zdjęcia pokazuje najważniejsze paradoksy związane z funkcjonowaniem obrazów jako faktów. Z jednej strony zdjęcie stało się dowodem na okrucieństwo niewolnictwa, z drugiej jednak – zatarło pamięć o konkretnym człowieku, czyniąc z niego jedynie przedstawienie. Przypadek ten otwiera więc serię wciąż istotnych pytań o etyczność przedstawień cierpienia w reportażach, o etyczność wykorzystywania fotografii (nawet do celów jednoznacznie pozytywnie waloryzowanych).

Reaktywność tego reportażu, którą pokrótce omówiłam, była warunkowana jego afektywnością. Zdjęcia nie były wówczas rozpoznane, więc ich użycie gwarantowało silną reakcję u odbiorcy, tym silniejszą, im bardziej brutalne było przedstawienie. Plecy Gordona afektowały odbiorców i zarazem stawały się afektywnym faktem, oderwanym od rzeczywistości, oddzielnym od konkretnej osoby. Zaczęły funkcjonować osobno, jako medium afektywnego pobudzenia, niewymagającego już żadnego uzasadnienia. Oczywiście, obecnie zdjęcie podobnie okaleczonego człowieka nie wywołałoby już takiego skutku. Nie oznacza to jednak, że reportaż przestał być formą reaktywną i afektywną, lecz że musi ciągle poszukiwać nowych dróg utrzymania swojego specyficznego statusu.

Poświęciłam tak wiele miejsca temu przykładowi, gdyż pokazuje on trwałość pewnych wyzwań, jakie stoją przed reportażem. Jednak, oczywiście, nie zamierzam dowodzić, że od czasu pierwszego masowego wykorzystania fotografii w reportażu społecznie i etycznie zaangażowanym nic się nie zmieniło. Zmieniło się wiele, i wciąż się zmienia – właśnie dlatego, że reportaż jako forma reaktywna związany jest z przemianami, jakie zachodzą w polu formalnym (a więc w każdym medium i gatunku, który jest z reportażem związany), społeczno-politycznym oraz etycznym. Celem tego rozdziału jest przeanalizowanie ewolucji, jakiej współcześnie ulega reportaż jako medium reaktywne i afektywne. W tej części książki będę się więc zajmować kilkoma typami reportaży, które uznaję za najbardziej – równocześnie – reaktywne, innowacyjne i afektywne. Innowacyjność nie oznacza tu nowości – część z analizowanych przeze mnie typów reportaży ma wieloletnią, nawet kilkusetletnią, tradycję, ale wskazuje na możliwość dokonywania zmian w obrębie gatunku, wprowadzania

nowych rozwiązań, lub też – co moim zdaniem istotne – podważania wcześniej obowiązujących granic.

Zanim przejdę do analizy poszczególnych typów reportaży, chciałam poświęcić trochę uwagi trzem polom badawczym, które wpływają na współczesne postrzeganie reportażu i literatury faktu, to jest: sposobom definiowania faktu i wiedzy, mediom jako nośnikom faktów oraz współczesnym zmianom w postrzeganiu funkcji reportażu.

#### 4. Definiowanie faktów oraz wiedzy

Podstawową kategorią dla prowadzonych w obrębie tej części książki rozważań jest pojęcie faktu. Najprostszej definicji, oddającej jego powszechnie przyjęte znaczenie, dostarcza nam słownik języka polskiego, zgodnie z którym faktem jest to, co zaszło lub zachodzi w rzeczywistości. By nazwać coś faktem musimy być więc pewni, że jakies zdarzenie nastąpiło. Fakt jest czymś obiektywnym, niezależnym od naszej opinii czy światopoglądu, choć już oczywiście ocena, interpretacja lub sposób przedstawienia wcale taki być nie musi. Mówiąc inaczej, fakt należy do sfery rzeczywistości, jego ocena – do sfery subiektywnej.

Jak widać nietrudno jest dostarczyć prostej i zarazem użytecznej definicji faktu, w dodatku takiej, co do której istnieje raczej powszechna zgoda. O wiele bardziej problematyczna jest jednak inna kwestia – skąd wiemy, czy coś jest faktem, czy nim nie jest, czy wydarzyło się lub wydarza, czy też nie? To pytanie jest podstawą najbardziej znanych teorii filozoficznych, zwłaszcza zaś – epistemologicznych. Jest to pytanie o możliwe uzasadnienie wiedzy, o to, kiedy uznajemy, że coś o rzeczywistości wiemy. To pytanie ma wiele odmian, zaczynając od słynnej kartezjańskiej wątpliwości dotyczącej realności własnego istnienia, na szczegółowych kwestiach dotyczących uprawomocnienia wiedzy kończąc. Dla interesującej mnie problematyki mniej istotne są te największe pytania związane z uzasadnieniem własnego istnienia, bardziej – te związane z kwestią uzasadnienia wiedzy. Ta dyskusja, na pozór tylko młodsza od kartezjańskiej, ma swoją ogromną tradycję. Nie sposób jej streścić ani opisać, ale warto odnieść się do jej najważniejszych punktów. Fakt jest zdarzeniem pewnym, czymś, o czym

wiemy, że się wydarzyło. A wiedzę nabywa się w określony sposób, nie jest ona równoznaczna choćby z przekonaniem. Posługując się już bardziej technicznym językiem epistemologicznym, by coś mogło zostać uznane za wiedzę, musi stanowić co najmniej usprawiedliwione, prawdziwe przekonanie. Co to w praktyce oznacza? Po pierwsze, wiedza dotyczy wyłącznie faktów, rzeczy, które są prawdziwe. Po drugie, wiedza wymaga przekonania, że coś jest prawdziwe, a więc zinternalizowania określonego twierdzenia (jeśli w coś nie wierzę, nie mogę uznać tego za prawdziwe). Po trzecie, wymaga uzasadnienia, które może być rozumiane zarówno jako wewnętrzne uzasadnienie (tzw. uzasadnienie internalistyczne<sup>13</sup>), jak i uzasadnienie zewnętrzne (wiedza musi pochodzić z określonego źródła). Powyższe warunki wiedzy były wielokrotnie dyskutowane i podważane w xx-wiecznej filozofii<sup>14</sup>, niemniej za najsłynniejsze ich przetestowanie uważa się tak zwany paradoks Gettier<sup>15</sup>.

Edmund Gettier podaje przykład sytuacji, w których powyższe trzy warunki wiedzy, choć są konieczne do jej osiągnięcia, nie są wystarczające. Przykład opiera się na następującym schemacie: załóżmy, że w pewnej wsi mieszkańcy mają zwyczaj budowania kartonowych atrap stodoł. Stodoły, oglądane z drogi, niczym nie różnią się od prawdziwych. Jeśli więc przez tę wieś przejeżdża ktokolwiek, kto nie zna tego zwyczaju, widząc atrapę będzie miał usprawiedliwione przekonanie, że widzi stodoły<sup>16</sup>. Nie będzie jednak wiedział, że są to stodoły, gdyż warunek prawdziwości nie zostanie spełniony. Załóżmy jednak, że raz spojrzy na jedyną prawdziwą stodołę wśród atrap – wtedy jego

<sup>13</sup> Por. E. Conee, *Phenomenal Knowledge*, „Australasian Journal of Philosophy” 1994 no 2; R. Feldman, *Reason and Argument*, Prentice-Hall, Hoboken, New Jersey 1993.

<sup>14</sup> Por. zwłaszcza E. Nagel, *Struktura nauki*, przekład zbiorowy, PWN, Warszawa 1970; R. Nozick, *Philosophical Explanations*, Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, 1981; A. Hazlett, *A Luxury of the Understanding. On the Value of True Belief*, Oxford University Press, 2013.

<sup>15</sup> E. L. Gettier, *Is Justified True Belief Knowledge?*, „Analysis,” Vol. 23 (6) 1963.

<sup>16</sup> Ten eksperyment myślowy przywodzi na myśl dobrze znany, wcześniejszy fenomen, jakim były tak zwane wioski potiomkinowskie, a więc tworzone przenośne makiety wiosek, montowane w celu osiągnięcia wrażenia dobrobytu, na czas przejazdu carycy Katarzyny II.



przekonanie będzie prawdziwe. Jednak, jak sugeruje Gettier, nie będzie usprawiedliwione, gdyż zostało oparte na nieprawdziwych przesłankach (czyli wierze, że wszystkie stodoły w okolicy są prawdziwe). Zgodnie z paradoksem Gettier'a, nie będzie więc ono wiedzą.

Ta krótka rekonstrukcja ciekawych, ale funkcjonujących w ściśle wyodrębnionym kontekście rozważań epistemologicznych miała przybliżyć nas do bardzo konkretnego punktu: spory, czym jest wiedza i fakt nie są niczym nowym. Jednak w kontekście filozoficznym dotyczą w głównej mierze określenia, jakie warunki muszą spełniać przekonania, by nadać im ten właśnie status. Na to, że nawet spełnienie tych trzech, o których wspominałam (prawdziwe, usprawiedliwione przekonanie), to za mało, wskazuje najbardziej podstawowy paradoks związany z wiedzą: dla jej zaistnienia konieczna jest korelacja czynników wewnętrznych i zewnętrznych, nie wystarcza sama prawdziwość.

Gettier pokazuje, że nieznanomość kontekstu, nawet przy zachowaniu wszystkich innych warunków, może determinować problemy z przekazywaniem wiedzy. Przykład ze stodołami na pierwszy rzut oka wydaje się ekstrawagancki, lecz – w pewnym rozszerzeniu – można uznać, że większość informacji, jakie jesteśmy w stanie zbierać za pomocą mediów, nie różni się od nich statusem epistemologicznym. Rozróżnienie prawdziwej stodoły i atrapy wymaga wiedzy o istnieniu atrapy, rozróżnianie prawdziwej informacji od fałszywej – podobnie. Oczywiście, jest to tylko pierwszy, niezbędny, krok na drodze do fałsyfikacji.

Podsumowując, wiedza wymaga co najmniej prawdziwości, korzystania z odpowiedniego źródła i przekazywania w określony sposób. Dokładnie tak samo jest z faktem – by coś za fakt uznać, muszę wiedzieć o tym z odpowiedniego źródła, mieć przekonanie o jego prawdziwości oraz – aby był to fakt – musi być on prawdziwy. Jak widać, kluczowe dla funkcjonowania wiedzy o faktach są sposoby ich przekazywania, znajomość kontekstu oraz umiejętność fałsyfikacji. Wraz z rozwojem nowoczesnych społeczeństw wykształciła się również hierarchia dotycząca wiarygodnych źródeł wiedzy, opierająca się raczej na uznaniu wpływu nauki i jej autorytetu, niż powszechnych przekonaniach. Jednak nauka, każdego typu, nie jest najodpowiedniejszym narzędziem do szybkiego transferu informacji, do przekazywania

wiadomości o faktach, które nie są może absolutnie kluczowe dla funkcjonowania ludzkości, ale które wydarzyły się tu i teraz, a mogą mieć znaczenie dla szerszych grup. To współcześnie raczej domena mediów, które – dzięki swojemu niespotykanemu do tej pory zasięgowi – są w stanie dotrzeć do ogromnej rzeszy odbiorców. Szeroki zasięg jest bez wątpienia ogromnym plusem funkcjonowania mediów, lecz równie istotnym minusem – w przypadku transferu wiedzy – jest ich słabszy status. Medialne fakty traktowane są z daleko idącą podejrzliwością, co oddaje chociażby sformułowanie „fakt prasowy”, wskazujące na nieodpowiedniość między opisanym stanem rzeczy a rzeczywistością.

## 5. Media jako nośnik faktów

Analizując historię funkcjonowania mediów jako nośników faktów da się łatwo zauważyć dwie tendencje. Pierwszą można nazwać tendencją uprawomocniania: teoretycy poszczególnych gatunków medialnych, jak i pierwsi twórcy działający w ich obrębie zrobili wiele, by uwiarygodnić ten kanał przekazywania wiedzy, by utwierdzić odbiorców w przekonaniu o jego obiektywności i bezstronności. Narzędziem w tej walce o postrzeganie mediów jako obiektywnych, w zasadzie od ich początków w nowoczesnym rozumieniu tego słowa, były fotografie. Zdjęcia, traktowane jako potwierdzenie prawdziwości, jako namacalny ślad rzeczywistości, przyczyniły się z jednej strony do utwierdzenia pozycji nowoczesnej prasy, z drugiej zaś – wiele lat później – stały się powodem dla wzbudzenia radykalnego oporu wobec twierdzeń o „przezroczystości przekazu”. Stało się tak głównie dlatego, że zdjęcia dość szybko zaczęto traktować nie jako źródło uprawomocnienia wiedzy na temat określonego faktu, lecz jako sam fakt, bezdyskusyjny i niepodważalny.

Historia takiego traktowania zdjęć i wykorzystania ich jako dowodów w określonych sprawach, nie jest nowa. Jak starałam się pokazać, omawiając przykład funkcjonowania zdjęcia pleców Gordona, jest tak samo stara, jak pojawienie się tej formy dokumentowania rzeczywistości. Przykład tego pierwszego tak szeroko wykorzystanego medialnie i politycznie zdjęcia pokazuje najważniejsze paradoksy związane

z funkcjonowaniem obrazów jako faktów. Z jednej strony zdjęcie stało się dowodem, z drugiej jednak – zatarło pamięć o konkretnym czło-  
wieku, czyniąc z niego jedynie przedstawienie. Stąd też wielokrotnie  
dostrzegana i dyskutowana problematyczność wykorzystania zdjęć do  
określonych celów politycznych, jak również dwuznaczny charakter  
etyczny przedstawień cudzego cierpienia<sup>17</sup>.

Znaczącym przykładem manipulacyjnego wykorzystania obra-  
zów jako dowodów w sprawie, jako uzasadnienia dla przyjmowania  
określonych wydarzeń za prawdziwe, jest analizowany przez Nicholasa  
Mirzoeffa<sup>18</sup> przypadek użycia przez serbską telewizję w kwietniu  
1999 roku fragmentów programu CNN do uwiarygodnienia własnego  
przekazu. CNN opublikowało nagranie z logo serbskiej telewizji, na  
którym pokazane były płonące po nalotach NATO budynki, co miało  
z jednej strony wypełnić lukę w przekazie (CNN nie dysponowało  
własnymi nagrańmi), z drugiej zaś – przez zachowanie logo serbskiej  
telewizji – stanowić sygnał dla widza, że nie jest to w pełni sprawdzona  
wiadomość. Tymczasem serbska telewizja zaczęła nadawać materiał  
CNN z dokładnie tymi samymi zdjęciami, by uwiarygodnić własny  
przekaz (tym razem to logo CNN miało służyć jako znak wiarygod-  
ności). Bez względu na prawdziwość fotografii, stały się one zakład-  
nikami mediów, które je przekazują – raz uznawanych za wiarygodne,  
innym razem – za manipulacyjne.

---

<sup>17</sup> Por. zwłaszcza S. Sontag, *O fotografii*, przeł. S. Magala, Karakter, Kraków 2017; S. Sontag, *Widok cudzego cierpienia*, Karakter, Kraków 2016; R. Barthes, *Światło obrazu*, przeł. J. Trznadel, Aletheia, Warszawa 2008; E. Pontremoli, *Nadmiar Widzialnego*, przeł. M. Kalinowski, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006.

<sup>18</sup> N. Mirzoeff, *Intervisuality*, [w:] *Exploding Aesthetics*, ed. A. W. Balkema, H. Slager, Lier ne Boog, Amsterdam 2002, s. 124–125. Por. także N. Mirzoeff, *How to See the World: An Introduction to Images, from Self-Portraits to Selfies, Maps to Movies and More*, Basic Books, New York 2016; N. Mirzoeff, *An Introduction to Visual Culture*, Routledge, London and New York 1999; N. Mirzoeff, *The Right to Look. A Counterhistory of Visuality*, Duke University Press, Durham and London 2011.

## 6. Forma i fakt.

### Wyzwania współczesnego reportażu

Powrót do gatunków związanych z „faktem” ma moim zdaniem podwójną podstawę i uzasadnienie. Za podstawę można uznać to, co ma charakter praktyczny lub materiałowy: biografie, autobiografie, reportaże oraz literatura faktu mają na współczesnym rynku książki dość silną pozycję. Podobnie jest w przypadku produkcji już nie literackiej, lecz filmowej i telewizyjnej: różne formy dokumentów stale zyskują widownię oraz są produkowane z coraz większym nakładem środków przez wielkie koncerny medialne. Ekspansja gatunków niefikcyjnych widoczna jest nawet, gdy spojrzy się na ofertę gigantów, jak HBO czy NETFLIX, prześcigających się w publikowaniu – i produkcji – nierzadko nagradzanych oraz naprawdę interesujących filmów dokumentalnych oraz seriali.

Rozległy i zróżnicowany materiał badawczy to jednak tylko jeden z powodów wzrastającego zainteresowania gatunkami niefikcyjnymi. Za drugi można uznać nie sam wzrost liczby, ale i znaczną komplikację ram każdego z wymienionych wcześniej gatunków. W ciągu ostatnich lat coraz popularniejszy (i coraz bardziej dopracowany formalnie) staje się reportaż intermedialny<sup>19</sup>, tworzone są również coraz bardziej skomplikowane formy hybrydyczne, korzystające z tradycji więcej niż jednego podtypu reportażu, a zarazem do łask wracają tradycyjne (i bardzo wymagające) typy reportażu, jak reportaż wcieleniowy czy śledczy. Podobnie jest z reportażem polifonicznym, nienowym, lecz ponownie rozpropagowanym przez Swietłanę Aleksijewicz<sup>20</sup>, reportażem podróżniczym, intymnym oraz gonzo. Ekspansję przeżywa również reportaż wojenny, choć

<sup>19</sup> Początkowo publikowaniem tego typu reportaży zajmowały się gazety o znacznych zasobach, jak chociażby „New York Times” (2012), teraz są coraz częściej spotykane także w polskich gazetach, zwłaszcza „Dużym Formacie”.

<sup>20</sup> Por. zwłaszcza S. Aleksijewicz, *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*, Czarne, Wołowiec 2015; *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. J. Czech, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015; *Cynkowi chłopcy*, przeł. J. Czech, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015.

on najczęściej realizowany jest w medium innym, niż prasa czy literatura<sup>21</sup>.

Podstawa powrotu zainteresowania reportażem jest więc solidna: to zdecydowanie większa ilość reportaży oraz wzrost ich różnorodności i skomplikowania formalnego. Jednak, jak pisałam, oprócz podstawy istnieje również całkiem mocne uzasadnienie tego zjawiska. Również ono ma podwójny charakter, tym razem jednak głównie teoretyczny. Reportaż staje się gatunkiem coraz mniej przezroczystym formalnie, coraz mniej oczywistym, co – w przypadku gatunku od początku dość skomplikowanego – jest wyjątkowo interesujące. Wystarczy spojrzeć na poprzedni akapit tego wstępu: próbując zaklasyfikować interesujące mnie zjawiska we współczesnym reportażu powoływałam się cały czas na co najmniej trzy klasycznie wyróżniane sposoby podziału gatunku: ze względu na przedmiot, medium oraz relację, jaką reportażysta nawiązuje z przedstawianą sprawą<sup>22</sup>. Powyższe kryteria, choć wciąż przydatne, bo hasłowo porządkujące skomplikowane uniwersum reportażu, zdają się nie nadążać za zmianami, jak choćby rosnącym zróżnicowaniem formalnym (którego odbiciem może być, do pewnego stopnia, reportaż polifoniczny).

Skomplikowanie formalne lub gatunkowe jest na pewno jednym z uzasadnień wzrostu zainteresowania tym typem wypowiedzi. Jednak obok niego istnieje drugie, co najmniej równie istotne, tym razem wykraczające poza strukturę tekstu. Do tej pory przytoczona tu argumentacja opierała się na wskazywaniu, co znaczącego dzieje się w praktyce lub teorii reportażu, by z tych zjawisk zbudować podstawę i uzasadnienie dla zajmowania się akurat tym zjawiskiem. Tymczasem najsilniejsze uzasadnienie jest nie w reportażu, lecz w tym, czym reportaż się karmi lub – w innych przypadkach – na czym żeruje, to jest na naszym postrzeganiu faktów.

Co zatem takiego się stało z postrzeganiem przez nas faktów, że – jak nieco paradoksalnie argumentuję – z jednej strony gatunkom

---

<sup>21</sup> Warto zwrócić uwagę na coraz większą tendencję do raportowania wydarzeń wojennych za pomocą nowych mediów, włącznie z mediami społecznościowymi.

<sup>22</sup> Por. K. Wolny, *O poetyce współczesnego reportażu polskiego 1945–1985*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie, Rzeszów 1991.

opartym na fakcie ufamy zdecydowanie mniej, niż kiedyś, z drugiej zaś interesujemy się nimi chyba nawet bardziej, niż kiedyś (a przynajmniej więcej jest w popularnym obiegu tekstów korzystających z akurat tej formy opowiadania o świecie)?

Do pewnego momentu w omawianej dyskusji istniała powszechna zgoda przynajmniej co do dwóch kwestii:

- A. Możemy mieć problem z ustaleniem, co jest faktem, ale jest to problem naszej wiedzy – gdybyśmy mieli doskonałą wiedzę na jakiś temat, lub byli bezpośrednimi świadkami jakiegoś zdarzenia, owe wątpliwości by nie istniały.
- B. Fakty są domeną teraźniejszości i przeszłości, czyli tego, co się wydarzyło, albo właśnie wydarza.

Obecnie trudno uznać, by którekolwiek z powyższych stwierdzeń uznawano za powszechnie obowiązujące. Za pierwsze oznaki takich zmian w rozumieniu faktów można uznać pojawiające się od czasu do czasu intuicje, że fakt jest w gruncie rzeczy „wynalazkiem” (a więc – według Michaela Foucaulta – urządzeniem dyskursywnym)<sup>23</sup>, nie zaś epistemiczną koniecznością, ugruntowaną antropologicznie (jak uważał m.in. Leszek Kołakowski)<sup>24</sup>. Na takie właśnie postrzeganie faktu wskazują również coraz częstsze współcześnie uwagi o konstrukcyjnym charakterze pojęcia faktu<sup>25</sup> oraz o powszechnym w historii kultury tworzeniu fałszywych faktów<sup>26</sup>. Z pewnego punktu widzenia można uznać zmiany, które zachodzą w gatunkach tradycyjnie uznawanych za niefikcjonalne, za skorelowane z wcześniej omówionymi czynnikami.

W następujących rozdziałach tej części książki zamierzam się zająć trzema aspektami przekształceń dokonujących się pod wpływem

---

<sup>23</sup> Por. M. Foucault, *Porządek dyskursu*, przeł. T. Komendant, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2002.

<sup>24</sup> Por. L. Kołakowski, *Moje słuszne poglądy na wszystko*, Znak, Kraków 1999.

<sup>25</sup> D. Wootton, *The Invention of Science: A New History of the Scientific Revolution*, Harper Collins Publishers, New York 2015.

<sup>26</sup> Por. R. Darnton, *The True History of Fake News*, <http://www.nybooks.com/daily/2017/02/13/the-true-history-of-fake-news/> [dostęp: 03 stycznia 2020].

zmiany w postrzeganiu faktów w obrębie poszczególnych typów niefikcjonalnego opowiadania o określonych wydarzeniach. Pierwszy z nich poświęcony będzie zjawisku *faction*, sytuującym się pomiędzy wcześniej rygorystycznie rozróżnianymi gatunkami (jak biografie, autobiografie, powieści oparte na faktach lub biograficzne oraz reportaże), następane zaś różnym typom reportaży.

## Na granicy faktu. Kategoria *faction* w badaniach nad współczesnymi biografiami

### 1. Uwagi wstępne

Biografie, autobiografie i inne typy literatury zorientowanej na przedstawienie opartej na faktach, lub po prostu z faktami zgodnej, opowieści o konkretnej osobie, stanowią – jak może przekonać nie tylko analiza rynku książek w Polsce, ale i wizyta w każdej popularnej księgarni – istotną część obiegu współczesnej literatury. W ciągu ostatnich lat przyzwyczailiśmy się, że najczęściej reklamowanymi – i najlepiej sprzedającymi się – publikacjami są autobiografie lub biografie celebrytów, polityków i aktorów<sup>1</sup>, a intelektualne biografie artystów, choć nie osiągają może tak wysokiego pułapu sprzedaży, trafiają do szerokiego obiegu literatury, wzbudzając dyskusje nie tylko wśród profesjonalnych literaturo- czy kulturoznawców. Zainteresowanie „prawdziwymi historiami”, „szczerymi opowieściami”, „odbrązawiającymi biografiami” jest więc – zwłaszcza jak na obecną niszowość literatury – powszechne.

Z tego powodu zamierzam zająć się tą formą literacką zanim przejdę do omówienia współczesnych reportaży. Wzrastająca popularność biografii i autobiografii, a więc – oczywiście w sporym uproszczeniu – faktograficznych opowieści o konkretnych osobach wskazuje na przeniesienie zainteresowania z wydarzeń na ludzi. Jednocześnie trudno nie zauważyć, że ten typ narracji odpowiada na nieco inne

<sup>1</sup> Wystarczy przypomnieć, jak szeroko komentowana była na przykład autobiografia Danuty Wałęsy oraz wciąż powstające biografie piłkarzy, między innymi Jakuba Błaszczykowskiego (J. Błaszczykowski, M. Domagalik, *Kuba*, Wydawnictwo Buchmann, Warszawa 2015) oraz Roberta Lewandowskiego (P. Wilkowicz, *Robert Lewandowski. Nienasycony*, Agora, Warszawa 2016 oraz Y. Żółtowska-Darska, *Lewy. Chłopak, który zachwyił świat*, Burda Publishing Polska, Warszawa 2017).



potrzeby niż na przykład reportaż. Można zakładać, że mechanizm utożsamienia może być w tym przypadku zdecydowanie istotniejszy, podobnie jak większa zdolność do angażowania odbiorcy. Warto jednak zadać pytanie o służebność tego gatunku: czy są one zorientowane na odbiorcę, któremu (jak w przypadku reportażu) ma być przedstawiona inaczej niedostępna wiedza o świecie lub doświadczenie, które nie mogłoby inaczej niż za pomocą tekstowej mediacji stać się jego udziałem, czy raczej na nadawcę, używającego biografii lub autobiografii do wykreowania konkretnego obrazu danej osoby? Nie sądzę, by na to pytanie istniała jedna odpowiedź, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak odmienne publikacje określamy szeroką etykietą biografii lub autobiografii. Jednak zakładam, że pewne niewątpliwie dokonujące się w obrębie tych form zmiany rzutują po pierwsze na definiowanie wszystkich gatunków niefikcyjnych, po drugie wiążą się ze zmianą w rozumieniu służebności, którą można najogólniej określić jako przejście od uznawania, że określony typ literatury ma spełniać konkretne funkcje, istotne z punktu widzenia odbiorcy na rzecz utylitarne – z punktu widzenia nadawcy – postrzegania roli gatunku w budowaniu własnego wizerunku, a po trzecie: renegotjowanie roli biografii i autobiografii związane jest z erozją kategorii faktu.

Sukces, również komercyjny, tej formy opowiadania jednostkowych historii przyczynił się do skomplikowania granic między poszczególnymi gatunkami faktograficznymi. Rozróżnienie na biografię i autobiografię, niegdyś klarowne także dla nieprofesjonalnego czytelnika, mogącego bez trudu odróżnić opowieść o sobie od opowieści o kimś innym, dodatkowo opracowane przez wielu badaczy literatury, z Philippem Lejeunem na czele<sup>2</sup>, stało się obecnie co

---

<sup>2</sup> Tezy Philippe Lejeune'a, rozpropagowane w Polsce między innymi za pomocą publikacji tłumaczenia artykułu *Pakt autobiograficzny* (P. Lejeune, *Pakt autobiograficzny*, „Teksty: teoria literatury, krytyka, interpretacja” 1975 nr 5) oraz zbioru artykułów (P. Lejeune, *Wariacje na temat pewnego paktu. O autobiografii*, red. R. Lubas-Bartoszyńska, przeł. W. Grajewski, S. Jaworski, A. Labuda i in., Universitas, Kraków 2007) stanowią inspirację dla licznych badaczy zajmujących się zarówno problematyką autobiografii, jak i innymi pokrewnymi praktykami tekstowymi (por. zwłaszcza prace Małgorzaty Czermińskiej, Pawła Rodaka, Zofii Mitosek). W tym rozdziale będę się posługiwać podstawowym rozróżnieniem

najmniej problematyczne. O ile formalne rozróżnienie między tymi gatunkami jest dość proste, o tyle jego sens w dobie powszechnego *ghost-writing*u stoi pod znakiem zapytania, podobnie jak cała koncepcja paktu autobiograficznego. Jeśli bowiem czytelnik ma świadomość, a coraz częściej ją posiada, iż to, co nazwane autobiografią, jest spisana pod kontrolą agenta lub specjalisty od wizerunku biografią znanej osoby, przez nią jedynie podpisaną, to rodzi to wątpliwości wobec sensowności utrzymywania ścisłego rozróżnienia między tymi gatunkami i uniemożliwia zawiązanie paktu między odbiorcą autobiografii a jej twórcą. Piszący nie pisze bowiem sam o sobie, a czytający nie wierzy, że „tak było naprawdę”<sup>3</sup>.

Pokrótkie opisywane tu renegocjowanie granic nie dotyczy tylko i wyłącznie rozróżniania między biografią i autobiografią, lecz dotyka również całej klasy tekstów niefikcyjnych<sup>4</sup>. Coraz częściej jako płynne postrzegane są także granice między gatunkami tradycyjnie uznawanymi za fikcyjne i niefikcyjne, prowokując do powstawania kolejnych gatunków „zmaconych”<sup>5</sup> i zarazem sugerując konieczność przemyślenia, czym rzeczywiście jest „niefikcyjność” lub „prawdziwość” tekstu.

---

Lejeune’a głównie ze względu na jego klarowność, wystarczającą do roboczego rozgraniczania biografii i autobiografii.

<sup>3</sup> Ten rodzaj łamania konwencji autobiografii godzi więc w samą istotę paktu autobiograficznego, podważając konieczne zaufanie. Jest to więc zjawisko zasadniczo odmienne od – analizowanej między innymi przez Annę Turczyn – autofikcji. Por. A. Turczyn, *Autofikcja, czyli autobiografia psychopolifoniczna*, „Teksty Drugie” 2007 nr 1–2.

<sup>4</sup> W tym rozdziale, odwołując się do definicji i konwencji pisania biografii oraz autobiografii, będę posługiwać się dwudziestowiecznym rozumieniem wspomnianych gatunków. Wcześniejsze tradycje, choć istotne dla kształtowania konwencji biograficznej i autobiograficznej nie są w tym tekście, dotyczącym zmian, jakim wspomniane gatunki ulegają w ostatnich latach, z konieczności uwzględnione. Dotyczy to zwłaszcza postrzegania takich zagadnień jak obowiązek prawdziwości, obiektywności, czy autentyczności.

<sup>5</sup> Por. C. Geertz, *O gatunkach zmaconych (Nowe konfiguracje myśli społecznej)*, przeł. Z. Łapiński, „Teksty Drugie” 1990 nr 2.

## 2. *Faction* – ustanowienie kategorii

W tym rozdziale chciałabym zająć się jedną z kategorii granicznych, opisujących sposób funkcjonowania gatunków zmąconych. Tą kategorią, sytuującą się na przecięciu co najmniej kilku odrębnych praktyk tekstowych, jest *faction*. Zwrot ten, zaczerpnięty z anglosaskich badań nad literaturą, nie daje się zbyt zgrabnie przetłumaczyć na język polski, jest bowiem grą słów z dwoma pojęciami, *fiction* i *fact*, a więc z tym, co fikcjonalne, i z tym, co rzeczywiste. Kategoria *faction* sugeruje więc zmieszanie fikcji i faktu, kontaminację nie tylko gatunku, lecz i relacji, którą ten gatunek nawiązuje z rzeczywistością. Zanim postaram się pokrótce opisać, czym współcześnie ma być *faction* jako gatunek, lub – co moim zdaniem lepiej oddaje sposób funkcjonowania tej kategorii – praktyka albo strategia pisania, warto poświęcić odrobinę uwagi definicji tego terminu.

*Faction* nie zawsze oznaczało literaturę funkcjonującą na granicy między fikcją i faktem. Pierwotnie – a więc mniej więcej w latach 60. XX wieku – *faction* miało nieco inne konotacje: termin ten odwoływał się do pojęcia powieści niefikcjonalnej (*non-fiction novel*) i stanowił skrótowe oraz wygodne słowo-klucz dla wszelkich typów powieści, opartych na faktach, ale korzystających z wzorców narracyjnych powieści fikcjonalnych<sup>6</sup>. Za przykład i zarazem tekst prekursor-ski dla tak rozumianego *faction* najczęściej uznaje się *Z zimną krwią* Trumana Capote'a<sup>7</sup>. Wydana w 1966 roku książka została oparta na szczegółowym i dokładnym materiale faktograficznym dotyczącym konkretnych morderstw z 15 listopada 1959 roku. Capote przez kilka lat śledził doniesienia prasowe dotyczące zbrodni oraz prowadził rozmowy z osobami z nią w jakiś sposób związanymi (policjantami, dziennikarzami, sąsiadami, dalszą rodziną ofiar, a także ze skazanymi za zamordowanie rodziny Clutterów Richardem Hickockiem

---

<sup>6</sup> Taką definicję powieści niefikcjonalnych przyjmuje między innymi *Oxford Dictionary of Literary Terms*. Por. Chris Baldick, *Oxford Dictionary of Literary Terms*, Oxford University Press, Oxford 2015, s. 252–253.

<sup>7</sup> Por. T. Capote, *In Cold Blood. A True Account of a Multiple Murder and Its Consequences*, Penguin Books, London 1966.

i Perry'm Smithem), a całą opowieść oparł na zebranych w ramach tak prowadzonego śledztwa materiale. Opublikowaniu *Z zimną krwią* towarzyszyła w zasadzie od razu pogłębiona dyskusja dotycząca funkcjonowania książki, sytuującej się na przecięciu reportażu, powieści oraz – do pewnego stopnia – biografii. I tak niejasną sytuację publikacji komplikowały równocześnie: wypowiedzi autora (twierdzącego, że całość została oparta na faktach i nie ma w książce żadnego fragmentu, który nie byłby z faktami spójny – o czym upewniają między innymi zapowiedzi książki na okładce), zaangażowanie Capote'a w proces sądowy sprawców, zwłaszcza zaś próba uratowania jednego z nich od kary śmierci (co było niekiedy poczytywane za przejaw stronniczości), negatywna reakcja lokalnej społeczności Holcomb (urazonej opisami miasteczka), tocząca się ówczesnie w USA (i do pewnego stopnia trwająca do tej pory) dyskusja nad sensownością kary śmierci, ogromne zaangażowanie mediów w sprawę morderstwa Clutterów, a wreszcie powszechne zainteresowanie samym Capote'm (jego efektem są między innymi takie filmy jak *Z zimną krwią*, reż. R. Brooks, *Capote*, reż. B. Miller, *Bez skrupułów*, reż. D. McGrath). Wobec tych wszystkich czynników sama książka i jej – bardzo interesująca – konstrukcja zesłała na dalszy plan<sup>8</sup>. Dla porządku warto ją jednak pokrótce omówić.

Publikacja zaczyna się od opisu miasteczka, w którym dokonano morderstwa oraz od przedstawienia czytelnikowi – za pomocą narracji trzecioosobowej – zasad funkcjonowania społeczności Holcomb, w tym roli, jaką pełnił w niej Herbert William Clutter, jedna z ofiar morderstwa. Narracja trzecioosobowa jest prowadzona konsekwentnie, zarówno w przypadku opisów osób i miejsc, jak i w przypadku rekonstrukcji zdarzeń, w tym – morderstwa rodziny

---

<sup>8</sup> Burzliwość odbioru książki pokazują wciąż ukazujące się artykuły dotyczące możliwych manipulacji Capote'a, por. B. Macintyre, „*Z zimną krwią*”, czyli wielka fikcja Trumana Capote, „The Times”, [www.polskatimes.pl/artykul/764957,z-zimna-krwia-czyli-wielka-fikcja-trumana-capote,id,t.html](http://www.polskatimes.pl/artykul/764957,z-zimna-krwia-czyli-wielka-fikcja-trumana-capote,id,t.html) [dostęp: 6 czerwca 2018] oraz W. Pavia *Genialny manipulator. Truman Capote z zimną krwią nabral czytelników na całym świecie*, „The Times”, <http://www.polskatimes.pl/artykul/3683462,genialny-manipulator-truman-capote-z-zimna-krwia-nabral-czytelnikow-na-calym-swiecie,id,t.html> [dostęp: 6 czerwca 2018].

farmerów. Dialogi oraz monologi wewnętrzne postaci (których, jak na ten typ powieści, jest całkiem sporo) wprowadzane są również przez narratora wszechwiedzącego i nie są w żaden sposób strukturalnie wyodrębnione (funkcjonują jako równoprawny element świata przedstawionego, nie są oznaczone jako rekonstrukcja zdarzeń lub przypuszczenie, nie funkcjonują również jako cytaty zasłyszanych rozmów, choć w niektórych przypadkach dialogi ujęte są w cudzośłowach, co sugeruje ich odmienny od reszty tekstu status). Narrator pozostaje w obrębie tekstu instancją niesproblematyzowaną, nie ma żadnych wewnątrztekstowych odniesień sugerujących jego tożsamość. Zabieg ten jest o tyle interesujący, że wstęp i podtytuł książki jasno wyznaczają ramy interpretacyjne w obrębie literatury faktu: podtytuł mówi wprost, że jest to „prawdziwy opis wielokrotnego morderstwa”, zaś słowo wstępne informuje, że wszystko, co znajduje się w tekście jest w całości oparte albo na doświadczeniach autora, albo na tegoż autora lekturach materiału dowodowego lub wywiadach z poszczególnymi osobami.

Wstęp i podtytuł sugerują więc przyjęcie konwencji reportażowej, natomiast struktura książki odpowiada tradycyjnie rozumianej powieści kryminalnej. Konwencja powieści kryminalnej bywa jednak od czasu do czasu łamana, zwłaszcza przez próbę zakreślenia szerokiego socjologicznego tła wydarzeń w Holcomb, niemniej sama „powieściowość” książki nie zostaje naruszona nigdy. Jest to w całości świadomy zabieg, pozwalający na zastąpienie postaci reportera, którym na potrzeby tej książki stał się Capote, instancją narratora. Decyzja o napisaniu *Z zimną krwią* w konwencji powieści pozwoliła nie tylko na stworzenie gatunku hybrydowego, lecz również na poszerzenie – w stosunku do reportażu – granic tego, co może zostać opowiedziane, przy równoczesnym praktycznie całkowitym wycofaniu z pola uwagi instancji mówiącej. Osobowy reporter, noszący imię i nazwisko, możliwy do zidentyfikowania oraz podatny na zarzuty dotyczące zbierania lub interpretacji materiału, został zastąpiony bezosobową instancją narracyjną, w całości wtopioną w świat przedstawiony.

Ze względu na to konsekwentne połączenie typowej narracji powieściowej z – deklarowanym przez autora i raczej zgodnym z rzeczywistością – przestrzeganiem zasad zdobywania materiałów zgodnie

z zasadami sztuki dziennikarskiej, *Z zimną krwią* zostało uznane za twór wyznaczający zasady nowego gatunku: powieści niefikcjonalnej.

Pojawiające się zarzuty stroniczości – o których wspominałam wcześniej – nie zmieniły tej klasyfikacji, lecz wyczuliły krytyków na problemy wynikające z tworzenia tak rozumianych form hybrydycznych, sytuujących się na granicy fikcji i faktu. W konsekwencji powyższe, odnoszące się do powieści niefikcjonalnej, znaczenie *faction*, funkcjonowało w obrębie angloamerykańskiego literaturoznawstwa stosunkowo krótko, bowiem już pod koniec lat 70. XX wieku powieść niefikcjonalna zaczęła tracić na znaczeniu, a ukształtowana za pomocą *Z zimną krwią* zasada połączenia szczegółowego materiału faktograficznego z fikcjonalnymi dialogami przestała być respektowana. Do powolnego zmiernienia gatunku przyczyniły się bez wątpienia zarzuty stawiane kolejnym powieściom z tego nurtu, dotyczące – z grubsza rzecz biorąc – tworzenia powieści całkowicie fikcjonalnych, których osadzenie w rzeczywistych zdarzeniach jest albo wybiegiem narracyjnym, albo wręcz świadomą mistyfikacją.

Pojęcie *faction*, mimo kryzysu gatunku, który wprowadził je w obręb namysłu nad literaturą, nie zniknęło jednak zupełnie. W ostatnich latach daje się zauważyć nie tylko powrót do stosowania tej kategorii, ale również nasilone zainteresowanie twórców eksplorowaniem możliwości, jakie daje połączenie fikcji i faktów. O ile jednak początkowo *faction* funkcjonowało jako pograniczne powieści i reportaże, teraz zdecydowanie częściej zbliża się do powieści biograficznych. Ponadto – jak postaram się zaraz pokrótce pokazać – termin ten przeszedł pewną znaczącą ewolucję.

### 3. Ewolucja *faction*

By uchwycić zmianę, której podlega współczesne rozumienie *faction*, warto moim zdaniem odwołać się do tezy Geoffrey'a Hartmana, badacza, który analizuje relacje między autentycznością i prawdą w różnych typach twórczości opierającej się na faktach. Punktem wyjścia rozważań Hartmana jest opisanie zmian, jakim podlega współcześnie rozumienie dwóch kategorii: realizmu i autentyczności. W książce

*Scars of the Spirit. The Struggle Against Inauthenticity* naukowiec stawia tezę, że we współczesnym świecie, w którym wciąż zmieniają się kryteria, wedle których uznajemy dane rzeczy za możliwe lub niemożliwe, ewolucji ulega również nasze postrzeganie rzeczywistości. Gdy realne jest klonowanie, a postęp technologii zdaje się nie mieć granic, autentyczność staje się – nieco paradoksalnie – bardzo pożądaną wartością<sup>9</sup>. Równocześnie, jak zauważa Hartman, kategoria ta jest coraz częściej używana w kontekstach, które niewiele mają z nią wspólnego lub – co jeszcze trudniejsze do zaakceptowania – „autentyczność” służy jako namiastka prawdziwości. A to oznacza, że „za wyjątkiem samej kategorii «duchowości», «autentyczność» może być najbardziej nieautentyczną kategorią w otaczającym nas świecie”<sup>10</sup>.

„Autentyczność”, zarówno ta prawdziwa, jak i ta „nieautentyczna”, stała się zdaniem badacza szczególnie ważną kategorią współcześnie, gdyż jest używana na nieznaną wcześniej skalę w procesach budowania własnego lub cudzego publicznego wizerunku, a więc – między innymi – podczas tworzenia swojej lub cudzej biografii. To zaś sprawia, że dzisiaj patrzymy już zupełnie inaczej na tworzenie „autentycznych” biografii:

Autentyczna osoba nie powinna sztukować swojej tożsamości, poświadczając swoje pochodzenie, genealogię rodziny oraz nieustannie powołując się na wyznawaną wiarę, uczciwość lub osiągnięcia. Tymczasem jesteśmy już wszyscy znudzeni, wysłuchując kolejnych wypowiedzi polityków na temat ich miejsca urodzenia i korzeni (im bardziej swojskich, tym lepiej) (...).<sup>11</sup>

Budowanie u innych poczucia autentyzmu stało się ostatnimi czasy obowiązkiem każdego, komu zależy na zainteresowaniu. Równocześnie taka eksploatacja tej kategorii do pragmatycznych celów spowodowała zupełną utratę społecznego zaufania: jeśli ktoś na siłę konstruuje poczucie autentyczności, najczęściej jest postrzegany jako nieautentyczny, ale zarazem jeśli tego nie czyni, nie jest w stanie

---

<sup>9</sup> G. Hartman, *Scars of the Spirit. The Struggle Against Inauthenticity*, Palgrave Macmillan, New York 2002, s. x.   <sup>10</sup> Tamże, s. 5.   <sup>11</sup> Tamże, s. 5.

zakorzeń się w powszechnym kulcie tego, co „prawdziwe”. Obowiązek autentyczności – nawet jeśli niespełnialny – zaczął obejmować nie tylko budowanie własnego wizerunku, lecz także szeroko rozumianą sztukę, która, by być doceniana, musiała być „autentyczna”, cokolwiek miało to znaczyć. Autentyczność, zgodnie z sugestiami badacza, zaczyna pełnić rolę służebną wobec potrzeby uznania określonej twórczości za wartą zainteresowania. Kategoria ta pełni funkcję swoistej akredytacji, umożliwiającej uczestnictwo w obiegu „prawdziwych” historii. Jednocześnie, autentyczność przestaje być rzeczywistą cechą tekstu lub opowieści, podtrzymywaną za cenę ograniczenia twórczej ekspresji i mającą na celu uprawomocnienie relacji zaufania między nadawcą a odbiorcą. Przestaje pełnić funkcje służebne wobec tejże relacji i tożsamości gatunkowej, a zaczyna być jedynie argumentem legitymizującym określone odczytanie, którym swobodnie gra nadawca komunikatu.

Opisywany przez naukowca proces inflacji kategorii autentyczności obejmuje zatem różne aspekty kultury: z jednej strony staje się powszechnym wymogiem, zgodnie z którym każdy musi być autentyczny, z drugiej w jakiś sposób „autentyczne” mają być również te rodzaje aktywności, które w pewnym sensie „autentyczne” być nie mogą. O ile „autentyczność” w odniesieniu do budowania własnego wizerunku i biografii miała nakazywać zgodność z prawdą, o tyle takie rozumienie autentyczności jest niemożliwe do pogodzenia z trybem funkcjonowania sztuki. Celem sztuki nie jest przecież i być nie może tworzenie tekstów kultury lub dzieł, które mają nawiązywać ścisłą relację prawdziwości<sup>12</sup> ze światem zewnętrznym. Autentyczność w tym przypadku musi być realizowana inaczej<sup>13</sup>.

O tym, jak postulat ten może być realizowany, zaświadcza zdaniem Hartmana współczesne upodobanie do tropienia biografii i losów artystów: autentyczne w tym rozumieniu jest nie tyle samo dzieło, lecz jego związek z osobą, która je wytworzyła. Pierwszym, koniecznym warunkiem tropienia tak rozumianej autentyczności jest zatem

---

<sup>12</sup> Hartman, pisząc o „prawdziwości”, zdaje się posługiwać referencjalną teorią prawdy, lecz nie jest to przez badacza wprost dookreślone. <sup>13</sup> Tamże, s. 7.



prawidłowa atrybucja<sup>14</sup>. Jest warunkiem nie tylko przypisania danego dzieła do określonego autora, lecz ma także odpowiadać za możliwość powiązania wytworu z umysłem twórcy, a więc pozwalać na uprawomocnienie go jako autentycznego psychologicznie. Pod tym względem rozumienie autentyczności przyjmowane przez Hartmana jest bliżej pojęcia wierności i szczerości wobec własnych przeżyć niż na przykład kategorii obiektywności, często przywoływanej w podobnych kontekstach<sup>15</sup>.

Jednak, jak pokazuje badacz, nawet tak rozumiana autentyczność zdaje się we współczesnych czasach nie wystarczać: odbiorcy sztuki coraz częściej szukają transparentnego związku między wytworem artysty a jego życiem. To zaś odpowiada – przynajmniej częściowo – za współczesną inflację pisarstwa i twórczości niefikcyjnej. Przekonanie, że to, co autentyczne, jest prostym odpowiednikiem prawdziwych wydarzeń z życia twórcy prowadzi jednak do dalszych problemów i paradoksów. Poszukiwaniu absolutnej autentyczności towarzyszy bowiem przekonanie, że absolutna szczerść, tak jak i całkowita transparentcja, nie jest możliwa. A w takim przypadku autentyczność jest nie tyle postawą, która ma na celu odsłonięcie tego, co istotne dla tożsamości danej osoby, lecz strategią mającą na celu zainteresowanie odbiorcy. Równocześnie – jak Hartman pokazuje

---

<sup>14</sup> Co ciekawe, kwestia atrybucji ma największe znaczenie w bardzo konkretnym przypadku, wiążącym się z postrzeganiem problemu autentyczności: przypisywaniem dzieł, zwłaszcza wizualnych, konkretnym autorom. To, czy dany obraz jest „autentycznym” dziełem danego, zwłaszcza znanego artysty, pozostaje nie bez wpływu nie tylko na ocenę artystyczną dzieła, lecz także – co zdaniem badacza istotne – także na jego wartość rynkową. Tamże, s. 8.

<sup>15</sup> Kategoria obiektywności nie pojawia się poza tym fragmentem tekstu nieprzypadkowo. Choć w niektórych sposobach definiowania gatunków niefikcyjnych, zwłaszcza zaś tych, dla których nadrzędna jest relacja prawdziwości, odpowiedniości między tym, co opisane i tym, do się wydarzyło, Hartman unika jakichkolwiek odniesień do wspomnianej kategorii. Autentyczność, w tym rozumieniu, jakie badacz przyjmuje, nie polega na odpowiedniości między wydarzeniem a opisem wydarzenia, lecz między wydarzeniem a przeżyciem lub postrzeganiem owego wydarzenia. W takim zaś przypadku „autentyczność” ma o wiele większe znaczenie od „obiektywności”.

za pomocą analizy między innymi *Jądra ciemności*<sup>16</sup> – poszukiwanie autentyczności w sztuce nie musi wcale wiązać się z próbą tworzenia tekstów niefikcyjalnych.

Badacz rozdziela w swoim wywodzie dwa zasadniczo odrębne rozumienia autentyczności: pierwsze wiąże się z konstrukcją tekstu lub dzieła, które szuka uwiarygodnienia w relacji ze światem zewnętrznym (jak np. literatura faktu) lub w relacji z konkretną osobą (jak w przypadku biografii lub autobiografii), drugie z reakcją odbiorcy, który bez względu na umocowanie – lub nie – tekstu w obrębie określonych faktów lub prawd może tekst uznać za autentyczny. W obu przypadkach istotne dla Hartmana jest jednak kryterium uczciwości, rozumiane jako możliwość odróżniania prawdy od kłamstwa. A – co warto podkreślić – kłamstwo nie jest wcale równoznaczne z fikcją, gdyż możliwe jest nawet użycie fikcji w przypadku gatunków klasycznych kojarzonych z faktem (np. w biografii), w taki sposób, by wymogu uczciwości nie naruszać. W takim jednak przypadku fikcjonalizacja musi być dla czytelnika jasna i nie stanowić chwytu uzasadniającego traktowanie danego tekstu jako „prawdziwego”<sup>17</sup>.

Przykładem tak rozumianego użycia fikcji w odniesieniu do biografii jest zdaniem Hartmana *Blonde Carol Oates* – fikcjonalizowana biografia Marilyn Monroe. Oates w swojej książce potraktowała życie Marilyn Monroe jako kanwę opowieści, w której wszystkie istotne fakty z życia aktorki pozostają zgodne z wydarzeniami opisanymi w książce, możliwe jest również – i stosunkowo nietrudne – odkrycie, o kim jest to opowieść (sama Monroe występuje najczęściej jako

---

<sup>16</sup> W tym przypadku autentyczność jest nie celem samym w sobie, lecz skutkiem udanego eksperymentu artystycznego, w którym za pomocą fikcjonalnej narracji zostają przedstawione prawdziwe, istotne dla ówczesnego społeczeństwa problemy oraz uzasadnione psychologicznie reakcje na nie. Autentyczność nie jest w tym przypadku konsekwencją naddanej relacji między tekstem a światem zewnętrznym, lecz skutkiem konkretnej strategii artystycznej. Por. tamże, s. 11.

<sup>17</sup> Tak zwane „strategie uwiarygodnienia” (np. sugerowanie, że dany tekst jest cudzym dziennikiem, pamiętnikiem, itp.) są pod tym względem wyjątkowo problematyczne. Zdaniem Hartmana nie mogą być stosowane do tekstów innych niż fikcjonalne, gdyż zaburzają podstawową dla funkcjonowania literatury faktu relację zaufania. Por. tamże, s. 26.

tytułowa „Blond Aktorka”, natomiast inne ważne w jej życiu osoby występują albo pod zmienionymi nazwiskami, albo łatwymi do zrozumienia pseudonimami, jak: „Były-Sportowiec” – Joe DiMaggio, „Książę” – prezydent Kennedy, „Dramatopisarz” – Arthur Miller), niemniej mimo tak oczywistych sygnałów odpowiedniości między opisywaną historią a wydarzeniami z życia artystki oraz faktualnej dokładności nie znajdziemy w tekście żadnych zapewnień o „autentyczności” tej historii. Przeciwnie, zdaje się ona funkcjonować jako w całości fikcjonalna<sup>18</sup>, mimo że podobieństwo do określonych wydarzeń i osób jest trudne do przeczenia. Strategia, którą stosuje Oates, jest zdaniem Hartmana podobna do innych zauważalnych tendencji mieszania literatury fikcjonalnej z literaturą faktu (takich jak, między innymi, przenoszenie historycznych wydarzeń do teraźniejszości)<sup>19</sup>.

Książka Oates, choć wytwarza pozór fikcjonalności, zachowuje jednak i zasadę realizmu, i zasadę niesprzeczności z faktami, a te dwa warunki są zdaniem badacza konieczne, by dany tekst uznać za spełniający warunki *faction*. Mieszanie faktów i fikcji musi więc przebiegać na zasadzie niesprzeczności: elementy fikcjonalnie nie mogą podważać prawdopodobieństwa świata przedstawionego, w publikacji nie może być bezpośrednich sygnałów pozwalających na falsyfikację zdarzeń, ale równocześnie nie wszystko, co się w niej znajduje, ma być wiernym odwzorowaniem rzeczywistych zdarzeń. Odbiorca ma pozostawać w pewnym zawieszeniu, nie może być w stanie określić (na podstawie sygnałów wewnątrztekstowych), czy przedstawiony świat jest realny, czy fikcjonalny.

Tak rozumiane *faction* służy wykreowaniu specyficznej postawy u odbiorcy: nie jest to, jak w przypadku autobiografii definiowanej przez Lejeune’a, pakt zasadzający się na zaufaniu, lecz raczej swoista gra, wymagająca od twórcy przestrzegania pewnych zasad (a więc zasady niesprzeczności z faktami i realizmu) a od odbiorcy – znajomości konwencji. Popularność *faction* zdaje się wynikać bezpośrednio

---

<sup>18</sup> Co zresztą prowadziło do oskarżeń wobec Oates, której zarzucano wykorzystanie życia Marilyn Monroe jako kanwy dla własnej opowieści. Hartman, co pokazuje krytykując recenzję Michiko Kakutani, uznaje te oskarżenia za zupełnie bezpodstawne. <sup>19</sup> Tamże, s. 56.

z dwóch czynników: pierwszym jest zainteresowanie literaturą faktu, drugim jednak dostrzeżenie, że kwestia prawdziwości, uczciwości lub autentyczności nie jest wcale jasno zdefiniowana nawet wewnątrz najmocniej uwiarygodnianych zapisów:

Teraz na teksty wspomnieniowe i biografie patrzymy raczej jako na formę ekspresywnej i zarazem impresywnej literatury, niż jako ściśle faktograficzne dokumenty. Biograf, jak powiadają, jest powieściopisarzem tworzącym pod przysięgą. Współczesny termin *faction* wskazuje na radykalną zmianę wrażliwości, z którą wciąż sobie radzimy. Historia, zwłaszcza współczesna historia, staje się bardzo szybko przestrzenią re-kreacji (...). Znaczące jest, że Edmund Morris, biograf i autor książki *Dutch o życiu Ronalda Reagana* (...) wpisuje sam siebie w życie Reagana jako świadek wydarzeń przed rokiem 1985, a więc rokiem, w którym rzeczywiście zyskał dostęp do polityka. Włączając się we wcześniejsze historyczne zdarzenia, Morris buduje intymną relację z opisywanymi zjawiskami, która – choć fałszywa – pełni w tekście istotną rolę.<sup>20</sup>

Podsumowując, Hartman uznaje, że kategoria *faction* jest odpowiedzią na dwie sprzeczne, lecz zarazem wyraźne tendencje we współczesnej kulturze: szukania autentyczności i niewiary w możliwość jej osiągnięcia. Prowadzi to do mieszania opartych na fikcji i faktach gatunków, zazwyczaj – jak pokazuje choćby analizowany wcześniej przykład książki Oates – przez wprowadzanie do jednego gatunku chwytów znanych z innego. Kanwą *faction* może być zarówno powieść (do której dodaje się na przykład elementy reportażu lub autobiografii), jak i gatunki oparte na fakcie: fikcjonalizowane reportaże lub biografie. Zabiegi owocujące rozmiękczeniem gatunkowych różnic czasem stosowane są przez twórców świadomie – jak na pewno w przypadku Oates czy Capote'a, a czasem – nie do końca intencjonalnie. Nie zmienia to jednak zasadniczo cech samego zjawiska, opierającego się na przekroczeniach, rekonstrukcjach czy zmianach dokonywanych w obrębie rozróżniania faktu i fikcji. Pod tym względem *faction* nie

---

<sup>20</sup> Tamże, s. 26.

jest gatunkiem, lecz raczej strategią, opierającą się tworzeniu gatunków zmieszanych, zmaconych, funkcjonujących na granicy faktu i fikcji. Kanwą dla *faction* może być każdy – i fikcyjny, i niefikcyjny – gatunek, do którego wprowadza się chwytły oraz techniki charakterystyczne dla form znajdujących się po drugiej stronie rozróżnienia na faktyczne oraz fikcyjne. Jedynym, czego w ramach *faction* robić nie można, co narusza granice tak rozumianej strategii, jest odejście od zasady realizmu oraz deklarowanie wbrew rzeczywistym cechom jednorodności gatunkowej, a więc – najczęściej – upewnianie odbiorcy o pełnej autentyczności tekstu lub jego całkowitej przynależności do literatury faktu.

#### 4. Zacieranie granic. *Faction* i chwytły powieściowe w biografjach

Analizując pojęcie *faction* tak, jak chce rozumieć je Hartman, nietrudno dostrzec, że problem „niecelowego” mieszania gatunków jest dla rozumienia tej kategorii kluczowy. Długa dyskusja na temat granic dopuszczalnych przesunięć w obrębie literatury faktu zaowocowała odmiennymi podejściami między innymi reporterów do tego, co w reportażu jest jeszcze dopuszczalne, a co zmienia reportaż w tekst fikcyjny. Nie jest przecież tajemnicą, że rozwiązania znane z powieści niefikcyjnej – a więc, między innymi, uzupełnianie opartej na faktach relacji fikcyjnymi elementami, które mają za zadanie uczynić prowadzoną narrację pełniejszą, łatwiejszą w odbiorze czy bardziej przekonującą, przewędrowały z powieści do tradycyjnie rozumianej literatury faktu. Dobrym przykładem takiego zjawiska może być – odwołując się do polskiego kontekstu – technika reportażowa Ryszarda Kapuścińskiego. Reporterowi zarzucano – między innymi w biografii, która wywołała skandal środowiskowy, i której podtytuł brzmi właśnie „non-fiction” – „dopisywanie” do przedstawianych zdarzeń elementów fikcyjnych (od wyolbrzymiania pewnych zjawisk czy doświadczeń, przez kreowanie nieistniejących postaci, kompilowanie relacji różnych świadków w jedną, do wymyślania sytuacji, które nie mogły w opisanym kształcie zaistnieć).

Technika ta oddaje w zupełności sposób funkcjonowania *fiction*, lecz w przypadku reportażu, nawet literackiego, sytuuje się na granicy tego, co dopuszczalne. Ściśle rzecz biorąc, wśród części reporterów uznaje się za dopuszczalne na przykład kompilowanie w relacji jednego świadka informacji pozyskanych od ich większej grupy, zwłaszcza, jeśli celem takiego zabiegu jest utrzymanie ciągłości relacji i klarowności wyводу, ale już tworzenie fikcjonalnej tożsamości tegoż świadka uznaje się najczęściej za przekroczenie granicy dozwolonej interwencji w materiał faktograficzny. Podobnie jest w przypadku zastosowania podobnych zabiegów w przypadku biografii: zazwyczaj są one uznawane za niedopuszczalne przekroczenie granicy wierności faktom.

Granica oddzielająca gatunki fikcjonalne od gatunków faktualnych jest zatem płynna: choć da się wskazać, kiedy zostaje przekroczona, istnieje spora grupa tekstów, które sytuują się na pograniczu gatunku. Czasem jest to efekt świadomej strategii twórcy, projektującego tekst gatunkowo niejednoznaczny, czasem zaś skutek umyślnego lub nieświadomego naginania wciąż wyczuwalnej granicy. Obie strategie prowadzą jednak do tego samego, do powolnego zacierania i tak trudnej do dokładnego wyznaczenia granicy między wspomnianymi typami literatury. By pokazać, jak ten proces przebiega – nawet w obrębie biografii, a więc gatunku o długiej i bardzo dookreślonej tradycji – warto odwołać się ponownie do biografii Ryszarda Kapuścińskiego, napisanej przez Artura Domosławskiego. Autor biografii był krytykowany – czasem nawet w dość niewybredny sposób<sup>21</sup> – za naruszenie dobrego imienia reportera, naruszenie tym większe, że sam Domosławski był i reporterem, i przyjacielem twórcy *Hebanu*. Największe zarzuty dotyczyły ujawnienia lub podkreślenia we wspomnianej biografii w zasadzie trzech kwestii: wskazywania, że Kapuściński, zarówno w życiu prywatnym, jak i w ramach pracy reportera przywiązywał sporą wagę do autokreacji i był gotów naginać fakty oraz manipulować nimi dla

---

<sup>21</sup> Spór wokół książki Domosławskiego doskonale opisuje Paweł Zajas, wskazując na dominujące wśród polskich badaczy i reporterów stanowiska dotyczące rozpatrywania kwestii gatunkowej jednorodności reportażu, problemów fikcjonalizacji, etc. Por. P. Zajas, *Wokół „Kapuściński non-fiction”: próba podsumowania i ewaluacji dyskusji*, „Teksty Drugie” 2007 nr 1–2.

osiągnięcia określonego efektu, relacji osobistych Kapuścińskiego, zwłaszcza – relacji z kobietami, a także skomplikowanych zależności między pisarzem a władzą komunistyczną.

Oczywiście, to, co spowodowało nasiloną dyskusję wokół książki Domosławskiego, nie było tylko i wyłącznie przedmiotem krytyki. Przeciwnie, spora część twórców uznała, że umiejętność napisania uczciwej, a nie hagiograficznej biografii stanowi wielką zaletę. Warto pod tym względem zacytować fragment zamieszczonej w książce opinii Zygmunta Baumana:

Mrowi się w księgarniach od małych książek o wielkich ludziach. Jest też sporo, choć mniej, wielkich książek o ludziach małych. Tych małych książek o małych ludziach jest chyba najwięcej – ale liczyć nie warto. Na palcach jednej ręki zliczysz wielkie książki o ludziach wielkich. Ta książka jest jedną z nich.

Autor umie słuchać. Fotografii. Notatek w brulionie. Słów spisanych i tych, jakich Ryszard spisać nie chciał, nie zdążył lub nie uznał za warte spisywania, choć warte były (i największym przeoczenia się trafiają, choć na Ryszarda szczęście trafił mu się biograf, który na milczenie, jak i na mowę, na wiersze, jak i puste między nimi przestrzenie, ma wzrok i słuch jak mało kto wyostrzone).<sup>22</sup>

Bauman uznaje umiejętność czytania między wierszami za wielką usługę Domosławskiego. Oczywiście, w wielu przypadkach tak właśnie jest, ale nie sposób oprzeć się wrażeniu, że biograf niekiedy nie tyle interpretuje to, co między wierszami, lecz raczej sugeruje, że w i e, co tam jest i w i e, co oznacza to, c z e g o n i e m a. Wrażenie to potęguje specyficzna technika przedstawienia biografii reportera. Spójrzmy na poniższy, jeden z wielu bardzo podobnych narracyjnie fragmentów:

Kapuściński wynosi z tej historii trzy nauki. Dowiadyuje się, że pisanie to ryzyko i że za napisane słowa ponosi się konsekwencje. Przekonuje się również, że słowo napisane może zmieniać rzeczywistość. Wreszcie – i tego uczy go historia z cenzorem – że powodzenie w sferze

---

<sup>22</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Świat Książki, Warszawa 2010.

publicznej polega również na „załatwianiu” spraw nieformalnymi kanałami, na budowaniu sieci osobistych kontaktów z ludźmi władzy. Jeśli ma się kolegów tu i tam, to w razie czego pomogą.<sup>23</sup>

Domośławski podsumowuje niewiele znaczące, choć dobrze udokumentowane wydarzenie daleko idącymi wnioskami dotyczącymi życia wewnętrznego bohatera biografii. Powyższe zdania nie sugerują, lecz po prostu stwierdzają, jakie zmiany w charakterze reportera nastąpiły po określonym zdarzeniu. Biograf zachowuje się nagle tak, jakby nie tylko miał dostęp do myśli dziennikarza, lecz jakby również był w stanie wytropić daleko idące ciągi przyczynowo-skutkowe między pewnymi wydarzeniami a kluczowymi z punktu widzenia tak pisanej, odbrazawiającej biografii, postawami reportera. Bardzo możliwe, że Domośławski ma rację, ale pewne jest, że wiedzieć czego nauczyła Kapuścińskiego pewna historia po prostu nie może. Zmiana przypuszczenia na pewność oraz wcześniejszej strategii obserwatora na strategię narratora wszechwiedzącego (powszechna w całej biografii) jest konkretnym chwytem narracyjnym. Chwytem, który wywodzi się właśnie z powieści niefikcjonalnej, a więc opartej na faktach, lecz opisującej więcej, niż na to fakty pozwalają.

Biografia Domośławskiego nie jest oczywiście czystym gatunkowo przykładem *faction*. Pokazuje jednak, że techniki i chwyt zapożyczone z literatury fikcjonalnej przenikają do gatunków tradycyjnie utożsamianych z faktami. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że to, co Domośławski zarzuca Kapuścińskiemu, a więc pewne przekroczenie granicy między reportażem a literaturą, staje się również losem wzmiankowanej biografii, która nie chce zatrzymać się na granicy faktu i woli pracować z domysłem, nie wskazując dość jasno, co jest relacją, a co spekulacją.

Płynność granicy między relacjonowaniem lub interpretowaniem faktów a spekulowaniem na ich podstawie stanowi o podatności zarówno biografii, jak i reportażu, na osuwanie się w kierunku *faction*. *Faction* dopuszcza bowiem nie tylko naruszenie granicy między relacją a spekulacją, ale nawet do niej prowokuje, sytuując w innym

---

<sup>23</sup> Tamże, s. 120.



punkcie niż biografia czy reportaż ciężar gatunkowej jednorodności. Tym punktem nie jest nakaz pisania zgodnie z faktami i tylko z faktami, lecz zakaz pisania wbrew nim. *Faction* zakreśla więc o wiele szersze pole autonomii twórczej, wskazując tylko jasno, czego w obrębie pisanego w ten sposób tekstu kultury być nie może. Wszystko, co jest z faktami niesprzeczne, co jest poparte choćby częściowo materiałem faktograficznym, jest dopuszczalne. Ale – istnieje oczywiście pewne bardzo konkretne „ale” – *faction* w tym rozumieniu nie jest równoznaczna z literaturą faktu, a więc, ujmując sprawę nieco inaczej, *faction* nie może udawać tego, czym nie jest. A nie jest ani biografią, ani reportażem, ani dokumentem – choć z tych, i nie tylko tych, form może korzystać.

## 5. *Faction* jako świadoma strategia literacka

Opisana wcześniej biografia Ryszarda Kapuścińskiego, choć nagina część obowiązujących w ramach tego gatunku zasad, nie jest – a przynajmniej w zamyśle autora nie miała być – przykładem *faction*. Bliżej jest do tego rodzaju tekstów innej znanej w Polsce biografistce, Agacie Tuszyńskiej. Jej książka poświęcona Józefinie Szelińskiej, narzeczonej Bruno Schulza, jest jednym z ciekawszych przykładów *faction* w przypadku biografii.

Autorka, znana z pisania wciągających i – co moim zdaniem znaczące – respektujących zasady gatunku – biografii, w tym akurat przypadku zdecydowała się sięgnąć po formę zdecydowanie odmienną od klasycznej. O tej odmienności gatunkowej jesteśmy zresztą informowani już w tytule książki (*Narieczona Schulza. Apokryf*), w którym, oprócz wskazania osoby, o której jest tekst, napotykamy od razu na słowo wskazujące na fikcjonalizację – apokryf.

Zanim spróbuję bliżej scharakteryzować dotyczącą narzeczonej Schulza książkę, poświęcę nieco uwagi konstrukcji innych książek Tuszyńskiej. Były one – ze znaczącym wyjątkiem, którym są głęboko intymne i autobiograficzne *Ćwiczenia z utraty* – poświęcone zazwyczaj osobom związanym z literaturą i sztuką. Biografie te powstawały w oparciu o bogaty materiał, a jeśli tylko istniała taka

możliwość – także o rozmowy z osobami, których tekst dotyczył. Było tak nawet w przypadkach, w których ze strony opisywanej osoby autorka początkowo napotykała na zdecydowany opór, jak chociażby podczas pisania skomplikowanej biografii Wiery Gran. *Oskarżona Wiera Gran* jest zresztą doskonałym przykładem techniki pisarstwa Tuszyńskiej: autorka nigdy nie przekracza granicy między rekonstrukcją faktów lub przywołaniem informacji otrzymanych od osób, z którymi rozmawiała, a przypuszczeniami, na przykład na temat tego, jak w określonych sytuacjach mogła się czuć Wiera Gran. Spójrzmy na poniższe fragmenty:

Była ładna, nieduża, fertyczna, o kocim wdzięku, ale nie lubiła swojego ciała. Uwodziła, kokietowała, znajdowała przyjemność w zdobywaniu. Zarzucała sieć, wciągała w nią, ale nie interesował jej seks. O ciele i cielesności mówiła z obrzydzeniem, o męskim pożądaniu z pogardą. Czy i to miało źródło w przeżyciach z wojny? Co tak naprawdę było jej największą tragedią? Co się zdarzyło poza występami w mieszkaniach niemieckich oficerów czy ich współpracowników? W tysiącach relacji w Yad Vashem, nawet najbardziej drastycznych, rzadko pojawiają się opisy wykorzystania seksualnego, świadectwa konieczności poddania się męskiej przemocy.<sup>24</sup>

Na rachunku brakownym z dnia 21 września 1999 roku zapisała *Nigdy nie mówiłam z nikim o moim życiu seksualnym. Nigdy nie mówiłam o Bogu – oba uczucia, oba akty „robienia miłości” są zbyt intymne, zbyt silne, bym potrafiła znaleźć odpowiednie słowa.*<sup>25</sup>

Pierwszy fragment opisuje najpierw – dobrze udokumentowane w książce – podejście Wiery Gran do relacji erotycznych i seksualnych, później zaś ciąg pytań sugeruje, ale jedynie sugeruje, co mogło być przyczyną takiego podejścia. Drugi stanowi oszczędny cytat z notatek Gran, nieopatrzony komentarzem. W obu przypadkach granica między faktem a przypuszczeniem jest jasno zakreślona. Utrzymanie

---

<sup>24</sup> A. Tuszyńska, *Oskarżona: Wiera Gran*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 280. <sup>25</sup> Tamże, s. 282.

czystości gatunkowej, między innymi przez respektowanie granicy między rekonstrukcją a podaniem informacji, jest znakiem rozpoznawczym Tuszyńskiej w tekstach, które jasno można zakwalifikować jako biografie. Jednak w przypadku *Narzeczonej Schulza* granica ta jest nie tyle rozmyta, co – od pierwszych zdań książki – zupełnie zniesiona. Publikacja rozpoczyna się od fragmentu pisanego w pierwszej osobie i dotyczącego wspomnień oraz związanych z nimi uczuć Józefiny Szelińskiej, a więc – odwołując się do tytułu książki – otwarcie apokryficznego:

Ta fotografia jest jego dziełem. To ja. „Juna”. Długie smoliste włosy gładko zebrane do tyłu. Czarna jedwabna suknia na ramiączkach. Niewielki naszyjnik z pereł. I zmysłowa, rozchyłona róża z prawej strony. Ale przede wszystkim duży dekolt i nagie ramiona. Sam mnie tak usadził, upozował (...). Nie wiem, czy to on sprawił, że tak wyglądam. Ale na pewno on wyreżyserował takie ujęcie. Taką mnie stworzył. Czy to więc jemu chciałam się podobać? Oczywiście pod przykrytych lekko powiek wydają się pewne odpowiedzi.<sup>26</sup>

Strategia Tuszyńskiej, polegająca na oddaniu głosu samej Józefinie, sprawia, że tekstu nie można czytać jako klasycznej biografii, ani – tym bardziej autobiografii. Symulowana przez drugie zdanie książki tożsamość, owo „to ja”, łączące zdjęcie Szelińskiej z osobą mówiącą w tekście, jest strategią wykorzystującą możliwości, jakie daje właśnie *fiction*. Książka, choć opatrzona podtytułem „apokryf”, apokryfem w gruncie rzeczy nie jest: konwencję autobiografii rozbija nieukrywająca własnej tożsamości autorka książki, podpisana z imienia i nazwiska: Agata Tuszyńska. Jasne jest więc, że tożsamość „ja” jest wyłącznie tożsamością wewnątrztekstową, która nie sięga do realnego autora książki. „Ja” tekstowe konstruuje się w narracji i poprzez nią, korzystając zarówno z rozwiązań charakterystycznych dla biografii, autobiografii, pamiętnika, jak i powieści, ale wykraczając poza ramy tych gatunków. Zamiast apokryficznego autobiografii

---

<sup>26</sup> A. Tuszyńska, *Narzeczonej Schulza, Apokryf*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015, s. 7.

mamy tu raczej do czynienia z gatunkiem zmaconym, z posługującą się strategią *faction* biografią, w której choć korzysta się z pozorowanego autobiograficznego utożsamienia między tekstowym „ja” a Józefą, to realny autor pozostaje poza tym utożsamieniem, pojawiając się zresztą w toku narracji niejednokrotnie, jako komentator dokumentów czy listów.

Książka Tuszyńskiej, choć gra z konwencją, czyni zadość głównej zasadzie *faction*, a więc zasadzie realizmu i niesprzeczności z faktami. Pojawiające się w niej spekulacje nie muszą być prawdziwe, lecz nie są – a przynajmniej w świetle obecnej wiedzy na temat życia Szelińskiej i Schulza – nieprawdziwe. Zachowany więc zostaje – choć w nieco zmienionej formie – pakt referencjalny, pozwalający czytelnikowi przypuszczać, że czyta o wydarzeniach z życia konkretnej osoby, a te wydarzenia są albo prawdziwe, albo prawdopodobne. Co ciekawe, łatwo odróżnić, które części *Narzeczonej Schulza* są przypuszczalnie prawdziwe, a które jedynie możliwe lub prawdopodobne. Dzieje się tak z powodu specyficznej konstrukcji książki, opierającej się na kontrastowaniu ze sobą zasadniczo odmiennych narracyjnie i strukturalnie fragmentów: niektóre mogłyby z powodzeniem znaleźć się w klasycznej biografii (to rekonstrukcje wydarzeń z życia bohaterki oraz Brunona Schulza, oparte na ocalałych listach lub relacjach – często pamiętnikarskich – świadków), inne stanowią dalsze części fingowanej autobiografii tytułowej narzeczonej, a jeszcze inne – jasno wyodrębnione – można uznać za spekulacje na temat stanów psychicznych Juny<sup>27</sup>.

<sup>27</sup> Niekiedy pojawiają się one jako element narracji pierwszoosobowej, czasem jednak – jako część narracji trzeciosobowej, przypominając wtedy praktykę spotykaną w tych biografiach, które spekulują na temat życia wewnętrznego bohatera. Warto pod tym względem spojrzeć na poniższy fragment: „Ale prawdziwie dotknąć musiało ją też coś innego. Autor, jej znajomy przecież, jej powiernik, którego, no może zaniedbywała trochę, lecz bardzo ceniła i obdarowywała czasem nawet czymś w rodzaju przyjaźni, Mużą Bruna nazwał – nie JA, JUNĘ, lecz Deborę Vogel, tę Deborę, którą przecież... Która przecież naprawdę mogła być jego mużą w czasie pisania *Sklepów*, ale później... Później była tylko ona, Juna!” (Por. A. Tuszyńska, *Narzeczonej Schulza*..., s. 263).

Spekulacja prowadzona jest tu – mimo licznych fragmentów pierwszoosobowych – z zewnątrz, z perspektywy biografisty właśnie.

Konstruowana przez Tuszyńską historia życia Józefiny Szelińskiej jest więc udanym przykładem fikcjonalizowanej biografii. Tekst, sytuujący się na przecięciu literatury faktu i fikcji literackiej, pozwala na opowiedzenie historii, która – gdyby nie życie wspomnianych wcześniej chwytów – nie byłaby możliwa do opowiedzenia. *Faction* sprawdza się zatem jako strategia umożliwiająca ominięcie problemów, jakich nastrocza albo próba zbyt kurczowego trzymania się konwencji biografii w przypadku, w którym nie jest możliwe pełne odtworzenie życia danej osoby, albo w sytuacji, w którym dokładne odtworzenie czyichś losów jest mniej istotne niż próba opowiedzenia – także za pomocą chwytów fikcjonalizujących – o pewnej mniej lub bardziej uniwersalnej historii, która stała się czymś udziałem.

*Faction*, rozumiane nie tyle jako konkretny – choć zmacony – gatunek literacki, lecz jako praktyka lub strategia twórcza, jest moim zdaniem z jednej strony przejawem zmian, jakim ulega literatura współcześnie, z drugiej zaś – odpowiedzią na wciąż rosnącą potrzebę autentyczności oraz równoczesny brak zaufania wobec opowieści, które mają być „prawdziwe”. Grające z konwencjami, lecz nieprzekraczające konkretnej granicy – granicy utożsamienia z literaturą faktu oraz zakazu pisania o rzeczach, które nie są możliwe ani prawdopodobne – *faction* stanowi znak nowych czasów, w których biografie i autobiografie są jednymi z najbardziej poczytnych książek, a razem powszechne jest przekonanie, że coraz trudniej znaleźć wśród nich teksty, które w pełni czyniłyby zadość kryterium autentyczności i prawdziwości. Fikcjonalizowane biografie, nie dając czytelnikowi ani pewności prawdy, ani obietnicy autentyczności, oferują coś innego: realistyczną, wciągającą opowieść o czyimś życiu, która domaga się od odbiorcy krytycznego odczytania i podjęcia decyzji czy – i na ile – można ją uznać za autentyczną, choć bez wątplenia nie można uznać jej za w pełni prawdziwą.

Paradoksalnie, omawiana wcześniej relacja służebności, nakierowana na zachowanie specyficznej relacji między podmiotem mówiącym, światem zewnętrznym a odbiorcą, zostaje w tej formie gatunkowej zachowana, w przeciwieństwie chociażby do autobiografii pisanych przez profesjonalistów a pod nazwiskami znanych postaci. Tym razem nie jest to relacja oparta na zachowaniu prawdziwości

rozumianej jako pełna odpowiedniość między opisywanymi zdarzeniami a realnymi faktami, lecz na ochronie intymnej w gruncie rzeczy więzi, jaka rodzi się pomiędzy tym lub tą, który mówi o życiu konkretnej osoby a odbiorcą, szukającym w tej opowieści (a nie samym życiu) istotnych dla siebie treści. Taka opowieść – podobnie jak część biografii lub autobiografii – nakierowana jest również na odbiorcę i to wobec niego pełni służebne funkcje, a nie wobec potrzeby autokreacji piszącego (albo i nawet nie-piszącego) swoją autobiografię.

## Prawdziwe przestępstwa. O afektywnej karierze pewnego formatu

### 1. Uwagi wstępne

W poprzednim rozdziale starałam się pokazać, w jaki sposób zmiany we współczesnym postrzeganiu faktów wpływają na ewolucję w obrębie szeroko rozumianego *faction*. Punktem wyjścia tego jest próba zmierzenia się ze zmianami, którym podlega współcześnie reportaź jako gatunek – w rozumieniu tej książki – służebny i jako pewna praktyka dokumentacyjna. Kiedy jednak nie zamierza się pisać tekstu przekrojowego, konieczne jest ustalenie punktu zaczepienia. Można uczynić z niego analizę przekształceń, jakim ulega współcześnie reportaź, także pod wpływem nowych mediów i mediów społecznościowych. Można również szukać – i to jest wybrany przeze mnie kierunek – zjawiska, gatunku lub formatu, który stanowić będzie symbol aktualnych zmian.

Rozumując w ten sposób zaczęłam się zastanawiać, co dla typowego – jeśli taki istnieje – odbiorcy kultury może być dzisiaj modelowym przykładem reportażu? Albo, formułując pytanie inaczej, co skłania do sięgania po rozmaite realizacje reportażu, co czyni ten gatunek wciąż popularnym? Wydaje się, że początkowo znacznie istotniejsza niż obecnie była możliwość dowiedzenia się czegoś o miejscach lub ludziach nieznanymi, stąd popularność reportaży podróżniczych<sup>1</sup>. Oczywiście, ten podgatunek reportażu dalej ma się doskonale, niemniej stracił swoją szczególną pozycję, kiedy podróże

<sup>1</sup> Por. *Gatunki dziennikarskie. Teoria, praktyka, język*, red. K. Wolny-Zmorzyński, A. Kaliszewski, W. Furnal, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2009; *Wokół reportażu podróżniczego*, red. E. Malinowska, Wydawnictwo UŚ, Katowice 2004.

stały się bezpieczniejsze i tańsze, a przez to bardziej dostępne. Jeśli jednak tym, co w reportażu pociąga, jest w pierwszej kolejności możliwość dotknięcia trudno osiągalnych rzeczy i doświadczeń, to może właśnie ta cecha będzie determinowała jego rozwój? Jednak równocześnie nie da się zaprzeczyć, że dla reportażu zawsze istotny był jego wymiar etyczny. Gdyby na tej podstawie chciał stworzyć zestaw trzech cech decydujących o popularności reportażu, byłyby to niebezpieczeństwo, utrudniony dostęp i wymiar etyczny. Te trzy kategorie zdają się idealnie opisywać reportaż wojenny. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego, oddalonego (o ile nie dzieje się tu i teraz) i etycznie nacechowanego niż wojna. Nawet katastrofy naturalne, przynoszące tysiące ofiar i budzące niekiedy prawdziwą empatię wobec ich ofiar, są bardziej oswojone<sup>2</sup>.

Mimo że reportaże wojenne są wciąż istotną częścią gatunku, trudno je obecnie uznać za cieszące się wyjątkowym uznaniem czy będące w trakcie ekspansji. Dzieje się tak z kilku niezależnych powodów. Pierwszy dotyczy polityczności wojny i – uzasadnionej lub nie – utraty zaufania do raportowania na temat rzeczywistości wojennej. W przypadku reportaży wojennych precyzja i wiarygodność są dla odbiorcy – przynajmniej deklaratywnie – najistotniejsze. Tymczasem, jak wiemy co najmniej od lat 90., manipulacja przedstawieniami wojny jest wyjątkowo częsta i niestety – mimo popularyzacji nowych mediów albo częściowo za ich sprawą – dość łatwa<sup>3</sup>. Drugi powód jest nawet istotniejszy i zewnętrzny względem reportażu: to potrzeba oddzielenia

---

<sup>2</sup> Por. *Memory of Fire: Images of War and The War of Images*, ed. By J. Stallbrass, Photoworks, Brighton 2013.

<sup>3</sup> Doskonałym przykładem takiego zjawiska jest choćby analizowany już przeze mnie za Nicholasem Mirzoeffem przypadek użycia przez serbską telewizję w kwietniu 1999 roku fragmentów programu CNN do uwiarygodnienia własnego przekazu. CNN opublikowało nagranie opatrzone logo serbskiej telewizji, w którym pokazano płonące po nalotach NATO budynki, co miało z jednej strony wypełnić lukę w przekazie (CNN nie dysponowało własnymi nagraniami), z drugiej zaś – przez zachowanie logo serbskiej telewizji – stanowić sygnał dla widza, że nie jest to w pełni sprawdzona wiadomość. Tymczasem serbska telewizja zaczęła nadawać materiał CNN z dokładnie tymi samymi zdjęciami, by uwiarygodnić własny przekaz (tym razem to logo CNN miało służyć jako znak wiarygodności). Por. N. Mirzoeff, *Intervisuality*...



się od rzeczywistości wojennej, uznania, że to, co dzieje się na wojnie, nas raczej nie dotyczy. Jest to pewien paradoks oddziaływania reportażu: można powiedzieć, że wojna afektuje aż nadto, przez co odbiorca albo szuka dróg emocjonalnego zdystansowania, albo – jeśli reporter mu to utrudnia – przynajmniej racjonalnego oddzielenia od odpowiedzialności.

Jeśli podróże to za mało, a wojna za wiele, to co znajduje się obecnie w centrum reportażu o szerokim zasięgu, pobudzającym emocje i wyobraźnię odbiorcy? Moim zdaniem, jeśli spojrzymy na obecną produkcję reportażu oraz sprawy reporterskie, którymi żyją większe grupy społeczne, to odpowiedź nasunie się sama: zbrodnia, a dokładniej opowieści o winie lub niewinności osób uwikłanych w różne wydarzenia o charakterze kryminalnym. Zanim postaram się bardziej szczegółowo opisać, dlaczego akurat ten typ reportażu uważam za istotny, chciałam zwrócić uwagę na pewien fenomen, jakim jest produkowanie – przez różne osoby, w odmiennych formatach i gatunkach – reportaży na jeden temat, które niejako walczą w społecznej świadomości o prymat nad zbiorową pamięcią lub wyobraźnią. Dobrym przykładem może być tu choćby sprawa przedstawiania ataku Andersa Brevika na młodzież przebywającą na wyspie Utoya. Pierwszym znaczącym reportażem na ten temat, zniuansowanym i co najmniej dobrym, była książka Åsne Seierstad *Jeden z nas. Opowieść o Norwegii*<sup>4</sup>. Jej pojawieniu się towarzyszyła oczywiście dyskusja na temat etyczności tak szybkiego podjęcia tematu, niemniej jednak była ona raczej ograniczona, a dla książki – skupiającej się w sporym stopniu na odpowiedzi na pytanie, jak zamach był możliwy, odpowiedzi niezbyt wygodnej, skoro podtytuł książki brzmi „jeden z nas” – raczej łaskawa. Zupełnie inaczej było już w przypadku filmów, a dokładniej 22 lipca Paula Greengrassa<sup>5</sup> oraz *Utoya, 22 lipca* Erika Poppego<sup>6</sup>. Obrazy ukazały się w tym samym roku, producentem pierwszego był

---

<sup>4</sup> Å. Seierstad, *Jeden z nas. Opowieść o Norwegii*, przeł. I. Zimnicka, W.A.B., Warszawa 2015.

<sup>5</sup> *22 lipca*, reż. P. Greengrass, 2018. Film był nominowany m.in. do Złotych Lwów.

<sup>6</sup> *Utoya, 22 lipca*, reż. E. Poppe, 2018. Zdobywca Europejskiej Nagrody filmowej dla najlepszego operatora.

Netflix i można go określić jako fabularyzowany dokument o silnym komponencie sensacyjnym, drugi zaś jest opowieścią o mocnej ramie konstrukcyjnej (czas ekranowy odpowiada rzeczywistości czasowi ataku, kamera podąża cały czas za jedną postacią), nastawionej na wywołanie u widza określonych emocji, zwłaszcza zaś bezradności w obliczu wydarzeń przekraczających wyobraźnię ofiar. Publikacja obu filmów w tym samym momencie (rok 2018) spowodowała dyskusję, który jest „lepszym” sposobem opowiedzenia o tragedii, które z wykorzystanych w nim zabiegów można określić jako etyczne oraz czy tworzenie fabularyzowanych filmów wkrótce po tragedii jest w ogóle dopuszczalne<sup>7</sup>.

Posłużyłam się – i w dalszym ciągu tego rozdziału będę się nim posługiwać – porównaniem kilku form opowiadania o tym samym, faktycznym zdarzeniu, gdyż taka strategia pozwala wydobyć różnice w, na pierwszy rzut oka, podobnych, lecz jednak zasadniczo odmiennych formach opowieści o „prawdziwych przestępstwach” oraz pokazać, co odróżnia funkcjonowanie tekstów niefikcyjnych od fabularyzowanych. Choć część z analizowanych przeze mnie przykładów można uznać za *faction*<sup>8</sup>, to istotniejsze od ściśle gatunkowych rozróżnień jest wskazanie na niewątpliwie ponadgatunkowe różnice, wyznaczające tryby działania poszczególnych tekstów. Moim materiałem badawczym będą teksty możliwie popularne, a przy tym

---

<sup>7</sup> Podobną dyskusję wywołał w USA film *Elephant* [Słoń], reż. G. Van Sant, 2003 inspirowany jednym ze słynniejszych zamachów w szkołach (można zakładać, że jego powstanie wiązało się również z sukcesem *Zabaw z bronią*, reż. M. Moore, 2002). Była to jedyna szerzej znana próba zmierzenia się z problemem uczniów zmieniających się w zamachowców z bronią, po nasilonej dyskusji na ten temat nie powstawały już kolejne fabularyzowane filmy, być może z powodu mieszanego przyjęcia samego obrazu, być może z powodu nikłego wpływu filmu na amerykańską kulturę, być może ze względu na to, że wspomniany atak, traktowany początkowo jako wyjątkowy, stał się wraz z upływem lat jednym z wielu o podobnej dynamice, a kolejne protesty po atakach nie wpłynęły praktycznie w żaden sposób na ograniczenie dostępu do broni czy na zmianę prawa, która skutkowałaby mniejszą ilością masowych strzelanin.

<sup>8</sup> Kategorię tę rozumiem jako praktykę fikcjonalizacji faktycznych wydarzeń w formie, która sytuuje się na granicy literatury faktu lub tekstu dokumentalnego. Por. G. Hartman, *Scars of the Spirit...*

innowacyjnie formalne, które eksplorują ramy opowiadania o prawdziwych przestępstwach. Z tego powodu zajmę się głównie produkcją filmową i serialową, najczęściej amerykańską, gdyż – ta akurat teza wydaje mi się niekontrowersyjna – to z tamtej kultury wzorce opowiadania o prawdziwych przestępstwach przenoszone są na polski grunt, choćby w postaci kolejnych formatów filmów dokumentalnych i programów reporterskich.

Kryterium popularności i możliwie dużego rezonowania formalnego wynika, jak sugerowałam na początku tego rozdziału, z chęci zajęcia się najbardziej wyraźnym przejawem ewolucji gatunku. Niemniej za wyborem zarówno typów analizowanych tekstów, jak i konkretnych przykładów stoi jeszcze jeden powód, a jest nim obserwacja, że owe najpopularniejsze teksty operują zawsze dwoma środkami: faktem i afektem<sup>9</sup>, do wykreowania interesującej dla odbiorcy rzeczywistości. Proporcje tych dwóch składników bywają odmienne, odmienne bywają też cele tworzenia poszczególnych mieszanin, ale wydaje się, że zauważalna jest pewna wspólna tendencja, polegająca na przesuwaniu punktu zainteresowania z faktu na afekt. Tendencja, która nie zawsze wymaga fikcjonalizacji<sup>10</sup>, ale z pewnych zabiegów fikcjonalizacyjnych czerpie.

---

<sup>9</sup> Oba te pojęcia rozumiem w najbardziej podstawowy sposób: fakt jako realne wydarzenie, które może być przedmiotem przedstawienia, ale może być również punktem wyjścia dla manipulacji (por B. McNair, *Fake News: Falsehood, Fabrication and Fantasy in Journalism*, Routledge, London 2018), zaś afekt za B. Spinozą i wyznaczaną przez niego tradycją filozoficzną, reprezentowaną współcześnie przez m.in. B. Massumiego. Por. B. Massumi, *Politics of Affect*, Polity Press, Cambridge 2015.

<sup>10</sup> Mam tu na myśli wykorzystanie pewnych technik i strategii narracyjnych do wytworzenia określonego oglądu rzeczywistości. Przykładem może być np. sposób tworzenia rzekomo najbardziej obiektywnych form dokumentów, takich jak programy składające się wyłącznie z nagrań zatrzymań podejrzanych. Formaty te są obecnie (słusznie) oskarżane o kreowanie rzeczywistości przez pokazywanie zdarzeń wybranych wyłącznie według klucza spektakularności. Oparty na faktach obraz działań policji jest więc całkowicie wykreowany, podporządkowany wyłącznie kryterium oglądalności.

## 2. Afektywne odbicie. Sprawa O. J. Simpsona dwadzieścia lat później

Oblicze reportażu zmieniało się wielokrotnie, nigdy jednak tak szybko, jak obecnie. Jednym z powodów tej zmiany jest rosnąca popularność formatu, który określa się jako opowieść o zbrodni (*crime story*) lub prawdziwa opowieść o zbrodni (*true crime story*). Ten specyficzny – i obejmujący różne gatunki – rodzaj narracji dotyczy zawsze zbrodni, jednak tylko niektóre są wystarczająco interesujące, by stać się przedmiotem opowieści. Zazwyczaj o potencjale opowieści decydują dwa czynniki: pierwszy to cechy samego przestępstwa, drugi to osoba sprawcy lub – kiedy jest ona nieustalona lub niepewna – poziom skomplikowania pytania o to, kto zabił. Większość współczesnych opowieści o zbrodni skupia się mocniej na jednym z tych czynników. W pierwszym przypadku mamy raczej do czynienia z formą dokumentu, opowiadającą – za pomocą różnych mediów – o tym, jak doszło do zbrodni, jaki był jej przebieg i – w przypadku bardziej ambitnych przedsięwzięć – jaki był jej wpływ na innych ludzi, społeczność, czego zbrodnia była znakiem lub efektem.

W drugim przypadku, gdy istnieją wciąż wątpliwości, kto jest odpowiedzialny, częściej mamy do czynienia z formą zdecydowanie bardziej reportażową. Można – nieco na wyrost na tym etapie – powiedzieć, że kiedy nie tyle opowiada się o sprawie, co zadaje pytania, to forma ta preferuje raczej gatunki reportażowe, z mniej lub bardziej wyekspozowaną, lecz zawsze obecną postacią tego, kto pyta, dąży do prawdy, próbuje dokonać rekonstrukcji wydarzeń<sup>11</sup>.

Co wyjątkowo interesujące, oba te typy opowiadania o prawdziwych przestępstwach nie wykluczają fikcjonalizacji realnych zdarzeń. Dobrym przykładem takiego zjawiska może być przypomniana przed paroma laty sprawa O. J. Simpsona, amerykańskiego sportowca oskarżonego o zamordowanie żony, Nicole Brown oraz Rona Goldmana, w gruncie rzeczy przypadkowej ofiary. O. J. Simpson został niewinny w spektakularnym procesie karnym w roku 1995,

---

<sup>11</sup> Por. S. Jacobson, *Emerging Models of Multimedia Journalism*, „Atlantic Journal of Communication” 2010 no. 18.

zaś w roku 1997 został skazany w procesie cywilnym na wypłatę odszkodowania za – i tu mały paradoks – zabicie Nicole Brown i Rona Goldmana.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Simpson został w końcu skazany na karę więzienia, lecz dopiero w 2008 roku za inne, lżejsze przestępstwo (włamanie do pokoju hotelowego i rozbój). Wyrok był bardzo wysoki: 33 lata, przez co kara ta była uznawana przez większość osób komentujących sprawę za „wyrównanie” wyroku uniewinniającego z roku 1995<sup>12</sup>. Bez wątplenia właśnie to skazanie (które zakończyło się wyjściem O. J. Simpsona na zwolnienie warunkowe w 2017 roku) przyczyniło się do przypomnienia jednej z najciekawszych spraw z nurtu opowieści o zbrodni. Efektem był pierwszy sezon serialu *American Crime Story* (2016)<sup>13</sup>, oparty na faktach i książce *The Run of His Life. The People v. O. J. Simpson*<sup>14</sup> oraz dokument *O.J.: Made in America*<sup>15</sup> (2016). Oparty na faktach serial skupia się na procesie O. J. Simpsona, pokazując w dość niewielkim stopniu tło społeczne niespodziewanego uniewinnienia (choć nie jest ono zupełnie pominięte), drugi traktuje sprawę sportowca jako przykład – przedziwny, ale jednak przykład – funkcjonowania amerykańskiego systemu sprawiedliwości.

Spróbuję się pokrótce wytłumaczyć, dlaczego przytaczam akurat tę sprawę i te dwa seriale, fabularyzowany i dokumentalny. By to zrobić, muszę jednak bardzo skrótowo przypomnieć samą sprawę O. J. Simpsona. Simpson był pierwszym tak rozpoznawalnym amerykańskim czarnoskórym sportowcem. Niekwestionowaną gwiazdą sportu, ale

---

<sup>12</sup> Bez wątplenia przyczyniła się do niego książka *If I Did It. Confession of the Killer* [Jeśli to zrobiłem. Wyznanie mordercy], napisana przez O. J. Simpsona z pomocą ghost-writerów (pierwsze wydanie w roku 2007), w której Simpson opisuje – w trybie warunkowym („gdybym to ja zabił, to stałoby się to tak i tak”) – zbrodnię. Grafika pierwszego wydania została – przez protest rodziny Goldmana, także posiadającej prawa do historii (!) – zaprojektowana w ten sposób, że „if” [jeśli] jest praktycznie niewidoczne.

<sup>13</sup> *American Crime Story*, 2016, serial produkcji 20<sup>th</sup> Century Fox Television, scenariusz: S. Alexander, L. Karaszewski.

<sup>14</sup> J. Toobin, *The Run of His Life: The People v. O. J. Simpson*, Random House, New York 1997.

<sup>15</sup> *O.J.: Made in America*, reż. E. Edelman, 2016. Film otrzymał nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej za najlepszy dokument.

także filantropem i celebrytą<sup>16</sup> o nieposzlakowanej opinii, o statusie przewyższającym ten, jakim jeszcze kilka lat temu cieszył się Tiger Woods<sup>17</sup>. Proces Simpsona był problematyczny od początku: gdyby gwiazdor okazał się winny, oznaczałoby to upadek całego wytworzonego w jego imieniu ruchu i byłoby to bez wątpienia upokarzające dla jego wielbicieli. Jedyne Afroamerykanin o takim statusie byłby oszustem społecznym, furiatem i mordercą.

Fikcjonalizowany serial skupia się na morderstwie i jego motywach oraz na procesie karnym. Pokazuje wybitnych obrońców, w tym Roberta Shapiro oraz Johnnie'ego Cochran<sup>18</sup>, i krok po kroku ilustruje, jak można bronić człowieka, którego DNA jest na miejscu zbrodni, narzędziu zbrodni, który nie ma sensowego alibi, który ma motyw i miał sposobność, w którego domu znaleziono dowody łączące go bezpośrednio z miejscem zbrodni, który uciekał przed rozpoczęciem procesu, nigdy nie zeznawał we własnej obronie, nie jest w stanie wyjaśnić pochodzenia ran typowych dla osoby atakującej i który przez lata stosował przemoc wobec zamordowanej. Serial nie pokazuje jednak, dla czego ta obrona była skuteczna, dlaczego udało się podważyć nie jednego, lecz co najmniej kilku bardzo obciążających

---

<sup>16</sup> Próbował swoich sił także w filmie, np. *Naga broń 2 ½*, reż. D. Zucker (1991).

<sup>17</sup> Upadek Woodsa, choć spektakularny, miał charakter wyłącznie obyczajowy: i nie oddaje skali upadku O. J. Simpsona. Por. np. T. Deptuła, *Sponsorzy Tigera Woods stracili 12 miliardów dolarów*, „Newsweek” 1.01.2010, <https://www.newsweek.pl/swiat/sponsorzy-tigera-woods-stracili-12-miliardow-dolarow/xve8chn> [dostęp: 10 czerwca 2019].

<sup>18</sup> Warto przypomnieć, że Johnnie Cochran był adwokatem, który zasłynął z udziału – i niekiedy wygrywania – spraw głęboko niepopularnych dla policji, jak te dotyczące Afroamerykanów zastrzelonych przez policję bez wyraźnych powodów (sprawa Leonarda Deadwylera, przegrana, lecz stanowiąca punkt przełomowy w karierze adwokata, sprawa Rona Settlesa, wygrana przez Cochran). Był więc postacią więcej niż zasłużoną dla mniejszości, słynną z nieustępliwości w sprawach dotyczących naruszenia prawa przez policję, jej brutalności czy wreszcie morderstw. Dla – przynajmniej części – osób zaangażowanych w proces przyjęcie sprawy przez Cochran było traktowane jak dowód nie tylko niewinności O. J. Simpsona, lecz również zmywy policji. Por. T. Jones, *The Silent Persuader. Simpson Team's Charismatic Johnnie Cochran*, „Washington Post” 3.10.1994; J. Cochran, D. Fisher *A Lawyer's Life*, Thomas Dunne Books/St. Martin Griffin, New York 2002.

dowodów. Owszem, ilustruje technikę podważania dowodów, przestawiania świadków czy kreowania wizerunku samego oskarżonego na odpowiedzialnego człowieka, lecz nie wyjaśnia, dlaczego te działania są skuteczne.

Na to pytanie odpowiada dopiero dokument, przesuwający punkt ciężkości z samego O. J. Simpsona i jego obrońców na problem – do tej pory niechętnie dyskutowany – dyskryminacji Afroamerykanów w amerykańskim systemie sprawiedliwości, najbardziej opresyjnym na świecie, jeśli by za skalę opresji uznać współczynnik inkarceracji<sup>19</sup>. Stany Zjednoczone aktualnie (w roku 2018 i 2019) mają największą (procentowo i w liczbach bezwzględnych) liczbę więźniów: dwa miliony trzysta tysięcy osób (0,7% populacji). Szanse na to, że częścią tej populacji stanie się osoba o czarnym kolorze skóry, są dwunastokrotnie wyższe (!) niż w przypadku osób białych<sup>20</sup>. Ujmując tę samą statystykę inaczej, co czwarty Afroamerykanin trafił lub trafi do więzienia.

Współczynniki, o których piszę, są współczesne, lecz moment aresztowania O. J. Simpsona przypada na początek radykalnego wzrostu liczby osób osadzonych w więzieniach i pierwszych szeroko komentowanych spraw dotyczących dyskryminacji rasowej (zarówno tej objawiającej się wyższymi wyrokami, jak i zdecydowanie większą częstotliwością działań prewencyjnych)<sup>21</sup>. Rozbicie oskarżenia w sprawie Simpsona było możliwe tylko dlatego, że istniały precedensowe sprawy, wskazujące na zмовę policji w fałszowaniu dowodów wobec przedstawicieli mniejszości rasowych, a mniejszość, która akurat tym razem stanowiła większość wśród sędziów przysięgłych, była w stanie uwierzyć, że w tym przypadku za racjonalną wątpliwość można uznać po prostu każdą wątpliwość. Obrońcom udało się zmienić formułę procesu: sądzony był już nie Simpson, lecz policja

<sup>19</sup> Por. dane z bazy danych World Prison Brief, zwłaszcza współczynnik osadzonych [https://prisonstudies.org/highest-to-lowest/prison\\_population\\_rate?field\\_region\\_taxonomy\\_tid=All](https://prisonstudies.org/highest-to-lowest/prison_population_rate?field_region_taxonomy_tid=All) [dostęp: 20 lipca 2019].

<sup>20</sup> Por. W. Sawyer, P. Wagner, *Mass Incarceration: The Whole Pie 2019*, raport Prison Policy Initiative <https://www.prisonpolicy.org/reports/pie2019.html> [dostęp: 7 lipca 2019]. <sup>21</sup> Tamże.

i wymiar sprawiedliwości, który jeśli nie będzie – a nie był – w stanie udowodnić, że działał w tym przypadku bez zarzutu (żadnego zarzutu, a nie tylko sensownego zarzutu), będzie uznany za winny tego, czego wielokrotnie winny był, a więc dyskryminacji mniejszości. Film dokumentalny pokazuje więc, co spowodowało uniewinnienie Simpsona: był to afekt w najczystszej postaci, reakcja na wieloletnią, systemową przemoc, reakcja częściowo pozaracjonalna, dotkliwa i dla samych sędziów przysięgłych, i dla otoczenia<sup>22</sup>. Afektowani stali się afektującymi.

W przypadku filmu dokumentalnego sprawa Simpsona nie jest już po prostu ciekawą opowieścią o upadku gwiazdy i tak zwanej pozytywnej dyskryminacji, lecz swoistym lustrem, odbijającym zarówno ówczesne, jak i współczesne relacje społeczne. Wyrok uniewinniający, szokujący dla części społeczeństwa, jest tu traktowany jako głos radykalnego sprzeciwu wobec polityki dyskryminacyjnej, głos, który miał wzbudzić konkretną reakcję: nie tylko potępienia dla O. J. Simpsona czy oburzenia wobec sędziów przysięgłych, lecz przede wszystkim zmuszenia białej społeczności do konfrontacji z pytaniem: jak musi wyglądać „sprawiedliwość” wobec mniejszości, gdy mniejszość jest w stanie uwierzyć we wszystkie, nieraz fantastyczne, zarzuty wobec policji? Analizowany krok po kroku proces jest więc lustrem, odbijającym wykoślawioną twarz amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości i relacje, jakie łączą ten system z mniejszością i białą większością. Lustrem, które zwrócone w stronę czasów współczesnych pokazuje, że nie tylko nic się nie zmieniło, lecz jest po prostu gorzej. Opowieść o upadłym sportowcu i szokującej zbrodni w takim przypadku przestaje być wyłącznie rozrywką, lecz pełni również funkcje służebne: za pomocą afektywnego uwikłania odbiorców zmusza ich do zmierzenia się z niewygodnym obrazem relacji społecznych.

---

<sup>22</sup> Oczywiście afekt ten był rozgrywany przez obrońców, ale to nie oni go stworzyli. On był już wcześniej, prawnicy, zwłaszcza Cochran, jedynie go nakierowali (choćby przez tworzenie silnych, ale dość bezsensownych powiedzeń, z których najsłynniejszym jest „if it doesn't fit, you must acquit” [jeśli nie pasuje, musicie uniewinnić] o rękawiczce Simpsona, która okazała się za mała, przypuszczalnie dlatego że Simpson przestał brać leki na reumatyzm): uniewinnienie stało się aktem przywrócenia sprawiedliwości, jedynym możliwym wyborem.



### 3. Przed szybą. Afektująca niewiedza

Poświęciłam tak wiele uwagi sprawie Simpsona i dwóm sposobom mówienia o niej, gdyż jest to jeden z najwyraźniejszych przykładów społecznego i afektywnego uwikłania współczesnych *crime story*. Historie te, bez względu na formę, którą przybierają, są prawie zawsze opowieściami o relacjach społecznych, opowieściami o tym, co, choć brutalne i niesamowite, może spotkać każdego z nas. Skracanie dystansu i konfrontowanie odbiorcy z określonymi wydarzeniami pełni więc w tych przypadkach funkcje służebne. Zaangażowanie, nawet w przypadku spraw stosunkowo starych i o w miarę jasnym statusie w kwestii faktów, rodzi się z konieczności zajęcia stanowiska. A nic nie afektuje tak bardzo, jak konieczność opowiedzenia się po konkretnej stronie sporu, którego stawką jest cudze życie. O ile przypadek O. J. Simpsona może być traktowany jako lustro odbijające krzywy obraz relacji społecznych i stawiające przed każdym pytanie, jak zachowałby się jako sędzia, o tyle większość najbardziej angażujących obecnie spraw z nurtu *crime story* korzysta z nieco innego wzorca przedstawienia, ponieważ opiera się na przypadkach zdecydowanie mniej pewnych niż sprawa sportowca. O ile O. J. Simpson był najprawdopodobniej najsłynniejszym człowiekiem winnym zbrodni, który został legalnie uniewinniony, o tyle Adnan Syed, skazany na dożywocie i trzydzieści lat więzienia, jest najprawdopodobniej najsłynniejszym niewinnym, wciąż odbywającym wyrok więzienia.

Podobnie jak Simpson, Syed zainspirował kilka formatów dokumentów, opowiadających o jego – od razu zaznaczę – zdecydowanie mniej jednoznacznej sprawie. Syed został skazany za morderstwo Hae Min Lee, swojej byłej dziewczyny. Jego sprawa zainspirowała powstanie pierwszego z szerzej znanych reportaży śledczych publikowanych w formie podcastu, czyli *Serial'u* Sarah Koenig<sup>23</sup>.

---

<sup>23</sup> *Serial*, podcast, sezon 1, Sarah Koenig, <https://serialpodcast.org/season-one> [dostęp: 10 czerwca 2019]. Do tej pory powstały już trzy sezony podcastu, każdy o nieco innej problematyce, wszystkie utrzymane w formie reportażu.

Po nim powstało jeszcze kilka mniej popularnych dokumentów<sup>24</sup>, obecnie zaś publikowany jest reportaż wyprodukowany przez HBO. Moim zdaniem warto przyrzeć się ponownie, co zmienia podejście do tej samej sprawy w odmiennych mediach. *Serial* był podcastem realizowanym początkowo dla niszowej widowni, stał się jednak światowym fenomenem z ilością odsłuchań przekraczającą 80 milionów (liczonych zaledwie w ciągu dwóch lat od daty publikacji). Jego niewątpliwe nowatorstwo brało się z formy: tym razem opowieść o zbrodni i najprawdopodobniej niewinnym człowieku, który odsiaduje wieloletni wyrok, była realizowana w formie radiowego słuchowiska, w dodatku z jednym odcinkiem publikowanym tygodniowo<sup>25</sup> – inaczej niż młodą widownię przyzwycaiał na przykład NETFLIX.

Interpretację tego zjawiska warto zacząć od opisu doświadczenia odbiorcy. Byłam jedną z tych osób, które słuchały *Serial'u* od początku, tydzień po tygodniu, jak było to zaplanowane. Nie wiedziałam wcześniej, kim był Adnan Syed, znałam jednak format opowieści o niewinnie skazanych dość dobrze. Od innych wybitnych produkcji, albo dokumentalnych (jak – klasyczne już dla gatunku *Making a Murderer*<sup>26</sup>), albo fikcjonalizowanych (jak *The Night Of*<sup>27</sup>), różnił się on począt-

<sup>24</sup> Por. podcast *Undisclosed: The State vs. Adnan Syed*, R. Chaudry, S. Simpson, C. Miller, książki: A. McClain *Confessions of a Serial Alibi*, Post Hill Press Books, New York 2016 oraz R. Chaudry *Adnan's Story: The Search for Truth and Justice After Serial*, St. Martin Press, New York 2016.

<sup>25</sup> Słuchowisku od razu towarzyszyła strona internetowa, na której sukcesywnie umieszczano istotne dla sprawy dokumenty, przez co słuchacz mógł konfrontować się z zebranymi w toku dziennikarskiego śledztwa dowodami (strona zawierała nagrania zeznań, zdjęcia, mapy etc.).

<sup>26</sup> *Making a Murderer*, scen. i reż. L. Riccardi, M. Demos, 2015. Seria opowiada historię Stevena Avery'ego, niewinnie skazanego za uśmiercenie zabójstwa i gwałt w roku 1985 (Avery został oczyszczony z zarzutów na podstawie badań DNA, które wskazały prawdziwego sprawcę w roku 2003 i dopiero wtedy wypuszczony z więzienia), a następnego skazanego za morderstwo w roku 2005. W sprawie istnieje silne podejrzenie podłożenia dowodów przeciwko Avery'emu przez lokalną policję, wobec której w roku 2005 toczył się proces w sprawie niewinnego skazania Avery'ego.

<sup>27</sup> *The Night Of*, reż. R. Price, S. Zaillian, 2016, miniserial wyprodukowany przez HBO, BBC Worldwide oraz Film Rites, częściowo na podstawie serialu *Criminal*

kowo dotkliwym, a później wyzwalającym brakiem strony wizualnej. Nie widziałam ani zdjęć Adnana Syeda, ani zamordowanej Hae Min Lee, nie widziałam rodziny skazanego, mówiącej o jego niewinności. Słyszałam tylko głosy, które starały się być w miarę spokojne i wiarygodne, resztę – a więc większość – trzeba było sobie albo wyobrazić, albo sięgnąć do strony internetowej, która również nie epatowała treściami mającymi wzbudzać współczucie. Przeciwnie, *Serial* był jednym z najbardziej umyślnie nieafektujących form realizacji *crime story*, z jakimi udało mi się zetknąć. Ale jednocześnie był przez to chyba najbardziej dotkliwy, chcąc – lub nie chcąc – wkiął odbiorcę w wątpliwości reporterki, która chciałaby wiedzieć, wiedzieć na pewno, czy Adnan Syed jest ofiarą systemu sprawiedliwości, czy przestępcą, który szuka sposobu na wyjście na wolność.

By zrozumieć emocje związane z tą sprawą, trzeba znowu odwołać się do przykładu nam bliższego. Tomasz Komenda stał się ostatnio symbolem niewinnie skazanych, znakiem wadliwego funkcjonowania systemu<sup>28</sup>. Gdyby Adnan Syed okazał się niewinny, byłoby to – ośmielałam się spekulować – dla wymiaru sprawiedliwości jeszcze gorszym potknięciem, a nawet upadkiem i kompromitacją. W przypadku skazania Syeda istotny był również wątek rasowy i religijny (co znaczące, prawie przezroczyście w *Serial'u* – gdy słyszymy głos skazanego, brzmi on po prostu jak Amerykanin, jednak gdy go widzimy, na przykład w innych produkcjach – widzimy najpierw chłopaka o orientalnej urodzie, zaś na późniejszych zdjęciach – mężczyznę ubranego już w tradycyjnie muzułmański strój), stanowiący podstawę sformułowanego przez prokuraturę oskarżenia. Syed, wtedy nastolatek, miał zabić swoją byłą dziewczynę z zazdrości, zemsty za rozstanie lub z obawy, że rodzina dowie się o ich zabronionej relacji (co ciekawe, te odmienne powody były przez prokuraturę używane jako motyw zamiennie, jakby nie było między nimi różnicy), a każda z tych motywacji miała mieć źródło w kulturze i religii chłopaka.

---

*Justice* (historia opowiedziana w *The Night Of* stanowiła przedmiot fabuły jednego z odcinków *Criminal Justice*).

<sup>28</sup> Por. chociażby materiał reportażowy G. Głuszaka *25 lat za niewinność* opublikowany w *Superwizjerze*.

*Serial* przedstawia sprawę Syeda w zasadniczo bezstronny sposób, pokazując i niepokojące luki w wersji obrony, i – jednak zdecydowanie wyraźniejsze, biorąc pod uwagę domniemanie niewinności – braki w wersji oskarżenia. Pozostawia więc widza w niewygodnej sytuacji, wskazując na wiele powodów, dla których Syed raczej nie jest mordercą (brak motywu, brak wcześniejszych – jakichkolwiek – skłonności do przemocy, brak jakiegokolwiek niepodważalnego materialnego dowodu, a w zasadzie po prostu brak dowodów materialnych, nieuwzględnione podczas procesu alibi, udzielone przez osobę niezainteresowaną, na dokładny czas popełnienia zbrodni w wersji zdarzeń przyjętej przez prokuraturę, brak zbadania innych wersji zdarzeń, zupełnie niewiarygodne odtworzenie czasu zbrodni i jej przebiegu), z drugiej strony – nie unieważnia najważniejszych powodów, dla których znalazł się on na ławie oskarżonych, a więc obciążających go zeznań osoby, która wiedziała, gdzie znajduje się samochód zamordowanej dziewczyny<sup>29</sup>.

Co ciekawe, reporterka w odcinku podsumowującym cykl, zdając sobie sprawę z niemożliwości powiedzenia ponad wszelką wątpliwość: on tego nie zrobił, nie uchyła się od przyjęcia stanowiska, traktując to jako swój obowiązek, co dodatkowo podkreśla konieczność interpretowania całego cyklu jako służebnego: i wobec potencjalnie niewinnego Adnana, i wobec społeczeństwa, które ma prawo wiedzieć, jak i na jakiej podstawie skazuje się ludzi na wieloletnie więzienie. Posumowanie Koenig można streścić mniej więcej tak: być może on to zrobił. A być może nie. Jednak nie powinniśmy trzymać w więzieniu ludzi na 30% winnych ani nawet winnych na 70%. Syed raczej nie jest mordercą, a nawet jeśli nim jest, to – choć brzmi to paradoksalnie – nie powinien zostać skazany, ponieważ ilość racjonalnych wątpliwości, które wzbudza ta sprawa, jest zdecydowanie za duża. To dość chłodne stanowisko okazuje się dla odbiorcy skrajnie afektujące. Jak pogodzić się z tym, że po tylu – odpowiednio dla odbiorcy i twórcy – godzinach/

---

<sup>29</sup> Główny dowód oskarżenia oparty był na zeznaniach znajomego Adnana Syeda, który twierdził, że widział zwłoki dziewczyny w samochodzie oskarżonego i wiedział, gdzie – już po odnalezieniu jej zwłok – znajduje się samochód zamordowanej, zaginiony od dnia zniknięcia nastolatki.

miesiącach poświęconych na słuchaniu/szukaniu dalej nic nie wiadomo na pewno? Z tym, że dalej mamy wyłącznie obraz zdarzeń, w dodatku zmediatyzowany przez słuchowiskową formę, a nie wiedzę lub pewność? W dalszym ciągu wydarzenia są dla nas raczej za szybko niż na wyciągnięcie ręki.

Tę samą sprawę odmiennie formatuje opublikowany w roku 2019 przez HBO dokument, powstający częściowo na podstawie *Serial'u*<sup>30</sup>. Dla osoby, która z podstawowymi faktami na temat sprawy była zaznajomiona już wcześniej, dzięki podcastowi, nie wnosi on wiele nowego: owszem, wynajęci prywatni detektywi pokazują kolejne nieścisłości w wersji wydarzeń przyjętej przez oskarżenie, przeprowadzają całkiem ciekawe eksperymenty procesowe<sup>31</sup>, niemniej – w porównaniu do *Serial'u* – produkcja HBO jest raczej podsumowaniem pewnego zjawiska i fenomenu kulturowego niż jego zarysem. Tym jednak, co ten format przynosi – a co ma dobre i złe strony – jest zderzenie z wizualną stroną opowiadanej rzeczywistości. Tu nie mamy wyboru: zdjęcia zwłok dziewczyny zostaną nam pokazane, podobnie jak rozpacz poszczególnych osób: najpierw rodziny zamordowanej, później zaś oskarżonego. Nie uciekniemy również – zwłaszcza ci, którzy wcześniej wysłuchali podcastu – przed zderzeniem z wcześniej wytworzonymi obrazami tego, co zaszło i kim są ludzie zaangażowani w tę historię. Osoby te, zyskując twarze, zostaną również obciążone stereotypami. Kto słyszał w *Serial'u* Aiszę, mówiącą jak osoba pewna siebie i wykształcona prawniczka, wesoła, a zarazem wyjątkowo profesjonalna, raczej nie wyobrażał jej sobie jako kobiety w hidżabie, silnie związanej z muzułmańską mniejszością Baltimore. Kontekst rasowy, przez *Serial* zupełnie – chyba niechcący – wyglądony, w dokumencie HBO wręcz eksploduje.

---

<sup>30</sup> *The Case Against Adnan Syed*, reż. A. Berg, 2019, miniserial dokumentalny HBO.

<sup>31</sup> Moim ulubionym pozostanie sprawdzanie, czy trawa, wyrosła w Baltimore na przełomie stycznia i lutego, powinna być nadal zielona, gdy stoi na niej przez sześć tygodni samochód. Jeśli trawa powinna już uschnąć lub zgnieć, to kluczowy dowód oskarżenia, a więc samochód zamordowanej znajdujący się w miejscu, które wskazała jedyna osoba oskarżająca Adnana Syeda, został przestawiony, a więc cała przyjęta przez prokuraturę wersja wydarzeń jest bezwartościowa.

W *Sprawie przeciwko Adnanowi Syedowi* rezygnuje się również z założonej przez *Serial* bezstronności. O ile podcast starał się wyważyć między służebnością wobec społeczeństwa, zainteresowanego przebiegiem procesu a pomocą potencjalnie niewinnie skazanemu, o tyle reportaże filmowy jest zdecydowanie bardziej nakierowany na ten drugi cel. Punktem wyjścia, niestety niewypowiedzianym, jest założenie niewinności Syeda i odkrycie, co stoi – jakie stereotypy czy błędy procesowe – za jego skazaniem. Przez to zbliża się nieco do opisaney wcześniej funkcji lustra. Tymczasem, jakkolwiek dziwne może to brzmieć, *Serial* nie chciał być dla nikogo lustrem, był raczej szybą, przez którą mieliśmy zobaczyć pewną historię, po to, by na koniec sami – tak jak reporterka – odpowiedzieć sobie na pytanie, co myślimy o tej sprawie. Oczywiście, pisząc o bezstronności, mam pełną świadomość niemożliwości takiego przedstawienia sprawy, które jest neutralne: reportaże jest zawsze zmediatyzowaną opowieścią, snutą przez kogoś i z czyjejs perspektywy. Ale choć słyszymy prawie wyłącznie głos reporterki, a więc dostajemy mocno zapośredniczoną historię, to widzimy również staranie przedstawienia wszystkiego, co może być istotne, zarówno w słuchowisku, jak i na stronie internetowej poświęconej sprawie. Reporter nie chowa się za wytrychem mówienia w czyimś imieniu, mówi w swoim, jest między nami a sprawą, ale stara się być przezroczysty do momentu, w którym nie zbierze wszystkiego, co istotne. Gdy to się dzieje, zmusza i siebie, i odbiorców do wybrania określonej perspektywy spojrzenia na sprawę, a wtedy szyba zmienia się po części w lustro – możemy w niej oglądnąć własny stosunek do tego, co to znaczy „być niewinnym”. Czy znaczy to być absolutnie i ponad wszelką wątpliwość niewinnym, czy wystarczy być nie-winnym, co najlepiej oddaje angielskojęzyczne przeciwstawienie *innocent* i *not guilty*.

Podjęcie tej decyzji zależy jednak nie od chłodnego, racjonalnego oglądu, lecz od gry afektu i utożsamienia: gdy w Adnanie Syedzie widzimy siebie, gdy jego afekt, kiedy mówi o tym, że jego życie, nawet jeśli zostanie w więzieniu, nie zostało złamane, ponieważ na pewno nie jest złym człowiekiem, stanie się naszym afektem, uznamy go co najmniej za nie-winnego, a być może nawet za niewinnego. Gdy zaafektuje nas nie potencjalna niewinność, lecz niewątpliwa

zbrodnia, być może będziemy bardziej skłonni uznać, że bycie niewinnym na 50% to za mało, by wypuścić potencjalnego mordercę. Jednak w obu przypadkach zaczynamy zdawać sobie sprawę, że gdy brakuje nam faktów albo raczej możliwości ich jednoznacznej interpretacji, zostaje nam albo afekt, albo legalistyczne rozważania na temat bycia niewinnym, które nie pozostawiają miejsca na dyskusję o niewinności. Ukazanie tego mechanizmu, wcale niełatwe, jest moim zdaniem realizacją jednego z podstawowych obowiązków i zarazem służebności reportażu: konfrontowania odbiorcy z tym, jak sam zachowałby się w sytuacji, która najprawdopodobniej nigdy nie stanie się jego udziałem.

#### 4. Afektywne rozzarowanie. *Jinx* jako naruszenie konwencji

Ostatnim przykładem, o którym trzeba – analizując teksty kultury z grupy *true crime stories* w przyjętym kluczu interpretacyjnym – wspomnieć, jest produkcja HBO *The Jinx: The Life and Deaths of Robert Durst* (Przeklęty. Życie i śmierci Roberta Dursta)<sup>32</sup>. Sześciuodcinkowy miniseriał opowiada historię życia i morderstw Roberta Dursta, mężczyzny zdecydowanie uprzywilejowanego, któremu – do czasu publikacji dokumentu – udało się uniknąć odpowiedzialności za najprawdopodobniej trzy morderstwa (być może więcej). Nie jest to jednak klasyczny reportaż na temat prawdopodobnego mordercy, głównie dlatego, że budzi on – i reportaż, i przypuszczalny morderca – bardzo skomplikowaną reakcję afektywną. By zanalizować ten fenomen, konieczne jest jednak przybliżenie zarówno historii tego reportażu, jak i samego Dursta.

Przed dokumentem zrealizowano film fabularny *All Good Things* (2010)<sup>33</sup>, reżyserowany przez Andrew Jareckiego. Fabuła *All Good Things* opiera się dość mocno na historii pierwszego małżeństwa

<sup>32</sup> *The Jinx: The Life and Deaths of Robert Durst*, reż. A. Jarecki, wyprodukowano dla HBO w roku 2015.

<sup>33</sup> *All Good Things*, reż. A. Jarecki, 2010.

Dursta, zakończonego zaginięciem lub – na co wskazuje wiele pozsłak – morderstwem jego żony, Kathleen McCormak. Chociaż obraz wyraźnie sugeruje to drugie, Durst nie tylko nie blokował powstania filmu, ale nawet skontaktował się z reżyserem po jego emisji. Sam Jarecki, który w *Jinxie* krótko zdaje sprawę z tego trudnego do przewidzenia obrotu sprawy, mówi, że Durst był z filmu zadowolony (i raczej – tu dodaję już od siebie – nie tylko dlatego, że postać inspirowaną milionerem grał Ryan Gosling) i dlatego zgodził się na dalszą współpracę.

*Jinx* utrzymany jest w konwencji reportażowej, wzmocnionej przez sceny, w których widzimy Jareckiego konfrontującego się z Durstem. Jest to istotny element budowania napięcia w serii: jeśli, jak sugerują twórcy, milioner jest najprawdopodobniej seryjnym mordercą (a że zabił i poćwiartował człowieka jest pewne, gdyż sam się do tego przyznał)<sup>34</sup>, to być może nie jest zbyt rozsądne rozmawiać z osobą, wobec której nawet najbliższa rodzina pozostaje do tego stopnia nieufna, że nałożyła na niego zakaz zbliżania się.

Choć od początku wiemy, o co Durst jest podejrzewany, człowiek ten okazuje się całkiem interesującym i wciągającym rozmówcą. Budzi sympatię (także u Jareckiego). Odczucie to jest powszechne oraz na tyle silne, że Durst został uniewinniony od zarzutu morderstwa w sprawie, w której udowodniono mu, że zabił sąsiada, następnie zaś rozczłonkował jego ciało (włącznie z obcięciem głowy) i wrzucił je do wody w kilku obciążonych workach. Z powodu przedziwnej ujmującej osobowości – oraz doskonałych adwokatów – zostało to uznane za działanie w ramach obrony koniecznej. Fenomen Dursta pokazuje najlepiej dokumentacja z procesu: mężczyzna jest w stanie wzbudzić w sędziach przysięgłych głośny śmiech, nie żartami, lecz inteligentnym i zdystansowanym sposobem odnoszenia się do pytań prokuratury<sup>35</sup>. Ponadto Durst jest w sporym stopniu szczery, nie

---

<sup>34</sup> Technicznie rzecz biorąc, Durst przyznał się do zabójstwa w obronie własnej i znieważenia zwłok. Nie udowodniono mu przekroczenia obrony koniecznej.

<sup>35</sup> Pozwolenie oskarżonemu o morderstwo na zeznawanie jest zazwyczaj błędem. W sprawach będących inspiracją opisywanych w tym artykule dokumentów lub reportaży nie zeznawał nikt, ani cieszący się świetną opinią, sympatyczny celebryta, w dodatku przystojny i tej samej rasy, co większość ławy przysięgłych



wypiera się stosowania określonych trików: pytany przez filmowców o przebieg wydarzeń oraz o późniejszy proces, tłumaczy się z każdego swojego zachowania w bardzo logiczny sposób. Również, gdy opowiada o linii obrony:

W stanie Teksas, gdy znajdziesz kogoś w swoim domu, kogoś, kto nie powinien tam być, nie ma zbyt wielu rzeczy, których nie możesz mu zrobić. W większości innych stanów jesteś zobowiązany zadzwonić na policję albo zrobić coś innego. Na przykład masz obowiązek wyjść. W Teksasie nie masz tego obowiązku. Możesz postępować tak, jak mniej więcej uznajesz za stosowne. Oczywiście, nie powinieneś tego kogoś od razu zabijać.<sup>36</sup>

Durst w tym fragmencie jasno mówi, że teksańskie prawo pozwala mu rozwiązać konflikt z sąsiadem, który znalazł się w jego domu nieproszony, w praktycznie każdy możliwy sposób. Nie może jedynie mieć i n t e n c j i zabicia kogoś, ale jeśli podejmie decyzję o wyrzuceniu tej osoby siłą, a sytuacja eskaluje – to wciąż działa w granicach prawa. W dodatku, co dopowiada już jego adwokat, w stanie Teksas obrony koniecznej nie trzeba udowadniać: jeśli oskarżony się na nią powoła, to zadaniem prokuratury jest podważyć konieczność jej użycia w danym przypadku. A udowodnienie, co wydarzyło się w mieszkaniu oskarżonego bez świadków, na podstawie dowodu w postaci rozczłonkowanych i niekompletnych zwłok, jest niemożliwe.

Skalę oddziaływania Dursta ukazuje również proces głosowania ławników: mężczyzna nigdy nie był uznawany za winnego przez więcej niż trzech sędziów. Zawsze co najmniej dziewięć osób było przekonanych o jego niewinności. To przekonanie, a przynajmniej niemożliwość wykluczenia niewinności, towarzyszy reportażyście (i widzom) przez prawie cały film. Zostaje ono jednak złamane przez

---

(czyli O. J. Simpson), ani zdecydowanie mniej obciążony jakimkolwiek dowodami winy, młody, piątkowy uczeń, jakim był Adnan Syed. Decyzja o wystawieniu oskarżonego na pytania prokuratury musi być poparta pewnością, że oskarżony nie straci panowania nad sobą.

<sup>36</sup> *The Jinx*, odcinek 4.

jedną z najsłynniejszych scen reportażowych, wyznaczającą nowe ramy gatunku. Fragment ten wymaga jednak pewnego wprowadzenia.

Drużyna z prawdopodobnych ofiar Dursta, Susan Berman, była jego wieloletnią przyjaciółką, która – najprawdopodobniej – wiedziała o poprzednim morderstwie. W toku zdarzeń rekonstruowanych przez reporterów zakłada się, że milioner wspierał ją finansowo. Jednak w pewnym momencie kobieta została zamordowana, a ktoś zawiadomił służby o morderstwie. Podejrzewano, że zrobił to właśnie zabójca, nie chcąc, by ciało kobiety przez wiele dni rozkładało się w domu. W liście, który sprowokował policję do przeszukania domu ofiary, była pomyłka: charakterystycznym, drukowanym pismem napisano Beverley zamiast Beverly Hills.

Durst po śmierci kobiety pomagał również jej synowi, który początkowo uznawał, że milioner nie miał nic wspólnego z morderstwem. Wątpliwości zaczęły się w nim budzić po latach, częściowo także w toku współpracy z reportażystami. Mężczyzna odgrzebał więc różne dokumenty, w tym listy do jego matki od Dursta. Na jednym z nich, na kopercie, znajdował się adres z dokładnie tym samym błędem w adresie: Beverley, zapisany ładząco podobnym, nieco skośnym, drukowanym pismem.

Jarecki decyduje się skonfrontować Dursta z tą znaczącą pomyłką. Mężczyzna, choć wyraźnie zdenerwowany, nie traci panowania nad sobą i przyznaje, że od razu w oczy rzuca się przekreślona nazwa. Stwierdza fakt, nie wypiera się, że jest on dziwny i niepokojący, ale na tym poprzestaje, zaznaczając zarazem, że nie jest autorem listu do policji. Następne istotne zdania padają w trakcie przerwy w nagraniu, w łazience, do której wychodzi Durst, nieświadomy faktu, że jest wciąż nagrywany. Nie jest to reporterska pułapka: wszyscy byli na tyle zdenerwowani, że nikt, w tym Durst, nie wyłączył nagrywania w mikrofonie przypiętym do ubrania. A oto, co Durst mówi w łazience:

Stało się. Złapali cię... Masz rację, oczywiście. Ale nie możesz sobie wyobrazić... Aresztować go.

Nie wiem, co jest w domu.

Chcę tego.

Co za katastrofa. On miał rację. Ja nie miałem. I jeszcze ta czkawka.

Mam problemy z pytaniem. Co ja do diabła zrobiłem?  
Zabiłem ich wszystkich, oczywiście.<sup>37</sup>

Jeśli potraktować padające tam zdania jako przyznanie się do winy, to jest to chyba pierwszy przypadek, w którym w reportażu filmowym padło zarejestrowane wyznanie mordercy. W dzień publikacji ostatniego odcinka dokumentu Durst został aresztowany. Spełnił się więc jeden z istotniejszych postulatów dziennikarstwa zaangażowanego: udało się ożywić sprawę przeciwko domniemanemu mordercy i dostarczyć istotnych dowodów, włącznie z tym najciekawszym oraz najbardziej nietypowym, jakim jest nieświadome – w znaczeniu: bez świadomości bycia nagrywanym – przyznanie się do winy. Na pierwszy rzut oka reportaż Jareckiego zrealizował jedną z najtrudniejszych do spełnienia służebności: zmienił, a dokładniej „poprawił” rzeczywistość, doprowadził do wymierzenia sprawiedliwości mordercy. Jednak, jak postaram się pokazać, trudno nie zauważyć, że oprócz korekty rzeczywistości wydarzyło się coś jeszcze.

Ostatnie słowa, jakie padają w reportażu, należą do Dursta. Po „zabiłem ich wszystkich, oczywiście”, nie ma żadnego komentarza. Nie mamy obrazu Dursta, w filmie tłem dla głosu pozostaje pusty pokój, w którym wcześniej odbywała się rozmowa. Nie ma obrazu, jest tylko głos, niepewny i nieśpieszny: wypowiedzenie tych paru zdań zajmuje aż 90 sekund. Odbiorca zostaje sam z tym wyznaniem, silnie afektującym, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę słowa „chciałem tego” i „nie możesz sobie wyobrazić”. Czy tym, czego nie sposób sobie wyobrazić, są emocje mordercy, który – w pewien sposób – chciał być złapany? Czy to, co mówi Durst, mówi sam do siebie, czy może ćwiczy, co powiedzieć, kiedy padną następne pytania? I jak zinterpretować fakt, że reakcją na wyznanie Dursta jest nie tylko – przynajmniej w moim przypadku tak było – satysfakcja, zazwyczaj pojawiająca

---

<sup>37</sup> „There it is. You're caught. You're right, of course. But you can't imagine. Arrest him. I don't know what's in the house. I want this. What a disaster. He was right. I was wrong. And the burping. I'm having difficulty with the question. What the hell did I do? Killed them all, of course”, *Jinx*, odcinek 6, 32 min. – 33 min. 30 sek. Reportażyci również nie są świadomi nagrania, odkrywają je dopiero pod koniec dnia, przeglądając zarejestrowany materiał.

się, kiedy uda się złapać przestępcę, albo kiedy – w przypadku spraw fikcjonalnych – dobrze obstawimy, czy ktoś był winny, ale i rodzaj empatii, gdy widzi się osobę naprawdę złapaną, duszącą się ze stresu? Stresowa, afektywna reakcja Dursta jest tak dojmująca, że staje się – nawet mimowolnie – podzielana, jego afekt wyzwala w odbiorcy odczucia inne od tych, których się spodziewał. Zamiast ulgi, która powinna się pojawić, gdy wreszcie udaje się przyłapać mordercę lub satysfakcji ze zbliżenia się do faktów, zostajemy z obezwładniającym poczuciem lęku. Lęku współdzielonego z Durstem, ale i lęku przed tym, jak zwyczajny może być morderca. Innowacyjność *Jinx* objawia się moim zdaniem w ten właśnie sposób, na płaszczyźnie afektywnej, a nie faktualnej: zamiast satysfakcji z odkrycia faktów przeżywamy rozczarowanie, ponieważ w tym przypadku bardziej niż mieć rację chcielibyśmy uwierzyć zabójcy.

Służebność społeczna, a więc zdemaskowanie prawdopodobnego mordercy, jest kontrapunktowana przez empatię, jeden z najbardziej prospołecznych afektów. Mimo całej niechęci, jaką budzi w większości odbiorców zabójca, w toku rekonstrukcji historii Dursta nawiązujemy z nim specyficzną więź. Ta afektywna nić porozumienia, wyzwalana może przez traumatyczne dzieciństwo mordercy, a może przez jego umiejętności manipulacyjne, każe nam mierzyć się z problemem trudniejszym do rozwiązania, niż pytanie kto jest winny. Tym problemem jest konfrontacja z własnymi, sprzecznymi afektami, z empatią i złością, a także pewnego rodzaju rozżaleniem, jeśli wolelibyśmy, by Durst jednak nie okazał się winny. Paradoksalnie, wywołanie tego zderzenia jest i chyba będzie ważniejszą społecznie służebnością niż „korekta” rzeczywistości i zdemaskowanie mordercy.

## 5. W krzywym zwierciadle: konwencja afektywna i jej odbicie

Jeśli *Jinx* jest przykładem reportażu naruszającego podstawową zasadę oddziaływania opowieści o zbrodni, a więc przyjemności/satysfakcji wynikającej z obstawiania, co się naprawę wydarzyło, to ostatni reportaż, o którym wspomnę w tym rozdziale, wykorzystuje ową regułę

do wykreowania fikcjonalnej, ale niemniej wciągającej rzeczywistości. *American Vandal*<sup>38</sup>, nowa produkcja NETFLIX-a, jest przykładem wyraźnej gry z konwencją *crime story*. Serial jest fabułą, stylizowaną na reportaż *crime story*, bez łamania zasad realności przedstawionych zdarzeń. Jak zawsze w takim formacie mamy przestępstwo, tym razem jednak nie jest to morderstwo, lecz akt wandalizmu, polegający na narysowaniu na samochodach nauczycieli nieprzyzwoitych obrazków. Podejrzany i skazany w sprawie (na wydalenie ze szkoły oraz dozór policyjny) jest Dylan Maxwell. Dwóch uczniów z tej samej szkoły nie jest przekonanych do jego winy, więc w ramach projektu na zaliczenie zajęć kręci reportaż o koledze i zarazem stara się oczyścić jego dobre imię. Tym, co oglądamy w *American Vandal*, ma być właśnie ów reportaż, sprzedany do stacji telewizyjnej i lekko podrasowany technicznie<sup>39</sup>.

Sprawa nie jest poważna, to, jak sam tytuł mówi – jedynie akt wandalizmu. Jednak dochodzenie prowadzone przez młodych reporterów jest zupełnie – biorąc pod uwagę środki, którymi dysponują – poważne. Świadcowie, zarówno dający uczniowi alibi, jak i sugerujący jego odpowiedzialność, są skrupulatnie i profesjonalnie przesłuchiwani, podobnie jak – nieco bardziej oporni – nauczyciele. Odtworzony zostaje przebieg przestępstwa, zostaje zbadane alibi oskarżonego, zrekonstruowane ramy czasowe czynu, a także motywy – nie tylko jednego ucznia, ale i innych, potencjalnie podejrzanych. Na ekranie widzimy więc typowe dziennikarskie śledztwo. Jedyna różnica dotyczy wieku osób uczestniczących, zdecydowanie mniejszego kalibru sprawy oraz – co stanowi istotną część serii – rażącej nierównowagi, jaka powstaje, gdy nielubianego (całkiem zresztą zasłużenie) ucznia osądza pozostająca praktycznie poza czyjąkolwiek kontrolą szkoła.

*American Vandal* jest więc równocześnie pastiszem gatunku, jak i dowodem kariery pewnego formatu, sprawnie operującym połączeniem fikcji (cały wykreowany świat jest fikcjonalny) oraz faktu

---

<sup>38</sup> *American Vandal*, reż. i scenariusz D. Perrault, T. Yacenda, 2017–2018.

<sup>39</sup> Fabuła drugiego sezonu jest zbliżona, dzieje się w innej szkole, a dotyczy ucznia, któremu przypisano odpowiedzialność za czyny osobnika terroryzującego szkołę fekalnymi żartami.

(prawdziwe są wszystkie przytaczane dane statystyczne dotyczące niewinnie skazanych etc.). Przyjemność z oglądania *American Vandal*, choć można ją uznać za ten prowokujący do ukrywania przed otoczeniem rodzaj przyjemności, nie bierze się jednak – a przynajmniej nie przede wszystkim – z wartości komediowej czy satyrycznej. Jest ona warunkowana zaangażowaniem odbiorcy, który nawet w fikcjonalizowanej sprawie, dotyczącej nie morderstwa, lecz wandalizmu, chce wiedzieć, kto jest sprawcą, kto to zrobił. Stawianie hipotez, opowiadanie się za takim lub innym przebiegiem zdarzeń, obstawianie winy lub niewinności, przekształcanie – w toku rozwoju rekonstruowanej przez reporterów sprawy – to główny mechanizm działania formatu, wikłającego odbiorcę w grę, której stawką jest ustalenie winy. Mechanizm ten działa doskonale nawet wtedy, gdy wiemy, że winy nie ma, ponieważ całość jest fikcjonalna, albo gdy wiemy, że wina nie jest zbyt wielka (tytułowy akt wandalizmu).

*American Vandal* jest więc dla gatunku krzywym zwierciadłem, pokazującym w nieco wykoślawiony, ale wciąż interesujący sposób, skąd kariera tego typu formatów: nie z wagi przestępstwa, nie do końca z wpływu, jaki sprawa ma na odbiorców, lecz z przyjemności obstawiania, z silnego afektywnego pobudzenia, które pojawia się zawsze, gdy angażujemy się w ustalenie, co się tak naprawdę stało. Mechanizm afektujący działa bez zarzutów nawet wtedy, gdy nie ma już stawki, do której byliśmy przyzwyczajeni: prawdy, winy lub niewinności, takiego lub innego losu podejrzanego.

## 6. Podsumowanie

Celem prowadzonych w ramach tego rozdziału analiz było nie tylko pokazanie, jak funkcjonują znane formaty opowiadania o prawdziwych przestępstwach oraz jakie służebności realizują, lecz również postawienie pytania o przyczynę ich popularności. Choć omawiane teksty kultury różnią się od siebie formalnie, gatunkowo oraz sposobem zaangażowania w sprawę, która jest opowiadana, da się wyróżnić przynajmniej jedną cechę, która je łączy i w sporym stopniu odpowiada za ich popularność. Tą łączącą je cechą i zarazem jedną

z najważniejszych służebności, jakie może pełnić reportaż, jest zdolność do podziału opinii publicznej, umiejętność prowokowania sporu.

Każdy z przedstawionych dokumentów, nawet dość konkluzywny w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o winę *Jinx* czy fikcjonalny *American Vandal*, zmusza odbiorcę do zajęcia stanowiska. Do opowiedzenia się po stronie winy lub niewinności i skonfrontowania z tym, co ta decyzja przyniesie. Czasem – jak w przypadku lekkiego, fikcjonalizowanego formatu – przynosi wyłącznie satysfakcję lub zaskoczenie, czasem jednak rozczarowanie, wynikające z niemożności ustalenia – nawet samemu ze sobą – co się ponad wszelką wątpliwość myśli o danej sprawie. Jednak w każdym przypadku jesteśmy prowokowani do konfrontacji nie tylko z przedstawioną, opierającą się na faktach rzeczywistością, ale i z naszymi reakcjami na tę rzeczywistość, z własnym pojmowaniem winy, niewinności, prawdy, czy sprawiedliwości. Format ten stawia nas przed wyborem, domaga się opowiedzenia po jednej ze stron, a zarazem pokazuje, że nie zawsze, a w zasadzie najczęściej, stanowisko zajmuje się nie wiedząc, ale przypuszczając, nie – znając prawdę, ale snując domysły. W tym skrajnie afektywnym rozdzieleniu tkwi źródło siły opowieści o prawdziwych przestępstwach, opowieści, które nigdy nie są do końca obiektywne, ale które pokazują nam całkiem realne mechanizmy naszego funkcjonowania w świecie i angażowania się w określone sprawy oraz spory bez pewności, choć z poczuciem ważności podejmowanych decyzji. Słuchając więc one zawsze temu samemu: konfrontacji z tym, co się wydarzyło lub myślimy, że się wydarzyło, z naszą reakcją na zdarzenie, z naszym postrzeganiem świata i społeczeństwa, a także – już w obrębie decyzji podejmowanych przez twórców – z tym, jak postrzegane są społeczne obowiązki reportażu, jak konstruowane granice gatunkowe oraz jak zarysowywana relacja między reportażystą a odbiorcą.

## Interwencje afektywne

### 1. Afektywne przeniesienie

Ostatnia część tego – również ostatniego – rozdziału książki będzie poświęcona polskiemu reportażowi, który można moim zdaniem określić jako afektywny i afektujący. Tym razem, w przeciwieństwie do tekstu poświęconego „prawdziwym przestępstwom”, zamierzam zająć się reportażem prasowym lub literackim, na pierwszy rzut oka zupełnie klasycznym formalnie.

Wybór tematyki dyktowany jest potrzebą pewnego rodzaju domknięcia poruszanej w ramach tej książki problematyki. Analizowane teksty różniły się między sobą i formą, i typem zaangażowania, i przede wszystkim – jego skalą. W tej ostatniej części zamierzam zająć się najbardziej zaangażowanymi z możliwych i najbardziej wprost służebnymi, a więc przykładami reportażu interwencyjnego, gatunku nakierowanego na korektę rzeczywistości, na przekroczenie granicy między reakcją na tekst i reakcją na rzeczywistość.

Punktem wyjścia do analizy jest tu zaledwie kilka reportaży, stanowiących obecnie części nagradzanych książek: *Polska odwraca oczy* Justyny Kopińskiej<sup>1</sup> i *Nie ma* Mariusza Szczygła<sup>2</sup>. Wszystkie interesujące mnie przykłady stanowiły wcześniej samodzielne reportaże prasowe, zaś dopiero później stały się elementami większych całości.

Pierwszym reportażem, którym chciałabym się zająć, jest *Śliczny i posłuszny* Mariusza Szczygła<sup>3</sup>. Przypomina on temat równocześnie

<sup>1</sup> J. Kopińska, *Polska odwraca oczy*, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2016.

<sup>2</sup> M. Szczygieł, *Nie ma*, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2018.

<sup>3</sup> Reportaż został najpierw opublikowany w „Dużym Formacie” w roku 2013 (25 czerwca) [https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,14167740,Sliczny\\_i\\_posluszny.html](https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,14167740,Sliczny_i_posluszny.html) [dostęp: 10 stycznia 2020].



bardzo afektujący i niechętnie w polskim społeczeństwie podejmowany, to jest przemocy wobec dzieci, tu konkretnie – historię zakałowania kilkuletniego chłopca. Choć sama opisywana sprawa jest niewątpliwe i bulwersująca, i afektywna, jak każde tego typu zdarzenie, to nie dlatego zajmuję się akurat tym tekstem. Powody są odmienne: jego autor w ostatnich latach zdecydowanie odchodził od reportażu interwencyjnego (nie był on zresztą nigdy jego głównym punktem zainteresowania), a mimo to umieścił go w tomie *Nie ma*, składającym się w zdecydowanej większości z tekstów, które nawiązują raczej dość luźną relację z rzeczywistością, przechylając się zdecydowanie w stronę reportażu literackiego. *Śliczny i posłuszny* jest więc przykuwającym uwagę wyjątkiem w tym tomie. Wyłamuje się bowiem z konkretnej techniki pisarskiej, którą można określić – za Kingą Siewior – mianem reportażu intymnego<sup>4</sup>.

Jego nietypowość polega moim zdaniem na skomplikowanym połączeniu niebywałej afektywności, społecznego oddziaływania oraz pieczołowitej konstrukcji, charakterystycznej raczej dla innych odmian reportażu, niż interwencyjny. Zanim zajmę się jego budową, chciałam bardzo pobieżnie zrekonstruować stojącą za jego powstaniem historię oraz recepcję tekstu. Reportaż przypomina sprawę morderstwa sprzed 30 lat nie dla epatowania okrucieństwem zbrodni, lecz skonfrontowania społeczeństwa z pewnymi pytaniami, widocznymi najlepiej, jeśli zestawimy tekst Szczygła z jego recepcją oraz faktami dotyczącymi opisywanego zdarzenia.

„Śliczny i posłuszny” to przymiotniki, którymi opisywana jest ofiara zbrodni: sześciolatnie dziecko, pobite na śmierć przez swoją opiekunkę, partnerkę ojca. Dziennikarz, opierając się na aktach sądowych, rozmowach ze świadkami oraz dawniejszym reportażem dotyczącym sprawy, rekonstruuje zdarzenia. Nie tylko to jedno, tragiczne w skutkach, lecz cały ciąg, który doprowadził do śmierci chłopca

---

<sup>4</sup> Por. K. Siewior, *Ślimak, śrubeczka i śmierć. Reportaż intymny Mariusza Szczygła*, „Teksty Drugie” 2019 nr 6. Badaczka traktuje „Śliczny i posłuszny” jako wentyl, umożliwiający rozładowanie nagromadzonych afektów. Por. także W. G. Harrington, *Intimate Journalism. The Art and Craft of Reporting Everyday Life*, University of Illinois Press, Urbana-Champaign 1997.

w wydawałoby się niepatologicznej rodzinie. Dziecko było wychowywane przez ojca oraz kobietę, z którą mężczyzna się związał po rozstaniu z matką dziecka, a która po objęciu opieki nad chłopcem stosowała regulamin i związany z nim system kar cielesnych. Malec był więc bity zgodnie z określonym systemem kar, niejako „na zimno”. Poza tym – jeśli można w tym przypadku użyć tego określenia – dziecko było traktowane dobrze, to jest karmione, myte i tak dalej.

Jednak, jak wskazuje w swoim reportażu Szczygieł, to pozornie pozostające pod kontrolą bicie dziecka, stale przybierało na sile. Do tego stopnia, że chłopiec nie chodził do przedszkola przez kilkanaście dni w miesiącu (wychowawczyni i dyrektorka usiłowany interweniować u ojca, a nawet złożyły zawiadomienie o znęcaniu się nad dzieckiem, jednak działania te przyniosły odwrotny skutek – kilkulatek był bity dalej, tylko rzadziej przyprowadzany do placówki). Któregoś razu – pretekstem była zgubiona sznurówka – dziecko było katowane przez cały dzień. W nocy nikt nie zainteresował się jego stanem i dziecko zmarło.

Historia, choć wstrząsająca, nie jest przecież odosobniona. Tym, co do pewnego stopnia ją wyróżnia, jest wysoki status społeczny sprawców, szczególnie – macochy dziecka. Nie to jest jednak powodem, dla którego Szczygieł sięga do tych wydarzeń. A dokładniej – nie tyle sięga, co jest powoli wciągany w opowiedzenie pewnej historii. Dla reportera ciąg zdarzeń rozpoczyna się, kiedy dostaje od kogoś, kogo można określić jako informatora, stary reportaż dotyczący tej sprawy, rekonstruujący – oczywiście o wiele bardziej szczegółowo – opisane przeze mnie wydarzenia. Informator początkowo nie zdradza, dlatego pragnie odświeżyć zainteresowanie starą sprawą, stwierdza jedynie, że być może zostawi ona w reporterze pewien „śląd”:

Przeczytałem może jedną trzecią. Ten reportaż nie mógł zostawić śladu. „Śład” ma w swoim brzmieniu coś lekkiego, powiedziałbym – zmywalnego. To nie jest słowo adekwatne do materii, którą opisywała autorka. Ten tekst to był gwałt. Dalej nie mogłem go czytać, a nie wiedziałem, jak mam teraz zasnąć. Dochodziła druga w nocy, więc zaraz wypilem pół butelki wina. Następną połowę reportażu czytałem miesiąc. Otwierałem załącznik, ale po kilku zdaniach zamykałem,

mówiąc sobie: dokończę za jakiś czas. Nawet skłamałem N., że już przeczytałem go w całości i proszę o wyjaśnienie, dlaczego miałem poznać jego treść.<sup>5</sup>

To wyjaśnienie, którego informator początkowo nie chce udzielić, wymaga połączenia co najmniej kilku informacji. Pierwsza dotyczy kobiety, która zabiła dziecko. Została skazana na 15 lat więzienia<sup>6</sup> i wyszła po 10 latach. Później próbowała ułożyć sobie życie, między innymi czasowo wstępując do zakonu. Ostatecznie udało się jej – po zatarciu wyroku – zostać nauczycielką. Druga informacja dotyczy samego zatarcia: po maksymalnie 10 latach od zakończenia odbywania kary, wyrok zaciera się automatycznie, to jest były skazaniec może twierdzić, że nigdy nie był karany.

Trzecia dotyczy wyjątku od zatarcia: nie zacierają się przestępstwa seksualne na nieletnich (przed ukończeniem 15 roku życia). Zacierają się jednak wszystkie morderstwa, także te, w których ofiarami są małoletni<sup>7</sup>.

Połączenie tych trzech informacji początkowo wydaje się powodem, dla którego Szczygieł jest powoli wciągany w opowiedzenie tej historii. Jednak – tylko pozornie:

Spytałem N., czy uważa, że mam o tym napisać interwencyjny reportaż.

„Na razie przeprowadzę pana przez pewien proces” – otrzymałem odpowiedź.<sup>8</sup>

---

<sup>5</sup> M. Szczygieł, *Nie ma...*, s. 265.

<sup>6</sup> Jest to wyrok wbrew pozorom dość wysoki, a na jego wpływ ma kwalifikacja czynu. Sprawcy nie można przypisać ani planowania, ani nawet chęci morderstwa. Polskie prawo karne wymaga udowodnienia świadomości, że prowadzi się do śmierci, by móc kogoś skazać za morderstwo. Więcej szczegółów procesu sądowego zawiera reportaż, do którego Mariusz Szczygieł się odwołuje, czyli B. Seidler, *Pani od maszynownawstwa*, [w:] *Pamiętajcie, że byłem przeciw*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017.

<sup>7</sup> Por. art. 106 *Kodeksu karnego*.

<sup>8</sup> M. Szczygieł, *Nie ma...*, s. 270.

Mimo że to nie instytucja zatarcia jest głównym powodem powstania tekstu Szczygła, poświęcone jest jej sporo uwagi. Reporter z jednej strony rozumie sam pomysł zapomnienia o przestępstwie („przecież upływ czasu powoduje, że w ludziach blaknie pamięć o popełnionym przestępstwie. Sprawca odbył już karę i nie ma powodu, żeby żył ze stygmatem przestępcy”<sup>9</sup>), z drugiej argumenty informatora, który twierdzi, że niemożliwe jest sprawienie, ani za pomocą konkretnego prawa, ani w żaden inny sposób, by rzeczy stały się „niebyłe” („Jednak o zatarciu skazania nawet prawnicy mówią jako o fikcji prawnej. Czy można przestępstwo usunąć, jeśli ludzie jednak je pamiętają? Czy przy wykonywaniu niektórych zawodów zatarcie nie powinno mieć nigdy miejsca?”<sup>10</sup>).

Pytanie o możliwość – i sens – zacierania różnych przestępstw powraca w artykule kilkakrotnie. Szczególnie, gdy N. wyjawia główny powód zainteresowania kobietą, w reportażu określaną jako Ewa T. Jest nim fakt, że została nie tylko nauczycielką, ale i ekspertem MEN. Nowa funkcja społeczna Ewy T. potęguje więc pytanie o możliwość zapomnienia: czy społeczeństwo naprawdę chce zapominać tak bardzo, by powierzać osobie, która zabiła dziecko, los innych dzieci? Czy ma sens prawo, które na zawsze uniemożliwi osobie, która posiadała na przykład dziecięcą pornografię pełnienie jakiegokolwiek posady, która wymaga zaświadczenia o niekaralności (nie tylko tych, które opierają się na kontakcie z dziećmi), a nie blokuje tej możliwości zabójcy?

Jednak, jak już pisałam, wydaje się, że to pytanie jest w gruncie rzeczy zasłoną dla innego, bardziej podstawowego i nie mającego już charakteru prawnego. Można je sformułować mniej więcej tak: czy możliwy jest powrót do społeczeństwa osoby, która popełniła jedno z najcięższych przestępstw i nie rozumie, co zrobiła?

Formułuję to pytanie, ponieważ nie pada wprost w reportażu, ale moim zdaniem decyduje o jego afektywnym i sprawczym wydźwięku. Warto również od razy podkreślić, że nie usiłuję tu twierdzić, że Ewa T. nie wiedziała, że chłopiec umarł, i że umarł wskutek jej czynów. Jednak, jak pokazuje Szczygiel – kobieta w gruncie rzeczy nie rozumiała,

<sup>9</sup> Tamże, s. 272.      <sup>10</sup> Tamże, s. 273.

co zrobiła. Warto przytoczyć zacytowany przez reportera fragment z prośby dotyczącej ułaskawienia, pisanej 7 lat po wyroku:

Śmierć chłopca, z czego zdałam sobie sprawę na chwilę przed przyjazdem wezwanego na moje polecenie przez Tadeusza W. lekarza, była dla mnie potworną tragedią, choć nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego ona się wydarzyła. Dlaczego wcześniej nie uświadomiłam sobie stanu, w jakim znajduje się chłopiec, aby przerwać bicie i móc udzielić mu pomocy? Dlaczego tego krytycznego dnia utraciłam całkowicie kontrolę nad siłą uderzeń i ich skutkami? Są to dręczące mnie pytania, na które do dziś nie potrafię znaleźć odpowiedzi.<sup>11</sup>

Jest to bez wątpienia jeden z najbardziej wstrząsających fragmętów reportażu<sup>12</sup>, afektujący zdecydowanie bardziej, niż opis zdarzeń, bardziej nawet niż świadomość, że dziecko było najczęściej karane za czyny, za które dzieci nie powinny być karane w ogóle, nawet negatywną uwagą, bo nie wynikają z ich złej woli, lecz są następstwem niedostosowania wymagań do wieku dziecka<sup>13</sup>. Dowodzi on bowiem, że – przynajmniej w tamtej chwili – jeśli Ewa T. czegoś żałowała, to tylko tego, że nie skończyła bić chłopca w cześniej, że nie biła go

<sup>11</sup> Tamże, s. 280.

<sup>12</sup> Tym bardziej, że od pewnych afektujących chwytów Szczygieł się raczej uchyła. Stroni między innymi od opisu dokładnego mechanizmu śmierci dziecka, opisu jego obrażeń itp. Z decyzji tej reporter nie tłumaczy się, ale odnotowuje, że nie zamierza oglądać najbardziej brutalnych dowodów:

„Do tej teczki wklejono dużą kopertę ze zdjęciami zmasakrowanego ciała chłopca. Nie chcę jej otwierać. Do trzeciej teczki wpięto setki listów. Fotografuje kartki zapisane niewprawnymi dłońmi rolników i robotników, zapisane kaligraficznym pismem inżynierów, zapisane maszynowo przez urzędniczki i dyrektorów i zapisane trzęsącymi się dłońmi starych ludzi, którzy proszą sąd, żeby proces Ewy T. i Tadeusza W. skończył się jeszcze przed ich śmiercią.” Tamże, s. 278.

<sup>13</sup> Wątek ten jest również istotny w przedstawianiu sprawy: skoro dziecko było karane za rzeczy, które pozostawały poza jego kontrolą, to dość problematyczne jest, by osoba, która nie wiedziała, co potrafi, a czego potrafić nie może (a przynajmniej: czego nie można od niego wymagać) kilkulatek, mogła sprawować opiekę nad dziećmi. Bo nawet jeśli porzuci metody, to zapewne nie porzuci przekonania, że jeśli dziecku coś nie wychodzi, to nie dlatego, że nie potrafi, lecz zawsze – że złośliwe nie chce.

słabiej oraz że nie wezwała pogotowia. W dalszym ciągu nie żałuje, że biła dziecko.

Cytat ten pozostawiony jest przez reportera praktycznie bez komentarza. Szczygiel nie pisze o braku zrozumienia i jego konsekwencjach. Notuje tylko chłodno, że kobieta nie była w stanie odpowiedzieć sobie na wiele pytań nawet jako trzydziestoparoletnia już osoba. Interpretacja „nierozumienia” Ewy T. pozostawiona jest czytelnikom, choć bez wątpienia reporter tropi jego przyczyny: w wychowaniu (kobieta sama była bitym dzieckiem), w poglądach rodziny oraz w dziwnej organizacji życia rodzinnego, a także skutki: dalsze stosowanie regulaminu kar dla uczniów, bez względu na to, czy taki system rzeczywiście działa motywująco, niewiedza na temat podstawowych mechanizmów wychowywania dzieci, czy wreszcie brak – przynajmniej widocznego – poczucia winy.

Niezrozumienie Ewy T. jest szokujące, ale nie aż tak nieprawdopodobne psychicznie. Kobieta wierzy, że wychowywała chłopca dobrze, nie uznaje zarzutu sądu, że się nad nim znęcała. Śmierć chłopca jest dla niej „wypadkiem przy pracy”, nie zaś skutkiem wieloletniego znęcania. To trochę tak, jakby wiedziała, że popełniła błąd tego jednego dnia, ale zamykała oczy na to, że był to jeden z zapewne kilkuset dni, w których chłopiec był katowany.

Wydaje się więc, że to kluczowe niezrozumienie jest powodem, dla którego reportaż Szczygła powstaje i jest publikowany. Nie trzeba uważać zatarcia za kiepską instytucję prawną, by uznawać, że wielkim problemem dla społeczeństwa jest sytuacja, w której wraca do niego po czasowej izolacji sprawca zupełnie niezresocjalizowany. Resocjalizacja wymaga bowiem wykonania pewnej pracy po zrozumieniu, dlaczego zostało się ukaranym i co złego się zrobiło.<sup>14</sup> Jednak w tym przypadku problem pojawia się wcześniej, na etapie rozumienia własnego działania. Nawet osoby, które z punktu widzenia systemu sprawiedliwości

---

<sup>14</sup> Jest to więc dość skomplikowany proces, w Polsce nie dość skutecznie prowadzony. Wskaźnik recydywy waha się w Polsce (zależnie od wieku i typu przestępstwa) od 40 do 72%. Por. T. Szymanowski, *Recydywa w Polsce. Zagadnienia prawa karnego, kryminologii i polityki karnej*, Wolters Kluwer Polska, Warszawa 2010; oraz B. Urban, *Ocena rezultatów resocjalizacji*, [w:] *Resocjalizacja*, t. 1, red. B. Urban, J. M. Stanik, PWN, Warszawa 2008.

są uznawane za niezresocjalizowane, najczęściej wiedzą, dlaczego odbywają karę. W wielu przypadkach nie zgadzają się z oceną ich czynu, dokonaną przez sąd, na przykład dlatego, że uznają istnienie dobrych okoliczności łagodzących, albo niską lub wręcz żadną szkodliwość, ale wiedzą, co dokładnie w ich zachowaniu zostało uznane za złe i podlegające karze. A tego Ewa T. nie wie.

Poświęciłam tak dużo uwagi kwestii niewiedzy, ponieważ jest ona kluczowa dla zrozumienia funkcji tego reportażu. Jest to sprawa o tyle istotna, że *Śliczny i posłuszny* wywołał bardzo konkretne konsekwencje: choć tekst był zanonimizowany, to szybko odkryto tożsamość Ewy T. A wtedy lawiny zdarzeń nie dało się już zatrzymać: kobieta musiała odejść z pracy w szkole, a sam Szczygieł, choć był przez zdecydowaną większość czytelników chwalony, otrzymał też sporą dawkę krytyki profesjonalnej i czytelniczej za odgrzewanie starej sprawy i prowokowanie do samosądu<sup>15</sup>.

Tak poprowadzony reportaż każe więc pytać o granice dziennikarstwa interwencyjnego. Czy etyczne jest powracanie do sprawy już zamkniętej, w której sprawca został osądzony, odbył karę i wydaje się, że nie planuje popełnienia przestępstwa? Czy prawo społeczeństwa do wiedzy o czynach konkretnych osób, nie wszystkich, ale tych godzących w życie innych, nie jest ważniejsze niż prawo jednostki do zamknięcia za sobą pewnego etapu życia? Co cenimy wyżej, gdzie stawiamy granicę?

Wydaje się, że omawiany tu reportaż nie wprost na tę granicę wskazuje. Jest nią właśnie zdolność do zrozumienia własnego czynu, jego pobudek, przyczyn i konsekwencji. Ewa T., tak, jak przedstawia ją reportaż Szczygła, rozumie konsekwencje: i te dotyczące chłopca, czyli jego śmierć, i te dotyczące siebie, czyli skazanie na wysoką karę. Nie zastanawia się jednak – a przynajmniej nie daje temu wyrazu – co doprowadziło ją do wprowadzenia takiego „systemu wychowawczego”, którego zresztą sama nie przestrzegała (chłopiec był bity zdecydowanie dłużej i mocniej, niż „system” przewidywał, a kobieta w swoich – cytowanych

---

<sup>15</sup> Niewykluczone, że część tej krytyki wiązała się z oskarżeniami o „celebryctwo” reportera. Por. D. Antonik, *Czy prawda może być medialna? O wątpliwej autonomii reportażu i potrzebie małych kryzysów*, „Teksty Drugie” 2020, nr 6.

w reportażu – zeznaniach przyznawała, że zdarzało się jej „tracić kontrolę nad siłą uderzeń”, „bić coraz mocniej”). Odmowa zobaczenia własnego czynu, takim, jaki był w rzeczywistości, jest powodem, dla którego i reporter, i jego tajemniczy informator uznają, że sprawa Ewy T. nie może ulec zatarciu, gdyż zgodnie z tą logiką, kobieta nie poniosła najbardziej podstawowej kary za swoje przestępstwo: nie skonfrontowała się w pełni z własnym czynem, a tym samym – ze sobą.

Zaangażowanie reportera, powoli wciągane w sprawę, odpowiada – jak sądzę – za podjęcie decyzji o poruszaniu się na granicy dopuszczalności etycznej. Szczygieł tłumaczył wprawdzie, że reportaż dobrze zaanonimizował, zmieniając sporą część szczegółów, że przekazał go do sprawdzenia trzem innym osobom, którym nie udało się odkryć tożsamości Ewy T., że wielokrotnie dawał kobiecie szansę na rozmowę albo na odejście z zawodu na własnych warunkach. Jednak te tłumaczenia dowodzą moim zdaniem tylko jednego: próby dochowania rzetelności dziennikarskiej, a nie realnego zabezpieczenia tożsamości opisywanej kobiety. Szczygieł jako doświadczony dziennikarz musiał wiedzieć, że odkrycie tożsamości Ewy T. nie jest trudne, bo w gruncie rzeczy nie ma nic do odkrycia. Wciąż żyją osoby, które wiedzą o sprawie, które – jak sam pisał – pamiętają i chłopca, i jego rodzinę. Skoro reporter sam zdawał sobie sprawę z faktu, że, choć nastąpiło zatarcie prawne czynu, to nie zniknęła pamięć o nim, to powinien sobie zdawać sprawę również z tego, że jego tekst bez wątpienia poruszy tych, którzy nigdy nie zapomnieli.

O sile afektywnego pobudzenia, które wywołuje historia chłopca, najlepiej świadczą z jednej strony wyznania samego dziennikarza, z drugiej: listy, publikowane przez „Duży Format” w reakcji na publikację. Jeden z nich zawiera wprost wyznanie o niezatartej pamięci: czytelniczka, zaangażowana niegdyś w sprawę jako lokalny dziennikarz, pisze, że gdy zobaczyła okładkę „Dużego Formatu” z rysunkiem dziecięcych buczków z zakrwawionym sznurowadłem, to już wiedziała, o czym będzie tekst<sup>16</sup>. I nie zapomniała niczego, w tym prawdziwych personaliów kobiety skazanej za zabicie chłopca.

---

<sup>16</sup> [https://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,66725,14202917,Sliczny\\_i\\_posluszny\\_slad\\_ktory\\_zmienil\\_moje\\_zycie.html](https://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,66725,14202917,Sliczny_i_posluszny_slad_ktory_zmienil_moje_zycie.html) [dostęp: 10 stycznia 2020].



Ta afektywna wiedza nie jest oczywiście czymś nadzwyczajnym. Nie sądzę, żeby za trzydzieści lat brakowało osób, które wciąż pamiętają podobnie lub bardziej szokujące sprawy z ostatnich lat, jak chociażby, odwołując się do najbardziej nośnych, zamordowania sześciomiesięcznej Magdy<sup>17</sup> i zagłodzenia również półrocznej Magdy przez rodziców, korzystających z pomocy znachora. Wspominam o tej ostatniej sprawie, ponieważ pokazuje znaczącą moim zdaniem zmianę w postrzeganiu tego typu wydarzeń. Przypomnę najbardziej podstawowe fakty: półroczna dziewczynka była karmiona przez rodziców wyłącznie kozim mlekiem i rozwodnionymi kaszkami. Była to dieta zalecona przez znachora, wbrew lekarzom, od których rodzice dziecka stronili, uciekając się do oszustw i łamania prawa, które narzuca opiekunom wizyty kontrolne. W efekcie diety dziecko zmarło z głodu i odwodnienia, w chwili śmierci ważąc 4,5 kg (zazwyczaj dzieci w tym wieku ważą dwa razy więcej)<sup>18</sup>. Rodzice zostali skazani za znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem nad swoją córką oraz nieumyślne spowodowanie śmierci na karę roku więzienia, znachor – z bardziej restrykcyjnego paragrafu – na trzy i pół roku więzienia<sup>19</sup>. Tak niska kara w stosunku do rodziców wynikała zapewne z czterech przesłanek. Pierwsze dwie są raczej mało kontrowersyjne: uznano, że rodzice dziecka nie chcieli zabić oraz wyrazili skruchę. Kolejne już takie nie są: założono, że rodzice byli pod wpływem znachora (co jest zapewne prawdą) i to z m n i e j s z a ich odpowiedzialność oraz że nie można udowodnić, by byli świadomi konsekwencji swoich działań.

Sąd więc uznał, że dziecko zostało zagłodzone niejako „niechcący”, jakby był to wypadek przy pracy, jedna zła decyzja w procesie wychowawczym. Tymczasem, był to ciąg złych decyzji, nieprzerywany mimo wielokrotnych prób interwencji z zewnątrz.

<sup>17</sup> Por. m.in. materiał TVN24, opisujący przebieg zdarzeń <https://tvn24.pl/tragiczna-historia-malej-magdy-dzien-po-dniu,204604,s.html?h=1505> [dostęp 10 stycznia 2020].

<sup>18</sup> Por. m.in. <https://wiadomosci.dziennik.pl/wydarzenia/artykuly/458852,znachor-z-nowego-sacza-uslyszal-zarzuty-w-sprawie-smierci-z-gلودu-polrocznej-magdy.html> [dostęp 10 stycznia 2020].

<sup>19</sup> Por. <https://wiadomosci.wp.pl/znachor-z-nowego-sacza-zostal-skazany-przyczynil-sie-do-smierci-polrocznej-magdy-6264850309531777a> [dostęp 10 stycznia 2020].

Dlaczego piszę o tej sprawie? Dlaczego wspominam ją, gdy rekonstruuję wpływ społeczny reportażu Mariusza Szczygła? Z dwóch powodów. Pierwszym jest fakt rażącej dysproporcji między sposobem orzekania w tych dwóch sprawach i w ich społecznym odbiorze. W przypadku Ewy T. uznano fakt, że nie zdaje sobie ona w pełni sprawy z tego, co zrobiła, za okoliczność obciążającą – jest to wspólna cecha oceny zachowania kobiety, wyrażona i w ramach orzeczenia sądu, i reportażu Szczygła, i większości komentarzy dotyczących tej sprawy. W przypadku rodziców z Brzeznej tę niewiedzę uznano za okoliczność łagodzącą, tak jak znajdowanie się „pod wpływem” znachora. To, że chodzenie z dzieckiem do znachora jest w gruncie rzeczy okolicznością obciążającą, umknęło publicznej dyskusji. Oczywista jest również różnica w nastawieniu społecznym: w przypadku Ewy T. i jej partnera byli oni oczywistymi winnymi sytuacji. Nie dało się uciec od faktu, że to opiekunowie, którzy powinni zapewnić dziecku spokojny byt, zakatowali je na śmierć. W przypadku rodziców z Brzeznej da się od tego faktu oddzielić, wybierając retorykę opowieści, w której rodzice byli zwodzeni, znajdowali się pod wpływem znachora, i „zostali już ukarani”.

Drugim powodem jest właśnie kwestia śladu. Tego typu sprawy zostawiają ślad nawet w postronnych obserwatorach, tym większy, im większy jest związek ze sprawą (może nim być chociażby lokalna bliskość – to łączy mnie ze sprawą zagłodzonego dziecka i jego rodziców, korzystających z usług znanego w Nowym Sączu znachora-hochsztaplera o wdzięcznym przezwisku „Kadzik”, i to łączyło czytelnickę, dla której widok buczków był wystarczający, by przypomnieć sobie wszystko z reportażem Szczygła). Co można zrobić z takim śladem, jak można go użyć?

Wydaje się, że w omawianym przeze mnie przypadku – zwłaszcza reportażu Mariusza Szczygła – został on wykorzystany w nie do końca odpowiedzialny sposób. Reakcja na przywołaną sprawę była równocześnie symptomatyczna i w pewnym stopniu niepokojąca. Większość komentarzy, zarówno czytelników, jak i profesjonalistów, skupiało się na konkretnych osobach i ich motywacjach: albo Ewie T., albo samym reporterze. Przedstawione wydarzenia wywołały więc reakcję afektywną, silną i trudną do przoczenia, ale w pewnym sensie

pusztą: oburzenie, zniesmaczenie, niechęć osobista, gniew, czy żądanie zadośćuczynienia niekoniecznie muszą być jednymi z „brzydkich uczuć”, które niechętnie są widziane w obrębie społecznej dyskusji. Mogą być również impulsem do rozpoczęcia szerszej dyskusji na temat tego, co w danej sprawie nas zaafektowało i co nasza reakcja mówi o nas samych oraz społeczeństwie, w którym żyjemy.

Tego typu głosy, wymagające choćby chwilowego zdystansowania się wobec własnej reakcji, należały jednak do rzadkości. Odwołując się do już wzmiankowanej koncepcji Sianne Ngai, dotyczącej funkcjonowania brzydkich afektów, ich funkcją nie jest wcale rozładowanie emocji ani dostarczenie ujścia do wcześniej blokowanych odczuć<sup>20</sup>. Ich interpretacja, jako najslabiej ustrukturyzowanych ze wszystkich afektywnych i emocjonalnych reakcji, jest przez to dodatkowo utrudniona. Można więc – przywołując również badania Lauren Berlant<sup>21</sup> – napisać, że mają one zawsze odśrodkowy, wywrotowy charakter. Jednak, jak postaram się w dalszych częściach tego rozdziału pokazać, nie oznacza to wcale braku społecznego wpływu.

Jeśli przeanalizujemy obie wspomniane tu sprawy, zobaczymy, że tym, co najmocniej wpływa na zbiorowe afekty, rodzące się wokół nich, jest mechanizm utożsamienia. W przypadku Ewy T. zdecydowana większość komentujących osób oraz – przede wszystkim – sam autor reportażu – starali się uznać, że działania kobiety są i były wynikiem jakiegoś rodzaju zaburzenia. Ujmując problem nieco inaczej: że trzeba być człowiekiem z poważnymi problemami psychicznymi, by móc popełnić taki czyn. O ile więc Ewa T. widzi swoje postępowanie jako „wypadek”, o tyle większość osób skonfrontowanych z tą sprawą postrzega je jako „efekt” długotrwałego procesu.

Choć zasadniczo zgadzam się z takim rozumowaniem, i sama – jak pokazują niektóre fragmenty tego rozdziału – podlegam opisaniu tu mechanizmowi, to jest on jednak niebezpieczny jako narzędzie pewnej afektywnej kontroli i manipulacji. Pozwala on bowiem na postrzeganie Ewy T. jako „innej”, jako osoby od początku różniącej się

---

<sup>20</sup> S. Ngai, *Ugly Feelings*, Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts 2005, s. 6–8

<sup>21</sup> L. Berlant, *Cruel Optimism*, Duke University Press, Durham and London 2011.

od każdego „normalnego” członka społeczeństwa, której czyny mówią w zasadzie wyłącznie o niej samej. A w takim przypadku znika z horyzontu bardzo ważna kwestia: Ewa T. biła dziecko w czasach, w których istniało społeczne przyzwolenie na takie zachowanie, przyzwolenie, które dopiero niedawno zaczęło znikać.

W tym momencie dochodzimy do interesującego mnie problemu: jak to się dzieje, że w zbiorowej, afektywnej reakcji ginie to, co powinno być jej podstawą, a więc również zbiorowa wina, wynikająca z niereagowania lub wręcz przyzwolenia na nieludzkie traktowanie dzieci? Pod tym względem sprawa zagłodzonego półrocznego dziecka nie jest odmienna, lecz podobna: również w tym przypadku zamiast zmierzyć się z bardziej podstawowym pytaniem o rolę opiekunów w decydowaniu o zdrowiu dziecka i ich odpowiedzialności za skrajnie nieuzasadnione oraz niebezpieczne decyzje, konfrontujemy się raczej z naszymi przekonaniem dotyczącymi emocji, chęci lub przekonania danych osób. Uznajemy, że skoro nie chcieli skrzywdzić dziecka, to nie ponoszą odpowiedzialności za swoje działania. Winny jest ktoś „inny”, lokalny znachor.

Afektywne zaangażowanie zmienia się więc – w przypadku reakcji społecznej – w mechanizm ochrony, przenoszący odpowiedzialność na „innych”, na osoby, które w jakiś sposób sytuują się „poza” danym społeczeństwem. To zaś pozwala na specyficzne przeniesienie: zamiast reagować na złożone wydarzenie, do którego przyczyniło się wiele aspektów rzeczywistości, w tym: przyzwolenie na postrzeganie dzieci jako własności ich opiekunów, reagujemy na jego ściśle wybrane aspekty: winę moralną konkretnych osób. To zaś pozwala na przyjęcie wygodnej perspektywy: zaafektowanego wydarzeniem, a nie części skomplikowanego systemu, który uprzednio zaafektował tych, których teraz uznajemy za „innych”.

## 2. Mechanizm afektujący

Drugim punktem mojego zainteresowania jest reportaż śledczy Justyny Kopińskiej *Czy Bóg wybaczy siostrze Bernadecie* oraz tekst, który powstał w jego następstwie, czyli *Czy Bóg wybaczy boromeuszkom*.

*Kopińska wraca do złego sierocińca siostry Bernadetty*<sup>22</sup>. Zanim spróbuję wyjaśnić, dlaczego wybrałam akurat te teksty, chciałabym je pokrótce omówić.

Punktem wyjścia pierwszego jest – podobnie jak w przypadku reportażu Szczygła – zbrodnia, zabicie ośmioletniego chłopca, ale nie jest to tekst tylko o tym wstrząsającym morderstwie. To raczej śledztwo na temat tego, jak zamykanie oczu na przemoc powoduje jej nasilenie, jak brak kontroli nad sposobem, w jaki wychowywane są dzieci w pewnym ośrodku wpływa na setki osób, początkowo nie mających nic wspólnego z sierocińcem.

Analizę warto zacząć od pierwszego, otwierającego akapit zdania:

Wieczorem 6 lutego 2006 roku Barbara Domaradzka z Rybnika zadzwoniła na policję. Jej syn Mateusz wyszedł poślizgać się na górcie zwanej „Depta” i nie wrócił. Rozpoczęto poszukiwania. Policja użyła psów tropiących. Rozesłano komunikaty: osiem lat, 120 cm wzrostu, szczupły, włosy ciemny blond. Sprawdzono wszystkie miejsca, do których chłopiec mógł pójść. Ale nie znaleziono go.<sup>23</sup>

Jest to otwarcie typowego reportażu śledczego, którego celem ma być ustalenie, co stało się z zaginionym chłopcem. Jednak tragiczny los dziecka poznajemy szybko, podobnie jak tożsamość jego oprawców. Sprawa zostaje więc rozwiązana, a przynajmniej – tak się wydaje. Wkrótce okazuje się, że za morderstwem chłopca kryje się dramat, który dotykał wielu osób:

Jeszcze w trakcie procesu o zabójstwo Mateusza do Prokuratury Okręgowej w Gliwicach przyszedł list od kolegi z Tomasza celi. Więzień donosił, że Tomasz przyznał się do zabójstwa, a także do gwałtów na dzieciach w Ośrodku Wychowawczym Sióstr Boromeuszek w Zabrze,

<sup>22</sup> J. Kopińska, *Czy Bóg wybaczy boromeuszkom. Kopińska wraca do złego sierocińca siostry Bernadetty*, [https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy\\_Bog\\_wybaczy\\_boromeuszkom\\_\\_Kopinska\\_wraca\\_do\\_zlego.html](https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy_Bog_wybaczy_boromeuszkom__Kopinska_wraca_do_zlego.html) [dostęp: 10 luty 2020].

<sup>23</sup> J. Kopińska, *Polska odwraca oczy*, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2016, s. 129.

w którym mieszkał do 18. roku życia. „Jedynym powodem wysłania listu jest to, że sam mam dziecko”, pisał autor.<sup>24</sup>

Zacytowany fragment listu skłania służby do przyjrzenia się bliżej wspomnianemu ośrodkowi, początkowo – jako miejscu, w którym oskarżony o morderstwo Tomasz mógł popełnić więcej zbrodni. Dość szybko okazuje się jednak, że mężczyzna był najprawdopodobniej nie tylko sprawcą, ale i ofiarą przestępstw. Policjanci podczas eksperymentu procesowego zwracają uwagę na fakt, że w ośrodku dzieci są wychowywane w bardzo dziwny sposób:

Na wniosek prokuratury w Gliwicach kolejny eksperyment odbył się w Ośrodku Sióstr Boromeuszek. Funkcjonariusze z 20-letnim stażem pracy mówili potem, że czuli się w ośrodku nieswojo. Po kątach snuły się szare dzieci, wyglądały jak mali dorośli. W domu brakowało hałasu, radości. W pokojach nie było półek, jedynie łóżka przykryte kapą i taborety. W oknach kraty. Wszystko wspólne, nawet szafa z bielizną. Na pytania policjantów, dlaczego dzieci nie mają szczoteczek do zębów w oddzielnych kubkach, siostry powiedziały, że dzieci wiedzą, która jest czyja. Ale skąd wiedzą, skoro wszystkie szczoteczki są niebieskie?<sup>25</sup>

Podejrzenia policjantów na temat złego traktowania dzieci okazują się słuszne. Wszystkie, nie tylko te dotyczące opresyjnego sposobu wychowywania przez zmuszanie do praktykowania paraklasztornej klauzuli, która narzuca rezygnację z własności, intymności czy prawa do wyrażania własnego zdania, ale i znęcania się nad wychowankami: bicia, zamykania, zastraszania, a nawet gwałtów, niekiedy nawet zlecanych jako metoda wychowawcza (!):

Dzieci opowiadały, że młodszy zamykani są na noc na klucz w pokoju z 20-letnimi mężczyznami. Jedne twierdziły, że to kara za moczenie się do łóżka, inni mówili, że siostra nie tłumaczy, dlatego muszą spać w danym pokoju. Jeśli dzieci zgłaszały siostrze Bernadecie, że są

<sup>24</sup> Tamże, s. 129.      <sup>25</sup> Tamże, s. 129.

dotykane, nie reagowała, nazywała jedynie molestujących zбочeniami i pedałami albo karała biciem po twarzy. Dzieci mówiły, że siostry biły je prawie codziennie, często do krwi. Nazywały „zбочeniami, małymi gnojnikami, debilami, ułomkami”<sup>26</sup>

Jest to więc tekst o skrajnej przemocy, która przez wiele lat pozostawała poza nadzorem, na którą nikt nie zwracał uwagi, a ofiarom – jeśli zdarzyło się komuś coś opowiedzieć – z zasady nie wierzone. To właśnie ta niewiara i poczucie beznadziei ofiar, połączone z systemową bezkarnością sprawców są głównym przedmiotem tego reportażu. Podobnie jak w przypadku artykułu Szczygła, tragedia wydarza się nie tylko ze względu na indywidualne winy poszczególnych osób, lecz również dzięki powszechnemu przyzwoleniu. Najpierw dotyczyło ono możliwości stosowania kar cielesnych, później – wszelkiego rodzaju upokorzenia i przemocy, jeśli tylko działała jako źródło zastraszania. Dzieci są traktowane najzupełniej przedmiotowo, tak, jakby posiadały prawo do istnienia tylko w przypadku, w którym są całkowicie podporządkowane. Brak całkowitego posłuszeństwa rodzi rozmaite, koszarne konsekwencje, a alienacja społeczna, do której przyczynia się i pochodzenie dzieci, i powielane przez siostry zakonne twierdzenie o ich zdegenerowaniu sprawiały, że wszystko, co dzieje się w sierocińcu, pozostaje dla osób z zewnątrz praktycznie niewidoczne.

Co szczególnie istotne, powszechność procederu wpływa również na wychowanków. Gdy bicie jest codziennością, przestaje być kwestionowane jako metoda wychowawcza, tylko wyjątkowo brutalne akty przemocy są traktowane jako nadużycie:

Każdy był bity, ale jeśli kogoś bito wcześniej w domu, to nawet nie myślał, że to coś złego. Co kilkuletnie dziecko może wiedzieć na temat zła? Czasem siostra Bernadetta tak mnie pobiła, że nie mogłem chodzić do szkoły. Raz wzięła drewniany wieszak. Biła po całym ciele. Już nie pamiętam, za co. Ale najgorsze były uderzenia w głowę. Tak jakby chciała dostać się do środka. Musieli mi zszyc rany,

---

<sup>26</sup> Tamże, s. 130.

więc siostry wzięły mnie do szpitala i tłumaczyły lekarzowi, że się przewróciłem.<sup>27</sup>

Taka sytuacja sprzyja zapętleniu ofiar: z jednej strony postrzegają one część aktów przemocy jako normę, z drugiej – nawet w przypadku skrajnych nadużyć boją się prosić o pomoc, bo najprawdopodobniej nikt im nie uwierzy. Sprawczynie zdają sobie sprawę z tego mechanizmu, umyślnie podważają wiarygodność dzieci, a gdy skutki pobicia są na tyle poważne, że większość osób mogłaby zadawać pytania – dodatkowo je izolują.

Jednostkowe akty pomocy, które się zdarzają, wywierają oczywiście bardzo duży wpływ na wychowanków, ale nie przerywają ciągu zdarzeń:

Na moje prośby zareagowała dopiero pani Zofia Włodarska, gdy w 2006 roku przeniesiono mnie do Szkoły nr 8 w Zabrze. Uwierzyła mi. Zgłosiła sprawę do prokuratury, zostałem zabrany z ośrodka. Tylko dzięki niej żyję. Pytała, jak się czuję, co u mnie. Chciałbym mieć taką matkę.<sup>28</sup>

Tak, jak lekceważone są opowieści dzieci o biciu, nawet wtedy, gdy ich prawdziwości dowodzą ślady pobić, tak samo wypierany jest fakt przyzwolenia na gwałty. Przez lata – nawet, gdy jakoś reagowano, jak w wyżej opisanym przypadku – nikt nie sprawdzał, dlaczego wychowankowie podejmują próby samobójcze, dlaczego powtarzają się wyznania o gwałtach, a także o ich akceptacji przez osoby prowadzące sierociniec. Momentem przzerwania milczenia jest dopiero morderstwo, od którego zaczyna się reportaż Kopińskiej. Gdy dwóch wychowanków domu dziecka zabiło chłopca spoza ośrodka, a więc sprawa zaczęła dotyczyć nie tylko porzuconych dzieci, pojawiły się pytania, a za nimi – kontrole. Wcześniej nikt nie ośmielał się kwestionować zasad panujących w ośrodku.

O tym, że dziewczynki są bite przez siostrę Monikę, pisałam listy do matki generalnej. Nie reagowała (...). Nie rozumiem, dlaczego

---

<sup>27</sup> Tamże, s. 136.      <sup>28</sup> Tamże, s. 137.



siostry nie reagowały na molestowanie. Osoby świeckie nie zostawały w ośrodku na noc. (...). Wcześniej nie wierzyłam w te gwałty. Dopiero niedawno byli wychowankowie mi o nich opowiedzieli. Mówili, że molestowanie trwało od lat.<sup>29</sup>

Reakcje, nawet jeśli się zdarzały, miały charakter wyłącznie interwencji wewnątrz instytucji. Przekonanie, że nieetyczne jest zgłoszenie przestępstw popełnianych przez osoby duchowne, skutecznie blokowało wszystkie próby zmiany stanu rzeczy. Jednocześnie, siostry zakonne, a zwłaszcza tytułowa siostra Bernadetta, otrzymywały wiele wsparcia w związku ze swoją pracą, dostawały nagrody, były rozpoznawalne w ramach lokalnej społeczności. Im bardziej rósł ich status, tym mniejsze były szanse wychowanków na ujawnienie swojego prawdziwego losu. Dysproporcja między postrzeganiem dzieci jako zależnych, trudnych, niewiarygodnych, a zarazem otoczonych opieką a siostrami zakonnymi, które postrzegano jako oddane, wręcz heroicznie niosące pomoc, była tak wielka, że nawet oczywiste sygnały przemocy były lekceważone.

Tym, co łączy opisywaną przez Kopińską sprawę, z przypadkiem, który stał się przedmiotem reportażu Szczygła, jest nie tylko przemoc wobec dzieci i najpierw brak reakcji na nią, a później zbiorowe oburzenie, lecz również odmowa przyjęcia pełnej odpowiedzialności przez osoby, które były albo sprawcami przemocy, albo jej prowodyrami. Mimo skazania (na wyjątkowo łagodny wyrok, biorąc pod uwagę skutki dla lokalnej wspólnoty i dla wielu bardzo mocno poszkodowanych osób), siostra Bernadetta nie wykazywała ani skruchy, ani zrozumienia dla swojego czynu:

Świadek obecny na obu procesach: – Zastanowiło mnie, że siostra ani przez chwilę nie pokazała, że żal jej chłopców. Podczas całego procesu była bardzo spokojna. Mówiła, że dzieci są złe, upośledzone i nie należy im wierzyć. Jedyne uczucia pokazała, gdy prokurator powiedziała do niej imieniem z dowodu: „Pani Agnieszko”.

---

<sup>29</sup> Tamże, s 146–147.

Zaczerwieniła się ze złości, krzyczała, by nazywać ją „siostrą dyrektora Bernadettą”.<sup>30</sup>

Wyparcie własnego sprawstwa ma tu szczególnie dotkliwy charakter. Przełożona, odpowiadająca nie tylko moralnie, ale i prawnie za wszystko, co dzieje się w ośrodku, nie przyjmuje do wiadomości, że do konkretnych zdarzeń w ogóle dochodziło. Kwestionuje więc w pierwszej kolejności samą rzeczywistość, a nie tylko swoją odpowiedzialność. Poziom wyparcia jest tak wielki, że budzi zdziwienie prowadzącej sprawę prokurator:

Wcześniej prowadziłam sprawy zabójców, pedofilów, ale nawet oni odczuwali jakieś wyrzuty sumienia. Siostry były zupełnie zaskoczone naszą interwencją. Nigdy nie spotkałam się z tak szczerym przekonaniem u oprawcy, że postępuje właściwie, a działania prokuratury są zwykłą pomyłką, za którą prokurator i policjanci zostaną ukarani.<sup>31</sup>

Jednak to przekonanie o własnej niewinności tylko na pozór jest szokujące. Wydaje się, że siostry, a zwłaszcza siostra Bernadetta, były przekonane o słuszności własnych czynów. Uznawały, że wszelkie stosowane przez nie kary są dobre, ponieważ mają nauczyć dzieci właściwego postępowania:

Te siostry skądś wzięły przekonanie: dzieci należy bić. Tak jakby ktoś im powiedział, że dzieci muszą być idealne. I gdy popełniały błędy, to siostrą puszczały hamulce. Siostra dyrektor Bernadetta nawet podczas procesu była pewna siebie. W niektórych momentach, podczas zeznań dzieci, prychała.

Zdaniem sióstr wszystkie dzieci były opóźnione w rozwoju. Ale przyczyny organiczne występowały tylko u części z nich. Reszta to dzieci, które do rozwoju nie były stymulowane. W ośrodku nawet rozrywki były związane z nadzorem i kontrolą. Brakowało takiego zwykłego serca.

<sup>30</sup> Tamże, s. 140.      <sup>31</sup> Tamże, s. 155.

Według mnie siostry nie odróżniały gwałcicieli od ofiar. Obie strony traktowały jak zбочeńców.<sup>32</sup>

Powyższy cytat, pochodzący z wypowiedzi biegłej psycholog, pokazuje, że dzieci traktowano całkowicie instrumentalnie, jakby były wyłącznie przedmiotami, które mają spełniać określone funkcje. Dzieci miały być „grzeczne”, spełniać polecenia opiekunów i nie sprawiać kłopotów. Te, które zachowywały się zgodnie z normami, były bite zdecydowanie rzadziej, rzadziej też padały ofiarami kontrolowanej przez siostry przemocy seksualnej. Przedmiotowe traktowanie spotykało jednak wszystkich bez wyjątku: każdy mógł paść ofiarą przemocy, a więc wszyscy musieli się podporządkować.

W reportażu Kopińskiej uderza więc – i w przypadku siostr zakonnych, i całego otoczenia – brak umiejętności powiązania skutków oraz przyczyn zachowań. Przemoc, być może nie ta seksualna, ale na pewno ta związana z biciem dzieci, zamykaniem, pozbawianiem możliwości nawiązywania kontaktów rówieśniczych, i tak dalej, była znana i akceptowana. Przemoc seksualna już nie, ale późniejsza reakcja społeczna wskazuje na podstawowe niezrozumienie mechanizmów działania przemocy i na sprawców, i na ofiary. Sprawcy pozostawali bezkarni przez lata, stopniowo przesuwając granice przemocy oraz przyzwyczajając się do niej. Ofiary były uczone, że nawet względnie udane próby pozyskania pomocy nie zmieniają niczego w zasadach panujących w sierocińcu. Jednostkowe wyzwolenia pojedynczych dzieci mogły wręcz upewniać siostry o bezkarności: bo jeśli nawet w przypadkach, w których ktoś uwierzył chłopcom, następowało zaledwie ich przeniesienie do innego ośrodka, to co mogłoby przerwać funkcjonowanie placówki? Okazało się, że tym czymś jest dopiero morderstwo.

---

<sup>32</sup> Zdania te pochodzą z nieco późniejszego reportażu, dotyczącego przemocy wobec dziewcząt. J. Kopińska, *Czy Bóg wybaczy boromeuszkom? Kopińska wraca do złego sierocińca siostry Bernadetty*, [https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy\\_Bog\\_wybaczy\\_boromeuszkom\\_\\_Kopinska\\_wraca\\_do\\_zlego.html?disableRedirects=true](https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy_Bog_wybaczy_boromeuszkom__Kopinska_wraca_do_zlego.html?disableRedirects=true) [dostęp: 10 stycznia 2020].

Jednak nawet zbrodnia nie zmienia wiary zakonnic we własne właściwe zachowanie. Być może pewnym wyjaśnieniem trwania przy nim mogą być klasztorne zwyczaje, lekceważące jakiegokolwiek prawa jednostki do samostanowienia<sup>33</sup>. Przemoc i naruszanie granic nie było w tym przypadku „wypadkiem” lub naruszeniem pewnych reguł, było z nimi zgodne: stanowiło logiczną kontynuację przekonania, że ludzie nie mają prawa do prywatności, że nic nie znaczy ich prawo do wyrażania własnych uczuć oraz – przede wszystkim – że sami nic nie znaczą, że ich istnienie ma sens tylko wtedy, gdy przestrzegają określonych zasad. Gdy podporządkowanie jest wartością samą w sobie, nie ma niczego, czego nie dałoby się usprawiedliwić w imię zmuszenia kogoś do uległości.

I tu dochodzimy moim zdaniem do sedna mechanizmu działającego w ramach reportażu Kopińskiej. Polegał on na zmuszaniu do

---

<sup>33</sup> Wątek ten jest wyeksponowany w reportażu J. Kopińskiej, *Czy Bóg wybaczy boromeuszkom?* Dowiadujemy się z niego o nadużyciach w grupie dziewcząt, wynikających między innymi z przydzielenia do opieki nad dziećmi siostr bez żadnego przygotowania pedagogicznego, nawet czysto praktycznego, ale również o kontroli, która dotyczyła również zakonnic:

„Nowicjat to był istny koszmar. Z 12 siostr, które były razem ze mną, tylko ja zostałam w zakonie. I to dlatego, że już naprawdę nie miałam gdzie pójść. Byłyśmy inwigilowane w każdym momencie naszego życia. Pamiętam, że przyszła do nas siostra, była komunistka, która się nawróciła. Dużo myślała o totalitaryzmie. Mówiła, że komunizm potrafił wypaczyć nawet najpiękniejsze ideały. I ona porównała nasz nowicjat do systemu totalitarnego. Siostry podsłuchiwały wszystkie rozmowy. Jak rozmawiałam z koleżanką, to słyszałam, że ktoś dyszy w słuchawce, ale one nawet się tego nie wstydziły. Wręcz przeciwnie, gdy nas później pouczyły, to nawiązywały do tych rozmów. Listy dostawałyśmy już otwarte. Słyszałam, że nawet w więzieniu się tego nie robi, albo przynajmniej dba, żeby więzień nie zauważył. Nawet jak ktoś dostawał listy w języku rosyjskim, to siostry niby przypadkiem wtrącały, że one trochę rosyjski rozumieją. Musiałyśmy się tłumaczyć z najmniej istotnych decyzji: «A dlaczego wyszłaś rano na spacer?». Później siostry powtarzały te zachowania w ośrodku. Wychowankowie musieli się spowiadać ze wszystkiego. Nawet rodzeństwo nie mogło się ze sobą kontaktować. Podejrzana była «bliskość». Osoby samotne i wyobcowane łatwiej kontrolować.”

[https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy\\_Bog\\_wybaczy\\_boromeuszkom\\_\\_Kopinska\\_wraca\\_do\\_zlego.html?disableRedirects=true](https://wyborcza.pl/duzyformat/1,127290,17718108,Czy_Bog_wybaczy_boromeuszkom__Kopinska_wraca_do_zlego.html?disableRedirects=true) [dostęp: 10 stycznia 2020].

uległości, do redukcji własnej osobowości w imię narzuconych reguł. Nie zamierzam argumentować, że jest to nieuchronna konsekwencja przyjęcia pewnych założeń religijnych, ale trudno nie oprzeć się wrażeniu, iż jest z nimi związana.

Warto jednak podkreślić, że nawet w najbardziej świeckim postrzeganiu społecznej roli dzieci widać ten sam mechanizm: wartościowanie dzieci w zależności od tego, czy są „grzeczne” polega w gruncie rzeczy na tym samym – uznaniu, że ich wartość zależy od skłonności do podlegania abstrakcyjnym regułom, najczęściej zmiennym, dość skomplikowanym (a przynajmniej zbyt skomplikowanym dla kilkulatek) i warunkowym (od dzieci żąda się posłuszeństwa i podporządkowania, a zarazem zaradności; pełnego oddania opiekunom i umiejętności zajęcia się sobą etc.). Dzieci są więc punktem afektywnego zapętlenia: ich funkcje i znaczenie są określane przez oczekiwania opiekunów. Oczywiście wiele, zapewne nawet większość dzieci, jest wychowywana przez opiekunów, którzy starają się ich podporządkowywać ich tylko i wyłącznie własnym wyobrażeniom na temat tego, jak dzieci powinny postępować i coraz częściej uznaje się ich podmiotowość, ale nie zmienia to faktu, że tam, gdzie tej woli brakuje, nie ma skutecznych narzędzi – nie tylko prawnych, ale i społecznych – do ochrony dzieci przed nadużyciami.

### 3. Podsumowanie

Postrzeganie roli dzieci oraz mechanizmów ich ochrony jest więc – przynajmniej moim zdaniem – głównym tematem i zarazem motywacją do powstania analizowanych przeze mnie reportaży. Jest ono również probiezmem tego, jak społeczeństwo myśli o sobie. W Polsce wciąż jeszcze mamy stosunkowo słabą ochronę prawną dzieci i znaczne społeczne przyzwolenie na to, by opiekunowie mieli prawo do stanowienia o dziecku, włącznie z możliwością stosowania kar cielesnych – mimo prawnego zakazu<sup>34</sup>. Jednocześnie, w przypadku spraw

---

<sup>34</sup> Politycy wprost popierający bicie dzieci (i nie tylko) zasiadają w polskim Sejmie i nie są piętnowani, choć nawołują do przestępstwa oraz przyznają się do jego

dotyczących nadużyć wobec dzieci, opinia społeczna najczęściej jest bardzo surowa. Wbrew pozorom, nie jest to paradoks lub niespójność, lecz afektywna konsekwencja pewnego stanu rzeczy, którą wspomniane reportaże mniej lub bardziej świadomie wydobywają.

Gdy powszechnie uznaje się pierwszeństwo prawa opiekunów do dziecka przed prawem dziecka do ochrony, silna negatywna reakcja w przypadku rzeczywistych i drastycznych nadużyć jest skutkiem mechanizmu obronnego, który wyłącza ze wspólnoty społecznej osobę, która dopuściła się przemocy. Zdarzenie traktuje się jako eksces, a sprawcę jako jednostkę zdegenerowaną, obcą (stąd też łatwiejsze jest odczuwanie nienawiści nie wobec rodziców, którzy zagłodzili swoje dziecko, lecz wobec znachora, który ich zmanipulował). W takim przypadku przemoc jest traktowana nie jako skutek przyzwolenia, by patrzeć na dziecko jako na rzecz, lecz izolowany akt, który wydarza się niejako obok norm społecznych i bez związku z brakiem reakcji na wiele mniejszych lub większych nadużyć. Mechanizm ten powielają i sprawcy, którzy albo przemocy nie widzą, albo dostrzegają zamiast systemowej jedynie „błąd”, i świadkowie, którzy wypierają możliwość wzięcia odpowiedzialności za brak reakcji.

Pod tym względem reportaże Szczygła i Kopińskiej są próbą przezwyciężenia mechanizmu afektywnego przeniesienia i skonfrontowania – nie tyle przecież sprawców, co raczej społeczeństwa – z tym, w jaki sposób rodzi się przemoc i przyzwolenie na nią. To dość skomplikowana i nie zawsze udana interwencja afektywna, która realizuje wprawdzie specyficzną, ale istotną służebność: konfrontowania powszechnie przyjmowanego obrazu społeczeństwa z tym, jak ono rzeczywiście funkcjonuje, albo, mówiąc prościej: tego, jak sami siebie postrzegamy z tym, jak naprawdę działamy.<sup>35</sup> Jej celem jest nie tyle opowiedzenie historii konkretnych osób i interwencja w tychże

---

popelniania. Sytuacja, w której bicie dzieci, czasem określane jako „dawanie klapsa”, jest traktowana jako „obywatelskie nieposłuszeństwo” pokazuje, jak wiele pozostaje do zrobienia na tym gruncie. Por. m.in. [http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114871,16072641,Skandaliczne\\_slowa\\_europosla\\_Korwin\\_Mikkego\\_\\_\\_Bicie.html](http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114871,16072641,Skandaliczne_slowa_europosla_Korwin_Mikkego___Bicie.html) [dostęp: 10 stycznia 2020].

<sup>35</sup> Jej działanie może przybliżyć proponowana przez Przemysława Czaplińskiego wizja funkcjonowania reportażu jako „gatunku mącącego”, przyczyniającego się

przypadkach, ile spojrzenie na sprawy przemocy wobec dzieci jako na kwestie systemowe, dotyczące całego społeczeństwa, a nie tylko wąskiego kręgu sprawców i ofiar. Jednak, jak pokazuje odbiór wspomnianych reportaży, ten cel jest osiągany wyłącznie częściowo, bo rezygnacja z wygodnej roli sędziów w sprawie, na rzecz zdecydowanie mniej komfortowej roli osób współodpowiedzialnych, wymaga jeszcze wiele pracy i być może wyraźniejszego zaznaczenia, że wyparcie nie jest zawsze mechanizmem ochronnym dotyczącym katów, ale i podzielanym, społecznym afektem, który równocześnie chroni dobre samopoczucie określonej społeczności i przyczynia się do utrwalania wzorców utrudniających walkę z przemocą.

---

do odświeżania problemów, które społeczeństwo chce pominąć. Por. P. Czapliński, *Gatunek orientacyjny. Reportaż polski na przełomie XX i XXI wieku*, „Teksty Drugie” 2019 nr 6.





## Podsumowanie

### 1. Punkty łączące

Punktem wyjścia tej książki była analiza – robocza i prowadzona wyłącznie pomocniczo – kryzysu współczesnej humanistyki. Ostatni rozdział poświęcono specyficznym reportażom interwencyjnym. Pomędzy nimi analizowałam kilka odmiennych zjawisk kulturowych, posługując się odrębnymi metodologiami i pracując na zasadniczo różniących się od siebie tekstach kultury. Konstrukcja tej publikacji, podzielonej na szesnaście rozdziałów i cztery części, oddaje tę z góry założoną możliwość czytania każdej części, a w zasadzie i każdego rozdziału, osobno. Jednak, mimo tej możliwości, od początku książka ta była pomyślana jako całość.

Jej spoiwem nie jest ani tematyka rozumiana jako wybór poszczególnych tekstów do analizy, ani metodologia traktowana jako konkretny zestaw narzędzi interpretacyjnych. Jest nim coś zasadniczo innego: potrzeba zorientowania prowadzonych badań wokół kwestii zaangażowania oraz zmierzenia się z postulatem prowadzenia własnych analiz tak, by były one z jednej strony autonomiczne, z drugiej zaś – jak wskazuje wyłożona na początku tej książki koncepcja – pełniły również określone funkcje służebne. Zgodnie z tym podejściem, w każdej z części interpretacyjnych następuje pewna gradacja: od przedstawienia narzędzi teoretycznych, przez analizę wybranych tekstów kultury do interpretacji grupy tekstów, których odczytanie poza kluczem zaangażowania nie byłoby możliwe albo byłoby bardzo ograniczające. Publikacje Olgi Tokarczuk, Swietłany Aleksijewicz oraz Mariusza Szczygła i Justyny Kopińskiej czytane są zatem nie tylko przez pryzmat „macierzystych” metodologii, a więc ekokrytyki, studiów nad pamięcią oraz afektami,

ale także – a może i nawet przede wszystkim – są interpretowane w kontekście narastającej potrzeby zabrania głosu w sprawie palących problemów społecznych.

Nietrudno zauważyć, że im bardziej wzrasta poziom zaangażowania analizowanego dzieła, tym trudniejsza jest ucieczka zarówno od własnego (a więc osoby czytającej oraz interpretującej) zaangażowania i zarazem od pytań o funkcje tak zaprojektowanych tekstów. Pod tym względem układ i kolejność poszczególnych rozdziałów nie była przypadkowa: choć rozpoczynam od ekokrytyki, a na studiach nad afektami kończę, widać, że poszczególne metodologie nakładają się na siebie: trudno byłoby mówić oraz pisać o kwestii upodmiotowienia zwierząt, nie posługując się – choćby szczątkowo – pojęciami z zakresu badań nad afektami. Podobnie jest w przypadku analiz na pierwszy rzut oka całkowicie pamięciologicznych, w których jednak – zwłaszcza w przypadku reportażu Swietłany Aleksijewicz – kontekst afektywny jest niezbędny. Działa to również w drugą stronę: pamięć oraz problem reprezentowania tych, którzy sami nie są w określonym systemie prawnym sprawczy, jest istotny również w przypadku analizy afektującego dziennikarstwa Kopińskiej i Szczygła.

Odmienne metodologie nawiązują więc ze sobą jasno uchwytne związki i ułatwiają rozumienie złożonego tekstowego świata oraz relacji, które nawiązuje z rzeczywistością wobec tekstu zewnętrzną. Wyraźna dominacja metodologiczna badań nad afektem, którym w całości poświęcona jest dopiero ostatnia część książki, pokazuje, że centralna dla mnie kwestia zaangażowania wyzwala – na różnych poziomach i na odmienne sposoby – afektywną reakcję. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jej indukowanie stanowi jeden z podstawowych mechanizmów funkcjonowania analizowanych przeze mnie tekstów kultury. Co to jednak oznacza w praktyce?

## 2. Punkty zapętleń

Jak sugerowałam, dla interpretacji wszystkich interesujących mnie w tej publikacji tekstów kultury kwestia zaangażowania oraz prowadzenia do afektywnej reakcji jest kluczowa. Z tego powodu zasługuje

na co najmniej kilka zdań komentarza, który łatwiej będzie zacząć od pytań, niż od wyjaśnień.

Czy zaangażowanie, w przypadku analizy tekstów rozumiane jako co najmniej zdolność i chęć podmiotu do myślowego wikłania się w tekstowy świat i reprezentowane w jego obrębie oraz przez jego konstrukcję problemy, prowokuje do afektywnej reakcji? Czy też jest raczej odwrotnie: dopiero, gdy tekst wyzwoli określoną – niekoniecznie wcale pozytywną, niekoniecznie zamierzoną – afektywną reakcję, to dzięki niej i za jej pośrednictwem rodzi się w podmiocie chęć lub przyzwolenie na zaangażowanie? Czy afektywna reakcja (dowolnego typu, specjalnie unikam tu prób nazywania poszczególnych afektów) oraz zaangażowanie, które może być i emocjonalne, i intelektualne, są czymś wobec siebie odrębnym, czy też są ze sobą związane? A jeśli to drugie, to na czym ten związek polega? Czy można, posługując się najszerszą i najprostsza definicją afektu, wychodzącą od kategorii stworzonych przez Barucha Spinozę, w których afekt wiąże się ze zdolnością do odbierania bodźców, a więc ze zdolnością do oddziaływania i bycia przedmiotem oddziaływania, twierdzić, że każdy afekt rodzi zaangażowanie?

Powyższe pytania, choć mogą sprawiać wrażenie nadmiernie szczegółowych, są moim zdaniem ważne dla określenia relacji między tymi dwoma, kluczowymi dla tej publikacji, pojęciami. Dla ich rozwikłania warto odwołać się – jeszcze raz – do przedstawianych już przeze mnie też Jill Bennett. Badaczka, analizując działanie współczesnej sztuki twierdziła, że jej zdolność do afektowania polega na czymś nieco więcej, niż na zdolności do oddziaływania na odbiorcę. Integralną częścią interesującej teoretyczkę reakcji było poczucie bycia dotkniętym, wystawionym na bodźce i zarazem doświadczenie odczucia własnej reakcji. Odczucie, o którym wspominam za Bennett, nie musiało być wcale świadome ani tym bardziej intelektualne lub rozumowo opracowane. Niemniej, musiało być doświadczone. W tym przypadku najważniejsza była korelacja dotknięcia (wywarcia wpływu, doznania bodźca) i zareagowania na ten akt (bycia zaafektowanym, doświadczenia własnej reakcji, również na poziomie cielesnym i nieświadomym). Praca afektu polega na zdolności do oscylowania między byciem biernym i czynnym, byciem świadomym i działaniem instynktownym.

Gdzie w przedstawionej koncepcji mieści się zaangażowanie? Bennett nie używa tego konkretnie pojęcia, nie oznacza to jednak, że do niego nawiązuje. Pisze wielokrotnie o empatii, jako o afekcie, który rodzi się z uświadomienia sobie własnej reakcji: z bycia otwartym i wystawionym na bodziec, z bycia współodczuwającym<sup>1</sup>. Pod tym względem empatia jest najbardziej – w dalszym ciągu odwołuję się do koncepcji Bennett – transaktywnym afektem. Wymaga zdolności do przekroczenia własnego doświadczenia, do otwarcia się na doznania, które płyną z połączenia obserwacji cudzych emocji i naszych własnych reakcji na nie. O ile więc nie każda afektywna reakcja wymaga zaangażowania, o tyle empatia nie może się bez niego obejść.

Czy jednak tak rozumiane zaangażowanie jest w takim razie reakcją, czy decyzją? Poszerzając nieco opisywaną koncepcję: zdecydowanie reakcją. Można odczuwać empatię nie chcąc, można również nie doświadczać jej w momentach, w których bardzo chcielibyśmy ją w sobie wzbudzić. Empatia nie podlega kontroli woli, choć oczywiście już to, co z nią (lub jej brakiem) robimy, jak najbardziej może być kontrolowane. Czy podobnie jest z zaangażowaniem? Czy również ono pozostaje poza kontrolą woli?

Odpowiedź na to pytanie wydaje mi się ważna, podobnie jak określenie relacji między afektywną reakcją, zwłaszcza empatyczną, a zaangażowaniem. Jak sugerowałam, nie ma empatii bez zaangażowania. Nie oznacza to jednak, że zaangażowanie musi wiązać się z empatią. Zaangażowanie może wynikać i z afektywnej, cielesnej reakcji, jak i z zupełnie intelektualnego opracowania jakiegoś problemu czy zagadnienia. Można być zaangażowanym – o czym upewnia nas choćby zwykłe, codzienne doświadczenie – w sprawy, które niekoniecznie nas afektują, niekoniecznie budzą empatię, ale wydają się nam – z różnych powodów – istotne. Zaangażowanie może więc wynikać nie tylko z afektu, ale i być skutkiem określonej decyzji. W przypadku niektórych problemów raczej decydujemy się na określoną reakcję, niż po prostu reagujemy.

Równocześnie, nie każda afektywna reakcja rodzi zaangażowanie, a przynajmniej – to zaangażowanie, które oznacza przynajmniej

---

<sup>1</sup> Por. J. Bennett, *Emphatic Vision...*

czasową chęć włączenia się w określoną sprawę, problem, czy zjawisko. Skoro jednak do pewnego stopnia afekt i zaangażowanie pozostają wobec siebie osobne, to dlaczego rozpatruję je tu łącznie?

Odpowiedzi na to pytanie dostarczają analizowane przeze mnie wcześniej teksty kultury. Chociaż te dwa fenomeny mogą istnieć bez siebie, wzajemnie wspierają i potęgują swoje działanie. Warto odwołać się do przykładu z pisarstwa Olgi Tokarczuk: gdy zaczniemy reago-  
wać na emocje bohaterki *Prowadź swój pług przez kości umarłych* na utratę Dziewczynek, trudno nam będzie uniknąć przed samym sobą odpowiedzi na pytanie, czy uznajemy zabijanie zwierząt dla sportu za etycznie dopuszczalne. Afektywna reakcja prowokuje do intelektualnej i na odwrót: te dwa fenomeny oraz typy oddziaływania tworzą swoistą pętlę reakcji, finalnie zmuszając podmiot do działania. Pełnią więc one wobec siebie służebną funkcję: wzajemnie się uzupełniają i potęgują swoje działanie, rodząc nową jakość oddziaływania tekstu kultury na rzeczywistość nie tylko już tekstową. Odwołując się ponownie do tego samego przykładu z prozy Tokarczuk, nawet w przypadku, w którym uznamy, że tak, że istnieją sytuacje, w których zabijanie zwierząt nie jest niemoralne, pozostanie w nas ślad konieczności rozważania konkretnego problemu i wynikająca z niego potrzeba określenia własnego stanowiska oraz własnych granic. Coś, co niekoniecznie jawiło się jako problem, staje się nim, zaczyna być postrzegane jako wymagające – choćby tylko osobistej – reakcji. Jest to moim zdaniem podstawowy sposób budzenia równoczesnego afektywnego i intelektualnego zaangażowania, często skuteczniejszy, niż silniej operujące mechanizmem utożsamienia zabiegi.

Tak rozumiane afektywne zaangażowanie polega na prowokowaniu do reakcji, nawet jeśli miałyby to być wyłącznie reakcja polegająca na dookreśleniu lub przenegocjowaniu określonych zagadnień w obrębie światopoglądu jednostki. Taka pozornie mała zmiana jest jednak i sprawcza, i w proponowanym tu rozumieniu funkcji humanistyki służebna, tak dla rozwoju podmiotu, jak i przemian życia społecznego. Pozwala na dostrzeżenie wcześniej przegapianych problemów oraz zorientowanie się wobec nich, przykuwając i niejako zapętlając uwagę podmiotu.

### 3. Punkty przecięć

Mechanizm zapętlenia uwagi podmiotu oraz łączenia afektywnego i intelektualnego zaangażowania jest dla mnie bardzo istotnym, ale nie jedynym fenomenem łączącym analizowane w ramach tej książki zagadnienia. Oprócz wspomnianych wyżej punktów zapętleń warto również zwrócić uwagę na punkty przecięć, pojawiające się nie tylko między analizowanymi tekstami, ale i między całymi, interesującymi mnie dyscyplinami. Chciałabym od razu wyraźnie zaznaczyć, że nie są to „obszary graniczne” określonych pól badawczych, lecz raczej koncepcje oraz pojęcia, które sytuują się w centrum każdej z nich i wpływają na rozumienie oraz budowę odmiennych narzędzi teoretycznych.

Takich punktów przecięć i zarazem – odwołując się do koncepcji Mieke Bal<sup>2</sup> – wędrujących pojęć, jest w tej książce sporo. Na pierwszy plan wysuwa się jednak kilka, powtarzających się w praktycznie każdym rozdziale tej publikacji: kategoria Wydarzenia, często związana z koncepcją katastrofy, pojęcie faktów oraz afektywnych faktów, a także empatia. Umyślnie nie wymieniam tu terminów ściśle związanych z konkretną metodologią: jak poszczególne odmiany pamięci, różne typy rozumienia środowiska czy definiowania afektów oraz emocji. Warto moim zdaniem rozróżniać sytuację „wędrowania” określonej kategorii z jednego, ściśle określonego pola badawczego do innych, od zjawiska powstawania pojęć, które od początku przekraczają granice jednej dyscypliny czy jednego dyskursu. O ile w tej pierwszej sytuacji rozwijana przez Bal koncepcja wędrowania polega na powolnej migracji kategorii z kontekstu macierzystego do innych pól badawczych, w których jest rozwijana oraz używana do analizy odmiennych zjawisk, przez co wzbogaca się i poszerza również kontekst macierzysty, o tyle w interesującej mnie sytuacji mamy raczej do czynienia ze zjawiskiem gwałtownego rozpleniania się i mutowania określonych koncepcji, często po raz pierwszy użytych do analizy problemów, które sytuują się między lub poza tradycyjnym podziałem na dyscypliny.

---

<sup>2</sup> Por. M. Bal, *Travelling Concepts...*

Pierwsza ze wspomnianych kategorii, czy Wydarzenie, jest przeze mnie używana konsekwentnie w interpretacji Lauren Berlant<sup>3</sup>. Nie jest to oczywiście jedyna opcja rozumienia tej kategorii, ale wydaje się ona – co w tym przypadku uznaję za pożądane – najszersza oraz najłatwiejsza do dostosowania do analizy odmiennych problemów. Wprawdzie Berlant korzysta z konkretnego, afektywnego języka, określając Wydarzenie jako punkt lub moment, związany z określonym, realnym wydarzeniem (najczęściej historycznym, choć nie zawsze), w którym zmienia się afektywna struktura i które przeorganizowuje nasz sposób myślenia o rzeczywistości, to przydatność tej koncepcji wykracza szeroko poza studia nad afektami. Pozwala na opisanie zarówno zjawisk o charakterze globalnym i wspólnotowym, jak i jednostkowego, intymnego doświadczenia, pod tym względem stanowiąc alternatywę dla nadużywanego niekiedy pojęcia traumy (nie każde tożsamościotwórcze, gwałtowne zdarzenie musi być lub jest traumatyzujące). Płynnie łączy się z metodologią badań nad pamięcią oraz z językiem ekokrytyki, zwłaszcza w dyskursie, dla którego istotna jest kategoria katastrofy. Szerokość i łatwość stosowania tego pojęcia może być oczywiście zagrożeniem, jak w przypadku każdego wyjątkowo poręcznego narzędzia, które może być używane jako specyficzny koncepcyjny wytrych. Możliwość inflacji nie powinna jednak przesłaniać realnych korzyści: uchwycenia zjawiska (i zarazem intuicji), że konkretne zdarzenia niejako wyłączają liniowy przebieg czasu oraz zmuszają do rekonstrukcji naszego sposobu doświadczania oraz interpretowania świata.

Pojęcie to wydaje się tak ważne z jeszcze jednego powodu: pokazuje, że Wydarzenia wpływają nie tylko na aktualną strukturę afektów, a więc zmieniają od konkretnego momentu czasowego naszą percepcję, lecz zmuszają nas również do wstecznej rekonstrukcji pamięci oraz interpretacji tego, co już się wydarzyło. Zmianie ulega zatem nie tylko terażniejszość i modele pojmowania przyszłości, ale również to, jak postrzegamy przyszłość.

Drugi z interesujących mnie punktów przecięć to pojmowanie faktów oraz afektywnych faktów. Wbrew pozorom nie tylko część

---

<sup>3</sup> L. Berlant, *Intuitionists...*

książki poświęcona afektom, analizowanym na przykładach tekstów niefikcyjnych lub grających z konwencją prawdziwości czerpie z dynamicznego napięcia między tymi kategoriami. Pozostają one istotne również dla części ekokrytycznej i pamięciologicznej.

Siła i wpływ tych pojęć wynikają wprost z dostrzeganych między innymi przez Briana Massumi'ego przesunięć<sup>4</sup>: to, co obecnie traktujemy jako fakt, wcale niekoniecznie musi być prawdziwym, możliwym do weryfikacji, pozyskanym z wiarygodnego źródła twierdzeniem na temat teraźniejszości lub przyszłości. Jako fakty funkcjonują również przypuszczenia, lepiej lub gorzej uzasadnione, dotyczące bliższej lub dalszej przyszłości. Bez względu na to, czy owe przypuszczenia okazują się prawdziwe czy nie, wywołują realne konsekwencje: budzą konkretne afekty i emocje. Pod tym względem kategoria ta wchodzi w pewnego rodzaju dialog z wcześniej analizowaną: Wydarzeniem może stać się tylko to, co rzeczywiście zaistniało, jak na przykład – odwołując się do analiz charakterystycznych zarówno dla Massumi'ego, jak i Berlant – atak na World Trade Center, ale i to, co zaledwie mogło się stać, jak mniej lub bardziej konkretne ataki terrorystyczne, którym „udało się zapobiec”. O ile jednak kategoria Wydarzenia otwiera na reinterpretację raczej przeszłości i teraźniejszość, o tyle afektywne fakty wspomagają wprowadzanie trwałych zmian dotyczących naszego rozumienia przyszłości. Zgodnie z tym kluczem, staje się ona równocześnie coraz bardziej nieprzewidywalna (ponieważ nawet mało prawdopodobne zdarzenia są traktowane jako prawdziwe zagrożenie, a zarazem dobrze zdefiniowane zagrożenia, jeśli nie realizują się dostatecznie gwałtownie – jak zmiana klimatu – bywają całkowicie przegapiane i znikają z pola publicznej dyskusji) i dotkliwie realna (przyszłość jest widziana jako coś nieuchronnego, co na pewno nadejdzie i co napawa raczej strachem niż nadzieją).

Takie spojrzenie na przyszłość oraz na rolę afektywnych faktów mogłoby – przynajmniej potencjalnie – pełnić również pozytywne funkcje, zwłaszcza w przypadku dyskursów zaangażowanych w zmianę relacji między człowiekiem i jego otoczeniem, jak ma to miejsce w przypadku prądów ekokrytycznych, zookrytycznych, czy

---

<sup>4</sup> Por. B. Massumi, *Ontopower...*



posthumanistyki. Jednak jego wpływ, poza dość specyficznie rozumianą kategorią katastrofy, jest w takich dyskursach raczej niewielki. Łatwo zauważyć, że większą uwagę przywiązujemy do bardzo mało prawdopodobnych wersji rozwoju przyszłości, w których ataki terrorystyczne są globalnym i dotkliwym zagrożeniem, niż do faktów dotyczących realnych katastrof ekologicznych oraz niebezpieczeństw związanych z nieuchronnymi zmianami klimatycznymi. Nie twierdzę oczywiście, że ataki terrorystyczne nie są realne, ani że nie są dotkliwe, jednak skala ich społecznego oraz afektywnego oddziaływania, nie tylko na nasze doraźne reakcje, ale również na planowe działania, mające ograniczyć ich liczbę, jest zdecydowanie niewspółmierna do prawdopodobieństwa zagrożenia. W przypadku niebezpieczeństw „naturalnych”, spowodowanych konkretnymi działaniami człowieka, relacja jest odwrotna: są one raczej bagatelizowane i traktowane jako niemożliwe lub ekstremalnie trudne do uniknięcia.

Widać więc wyraźnie, że o wiele większy wpływ na naszą wyobraźnię, emocje, afekty, przewidywania dotyczące przyszłości oraz realne działania mają Wydarzenia związane z ludzką, celową i planową działalnością. Łatwiej nam orientować się wokół zdarzeń, które zostały świadomie wywołane, niż wobec rzeczy, które dzieją się w konsekwencji lub w związku z innymi działaniami, nawet jeśli są łatwiejsze i pewniejsze do przewidzenia.

Nie oznacza to oczywiście, że dyskursy oraz metodologie nakierowane na analizę i zmianę nastawienia w relacjach między tym, co ludzkie i tym, co nieludzkie lub pozaludzkie, skazane są na niepowodzenie. Wydaje się jednak, że w tych przypadkach skuteczniejszym narzędziem, niż prowokowanie do tworzenia afektywnych faktów (których działanie opiera się na – na pozór – logicznej analizie rzeczywistości oraz tworzeniu przewidywań w oparciu o rzeczywistość) jest budowanie empatii. Wskazywałam wcześniej, że empatia jest moim zdaniem trzecim głównym punktem przecięcia prowadzonych w ramach tej książki analiz, zdecydowanie najważniejszym w tych przypadkach, w których istotne jest wywoływanie reakcji wobec zjawisk, osób i zdarzeń wykraczających poza wyłącznie ludzki świat.

Podkreślam wpływ oraz znaczenie tego afektu kilkakrotnie, w różnych miejscach i kontekstach tej książki nie bez przyczyny. Empatia

jest jednym z nielicznych, a być może jedynym afektem, który jest równocześnie: na tyle intensywny, że pełni funkcję tożsamościotwórczą, może być odczuwany wobec wielu innych podmiotów (nie tylko ludzkich), niestopniowalny w tym sensie, że doświadczenie empatii jest zawsze doświadczeniem przekroczenia granic i ma wpływ na strukturę afektywną doświadczającego jej wpływu podmiotu, niehierarchiczny i nie wytwarzający relacji władzy, transaktywny, angażujący równocześnie cielesne doświadczenie oraz intelektualną reakcję oraz – przede wszystkim – nakierowany nie na nas samych, lecz na kogoś w podstawowym sensie innego, który jednak w ramach tego doświadczenia przestaje być obcy. Empatia, choć opiera się na zdolności do dostrzegania tego, co nas w podstawowy sposób nie dotyczy, jako tego, co nas dotyka, jest w pewnym sensie samozwrotna: wymaga wyjścia poza własne doświadczenie i zarazem nieuchronnie zmienia nie tylko to, co zostało już doświadczone, ale i to, co w ogóle możliwe do doświadczenia. Pełni więc często niedocenianą, ale kluczową rolę w procesie strukturyzacji doświadczenia.

Pod tym względem stanowi istotny komponent różnych dyskursów, nie tylko tych wprost odwołujących się do kategorii afektu. Można ją traktować nie tylko jako spontaniczną reakcję, ale również jako narzędzie badawcze i komunikacyjne. Empatia pomaga z jednej strony nazwać oraz opisać różne procesy, jakie zachodzą u odbiorcy danego tekstu kultury, z drugiej może być traktowana jako specyficzny chwyt i strategia, która ma na celu zaangażowanie oraz zbudowanie wspólnoty między odmiennymi podmiotami. Jako taka jest więc równocześnie punktem, w którym przecinają się różne, prowadzone w ramach tej książki analizy i przestrzenia, która pozwala na ich połączenie.

Oczywiście, istotnych dla tej książki punktów przecięć da się wyróżnić o wiele więcej. Na marginesie pozostawiam co najmniej kilka ważnych, w tym kwestię szeroko rozumianej konkurencji: między poszczególnymi typami pamięci, między odmiennymi obiegami literatury lub między literaturą światową a literaturami bliskiego zasięgu, między różnymi wersjami przeszłości oraz skorelowanymi z nimi afektywnymi faktami, między odmiennymi celami oraz typami afektywnych reakcji, i tak dalej. Sądzę jednak, że te trzy, na których się

skupiłam, najlepiej oddają dynamikę funkcjonowania współczesnej humanistyki, rozpiętej między odmiennymi problemami i językami ich opisu, a zarazem stale poszukującej pewnych stałych punktów i pól, które pozwalają na sprawną komunikację oraz poszerzanie – przez wzajemne interakcje i tarcia – osobnych metodologii.

#### 4. Służebność raz jeszcze

Ostatnią koncepcją, do której chciałam w ramach podsumowania tej książki wrócić, jest służebność i sygnalizowany nią problem. W pierwszej części publikacji wskazywałam, że kategoria służebności może ułatwić dyskusję nad kwestiami zaangażowania humanistyki oraz jej „obowiązków” i przydatności. Proponowane przeformatowanie rozmowy z narzucania humanistyce ogólnie, a literaturoznawstwu szczególnie, kolejnych powinności oraz rozliczania z arbitralnie postrzeganej użyteczności na rzecz realnej dyskusji nad tym jak, w jakim zakresie oraz wobec kogo humanistyka ma obowiązki, a dalej: jak można je uzasadnić i realizować, mogłoby przełamać impas między dwoma skrajnymi stanowiskami: podporządkowania humanistyki pragmatycznym celom oraz utrzymywania jej istnienia tylko o tyle, o ile jest to do ich realizacji konieczne vs. całkowitej niezależności i radykalnego oddzielenia od jakichkolwiek pragmatycznych kryteriów. Oscylowanie między tymi opcjami nie jest łatwe, ale jest moim zdaniem i konieczne, jeśli nie chce się zamykać na dialog, i użyteczne, również dlatego, że – jak starałam się pokazać w poszczególnych częściach i rozdziałach tej książki – niektóre teorie, koncepcje i teksty są nie tylko jednocześnie autonomiczne, zaangażowane i służebne, ale również te cechy wzajemnie z siebie wynikają oraz się wzmacniają.

Celem tej książki było pokazanie potencjału myślenia o humanistyce jako dziedzinie aktywności, w której służebność wobec określonych funkcji społecznych nie tylko nie wyklucza autonomii, ale może ją wręcz wspierać. Taka zmiana w postrzeganiu dyscypliny mogłaby się okazać i przydatna, także w dyskusjach krytycznych wobec humanistyki, i potencjalnie twórcza. Oczywiście, by mogła się

udać, ważniejsze niż jakiekolwiek koncepcje badawcze, czy pomysły, które mogłyby usystematyzować myślenie o humanistyce w kategoriach równoczesnej autonomii oraz realizacji określonych zadań, tu nazwanych służebnościami, jest nastawienie uczestników – nie tylko bezpośrednich – tej od lat toczącej się dyskusji. Dla zrozumienia jej dynamiki mogą okazać się przydatne dwa z trzech pojęć, które określiłam jako punkty przecięć: afektywne fakty oraz empatia.

Sądzę, że spora część krytyki humanistyki, a już zwłaszcza literaturoznawstwa, wynika ze źle rozumianego nastawienia na przyszłość. Antycypuje się określone wersje rozwoju nauki oraz rozwoju gospodarczego, w tym: potrzeby biznesu i na ich podstawie projektuje przekonania dotyczące tego, co będzie przydatne za kilkanaście lub więcej lat. Wartość takich przypuszczeń jest – gdy dotyczą okresu dłuższego niż kilka lat – co najwyżej znikoma, również dlatego, że nawet poprawne przypuszczenia nie są korygowane przez uwzględnienie, jak preferowanie określonej zmiany w rozwoju nauki wpłynie na poziom kształcenia czy wysycenie rynku. Żyjemy w czasach, w których bez sprzeczności twierdzi się, że zawody, które będą popularne za 15 lat jeszcze nie powstały i zarazem oczekuje się kształcenia dostosowanego do aktualnych potrzeb rynku. Pomija się również popularną, a zarazem teraz dotkliwie widoczną prawdę, że „prawdzych” problemów i przełomów prawie zawsze nie da się przewidzieć (jeszcze rok temu nikt nie przypuszczał, że umiejętność samodzielnej, zdalnej pracy może się okazać kluczowa w dobie pandemii, nieco w kontrze do przez lata akcentowanej potrzeby pracy zespołowej i w bliskim kontakcie).

Mimo że sprzeczność, o której piszę, jest coraz częściej dostrzegana i coraz częściej mówi się na przykład o potrzebie kształcenia miękkich kompetencji, to nie zmienia to faktu, że udało się zaszczepić w społeczeństwie, nie tylko polskim, przekonanie, że kształcenie humanistyczne jest oderwane od teraźniejszych oraz przyszłych potrzeb, tak społecznych, jak i rynkowych. Bardzo prawdopodobne, że „walka na fakty” da niewiele dobrego w tej sytuacji: wokół humanistyki wytworzyła się pewna afektywna struktura, która wpływa zdecydowanie negatywnie na zdolność do analizy faktów, przedkładając przed nie przekonania i uprzedzenia.

Można więc w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że przekonanie, iż humanistyka jest nauką oderwaną od rzeczywistości, nieużyteczną i w związku z tym niepotrzebną, jest pewnym afektywnym faktem. Podważanie materialnych podstaw tego faktu niekoniecznie przynosi rezultaty: nawet, jeśli uda się udowodnić, że jest inaczej t e r a z, to nie da się udowodnić, że będzie inaczej również w przyszłości. Stawiając sprawę nieco inaczej: największym problemem humanistyki nie jest jej aktualna sytuacja, ale to, jak jest wyobrażany jej rozwój. A najczęściej nie jest on wyobrażany w ogóle: krytycy zakładają stagnację i zacofanie, badacze oraz osoby w nią zaangażowane widzą ją jako kontynuację oraz ewolucję, ale nie potrafią w łatwo uchwytny sposób określić głównych celów konkretnych dyscyplin i powiązać ich z tym, jak widzimy i jak chcemy widzieć przyszłość w ogóle.

Powyższy opis nie jest krytyką, lecz próbą opisanego pewnego klinczu: nie jest niczym dziwnym, że od poszczególnych dyscyplin naukowych oczekuje się rozwoju oraz zdolności do określania własnych celów. Nie jest również dziwne, dlaczego humanistyka ma z tym zadaniem większy problem, niż inne dziedziny nauki. Jest bardziej niż inne reaktywna, silniej związana – wbrew pozorom i wbrew części argumentów krytycznych – z tym, co dzieje się tu i teraz, niż z tym, co ma dopiero nadejść. Humanistyka zaangażowana jest w zasadzie zawsze w zadania charakterystyczne dla teraźniejszości, niekoniecznie zaś w przewidywania dotyczące przyszłości. Nie oznacza to, że przyszłość nie istnieje jako horyzont badań, ale sprawia, że trudniej o formułowanie uchwytnych celów, jak na przykład w przypadku nauk medycznych, gdzie da się – nawet dla laika – wyodrębnić co najmniej kilka najważniejszych problemów oraz cezury czasowe, określające postęp w ich rozwiązywaniu.

Tymczasem w przypadku humanistyki – podobnie jak w odniesieniu do twórczości literackiej i kulturowej – nie da się określić, co będzie jej głównym zadaniem na następnych dziesięć czy piętnaście lat. A próby takiego prognozowania czy wręcz narzucania celów najczęściej kończą się porażką (jej skalę może uświadamiać fakt więcej niż miernej adekwatności przewidywań na np. uznanych twórców literatury kierunków dalszego rozwoju tej dziedziny czy wskazywania na twórców, którzy mogą się za kilka/kilkanaście lat okazać wybitnymi),

również dlatego, że stale zmieniają się wyzwania stawiane przed tą dyscypliną przez rzeczywistość. Choć obecnie – nieco za połowę roku 2021 – jesteśmy w trakcie pandemii koronawirusa i można przewidzieć, że wpłynie ona, również pośrednio, na humanistykę, to jednak wciąż trudno spekulować, jaki to będzie wpływ.

Jednak to, że mamy stosunkowo słabe narzędzia, by przewidywać, jak będzie się rozwijała humanistyka, nie oznacza jeszcze stagnacji dyscypliny. To zaś oznacza, że przynajmniej część problemów humanistyki (albo raczej krytyki humanistyki) wynika z podstawowych trudności komunikacyjnych. Odmienne postrzeganie kwestii zaangażowania, sprawczości, rozwoju, celów oraz nieco inne traktowanie funkcji, zwłaszcza w odniesieniu do kwestii przyszłości, wymaga – jeśli jakikolwiek dialog ma być nawiązany – stałej uważności oraz zdolności do przedstawiania się między odmiennymi językami oraz konceptualizacjami użyteczności. Wymaganie to jest oczywiście dwustronne i dotyczy także humanistów, którzy czasem zbyt pochopnie zamykają się na krytykę, która może być jednak wstępem do konstruktywnej rozmowy.

Uważność jest jednak tylko wymaganiem brzegowym, warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym. Oprócz niego konieczne jest otwarcie i empatia. Może wydawać się, że kiedy wspominał o empatii, dokonuję pewnego nadużycia: pisałam wcześniej, że jest to afekt, który pojawia się wyłącznie wobec żywych istot, nie zaś wobec koncepcji, idei, metodologii czy przedmiotów nieożywionych. Niemniej jednak humanistyka, jak chyba żadna z innych dziedzin naukowej aktywności, angażuje osobiście. Składa się w całości z osobistych, angażujących i afektujących działań oraz wytworów osób, które ją budują. Podważanie jej wartości jest – bez względu na chęci czy motywacje – podważaniem wartości oraz sensu pracy każdego, kto jest w nią zaangażowany, nie tylko naukowców czy studentów, ale o wiele szerszego grona osób, dla których poruszane w jej obrębie problemy są istotne. Oceniając przydatność humanistyki ocenia się również prawa tychże osób do zajmowania się konkretnymi kwestiami, do szukania rozwiązań ważnych dla nich problemów, a nierzadko – samą istotność takich kwestii. Być może uświadomienie, że humanistyka to nie wyłącznie teorie i teksty, ale przede wszystkim stojące za nimi

osobiste, a zarazem rezonujące społecznie historie, potrzeby i problemy, pomogłoby przywrócić rozmowę o humanistyce na właściwe tory, w których jest miejsce na odmienne zdanie, ale nie ma go dla lekceważenia całych obszarów ludzkiej aktywności, tylko dlatego, że przełożenie tej aktywności na język łatwo wyrażalnych zysków i strat wymaga dokładnie tego, czego humanistyka uczy: wysiłku interpretacyjnego.





## Nota bibliograficzna

Książka ta składa się w części z tekstów już opublikowanych w odmiennych wersjach. Wszystkie publikowane wcześniej artykuły zostały przejrane, skorygowane i uzupełnione, a niektóre z nich bardzo znacząco zmienione i rozbudowane. Inne zostały w pewnym stopniu okrojone, by uniknąć powtarzania niektórych tez, czy rekonstrukcji pola badawczego. Tam, gdzie zmiany były radykalne, zmieniono tytuły tekstów. Poniżej wskazuję na ich pierwodruk.

Cz. I. *Literaturoznawstwo służebne* (wersja rozszerzona i zmieniona, mimo zachowania pierwotnego tytułu), [w:] „Teksty Drugie”, 2017, nr 1 oraz *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, red. P. Czapliński, R. Nycz, D. Antonik, J. Bednarek i in., Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2017.

Cz. I. *Cena uczestnictwa. Kultury bliskiego zasięgu a literatura światowa*, [w:] „Wielogłos”, 2019 nr 3, opublikowane jako *Price of Participation. Short-Range Cultures and World Literature*.

Cz. II. *Ekokrytyczna (samo) świadomość* (wersja rozszerzona i zmieniona, mimo zachowania pierwotnego tytułu), [w:] „Teksty Drugie”, 2018 nr 2.

Cz. II. *Afektywne katastrofy. Kategoria katastrofy w dyskursie ekokrytycznym i afektywnym – wstępne rozpoznania*, [w:] *Poetyki ekocydu. Historia natura, konflikt*, red. A. Ubertowska, D. Korczyńska-Partyka, E. Kuliś, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2019.

Cz. II. *Spór o naturę puszczy*, [w:] *O jeden las za daleko. Demokracja, kapitalizm i nieposłuszeństwo ekologiczne w Polsce*, red. P. Czapliński, J. B. Bednarek, D. Gostyński, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2019.

Cz. II. *Zwierzęta w dyskursie ekokrytycznym*, [w:] *Emancypacja zwierząt?*, red. E. Łoch, A. Trzeźniewska, D. Piechota, Lubelskie Wydawnictwo Naukowe, Lublin 2015 (wersja poszerzona i zmieniona) oraz podrozdział *Polska perspektywa w badaniach nad zwierzętami*, pierwodruk jako *Realizm ekologiczny vs. polska literatura*, [w:] „Teksty Drugie”, 2018 nr 2.

Cz. III. *Interakcje pamięci. Konkurencja, konflikt czy dialog*, [w:] *Projekt na daleką metę*, red. Z. Łapiński, A. Nasiłowska, Wydawnictwo IBL PAN Warszawa 2016.

Cz. III. *Powtórzenia i ponowienia. Tomasz Różycki a kwestia oryginalności*, [w:] „Teksty Drugie”, 2017 nr 2.

Cz. III. *Powtórzenia i przynależności. Poezja Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego wobec pamięci*, [w:] *Obroty liter. O twórczości Tomasza Różyckiego*, red. A. Czabanowska Wróbel, M. Rabizo-Birek, Universitas, Kraków 2018.

Cz. III. *Dotkliwie historie*, [w:] „Teksty Drugie”, 2016 nr 4.

Cz. IV. *Na granicy faktu. Kategoria faction w badaniach nad współczesnymi biografiami*, [w:] „Teksty Drugie”, 2019 nr 1.

Cz. IV. *Prawdziwe przestępstwa. O afektywnej karierze pewnego formatu*, [w:] „Teksty Drugie”, 2019 nr 6.

Ponadto, część też zawartych w rozdziale *Kryzys kategorii faktu a współczesna ekonomia afektywna* została już omówiona we wstępie do „Tekstów Drugich” 2019 nr 6 (pierwodruk jako *Forma i fakt. Wyzwania współczesnego reportażu*).

## Summary

### *Servile Humanities: Negotiating the Field and Constructing Autonomy in Times of Crisis*

This book seeks to answer what caused the crisis in modern humanities and attempts to break through both the internal and external criticism of this field of research by introducing the concept of servile. This category shows that the humanities bear certain social duties that do not necessarily stem from their academic objectives, thus burdening the humanities. According to the legal intuition that refers to the concept of servile, these duties are imposed from the outside, albeit not arbitrarily. Service must pursue an elementary good, and it does not exclude the possibility of using something in a different manner. This approach gives the humanities the choice to agree to perform social duties—which they often do. Nevertheless, these duties constitute the humanities’ secondary, not primary field of operation.

The servile ascribed to the humanities can differ, and it is often diverse. Thus, this book focuses on “Why and how are the humanities important?” while striving to accessibly elaborate on the developments of described studies. This approach founds the book’s successive parts and chapters: the book reflects on three interrelated matters. First, the work considers the relationship between creating and complicating a theory and the various forms of engagement. Second, the author studies the mutual resonance of cultural texts and reality, while perceiving this relationship as a dynamic and mutually conditioning: individual cultural texts may both be answers and aspects that shape reality. The dynamic of this process is especially tangible when one studies the above relation by using two interrelated, although partly separate methodological approaches: affect studies and memory studies. Third, this book asks about the possibility of binding together several

interweaving aspects of the humanities, namely theory, interpretation, and agency. In the words of the first issues outlined in this book: Can we do the humanities in a way that they become neither transparent nor useless? Can we link these aspects of humanistic studies that will make the relations between them graspable, that they will not focus on just one aspect—interpretation, theory, or agency—and that one aspect will not dominate the other two? These are the questions elaborated in the first, introductory part of the book.

The following sections concentrate on three types of research. The first type concerns several problems of ecocriticism that refer to issues of engagement and service, which are central to this book as it analyzes Olga Tokarczuk's novels, among other texts.

The next part pertains to cultural and communicative memory—like the other parts—by following the rule of transitioning from theory to practice. This part not only shows the practical component of investigations but also explains how memory studies perform a public service role, and why is this function so important for both the humanities and the development of society. The part to a great extent scrutinizes selected cultural texts of varied genres, from the poetry of Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki and Tomasz Różycki to interviews by Svetlana Alexievich.

The fourth part begins with ideas related to affects, thus making affect theory a starting point for the interpretation of specific modern phenomena: not just literature but broadly understood cultural studies. The two fields of study employ affect as a tool for analyzing deep-rooted social phenomena, which far exceed the cultural texts that express the phenomena. Thus, this part interprets not only literary works but also films, especially documentary series in the *true crime* genre, namely journalism by Mariusz Szczygieł or Justyna Kopińska, the podcast *Serial*, *The Jinx* and *American Vandal* tv shows, or the film *O.J.: Made in America*.

In the summary, the book returns to the question of servile and the engagement of the humanities as it showcases the potential of thinking about the humanities as an area of activity in which servile to specific social functions not only does not exclude but may even encourage autonomy.

## Indeks nazwisk

### A

Abruzzo Margaret 308–309  
Adamik Katarzyna 191  
Ahmed Sara 107, 117, 187, 296  
Aleksijewicz Swietłana 30, 268–280,  
282–292, 295, 316, 393–394  
Alexander Scott 349  
Antonik Dominik 12, 375, 409  
Apter Emily 60, 67  
Arno Anna 248  
Assmann Aleida 66, 68–70, 74, 199,  
203–206, 209–214, 216, 219, 277  
Assmann Jan 199–200, 202  
Avery Steven 354

### B

Balcerzan Edward 224  
Baldick Chris 323  
Balkema Annette W. 315  
Bal Mieke 44, 104, 398  
Baran Bogdan 18, 129  
Barcz Anna 87, 153–156, 158–161,  
165, 173  
Barthes Roland 315  
Bate Jonathan 90, 109–110, 146  
Bate Walter Jackson 247  
Bauman Zygmunt 335  
Bednarek Joanna B. 409  
Bender Barbara 236  
Bennett Jill 117, 188, 271–272, 291,  
395–396

Bergson Henri 40, 237  
Berlant Lauren 105, 107, 117, 212, 270,  
379, 399–400  
Bielik-Robson Agata 247  
Bienias Adam 163  
Bilczewski Tomasz 70  
Błaszczkowski Jakub 320  
Bloom Harold 66, 247, 251  
Böhme Gernot 130  
Bojarska Katarzyna 66, 198  
Bolecki Włodzimierz 22  
Bolter Jay David 304  
Borowski Mateusz 11, 265  
Brach-Czaina Jolanta 161  
Brooks Richard 324  
Brown Nicole 348–349  
Buell Lawrence 18, 90, 108, 141, 152  
Bush George W. 114, 117–118, 301  
Byron Georg 109

### C

Caparrós Martín 97  
Capote Truman 323–325, 332  
Casanova Pascale 60  
Chaudry Rabia 354  
Chmielecki Konrad 304  
Chwedeńczuk Bohdan 300  
Cieński Marcin 17  
Clarice Starling 147–149  
Clark Timothy 96  
Clune Michael 13

Clutter Herbert William 324  
Cochran Johnnie 350, 352  
Conee Earl 312  
Crutzen Paul 91  
Cyranowicz Maria 248  
Czabanowska-Wróbel Anna 250, 410  
Czaplinski Przemyslaw 12, 17, 59, 61,  
64, 67, 72-73, 224, 390-391, 409  
Czech Jerzy 268, 270, 289, 291, 316  
Czerwińska Małgorzata 168, 321

## D

Damasio Antonio 188  
Damrosch David 60, 62-67, 70-71, 74  
Danto Arthur 50  
Darnton Robert 318  
Deadwyler Leonard 350  
DeBevoise Malcolm 60  
Demos Moira 354  
Deptuła Tomasz 350  
Derrida Jacques 47  
Dessingué Alexandre 273  
Dickie George 50  
Dilthey Wilhelm 40  
DiMaggio Joe 331  
Domagalik Małgorzata 320  
Domosławski Artur 334-336  
Donoghue Frank 21  
Dunin Kinga 162  
During Simon 12-13  
Durkheim Emil 200  
Durst Robert 359-364  
Duszejko Janina 166, 168, 181-182  
Dycki Eugeniusz. Patrz  
Tkaczyszyn-Dycki Eugeniusz  
Dygasieński Adolf 159  
Dziadek Adam 229-231

## E

Eagleton Terry 42  
Eco Umberto 164  
Edelman Ezra 349  
Eliot Thomas Stearns 225, 247

Elliott Robert 142  
Ellis John M. 21  
Engelking Barbara 198  
Erl Astrid 199, 206-208, 251,  
278-279

## F

Feldman Richard 312  
Fiedorczyk Julia 138-139, 141  
Fisher David 350  
Fish Stanley 22, 24-25, 33, 39, 80  
Foot Michael 109  
Foucault Michael 318  
Franaszek Andrzej 257, 259  
Fromm Harold 88  
Furnał Wojciech 343

## G

Gałęcki Jerzy 64  
Garrard Greg 89-90, 108, 138-140,  
146  
Geertz Clifford 295, 322  
Gentz Natascha 206  
Gettier Edmund 312-313  
Gierlińska Anna 168  
Glotfelty Cheryll 88  
Głowczewski Aleksander 224  
Głuszak Grzegorz 355  
Goldman Ron 348-349  
Gold Matthew 20  
Gombrowicz Witold 160  
Gonçalves da Silva Helena 212  
Goodbody Axel 111  
Gosk Hanna 224  
Gosling Ryan 360  
Gostyński Dawid 409  
Grabowski Jan 198  
Grajewski Wincenty 321  
Gran Wiera 338  
Greengrass Paul 345  
Gregg Melissa 306  
Grotek Edyta 66  
Gruen Lori 142

Grusin Richard 304  
Guarda Filomena Viana 212

## H

Halberstam Judith 11, 23  
Halbwachs Maurice 200–202  
Hall Stuart 20, 312  
Haraway Donna 87  
Harrington Walter G. 369  
Hartman Geoffrey 326–333, 346  
Hartwig Julia 161  
Hayot Eric 60  
Hazlett Allan 312  
Hickock Richard 323  
Higgins Dick 304  
Hirsch Marianne 236  
Hochman Jhan 147–152  
Hochschild Arlie Russell 187  
Holland Agnieszka 164, 191  
Hopfinger Maryla 198  
Huggan Graham 111

## J

Jacobson Susan 348  
Jakubowicz-Prokop Zofia 189  
Janion Maria 155  
Jankowicz Grzegorz 139, 141, 226  
Jarecki Andrew 359–360, 362–363  
Jasińska-Kania Aleksandra 87  
Jaworski Stanisław 321  
Jay Paul 21, 42–43, 45–46, 50, 53  
Jones Tamara 350

## K

Kakutani Michiko 331  
Kalinowski Marian 315  
Kaliszewski Andrzej 343  
Kałuża Anna 228  
Kant Immanuel 64  
Kantner Katarzyna 163, 165–166, 168,  
173–174  
Kapuściński Ryszard 333–337  
Karaszewski Larry 349

Kay Andrew 12  
Kennedy John Fitzgerald 331  
Kerridge Richard 89–90  
Klein Naomi 306  
Kobielska Maria 199, 206  
Koenig Sarah 353, 356  
Kola Adam F. 61–62, 64  
Kołakowski Leszek 318  
Kołodziejczyk Dorota 61  
Komenda Tomasz 355  
Kopczyński Michał 66  
Kopińska Justyna 368, 380–381,  
384–385, 387–388, 390, 393–394  
Korczyńska-Partyka Dobrosława 409  
Koronkiewicz Marta 232–233  
Kowalcze-Pawlik Anna 70  
Kramer Stefan 206  
Kramnick Jonathan 13  
Krawczyk Ewa 19  
Kripke Saul 300  
Królak Sławomir 87  
Król Marcin 200  
Kryczyńska-Pham Anna 199  
Kubalica Tomasz 40  
Kuhn Thomas 26  
Kulik Ryszard 168  
Kuliś Ewa 409  
Kulka Otto Dov 28  
Kurczewska Joanna 21

## L

Labuda Aleksander 321  
Lachmann Renate 251  
Landsberg Alison 306  
Latour Bruno 20–21  
Lecter Hannibal 147–149  
Lee Hae Min 353, 355  
Lejeune Philippe 321–322, 331  
Lejzerowicz Magda 21  
Lepri Valentina 34  
Leśmian Bolesław 159, 237, 259  
Leśniak Andrzej 12  
Lewandowski Robert 320

Lewis David K. 300  
Libionka Dariusz 198  
Liming Sheila 12–14  
Lorkowski Piotr Wiktor 248–249  
Lubas-Bartoszyńska Regina 321

#### Ł

Łapiński Zdzisław 322, 410  
Loch Eugenia 410

#### M

Macintyre Ben 324  
Macnaghten Phil 18, 129  
Magala Sławomir 315  
Majewska Ewa 87  
Malinowska Elżbieta 343  
Maliszewski Karol 259  
Mandel Ralph 29  
Marder Michael 189  
Marecki Jarosław 130  
Markowski Michał Paweł 46–50,  
54–55, 59  
Marx Leo 89  
Masi Leonardo 250  
Massumi Brian 112–121, 174, 296,  
299–303, 306, 347, 400  
Maxwell Dylan 365  
Mbembe Achille 181  
McClain Asia 354  
McCormak Kathleen 360  
McGrath Douglas 324  
McNair Brian 347  
Mickiewicz Adam 250  
Miller Arthur 331  
Miller Bennett 324  
Miller Colin 354  
Miller Seumas 181  
Miłosz Czesław 250  
Mirzoeff Nicholas 306, 315, 344  
Mitosek Zofia 321  
Mitroiu Simona 274  
Momro Jakub 261  
Monroe Marilyn 330–331

Moore Michael 346  
Moretti Franco 60  
Morris Edmund 332  
Morton Timothy 91–92  
Müller Jürgen E. 304

#### N

Nagel Thomas 174, 312  
Nalewajk-Turecka Żaneta 259  
Nasiłowska Anna 410  
Nemeth Michał 34  
Ngai Sianne 379  
Nietzsche Friedrich Wilhelm 47  
Nijakowski Lech M. 87  
Nikžentaitis Alvydas 66  
Niziołek Grzegorz 198  
Nora Pierre 265  
Noras Andrzej J. 40  
Nozick Robert 312  
Nussbaum Martha C. 23  
Nycz Ryszard 12, 15–17, 22, 45, 54, 59,  
70, 209, 272, 409

#### O

Oates Carol 330–332  
Olick Jeffrey 68, 199, 206, 283  
Oppenheimer Joshua 303  
Orzeszkowa Eliza 154, 159

#### P

Panh Rithy 303  
Pavia Will 324  
Perkins David 247  
Perloff Marjorie 42, 225, 247–248,  
251, 263  
Perrault Dan 365  
Pettit Emma 13  
Piechota Dariusz 410  
Pietrych Krystyna 228  
Pocauń-Dydycz Magdalena 163  
Pontremoli Edouard 315  
Poppe Erik 345  
Port Rob 12



Pound Ezra 225  
Praczyk Małgorzata 199  
Price Richard 354  
Prus Bolesław 158  
Przybyła Piotr 210  
Przyłębski Andrzej 40

## R

Rabizo-Birek Magdalena 163, 259, 410  
Radziwiłł Konstanty 102, 116  
Reagan Ronald 332  
Reymont Władysław 159  
Riccardi Laura 354  
Rickert Heinrich 40  
Rigby Kate 111  
Rodak Paweł 321  
Romaniuk Adam 174  
Rothberg Michael 66, 68, 70, 153, 209,  
212, 214–220  
Różewicz Tadeusz 227–228  
Różycki Tomasz 30, 222, 245–246,  
248–254, 256, 258–260, 262–264,  
266–267, 410  
Rypson Piotr 304

## S

Sammells Neil 89  
Sardica José Miquel 212  
Saryusz-Wolska Magdalena 202, 206,  
210  
Sawyer Wendy 351  
Scheuring-Wielgus Joanna 99  
Schulz Bruno 259, 337, 339–340  
Seidler Barbara 371  
Seierstad Åsne 345  
Seigworth Gregory J. 306  
Sellars Roy 251  
Sedyka Roma 198, 272  
Settles Ron 350  
Shapiro Robert 350  
Shepperson Arnold 20  
Shortt Linda 205  
Sienkiewicz Henryk 154, 160

Siewior Kinga 199, 369  
Simpson Orenthal James 348–353, 361  
Simpson Susan 354  
Singer Peter 142–143, 152  
Skrendo Andrzej 227  
Skubała Piotr 168  
Slager Henk 315  
Smith Perry 324  
Sontag Susan 315  
Soper Kate 87, 145  
Sosnowski Andrzej 227  
Sowa Jan 46–50, 53–55  
Spinoza Baruch 174, 347, 395  
Stallbrass Julian 344  
Stalnaker Robert C. 300  
Stanik Jan M. 374  
Steinhoff Uwe 181  
Stewart Kathleen 117, 301  
Sugiera Małgorzata 11, 96, 265  
Syed Adnan 353–358, 361  
Szacki Jerzy 87  
Szafrńska-Brandt Marta 97  
Szaruga Leszek 250  
Szczepan Aleksandra 199  
Szczygieł Mariusz 368–376, 378, 381,  
383, 385, 390, 393–394  
Szelińska Józefina 337, 339–341  
Szostek Teresa 70  
Szuster Marcin 247  
Szymanowski Teodor 374

## Ś

Śliwiński Piotr 232, 249  
Świeściak Alina 233, 248

## T

Thoreau Henry David 18, 90, 140  
Thunberg Greta 101, 124  
Tiffin Helen 111  
Tilmans Karin 204, 277  
Tischner Łukasz 250

Tkaczyszyn-Dycki Eugeniusz 30, 222,  
224-232, 234-237, 239-240, 243,  
245-246, 248, 252, 266, 410

Tkaczyszyn Eugeniusz. Patrz

Tkaczyszyn-Dycki Eugeniusz

Tokarczuk Olga 29, 160, 162-168,  
170, 172-175, 179, 182, 184-188,  
190-192, 393, 397

Tokarska-Bakir Joanna 198

Tomaselli Keyan G. 20

Toobin Jeffrey 349

Trzeźniewska Agnieszka 410

Trznadel Jacek 259, 315

Turczyn Anna 322

Tuszyńska Agata 337-341

## U

Ubertowska Aleksandra 93, 96, 160,  
409

Urban Bronisław 374

Urry John 18, 129

## V

Van Sant Gus 346

Vree Frank van 204, 277

## W

Wagner Peter 351

Wałęsa Danuta 320

Walkerdine Valerie 272

Wall Anthony 251

Wandzel Anna 96

Wellek René 20

Westling Louise 111

Wetherell Margaret 187

Whitehead Anne 153, 236

Wilkowicz Paweł 320

Williams Jeffrey J. 13, 34-35

Williams June Audrey 13

Windelband Wilhelm 40

Winter Jay 204, 218, 273, 277

Wolny Kazimierz 317

Wolny-Zmorzyński Kazimierz 343

Wołowicz Beata 248

Woods Tiger 350

Wootton David 318

Wróbel Józef 250

Wróblewski Maciej 224

## Y

Yacenda Tony 365

Young Sara B. 199, 278

## Z

Zagajewski Adam 248

Zaillian Steven 354

Zajas Paweł 334

Zimnicka Iwona 345

Zucker David 350

## Ż

Żółtowska-Darska Yvette 320

Żukowski Tomasz 198

Żuradzki Tomasz 34

Żyrek-Horodyska Edyta 305